

Victoria Holt

Złoty jubileusz

The Landower Legacy
Przełożyła Dorota Rybicka

Rozdział 1

Złoty jubileusz.

Obchodzono pięćdziesiątą rocznicę wstąpienia królowej na tron, gdy w wyniku dramatycznego splotu okoliczności moje życie zupełnie się odmieniło. Miałam w owym czasie czternaście lat i choć wszystko to działo się na moich oczach, a nawet odegrałam w owych wydarzeniach swoją rolę, uświadomiłam sobie ich wagę dopiero wiele lat później. Było tak, jakbym obserwowała świat przez zaparowaną szybę. Widziałam kontury, lecz nie pojmowałam sensu.

Obserwator z zewnątrz mógłby uznać naszą rodzinę za bardzo szczęśliwą. Ale czy często się zdarza, że pozory mówią prawdę? Należeliśmy do tak zwanych „ludzi z towarzystwa”. Nasza londyńska rezydencja, położona w pobliżu Hyde Parku, była jedną z najpiękniejszych w Londynie. Nad wygodą jej mieszkańców czuwali lokaj Wilkinson i gospodyni, pani Winch, zachowujący względem siebie pełną wrogości neutralność, jako że każde z nich bardzo się starało wykazać własną wyższość nad drugim. Wczesnym rankiem, zanim członkowie rodziny opuścili łóżka, niżsi rangą służący krzątali się po domu, wymiatając popiół z wszystkich kominków, polerując porcelanę, wycierając kurze i grzejąc wodę do mycia, tak że kiedy wstawaliśmy, wszystko było gotowe, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki. Ludzie ci wiedzieli, że mój ojciec będzie bardzo niezadowolony, jeśli jakiś hałas zdradzi ich obecność, a widok białego fartucha lub czepka wprawiał go w taką furję, że niefortunnemu właścicielowi tej garderoby groziła utrata posady. Wszyscy w domu bali się niezadowolenia pana — nawet moja matka.

Tata nazywał się Robert Ellis Tressidor — wywodził się z Tressidorów, będących właścicielami majątku Tressidor w Lancarron w Kornwalii. Od XVI wieku do rodziny należały wielkie posiadłości, które po powrocie monarchii jeszcze się rozrosły. Wielkie rody z zachodu — z bardzo nielicznymi wyjątkami — opowiedziały się stanowczo po stronie króla, a żaden nie był bardziej lojalny niż Tressidorowie.

Niestety, mój ojciec utracił rodzinną posiadłość, zaanektowaną (tego właśnie słowa używano, a ja musiałam sprawdzić jego znaczenie w słowniku; uwielbiałam podsłuchiwać i zawdzięczałam całą swoją wiedzę o rodzinie temu, że moje oczy i uszy były przez cały czas otwarte) przez ciotkę Mary. Imię tej ciotki było zawsze wymawiane przez mego ojca i jego siostrę Imogenę, czczącą go namiętnie, tonem pogardy i nienawiści — ale z nutą zazdrości, jak mi się zdaje.

Odkryłam, że mój dziadek miał starszego brata, który był ojcem ciotki Mary. Nie spłodził więcej dzieci, a ponieważ był starszy, dom w Tressidor oraz cała posiadłość przypadły jej, a nie mojemu ojcu, który miał prawo czuć się pokrzywdzony, jako przedstawiciel wspaniałej płci, z którą żadna kobieta nie powinna rywalizować.

Moja ciotka Imogena — lady Carey — była na swój sposób równie przerażająca jak mój ojciec. Słyszałam, gdy rozmawiali o godnym pogardy postępowaniu ciotki Mary, która z lekkim sercem objęła w posiadanie rodzinny majątek, ani przez chwilę nie myśląc o tym, że ograbia prawowitego dziedzica. „Ta harpia!” — mówiła o niej ciotka Imogena, a ja wyobrażałam sobie ciotkę Mary jako stworę o głowie i korpusie kobiety, ptasich skrzydłach oraz długich szponach, wczepionych w mego ojca i ciotkę Imogenę — bo tak właśnie harpie potraktowały biednego ślepego króla Fineusa.

Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś zdołał wygrać z naszym papą, a ponieważ ciotka Mary tego dokonała, musiała być naprawdę niesamowita i nie mogłam nie czuć dla niej pewnego rodzaju podziwu, który, jak zawyrokowała moja siostra Olivia, gdy jej o tym powiedziałam, świadczył o braku lojalności. Nawet jednak przegrawszy walkę o spadek, papa był niewątpliwie panem w swoim domu. Tu sprawował rządy absolutne i wszystko musiało odbywać się wedle jego woli.

Mieliśmy liczną służbę — niezbędną przy światowym trybie życia, jaki wiódł mój ojciec, i licznych przyjęciach, które z tego wynikały. Kierował komitetami i organizacjami, w większości stawiającymi sobie za cel dobro ludzkości i nazywającymi się, na przykład: Pożyteczne Zajęcia dla Biednych czy Nawrócenie Upadłych Kobiet. Był oddanym sługą dobrej sprawy, a jego nazwisko często pojawiało się w gazetach. Nazywano go drugim lordem Shaftesburym i wiele osób twierdziło, iż dawno już powinien był otrzymać tytuł para.

Przyjaźnił się oczywiście z ważnymi osobistościami, w tym z premierem, lordem Salisburym. Zasiadał w Parlamencie, ale odrzucił propozycję zostania członkiem Rady, gdyż miał zbyt wiele zajęć poza Westminsterem. Uważał, że lepiej przysłuży się krajowi działalnością charytatywną, niż gdyby poświęcił cały swój czas polityce.

Był bankierem i członkiem zarządu licznych firm. Każdego ranka powóz opuszczał stajnię i zajeżdżał przed frontowe drzwi. Pojazd lśnił, a liberia woźnicy musiała być nieskazitelna. Nawet małego forysia, który podczas drogi stał na tylnych resorach i miał za zadanie, kiedy karetka znajdzie się u celu, zeskoczyć na ziemię i otworzyć drzwiczki swemu panu, obowiązywał podobnie nienaganny wygląd.

Mój ojciec posiadał dwie zalety dżentelmena najważniejsze w naszych czasach: bogactwo i prawość.

Panna Bell, nasza guwernantka, była z niego bardzo dumna.

— Musicie pamiętać, że wasz ojciec jest źródłem, z którego wypływają wszystkie wasze swobody — powtarzała nam.

Odparłam jej kiedyś, że ludzie nie czują się zbyt swobodnie w obecności papy, więc może w tym konkretnym przypadku źródło daje początek czemuś innemu.

Często doprowadzałam naszą guwernantkę do rozpacz. Droga panna Bell była tak gorliwa i tak przejęta zadaniem, do którego powołali ją Bóg — oraz wspaniała pan Tressidor. Konwencjonalna do granic możliwości, pełna drżącej czci dla cnót swego chlebobdawcy, bez dyskusji przyjmowała jego zdanie o sobie samym — które, trzeba przyznać, było przekonaniem powszechnym — i nie zapominała ani na chwilę, że choćby nie wiem jak skutecznie i gorliwie pełniła swoje obowiązki, pozostanie jedynie członkinią płci gorszej i niższej.

Musiałam być irytującym dzieckiem, bo nie przyjmowałam za dobrą monetę tego, co mi mówiono, a ponadto nie miałam dość rozsądku, by ukrywać swoje wątpliwości.

— Dlaczego — spytała moja siostra Olivia — musisz zawsze odwracać kota ogonem, tak że wszystko wydaje się inne, niż nam powiedziano?

— Prawdopodobnie dlatego — odparłam — że ludzie często zastępują prawdę tym, w co ich zdaniem powinniśmy wierzyć.

— Ale łatwiej jest wierzyć w to, co nam mówią — zauważyła Olivia, i to zdanie dobrze ją charakteryzowało. Właśnie dlatego nazywano ją dobrym dzieckiem. Ja byłam buntowniczką. Często przychodziło mi do głowy, że to bardzo dziwne, iż jesteśmy siostrami, a tak bardzo się różnimy.

Nasza matka nie wstawała nigdy wcześniej niż o dziesiątej. Everton, jej pokojówka, przynosiła wtedy do sypialni wielmożnej pani filiżankę gorącej czekolady. Matka była bardzo piękna, a w gazetowych kronikach towarzyskich często wymieniano jej nazwisko. Panna Bell pokazywała nam czasem te notatki. „Piękna pani Tressidor” na wyścigach... na raucie... na balu dobroczynnym. Zawsze pisali o niej: „Piękna pani Tressidor”.

Jej uroda budziła w nas nabożny lęk, podobnie jak wzniosła dobroć naszego ojca. Wspominałam już, że ci dwoje czynili dom miejscem dość nieprzyjemnym. Matka czasem okazywała nam gwałtowną czułość, a czasem zdawała się nieświadoma istnienia córek. W pierwszym przypadku ścisła nas i całowała żarliwie — zwłaszcza mnie. Dostrzegłam to i

miałam nadzieję, że Olivia nie zauważyła. Matka miała brązowe oczy i bujne, kasztanowe włosy, których kolor — jak mi wyjawiała Rosie Rundall, nasza bardzo niezwykła pokojówka — Everton pielęgnowała z wielkim staraniem, przy użyciu tajemniczych mikstur. Dbanie o urodę jaśnie pani było absorbującym zajęciem, ale Everton robiła to znakomicie i trzęsła całym domem, żądając absolutnej ciszy, kiedy moja matka leżała z kawałkami lodu na powiekach lub była masowana. Służba znosiła tę tyranię, choć nie bez szemrania.

— Bycie piękną jest bardzo męczące — powiedziałam kiedyś do Olivii, a Rosie Rundall, która akurat była w naszym pokoju, skinęła głową z aprobatą.

— Ręczę za to głową!

Wesoła i ładna Rosie Rundall była najbardziej niezwykłą pokojówką, jaką kiedykolwiek znałam. Służące te często wybierano ze względu na ich wygląd. Pokazywały się gościom, więc brzydka robiłaby złe wrażenie. Często myślałam, że mamy u siebie królową pokojówek.

Rosie potrafiła zachowywać się z wielką dystynkcją, ludzie to zauważali i lubili na nią patrzeć. Była świadoma swej urody i przyjmowała ów milczący hołd z powściągliwą godnością. Ale kiedy przebywała z Olivią i ze mną — co zdarzało się dość często — stawała się całkiem inną dziewczyną.

Obie z Olivią przepadałyśmy za Rosie. Z całą pewnością nie znałyśmy wielu osób, którym mogłybyśmy okazywać przywiązanie. Nasz ojciec był zbyt wspaniały, a matka zbyt piękna. I chociaż panna Bell miała wiele dobrych chęci i starała się być dla nas dobra, wiedziałam, że miłość nie jest odpowiednim słowem na określenie jej stosunku do nas.

Rosie miała gorące serce i chętnie podkopywała autorytety. Kiedy Olivia poplamiała czysty fartuszek sosem do pieczenia, Rosie mrugnęła do niej wesoło, zabrała zhańbioną część garderoby, wyprała ją i wyprasowała tak szybko, że nikt nie dowiedział się o wypadku. A kiedy stłukłam sewrską wazę, która stała na komodzie w salonie, pokojówka posklejała skorupy i ustawiła naczynie na dawnym miejscu.

— Tylko ja ścieram tu kurze — powiedziała z uśmiechem. — Nikt nie będzie wiedział. A czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Mam wrażenie, że Rosie szła przez życie, oszczędzając wielu sercom żalu.

Wychodząc z domu na całą noc — raz w tygodniu (zgłosiwszy się do nas, postawiła taki warunek, a pani Winch, ze względu na jej wygląd, wyraziła zgodę) — Rosie ubierała się jak dama. Stawała się kobietą całkiem odmienną od tej, którą widywałyśmy codziennie w białym fartuszku i czepku. Wyglądała bardzo wytwornie w jedwabnej sukni i kapeluszu z żółtymi piórami, w rękawiczkach i z parasolką.

Gdy pytałam, dokąd idzie, trącała mnie lekko i odpowiadała:

— Co za pytanie. Powiem ci, kiedy skończysz dwadzieścia pięć lat.

To było jej ulubione powiedzenie: „Kiedy skończysz dwadzieścia pięć lat, dowiesz się wszystkiego”.

Zawsze ciekawiły mnie wybitne osobistości, które odwiedzały nasz dom. W holu znajdowały się piękne schody, który pięły się w górę, aż po najwyższe piętro. Z ich szczytu, czyli z poziomu, na którym znajdowały się sypialnie służących, pokoje dzieciinne i salki do nauki, widać było doskonale wszystko, co działo się na dole. Głosy szybowały do góry, niosąc różne interesujące informacje. Nic nie irytowało mnie bardziej — i bardziej nie ekscytowało — niż rozmowa ucięta w najciekawszym miejscu. Zabawa ta sprawiała mi ogromną radość, jakkolwiek Olivia uważała ją za niewłaściwą.

— Podszuchujący — powiedziała, cytując jakiegoś przemądrzałego filozofa — nigdy nie usłyszysz o sobie nic dobrego.

— Droga siostró — odpaliłam — kiedyż to usłyszałyśmy cokolwiek na nasz temat, dobrego czy

złego?

— Nigdy nie wiadomo, co jeszcze usłyszymy.

— To prawda, i właśnie dlatego siedzenie tutaj jest tak zajmujące.

Prawda wyglądała tak, że uwielbiałam podsłuchiwać. Tyle rzeczy przed nami ukrywano — jako niewłaściwych dla dziewczęcych uszu, jak przypuszczałam. Czułam nieodparte pragnienie, by uchylić rąbka tajemnicy.

Dlatego właśnie czatowanie na schodach, gdy znamienici goście wkraczali do naszego domu, sprawiało mi wielką uciechę. Lubiłam obserwować naszą piękną matkę, jak stała na podeście pierwszego piętra, wskazując gościom salon i bawialnię, gdzie sławni artyści — pianiści, skrzypkowie i śpiewacy — zabawiali zebranych.

Biedna Olivia, klęcząc obok mnie, umierała ze strachu, że ktoś nas odkryje. Była bardzo bojaźliwa. Choć młodsza o dwa lata, zawsze grałam rolę prowodyra we wszelkich ryzykownych przedsięwzięciach.

Nasza guwernantka, panna Bell, powtarzała często:

— Musisz być śmielsza, Olivio. Nie pozwól Caroline sobą dyrygować.

Olivia jednak zawsze trzymała się z boku. Mimo że całkiem ładna, należała do osób, których po prostu się nie zauważa. Już wówczas byłam wyższa od siostry. Wszystko wydawało się w niej miłe, ale zwyczajne. Miała bladą twarzyczkę o drobnych rysach i wielkie brązowe oczy.

— Jak oczy gazeli — powiedziałam, a ona nie wiedziała, czy powinna się cieszyć, czy pogniwać.

Oto cecha charakterystyczna Olivii: wieczny brak pewności siebie. Cierpiała na krótkowzroczność, co nadawało jej pięknym oczom bezradny wyraz. Kosmyki jej lśniących, prostych włosów zawsze wymykały się ze wstążki, choćby najstaranniej zawiązanej, ku rozpaczy panny Bell. Czasem czułam, że powinnam chronić Olivię, częściej jednak wciągałam ją w niemądre przygody.

Byłam jej przeciwieństwem zarówno pod względem wyglądu, jak i temperamentu. Panna Bell powtarzała, że nie rozumie, jak dwie siostry mogą aż tak się różnić. Włosy miałam ciemniejsze, prawie czarne, a oczy intensywnie zielone, co lubiłam podkreślać zieloną wstążką, byłam bowiem bardzo próżna i świadoma ich niezwykłości. Nie śmiałam wprawdzie uważać się za ładną, ale byłam zauważana. Mój raczej zadarty nos, szerokie usta i wysokie czoło — w epoce, która preferowała niskie — nie pozwalały uznać mnie za piękność, lecz miałam w sobie coś — moją żywość, jak sądzę — co sprawiało, że ludzie nie poprzestawali na jednym zerknięciu, lecz zawsze spoglądali na mnie po raz drugi.

Z kapitanem Carmichaelem było tak samo. Rozmyślałam o nim z dreszczem przyjemności. Wyglądał wspaniale w swoim mundurze — złoto-purpurowym — choć strój jeździecki czy wieczorowy także niczego mu nie ujmowały. Ten najbardziej elegancki i fascynujący mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkałam, posiadał zaletę, której nie umiałam się oprzeć: wyróżniał mnie specjalnymi względami. Uśmiechał się do mnie przy każdej okazji i traktował, jakbym była młodą damą, a nie dziewczynką, spędzającą większość czasu w pokoju nauki.

Kiedy więc wyglądałam ze schodów, to zawsze z nadzieją, że zobaczę kapitana Carmichaela.

Łączyła nas pewna tajemnica. Mama także ją знаła. Chodziło o złoty medalion, najpiękniejszy klejnot, jaki kiedykolwiek miałam. Musiałam ukrywać go pod suknią, gdyż nie pozwalano nam wkładać biżuterii. Noszenie tego wisiora było prawdziwym zuchwalstwem z mojej strony. Ale czułam go na skórze i to napełniało mnie szczęściem. A także podniecało, jak wszelkie sekrety. Dostałam ten prezent podczas jednego z naszych pobytów na wsi.

Wiejska rezydencja leżała trzydzieści mil od Londynu. Był to okazały dwór z czasów królowej Anny, otoczony rozległym parkiem. Choć piękny, nie mógł się jednak równać z domem w

Tressidor — jak stwierdził kiedyś z goryczą mój ojciec.

Mimo wszystko spędzałyśmy tam większą część roku z zastępem służących i panną Lucy Bell, którą nazywałam cesarzową dziecięcego pokoju. Uważałyśmy, że jest stara, lecz stary wydawał się nam wtedy każdy, kto miał więcej niż dwadzieścia lat. Wypełniała swe obowiązki z wielkim zaangażowaniem nie tylko dlatego, że musiała zarobić na życie, ale też dlatego, jestem pewna, że na swój sposób nas kochała.

W wiejskim domu miałyśmy swoje pokoje — wielkie, śliczne i pełne światła, położone na najwyższym piętrze, z widokiem na lasy i zielone pola. Miałyśmy też kucyki i dużo jeździłyśmy konno. W Londynie kłusowałyśmy po Row, co było ekscytujące ze względu na wszystkich tych eleganckich ludzi, którzy kłaniali się naszej matce, kiedy nam towarzyszyła. Ale te spacerunki nie dawały nam takiej radości, jak jazda galopem po sprężystej darni.

Miesiąc przed naszym powrotem do Londynu matka nieoczekiwanie przyjechała na wieś. Przywiozła z sobą Everton, pudła z kapeluszami oraz torby ze wszystkim, bez czego życie straciłoby dla niej smak. Rzadko odwiedzała wiejską rezydencję, więc w całym domu zapanowała gorączkowa krzątanina.

Przyszła do pokoju nauki i uściśkała nas obie gorąco. Jej uroda, zapach i szyk — miała na sobie lekką jasnoszarą spódnicę i różową bluzkę z falbankami — jak zawsze napełniły nas onieśmieleniem.

— Moje drogie dziewczynki! — wykrzyknęła. — Jak wspaniale was widzieć! Chciałam pobyc trochę sama z moimi córkami.

Olivia poczerwieniała z radości. Ja także byłam zachwycona, choć również odrobinę sceptyczna, gdyż w Londynie, gdzie mama mogła przebywać z nami bez ograniczeń, zrezygnowała z tego przywileju bez specjalnego żalu.

Właśnie wówczas przyszło mi do głowy, że trudniej ją zrozumieć niż tatę. Papa, wszechmocny i wszechwiedzący, był najpotężniejszą istotą, jaką znałyśmy — po Bogu, oczywiście, ale tylko troszkę „po”.

Mama zaś wydawała się kobietą pełną tajemnic. Wówczas nie dostałam jeszcze medalionu — więc nie miałam żadnych własnych sekretów — dostrzegałam jednak coś niezwykłego w jej oczach.

Śmiała się z nami, oglądając rysunki i wypracowania.

— Olivia ma prawdziwy talent — powiedziała panna Bell.

— Jak cudownie, kochanie! Och, wierzę, że zostaniesz wielką artystką.

— To nic pewnego — odrzekła panna Bell, która uważała, że nadmiar pochwał bywa szkodliwy dla dzieci.

Olivia uśmiechnęła się łagodnie. Była wzruszająco niewinna i niezachwianie wierzyła w dobro. Uznałam w końcu, że ma wspaniałe podejście do życia.

— Caroline całkiem nieźle pisze.

Matka popatrzyła niewidzącym wzrokiem na pokrytą kulfonami kartkę i mruknęła:

— To pięknie.

— Nie mam na myśli charakteru pisma — wyjaśniła panna Bell.

— Mam na myśli konstrukcję zdań i użycie słów. Świadczą o bogatej wyobraźni i łatwości wyrażania myśli.

— Jak wspaniale!

Jej śliczne oczy z roztargnieniem patrzyły na arkusik papieru, jak gdyby obserwując czujnie coś innego.

Następnego dnia objawił się prawdziwy powód przyjazdu naszej matki na wieś. Była to jedna z owych ważkich chwil, które w owym czasie wydały mi się bez znaczenia.

Kapitan Carmichael złożył nam wizytę.

Siedziałyśmy z mamą w ogrodzie różanym. Wyglądała uroczo, z dwiema dziewczynkami u boku i książką w dłoniach. Nie czytała nam, choć można było pomyśleć, że czyta.

Przyprowadzono do nas gościa.

— Kapitan Carmichael! — wykrzyknęła moja matka. — Co za niespodzianka!

— Jechałem do Salisbury i pomyślałem: Przecież to dom Tressidorów. Robert nigdy by mi nie wybaczył, gdyby się dowiedział, że byłem w okolicy i nie wstąpiłem. Więc... Pomyślałem, że tylko zajrzę.

— Niestety, męża nie ma z nami. Ale to cudowna niespodzianka.

— Moja matka wstała i klasnęła w ręce niczym dziecko, które dostało zabawkę z samego czubka bożonarodzeniowej choinki. — Może pan zostać i napić się z nami herbaty — ciągnęła. — Olivio, powiedz w kuchni, żeby przyniesiono herbatę. Caroline, idź z siostrą.

Więc poszłyśmy do domu, zostawiając ich samych.

Jakże miły był ten podwieczorek! Właśnie rozpoczął się maj, najwspanialszy miesiąc roku. Białe i czerwone pączki na drzewach oraz zapach skoszonej trawy, śpiew ptaków i słoneczko grzejące łagodnie, bez żaru. Było wspaniale.

Kapitan Carmichael zadawał nam pytania. Chciał wiedzieć, czy odbywamy przejażdżki konne. Olivia odzywała się niewiele, ale ja mówiłam za nas obie, co sprawiało mu przyjemność. Patrzył na mamę, a ich spojrzenia wydawały się obejmować także moją osobę, a to napełniało mnie szczęściem. Jedyną rzeczą, której brakowało Olivii i mnie, była miłość. Nasze materialne potrzeby w pełni zaspokajano, lecz kiedy człowiek dorasta i poznaje świat, nic nie może zastąpić czułości i prawdziwej troski. Tamtego popołudnia miałyśmy wrażenie, że jesteśmy przedmiotem właśnie takich uczuć.

Pragnęłam, żeby to trwało zawsze. Uświadomiłam sobie, że życie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby naszym ojcem był ktoś taki jak kapitan Carmichael.

Kapitan był bardzo interesującym człowiekiem. Dużo podróżował: był w Sudanie z generałem Gordonem i w Chartumie podczas oblężenia. Opowiadał nam o tym wszystkim. Mówił w bardzo obrazowy sposób, ukazując nędzę, strach i determinację walczących — choć przypuszczam, że łagodził prawdę, zbyt drastyczną dla naszych młodych uszu.

Kiedy wypiliśmy herbatę, wstał, a moja matka powiedziała:

— Nie musi pan jeszcze jechać, kapitanie. Dlaczego nie zostanie pan na noc? Mógłby pan wyruszyć wcześniej rano.

Zastanawiał się chwilę, mrużąc oczy, w których czaił się uśmiech.

— No cóż... chyba rzeczywiście trochę popróżnuję. Usiadłyśmy — Olivia i ja — zafascynowane uroczym gościem. Następnego ranka jeździliśmy razem konno. Matka wybrała się z nami i dobrze się bawiliśmy. Kapitan jechał obok mnie. Powiedział, że siedzę na koniu jak prawdziwy jeździec.

— Przecież każdy, kto jeździ konno, jest jeźdźcem — odparłam przekornie mimo oczarowania nim.

— Jedni są workami kartofli, a drudzy jeźdźcami.

To stwierdzenie wydało mi się szalenie zabawne, więc wybuchnęłam żywiołowym śmiechem.

— Zdaje się, że Caroline podbiła pańskie serce, kapitanie — powiedziała moja matka.

— Śmieje się z moich dowcipów. Podobno to najkrótsza droga do męskiego serca.

— Myślałam, że najkrótsza wiedzie przez żołądek. — Poczucie humoru jest ważniejsze. Dalej, Caroline, ścigajmy się do lasu.

Wspaniale było tak pędzić, czując wiatr we włosach. Kapitan oglądał się z uśmiechem, jak gdyby bardzo mnie lubił.

Pojechaliśmy na padok, ponieważ chciał zobaczyć, jak skaczemy, więc pokazałyśmy mu wszystko, czego nauczyciel konnej jazdy nauczył nas kilka dni wcześniej. Wiedziała, że skacze znacznie lepiej niż Olivia, która bardzo się bała i o mało nie spadła z konia.

Kapitan Carmichael i mama klaskali, patrząc na mnie.

— Mam nadzieję, że zostanie pan z nami bardzo długo — odezwałam się do kapitana.

— Czyż mam inne wyjście? — I wzruszył ramionami, patrząc na moją matkę.

— Jeszcze jedną noc? — zasugerowałam.

Został jeszcze dwie noce, a tuż przed jego wyjazdem matka przysłała po mnie jedną ze służących. Siedziała z kapitanem w małym saloniku.

— Zaraz wyjeżdżam, Caroline. Chcę się pożegnać — powiedział nasz gość i przez kilka sekund trzymał dłonie na moich ramionach. Potem przycisnął mnie do siebie i pocałował w czubek głowy.

— Chcę dać ci coś na pamiątkę.

— Och, nie mogłabym pana zapomnieć.

— Wiem, ale mały prezent nie zaszkodzi, prawda? — Wyciągnął z kieszeni medalion na złotym łańcuszku. — Otwórz go — poprosił.

Nie mogłam sobie poradzić, więc wyjął medalion z moich dłoni. Wieczko odskoczyło, ukazując piękny portrecik naszego gościa. Był miniaturowy, lecz tak doskonale namalowany, że tożsamość modelu nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

— Ależ to cudowne! — wykrzyknęłam, patrząc to na niego, to na mamę.

Obserwowali mnie ze wzruszeniem, a potem spojrzeli na siebie.

— Na twoim miejscu nie pokazywałabym tego nikomu... nawet siostrze — zauważyła rzeczowo matka.

Och, pomyślałam, więc Olivia nie dostała prezentu. Boją się, że będzie zazdrosna.

— Powinnaś schować to do czasu, gdy będziesz starsza — ciągnęła.

Skinęłam głową.

— Dziękuję — szepnęłam — bardzo dziękuję. Kapitan objął mnie i pocałował. Tego popołudnia pożegnałyśmy go ze szczerym żalem.

— Wrócę na jubileusz — powiedział do mojej matki.

W takich to okolicznościach dostałam medalion. Kochałam ten klejnocik i często na niego patrzyłam. Żałowałam, że muszę go ukrywać, choć jednocześnie cieszyłam się, że mam swoją własną tajemnicę. Nosiłam go codziennie pod suknią, a w nocy chowałam pod poduszkę. Ceniłam go nie tylko dlatego, że był piękny, ale przede wszystkim dlatego, że dzieliłam ten sekret z mamą i kapitanem Carmichaelem.

* * *

Wróciłyśmy do Londynu piętnastego czerwca — tydzień przed jubileuszem królowej. Powrót do Londynu po pobycie na wsi zawsze był ekscytujący. Jechałyśmy od wschodu i londyńska Tower słała nam ponure powitanie. Posepna, imponująca, opowiadała o minionych tragediach i ludziach, których dawno temu w niej więziono.

Potem przejeżdżałyśmy przez śródmieście, mijając nowe budynki Parlamentu, zaprojektowane przez pana Barry'ego, które zdobiły wybrzeże i wyglądały, jakby stały tu już wiele stuleci, równie długo jak wspinała Tower.

Nie umiałam powiedzieć, co lubię bardziej: Londyn czy wieś. Wieś reprezentowała wygodę i porządek. Ofiarowywała pogodę ducha i spokój, których brakowało w Londynie. Oczywiście papa rzadko do nas przyjeżdżał, a muszę przyznać, że kiedy się zjawiał, pogoda ducha i spokój szybko gdzieś się ulatniały. Razem z nim przybywali goście, a Olivia i ja musiałyśmy trzymać się na

uboczu. Więc może to nieobecność ojca czyniła pobyt na wsi tak radosnym.

Ale cieszyłam się także, kiedy nadchodził czas wyjazdu do Londynu.

Tym razem powrót był szczególnie ekscytujący, gdyż ledwo dotarliśmy do miasta, dostrzegłyśmy powszechny rozgardiasz, który panna Bell określiła jako „gorączkę przedjubileuszową”.

Ulice miasta wypełniał gwarny tłum. Z radością obserwowałam ludzi, którzy rzadko pojawiali się w tej części Londynu. Kupcy zachwalali swój towar, stolarz siedział na chodniku reperując trzcinowe krzesło, rakarz pchał taczkę pełną obrzydliwego końskiego mięsa; dostrzegłam też druciarza, naprawiacza parasolek i dziewczynę w wielkim papierowym kapeluszu, niosącą koszyk pełen papierowych kwiatów... Były też niemieckie orkiestry, które w tamtej epoce coraz częściej pojawiały się na naszych ulicach, grając popularne piosenki. Ale przede wszystkim zwróciłam uwagę na sprzedawców świątecznych pamiątek: kubków, kapeluszy i ozdób. „Niech Bóg błogosławi królową!” — wykrzykiwali. Albo: „Pięćdziesiąt lat pełnych chwały!”.

Widok ten działał elektryzująco i cieszyłam się, że wróciliśmy na czas, by wziąć udział w uroczystościach.

W domu także panowało podniecenie. Panna Bell oznajmiła, że to wielkie szczęście być poddanymi takiej królowej i że powinnyśmy zapamiętać tak wspaniały jubileusz do końca życia.

Rosie Rundall pokazała nam nową sukienkę, którą uszyła sobie na tę okazję. Była z białego muślinu w lawendowe kwiatki. Słomkowy kapelusz w kolorze lawendy pasował do niej idealnie.

— Będzie wesoło — powiedziała. — I Rosie Rundall będzie się bawiła równie dobrze jak Jej Urocza Wysokość... a może nawet lepiej.

Moja matka zmieniała się od owego pamiętnego dnia, gdy kapitan Carmichael podarował mi medalion. Powiedziała, że nasz widok bardzo ją cieszy. Uściskała nas i oznajmiła, że pojedziemy razem obejrzyć orszak jubileuszowy.

— Czy to nie ekscytujące?

Zgodziłyśmy się, że bardzo ekscytujące.

— Czy zobaczymy królową? — spytała Olivia.

— Oczywiście, kochanie. Inaczej co to by były za uroczystości?

Poczułyśmy wzruszenie.

— Wasz ojciec — tłumaczyła panna Bell — będzie miał wiele obowiązków w taki dzień. Oczywiście spędzi go na dworze.

— Pojedzie z królową? — spytała Olivia.

Wybuchnęłam śmiechem.

— Nawet on nie jest dość ważną postacią, by jechać z królową — powiedziałam lekceważącym tonem.

Następnego ranka, podczas lekcji z panną Bell, do pokoju weszli nasi rodzice. Było to tak niespodziewane, że osłupiałyśmy wszystkie, nawet guwernantka, która zerwała się na równe nogi, poczerwieniała i wymamrotała:

— Dzień dobry panu. Dzień dobry pani.

Olivia i ja też zerwałyśmy się z krzesel i stałyśmy niczym posągi, zastanawiając się, co oznacza ta niespodziewana wizyta.

Nasz ojciec najwyraźniej zadawał sobie pytanie, jakim cudem ktoś tak wspaniały jak on mógł spłodzić tak nierozgarnięte potomstwo. Miałam poplamioną sukienkę. Pisząc, wykonywałam zamaszyste ruchy i w efekcie zawsze musiałam się pobrudzić. Odrzuciłam głowę do tyłu. Przypuszczam, że zrobiłam wyzywającą minę, jak zawsze, zdaniem panny Bell, gdy spodziewałam się krytyki. Zerknęłam na Olivię. Była błada i zmieszana.

Poczułam lekką złość. Żaden człowiek nie ma prawa tak deprymować innych. Obiecałam sobie,

że nie okażę strachu.

— Cóż to, oniemiałyście? — odezwał się ojciec.

— Dzień dobry, tato — odrzekłyśmy jednym głosem. — Dzień dobry, mamó.

Moja matka uśmiechnęła się lekko.

— Zamierzam sama pokazać im przejazd królowej.

Papa skinął głową. Sądzę, że oznaczało to zgodę. Matka mówiła dalej:

— Zaprosiły nas Klara Ponsonby i Marcia Sanson. Pochód będzie przechodził obok ich domów, więc z okien zobaczymy wszystko doskonale.

— Rzeczywiście.

Spojrzał na pannę Bell. Podobnie jak ja, postanowiła nie okazywać, w jak wielkie wprawiał ją zmieszanie. Ostatecznie była córką pastora, a rodziny duchownych darzono takim poważaniem, że pochodzące z nich dziewczęta znajdowały pracę bez najmniejszych trudności. Ponadto jako inteligentna kobieta nie chciała dać się zastraszyć w obecności uczennic.

— I co pani sądzi o swoich pupilkach, hę, panno Bell?

— Robią szybkie postępy — odrzekła spokojnie.

— Panna Bell zapewniła mnie, że dziewczynki są inteligentne... każda na swój sposób — dodała matka z tym samym lekkim uśmieszkiem.

— Hm... — Ojciec spojrzał na pannę Bell z zakłopotaniem i zdałam sobie sprawę, że tak właśnie należało wobec niego postępować: udawać pewność siebie. Większość ludzi okazywało strach, sprawiając w ten sposób, że ojciec czuł się wszechmocny. Podziwiałam naszą guwernantkę. — Mam nadzieję, że podziękowałyście Bogu za opiekę nad królową — powiedział, patrząc na Olivię.

— O tak, tato — odparłam żarliwie.

— Musimy wszyscy być wdzięczni Bogu za to, że rządzi nami taka *kobieta*.

Ach, pomyślałam, jest monarchinią, chociaż to kobieta. Nikt nie pozbawił jej korony dlatego, że jest kobietą, a zatem ciocia Mary ma prawo do majątku Tressidor. Takie oświecenia spływały na mnie zawsze w najmniej odpowiednich momentach.

— Jesteśmy, papo — powiedziałam. — To wspaniale, że rządzi nami taka kobieta.

Spojrzał na Olivię, która wyglądała na przerażoną.

— A ty? Co ty powiesz?

— Ależ... tak... tak... tato — wyjąkała.

— Wszyscy jesteśmy bardzo wdzięczni Panu — dodała moja matka — i spędzimy uroczę popołudnie u Ponsonbych lub Sansonów...

Będziemy wiwatować na cześć Jej Wysokości, aż dostaniemy chrypki, prawda, moje kochane?

— Lepiej, żebyście pozostały w pełnym szacunku milczeniu — oznajmił mój ojciec.

— Oczywiście, Robercie — zapewniła go moja matka. Podeszła doń i wsunęła mu dłoń pod ramię. Zdumiała mnie ta bezceremonialność, lecz ojciec nie wydawał się zirytowany. Wręcz przeciwnie, jej gest najwyraźniej sprawił mu przyjemność. — Chodźmy — powiedziała, wyczuwając bez wątpienia, że nie możemy się doczekać końca tej wizyty i że sama coraz bardziej jest nią zmęczona. — Dziewczynki sprawią się wspaniale i będziemy z nich bardzo dumni, prawda, córeczki?

— O tak, mamusiu.

Uśmiechnęła się do męża, a kąciki jego ust pofrunęły do góry, jakby bezskutecznie próbował nie odpowiedzieć uśmiechem.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, wszystkie trzy jęknęłyśmy z ulgą.

— Po co przyszedł? — spytałam, jak zwykle najpierw mówiąc, potem myśląc.

— Twój ojciec uważa, że powinien zjawić się w pokoju nauki od czasu do czasu — odparła

panna Bell. — Taki jest obowiązek rodziców, a twój ojciec nigdy nie uchyla się od obowiązków.

— Dobrze, że przyszedł z mamą. Jej obecność chyba działa na niego łagodząco.

Panna Bell milczała. Potem otworzyła książkę.

— Zobaczmy, co porabia Wilhelm Zdobywca. Pamiętam, że kiedy się z nim rozstałyśmy, planował akurat podobój wyspy.

Gdy czytałyśmy, nadal myślałam o rodzicach. Dlaczego matka, która uwielbiała się śmiać, poślubiła mojego ojca, który nie robił tego nigdy? Dlaczego jego twarz uległa zmianie, gdy mama wsunęła mu dłoń pod ramię? Dlaczego przyszła do pokoju nauki powiedzieć nam, że obejrzymy pochod albo u Ponsonbych, albo u Sansonów, choć już to wiedziałyśmy?

Sekrety! Dorośli mieli ich wiele. I byłoby ciekawie czytać w ich myślach, bo często miały się nijak do wypowiedzianych słów.

Poczułam medalion pod sukienką.

No cóż, ja także miałam swoje sekrety.

* * *

W miarę jak zbliżał się wielki dzień, w mieście rosnęło podniecenie. Wszyscy mówili jedynie o jubileuszu. W przeddzień parady w naszym domu miało się odbyć przyjęcie, dzięki czemu jubileuszowej gorączce towarzyszyła krzątania, której wymagają takie uroczystości.

Rano panna Bell zabrała nas na codzienny spacer. Ulice przy skwerze, zwykle tak spokojne, pełne były kupców, handlujących jubileuszowymi pamiątkami.

— Proszę kupić kubeczki dla małych dam — zachęcali. — Paniusiu, prosimy okazać poważanie Miłościwej Pani.

Panna Bell minęła ich pośpiesznie i oznajmiła, że pójdziemy do parku.

Kiedy szłyśmy aleją, opowiadała nam o Wielkiej Wystawie, zorganizowanej przez Księcia Małżonka, nieodżałowanego partnera życiowego naszej drogiej królowej. Poznałyśmy tę historię już wcześniej i dużo bardziej pochłaniało nas obserwowanie kaczek. Nie wzięłyśmy ze sobą nic, czym mogłybyśmy je nakarmić. Pani Terras, kucharka, zaopatrywała nas zwykle w czerstwy chleb, ale tego ranka, z powodu wieczornego przyjęcia, miała zbyt wiele pracy, by o tym pamiętać.

Usiadłyśmy nad wodą i panna Bell, zawsze gotowa kształcić nasze umysły, zmieniła temat i wygłosiła powtarzaną do znudzenia bajeczkę o naszej drogiej królowej, która pięćdziesiąt lat temu, wstając rano z łóżka w koszuli nocnej, z długimi, pięknymi włosami rozsypanymi na ramionach, dowiedziała się, że jest królową i odtąd panowała w chwale.

— Musimy zapamiętać, co w tamtej chwili powiedziała droga królowa — tak młoda i tak mądra... och, już wtedy tak mądra! Powiedziała: „Będę dobra!”. Tylko pomyślcie! Kto by uwierzył, że młoda dziewczyna może okazać taką dojrzałość? A była wówczas niewiele starsza od ciebie, Olivio. Niezwykle! Kto inny wyraziłby takie życzenie?

— Olivia — powiedziałam. — Ona zawsze pragnęła być dobra.

Przyszło mi do głowy, że dobrzy ludzie nie zawsze bywają mądrzy i nie mogłam powstrzymać się od uwagi, że te dwie zalety nie zawsze idą w parze.

Panna Bell odrzekła z desperacją:

— Musisz się nauczyć przyjmować bez dyskusji poglądy osób starszych i mądrzejszych od ciebie, Caroline.

— Ale jeśli człowiek nigdy nie pyta, jak może znaleźć nowe odpowiedzi?

— A po co ci inne, jeśli masz już gotowe stare?

— Ponieważ mogą istnieć lepsze — nalegałam.

— Myślę, że powinniśmy już wrócić — oznajmiła panna Bell. Jak często — miałam na końcu

języka — moje pytania będą prowadziły do takich konkluzji?

Nie przejmowałam się tym jednak teraz. Jak wszyscy, myślałam o następnym dniu.

Z naszej sypialni widziałyśmy powozy przywożące gości, a ulica była pełna wytwornych pojazdów. Domyślałam się, że nasz dom nie jest jedynym, w którym odbywa się przyjęcie.

Zbliżała się ósma. Kazano nam iść do łóżek, abyśmy były wyspane następnego ranka, miałyśmy bowiem wyjechać wcześniej, aby dotrzeć na miejsce, zanim ulice zostaną zamknięte dla ruchu. Powóz miał nas zawieźć do Ponsonbych lub Sansonów — nie powiedziano nam, które zaproszenie zostało przyjęte. Powierzywszy nas matce, panna Bell również miała zanurzyć się w ulicznym żywiole i razem z Everton poszukać jakiegoś punktu obserwacyjnego. Służące były już umówione, jednak Rosie postanowiła pójść sama.

— Sama? — spytałam, a ona mrugnęła i popchnęła mnie lekko.

— Nie zadawaj żadnych pytań, jeśli nie chcesz usłyszeć kłamstw — odpowiedziała.

Myślę, że tata pełnił jakąś honorową funkcję, lecz dla mnie liczyło się jedynie to, że nie będzie go z nami. Jego obecność spowiłaby cieniem wszystko, co miałyśmy zobaczyć.

Ujrawszy nadjeżdżające powozy, zajęłyśmy z Olivią nasze stanowisko przy balustradzie na schodach i obserwowałyśmy wchodzących gości.

Nasza matka miała na sobie sukienkę, która aż się mieniła od różowych paciorków i perełek. Z brylantowym diademem we włosach wyglądała olśniewająco. Tata stał obok niej, imponujący w czarnym fraku i wykrochmalonej koszuli. Słyszałyśmy, jak witają gości konwencjonalnymi formułkami:

— Jak miło, że przyszliście...

— To taka przyjemność was widzieć...

— Jakie wspaniałe preludium wielkiego dnia... I tak dalej, i tym podobne.

Potem serce podskoczyło mi z radości, bo do moich rodziców podszedł kapitan Carmichael.

Wrócił do Londynu, jak obiecał. Wyglądał bardzo elegancko, jakkolwiek nie miał na sobie munduru. Był równie wysoki jak mój ojciec i na swój sposób tak samo imponujący — tylko o ile mój ojciec budził przynębnienie, o tyle kapitan przynosił radość.

Zniknął w salonie, ustępując miejsca następnym gościom.

Byłam wzruszona. Nie ośmieliłam się włożyć medalionu, bo byłby widoczny pod koszulą nocną. Schowałam go pod poduszkę. Był tam bezpieczny, ale widząc kapitana, zapragnęłam mieć na szyi prezent od niego.

Chociaż wszyscy goście przeszli już do salonu, chciałam nadal siedzieć na schodach.

— Idę do łóżka — powiedziała Olivia.

Skinęłam głową i moja siostra wróciła do sypialni, a ja zostałam na schodach w nadziei, że kapitan Carmichael wyjdzie do holu i będę mogła jeszcze raz go zobaczyć. Słuchałam rozmów toczących się na dole. Goście mieli wkrótce przejść do jadalni, która znajdowała się na parterze.

Po jakimś czasie moja matka wyszła na korytarz z kapitanem Carmichaelem. Rozmawiali bardzo spokojnie, a wkrótce dołączyli do nich jakiś mężczyzna z kobietą. Przez chwilę stali we czwórkę, rozmawiając — o jubileuszu, oczywiście.

Docierały do mnie skrawki tej wymiany zdań:

— Powiadają, że odmówiła włożenia korony.

— To pewnie włoży czepek.

— Czepek! Zabawny pomysł!

— Cicho! To obraza majestatu.

— Ale to prawda. Halifax oświadczył królowej, że ludzie chcą, żeby wszystko ociekało złotem, a Rosebery powiada, że Imperium powinno być rządzone berłem, a nie czepek.

— Naprawdę włoży czepek? Nie wierzę.

— O tak, już wydano rozkazy. Czepek i długie, kolorowe szaty, bez płaszcza.
— Więc to nie będzie prawdziwie królewskie święto.
— Moja droga, tam, gdzie ona jest, święto musi być królewskie. Dźwięczny głos kapitana Carmichaela bez trudu dolatywał aż na najwyższe piętro.
— Podobno nalega na zmianę zwyczaju dotyczącego rozwódek, wprowadzonego przez Księcia Małżonka.
— Tak. Niewiarygodne, prawda? Królowa pragnie, aby damy, których niewinność została udowodniona podczas procesu rozwodowego, mogły uczestniczyć w uroczystościach.
Mój ojciec wszedł do holu kilka sekund wcześniej.
— To rozsądne stanowisko — powiedział kapitan. — Dlaczego mają być karane za coś, co nie jest ich winą?
— Wszelka niemoralność powinna być karana — zagrzemiał mój ojciec.
— Ależ drogi Tressidor — zareplikował kapitan — strona niewinna nie jest niemoralna. Jak inaczej mogłaby być niewinna?
— Księżę Małżonek miał rację — upierał się mój ojciec. — Usuwał ze dworu wszystkie osoby, które były zamieszane w takie ponure skandale i jestem bardzo zadowolony, że Salisbury zaoponował przeciw zaproszeniu cudzoziemskich rozwodników.
— Trzeba brać w rachubę ludzkie uczucia — ciągnął kapitan.
— Tu chodzi o zasady — odparł mój ojciec bardzo zimnym głosem.
— Chodźmy na kolację, dobrze? Dlaczego tu stoimy? — włączyła się do rozmowy moja matka. Najwyraźniej uznała, że należy zmienić temat, a kiedy cała grupa szła po schodach, ktoś powiedział do niej:
— Słyszałem, że będziesz u Ponsonbych.
— Otrzymałam też bardzo miłe zaproszenie od Marcii Sanson. Moje dziewczynki nie mogą się doczekać.
Zostałam na schodach jeszcze przez jakiś czas, rozmyślając o tym, co usłyszałam: w końcu uznałam, że kapitan Carmichael i mój ojciec nie przepadają za sobą.
Potem wślizgnęłam się do sypialni, sprawdziłam, czy mój medalion leży bezpiecznie pod poduszką i zasnęłam.

* * *

Następnego ranka wstałyśmy wcześniej, a panna Bell z wyjątkową starannością przygotowała nasze ubrania. Długo przeglądała skromną garderobę w dziecięcym pokoju, próbując zdecydować, w jakich strojach najpewniej nie przyniesiemy wstydu własnej matce. Wreszcie wybrała butelkowozieloną sukienkę dla mnie i zgniłotruskawkową dla Olivii. Obie miały falbaniaste spódnice, pięknie ozdobione staniki i rękawy do łokcia. Założyłyśmy długie, białe pończochy, czarne buciki, białe rękawiczki i słomkowe kapelusze; mój był z zieloną wstążeczką, a Olivii ze zgniłotruskawkową.

Czułyśmy się bardzo eleganckie, lecz kiedy ujrzałyśmy naszą matkę, zdałyśmy sobie sprawę, jak niepozornie wyglądają nasze kreacje w zestawieniu z jej szykiem. Była w każdym calu „piękną panią Tressidor”. Ubrała się na różowo — lubiła ten kolor, gdyż wydobywał delikatny odcień jej skóry. Szeroką, ozdobioną falbanami spódnicę upięto tak, by podkreślała talię, zdumiewająco szczupłą nawet w tej epoce cienkich talii, a obcisły stanik uwydatniał inne zalety figury. Ramiona i szyję mamy oplatał jedwabny szal w tym samym bladokremowym kolorze co koronkowe mankiety przy rękawach. Wesoły, kremoworóżowy kapelusik ozdabiał wspaniałą fryzurę, a kremowe strusie pióro zwisało z ronda niemal dotykając oczu, jakby chciało osłabić ich blask.

Mama wyglądała młodo i radośnie. Opuszczaliśmy dom rozgorączkowane i podniecone.

Powóz już na nas czekał. Olivia i ja usiadłyśmy obok matki i chwilę później ruszyłyśmy w drogę.

Konie truchtały ulicą. Po kilku minutach moja matka powiedziała do stangreta:

— Blain, chcę, żebyś jechał na plac Waterloo.

Służący odwrócił się, zaskoczony, jakby sądził, że źle usłyszał:

— Ale, proszę pani... — zaczął.

— Zmieniłam zdanie. Plac Waterloo. — Uśmiechnęła się łagodnie.

— Tak jest, proszę pani — odpowiedział stangret.

— Mamo — zawołałam — nie jedziemy do lady Ponsonby?

— Nie, kochanie. Pojedziemy za to gdzieś indziej.

— Ale wszyscy mówili...

— Plany zawsze mogą ulec zmianie. Myślę, że będziesz zadowolona.

W jej oczach lśniły figlarne iskierki, na których widok ogarnęło mnie podniecenie. Wpadłam na pewną myśl. Widziałam już u niej takie spojrzenie: powitało ono wtedy pewną osobę, która, sądziłam, teraz także była jego przyczyną.

— Mamo — zapytałam ostrożnie — czy jedziemy spotkać się z kapitanem Carmichaelem?

Policzki mamy poczerwieniały gwałtownie, co uczyniło ją ładniejszą niż kiedykolwiek.

— Dlaczego tak przypuszczasz?

— Po prostu zastanawiałam się... bo...

— Bo co?

— Czy on mieszka na placu Waterloo?

— Blisko. — Więc...

— Stamtąd będziemy lepiej wszystko widziały.

Wcisnęłam się w oparcie siedzenia. Niewątpliwie wprowadzono nowy punkt do planu dnia.

Kapitan już czekał, niewątpliwie uprzedzony o naszej wizycie. Pomyślałam, że to dość dziwne, iż do ostatniej chwili była mowa o zaproszeniu od Ponsonbych, gdy wszystko musiało zostać ustalone poprzedniego wieczoru.

Tak czy inaczej, byłam zbyt podniecona, by się nad tym zastanawiać. Przyjechałyśmy do kapitana i tylko to się liczyło.

Jego mieszkanie było mniejsze niż nasze, ale panował tu uroczy nieład, który natychmiast pokochałam.

— Witajcie! — zawołał. — Moje cudowne panie, witajcie! Byłam zachwycona, że zaliczono mnie do „cudownych pań”, Olivia jednak najwyraźniej poczuła się zakłopotana, żywiła bowiem niezbite przekonanie, iż takie słowa do niej nie pasują.

— Przybyłyście w samą porę — ciągnął nasz gospodarz.

— Nie mogło być inaczej — odrzekła moja matka. — Musiałyśmy zdążyć, zanim zamkną ulice.

— Królowa przejedzie tędy w drodze do opactwa — powiedział — ale będziecie mogły odjechać dopiero po jej powrocie do pałacu, co i cieszy mnie ogromnie, gdyż dzięki temu będę mógł dłużej cieszyć się waszym wybornym towarzystwem. A teraz pokażę uroczym paniom łóżę, którą dla nich przygotowałem, domyślałam się bowiem, że będziecie chciały obserwować wydarzenia na ulicy. — Zaprowadził nas do krzesel ustawionych przy oknie, z którego widać było cały plac Waterloo.

— Droga wiedzie z pałacu, przez Piccadilly, Waterloo i Parlament Street do opactwa, więc można powiedzieć, że mają tu panienki doskonały punkt obserwacyjny. Śmiem twierdzić, że niebawem zapragniecie coś przekąsić. Mam dla was, młode damy, bardzo specjalną lemoniadę i maleńkie ciasteczka — smakołyk od mego piekarza, pana Fortnuma.

Moja matka zaśmiała się cicho i powiedziała:

— Zdaje się, że popełnił pan nieścisłość: wypieki to domena pana Masona.

— Fortnum czy Mason, jakie to ma znaczenie? Wybuchnęłam głośnym śmiechem, bo wiedziałam, że Fortnum i Mason to sklep przy Piccadilly, a kapitan Carmichael miał na myśli to, że kupił u nich ciasteczka, którymi nas częstował.

— Pomogę panu przygotować lemoniadę — zaproponowała nasza matka.

Drgnęłam zaskoczona. Myśl o mamie zadającej sobie jakąkolwiek fatygę była absolutnie zdumiewająca. W domu dzwoniła na służącą, gdy zapragnęła poduszki na fotel.

Wyszli razem. Olivia wydawała się lekko przerażona.

— Dlaczego tu przyjechałyśmy? Myślałam, że jedziemy do Ponsonbych. I co miała znaczyć ta historia o ciastkach? Przecież Fortnum i Mason to sklep.

— Och, Olivio — odrzekłam — jesteś taka poważna. A przecież szykuje się wspaniała zabawa.

Minęło sporo czasu, zanim wrócili z lemoniadą. Mama nie miała kapelusza, była zarumieniona, ale bardzo swobodna i z wielkim wdziękiem odegrała rolę szafarza słodkiego napoju.

— Lunch zostanie podany później — powiedział kapitan Carmichael.

Nadal pamiętam każdą minutę tamtego dnia. Miał w sobie pewną magię, oczekiwanie, jak owe chwile w teatrze, gdy kurtyna zaczyna się podnosić i człowiek nie jest pewien, co zobaczy. Wspominając ważne dni naszego życia, wyobrażamy sobie często, że przeculiśmy wówczas to, co nastąpiło później. Ja nie przeczuwałam niczego. Nie czułam nic, prócz ogromnego podniecenia, jakby miało się wydarzyć coś naprawdę ważnego.

Nadeszła wspaniała chwila, gdy usłyszałyśmy zbliżający się orszak. Zachwycił mnie marsz Haendla. Doskonale pasował do okoliczności. A potem zobaczyłam ją — raczej niepozorną, małą postać... tak, w czepku! Był to specjalny czeppek, uszyty z koronki i skrzący się diamentami, jednak czeppek. Wiwaty były ogłuszające, a ona dziękowała, podnosząc od czasu do czasu prawą dłoń, nie okazywała jednak wdzięczności, którą według mnie powinna była odczuwać wobec takiego entuzjazmu swych poddanych. Ale cała parada budziła zachwyt. Powóz królowej poprzedzały karety książąt z jej rodziny: synów, zięciów i wnuków. Naliczyłam ich trzydzieści dwie, a największa, przybrana białymi i srebrnymi wstęgami, należała do zięcia Jej Wysokości, pruskiego następcy tronu, Fryderyka. Sam książę miał na głowie hełm z niemieckim orłem.

Orszak ciągnął się w nieskończoność. Poczułam dreszcz rozkoszy na widok indyjskich księżniczek, ubranych we wspaniałe szaty lśniące od klejnotów. Wśród uczestników parady znajdowało się wielu gości z Europy, w tym czterech królów: Saksonii, Belgii, Danii i Turcji. Zaś Grecja, Portugalia i Szwecja — podobnie jak Prusy — przysłały następców tronu.

Tamtego dnia wydawało się, że cały świat pragnie złożyć hołd małej staruszce w koronkowym czepku ozdobionym brylantami, która panowała już pięćdziesiąt lat.

Chociaż orszak zniknął w oddali, nadal byłam oszołomiona. Muzyka wciąż brzmiała w moich uszach, widziałam wspaniałe przystrojone konie i pięknych jeźdźców. Matka zniknęła z kapitanem w sąsiednim pokoju, wspomniawszy coś o lunchu.

Kapitan wtoczył wózek, na którym znajdował się półmisek z kurczakiem na zimno, świeży chleb i miseczka masła.

Ustawił stół przy oknie. Było akurat dosyć miejsca dla nas czworga. Kapitan przykrył stół piękną, koronkową serwetą.

Co to był za lunch! Później przyszło mi do głowy, że świętowaliśmy koniec jakiejś epoki, epoki niewinności. Pyszny kurczak na zimno był niczym jabłko z drzewa wiadomości złego i dobrego.

Kapitan otworzył butelkę, którą wyjął z kubelka z lodem, i postawił na stoliku cztery smukłe kieliszki.

— Myślisz, że powinny? — spytała moja matka.

— Tylko odrobinę.

Odrobina oznaczała pół kieliszka. Sączyłam musujący napój w ekstazie, upojona bardzo specjalnym rodzajem szczęścia. Świat wydawał mi się wspaniały, miałam wrażenie, że Olivia i ja zaczynamy oto nowe życie, w którym zostaniemy najdroższymi przyjaciółkami mamy, a wyprawy podobne do dzisiejszej nie będą należały do rzadkości.

Tłum zaczął się zbierać na ulicach, które po przejeździe orszaku zostały otwarte dla ruchu.

— Wracając z opactwa, królowa pojedzie koło Whitehall i Mail — powiedział kapitan — więc reszta dnia należy do nas.

— Nie możemy wrócić zbyt późno — uprzedziła go nasza matka.

— Moja droga, ulice będą nieprzejezdne jeszcze przez jakiś czas. Jesteście bezpieczne w naszym orlim gnieździe.

Wybuchnęliśmy wszyscy śmiechem. W rzeczy samej, tego ranka śmialiśmy się dużo i bez szczególnej przyczyny, co jest może oznaką prawdziwego szczęścia.

Dobiegający z ulicy gwar tłumu był przytłumiony i daleki, jakby dochodził spoza magicznego kręgu. Kapitan Carmichael opowiadał przez cały czas, a my śmiałyśmy się do rozpuku. Sprawił, że my także mówiłyśmy, nawet Olivia... odrobinę. Nasza matka wydawała się zupełnie inną kobietą. Co jakiś czas powtarzała: „Jock!” tonem łagodnego upomnienia, w którym nawet moja siostra wyczuwała serdeczność.

Jock Carmichael opowiedział nam o armii i służbie wojskowej. Dużo podróżował i miał nadzieję, że kiedyś wybierze się do Indii. Spojrzał na naszą matkę i delikatny smutek ukazał się na twarzach ich obojga — ale przyszłość wydawała się zbyt odległa, by mogła naprawdę kogoś martwić.

Wyjaśnił, że jest dawnym przyjacielem rodziny.

— Tak, tak, znałem waszą matkę, zanim przyszłyście na świat — wypowiadając te słowa, popatrzył na mnie. — A potem... zostałem wysłany do Sudanu i nie widziałem żadnej z was przez długi, długi czas — uśmiechnął się do niej. — Kiedy wróciłem, odniosłem wrażenie, jakbym nigdy nie wyjeżdżał.

Olivia coraz częściej zamykała oczy, ja także. Ogarnęła mnie błoga senność, z którą jednak walczyłam zajadle, gdyż nie chciałam stracić ani sekundy z tego zaczarowanego popołudnia.

Potem ulica znów zawrzała. Pojawiła się katarynka, grająca melodie z „Mikada” i „Piratów z Penzance”, a zebrani na ulicy zaczęli śpiewać i tańczyć. Z katarynką rywalizował człowiek — orkiestra, uliczny muzyk, który wesoło dał w piszczalkę umocowaną przy ustach, walił w bęben na plecach pałeczkami przywiązany do łokci, uderzał w cymbałki struną przyczepioną do kolana i od czasu do czasu trącał dzwiczący trójkąt. Zręczność, z jaką wykonywał owe popisy, zyskała mu podziw publiczności, a pensy leciały niczym krople deszczu do jego stóp i kapelusza.

Inny mężczyzna sprzedawał broszury. „Pięćdziesiąt lat pełnych chwały! — wołał. — Czytajcie o życiu Jej Wysokości królowej!”. Były też dwie smagłe Cyganki z wielkimi mosiężnymi kolczykami w uszach i czerwonymi chustami na głowach. „Poznajcie przeznaczenie, wielmożne panie. Przeżegnajcie się srebrną monetą, a bogactwo będzie wasze”. Potem zjawił się kłown na szrudłach — komiczna postać, na której widok dzieci zaczęły krzyczeć z radości. Był tak wysoki, że mógł podsuwać kapelusz widzom w oknach. Dałyśmy mu kilka monet: uśmiechnął się i uklonił — nie lada wyczyn, gdy stoi się na szrudłach — a potem powędrował dalej. To była cudowna scena — każdy starał się uczynić ten dzień jeszcze radośniejszym.

— Widzisz — powiedział kapitan Carmichael — nie mogłabyś teraz wrócić do domu.

Potem jednak nastąpiła tragedia.

Dwaj czy trzej mężczyźni na koniach przedzierali się przez tłum, który życzliwie rozstąpił się przed nimi. Nagle na placu pojawił się jeszcze jeden jeździec. Dość wiedziałam o jeździe konnej,

by zorientować się od razu, że ten człowiek nie panuje nad wierzchowcem. Zwierzę zatrzymało się na ułamek sekundy, nadstawiając uszu, a ja byłam pewna, że ścisk i gwar panujące na placu budzą w nim przerażenie.

Koń podniósł przednie kopyta i wierzgnął dziko. Potem opuścił głowę i skoczył w kierunku tłumu. Rozległ się krzyk, ktoś upadł. Zobaczyłam, że jeździec, który na próżno usiłował zapanować nad wierzchowcem, wylatuje w powietrze. Na ten widok zapadła pełna grozy cisza, którą po chwili przerwały nowe krzyki. Oszałały koń rzucił się na oślep w kierunku przerażonych ludzi.

Patrzyliśmy ze zgrozą. Kapitan Carmichael ruszył do drzwi, ale moja matka wczepiła się w jego ramię.

— Nie! Nie! — krzyknęła. — Nie, Jock. Tam jest niebezpiecznie!

— To biedne stworzenie oszałało z przerażenia. Potrzebuje tylko silnej dłoni.

— Nie, Jock, nie!

Moją uwagę, skupioną dotąd na wydarzeniach za oknem, przyciągnęli ci dwoje. Matka ścisnęła ramię kapitana, błagając, by nie schodził na dół. Kiedy znów spojrzałam na ulicę, koń leżał na ziemi. Wokół panował chaos. Kilku rannych jęczało, inni ludzie krzyczeli. Sielanka przemieniła się w tragedię.

— Nie możesz nic zrobić, absolutnie nic — łkała moja matka. — Och, Jock, proszę, zostań z nami. Nie zniosłabym...

Olivia, która kochała konie tak samo jak ja, płakała z litości nad biednym zwierzęciem.

Zjawili się kilku mężczyzn na koniach oraz ludzie z noszami. Próbowałam nie słyszeć strzału, który rozdarł powietrze. Wiedziałam, że tak jest najlepiej dla zwierzęcia, które chwilę wcześniej poraniło się zbyt ciężko, by można je uratować.

Przybyła policja i na placu przywrócono względny ład. Cisza spadła na nas niby szara płachta. Co za zakończenie dnia pełnego radości!

Kapitan Carmichael próbował nas rozweselić.

— Takie jest życie — tłumaczył z żalem.

Późnym popołudniem powóz zabrał nas do domu. Matka siedziała między mną a Olivią, obejmując nas ramionami.

— Zapamiętajcie tylko miłe rzeczy — powiedziała. — Bo przecież było wspaniale... przedtem. Zgodziłyśmy się, że było cudownie.

— Zobaczyłyście królową i wszystkich książąt i królów. Na zawsze zapamiętacie ten dzień, prawda? Nie myślcie o wypadku, dobrze? Nie mówcie o nim nawet... nikomu.

Przyznałyśmy, że tak będzie lepiej.

* * *

Następnego dnia panna Bell zabrała nas na spacer po parku. Wszędzie widać było namioty, w których ubogie dzieci — zebrano ich około trzydziestu tysięcy — dostawały bułeczki z rodzynkami i kubek mleka. Kubki były prezentem z okazji jubileuszu i miały przysporzyć jeszcze więcej chwały naszej wspaniałej królowej.

— Zapamiętaj ten dzień na zawsze — powiedziała panna Bell. — Jak my wszyscy.

I zaczęła opowiadać o królach i książętach oraz krajach, z których przybyli, demonstrując swój talent dostrzegania we wszystkim okazji do wykładu.

Wszystko to było bardzo interesujące i ani ja, ani Olivia nie wspomniłyśmy o wypadku. Słyszałam, jak służący rozprawiali na ten temat:

— A słyszałaś? Mówią, że na placu Waterloo zdarzył się okropny wypadek. Jakiś koń oszalał...

stratował setki ludzi, zabrano ich do szpitala.

— Konie — powiedział drugi. — Na ulicy. Powinni tego zabronić.

— A co byśmy bez nich zrobili, może mi powiesz?

— Nie powinny biegać dziko po ulicach, ot co.

Miałam ochotę włączyć się do rozmowy i oznajmić, że widziałam, jak to było, ale zwalczyłam ową pokusę. Gdzieś w głębi serca wiedziałam, że naraziłabym się na niebezpieczeństwo.

Zbliżał się wieczór. Moja matka wydawała dyspozycje dotyczące obiadu, a przynajmniej zwykle tak czyniła o tej porze. Nie zaproszono gości, ale przygotowywanie posiłków zawsze trwało bardzo długo. Matka i ojciec mieli jeść sami przy wielkim stole, przy którym ja nie zasiadłam nigdy. Olivia mówiła, że kiedy „wejdziemy w świat”, to znaczy skończymy siedemnaście lat, będziemy jadały z rodzicami.

Lubiłam nasze „dziecięce” posiłki, no i nie mogłam wyobrazić sobie nic bardziej odbierającego apetyt niż surowe spojrzenie ojca. Ale perspektywa była jeszcze zbyt odległa, bym się nią zbytnio martwiła.

* * *

Musiało być koło siódmej. Szłam akurat do pokoju nauki, w którym jadłyśmy śniadanie i obiad w towarzystwie panny Bell, i do którego wieczorem przynoszono nam chleb z masłem oraz szklankę mleka, gdy ku swojemu przerażeniu znalazłam się twarzą twarzą z ojcem. Niemal na niego wpadłam i zatrzymałam się gwałtownie, gdy wyrósł przede mną niczym mroczna góra.

— Och... — powiedział. — Caroline. — Jak gdyby potrzebował kilku sekund na przypomnienie sobie szczegółu tak nieistotnego, jak moje imię.

— Dobry wieczór, tato — odrzekłam.

— Mam wrażenie, że bardzo się śpieszysz.

— Och nie, tato.

— Widziałaś wczoraj przejazd królowej?

— Och tak, tato.

— Co o niej myślisz?

— Była wspaniała.

— Na pewno jest to coś, co zapamiętasz do końca życia.

— Och tak, tato.

— Powiedz mi — ciągnął — co zrobiło na tobie największe wrażenie?

Zdenerwowałam się, jak zawsze w jego obecności, a kiedy byłam zdenerwowana, mówiłam bez zastanowienia wszystko, co przychodziło mi do głowy. Co zrobiło na mnie największe wrażenie? Królowa? Hełm niemieckiego księcia? Królowie państw europejskich? Orkiestra? Nie — w gruncie rzeczy pamiętałam przede wszystkim biednego konia, który, nieprzytomny z przerażenia, rzucił się na ludzi. Palnęłam więc:

— Szalony koń.

— Co?

— E... wypadek.

— Jaki wypadek?

Przygryzłam wargi i wahałam się przez chwilę. Pamiętałam, że mama powiedziała, aby zachować wszystko w tajemnicy. Lecz było za późno, żeby się wycofać.

— Szalony koń? — powtórzył. — Jaki wypadek?

Nie pozostało mi nic innego, jak wytłumaczyć.

— Koń, który rzucił się na ludzi. Wielu poranił.

— Ale przecież was nie było w pobliżu. Wypadek zdarzył się na placu Waterloo. Poczerwieniałam i spuściłam głowę.

— A zatem byliście na placu Waterloo — odezwał się ojciec. — Nie wiedziałem o tym... Plac Waterloo — mruknął jakby sam do siebie. — Rozumiem... zdaje mi się, że rozumiem.

Wyglądał teraz jakoś inaczej. Twarz mu pobladła, a oczy dziwnie błyszcząły. Pomyślałam, że wygląda na zagubionego i poczułam strach, ale zaraz się opanowałam; mój ojciec nie mógł czuć się zagubiony.

Odwrócił się i odszedł.

Pobiełam do pokoju nauki. Wiedziałam, że zrobiłam coś strasznego.

Zaczynałam rozumieć. Nagła zmiana planów w drodze do Ponsonbych: fakt, że kapitan Carmichael spodziewał się naszej wizyty; spojrzenie, które wymienił z matką...

Co to oznaczało? W głębi serca znałam odpowiedź. Są rzeczy, które młoda dziewczyna odgaduje... instynktownie.

A ja ich zdradziłam!

Nie mogłam o tym myśleć. Wypiłam mleko i zulałam chleb z masłem pełna niepokoju.

— Caroline jest nieobecna duchem dziś wieczór — zauważyła panna Bell. — Wiem. Myśli o tym wszystkim, co widziała wczoraj.

Jak bardzo miała rację!

Powiedziałam, że boli mnie głowa i uciekłam do sypialni. Panna Bell zwykle czytała z nami przez godzinę po kolacji. Uważała, że nie powinnyśmy iść spać natychmiast po posiłku, nawet lekkim.

Postanowiłam, że położę się do łóżka, a kiedy przyjdzie Olivia, udam, że śpię, aby z nią nie rozmawiać. Nie mogłam podzielić się z siostrą podejrzeniami. Nie chciałyby nawet ich rozważyć — nie lubiła zastanawiać się nad niczym nieprzyjemnym.

Zdjęłam sukienkę i włożyłam koszulę nocną. Zaczęłam właśnie splatać włosy, kiedy drzwi otworzyły się i ku mojemu przerażeniu do sypialni wszedł ojciec.

Wyglądał całkiem inaczej niż zwykle. Był bardzo zły, a w oczach nadal miał ów dziwny wyraz zagubienia. Wydawał się też smutny.

— Chcę z tobą porozmawiać, Caroline — oznajmił od progu. Czekałam.

— Pojechałyście na plac Waterloo, prawda? — Zawahałam się, a ojciec dodał: — Nie musisz się obawiać, że kogoś zdradzisz. Twoja matka opowiedziała mi wszystko.

Poczułam głęboką ulgę.

— W ostatniej chwili uznała, że na placu Waterloo zobaczycie wszystko lepiej. Nie zgadzam się z tym argumentem, miałybyście lepszy widok z obu miejsc, które wam zaproponowano. Tak czy inaczej, pojechałyście na plac Waterloo i zostałyście ugoszczone przez kapitana Carmichaela. Tak było, prawda?

— Tak, tato.

— Nie zdziwiłaś się, że plany tak nagle uległy zmianie?

— Owszem... ale mama powiedziała, że będziemy zadowolone.

— A kapitana Carmichaela nie zaskoczyła wasza wizyta, jako że przygotował lunch.

— Tak, tato.

— Rozumiem. — Popatrzył na mnie. — Co masz na szyi?

— To medalion, tato. — Podniosłam nerwowo rękę do wisiorka.

— Medalion! A czemu go włożyłaś?

— Zawsze go noszę, tylko jest ukryty.

— Och! W tajemnicy? A dlaczego, jeśli łaska? Powiedz mi.

— No... bo bardzo go lubię, a... nikt nie powinien go zobaczyć.

- Nikt nie powinien go zobaczyć? Dlaczego?
- Panna Bell uważa, że jestem za młoda, aby nosić biżuterię.
- Więc postanowiłaś zrobić na złość pannie Bell?
- Niezupełnie... ale...
- Mów prawdę, Caroline.
- No... więc tak.
- Skąd masz ten medalion?

Zaskoczyło mnie wzburzenie, w jakie wprawiła ojca moja odpowiedź.

- To prezent od kapitana Carmichaela.
- Dał ci go wczoraj?
- Nie. Na wsi.
- Na wsi. Kiedy to było?
- Kiedy przyjechał do nas z wizytą.
- A zatem złożył wam wizytę, kiedy przebywałyście na wsi? — Ojciec otworzył medalion i przez chwilę patrzył na miniaturę. Jego twarz pobladła straszliwie, a usta wykrzywił grymas. Utkwił we mnie źrenice podobne do oczu węża. — A zatem kapitan Carmichael odwiedzał cię, kiedy byłaś na wsi?
- Nie mnie... odwiedzał...
- Twoją matkę?
- Nie odwiedzał. Przyjechał tylko raz.
- Och, przyjechał raz, kiedy twoja matka tam była. A jak długo trwała jego wizyta?
- Został dwie noce.
- Rozumiem. — Zamknął nagle oczy, jakby nie chciał dłużej patrzeć ani na mnie, ani na medalion, który wciąż ścisnął w dłoni. Potem usłyszałam jego szept: — Mój Boże... — Spojrzał na mnie jakby z pogardą i, nie oddawszy mi medalionu, wybiegł z pokoju.

* * *

Spędziłam bezsenłą noc, a rano pragnęłam zostać w łóżku, wiedziałam bowiem, że dzień przyniesie kłopoty, które sama w pewnym sensie wywołałam.

W domu panował spokój — nabrzmiała groźbą cisza przed burzą. Zastanawiałam się, czy Olivia to wyczuwa, zachowywała się jednak normalnie. Po prostu miałam nieczyste sumienie.

Ciotka Imogena przyjechała ze swoim mężem, sir Haroldem Careyem, i długo rozprawiali o czymś z tatą w jego gabinecie. Nie widziałam mamy, ale dowiedziałam się od jednej ze służących, że Everton powiedziała, iż jaśnie pani zostanie w łóżku z powodu okropnego bólu głowy.

Godziny wlokły się niemiłosiernie. Powóz, którym zwykle ojciec jeździł do banku, nie opuścił wozowni. Mama nie wychodziła z pokoju. A ciotka Imogena z mężem zostali na lunch.

Byłam jeszcze czujniejsza niż zwykle, gdyż odgadywałam wagę tego, co działo się w domu, a moje wysiłki zostały w pewnej mierze uwieńczone sukcesem. Ukryłam się w małym pokoju przyległym do wychodzącego na korytarz saloniku, w którym ojciec rozmawiał z Careyami. Było to pomieszczenie ze zlewem i szczotkami, pokojówki układały tu bukiety. Wzięłam wagę z różami i gdyby mnie przyłapano, mogłam powiedzieć, że przyniosłam kwiaty z ogrodu.

To, co usłyszałam, brzmiało dość tajemniczo. Usłyszałam słowa: „skandaliczny”, „haniebny” i „nie może dojść do skandalu, twoja kariera, Robercie...”, a potem mamrotanie.

Usłyszałam też swoje imię.

— Powinna wyjechać — powiedziała ciotka Imogena z emfazą. Żywe wspomnienie... Jesteś to sobie winien, Robercie. Zbyt bolesne dla ciebie...

— Nie można pokazać... — Nie dosłyszałam, czego nie można pokazać.

— Tego by było za wiele... Bóg raczy wiedzieć, jakie konsekwencje... Jest oczywiście kuzynka Mary... Dlaczego nie? Najwyższy czas, żeby zrobiła coś dla rodziny. To by nam zapewniło trochę wytchnienia... czas, aby obmyślić jakiś plan... zastanowić się, co będzie najlepsze.

— Ona? Przecież mój ojciec...

— To możliwe. Jest raczej... dziwna. Znasz Mary. Nie ma żadnych wyrzutów sumienia... Prawdopodobnie zapomniała o kłopotach, których narobiła. To dobry pomysł, Robercie. Naprawdę uważam, że powinna wyjechać... Jestem pewna, że tak będzie najlepiej. Mam się z nią skontaktować?... Będzie lepiej, jeśli propozycja wyjdzie ode mnie. Wytłumaczę to koniecznością... nagłą koniecznością...

Nie umiałam odgadnąć, o jaką palącą konieczność chodziło. I nie mogłam dłużej pozostać w ukryciu.

Dni wlokły się jeden za drugim, a w domu zapanowała atmosfera smutnej powagi. Nie widywałam ani matki, ani ojca. Wszyscy służący widzieli, że stało się coś niezwykłego.

Znalazłam Rosie Rundall samą w jadalni i spytałam, co się dzieje.

Wzruszyła ramionami.

— Zdaje się, że twoja matka okazała zbyt wiele względów kapitanowi Carmichaelowi, a ojcu nie przypadło to do smaku. Nie mogę powiedzieć, że ją potępiam.

— Rosie, a dlaczego oni potępiają mnie?

— A potępiają?

— Byłam w pokoiku z kwiatami i słyszałam, jak mówili, że powinnam wyjechać.

— Nie, nie ty, kochanie. Mam nadzieję, że mieli na myśli twoją mamę. Na pewno. — Wzruszyła ramionami. — Ale rozejdź się po kościach, jestem pewna. Takie rzeczy zdarzają się w najlepszym towarzystwie, możesz mi wierzyć. Ty nie masz z tą sprawą nic wspólnego... więc przestań się martwić.

Uznałam, że musi mieć rację, a pewnego ranka panna Bell, wszedłszy do pokoju nauki, w którym Olivia i ja czekałyśmy, by odbyć lekcje, oznajmiła:

— Wasza matka wyjechała na kurację.

— Dokąd? — spytałam.

— Za granicę.

— Nie pożegnała się z nami?

— Przypuszczam, że była bardzo zajęta i wyjechała w wielkim pośpiechu. Zalecenie lekarza. — Panna Bell wyglądała na zmartwioną. Potem dodała: — Wasz ojciec powiedział, że pokłada we mnie wielkie zaufanie.

Wszystko to było bardzo dziwne. Panna Bell odchrząknęła.

— Ty i ja odbędziemy małą podróż, Caroline — oświadczyła.

— Podróż?

— Tak, pociągiem. Zabieram cię do Kornwalii, do kuzynki twego ojca.

— Cioci Mary! Harpii!

— Co takiego?

— Och, nic. Dlaczego, panno Bell?

— Tak zdecydowano. — A Olivia?

— Nie. Olivia nie będzie ci towarzyszyć. Odwiozę cię do Kornwalii, przenocuję w majątku Tressidor, a potem wrócę do Londynu.

— Ale... dlaczego?

— To zwykle odwiedziny. Wrócisz, kiedy przyjdzie pora.

— Ale... nie rozumiem...

Panna Bell spojrzała na mnie z zakłopotaniem, jakby też nie rozumiała — i może rzeczywiście tak było.

Musiał jednak istnieć jakiś powód. Różne odpowiedzi kołatały mi się w głowie niczym błędne ogniki krążące nad bagnem. Żadna z nich nie była jednak dość prawdopodobna, by dostarczyć mi zadowalającego wyjaśnienia.

Rozdział 2

Duchy w galerii.

Siedząc w wagonie pierwszej klasy obok panny Bell, miałam wrażenie, że to, co mi się przytrafiło, jest całkiem nierealne i że lada chwila obudzę się, by odkryć, że śniłam.

Wszystko działo się tak szybko. Panna Bell powiedziała mi o podróży w poniedziałek, a już w piątek wyruszyliśmy w drogę.

Oczywiście byłam podekscytowana — przy moim temperamentcie nie mogło być inaczej. Jednocześnie trochę się bałam. Wiedziałam tylko, że mam zamieszkać u cioci Mary, która uprzejmie zgodziła się na moją wizytę. Nie określono, jak długo potrwa pobyt w Kornwalii, co napełniało mnie złymi przeczuciami. Mimo głodu nowych doświadczeń czułam tęsknotę za wszystkim, co dobrze znałam. Z zaskoczeniem odkryłam, że brakuje mi siostry i że gdyby pojechała ze mną, bałabym się znacznie mniej.

Olivia czuła to samo. Kiedy się z nią żegnałam, wyglądała na zrozpaczoną.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego muszę wyjechać — w dodatku do cioci Mary. Ciocia Mary była wiedźmą, podłą kobietą, która wyrzuciła okropną krzywdę naszemu ojcu. Dlaczego więc teraz miałam złożyć jej wizytę?

Od wszystkich tych emocji silniejsze okazało się jednak straszliwe poczucie winy. W głębi serca czułam, że to ja spowodowałam katastrofę. Zdradziłam matkę. Wyjawiłam to, co powinnam była zachować w tajemnicy. Gdyby nie ja, tata nigdy by się nie dowiedział, że w dzień jubileuszu byliśmy na placu Waterloo. A ja nie tylko opowiedziałam mu o naszej wyprawie, ale również pozwoliłam, aby zobaczył medalion.

Rozgniewała go wiadomość o przyjaźni mamy z kapitanem Carmichaelem, która wyszła na jaw z mojej winy. I mogłam uznać, że za karę zostałam wysłana do cioci Mary.

Bardzo chciałam o tym porozmawiać, lecz panna Bell nabrała wody w usta. Siedziała naprzeciw mnie ze skrzyżowanymi rękami. Większość walizek umieszczono w wagonie bagażowym. Jeden ze służących odwiózł nas na stację i pod czujnym okiem panny Bell przeniósł nasze rzeczy do bagażowni, tak więc w przedziale znajdowały się tylko torby podręczne, bezpiecznie ułożone w siatce nad siedzeniami. Ogarnął mnie nagły przyływ przywiązania do guwernantki, jako że wkrótce miałam się z nią rozstać, kazano jej bowiem jedynie odwiedzić mnie do cioci Mary i zaraz wrócić do Londynu. Wiedziałam, że będzie mi brakować jej naiwnej, apodyktycznej gorliwości, z której tak często naśmiewaliśmy się z Olivią, a która, rozumiałam to teraz, dawała nam spokój i poczucie bezpieczeństwa.

Od czasu do czasu, gdy opiekunka zatrzymywała na mnie wzrok, dostrzegałam w jej oczach błysk współczucia. Litowała się nade mną, co sprawiało, że zaczynałam sama litować się nad sobą. Czułam złość. Wiedziałam, że zameżne damy nie mogą przyjaźnić się z dzielnymi, przystojnymi oficerami kawalerii i nie powinny spotykać się z nimi w tajemnicy. Wiedziałam to, a jednak zdradziłam matkę. Gdybym tylko nie powiedziała o wszystkim ojcu! Ale co mogłam zrobić? Skłamać? To też z pewnością nie byłoby właściwe. Poza tym zjawił się w sypialni tak nagle, że nie miałam czasu ukryć medalionu.

Nie było sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Stało się, co się stało, i całe moje dotychczasowe życie legło w gruzach. Zostałam pozbawiona domu, siostry, rodziców... to ostatnie nie było wielką stratą, gdyż matkę widywałam rzadko, a ojca niewiele częściej. Ale teraz wszystko miało być nowe, a to, co nieznanne, zawsze trochę przeraża.

Gdybym tylko wiedziała, co się stało. Byłam dość duża, by ponieść konsekwencje mojego

uczynku, ale zbyt mała, by poznać prawdę.

Panna Bell rozprawiała pogodnie o wiejskim krajobrazie, który rozciągał się za oknami.

— Mamy więc oto teraz — powiedziała z nutą ironii lekcję geografii w połączeniu z botaniką.

— To bardzo interesujące rzeczy — odparła panna Bell surowo.

Pociąg zatrzymał się na stacji i dwie kobiety weszły do wagonu — matka z córką, jak odgadłam. Okazały się sympatycznymi towarzyszkami podróży i kiedy nawiązałyśmy rozmowę, wyjaśniły, że jadą aż do Plymouth i że raz w roku odbywają tę podróż, by odwiedzić krewnych.

Gawędziłyśmy wesoło, a panna Bell wyjęła z koszyka lunch przygotowany przez kucharkę, panią Terras.

— Wybaczcie — powiedziała do naszych towarzyszek — wstałyśmy wcześniej i czeka nas jeszcze długa podróż.

Starsza z dwóch dam uznała, że postąpiłyśmy nader rozsądnie, zabezpieczając się w ten sposób. Ona sama i jej córka zjadły śniadanie w domu, a u krewnych czeka na nie smaczny posiłek.

W koszyku znalazłyśmy dwa zimne udka kurczaka. Z nagłym bólem przypomniałam sobie lunch przy placu Waterloo. Tamto popołudnie wydawało mi się nieskończenie odległe, jakby z innego życia.

— Wyglądają pysznie — zauważyła panna Bell. — Tylko obawiam się, że będziemy musiały użyć palców. — Uśmiechnęła się do naszych towarzyszek. — Panie wybaczą.

— Cóż, nie jest łatwo podróżować — odrzekła starsza dama.

— Zabrałam wilgotną ściereczkę, przewidując podobną okoliczność — ciągnęła panna Bell.

Zjadłyśmy kurczaka i małe ciasteczka, które poczciwa pani Terras zapakowała nam na deser. Panna Bell wyjęła z koszyka butelkę lemoniady i dwa małe kubeczki. Znów pomyślałam o placu Waterloo.

Poczułam senność i, ukołysana ruchem pociągu, zasnęłam. Kiedy się obudziłam, przez dłuższą chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem.

— Długo spałaś. Ja też musiałam się zdrzemnąć — odezwała się panna Bell.

— Jesteśmy już w Devonshire — powiedziała młodsza z dwóch dam. — Wkrótce będziemy na miejscu.

Patrzyłam przez okno na lasy, bujne łąki i wielkie, czerwone słońce. Pociąg wjechał do tunelu, a kiedy się z niego wynurzył, zobaczyłyśmy morze. Byłam oczarowana widokiem białogrzywych fal, rozbijających się o czarne skały. Na horyzoncie dostrzegłam statek i pomyślałam o mamie, która wyjechała za granicę. Dokąd? Czy wróci? Kiedy znów ją zobaczę? Kiedy się spotkamy, będę mogła spytać, dlaczego zostałam odesłana. Wprawdzie powiedziałam ojcu o wizycie u kapitana Carmichaela, ale nie miałam innego wyjścia. Zobaczył medalion, gdyż nie zdążyłam go ukryć. Czy dlatego zostałam wygnana?

Pomyślałam o Olivii i ogarnęła mnie melancholia. Co robiła w tej chwili?

Nasze towarzyszki zbierały swoje rzeczy.

— Wkrótce będziemy w Plymouth — oznajmiły.

— A potem — dodała panna Bell — minimy Tamar i znajdziemy się w Kornwalii.

Próbowała obudzić we mnie entuzjazm do tej wyprawy. Czułam ciekawość, lecz nie przestawałam myśleć o cioci Mary — harpii — z którą wkrótce miałam stanąć twarzą w twarz, a także o tym, że moja opiekunka odjedzie i zostawi mnie samą. Nagle stała mi się bardzo droga.

Wjechaliśmy na stację.

Dwie damy uściśniły nam dłonie, zapewniając, że było im przyjemnie podróżować w naszym towarzystwie. Pomachałyśmy im na pożegnanie i udały się na spotkanie z kimś, kto ich oczekiwał.

Ludzie tłoczyli się na peronie, wielu podróżujących wysiadało i wielu wsiadało. Dwaj mężczyźni zajrzeli przez okno do naszego przedziału.

Kiedy odeszli, panna Bell umościła się w fotelu z widoczną ulgą.

— Przez chwilę sądziłam, że zamierzają wejść — powiedziała.

— Przyjrzeni się nam i najwyraźniej nie przypadłyśmy im do gustu — odrzekłam ze śmiechem.

— Widocznie uznali, że wołałybyśmy podróżować z damami.

— Bardzo uprzejmie z ich strony — skomentowałam.

Byłam jednak w błędzie, bo kiedy tylko konduktor zagwizdał, drzwi otworzyły się i dwaj mężczyźni weszli do przedziału.

Panna Bell wyprostowała się sztywno, niezadowolona z wtargnięcia intruzów.

Nieznajomi zajęli wolne miejsca w rogach przedziału, a kiedy pociąg opuścił stację, obejrzałam ich ukradkiem. Jeden z nich niedawno przestał być chłopcem. Wydawał się dwa, najwyżej trzy lata starszy ode mnie. Drugi wyglądał na lat dwadzieścia kilka. Mieli na sobie eleganckie płaszcze i kapelusze, które zdjęli i położyli na wolnych siedzeniach.

Było w nich coś intrygującego.

Obaj mieli ciemne włosy i czarne oczy, bardzo bystre, mimo ciężkich powiek. Wiedziałam, że to właśnie przyciągnęło moją uwagę. Emanowała z nich jakaś żywotność. Obaj wyglądali tak, jakby siedzenie w bezruchu przychodziło im z wielkim trudem. I uznałam, że musi ich łączyć pokrewieństwo. Nie ojciec i syn — różnica wieku nie była wystarczająca. Więc kuzyni? Bracia? Mieli podoi nie wyraziste rysy, a nieco garbate nosy nadawały ich twarzom wyru stanowczości.

Musiałam przyglądać się im dość uporczywie, bo starszy zerknął na mnie i dostrzegłam w jego oczach błysk, którego nie umiałam zinterpretować. Moja ciekawość rozbawiła go — albo zirytowała. Tak czy inaczej, zawstydziłam się i lekko poczerwieniałam.

Panna Bell nie odrywała oczu od krajobrazu za oknem. Pomyślałam, że chce pokazać, iż nie ma ochoty rozmawiać z nieznajomymi. Uważała niewątpliwie, iż dali dowód złego wychowania, wchodząc do przedziału, w którym znajdowały się dwie samotne kobiety.

Jednak kiedy mijaliśmy Tamar, instynkt nauczycielski wziął górę nad irytacją.

— Tylko spójrz, Caroline. Jak małe wydają się tamte statki! A to jest słynny most wybudowany przez pana Brunela. Został skończony w... eee...

— Tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym — odpowiedział starszy z mężczyzn. — A pełne nazwisko jego twórcy brzmiało Isambard Kingdom Brunei.

Panna Bell zmarszczyła brwi i powiedziała:

— Dziękuję.

Kącki ust mężczyzny uniosły się w uśmiechu.

— Centralny filar wspiera się na skale blisko dwadzieścia pięć metrów pod powierzchnią morza... jeśli interesują panią szczegóły techniczne.

— Jest pan bardzo uprzejmy — zauważyła panna Bell zimno.

— Raczej dumny — odrzekł mężczyzna. — To arcydzieło inżynierii i największe osiągnięcie tego wspaniałego dżentelmena.

— W rzeczy samej — przyznała panna Bell.

— I piękne połączenie z Kornwalią — ciągnął.

— Jestem pewna, że ma pan rację.

— No cóż, będzie pani mogła sama się przekonać.

Guwernantka skinęła głową.

— Jedziemy do Saltash — zwróciła się do mnie. — A teraz... jesteśmy w Kornwalii.

— Witamy w naszym księstwie — powiedział mężczyzna.

— Dziękuję.

Moja opiekunka zamknęła oczy na znak, że uważa rozmowę za zakończoną, a ja odwróciłam oczy ku oknu.

Przez jakiś czas podróżowaliśmy w milczeniu, ale dwaj mężczyźni nie przestali mnie ciekawić i wiedziałam, że panna Bell też pamięta o ich obecności. Byłam na nią trochę zła. Dlaczego uznała, że zamierzają skrzywdzić dwie bezbronne kobiety? Ta myśl sprawiła, że się uśmiechnęłam.

Starszy mężczyzna zauważył moją reakcję i również posłał mi uśmiech. Potem jego spojrzenie powędrowało ku podróżnej torbie w siatce nad moją głową.

— Uważam — powiedział do młodszego towarzysza — że to miły zbieg okoliczności.

Panna Bell nadal patrzyła w okno, dając do zrozumienia, że rozmowa tamtych wcale jej nie interesuje, więcej, że nie słyszy, co mówią. Nie potrafiłabym równie dobrze udawać obojętności — nawet gdybym chciała.

— Zbieg okoliczności? — zapytał drugi. — Co masz na myśli? Starszy z dwóch mężczyzn pochwyił moje spojrzenie i znowu się uśmiechnął.

— Czy słusznie zgaduję, że pani nazwisko brzmi Tressidor?

— Owszem — odrzekłam ze zdumieniem. Chwilę później zdałam sobie sprawę, że do torby podróżnej przyczepiona jest wizytówka z moim nazwiskiem.

— I jedzie pani do panny Mary Tressidor, do dworu Tressidor w Lancarron?

— Ależ tak.

Panna Bell zamieniła się w słuch.

— A zatem muszę się przedstawić. Nazywam się Paul Landower. Jestem jednym z najbliższych sąsiadów panny Tressidor. A to mój brat, Jago.

— Skąd pan wiedział, że moja podopieczna nazywa się Tressidor? — zapytała panna Bell.

— Z wizytówki przy torbie. Wierzę, iż nie ma mi pani za złe śmiałości, jaką okazałem?

— Oczywiście, że nie — odrzekłam. Młodszy — Jago — powiedział:

— Wiedzieliśmy, że pani przyjeżdża do Tressidor.

— Skąd? — spytałam.

— Służba... nasza i panny Tressidor. Służący zawsze wszystko wiedzą. Mam nadzieję, że będziemy się widywali podczas pani pobytu we dworze.

— Tak, to prawdopodobne.

— Panowie... eee... byli z wizytą w Plymouth? — spytała panna Bell, stwierdzając oczywistość. Ale domyśliłam się, że chce przejąć inicjatywę.

— W interesach — wyjaśnił młodszy.

— Proszę pozwolić, abyśmy pomogli paniom z bagażami, kiedy dojedziemy do Liskeard — powiedział starszy.

— To bardzo uprzejme z panów strony — odrzekła panna luli ale wszystko zostało ustalone.

— No cóż, jeśli będziecie potrzebowały naszej pomocy... przypuszczam, że panna Tressidor przyśle po was bryczkę.

— Jestem pewna, że ktoś po nas wyjedzie.

Głos mojej opiekunki był lodowaty. Uważała, że prawdziwy dżentelmen nigdy nie odzywa się do damy, której nie został przedstawiony. Myślę, że starszy — Paul — domyślił się tego i zareagował rozbawieniem.

Cisza trwała aż do Liskeard. Paul Landower wziął moją torbę podróżną i dał znak bratu, który sięgnął po torbę panny Bell, a potem, mimo jej protestów, wysiedli z nami i dopilnowali, by wszystkie nasze walizki znalazły się na peronie. Bagażowy uklonił mu się z najgłębszym szacunkiem, co świadczyło, że Landowerowie cieszą się w okolicy wielkim poważaniem.

Moja torba została zaniesiona do czekającej przed dworcem bryczki.

— Tu są twoje panie, Joe — powiedział Paul Landower do woźnicy.

— Dziękuję, sir — odrzekł Joe.

Pomogli nam wsiąść i bryczka ruszyła. Odwróciłam głowę i ujrzałam, że bracia Landowerowie

spoglądają w naszym kierunku, machając kapeluszami i kłaniając się — nieco ironicznie, pomyślałam. Ale ja także miałam ochotę się roześmiać i mój nastrój znacznie się poprawił dzięki temu spotkaniu.

Bryczka, w której panna Bell i ja siedziałyśmy twarzą w twarz, a moja torba stała na podłodze między naszymi nogami, opuściła stację i potoczyła się wiejską drogą. Moja opiekunka odetchnęła z ulgą. Zgadywałam, że uważała odwiezienie mnie do Kornwalii za zadanie wielce odpowiedzialne.

— To dobra droga — powiedział Joe, nasz woźnica — ale zaraz będą wertepy. Niech więc paniusie mocno się trzymają.

Miał rację. Panna Bell chwyciła swój kapelusz, który zwisające nad drogą gałęzie usiłowały strącić jej z głowy.

— Panna Tressidor czeka na paniusie — odezwał się Joe, najwyraźniej pragnąc zacząć rozmowę.

— Mam nadzieję. — Nie mogłam powstrzymać się od odpowiedzi.

— O tak, będzie bardzo kontenta — zaśmiał się do siebie. — A paniusie jutro odwiozę z powrotem.

Pannie Bell owa „paniusia” nie przypadła do smaku, ale jej lodowate maniery nie odstraszyły Joego.

Jadąc wiejskimi drogami, nucił jakąś wesołą melodię.

— Już niedaleko — powiedział po kilkunastu minutach. Wskazał batem przed siebie. — A tam jest Landower Hall, największy dwór w okolicy. Był tu od stworzenia świata, jak powiada moja żoncia. Ale paniusie spotkały już pana Paula i pana Jagona. W pociągu, myślę. Mój Boże, ależ był ruch w Landower przez ostatnie miesiące. To coś znaczy. Bez wątpliwości. A Landowerowie byli tu od...

— Od stworzenia świata — podpowiedziałam.

— Tak powiada moja żoncia. O, już widać Landower Hall. Szlacheckie gniazdo!

Patrzyłam z zapiętym tchem. Dwór robił imponujące wrażenie ze swoją kutą bramą i blankowanymi wieżyczkami. Był niczym warownia, położona na łagodnym zboczu. Panna Bell oceniła go we właściwy sobie sposób:

— Czternasty wiek, jak sędzę — powiedziała. — Czasy, gdy ludzie zaprzestali budowania warowni i zaczęli stawiać dwory.

— Największy dom w okolicy, wliczając w to Tressidor Manor... Chociaż ten niewiele mu ustępuje.

— Mieszkanie w takiej rezydencji musi być niezwykłym doświadczeniem — zauważyła panna Bell.

— Mieszkanie w Tower także — odparłam.

— Och, Landowerowie są tutaj od... Joe urwał, więc dokończyłam:

— Wiemy, wiemy, już nam pan powiedział. Od stworzenia świata. Pierwszy człowiek, który wynurzył się z prehistorycznej mgły, musiał nosić nazwisko Landower. Sądzi pan, że Adam z raju też był Landowerem?

Panna Bell spojrzała na mnie surowo, ale myślę, że rozumiała, iż zdenerwowanie każe mi mniej niż zwykle troszczyć się o wrażenie, jakie czyniły moje słowa. Podróż należała jeszcze do dawnego życia. Teraz nadeszła zmiana — całkowita zmiana. „To tylko rodzinna wizyta” — powtarzałam sobie nieustannie. Ale widok wspaniałej rezydencji i wspomnienie dwóch poznanych w pociągu mężczyzn mieszkających w niej przeniosły mnie nagle do nowego świata — w którym mogło mnie spotkać prawie wszystko.

Przepelniała mnie tęsknota za pokojem do nauki i spojrzeniem krótkowzrocznej Olivii, pełnym

wyrzutu, gdy powiedziałam coś „nierozsądnego”, lub zagubienia, gdy usiłowała podążać za zawilościami mojego rozumowania.

— Już niedaleko — mówił Joe. — Landowerowie to nasi najbliżsi sąsiedzi. Dziwne, że dwa ogromne domy stoją tak blisko siebie. Ale zawsze tak było i twierdzą, że zawsze będzie.

Dojechaliśmy do bramy z kutego żelaza i ze stróżówki wyszedł jakiś człowiek, by nam otworzyć. Był to mężczyzna w średnim wieku, bardzo wysoki i chudy, z dość długimi, tłustymi, rudymi włosami. Otworzył bramę i zdjął kapelusz.

— Dzięki, Jamie — odezwał się Joe.

Tamten uklonił się dość sztywno i powiedział z akcentem innym niż naszego woźnicy i obu Landowerów:

— Witamy, panno Tressidor... i pani...

Uśmiechnęłam się do niego. Miał gładką twarz i przez głowę przemknęła mi myśl, że może być młodszy, niż sądziłam. Było w nim coś z dziecka. Jego oczy patrzyły tak niewinnie... Od pierwszego wejrzenia poczułam do Jamiego sympatię. Kiedy mijaliśmy bramę, przyjrzałam się stróżówce — uroczemu domkowi o dachu malowniczo pokrytym strzechą. A potem zobaczyłam ogródek. Uderzyły mnie dwie rzeczy: wielka liczba uli i stubarwny kobierzec kwiatów. Z wrażenia zabrakło mi tchu w piersiach. Chciałam się zatrzymać i popatrzeć, ale bryczka potoczyła się dalej.

— Jaki piękny ogródek — powiedziałam. — I ule też.

— To Jamie hoduje pszczoły. Jego miód... mówią, że nie ma lepszego. Jest z tego dumny i ma bzika na punkcie pszczół. Mogę zaświadczyć, że zna każdą doskonale. Są dla niego jak dzieci. Widziałem łzy w jego oczach, gdy któreś przytrafiło się co złego. Dobry pszczelarz z niego.

Przejechaliśmy jeszcze pół mili, a potem zza zakrętu wyłonił się Tressidor Manor — ów piękny stary dwór, który poróżnił naszą rodzinę.

Był wielki — ale mniejszy niż tamten kilka minut wcześniej — zbudowany z czerwonej cegły. Z miejsca, w którym stanęliśmy, widziałam, że ma kształt litery E, co charakteryzowało styl Tudorów, a konkretnie elżbietański. Domek Jamiego prezentował się jeszcze efektowniej niż stróżówka Landowerów, tworząc środkową poprzeczkę „E”. Dwa skrzydła wyrastały po bokach. Kominy były podwójne i przypominały klasyczne kolumny, zaś opatrzone słupkami okna wieńczył gipsowy ornament.

Wjechaliśmy na dziedziniec.

— Jesteśmy — odezwał się Joe, zeskakując z kozła. — O, a to Betty Bolsover. Na pewno usłyszała, że nadjeżdżamy.

Służąca o różowych policzkach stanęła przy bryczce i dygnęła.

— Witam pannę Tressidor i pannę Bell. Panna Tressidor czeka na panie. Proszę za mną.

— Zajmę się bagażem — powiedział Joe. — Zawołaj kogoś ze stajni, Betty, niech mi pomoże.

— Muszę najpierw odprowadzić panie, Joe — odrzekła dziewczyna i poszłyśmy za nią.

Przez główne drzwi widać było hol wyłożony boazerią. Na ścianach wisiały obrazy. Przodkowie? — pomyślałam. Betty poprowadziła nas ku schodom, na szczycie których czekała ciocia Mary.

Od razu się domyśliłam, że to ona. Jej twarz wyrażała pewność siebie, a nadto zdradzała pewne podobieństwo do twarzy mojego ojca. Ciocia była wysoka i kanciasta, miała na sobie skromną, czarną sukienkę i biały czepek na szpakowatych włosach, które — ściągnięte do tyłu — odsłaniały mocno opaloną twarz.

— Ach — powiedziała. Miała głęboki, niemal męski głos, który niósł się po holu niczym grzmot. — Zbliź się, Caroline. I pani, panno Bell. Musicie być bardzo głodne, czyż nie? Oczywiście, że jesteście. I zmęczone po podróży. Możesz odejść, Betty. Chodźcie. Służba zajmie się bagażem. Zaraz dostaniecie coś do jedzenia. Coś gorącego, w moim salonie. Uznałam, że tak

będzie najlepiej. — Stała i mówiła, podczas gdy my wchodziłyśmy po schodach.

Kiedy dotarłyśmy na górę, położyła dłonie na moich ramionach i przyglądała mi się dłuższą chwilę. Sądziłam, że mnie uściska, ale nie zrobiła tego. Wkrótce miałam się przekonać, że ciocia Mary niechętnie okazuje uczucia. Po prostu zajrzała mi w twarz i roześmiała się nagle.

— Nie jesteś zbyt podobna do swego ojca — powiedziała. — Bardziej do matki, przypuszczam. I doskonale. Nie można nam zarzucić, że grzeszymy urodą — zachichotała i cofnęła ręce, a ponieważ miałam ochotę ją uściskać, poczułam się nieco zbita z tropu. Odwróciła się do panny Bell i potrząsnęła jej dłonią. — Miło mi panią poznać, panno Bell. Powierza ją pani w moje ręce, co? Chodźcie, chodźcie. Gorąca zupa, jedzenie... a potem, jak sędzę, łóżko. Wyjeżdża pani rano? Powinna pani odpocząć u nas przez kilka dni.

— Bardzo dziękuję, panno Tressidor — odrzekła moja opiekunka — ale czekają na mnie obowiązki w Londynie.

— Instrukcje Roberta Tressidora, rozumiem. To do niego podobne. Podrzucić dziecko i wracać. Powinien był się domyślić, że po takiej podróży człowiek potrzebuje odpoczynku.

Panna Bell wyglądała na zakłopotaną. Słuchanie, jak ktoś krytykuje jej chlebodawcę, stało niewątpliwie w sprzeczności z wyznawanymi przez nią zasadami. Ja nie miałam takich skrupułów i byłam raczej zaintrygowana, bo ciocia Mary okazała się całkiem inna, niż sobie wyobrażałam.

Zaprowadziła nas do salonu, gdzie prawie natychmiast podano zupę.

Myślę, że panna Bell wolałaby najpierw umyć ręce, wiedziała jednak, że osoba o jej pozycji nie powinna sprzeciwiać się życzeniom ludzi dobrze urodzonych, a nie ulegało wątpliwości, że ciocia Mary nawykła do rozkazywania.

Salon był przytulny, ze ścianami wyłożonymi boazerią, ale ja czułam zbyt wielki niepokój i zmęczenie, by się rozglądać; wiedziałam zresztą, że mam mnóstwo czasu na obejrzenie domu. Podano zupę, którą zjadłyśmy z apetytem. Potem była szynka, szarlotka z bitą śmietaną i jabłecznik.

Kiedy jadłyśmy, ciocia Mary zostawiła nas na chwilę same.

— Chciałabym, żeby mogła pani zostać dzień lub dwa — szepnęłam do panny Bell.

— Niestety. Ale może tak jest lepiej.

— Niech się pani zastanowi. Jutro znów będzie pani musiała odbyć tę długą podróż.

— No cóż, świadomość, że ty już zostałam odwieziona na miejsce, doda mi sił.

— Nie jestem pewna, czy mi się tu spodoba. Ciocia Mary wygląda raczej... raczej...

— Cicho. Nie wiesz jeszcze, jaka jest. Wydała mi się bardzo... dostojna. Z pewnością jest damą wielkiego serca.

— Przypomina mojego ojca.

— Cóż, są kuzynostwem pierwszego stopnia. W takich wypadkach często obserwujemy rodzinne podobieństwo. To lepiej, niż gdybyś się znalazła między obcymi.

— Zastanawiam się, co robi Olivia.

— Zastanawia się, co ty robisz, jak sędzę.

— Chciałabym, żeby tutaj była.

— Śmiem twierdzić, że ona też by tego chciała.

— Och, panno Bell, dlaczego musiałam wyjechać tak niespodziewanie?

— Decyzja rodziny, kochanie. — Zacisnęła wargi. Wiedziała coś, czego nie zamierzała mi powiedzieć.

Dziwiłam się, że mogę jeść z takim apetytem. Kończyłyśmy posiłek, kiedy ciocia Mary powróciła.

— Ach — powiedziała — już lepiej, prawda? Teraz, jeśli jesteście gotowe, zaprowadzę was do pokojów. Musi pani wstać wcześniej, panno Bell. Joe zawiezie panią na stację. Powinna się pani

wyspać. Zapakujemy dla pani lunch i zwrócimy panią kuzynowi w takim samym stanie, w jakim go pani opuściła. Proszę ze mną.

Kiedy szliśmy po schodach, długi rząd martwych Tressidorów spoglądał na mnie z portretów na ścianie. Białe światło przydawało im czegoś magicznego. Schody galerii wiodły do korytarza, na który wychodziły liczne drzwi. Ciocia Mary otworzyła jedno z nich.

— Ten jest twój, Caroline, a następny panny Bell. — Poklepała łóżko. — Dobrze, wytrzepli pościel. Och, a to twoja walizka. Radzę rozpakować ją już jutro, przyślę ci jedną ze służących. Tu jest ciepła woda, możesz zmyć zapach pociągu. A potem do łóżka, żebyś jutro miała dużo energii... na pewno będziesz chciała poznać dom i nasze zwyczaje. Panno Bell, zechce pani pójść ze mną...

Zostałam sama. Moja sypialnia była wysoka i miała ściany wyłożone boazerią. Delikatne światło przenikało przez grube szyby okien. Na kominku zobaczyłam drewniane, rzeźbione świeczniki. Moja walizka stała w rogu, a podręczna torba na krześle. Spakowałam do niej koszulę nocną i bieliznę, więc nie musiałam otwierać walizki. Podłoga była lekko pochyła, dębowe deski przykrywał dywan. Zasłony uszyto z ciężkiego, ciemnoszarego aksamitu. Umeblowanie stanowiła niska szafa, wyglądająca solidnie i staro, oraz dębowa skrzynia, na której ustawiono miskę z chińskiej porcelany. Na toaletce z licznymi szufladami znajdowało się trój skrzydłowe lustro. Spojrzałam na swoje odbicie. Byłam bledsza niż zwykle, a moje oczy wydawały się ogromne. Wypełniała je oczywista obawa. Bo któż nie odczuwałby lęku w podobnych okolicznościach?

Drzwi otworzyły się i ciocia Mary weszła do sypialni.

— Dobranoc — powiedziała szorstko. — Kładź się spać, porozmawiamy jutro.

— Dobranoc, ciociu Mary.

Zadowolona się skinieniem głowy. Nie była niezyczliwa, lecz nie okazywała też radości. Nie wiedziałam jeszcze, co myśleć o cioci. Usiadłam na łóżku, z trudem powstrzymując się od płaczu. Tęskniłam za naszym londyńskim pokojem, Olivią siedzącą przy toaletce i narzekającą na swoje włosy.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła panna Bell.

— No cóż — odezwała się — jesteśmy więc w Tressidor Manor.

— Czy uważa pani, że to słuszne, panno Bell?

— Życie rzadko jest takie, jakie w naszym odczuciu być powinno, więc starajmy się nie przesądzać niczego z góry.

To znaczyło, że powinnam się uśmiechać niezależnie od okoliczności. Jak bardzo miało mi brakować pedantycznej panny Bell! Zauważyła mój smutek i mówiła dalej:

— Obie jesteśmy zmęczone. Znacznie bardziej, niż sądzimy. Potrzebujemy odpoczynku. Dobranoc, kochanie. — Podeszła i pocałowała mnie w czoło. Nie robiła tego nigdy wcześniej, dlatego jej gest wstrząsnął mną głęboko. Objęłam ją i uściskałam.

— Poradzisz sobie — powiedziała, klepiąc mnie po plecach, zawstydzona własnym „sentymentalizmem”. — Zawsze sobie radzisz, Caroline.

— Poczieszające słowa!

— Dobranoc, moje dziecko. I wyszła.

Położyłam się do łóżka. Sen zrazu nie przychodził, obrazy kłębiły się w moim umyśle, przesłaniając zmęczenie. Mężczyźni z pociągu, wspaniała rezydencja, będąca ich domem, Joe powożący bryczką, pszczelarz... i wreszcie ciocia Mary, podobna do mego ojca... a jednocześnie całkiem inna.

Wkrótce będę wiedziała o nich wszystkich znacznie więcej. Ale na razie... Byłam bardzo zmęczona i sen pokonał w końcu obawy.

* * *

Obudziła mnie siedząca na łóżku panna Bell w stroju podróżnym.

— Jedzie pani... już?

— Już czas — odrzekła. — Spałaś głęboko. Zastanawiałam się, czy cię obudzić, ale uznałam, że miałabyś do mnie żal, gdybym wyjechała bez pożegnania.

— Och, panno Bell, wyjeżdża pani. Kiedy znów się zobaczymy?

— Z pewnością wkrótce. To przecież tylko wakacje. Będę na miejscu, kiedy wrócisz.

— Nie wierzę, że tak się stanie.

— Zobaczysz. Muszę jechać, bryczka czeka na dole. Nie mogę spóźnić się na pociąg. Powodzenia, Caroline. To będzie interesujące doświadczenie i może nie zechcesz do nas powrócić.

— Och, na pewno będę chciała.

— Do widzenia, moja droga. — Ucałowała mnie po raz drugi i wybiegła z pokoju.

Leżałam w łóżku, próbując odgadnąć, jak odtąd będzie wyglądało moje życie — często o tym rozmyślałam przez kilka ostatnich dni.

Usłyszałam pukanie, a chwilę później Betty, pokojówka poznana poprzedniego dnia, wniosła do pokoju dzbanek z gorącą wodą.

— Panna Tressidor powiedziała, żeby panienki nie budzić, ale dama, która przywiozła panienkę, już pojechała i zmiarkowałam, że była się pożegnać, mam rację?

— Owszem, już nie śpię i cieszę się, że przyniosłaś gorącą wodę.

— Zabiorę tę z poprzedniego wieczoru — powiedziała. — A panna Tressidor mówiła, że jeśli panienka wstanie, to może panienka zjeść z nią śniadanie o wpół do dziewiątej.

— Która jest godzina?

— Ósma, panienko.

— A zatem będę gotowa na czas. Gdzie ją znajdę?

— Zaprowadzę panienkę. W tym domu można się zgubić, jeśli się go nie zna.

— Jestem pewna, że można.

— Jeśli panienka będzie czegoś chciała, proszę tylko zadzwonić.

— Dziękuję.

Wyszła. Moja tęsknota za domem ustąpiła miejsca ciekawości. Dokładnie o ósmej trzydziści Betty ponownie weszła do pokoju.

— Na tym piętrze znajdują się sypialnie, panienko — tłumaczyła — i na niższym także. Mamy mnóstwo sypialni. Wyżej są facjatki... to znaczy pokoje dla służby. Jest jeszcze długa galeria i oszklona weranda... no i pokoje na parterze.

— Widzę, że muszę sporo się nauczyć. Zeszliśmy po schodach.

— To jest jadalnia. — Betty zatrzymała się i zapukała. — Panno Tressidor, panna Caroline.

Ciocia Mary siedziała przy stole. Na talerzu przed nią znajdował się plaster bekonu, jajka i smażone cynaderki.

— O, jesteś — powiedziała. — Guwernantka wyjechała jakieś pół godziny temu. Dobrze spałaś? Tak, widzę, że dobrze. Teraz jesteś gotowa rozejrzeć się po twoim nowym domu, co? Oczywiście, że jesteś. Musisz zjeść obfite śniadanie. Zawsze powtarzam, że to najważniejszy posiłek w ciągu dnia. Częstuj się, proszę.

Okazywała troskę o moje dobre samopoczucie, ale ponieważ sama odpowiadała na własne pytania, rozmowa miała charakter jednostronny.

Podeszłam do kredensu i nałożyłam sobie na talerz potrawy z półmisków.

Ciocia Mary oderwała wzrok od jedzenia i skierowała go ku mnie.

— Z początku będziesz się czuła trochę obco — powiedziała. — Skrępowana. Powinnaś była

odwiedzać mnie wcześniej. Chętnie zaprosiłabym ciebie i twoją siostrę... a także matkę i ojca... gdyby on był inny. Rodzina powinna trzymać się razem, czasem jednak to niemożliwe. Nie spodobało się im, że odziedziczyłam ten majątek. Ale sprawa nie budziła wątpliwości. Byłam pełnoprawnym spadkobiercą, chociaż jestem kobietą. Niektórzy uważają naszą pleć za gorszą, Caroline. Nie sądzę, abyś zdążyła już to zauważyć.

— O tak, zauważyłam.

— Twój ojciec myślał, że wysadzi mnie z siodła i przejmie posiadłość, bo jestem kobietą. Po moim trupie, powiedziałam. I tak właśnie jest. Gdybym umarła, przypuszczam, że odziedziczyłby majątek. Pragnie tego gorąco, nie mam żadnych złudzeń. Ale moje odczucia w tej kwestii są całkiem odmienne, jak zapewne możesz sobie wyobrazić — parsknęła krótkim śmieszkiem, który zabrzmiał jak warknięcie. Gdy roześmiałam się razem z nią, spojrzła na mnie z aprobatą.

— Kuzyn Robert jest niezwykle zręczny, lecz wciąż nie ma dość władzy, by pozbyć się krnąbrnej kuzynki Mary. — Znów usłyszałam warknięcie. — No cóż, jakoś sobie radziliśmy bez rodzinnych serdeczności przez te wszystkie lata. Możesz sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy przeczytałam list kuzynki Imogeny z prośbą, bym zaprosiła cię do Manor na miesiąc czy dwa.

— Najwyraźniej chcieli się mnie pozbyć. Zastanawiam się dlaczego.

Spojrzała na mnie przekrzywiając głowę i zawahała się, co, jak już wiedziałam, było u niej niezwykle rzadkie.

— Nie zastanawiaj się nad przyczynami. Jesteś tutaj. Dzięki tobie zniknie może rozłam w rodzinie... może. Mam wrażenie, że ty i ja znalazłyśmy wspólny język.

— Och, doprawdy? Bardzo się cieszę. Ciocia skinęła głową.

— Spodoba ci się tutaj. Będiesz miała dużo swobody. Majątek jest ogromny i dostarcza mi wielu zajęć. Oczywiście zatrudniamy zarządców, ale sama dzierzę ster. Zawsze tak było. Nawet kiedy żył mój ojciec, a ja byłam młodsza niż ty obecnie... lub równie młoda. Pomagałam mu. Powtarzał często: „Będiesz dobrą dziedziczką, Mary, moje dziecko”. A kiedy po jego śmierci różni ludzie zaczęli marszczyć brwi i kręcić głowami, postanowiłam pokazać, że kobieta może sobie radzić równie dobrze — a nawet lepiej — niż mężczyzna.

— Jestem pewna, że ci się udało, ciociu Mary.

— Oczywiście, choć nawet teraz, gdyby coś poszło nie tak jak trzeba, usłyszałabym od razu: „No pewnie, przecież to kobieta”. Nie dopuszczę do tego, Caroline. Dlatego właśnie jestem zdecydowana uczynić z Manor najdostatniejszą posiadłość w okolicy. — Spojrzała na mnie niemal szelmowsko i dodała: — Musiałaś przejeżdżać obok Landower Hall.

Odrzekłam, że istotnie tak było.

— Co o nim myślisz?

— Myślę, że to wspaniałe domostwo.

Prychnęła drwiąco.

— Na zewnątrz, owszem. Ale w środku to prawie ruina... przynajmniej tak słyszałam.

Kiedy oznajmiłam, że poznałam w pociągu panów Paula i Jagona, okazała żywe zainteresowanie.

— Przedstawili się — wyjaśniłam — kiedy zauważyli wizytówkę z nazwiskiem przy mojej torbie. Wiedzieli, że mamy przyjechać.

— Służący — wtrąciła ciocia.

— Tak, to samo powiedział młodszy z Landowerów. Ich służba... twoi służący...

— Jakby się miało w domu szpiegów. No cóż, nie ma w tym nic dziwnego, a dopóki mimo wszystko udaje się zachować niektóre rzeczy w tajemnicy, nie trzeba się przejmować. Landowerowie obserwują nas uważnie... jak my ich. — Znów się zaśmiała. — Rywalizujemy ze sobą. I oni, i ja jesteśmy ziemianami. Co opętało naszych przodków, żeby budować domy tak

blisko? Nie potrafię sobie wyobrazić. Ale to Tressidorowie zawinili. Landowerowie byli pierwsi i — są z tego dumni. Widzą w nas parweniuszy. Mieszkamy tu tylko trzysta lat. Parweniusze, widzicie ich! Utrzymujemy poprawne stosunki, lecz tylko poprawne. Jesteśmy jak owe dwa wrogie rody: Capuletów i Montekich. Nie posuwamy się do wyzwisk czy podrywania sobie gardeł na ulicach miasta, ale pozostajemy rywalami. Przyjaźni wrogowie — tak można nas określić. Nie mamy Romea i Julii... na razie. Ja z pewnością nie nadaję się na Julię, a Jonas Landower nie przypomina Romea. W każdym razie nie obecnie. Ale w młodości też nie pasowała mu ta rola, jak mnie rola Julii. Więc tak to jest z nami i Landowerami. Powiadasz, że spotkałaś ich w pociągu. Bez wątpienia wracali z Plymouth. Byli u swoich prawników... albo w banku, co bardziej prawdopodobne. Wiem, że sprawy w Landower nie układają się pomyślnie. Koszty utrzymania dworu są astronomiczne i przydałby mu się remont. Dom jest około dwustu lat starszy niż Tressidor Moner... a zawsze uważałam, że przede wszystkim należy dbać o stan budynków. W ten sposób minimalizuje się koszty. Pierwsza mała oznaka rozkładu... i koniec. Rozumiesz? Oczywiście, że rozumiesz. Przez całe lata Landower było zarządzane przez nieudaczników, takich jak stary Jonas. Alkohol, kobiety, hazard... przekleństwo Landowerów. Wśród Tressidorów zdarzają się rozpustnicy, lecz ogólnie rzecz biorąc, jesteśmy dość zrównoważeni... w porównaniu z Landowerami, ma się rozumieć.

— Pomogli nam z bagażami — powiedziałam. — Panna Bell była wdzięczna.

— O tak, są bardzo uprzejmi. I bardzo ciekawi wszystkiego, co się u nas dzieje. Oportuniści, ot co. I zawsze tacy byli. Stary Jonas sądził, że odzyska rodzinny majątek w domach gry. Szaleniec! Czy ktoś kiedykolwiek wygrzebał się z kłopotów w ten sposób? Oczywiście, że nie. Zawsze byli po stronie silniejszego. Zdrajcy! Nawet w okresie wojny domowej na początku bronili króla, jak my wszyscy, ale kiedy Karol przegrał, udzielili poparcia Parlamentowi. Nam, Tressidorom, wiodło się ciężko w tamtych czasach, a oni prowadzili wesoły żywot. — Wydała warknięcie, które spuentowało jej wypowiedź i którego się spodziewałam. — Potem król wrócił do kraju, a Landowerowie odkryli, że jednak są rojalistami. Ale ich postawa zapewniła nam przewagę. Tak czy inaczej, uzyskali przebaczenie i zachowali swoją siedzibę. Oportuniści. Teraz, oczywiście, krążą różne plotki. No cóż, zobaczymy.

— Wszystko to brzmi bardzo ciekawie, ciociu Mary.

— Życie zwykle jest takie, jeśli się nim interesujesz. Już to odkryłaś, prawda? Oczywiście, że tak. Dobrze, moja droga, traktuj pobyt tutaj jako wakacje. Dowiesz się, co znaczy mieszkać na wsi... to znaczy z dala od stolicy. Tu jest Kornwalia.

— Wieś wydała mi się bardzo piękna. Nie mogę się doczekać, żeby ją lepiej poznać.

— Zawsze uważałam, że to najpiękniejsza część księstwa. Za miedzą mamy urocze Devonshire, a trochę dalej zaczyna się urwiste wybrzeże Kornwalii. Nieco na wschód krajobraz robi się bardziej dziki, surowy, mniej przyjazny. Jeździsz konno, prawda? Oczywiście, że jeździsz. W stajniach są konie.

— Dużo jeździłyśmy na wsi — powiedziałam — a nawet w Londynie.

— No cóż, to najlepszy sposób, by zwiedzić naszą krainę. Będziesz się dobrze bawić. Na początku nie odjeżdżaj zbyt daleko i staraj się zapamiętać drogę. Trzeba cię wszędzie oprowadzić, dopóki nie poznasz lepiej okolicy. Musisz uważać na mgły. Podnoszą się niespodziewanie i łatwo wtedy zgubić drogę. Wrzosowiska są niedaleko, ale wolałabym, żebyś na razie tam nie jeździła. Trzymaj się dróg. No i z początku, jak powiadam, ktoś zawsze będzie ci towarzyszył.

— Uważam, że ten mały domek jest prześliczny.

— Och, masz na myśli stróżówkę? Jamie McGill to dobry człowiek. Bardzo spokojny, skryty w sobie. Jest dobrym stróżem. Miałam szczęście, że go znalazłam.

— Słyszałam, że jest też pszczelarzem.

— Dostarcza nam miodu. I nie tylko nam, także sąsiadom. Bardzo dobry, czysty, kornwalijski miód. O proszę... spróbuj. Pachnie kwiatami. Ładnie, prawda?

— O tak. I jest pyszny.

— No cóż, to miód Jamiego. Zjawił się u mnie... będzie sześć lat temu. Nie, więcej, siedem lub osiem. Potrzebowałam dodatkowego ogrodnika. Dałam mu szansę i wkrótce wyszło na jaw, że ma niezwykłą rękę do kwiatów. Potem stary dozorca zmarł i pomyślałam, że to odpowiednie zajęcie dla Jamiego. Zamieszkał w stróżówce i wkrótce ogród wyglądał jak z obrazka, a Jamie miał tam swoje ule. Robi to, co najbardziej lubi. Ludzie są szczęśliwi, kiedy ich praca sprawia im radość. Jesteś gotowa? Najpierw pokażę ci dom, dobrze? Tak, tak będzie najlepiej. Potem możesz sama ruszyć na wyprawę. Dziś po południu wezmę cię na przejażdżkę. Co ty na to?

— Bardzo mi się podoba ten pomysł.

— W porządku. Chodźmy.

To był ciekawy ranek. Pokazała mi pokoje służby na poddaszu, ale niektórzy ze służących mieszkali w domkach na skraju majątku, parobkowie i koniuszy zaś przy stajniach. Potem obejrzałyśmy sypialnie, które w większości były dokładną repliką mojej, oraz długą galerię z portretami członków rodziny. Oprowadziła mnie po niej, wyjaśniając, kto jest kim. Wśród obrazów znajdował się portret młodej ciotki Imogeny, mojego dziadka i jego starszego brata, ojca ciotki Mary. Tressidorowie w krezach, perukach i eleganckich osiemnastowiecznych strojach.

— Oto nasza rodzina — powiedziała ciotka Mary. — Galeria Łajdaków. — Uśmiechnęłam się z powątpiewaniem, więc dodała: — No dobrze, nie wszyscy byli łajdakami. Mieliśmy w naszym gronie kilku dobrych ludzi, a wszyscy robiliśmy co w naszej mocy, aby dwór pozostał w rodzinie.

— To zrozumiałe — powiedziałam. — Musisz być z niego bardzo dumna.

— Przyznaję, że kocham ten stary dom — odrzekła. — Oddałam mu całe swoje życie. Mój ojciec powtarzał: „Pewnego dnia majątek będzie twój, Mary. Musisz go kochać i chronić, aby udowodnić wszystkim, że kobiety Tressidorów są równie dobre jak ich mężczyźni”. I tak właśnie robiłam.

Weszłyśmy do sypialni, w której król Karol spędził noc, uciekając przed okrągłogłowymi*. Łoże z kolumnkami nadal stało w tym samym miejscu, przykryte wytartą narzutą.

— Niczego nie ruszaliśmy — wyjaśniła ciocia Mary. — Nikt nie sypia w tym pokoju. Pomyśl o tym biednym człowieku... ściganym przez własnych poddanych. Jak musiał się czuć, leżąc w tym łóżku!

— Wątpię, by udało mu się zasnąć tamtej nocy — odpowiedziałam.

Ciocia zaprowadziła mnie do okna, z którego widać było wspaniałą zielen trawników, rozciągających się aż do lasu. Krajobraz aż zapierał dech w piersiach. Wskazała na gobelin na ścianie, przedstawiający uroczysty powrót królewskiego syna do Londynu.

— Zawieszono go w pokoju jakieś pięćdziesiąt lat po wizycie króla. Gdybym była marzycielką, a nie jestem, powiedziałabym, że jakaś część naszego monarchy, która została tutaj, ucieszyła się na widok tego gobelinu.

— Musisz być trochę marzycielką, ciociu Mary, skoro taka myśl przyszła ci do głowy — zauważyłam.

Wybuchnęła śmiechem i szturchnęła mnie lekko. Nie była zagniewana.

Zeszłyśmy po schodach i ciocia pokazała mi małą kaplicę, salon oraz kuchnię. Podczas naszej przechadzki spotkałyśmy kilku służących, którzy zostali mi przedstawieni. Kłaniali się z szacunkiem.

* Okrągłogłowi (okrągłe głowy) — tak nazywano w czasie angielskiej wojny domowej 1642–1648 zwolenników Parlamentu, noszących w przeciwieństwie do rojalistów (kawalerów) — krótko ostrzyżone włosy (przyp. red.).

— Nasz hol jest mały — powiedziała ciocia Mary. — Landowerowie mają większy. Ten dom został zbudowany w epoce, gdy hole nie były dłuższe niż środek domu, a większą wagę przywiązywano do pokojów. Tak jest znacznie mądrzej, nie sądzisz? Oczywiście, że się zgadzasz. Architektura udoskonala się z upływem czasu. Myślę, że z początku trudno ci będzie się połapać, to oczywiste. Ale za dzień lub dwa oswoisz się ze wszystkim. Mam nadzieję, że polubisz ten dom.

— Jestem pewna, że tak będzie. Już go lubię. Położyła mi dłoń na ramieniu.

— Po lunchu zabiorę cię na przejażdżkę.

Ranek był tak pełen wrażeń, że przestałam się zastanawiać, co robi Olivia i jak panna Bell radzi sobie w podróży do Londynu.

Kiedy wróciłam do swego pokoju, zjawiała się Betty. Oznajmiła, że panna Tressidor kazała pomóc mi w rozpakowaniu bagaży. Zrobiłyśmy to razem, a dziewczyna powiesiła moje ubrania w szafie. Powiedziała, że Joe zanieśe moją walizkę do jednego ze składzików na poddaszu, gdzie zostanie do chwili, gdy znów będę jej potrzebować.

Po lunchu włożyłam strój do konnej jazdy i zeszłam do holu, gdzie ciocia Mary już na mnie czekała.

Wyglądała bardzo elegancko w starannie skrojonym kostiumie jeździeckim, czarnym kapelusiku i wyczyszczonych do połysku butach. Spojrzała na mnie z aprobatą i poszłyśmy do stajni, gdzie wybrano dla mnie konia.

Pojechałyśmy aleją obok stróżówki. Jamie wyszedł i otworzył bramę.

— Dzień dobry, Jamie — odezwała się ciocia Mary. — To córka mojego kuzyna, panna Caroline Tressidor. Zostanie tu przez jakiś czas.

— Tak, panno Tressidor — odrzekł Jamie.

— Dzień dobry, Jamie — powiedziałam.

— Dzień dobry, panno Caroline.

— Zauważyłam pszczoły, kiedy przyjechałam tu wczoraj wieczorem.

Uśmiechnął się z wielkim zadowoleniem.

— Wiedziały, że panienska przyjedzie — oznajmił. — Powiedziałem im.

— Jamie zawsze rozmawia z pszczołami — wyjaśniła ciocia Mary. — To taki zwyczaj. Musiałas o nim słyszeć. Oczywiście, że słyszałaś.

Pojechałyśmy dalej.

— Ma niezwykle akcent — zauważyłam. — Raczej przyjemny.

— Szkocki. Jamie jest Szkotem. Przyjechał do Anglii... z powodu jakichś kłopotów. Nie wiem jakich, nigdy nie pytałam. Trzeba szanować prywatność innych ludzi. Podejrzewam, że przybył tutaj, aby rozpocząć nowe życie. I jak dotychczas udaje mu się doskonale. Jest szczęśliwy ze swoimi pszczołami i zawdzięczamy mu wyśmienity miód.

Jechałyśmy powoli. Pokazała mi majątek, a potem, wskazując teren poza jego granicami powiedziała:

— To ziemia Landowerów. Chcieliby mieć więcej, chcieliby nas wchłonać. A my chcemy wchłonać ich.

— Z pewnością jest tu dosyć miejsca dla wszystkich.

— Oczywiście. Chodzi tylko o wrogość, która nie wygasła przez wieki. Niektórzy potrzebują rywalizacji, by się rozwijać, prawda? Oczywiście, że tak. To śmieszne, zgadzam się. Nie mam czasu na prowadzenie wojny i przypuszczam, że Landowerowie też go nie mają. Muszą teraz myśleć o innych, ważniejszych sprawach.

Ta rozmowa zawiodła nas z powrotem do domu i czułam, że dowiedziałam się bardzo dużo o cioci Mary, Tressidorach, Landowerach i okolicy. Wszystko to było bardzo interesujące i miałam teraz znacznie lepszy humor niż przez ostatnich kilka dni.

Im więcej dowiadywałam się o cioci Mary, tym bardziej ją lubiłam. Była gadułą, więc wymyśliłam sobie grę, której cel stanowiło przerwanie potoku jej wymowy i wtrącenie własnego słówka czy dwóch. Wierzyłam, że w przyszłości osiągnę lepsze rezultaty. Na razie chciałam uczyć się jak najwięcej.

Kiedy tego wieczoru położyłam się do łóżka, po wczorajszej melancholii nie pozostało nawet śladu. Zostałam wrzucona do nowego świata, ale świat ten już mnie zafascynował.

* * *

Minął tydzień. Poznałam wszystkich domowników i rozkład pokojów. Ciocia Mary pokazała mi okolicę i dużo czasu spędzałam teraz sama, co bardzo mi odpowiadało. Takiej swobody nie zaznałam nigdy przedtem. Samotne przejażdżki konne miały posmak przygody. Ciocia Mary ceniła wolność i traktowała mnie jak osobę odpowiedzialną, a nie jak dziecko. Po tygodniu byłam zachwycona swoim nowym życiem.

Miałam dostęp do biblioteki. Żadne książki nie były tu zakazane, inaczej niż w domu, gdzie panna Bell starannie dobierała nam lektury. Czytałam dużo: niektóre powieści Dickensa, całą Jane Austen, a zwłaszcza książki sióstr Brontë, które mnie zafascynowały. Codziennie jeździłam po okolicy i znałam ją już prawie jak własną kieszeń. Trochę przytyłam. Ciocia Mary przywiązywała dużą wagę do jedzenia, a ja oddawałam sprawiedliwość arcydziełom kucharki. Czułam, że się zmieniam, dojrzewam, że mam coraz więcej wiary w siebie. Odkryłam, że czujny nadzór panny Bell krępował istotną część mojej natury.

Cieszyłam się, iż nie muszę odbywać lekcji. Ciocia Mary uznała, że skoro tak wiele czasu spędzam w bibliotece, lektura wielkich pisarzy będzie najlepszą edukacją i dostarczy mi wiedzy bardziej przydatnej niż tabliczka mnożenia.

Był to oczywiście bardzo przyjemny sposób samodzielnego zdobywania wiedzy.

Ilekoć jechałam lub szłam na spacer, wybierałam zawsze aleję biegnącą obok domku myśliwskiego, gdzie często widywałam Jamiego — prawie zawsze w ogrodzie. Z szacunkiem życzył mi udanego dnia. Miałam ochotę zatrzymać się i porozmawiać lub zapytać o pszczoły, ale w jego zachowaniu było coś, co mnie powstrzymywało. Jednak przyrzekłam sobie, że pewnego dnia zdobędę się na odwagę.

Któregoś dnia ujrzałam jeźdźca, który jechał z przeciwka jedną z wąskich, wiejskich dróg.

— No proszę! — wykrzyknął. — Czy to panna Tressidor?

Poznałam młodszego z dwóch naszych towarzyszy podróży. Zorientował się, że go pamiętam, i uśmiechnął szeroko.

— Zgadza się. Jago Landower. Ostrzegam, że kobyłka, na której pani siedzi, nie należy do łagodnych.

— Możliwe. Ale to mi nie przeszkadza, jestem doświadczonym jeźdźcem.

— Chociaż przyjechała pani z Londynu?

— W Londynie też można jeździć konno. Ale mamy dom na wsi. Kiedy tam jestem, nie rozstaję się z siodłem.

— To widać. Wraca pani do domu?

— Tak.

— Pokażę pani inną drogę.

— Prawdopodobnie już ją znam.

— W każdym razie teraz nią pani nie jedzie. Zapraszam.

Zawróciłam konia i pojechałam za nim.

— Szukałem pani — powiedział. — Zastanawiam się, czemu dotąd pani nie spotkałem.

- No cóż, przyjechałam całkiem niedawno.
- Co pani sądzi o Kornwalii? — Jest... fascynująca.
- A jak długo pani tu zostanie?
- Nie wiem.
- Mam nadzieję, że nie wyjedzie pani wkrótce... zanim nas pani dobrze nie pozna.
- Na razie muszę zostać.
- A co ze smokiem?
- Smokiem?
- Strażnikiem młodych dam.
- A... ma pan na myśli moją guwernantkę, pannę Bell? Wróciła do Londynu.
- A zatem jest pani wolna.
- Nie była naprawdę strażnikiem młodych dam.
- Użyłem niewłaściwego określenia. Powinienem być powiedzieć: pies łańcuchowy. Czy nie tak?

— Miała się mną opiekować w podróży i wypełniała swoje zadanie.

— Wygląda na to, że jest pani bardzo cenną młodą damą. Jestem zdumiony, że pozwalają pani jeździć samej. Och, ale to z pewnością lady Mary uczy panią wiary w siebie.

— Panna Mary Tressidor pokazała mi okolicę i teraz mogę sama troszczyć się o siebie.

— Widzę. A jak się pani podoba dom przodków? I co pani sądzi o lady Mary? W Landower zawsze tak ją nazywamy: lady Mary. Jest naprawdę niezwykłą kobietą.

— Cieszę się, że pan to dostrzega. Ta droga na skrót jest dość okrężna.

— Nazywają ją długim skrótem, w opozycji do krótkiego.

— A zatem to nie jest moja droga?

— Niezupełnie. Gdybyśmy pojechali dalej drogą, którą pani wybrała, nasze spotkanie trwałoby zbyt krótko.

Uznałam to za komplement, poczułam zadowolenie i pomyślałam, że lubię swego towarzysza.

— Pański brat okazał wielką bystrość, odczytując nazwisko na mojej torbie i odgadując, kim jestem — zauważyłam.

— Jest bardzo bystry, choć przy tej okazji nie musiał się specjalnie wysilać. Zostaliśmy poinformowani, że w Tressidor oczekują gościa i wiedzieliśmy, kim ów gość będzie. Pani ojciec jest tu dobrze znany. Mój ojciec zawarł znajomość z nim i jego siostrą Imogeną. Niektórzy ludzie uważają, że powinien odziedziczyć majątek. Ale oczywiście dom przypadł lady Mary.

— Która była prawowitą spadkobierczynią.

— Ale kobietą!

— Podziela pan powszechne przesady?

— Bynajmniej. Uwielbiam kobiety. A lady Mary udowodniła, że w niczym nie ustępuje mężczyznom — może nawet przerasta ich o głowę. Chciałem tylko powiedzieć, iż wszyscy wiedzieli, że ma pani przyjechać, i kiedy ów fakt ma nastąpić. Bardzo niewielu ludzi przybywa tu z Londynu. Dostrzeżliśmy panią w przedziale, koło którego przechodziliśmy, i mój brat powiedział: „Widziałeś dziewczynę, której towarzyszy dama o wyglądzie guwernantki? Zastanawiam się, czy to nie panna Caroline Tressidor, zapowiedziana przez okoliczną służbę? Chodźmy sprawdzić”. I tak uczyniliśmy.

— Jestem zaskoczona, że zadaliście sobie tyle trudu.

— Zadajemy sobie wiele trudu, by ustalić, co się dzieje w Tressidor. Proszę spojrzeć! Oto Landower. Nie sądzi pani, że to wspaniałe domostwo?

— Owszem. Musicie być dumni z takiej rezydencji.

Na jego twarzy pojawiło się przygnębienie.

— Tak, jesteśmy. Ale... jak długo?...

Przypomniałam sobie aluzje cioci Mary do kłopotów w Landower i zapytałam:

— Co pan ma na myśli?

— Och, nic. Tak, dom jest wspaniały, prawda? Nasza rodzina mieszka w nim od...

— Od stworzenia świata, według stangreta Joego.

— Joe nieco przesadza. Mówiąc ściśle — od początków piętnastego wieku.

— Tak. Słyszałam, że ukradliście pierwszeństwo Tressidorom.

— Jak dobrze zna pani naszą historię!

— Nie tak dobrze, jak bym chciała.

— No cóż, ma pani dużo czasu.

Wiedziałam już, gdzie jestem i ruszyłam cwałem. Mój przewodnik nie został w tyle. Wkrótce ujrzałam bramę i domek Jamiego.

— Nie taki długi ten skrót, prawda? — spytał. — Rozmowa z panią sprawiła mi rozkosz. Mam nadzieję, że wkrótce znów się zobaczymy. Jeździ pani codziennie?

— Prawie codziennie.

— Będę pani szukał.

Pojechałam do stajni, bardzo zadowolona z tego spotkania.

* * *

Odtąd widywaliśmy się często. Ilekroć udawałam się na spacer, Jago czekał na mnie przy drodze. Został moim przewodnikiem: pokazywał mi okolicę, opowiadał miejscowe legendy, przedstawiał zwyczaje i przesady panujące w tym zakątku świata. Zabrał mnie na wrzosowiska i pokazał kamienie o niesamowitych kształtach, umieszczone tu podobno przez człowieka prehistorycznego. Teren ów miał w sobie jakąś tajemnicę. Byłam niemal skłonna uwierzyć w niesamowite historie o diabłach i czarownicach, które Jago mi opowiadał.

— Jaka szkoda, że nie przyjechałaś wcześniej — mówił. — Wzięłabyś udział w Letniej Wigilii, kiedy to zbieramy się na wrzosowisku i rozpalamy mnóstwo ognisk na powitanie lata. Tańczymy wokół ognia, radośni i trochę szaleni, może podobni do naszych prehistorycznych przodków. Taniec wokół ognia zabezpiecza przed czarami, a jeśli przypalisz sobie ubranie, ochrona będzie jeszcze lepsza. Ach, powinnaś przyjechać na Letnią Wigilię. Widzę, jak tańczysz z rozwianymi włosami — prawdziwa córka Tressidorów. — Zaprowadził mnie też do starej kopalni cyny i opowiedział o czasach, gdy księstwo czerpało z niej swój dostatek. — Takie właśnie miejsce nazywamy przeklętym — tłumaczył. — To porzucona kopalnia. Mówią, że lepiej tu nie przychodzić. Kornwalijscy górnicy byli najbardziej przesądnymi ludźmi na świecie — może z wyjątkiem kornwalijskich rybaków. Ich życie w znacznej mierze zależało od przypadku, wypatrywali więc znaków szczęśliwych i nieszczęśliwych. Przypuszczam, że wszyscy jesteśmy tacy sami. Wiesz, że zostawiali w kopalni jedzenie dla upiorów, które mściły się na tych, co je obrazili? Dawniej ludzie uważali, że te upiory to dusze Żydów, którzy ukrzyżowali Chrystusa i nie mogą zaznać spoczynku. Nigdy właściwie nie wyjaśniono, dlaczego przybyły do Kornwalii — i to tak licznie. Ale wielu górników przysięgało, że widzieli upiora — małą, zasuszoną postać wielkości lalki za sześć pensów, ubraną jak starzy cynkarze — to znaczy starzy górnicy. Zastanawiam się, co robią owe duchy teraz, gdy kopalnia została zamknięta? Może wróciły tam, skąd pochodzą? O szybie, przy którym teraz stoimy, mówią, że jest szczególnie przeklęty, więc lepiej nie zbliżaj się za bardzo. Jakiś upiór mógłby się w tobie zakochać i zabrać cię na zawsze do świata, w którym sam musi mieszkać.

Uwielbiałam go słuchać i domagałam się wciąż nowych opowieści, więc dowiedziałam się

jeszcze o bożonarodzeniowych biesiadach, kiedy wielkie okoliczne rody częstowały wszystkich korzennym piwem.

— *Waes Hael* — powiedział Jago. — To starodawne wyrażenie oznaczające: „Na zdrowie”. Wiele naszych obyczajów wywodzi się z czasów przedchrześcijańskich, co tłumaczy, dlaczego w tak dużym stopniu nadal jesteśmy poganami.

Mówił mi o tańcach, którymi w wielkich domach święci się Boże Narodzenie, i o kolędnikach — nazywanych przez tutejszych mieszkańców Kręconymi Śpiewakami — co przyłączają się do zabawy. Opowiedział, jak Tancerze Pozorów zjawiają się Drugiej Nocy, zamaskowani lub przebrani za historyczne postaci, i dokazują najpierw na zewnątrz, a potem w domach. W Pokutny Wtorek wolno było buszować w ogrodach bogaczy, zaś w Dzień Maja, równie ważny jak Boże Narodzenie i Letnia Wigilia, wszyscy wychodzili na ulice ze skrzypkami, fujarkami i bębenkami. Tańczyli i biesiadowali przy przenikliwych dźwiękach fujarek, wyciętych z gałęzi sykomora, zapraszając maj do swoich gospodarstw. Dowiedziałam się też o Futrzanym Tańcu, który co roku wykonywano w Helston, a także, z nie mniejszym zapalem, choć nie tak uroczyście, w całej Kornwalii.

Wiedziałam, że próbuje mi pokazać, jak wspaniale jest tutejsze życie, i że cieszy się, iż przyjechałam.

Jago uwielbiał opowiadać, a ja byłam uważną słuchaczką. Udało mu się sprawić, że zapragnęłam wziąć udział w zabawach, o których rozprawiał z takim entuzjazmem.

Ale zaczynało do mnie docierać, że jego wesołość często jest wymuszona i odgadłam, że ma jakieś zmartwienie. Kiedy go zapytałam, dał wymijającą odpowiedź. Ale pewnego dnia wyjawiał mi, co go dręczy.

Mijaliśmy opuszczony dom na granicy majątku Landower.

— Rodzina Malloyów mieszkała tu przez wiele pokoleń — odezwał się nagle. — W końcu zostali tylko syn i córka, którzy nie lubili wiejskiego życia. On przeniósł się do Plymouth i został kimś w rodzaju budowniczego. Potem zabrał siostrę do siebie, więc farma stoi pusta.

— To bardzo ładny dom — zauważyłam.

— Hm...

— Chciałabym go obejrzeć. Możemy wejść?

— Nie teraz — odrzekł stanowczo i obrócił konia, jakby nie mógł znieść widoku tego miejsca.

Wkrótce dowiedziałam się, dlaczego. Pojechaliśmy na wrzosowisko. W tamtejszym powietrzu było coś elektryzującego. Usiadłam na trawie, opierając plecy o wielki kamień. Jago usiadł obok mnie.

— Co się stało? — spytałam. — Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? Milczał przez kilka chwil. Potem zapytał:

— Pamiętasz farmę, którą ci pokazałem?

— Tak.

— To może być wkrótce mój dom.

— Co masz na myśli?

— Może będziemy musieli sprzedać Landower.

— Sprzedać Landower? Dlaczego? Twoja rodzina mieszka tam od stworzenia świata.

— Mówię poważnie, Caroline. Nie stać nas na utrzymanie dworu. Dach wkrótce runie nam na głowy, a na remont potrzebna jest fortuna, i to szybko... jeśli ktoś w ogóle zechce się w to bawić.

— Och, tak mi przykro, Jago. Wiem, co czujesz.

— Paul szaleje z rozpaczy, nie może jednak nic poradzić. Teraz jest w Plymouth... rozmawia z prawnikami i bankierami... próbuje zdobyć pieniądze. Nie poddaje się, chociaż mówią, że sprawa jest beznadziejna i nic nie da się zrobić: dom został skazany na zagładę. Paul uważa, że coś

zdziała... jakiś cud. Taki już jest. Kiedy coś sobie postanowi, nigdy się nie poddaje. Wciąż powtarza, że znajdzie jakiś sposób. Ale widzisz, wzmocnienie fundamentów i remont dachu kosztowałyby fortunę. Specjaliści mówią, że dom jest w fatalnym stanie. Człowiek sądzi, że stał tutaj przez stulecia, to będzie stać zawsze. Stałby... gdybyśmy go uratowali. Ale nie możemy, Caroline... to wszystko.

— Co zrobicie?

— Doszliśmy do wniosku, że trzeba sprzedać posiadłość.

— Och, nie!

— Tak. Prawnicy mówią, że to jedyne wyjście. Mój ojciec tonie w długach, wierzyciele nas cisną. Potrzebujemy pieniędzy. Mamy szczęście, twierdzą prawnicy, że możemy zamieszkać na farmie.

— Jakie to okropne dla ciebie. I wszyscy przodkowie...

— Jest tylko jedna nadzieja.

— Jaka?

Wybuchnął śmiechem.

— Że nikt nie zechce tego kupić.

Roześmiałam się razem z nim. Byłam przekonana, że żartuje. Lubił się ze mną droczyć. Dlatego właśnie nie wiedziałam, ile jest prawdy w tym, co opowiadał o miejscowych zwyczajach.

Teraz miałam już pewność, że sytuacja nie jest tragiczna. Nie istniało niebezpieczeństwo, że Landower przejdzie w obce ręce. Jakżeby to było możliwe?

Ścigaliśmy się w drodze do domu. Jago pomachał mi wesoło na pożegnanie, mówiąc:

— Jutro o tej samej porze.

Uznałam, że w Landower wszystko układa się pomyślnie, a przynajmniej ani w połowie tak źle, jak mówił.

* * *

Kilka dni później poszłam na spacer, a kiedy przechodziłam obok stróżówki, Jamie McGill wyszedł na zewnątrz.

— Dzień dobry, panno Caroline — powiedział.

— Dzień dobry. Dość parno dzisiaj. Czy pańskie pszczoły o tym wiedzą?

Wyraz jego twarzy się zmienił.

— W rzeczy samej, panienko. O pogodzie wiedzą wszystko. Potrafią nawet przewidzieć sztorm.

— Doprawdy? Są fascynujące. Zawsze mnie ciekawiły.

— A teraz?

— O tak. Chciałabym dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

— Są tego warte. — Jedna z pszczoł krążyła nad jego głową. Jamie się roześmiał. — Wie, że o niej mówię.

— Naprawdę?

— Stary próżniak.

— Och, więc to truteń?

— Tak. Gdy robotnice zbierają nektar, a królowa składa jajeczka, on wałkoni się bezwstydnie. Ale jego dzień nadejdzie. Wkrótce królowa opuści ul, by odbyć lot godowy.

— Czy zawsze interesował się pan pszczolami?

— Żywymi stworzeniami, panno Caroline. Miałem już ule, zanim tu przybyłem. Chociaż nigdy aż tyle. To cudowne małe istotki. Inteligentne, pracowite. Wiadomo, czego się po nich spodziewać.

— To bardzo ważne... wiedzieć, czego się spodziewać. Pańskie kwiaty też są cudowne. Ma pan

do nich rękę, jak do pszczoł.

— Owszem, kocham kwiaty... wszystko, co rośnie. Mam u siebie małego ptaszka. — Wskazał głową na domek. — Złamane skrzydło. Nie wiem, czy kiedykolwiek znów będzie latał, ale z czasem na pewno poczuje się lepiej.

Jakiś kot podszedł do Jamiego i mruczając zaczął ocierać się o jego nogi.

— Ma pan jeszcze jakieś zwierzęta? — spytałam.

— Jest stary Lwie Serce, mój pies. On i kot Tygrys to moi stali rezydenci, że tak powiem.

— I pszczoły, oczywiście.

— O tak, pszczoły. Inni przychodzą i odchodzą. Ten ptaszek... na razie mieszka ze mną, ale to wbrew naturze.

— Jakie to smutne, że został kaleką. Zwłaszcza jeśli pamięta czasy, gdy był wolny. Myśli pan, że ptaki pamiętają?

— Myślę, panno Caroline, że Bóg obdarzył wszystkie stworzenia pewnymi zdolnościami. — Zawahał się chwilę, a potem spytał: — Zechciałaby pani wejść na chwilę? Mogłaby pani zobaczyć ptaszka.

Odpowiedziałam, że chętnie skorzystam z zaproszenia. Jakiś pies wypadł z chatki i zaczął mnie obwąchiwać.

— W porządku, Lwie. To przyjaciel.

Pies podszedł do swego pana, zerkając na mnie podejrzliwie. Jamie schylił się, by go pogłaskać, a zwierzak patrzył na niego z autentycznym przywiązaniem.

Uderzyło mnie, że oto mam przed sobą szczęśliwego człowieka.

Pokazał mi ptaszka ze złamanym skrzydłem. Trzymał go ostrożnie i widziałam, że w jego delikatnych rękach biedaczek nie odczuwa strachu. Siedzieliśmy w małym, idealnie wysprzątanym saloniku i rozmawialiśmy o pasiece. Jamie zaproponował, że jeśli będę chciała, pewnego słonecznego dnia przedstawi mnie swoim pszczołom.

— Ale najpierw muszę dać panience strój ochronny. One nie zawsze rozumieją. Mogą pomyśleć, że panienka chce zniszczyć ich ul.

To, co mówił Jamie, było dla mnie w pewnym sensie równie fascynujące, jak historie Jagona. Zadawałam pytania, a on odpowiadał, wyraźnie zachwycony moim zainteresowaniem. Dowiedziałam się, że zaczynał od jednego roju, a teraz miał ich w ogrodzie aż dziesięć.

— Widzi pani, panno Caroline, trzeba okazać im zrozumienie. Szanować ich uczucia. Muszą się przekonać, że mają w tobie przyjaciela. Wiedzą, że będę je chronił przed upałem i mrozem. To praktyczne — trzeba zapewnić im jak najlepsze warunki do lepienia plastrów i wychowywania młodych. Och, wiele się nauczyłem. Metodą prób i błędów, można powiedzieć. Śmiem sądzić, że moja pasieka jest teraz najpiękniejsza w Kornwalii.

— Nie wątpię, że ma pan rację.

— Moje pszczoły nie muszą niczego się lękać. Polegają na mnie, a ja na nich. Wiedzą, że się o nie zatroszczę, kiedy zrobi się zbyt zimno, by same mogły znaleźć pożywienie. Pewnego dnia pokażę panience, jak karmię je syropem z butelek o szerokich szyjkach. Ale dopiero kiedy syrop trochę ostygnie. W ulu nie może być zbyt wilgotno. Kiedy gotuję cukier, dodaję trochę octu, który zapobiega krystalizacji... Och, pewnie nudzę panienkę. Ale jak już zacznę gadać o pszczołach, nie wiem, kiedy przestać.

— Uważam, że to bardzo ciekawe. Kiedy będę mogła przyjrzeć się ulom?

— Jutro porozmawiam z pszczołami. Powiem im o panience. Powiem, że przybyła do nas przyjazna dusza... Zrozumieją. Zresztą same by to odkryły.

Uważałam, że Jamie jest nieco dziwaczny, ale interesujący i odwiedzałam go zawsze, kiedy przechodziłam w pobliżu. Czasem wstępowałam do środka, a czasem ucinaliśmy sobie pogawędkę

na werandzie.

Ciocia Mary była zadowolona.

— Nie z każdym by się zaprzyjaźnił. Jest dobrym człowiekiem, nazywam go naszym szkockim świętym Franciszkiem. To taki święty, który rozmawiał ze zwierzętami, prawda? Wiesz o tym? Oczywiście, że wiesz.

Miałam teraz troje dobrych przyjaciół: ciocię Mary, Jagona Landowera oraz Jamiego McGilla i mogłam cieszyć się pobytom w Kornwalii. A jeszcze całkiem niedawno bałam się tu przyjechać!

Ciocia Mary opowiedziała mi o czasach, gdy mój ojciec i ciotka Imogena przyjeżdżali do Tressidor na letnie wakacje.

— Dwaj bracia nie przepadali za sobą, mam na myśli mojego ojca i twojego dziadka. Ojciec mówił ze śmiechem: „Myśli, że jego syn dostanie Tressidor Manor. Zgotujemy mu przykrą niespodziankę”.

— Wiem, co mój ojciec sądzi na ten temat.

— Tak. Nigdy nie wyrzeknę się Tressidor. Jest moje... aż do dnia, gdy umrę.

Spytałam, co sądzi o sytuacji Landowerów. Czy to prawda, że będą zmuszeni sprzedać majątek?

— Krążą takie plotki — odrzekła ciocia. — I to od dawna. Staruszek będzie załamany, bo to jego wina, rozumiesz. W ich rodzinie zdarzali się już hazardziści, ale on pobił wszystkich na głowę. Gdyby Paul urodził się trochę wcześniej, mógłby zapobiec katastrofie. Słyszałam, że naprawdę zależy mu na domu i ma zmysł do interesów, więc mógłby odbudować rodzinną fortunę. Problemem są nie tylko długi, których narobił Jonas, ale też fakt, że dom potrzebuje natychmiastowego remontu. Och, to głupota zaniedbać takich rzeczy we właściwym czasie.

— Mam wrażenie, że Jago jest bardzo niespokojny.

— Wierzę. Ale to nic w porównaniu z rozpaczą starszego brata. Jago jest dość młody, by się otrząsnąć.

— Czy Paul jest od niego dużo starszy?

— Paul to mężczyzna.

— Jago ma prawie siedemnaście lat.

— I pusto w głowie. To chłopiec. W gruncie rzeczy sami są sobie winni. Gdyby ich kłopoty naprawdę były karą boską, jak twierdzą, mogłabym bardziej im współczuć.

— A ja uważam, że boleśniejsze są nieszczęścia, które człowiek sam ściąga na swoją głowę.

Ciocia popatrzyła na mnie z aprobatą, jak uznałam, i poklepała moją dłoń. Potem powiedziała:

— Jestem zadowolona, że przyjechałaś. Lubię twoje towarzystwo.

— To brzmi jak mowa pożegnalna.

— Mam nadzieję, że jeszcze długo nie będę musiała jej wygłosić.

Ciocia Mary i ja zaczynałyśmy za sobą przepadać.

Niedługo potem Jamie McGill zaprowadził mnie do uli i przedstawił swoim pszczołom. Założył mi na głowę wielki kapelusz z gęstą woalką, której końce wsunęłam za stanik, i dał grube rękawiczki. Potem wyszliśmy do ogrodu. Muszę wyznać, że z początku byłam przerażona, widząc owady krążące koło mnie z groźnym brzęczeniem. Latały także wokół Jamiego, a kilka nawet na nim usiadło. Ale nas nie uzędlily.

— To jest panna Caroline Tressidor, mówiłem wam o niej. Chce się dowiedzieć o waszych zwyczajach. Zostanie u swej cioci przez pewien czas i jest przyjacielem — mówił Jamie.

Obserwowałam, jak zdejmuje dachy z uli i byłam zdumiona, że pszczoły mu na to pozwalają. Przez cały czas nie przestawał do nich przemawiać.

Potem wróciliśmy do domku i zostałam uwolniona od dziwnego przebrania.

— Zaakceptowały panienkę — oznajmił. — Poznałem to po ich buczeniu. Ja im powiedziałem, że można pani ufać, a one mi ufają.

Fakt, że pszczoły mnie „przyjęły”, odmienił nasze wzajemne stosunki. Może dlatego, że one uznały mnie za godną zaufania, Jamie stał się bardziej otwarty. Wyznał, że czasami tęskni za swą rodzinną Szkocją. Brakowało mu jezior i szkockiej mgły.

— Innej, niż mgła tutaj, panno Caroline. Nasze wzgórza też są inne: skaliste i wielkie — czasem przerażające. Brakuje mi ich, och, jak mi ich brakuje.

— Zamierza pan kiedyś tam wrócić? Spojrzał na mnie ze zgrozą.

— Och, nie... nie. Nie mógłbym tego zrobić. Widzi panienka... tam jest Donald. To przez Donalda... a on jest... no cóż, tak czy inaczej, to przez niego musiałem wyjechać... uciec... tak daleko, jak tylko się dało. Zawsze się bałem Donalda. Dorastaliśmy razem.

— To pański brat?

— Byliśmy identyczni. Nikt nie umiał nas rozpoznać. Który to Donald... który to Jamie? Nikt nie wiedział... nawet nasza matka.

— Jesteście bliźniakami.

— Donald to niedobry człowiek, panienko Caroline. Jest naprawdę zły. Musiałem uciec od niego. Tutaj. Nudzę panienkę sprawami, które panienki nie obchodzą.

— Zawsze ciekawili mnie ludzie i lubię słuchać o ich losach. Uważam, że nie ma nic bardziej interesującego.

— Nie mogę mówić o Donaldzie... o tym, co zrobił. Muszę wyrzucić to z pamięci.

— Był bardzo zły? Skinął głową.

— A więc dziś po południu zawarła panienka znajomość z moimi pszczołami.

— Cieszę się, że widzą we mnie przyjaciela. Mam nadzieję, że pan także.

— Wiedziałem, że jest pani przyjacielem, od pierwszego spojrzenia. — Pochylił się ku mnie i szepnął: — Niech panienka zapomni, co powiedziałem o Donaldzie. Czasem gadam bez sensu.

— Myślę, że należy mówić o swoich kłopotach, bo to pomaga. Jamie potrząsnął głową.

— Nie, muszę zapomnieć o Donaldzie. Muszę zachowywać się tak, jakby nigdy nie istniał.

A ja musiałam powściągnąć palącą ciekawość, widziałam bowiem, że Jamie McGill jest zdenerwowany i już zaczyna żałować, iż wspomniał o bracie.

Oprócz tego jednego razu Jamie już nigdy nie napomknął o Donaldzie. Kilkakrotnie próbowałam naprowadzić rozmowę na ten temat, zawsze jednak nabierał wody w usta i w końcu doszłam do wniosku, że jeśli nadal będę próbowała skłonić go do mówienia o swym bliźniaku, przestanę być mile widzianym gościem w domku.

Często pisywałam do Olivii. Pisanie do niej było jak rozmowa i z niecierpliwością czekałam na odpowiedzi siostry.

Z jej listów wnioskowałam, że życie w Londynie toczy się dokładnie tak samo, jak przed moim wyjazdem. Przebywała głównie na wsi. Po uroczystościach jubileuszu nie miała po co jeździć do stolicy.

Panna Bell też pisywała regularnie. Jej listy były pełne informacji, które nic mi nie mówiły. Wróciła bezpiecznie do domu. Zaczęły czytać z Olivią „Upadek Cesarstwa Rzymskiego” Gibbona. Było wyjątkowo gorąco. Takie sprawy mnie nie interesowały.

Jeden z listów mojej siostry różnił się od pozostałych.

Droga Caroline,

tak bardzo za Tobą tęsknię. Mówią, że wkrótce wejdę w świat. Za kilka dni skończę siedemnaście lat i papa powiedział pannie Bell, że czas, bym zadebiutowała w towarzystwie. Boję się tego. Nienawidzę myśli o przyjęciach i tłumach ludzi. Nie nadaję się do tego. Ty poradziłabyś sobie doskonale. Teraz nie mam tu nikogo, z kim można by naprawdę porozmawiać... Panna Bell mówi, że powinnam się cieszyć i że jeśli tylko zbiorę się w sobie, wszystko będzie dobrze.

Mama nie wróciła. Nigdy nie wróci. Sądziłam, że po prostu wyjechała na jakiś czas, lecz nikt o niej nie wspomina, a kiedy pytam o nią pannę Bell, zmienia temat, jakby to było coś wstydliwego.

Pragnę, żeby mama wróciła. Papa jest surowszy niż kiedykolwiek. Przebywa głównie w Londynie, a ja mieszkam na wsi, ale skoro mam „wejść w świat”, będę musiała wrócić do miasta, prawda? Och, tak bardzo bym chciała, żebyś przyjechała z powrotem.

Kiedy wracasz? Spytałam pannę Bell. Powiedziała, że to zależy od papy. Odrzekłam: „Ależ z pewnością papa chce zobaczyć swoją własną córkę?”. A ona odwróciła się i oznajmiła: „Caroline wróci, kiedy twój ojciec uzna za stosowne”.

Pomyślałam, że to dziwne. Wszystko to jest bardzo tajemnicze, Caroline, i boję się debiutu.

Pisz często. Uwielbiam czytać o pszczołach i tym dziwnym człowieku ze stróżówki, a także o Landowerach i cioci Mary. Myślę, że bardzo ich wszystkich lubisz. Ale nie kochaj ich bardziej niż mnie, dobrze? I nie chcę, żebyś wolała Kornwalię od domu.

Spróbuj przekonać ciocię Mary, żeby wysłała cię do domu. Mogłaby napisać do cioci Imogeny albo zrobić coś jeszcze.

Pamiętaj, że za Tobą tęsknię. Nie byłoby ani w połowie tak źle, gdybyś była ze mną.

*Twoja kochająca siostra,
Olivia Tressidor.*

Dużo myślałam o Olivii. Pragnęłam, aby przyjechała do Kornwalii i mogła dzielić ze mną to bez troskie życie, które tutaj wiodłam.

Czasami odnosiłam wrażenie, że zostanę tu na zawsze. Powinnam była wiedzieć...

Jago Landower wpadał czasem w melancholię. Domyślałam się, że naprawdę coś go gryzie, bowiem takie nastroje nie leżały w jego naturze.

Przyznał, że jego rodzinie nie pozostaje nic innego, tylko sprzedać dom.

Próbowałam go pocieszyć.

— Będziecie mieszkali w tym ślicznym domku na farmie, niedaleko Landower.

— Nie rozumiesz, że to właśnie jest najgorsze? Wyobraź sobie: mieszkać w pobliżu Landower ze świadomością, że rezydencja należy do kogoś innego.

— To tylko dom.

— Tylko dom! To Landower! Należał do naszej rodziny przez wieki... i właśnie my go utracimy. Mówisz o tym lekko, Caroline, bo nic nie rozumiesz — zamilkł na chwilę. Potem ciągnął: — Nie widziałas całego domu. Znasz go jedynie od zewnątrz. Pokażę ci Landower. Może wtedy zrozumiesz.

W ten sposób poznałam Landower i znalazłam się pod jego urokiem, rozumiałam też udrękę ludzi, którzy mieli je utracić.

Uczyłam się kochać Tressidor Manor. Mimo iż stary, dwór był dość wygodny. O Landower nie można by tego powiedzieć. Dom był wspaniały, imponujący, może nieco przytłaczał, ale ledwo przekroczyłam próg, rozumiałam, że należy ocalić go przed ruiną. Kiedy się zbliżyliśmy, poczułam pełen zachwyty lęk na widok wyniosłych murów, najeżonych blankami, a kiedy minęliśmy bramę i znaleźliśmy się na dziedzińcu, rozkoszny dreszcz przebiegł mi po plecach. Miałam wrażenie, że całe stulecia zostały uwięzione w tych czerwonych ścianach. Znalazłam się nagle w czternastym wieku, w czasie powstania tej niezwyklej budowli.

Jago otworzył ciężkie, nabijane ćwiekami wierzaje i weszliśmy do sali bankietowej. Czulałam jego ogromną dumę i w pełni ją rozumiałam.

— Choć Landower wzniesiono jeszcze w czternastym wieku, od tego czasu było już przebudowywane i restaurowane — powiedział. — Rozrastało się przez wieki, ale sala bankietowa należy do najstarszych komnat w domu. Zmieniono tylko jedno. Początkowo pośrodku znajdował

się kominek. Pokażę ci, gdzie. Obecny wykonano w czasach Tudorów. U góry jest galeria dla minstrelów. Spójrz na te belki. Pokazują wiek domu.

Ze zdumienia straciłam mowę.

— To jest herb rodu, a to nasze drzewo genealogiczne. W ornamenty nad kominkiem wpleciono inicjały Landowerów, którzy kazali go wymurować. Możesz sobie wyobrazić, że mieszka tu ktoś inny. — w domu, który należy do nas?

— Och, Jago, nie może tak być. Mam nadzieję, że to się nie stanie.

— Tu jest ukryte przejście i korytarz do pomieszczeń kuchennych. Nie zabiorę cię tam. Jestem pewien, że kucharz i jego pomocnicy zażywają w tej chwili popołudniowej drzemki. Nie byłiby zachwyceni, gdybyśmy im przeszkodzili. Chodźmy.

Poprowadził mnie schodami do jadalni. Przez okna widziałam trawniki i ogrody. Gobeliny wiszące na ścianach przedstawiały sceny z Biblii. Dwa wspaniałe kandelabry oświetlały stół zastawiony tak, jakby za chwilę miała przy nim zasiąść cała rodzina. Na wielkim kredensie stały potrawy w lśniących, srebrnych półmiskach. Nic nie wskazywało, że dom jest skazany na zagładę.

W kaplicy, do której przeszliśmy z jadalni, panowała grobowa cisza. Ta kaplica była większa niż w Tressidor, a odgłos naszych kroków na kamiennej posadzce napełnił mnie lękiem. Na kamiennych ścianach wyrzeźbiono stacje Drogi Krzyżowej. Witraż barwił padające na nie światło, dając niesamowity efekt. Rzeźby na ołtarzu miały tak niezwykle kształty, że poczułam, iż mogłabym godzinami na nie patrzeć, odgadując, kogo przedstawiają.

Potem Jago zabrał mnie do Pokoju Słonecznego — radosnego pomieszczenia o licznych oknach, tak jasnego i ciepłego, jak wskazywała na to jego nazwa. Między oknami wisiały portrety wielu pokoleń Landowerów oraz kilku wybitnych osobistości.

Wszystko wokół mnie oddychało przeszłością rodziny, która wzniosła ten gmach i uczyniła go swym domem.

Wspominając gorycz, z jaką mój ojciec mówił o utraconym Tressidor Manor, dumę, z jaką opowiadała o swym majątku ciocia Mary oraz jej determinację, by nie dać go sobie odebrać, zrozumiałam tragedię, którą przeżywali Landowerowie.

Oglądając gobeliny, zdałam sobie w pewnej chwili sprawę, że ktoś wszedł na galerię. Odwróciłam się gwałtownie i ujrzałam Paula Landowera. Nie widziałam go od swego przyjazdu, ale poznałam natychmiast.

— Panna Tressidor — odezwał się z ukłonem.

— Och, dzień dobry, panie Landower. Pański brat pokazuje mi dom.

— Widzę.

— Jest wspaniały — mówiłam, a wargi drżały mi z emocji. — Rozumiem... Nie mogłabym znieść...

— Mój brat opowiedział pani o naszych kłopotach — zauważył raczej chłodno Paul.

— A po co trzymać rzecz w tajemnicy? — rzucił Jago. — Daję głowę, że wszyscy już wiedzą. Paul Landower skinął głową.

— Zgadza się, że nie ma sensu ukrywać tego, co wkrótce będzie powszechnie wiadome... Naprawdę wkrótce.

— Więc nie ma nadziei? — spytał Jago.

Paul potrząsnął głową.

— Nadzieja jest zawsze. Może znajdziemy jakiś sposób.

Starszy Landower patrzył na mnie przez chwilę, a potem jego twarz odtajała. Zaśmiał się nagle.

— Ależ traktujemy naszego gościa! Wstyd mi za ciebie, Jago. Zaproponowałeś panie Caroline coś do picia?

— Chciałam tylko obejrzeć dom — powiedziałam.

— No cóż, jestem pewien, że z chęcią napije się pani... herbaty, nieprawdaż?

— Wystarczy, że wolno mi wszystko obejrzeć.

— Czujemy się zaszczytzeni. Nieczęsto gościmy członków rodziny Tressidorów.

— A szkoda. Jestem pewna, że każdy uznałby za wielki honor zaproszenie do tej pięknej rezydencji.

— Nie mamy tu dużo rozrywek, prawda, Jago? Możemy ofiarować jedynie dach nad głową. A i to już niedługo, wyznaję z bólem, droga panno Tressidor. — Spojrzałam na niego z przerażeniem.

— Och, nie dzisiaj. Otrzymamy prawdopodobnie jeszcze jedno ostrzeżenie. Dostaliśmy już kilka. Co zdążyłeś pokazać pani Tressidor, Jago?

Jago wyliczył, gdzie już byliśmy.

— Zostało jeszcze wiele do zobaczenia. Coś ci powiem: za pół godziny przyprowadź pannę Tressidor do mojego pokoju. Poczestujemy ją herbatą i uczymy wizytę członka rodziny Tressidor w Landower.

Jago obiecał, że tak zrobi i jego brat nas opuścił.

— Sprawy układają się fatalnie, skoro Paul mówi takie rzeczy — odezwał się Jago. — Zwykle jest bardzo powściągliwy, jeśli chodzi o nasze kłopoty — wzruszył ramionami. — Trudno, nie ma sensu rozprawiać o czymś, czego i tak nie można uniknąć. Chodźmy.

Było jeszcze wiele do zobaczenia. Długa galeria z następnymi portretami, sypialnia dla gości, w której niegdyś nocowali królowie, labirynt komnat, pokojów i korytarzy. Wyglądałam przez okna na piękny park i na dziedziniec, gdzie z przeciwległych murów wykrzywiały się do mnie rzeźbione, groteskowe, pełne nienawiści gargulce.

Po pół godzinie dotarliśmy do pokoju, który, jak uznałam, musiał przylegać do sypialni Paula. Był to mały gabinet z oknem wychodzącym na podwórze. Na małym stoliku znajdowała się już taca z filiżankami i herbatą.

Kiedy weszłam, Paul wstał.

— O, jest pani, panno Tressidor. Wciąż ma pani tak dobre zdanie o Landower?

— Nigdy wcześniej nie byłam w tak wspaniałym miejscu — odparłam gorąco.

— Ma pani naszą aprobatę, panno Tressidor, zwłaszcza że zna pani Manor.

— Nasz dom jest cudowny, lecz brakuje mu tej świetności... wielkości.

— Co za dobroć! Jaka łaskawość! Zastanawiam się, czy panna Mary Tressidor podzieliłaby pani opinię.

— Jestem pewna, że tak. Zawsze mówi to, co myśli, a każdy musi zauważyć...

— Wyższość? Zawahałam się nieco.

— Są tak różne...

— Ach, lojalność wobec cioci Mary. Porównania zawsze są fałszywe, tak mówią. Wystarczy, że podziwia pani nasz dom. Co za szczęście, że pani przyszła... w odpowiednim czasie.

Nie umie pogodzić się z losem — pomyślałam i poczułam dla niego litość, większą niż kiedykolwiek do Jagona.

Paul uśmiechnął się do mnie, a jego twarz, która zrazu wydała mi się nieco surowa, złagodniała.

— Właśnie przyniesiono herbatę. Panno Tressidor, wyświadczy nam pani ten zaszczyt? Podobno to zadanie dla kobiety.

— Bardzo chętnie — odpowiedziałam i usiadłam przy niskim stoliku. Uniosłam ciężki, srebrny czajniczek i nalałam herbaty do filiżanek z sewskiej porcelany.

— Mleka? Cukru? — zapytałam, czując się swobodnie i dorośle w nowej roli.

Paul mówił więcej. Zauważyłam, że Jago w towarzystwie brata staje się spokojniejszy. Paul pytał mnie o wrażenia z Kornwalii, o dom w Londynie i wiejską rezydencję. Odpowiadałam żywo, jak zawsze. Ale kiedy wspomniał o moim ojcu, cała swoboda pierzchła. Ojciec był dla mnie obcym

człowiekiem, nikim więcej. Zaskoczyło mnie, jak szybko Paul Landower to wyczuł. Natychmiast zmienił temat.

Byłam głęboko poruszona tym spotkaniem. Stary dwór wzbudził we mnie zachwyt, któremu jednak towarzyszył smutek, gdyż rozumiałam rozpacz właścicieli, mających go utracić. Rozmowa z Paulem Landowerem napełniła mnie dumą, cieszyłam się, że go spotkaliśmy i że potraktował mnie jak gościa.

Tak bardzo różnił się od Jagona. Ten był po prostu miłym chłopcem. W Paulu widziałam dojrzałego odpowiedzialnego mężczyznę. Podobał mi się, ale podejrzewam, że przede wszystkim zrobiła na mnie wrażenie melancholia, emanująca z jego gestów i spojrzenia. Pragnęłam mu pomóc. Chciałam zyskać jego wdzięczność.

Pomyślałam, że widzi we mnie tylko naiwną dziewczynkę i interesuje się mną dlatego, że nosząc nazwisko Tressidor, należę do nieprzyjaznego rodu. Pragnęłam wyrzucić na nim wrażenie i sprawić, żeby mnie zapamiętał, jak ja zapamiętałam jego.

Paul mówił o rywalizacji między naszymi rodzinami w taki sam sposób, jak ciocia Mary.

— Nie wygląda to na prawdziwą wrogość — powiedziałam. — Oto przedstawicielka jednego rodu gawędzi przy herbatce z członkami drugiego.

— Prawdopodobnie nie moglibyśmy stać się nieprzyjaciółmi panny Caroline, prawda Jago? — odrzekł Paul.

Ten uznał, że takie przypuszczenie byłoby wręcz absurdalne. Dziś nikt już nie rozumuje w takich kategoriach, ludzie mają zbyt wiele zdrowego rozsądku.

— Nie sądzę, że to tylko kwestia zdrowego rozsądku — zaproponował Paul. — Takie uczucia po prostu znikają. Dawniej z pewnością były gwałtowniejsze. Tressidorowie i Landowerowie walczyli o prymat w okolicy. My nazwaliśmy Tressidorów parweniuszami. Tressidorowie zaś uznali, że nie okazaliśmy sąsiadom należytych względów. Zapewne obie strony miały rację. Ale teraz naszą sąsiadką została wspaniała lady Mary, która uwielbia rywalizację, nasza sytuacja zaś jest godna pożałowania.

— Myślę, że znajdziecie jakieś rozwiązanie — powiedziałam.

— Naprawdę pani tak uważa, panno Tressidor?

— Jestem tego pewna.

— Wypiję za to. — Paul podniósł filiżankę.

— Mam przeczucie — odezwał się Jago — że nie zgłosi się żaden kupiec.

— Och... ale dom jest taki piękny! — wykrzyknęłam.

— Renowacja pochłonełaby majątek — dodał. — Tym się pocieszam. Trzeba bajecznej fortuny, by tchnąć życie w pięćsetletnią ruinę!

— Mimo wszystko czuję, że wybrniecie z kłopotów — powtórzyłam.

Kiedy nadeszła chwila pożegnania, niechętnie rozstawałam się z Landowerami. Spędziłam z nimi nader interesujące popołudnie.

— Musi pani znów nas odwiedzić — zaproponował Paul.

— Z ogromną chęcią — zapewniłam go.

Wziął mnie za rękę i trzymał ją długo. Potem spojrzał mi w twarz.

— Obawiam się — powiedział — że przytłoczyliśmy panią naszymi ponurymi problemami.

— Nie, nie... naprawdę nie. Jestem dumna... że mi ufacie.

— To niewybaczalne. Bardzo kiepscy z nas gospodarze. Następnym razem będzie inaczej.

— Ależ nie — odrzekłam gorąco. — Rozumiem, naprawdę. Poczułam dreszcz przyjemności, gdy uściskał gorąco moją dłoń. Nie przypominał żadnego z mężczyzn, których znałam i pewnie dlatego nasza rozmowa wraz z atmosferą starego domu uczyniły to popołudnie najwspanialszym ze wszystkich, jakie dotąd przeżyłam.

Ten mężczyzna wydawał mi się zaiste niezwykły: owo połączenie siły i melancholii odpowiadało moim najskrytszym wyobrażeniom o romantycznym bohaterze. Pragnęłam być bogata, aby kupić Landower i zwrócić dom Paulowi.

Byłam młoda i wrażliwa. Paul Landower był najbardziej interesującym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam i drżałam z emocji na myśl, że odtąd będę go często widywać.

Kiedy jechaliśmy do Tressidor, Jago powiedział:

— Paul zachowywał się jak zupełnie inny człowiek. Zwykle jest taki powściągliwy. Byłam zdumiony, że mówi tak dużo... w twojej obecności... o domu i naszych sprawach. Bardzo dziwne. Musiałaś zrobić na nim duże wrażenie lub powiedzieć coś szczególnego...

— Mówiłam jedynie to, co myślę.

— Zwykle nie jest taki otwarty.

— No cóż, zdaje się, że po prostu zrobiłam na nim dobre wrażenie.

— Mam odczucie, że ty i Kornwalia spodobałyście się sobie nawzajem.

Kiedy dotarliśmy do domu, chciałam opowiedzieć cioci Mary o tym popołudniu. Znalazłam ją w salonie. Wyglądała na przygnębioną.

— Nigdy nie zgadniesz, gdzie byłam! — zawołałam od drzwi. — Jago zaprosił mnie do Landower, żeby pokazać mi dom, i spotkałam Paula. Był bardzo miły, poczęstował mnie nawet herbatą.

Spodziewałam się, że ciocia będzie zdziwiona, ale tylko na mnie popatrzyła.

Potem powiedziała:

— Mam wieści z Londynu, Caroline. Dostałam list od twojego ojca. Wracasz do domu. W przyszłym tygodniu przyjedzie po ciebie panna Bell.

Byłam zrozpaczona. Wszystko się skończyło. Dano mi tyle wolności. Pokochałam ciocię Mary. Pragnęłam nadal odwiedzać Jamiego McGilla, aby dowiedzieć się więcej o nim, jego pszczołach i podłym bracie Donaldzie. Przed wszystkim zaś chciałam zaprzyjaźnić się z Landowerami.

Uwielbiałam Jagona, lecz od tamtego popołudnia z jego starszym bratem coś się zmieniło. Wprawdzie myślałam o Paulu dużo już po owym pierwszym spotkaniu w pociągu, ale nasza rozmowa w tym fascynującym domu stanowiła w pewien sposób punkt zwrotny. Jakim cudem ktoś, kogo ledwie się zna, może wywierać tak głęboki wpływ na czyjeś życie?

Nie rozumiałam tego. Paul miał w sobie magnetyzm, którego nie dostrzegłam w żadnym innym mężczyźnie. Nie wydawał się przystojny w konwencjonalnym sensie tego słowa i wyglądał, jakby jego przeznaczeniem była rozpacz — ale może powodowała to krytyczna sytuacja Landowerów. Głęboko odczułam jego tragedię. I pragnęłam mu pomóc. Rozumiałam, jakim bólem napępiała Paula perspektywa utraty rodzinnego dziedzictwa. Przeżywał to mocniej, niż mógł przeżywać cokolwiek Jago. Młodszy z braci był z natury beztroski, a może bardziej elastyczny. Rozmyślałam o ich ojcu i doszłam do wniosku, że musi teraz bardzo cierpieć.

Dlaczego pozwoliłam, by ich nieszczęścia rzuciły cień na moje życie? Przecież ledwo znałam Landowerów, a jednak... tak bardzo pragnęłam, by nie doszło do tragedii, by znaleźli jakieś wyjście.

Czułam wielką sympatię do Jagona, lecz Paul budził we mnie o wiele silniejsze emocje. Szybko wydorostałam. Myślę, że moje dojrzewanie rozpoczęło się wówczas, gdy z okna mieszkania kapitana Carmichaela oglądałam jubileuszowy orszak.

Wiedziałam teraz, że kapitan i moja matka byli kochankami, że mój ojciec dowiedział się o tym i że to ja, w pewnym sensie, ich wydałam. Oczywiście musiał żywić podejrzenia już wcześniej, ja tylko dostarczyłam mu dowodów. Wszystko stawało się klarowniejsze. Właśnie dlatego nie mógł znieść mojego widoku. Odegrałam rolę Kasandry — zmusiłam go, by spojrzeć prawdzie w oczy. Odesłał mnie, by się z tą prawdą oswoić.

Tak, wydoroślałam, a to uczyniło mnie bardziej podatną na emocje — na ów specjalny rodzaj emocji, wzbudzany przez przedstawicieli płci odmiennej.

Chciałam zostać sama, aby pomyśleć.

Ciocia Mary też była wytrącona z równowagi. Chętnie zatrzymałaby mnie przy sobie. Wiedziałam, że pragnęła, aby dwór w Tressidor stał się moim domem. Osiągnęłaby to bez trudu, bo zaczynałam zdawać sobie sprawę, że miejsce, które zwykłam nazywać domem, w gruncie rzeczy wcale domem nie było, jeśli przyjąć, że „dom” oznacza miłość i bezpieczeństwo. Rodzice nie dali mi ani jednego, ani drugiego. Dopiero u cioci Mary poznałam te uczucia.

— Musisz znów mnie odwiedzić, Caroline — powiedziała.

Nie była wylewna, ale zauważyłam, że jest głęboko przejęta.

Nie chciałam z nikim rozmawiać, wyprowadziłam klacz i pojechałam na spacer. Zapragnęłam być sama, toteż skierowałam się na wrzosowisko. Mijałam łąki, ogromne głązy i bystre strumyki. Potem przywiązałam konia do drzewa, wyciągnęłam się na trawie i pomyślałam: Za tydzień o tej porze nie będzie mnie w Kornwalii.

Jago znalazł mnie pogrążoną w rozmyślaniach. Kobieta mieszkająca w jednej z chat na skraju wrzosowiska pokazała mu, w którą stronę pojechałam. Rozwieszała akurat pranie, kiedy mijałam jej podwórze. Jago szukał mnie przez pół godziny.

Usiadł obok mnie.

— Wyjeżdżam — powiedziałam. — W przyszłym tygodniu muszę wrócić do Londynu. Guwernantka przyjedzie zabrać mnie z Kornwalii. Ojciec uznał, że powinnam zamieszkać w naszym domu.

— Chciałbym, żebyś została — odrzekł. Zerwał źdźbło trawy i zaczął je żuć.

— A co ja czuję?

— Lubisz przebywać tutaj.

— Chciałabym zostać. Jest tak wiele...

— Myślałem, że na wsi panuje nuda, a życie skupia się w stolicy.

— Nie dla mnie.

— Muszę znów cię wziąć do naszego domu — powiedział Jago. — Paul jest tobą zachwycony. Mówi, że nie mogłaś zobaczyć wszystkiego podczas jednej wizyty.

— Bardzo chętnie. Bardzo chętnie zobaczę resztę domu, ale...

— No cóż, już wkrótce nie będzie nasz. Wszyscy zdają się podzielać tę opinię.

— Jestem pewna, że twój brat wymyśli jakiś sposób, by uratować Landower.

— Też tak uważam, ale nie mam pojęcia, co mógłby zrobić. Paul umie sobie radzić w trudnych sytuacjach, lecz ta jest beznadziejna. Wszyscy mówią, że dom musi zostać sprzedany. Trzeba jednak znaleźć kogoś wystarczająco bogatego, aby mógł pozwolić sobie na kupno majątku.

— Jeśli go sprzedacie, będziecie bogaci.

— Bogaci... bez Landower!

— Długi twojej rodziny zostaną spłacone i będziecie mogli zacząć życie od nowa.

— Na farmie... w majątku, który kiedyś należał do nas!

— To tragiczne i bardzo mi was żal.

— A teraz jeszcze ty mówisz o wyjeździe. Przecież nie pozwolisz, żeby tak po prostu cię stąd zabrano... prawda?

— A co mogę zrobić?

— Uciec. Ukryć się... dopóki twoja guwernantka nie wyjedzie z powrotem do Londynu.

— Gdzie mam się ukryć?

— Ja cię ukryję.

— Gdzie? W jednej z wież Landower?

— Dobry pomysł. Będę ci przynosił jedzenie dwa razy dziennie... nie, trzy razy. Tam nie ma zbyt dużo szczurów.

— Tylko kilka?

— Zaopiekuję się tobą. Będziesz mogła chodzić na farmę... tę, która wkrótce ma się stać naszym domem. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby cię tam szukać. Możesz przebrać się za chłopca.

— I wypłynąć w morze? — spytałam ironicznie.

— Nie. Co by nam z tego przyszło? Równie dobrze mogłabyś wyjechać do Londynu. Chodzi o to, żebyś została tutaj.

Jago dalej snuł nierealne i szalone plany mojej ucieczki, a ja słuchałam go z przyjemnością, choć nie traktowałam owych wizji poważnie.

Wreszcie, niechętnie, podniosłam się, by wrócić do Tressidor. Wyjeżdżając na spacer, szukałam samotności, teraz jednak byłam zadowolona, że Jago zdołał mnie wytropić, bo śmiałam się z jego absurdalnych pomysłów i dzięki temu na chwilę zapomniałam o kłopotach. Świadomość, że istnieją ludzie, którzy pragną, abym z nimi została, złagodziła trochę smutek, jaki odczuwałam na myśl o wyjeździe z Kornwalii. Cieszyłam się, że mam tutaj tylu przyjaciół. Byli nimi: Jago, ciocia Mary i nawet Jamie McGill. Ten ostatni oznajmił, że pszczoły podniosły bzyżący lament na wiadomość, że nie będę więcej odwiedzać domku myśliwskiego. Jago wydawał się naprawdę zmartwiony, a ja zastanawiałam się, czy mój wyjazd dotknie Paula.

Szczęśliwie się złożyło, że Jago odnalazł mnie na wrzosowisku, bowiem w drodze do domu zauważyłam, że z moją kłaczą coś jest nie w porządku. Jago spojrział na nią i powiedział:

— Zaraz zgubi podkowę. Trzeba temu zapobiec. Jedziemy do Avonleigh, tam jest kowal.

Zaprowadziliśmy nasze wierzchowce do odległego o ćwierć mili Avonleigh. Od razu znaleźliśmy kuźnię. Kiedy weszliśmy, jej właściciel podniósł głowę z ciekawością.

Powietrze wypełniał nieprzyjemny zapach przypalonego kopyta.

— Dzień dobry, Jem — odezwał się mój towarzysz.

— Proszę, proszę, panicz Jago. Co mogę zrobić dla panicza? — Zerknął na mnie. — Dzień dobry panience.

— Koń panienci zgubił podkowę — wyjaśnił Jago.

— Dobrze, prędko temu zaradzimy. Proszę iść z panienką na szklaneczkę jabłecznika do Trelawny Arms. Jest przepyszny... własnej roboty. Mówię z doświadczenia. Idźcie, spróbujcie jabłecznika, a potem wracajcie. W mgnieniu oka konik młodej damy będzie znów ślicznie podkuty.

— To najlepsze, co możemy zrobić — zgodził się Jago. — Zostawimy u ciebie oba konie, Jem.

— Doskonale, panie Jago.

— Chodźmy — zwrócił się do mnie — Trelawny Arms czeka na nas. Jem ma rację, tutejszy jabłecznik jest wyśmienity.

Nieduża gospoda znajdowała się niedaleko kuźni. Stary szyld skrzypiał na słabym wietrze.

Kobieta, którą uznałam za żonę właściciela, zbliżyła się, by nas przywitać. Znała Jagona i mówiła do niego po imieniu. Wyjaśnił, że jestem Caroline Tressidor.

Gospodyni otworzyła szeroko oczy i powiedziała:

— Och, to ta młoda dama z Manor. Proszę zostać z nami trochę. I co pani sądzi o Kornwalii, panno Tressidor?

— Bardzo mi się tu podoba — odrzekłam zgodnie z prawdą.

— Jej koń zgubił podkowę — wyjaśnił Jago — więc wpadliśmy na chwilę, żeby nie przeszkadzać Jemowi w pracy. Chcemy spróbować twojego jabłecznika, Jem go zachwalał.

— Najlepszy w księstwie, powiada zawsze. I chociaż sama robię ten jabłecznik, jestem skłonna

przyznać Jemowi rację.

— Wiem. Ale panna Tressidor podda jabłecznik ostatecznej próbie, Maisie.

— Proszę bardzo, panie Jago.

Usiedliśmy przy stole w rogu. Rozejrzałam się po izbie o wąskich okienkach w ołowianych ramach. Sufit był z dębowych belek. Na gzymsie wielkiego kominka stał rząd brzydkich, mosiężnych figurek. To typowe wnętrze gospody, niezmiennie od dwustu lat.

Maisie przyniosła jabłecznik.

— Jesteś zajęta? — spytał Jago.

— Mamy dwoje gości: ojca i córkę, zostaną dzień lub dwa. Jest trochę roboty. — Uśmiechnęła się do mnie. — Rzadko ktoś zostaje tu na noc. Ludziska wolą jechać do miasta, Liskeard leży za blisko. Nie tak kiedyś bywało! Teraz zysku prawie żadnego, jeśli panienka rozumie, co mam na myśli.

Powiedziałam, że rozumiem i odeszła, zostawiając nas z jabłecznikiem.

— Nie musimy się śpieszyć — powiedział Jago. — Stary Jem jeszcze nie skończył. Tylko pomyśl... Prawdopodobnie nie przyjedziemy tu nigdy więcej, starajmy się więc jak najdłużej posiedzieć.

— Nie chcę tak myśleć. Zaczynałam już zapominać, że wkrótce wracam do domu.

— Coś wymyślimy — obiecał Jago.

W tej chwili do saloniku weszło dwoje gości, mężczyzna i młoda kobieta, będący najwyraźniej ojcem i córką. Oboje mieli rudawo — blond włosy, żywe, jasne oczy i słabo widoczne brwi. Dziewczyna mogła być rok starsza od Jagona. Rozejrzeli się po izbie, a oczy dziewczyny natychmiast powędrowały w naszym kierunku i rozbłysły zainteresowaniem.

— Witamy — powiedział mężczyzna. Miał dziwny akcent, którego nie umiałam zidentyfikować; wiedziałam jedynie, że nie jest to typ wymowy z tutejszej okolicy.

Odpowiedzieliśmy na powitanie, a nieznajomy mówił dalej:

— Dobry ten jabłecznik?

— Doskonały — odrzekł Jago.

— W takim razie my też go zamówimy. Gwennie, idź i powiedz gospodyni, żeby przyniosła dzbanek.

Dziewczyna podniosła się posłusznie, a mężczyzna zapytał:

— Nie macie nic przeciw temu, abyśmy się przysiedli?

— Oczywiście, że nie — odrzekł Jago.

— Zostajemy tutaj — oznajmił mężczyzna.

— Na długo?

— Parę dni. Dopóki nie sprawdzimy czy to, co przyjechaliśmy zobaczyć, jest tym, czego nam trzeba.

Dziewczyna wróciła i powiedziała:

— Zaraz przyniosą jabłecznik, papciu.

— Ach — ucieszył się nasz rozmówca — to dobrze. Mam gardło suche jak papier.

Maisie przyniosła jabłecznik.

— I jak, wielmożny panie? — zwróciła się do Jagona. Odpowiedział, że oboje uważamy, iż jabłecznik zasługuje na swoją sławę.

— Zawołajcie mnie, jeśli będziecie chcieli jeszcze.

— Nie omieszkamy — obiecał Jago. Gdy Maisie wyszła, uśmiechnął się do mężczyzny. — Nie jest zbyt mocny — powiedział.

— Nie, ale gasi pragnienie. Mieszka pan w okolicy?

— Tak.

— Zna pan majątek zwany Landower Hall?

Otworzyła usta, lecz Jago posłał mi ostrzegawcze spojrzenie.

— Owszem, znam — odrzekł. — To wielki dom w sąsiedztwie. — Łypnął na mnie złośliwie. —
Chociaż niektórzy utrzymują, że Tressidor Manor jest większy.

— Och, ale dwór w Tressidor nie jest na sprzedaż — odezwała się dziewczyna.

Jago spochmurniał na chwilę, a potem zapytał szybko:

— Interesuje was Landower Hall?

— No cóż — roześmiał się mężczyzna — właśnie dlatego tu przyjechaliśmy.

— Zamierza pan kupić dom?

— Cóż... wiele zależy... musi być odpowiedni.

— Podobno żądają wysokiej ceny.

— Nie chodzi o pieniądze. Musi nam odpowiadać.

— Przyjechaliście z północy, prawda?

— Owszem, i chcemy osiąść na południu. Wciąż mam interesy na północy, ale moi ludzie ich dopilnują. Wymarzyłem sobie nowe życie. Chcę być właścicielem jakiegoś sennego mająteczku na wsi... z dala od wszystkiego, co znam.

— Czy jest pan pewien, że nie będzie pan tęsknił za dotychczasowym trybem życia? — spytałam.

— Nie mogę się doczekać, kiedy stamtąd czmychnę. Moi prawnicy uważają, że ta oferta to coś w sam raz dla mnie. Tego zawsze pragnąłem. Dostojny, stary dom... z tradycjami. Mój Boże. Teraz, kiedy pani Arkwright — moja żona — leży w grobie, oboje pragniemy spakować walizki, prawda, Gwennie?

Jego córka przytaknęła.

— Rozmawialiśmy o tym. Gwennie będzie dziedziczką, a ja wielkim panem. Klimat jest tu łagodniejszy niż tam, skąd pochodzimy. Mam kłopoty z płucami. Zalecenie doktora, rozumieją państwo. To chyba odpowiednie miejsce.

— Widział pan już majątek? — spytałam.

— Nie, jedziemy tam jutro.

— Jestem taka podniecona — wtrąciła się Gwennie. — W nocy na pewno nie zmruję oka.

— Lubi pani stare domostwa, panno... eee... Arkwright? — spytał Jago.

— Och, pewnie. Uważam, że są wspaniałe... przetrwały tyle lat... walcząc z burzami. Myślę o ludziach, którzy w nich mieszkali, o zajęciach, którym się oddawali. Chciałabym wiedzieć o nich więcej... chciałabym wszystko odkryć.

— Zawsze chciałaś wiedzieć dużo o ludziach, Gwennie — odezwał się pan Arkwright pobłaźliwie. — Pamiętasz, co powiedziała mama? Mówiła, że wtykasz nos w cudze sprawy. „Ciekawość zabiła kota” — przypominała.

Uśmiechnęli się z pewnym smutkiem, niewątpliwie wspominając zmarłą.

— Słyszałem, że ten dom wyszedł z owych zmagañ mocno poturbowany — powiedział Jago.

Dodałam swój komentarz do jego uwagi:

— Ja słyszałam, że trzeba dokonać wielu napraw... a niektórzy mówią, że konieczny jest gruntowny remont.

— Och, znam te pogłoski — odrzekł ewentualny nabywca. — Nikt nie wywiedzie w pole Johna Arkwrighta. Moi prawnicy są sprytni. Dowiedzą się, co trzeba naprawić, a koszty zostaną wzięte pod uwagę przy ustalaniu ceny.

— Więc liczy się pan z koniecznością remontu? — spytał Jago tonem rozpaczy.

— Słyszałam, że dom jest w ruinie — dodałam.

— Och... nie jest tak źle — odpowiedział pan Arkwright. — Trzeba będzie wydać trochę

pieniążków... co do tego nie ma wątpliwości.

— I nie przeszkadza to panu? — zdziwił się Jago.

— Nie, jeśli to naprawdę wielkopańska rezydencja. Z tradycjami. Zawsze chciałem przynależeć do takiego miejsca.

— Ale to nie będą pańskie tradycje — zauważyłam.

— No cóż, będziemy musieli zaszczepić w nim nasze. — Roześmiał się ze swego żartu, a Gwennie zawtórowała ojcu.

— Jesteś wyjątkowy, papciu.

— No cóż, jestem jaki jestem. Będę właścicielem ziemskim. Tego właśnie chcemy. Tobie też uśmiecha się taka perspektywa, prawda, Gwennie?

Córka zapewniła go, że to, co słyszała o Landower, pozwala jej sądzić, że zdecydują się na kupno posiadłości.

— Jest tam wielka sala z galerią dla minstreli — dodała.

— Urządzimy tam tańce, Gwen. Tak właśnie zrobimy.

— Och — powiedziała, podnosząc oczy w zachwycie — to będzie... — szukała odpowiedniego słowa — to będzie świetne... naprawdę świetne.

— Bo oczywiście nie lęka się pani duchów? — spytał Jago.

— Duchów! — wykrzyknęła Gwennie głosem, który świadczył, że owszem, boi się ich panicznie.

— No cóż, w takich starych domach zawsze są duchy — ciągnął mój towarzysz. — I przejawiają wielką aktywność, gdy dwór przejmują nowi właściciele. Wszyscy przodkowie Landowerów...

Pan Arkwright spojrział na córkę z pewnym zakłopotaniem.

— Och, daj spokój, Gwen, chyba nie wierzysz w te bzdury? Nie ma duchów, a jeśli nawet są tam jeden czy dwa... no cóż, zapłacimy za dom dużo pieniędzy. Zjawy nas nie skrzywdzą. Będą zadowolone, że uratowaliśmy ich siedzibę.

— To jeden z możliwych punktów widzenia — odrzekła Gwennie z bladym uśmiechem. — Ufam, że go wybiorą, papciu.

— To rozsądny punkt widzenia. Zresztą duchy przydają atmosfery staremu domostwu.

Gwennie znów się uśmiechnęła, nie wyglądając wszakże na przekonaną.

— Ważne, że to miejsce dla nas — odezwał się jej ojciec pocieszająco. — Myślę, że dziś wieczorem nastąpi kres naszych poszukiwań.

Jago wstał.

— Musimy wracać do kuźni. Jeden z naszych koni zgubił podkowę, zostawiliśmy go więc u kowala i przyszliśmy skosztować jabłecznika.

— Miło było z wami pogawędzić — pożegnał się pan Arkwright. — Mieszkacie w okolicy?

— Niedaleko.

— Znacie dobrze tamten dom?

— Znam go.

— To brednie o tych duchach, prawda?

Jago pokręcił głową i wzruszył ramionami.

— Kto wie — odrzekł. — Życzę miłego dnia.

Wyszliśmy z gospody i ruszyliśmy w stronę stajni.

— Możesz ich sobie wyobrazić w Landower? — spytałam.

— Wolę o tym nie myśleć.

— Odniosłam wrażenie, że wystraszyłeś pannę Gwennie.

— Mam taką nadzieję.

— Myślisz, że to coś pomoże?
— Nie wiem. Dom mu się spodoba. A pan Arkwright bez wątplenia ma swoje „pieniążki”, prawników i zmysł do interesów.
— Cała nadzieja w Gwennie. Naprawdę ją wystraszyłeś tymi duchami.
— Tak mi się wydaje.
Wybuchnęliśmy śmiechem i przebiegliśmy pozostałą drogę do kuźni.

* * *

Zgodziłam się spotkać z Jagonem tego popołudnia. Z podekscytowanej miny mego towarzysza wynioskowałam, że wymyślił kolejny dziki plan, o którym chce ze mną porozmawiać. Miałam rację.

— Chodź do Landower — powiedział. — Mam pomysł.

— Jaki? — zapytałam.

— Wyjaśnię ci po drodze.

Zaprowadziliśmy konie do stajni i udaliśmy się do wielkiego domu. Jago otworzył boczne drzwi i znaleźliśmy się w labiryncie korytarzy. Potem ruszyliśmy na górę po kamiennych, spiralnych schodach z ozdobną poręczą.

— Gdzie jesteśmy? — spytałam.

— Ta część domu jest nieużywana. Schody prowadzą na poddasze.

— Masz na myśli pokoje służby?

— Nie. Poddasze, które służy za strych. Przyszło mi do głowy, że może ktoś schował tam coś cennego... coś, co uratuje rodzinny majątek. Obraz jednego z dawnych mistrzów. Bezcenny klejnot... ukryty dawno temu, może w czasie wojny domowej.

— Opowiedzieliście się po stronie Parlamentu — przypomniałam mu. — I w odpowiedniej chwili zmieniliście sojusznika.

— Dopiero, gdy przegrał.

— Nie ma w tym żadnej zasługi, więc nie bądź taki dumny z siebie.

— Żadnej zasługi... tylko mądrość życiowa.

— Wierzę, że chciałeś się popisać cynizmem.

— Człowiek musi sobie jakoś radzić na tym parszywym świecie. Tak czy inaczej, uratowaliśmy Landower, a to zawsze było najważniejsze dla mojej rodziny. Zresztą nie ma o czym mówić. Pokażę ci, o co mi chodzi.

— Czyżbyś naprawdę coś znalazł?

— Nie znalazłem żadnego arcydzieła... bezcennego klejnotu czy dzieła sztuki ani nic takiego. Ale Bóg ma swoje sposoby i chyba wysłuchał mojej modlitwy.

— Jakie to ekscytujące! Jesteś jednak równie tajemniczy jak Bóg. Doprowadzasz mnie do szału.

— Bóg — ciągnął dalej z namaszczeniem — pomaga tym, którzy sami sobie pomagają, więc chodź.

Poddasze było wielkie, na jego drugim końcu sufit prawie dotykał podłogi. Przy wejściu znajdowało się małe okno, przez które wpadało blade światło.

— Jakoś tu niesamowicie — zauważyłam.

— Wiem. Jak w siedzibie duchów. Myślę, że poczciwe zjawy przyjdą nam z pomocą. Przodkowie wpadli we wściekłość na wieść, że Landower ma przejść w ręce obcych.

— No cóż, wciąż czekam na twoje odkrycie.

— Chodź tutaj. — Jago otworzył wielki kufer. Zajrzałam do środka: było tam pełno ubrań.

— Spójrz! — Wyciągnął rękę i podał mi pelerynę z zielonego aksamitu, obszytą futrem.

— Piękna — powiedziałam z zachwytem.

— Poczekaj — ciągnął. — Jeszcze nic nie widziałaś. Co powiesz o tym?

Wyjął z kufra zieloną atlasową suknię z szerokimi, rozciętymi rękawami. Materiał był miejscami wytarty, ale koronka przy kołnierzu zachwycała misterną robotą. Zewnętrzna spódnica otwierała się z przodu, ukazując drugą, podobną do halki, uszytą z kunsztownie haftowanego brokatu. W niektórych miejscach ścięgi były poprute, a cały strój delikatnie pachniał pleśnią. Suknia przypominała ubiory przodków Tressidorów na portretach w naszej galerii, uznałam więc, że pochodziła z XVII wieku. Czułam zdumienie na myśl, że leżała w kufrze przez cały ten czas.

— Zobacz tylko! — wykrzyknął Jago. Zdjął swoją kurtkę i włożył kamizelkę. Była dość obcisła, ozdobiona koronką i wstążkami, uszyta z aksamitu w kolorze owoców morwy. Kiedyś niewątpliwie przyciągała wzrok. Teraz niektóre wstążki były oderwane, a materiał wyblakł miejscami. Jago wyjął z kufra krótką pelerynę z czerwonego pluszu, którą zarzucił na ramię. — Co o tym myślisz?

Wybuchnęłam śmiechem.

— Obawiam się, że nikt nie weźmie cię za sir Waltera Raleigha. Przypuszczam, że gdybyśmy spacerowali po dziedzińcu, położyłbyś pelerynę w kałuży, abym nie zamoczyła stóp.

Uniósł moją rękę i ucałował.

— Moja peleryna jest do pani dyspozycji, milady. — Roześmiałam się, a Jago mówił dalej: — Spójrz na pończochy i buty. Zmienię się w prawdziwego dandysa z epoki elżbietańskiej, kiedy je włożę. Jest nawet kapelusz z piórami.

— Cudowny! — wykrzyknęłam.

— No właśnie, a teraz spróbuj sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobilibyśmy: ty w tej sukni i ja w pelerynie i pończochach.

— Suknia i peleryna pochodzą z różnych czasów.

— I co z tego? Nikt nie zwróci na to uwagi. Zresztą w półmroku... na galerii minstreli, będziemy doskonałą parą duchów.

Patrzyłam na niego i zaczynałam rozumieć. Oczywiście, Arkwrightowie mieli oglądać dom późnym popołudniem.

— Jago — zapytałam — jaki szalony plan zrodził się w twojej głowie?

— Zamierzam powstrzymać tych dwoje, którzy chcą kupić nasz dom.

— Czy to znaczy, że chcesz ich wystraszyć?

— Duchy naprawdę istnieją — odrzekł. — Ty i ja pięknie odegramy ich rolę. Wszystko zaplanowałam. Ukryjemy się na galerii. Pokażemy się... i zaraz znikniemy. Ale Gwennie Arkwright musi nas zobaczyć. Przerazi się tak bardzo, że szacowny papcio ze swoimi pieniżkami będzie musiał ulec jej błaganiom.

Roześmiałam się. Ten pomysł pasował do mego towarzysza doskonale.

— Najwyższe noty za wyobraźnię — powiedziałam.

— Dostanę je także za strategię. Jak może się nie udać? Potrzebuję jednak twojej pomocy.

— Nie podoba mi się to wszystko. Ta dziewczyna będzie naprawdę przerażona.

— Oczywiście. Właśnie o to mi chodzi. Zabroni papciowi kupić dom i pojedą gdzieś indziej.

— To tylko odwlecze katastrofę. Czy wyobrażasz sobie, że kiedy pojawią się następni chętni, powtórzymy nasze małe przedstawienie? Zapomnij o tym. Nie będzie mnie tutaj, by ci pomóc.

— Do tego czasu znajdę coś naprawdę wartościowego na strychu. Na wszystko trzeba czasu. Pracuję też nad zatrzymaniem ciebie tutaj.

— Obawiam się, że panna Bell nie wystraszy się duchów.

— Droga Caroline, w mojej głowie pomysł ściga pomysł. Coś wymyślę. Jeszcze mamy czas. Teraz musimy skoncentrować się na Arkwrightach. Pomożesz mi czy nie?

— Nie wystarczy jeden duch?

— Dwa zrobią większe wrażenie. Mężczyzna i kobieta. Chodź. Nie psuj zabawy, Caroline. Włóż suknię. I postaraj się być wiarygodną zjawą.

Nie mogłam mu odmówić. Suknia okazała się za duża, lecz to tylko wzmacniało efekt. Na poddaszu znajdowało się stare lustro. Było upstrzone plamkami i pokazywało tylko kontury. Wyglądaliśmy w nim naprawdę jak dwa duchy z przeszłości.

Zwijaliśmy się ze śmiechu, patrząc na siebie nawzajem. Ja oczywiście zachowałam większą powściągliwość, myśląc o tym, iż śmiejemy się, mimo że nad naszymi głowami zawisły katastrofy. On miał stracić ukochany dom, a ja porzucić życie, które mnie fascynowało, i wracać do ponurej codzienności. A jednak bawiliśmy się znakomicie. Byłam wdzięczna Jagonowi, że dzięki niemu choć na chwilę mogłam przestać się martwić.

— Pomogę ci — powiedziałam.

— Musimy po prostu czekać tutaj. Chciałbym, żeby Gwennie była sama, kiedy się ukážemy. Jej tatuś ogląda boazerię i liczy, ile pieniędzy pochłonie naprawa... Na galerii słychać jakieś kroki, Gwennie podnosi wzrok i widzi dwie zjawy, które patrzą na nią z wyrzutem. Może pokiwamy ponuro głowami... ostrzegawczo... groźnie... w każdym razie dając jej do zrozumienia, że nie powinna namawiać ojca na Landower.

— Jesteś zupełnie szalony.

— Co w tym szalonego? To najściślejsza logika.

— Jak zamkniecie mnie w wieży w towarzystwie szczurów?

— To był tylko szkic pomysłu. Nie dopracowałem szczegółów. Natomiast teraz wziąłem pod uwagę wszystko.

— Kiedy przyjeżdżają?

— Lada chwila. Paul pokaże im majątek... albo mój ojciec. Wybierzemy odpowiedni moment. Musimy być gotowi.

— Co z moimi włosami?

— Jak czesały się kobiety w tamtych czasach?

— Zdaje się, że z loczkami.

— Po prostu zwiąż włosy z tyłu. Może gdybyś upięła je w kok... — Nie mam spinek. Chyba że znajdziesz coś w kufrze. Jakiś grzebień czy cokolwiek.

Sprawdziliśmy. Nie było grzebienia, jedynie kilka wstążek. Za pomocą jednej z nich związałam na czubku głowy włosy, które sterczały jak koński ogon. Wstążka nie pasowała do sukienki, ale ogólny efekt był porażający.

— Cudownie! — wykrzyknął Jago. — Teraz schowamy się na galerii, żeby w odpowiedniej chwili spełnić swoją misję.

Zachichotałam, bo spod dostojnej spódnicy wystawały mi buty do konnej jazdy.

— Nie będą widzieli twoich stóp — pocieszył mnie. — Teraz wejdziemy na galerię bocznymi drzwiami. To wejście, którego używali muzykanci. Jest ukryte za kotarą. Kiedy już będzie po wszystkim, możemy pobiec korytarzem do kamiennych schodów i wrócić na poddasze. Nie może być lepiej.

Wkrótce miałam się przekonać, że postąpiłam lekkomyślnie, godząc się na to szaleństwo. Ale któż nie jest mądry po szkodzie?

Próbując opanować śmiech, zesłiliśmy po kamiennych stopniach. Musiałam uważać na każdy krok, bo średniowieczne schody były niebezpieczne nawet zaraz po zbudowaniu, a ja na dodatek miałam na sobie za dużą suknię, która plątała mi się wokół nóg.

Jago, idący przodem, popędzał mnie niecierpliwie. Przez korytarz dostaliśmy się do bocznych drzwi. Uniósł kotarę, a ja weszłam za nim. Przez chwilę, która wydała mi się godziną, staliśmy

czekając. Jago pomylił się jednak w obliczeniach. Nasza ofiara była nie w holu, jak przypuszczał, lecz na galerii. Zobaczyłam twarz Gwennie zastygłą w wyrazie absolutnego przerażenia i grozy. Panna Arkwright krzyknęła, zrobiła krok do tyłu i chwyciła się balustrady. Nagle poręcz złamała się i dziewczyna runęła po schodach głową w dół, do holu.

Przez kilka sekund staliśmy jak skamieniali. Rozległ się krzyk. Pan Arkwright podbiegł do córki. Widziałam, jak się nad nią pochylał. Paul biegł w ich kierunku.

Blady jak śmierć Jago odwrócił się i wciągnął mnie za kotarę. Słyszałam, jak Paul krzyczy, wydając polecenia służbie.

— Chodź... szybko — powiedział Jago i chwyciwszy mnie za rękę, pobiegł do schodów.

Zatrzymaliśmy się na poddaszu przy otwartym kufrze.

— Myślisz, że jest ciężko ranna? — szepnęłam.

Jago potrząsnął głową.

— Nie... nie... parę siniaków... nic więcej.

— Spadła z wysoka — zauważyłam.

— Ojciec i Paul już się nią zajęli.

— Och, Jago... a jeśli Gwennie umrze?

— Oczywiście, że nie umrze.

— Jeśli umrze... to my ją zabiliśmy.

— Nie... nie. Sama się zabiła. Nie powinna tak się przestraszyć... dwojga przebierańców.

— Ale nie wiedziała, że jesteśmy zwyczajnymi ludźmi. Myślała, że to para duchów. Zgodnie z naszymi intencjami.

— Nic jej nie będzie — oświadczył stanowczym tonem, jednak nie byłam pewna, czy naprawdę tak myśli.

— Powinniśmy zejść i sprawdzić, co się stało.

— Co dobrego z tego wyniknie? Tamci zrobią wszystko, co trzeba.

— Ale to nasza wina.

Chwycił mnie za ramiona i potrząsnął.

— Posłuchaj! W czym możemy jej pomóc? Zdejmijmy te ubrania. Nikt nigdy się nie dowie, że kiedykolwiek wyjmowano je z tej skrzyni. Teraz musimy jedynie wymknąć się stąd niepostrzeżenie. Wrócimy drogą, którą przyszliśmy. Zdejmuj tę suknię, szybko.

Sam ściągnął już swój strój i wkładał kurtkę do konnej jazdy.

Drżącymi palcami odpięłam guziki. W ciągu kilku sekund przebraliśmy się i zamknęliśmy kufer. Jago wziął mnie za rękę i wyprowadził z poddasza.

Wyszliśmy bocznymi drzwiami i niezauważeni dotarliśmy do stajen. Potem wsiedliśmy na konie i odjechaliśmy.

Jago nie odezwał się ani słowem. Był głęboko wstrząśnięty, chyba dręczyły go wyrzuty sumienia.

Pożegnał mnie i wróciłam do Tressidor. Przesiedziałam w swoim pokoju aż do kolacji. Chciałam zostać sama, by się zastanowić.

* * *

Następnego dnia ciocia Mary przekazała mi nowiny.

— W Landower zdarzył się wypadek — powiedziała. — Jacyś ludzie przyjechali obejrzeć rezydencję i młoda kobieta spadła z galerii minstreli. Mówiłam, że ten dom to ruina. Balustrada galerii pękła jak zapalka. Podobno ci dwoje zostali ostrzeżeni, lecz owa młoda dama spadła mimo wszystko.

— Jest ciężko ranna?

— Nie wiem. Ale zdaje się, że została w Landower. Jej ojciec także. Myślę, że nie można jej ruszać.

— A zatem jest ciężko ranna.

— Chyba teraz nie kupią domu.

— Wiesz, dlaczego spadła?

— Nie. Pewnie oparła się o drewnianą balustradę, a ta po prostu pękła.

Tego dnia czułam się jak pogrążona we śnie. Zapomniałam nawet o bliskim wyjeździe do Londynu. Nie widziałam się z Jagonem. Zastanawiałam się, czy on tak samo unika mnie, jak ja jego.

Wkrótce ciocia Mary przekazała mi następne nowiny:

— Nie sądzę, żeby była ciężko ranna, lekarze jednak nie są jeszcze pewni. Biedna dziewczyna mówi, że zobaczyła duchy. Ojciec ją wyśmiał. Ci ludzie z Yorkshire są bardzo pragmatyczni. Landowerowie okazują obojgu wielkie względy... zajmują się nimi z tą wielkopańską gościnnością, którą mają we krwi. Tak przynajmniej słyszałam.

— Nie sądzę, żeby tamci nadal chcieli kupić dom.

— Słyszałam, że wręcz przeciwnie. Chcą jeszcze bardziej niż przedtem... tak powiedziała naszej Mabel jedna ze służących Landowerów. Ten mężczyzna na pewno przekonał córkę, że owe duchy to tylko cienie.

Czas mijał. Jeszcze jeden dzień i panna Bell zabierze mnie do Londynu.

Poszłam pożegnać się ze wszystkimi, których poznałam. Wypiłam herbatę z Jamiem McGillem. Pokiwał głową ze smutkiem i oznajmił, że pszczoły pocieszyły go, iż pewnego dnia wrócę.

Przed wyjazdem spotkałam się z Jagonem. Był smutny i wydał mi się kimś zupełnie innym. Utraciliśmy młodzieńczą beztroskę.

Żadne z nas nie zapomniało o tym, co zrobiliśmy.

— Nie powinniśmy byli uciec. Należało zejść na dół, żeby sprawdzić, co z Gwennie. — powiedziałam.

— Nie mogliśmy nic zrobić. To by tylko pogorszyło sprawę.

— Lecz ona by wiedziała, że nie zobaczyła duchów.

— Jest prawie przekonana, że tylko je sobie wyobraziła. Ojciec wciąż jej to powtarza.

— Ale nas zobaczyła.

— Stary Arkwright mówi, że to gra świateł. — I ona mu uwierzyła?

— Prawie. Bardzo szanuje swojego papcia. Uważa, że nigdy się nie myli. Masz ochotę się przyznać, Caroline, prawda? Wydaje mi się, że masz bardzo wrażliwe sumienie. Trudno iść przez życie z takim ciężarem. Pozbądź się go, moja droga.

— Czy jest z nią bardzo źle?

— Na razie nie może chodzić, na pewno jednak nie umiera.

— Och, tak bardzo żałuję, że to zrobiliśmy.

— Ja też. W dodatku efekt jest przeciwny do zamierzonego. Arkwrightowie zostali w Landower, Paul traktuje ich jak godnych poważania gości... mój ojciec także. Dom podoba im się bardziej niż z początku. Są zdecydowani go kupić, Caroline.

— To nasza kara — odrzekłam. Jago skinął głową ponuro.

— Mam nadzieję, że nie zostanie kaleką na całe życie.

— Nie Gwennie. Papcio by do tego nie dopuścił. Twardzi są ci Arkwrightowie, muszę ci powiedzieć. Nie zarobiliby tych wszystkich pieniędzy, gdyby byli delikatniejsi.

— A ja jutro wyjeżdżam. Spojrzał na mnie smutno.

Więc wszystkie nasze plany na nic. Landower miało trafić w obce ręce, a ja wracałam do domu.

Następnego dnia przybyła panna Bell, a dzień później pojechaliśmy do Londynu.

Rozdział 3

Bal maskowy

Trzy lata minęły od mojego powrotu z Kornwalii, zbliżały się moje siedemnaste urodziny.

Przez pierwszych sześć miesięcy często myślałam o cioci Mary i Tressidor Manor, Jamesie McGillu i jego domku, Paulu, Jagonie oraz Landower Hall. Najwięcej jednak o Paulu. Co rano, budząc się, czułam głęboką tęsknotę. Wciąż na nowo opowiadałam o swoich przygodach Olivii, która słuchała zachwycona, z wypiekami na twarzy. Możliwe, że nieco ubarwiałam fakty. Rezydencja Landower Hall przypominała w moich opowieściach londyńską Tower, a Tressidor Manor było podobne do Hampton Court. Mówiłam o Paulu Landowerze więcej niż o kimkolwiek innym. Uczyniłam go wspaniałym bohaterem, pełnym wszelkich cnót. Stawał się Aleksandrem Wielkim i Lancelotem, Herkulesem i Apollinem jednocześnie. Był szlachetny i niepokonany. Piękne, niedowidzące oczy siostry błyszczały, gdy o nim opowiadałam. Olivia zazdrościła mi wspaniałych przygód. Była przerażona zakończeniem pomysłu z duchami i nigdy nie zadała pytania, dlaczego wszechmocny Paul nie zdołał uratować własnego domu.

Ciocia Mary napisała tylko raz. Nie lubiła pisać, o czym szybko się przekonałam, ale wiedziałam, że gdybym powróciła do Tressidor, traktowałaby mnie tak samo jak przed wyjazdem. Z tego jedynego listu dowiedziałam się, że Landower Hall zostało sprzedane Arkwrightom i że panna Arkwright nie mogła być poważnie ranna, gdyż spacerowała już po okolicy. Arkwrightowie zamieszkali w rezydencji, a Landowerowie przeprowadzili się na farmę przy granicy ich majątku. Poza tym nic się nie zmieniło.

Odpisałam, ale mój list pozostał bez odpowiedzi. Nie napisałam do Jagona, lecz byłam pewna, że stara farma jest teraz bardzo przynębiającym miejscem.

Ojciec nie okazał żadnej radości z mojego powrotu. Dla ścisłości dodam, że zobaczyłam go dopiero po trzech dniach. Potem rzadko nawet raczył na mnie spojrzeć.

Uraza znów wypełniła moje serce, czułam się zraniona i tęskniłam za naturalną serdecznością cioci Mary.

Panna Bell była taka jak dawniej. Zachowywała się, jak gdybym nigdy nie opuszczała domu. W tej sytuacji wielkie wsparcie stanowiła dla mnie Olivia, która sto razy dziennie zapewniała, że ogromnie się cieszy z mojego powrotu.

Miała jednak kłopoty, z których największym stał się jej „debiut”. Ciotka Imogena poddawała moją biedną nerwową siostrę ciężkiej próbie, udzielając jej lekcji dobrego wychowania. Rzeczy, które należało i których nie należało robić, było tak wiele, że Olivia czuła się zupełnie zagubiona.

Nie minęły trzy tygodnie od mojego powrotu do domu, gdy dowiedziałam się, że na początku września mam wyjechać do szkoły. Był to cios tyleż dla Olivii i panny Bell, co dla mnie.

Mojej siostry nie wysłano do szkoły. Mogłam jedynie uznać, że ojciec wciąż pamiętał, iż to przeze mnie musiał spojrzeć w oczy prawdzie o romansie matki z kapitanem Carmichaelem i z tego powodu nie mógł znieść mego widoku.

Wiedziałam, że będę tęsknić za Olivią. Panna Bell niepokoiła się o swą posadę, ale została uspokojona prawie natychmiast. Miała zostać, by opiekować się Olivią i prawdopodobnie mną w okresie wakacji, kiedy to — wyobrażałam sobie z niechęcią — ojciec pozwoli mi wrócić do rodzinnego domu.

Dyskutowałyśmy o szkole, o „wejściu w świat” — i towarzyszących temu niebezpieczeństwach — a także o naszej matce.

Olivia słyszała, że mama wyjechała za granicę z kapitanem Carmichaelem, który z powodu

skandalu musiał odejść z wojska. Wydawało się dziwne, że nasza matka opuściła Anglię, nie próbując się z nami zobaczyć — a przynajmniej przesłać nam wiadomości. A ojciec najwidoczniej nie chciał mnie widzieć. Jak inaczej było u cioci Mary!

Moje serce ścisnęło się z bólu, ilekroć o niej myślałam.

Potem tęsknota zaczęła słabnąć — nie nagle, lecz stopniowo. Wyjechałam do szkoły i po pierwszych kilku tygodniach polubiłam ją. Byłam bardzo dobra z literatury angielskiej i miałam zdolności do języków. Panna Bell nauczyła nas trochę francuskiego i niemieckiego, a teraz robiłam szybkie postępy. Grałam w badminton całkiem zręcznie, uczyłam się tańczyć i grać na pianinie. I w żadnej z tych dziedzin nie okazałam się najgorsza, choć w żadnej też nie celowałam.

Cieszyłam się życiem szkolnym, nowymi znajomościami, rywalizacją, dramataми i komediami, w które przemieniały się czasem najzwyczajniejsze sprawy. Nie byłam tak ekscentryczna, by wzbudzać wrogość otoczenia, ale miałam w sobie coś nieprzeciętnego. Myślę, że chodziło o witalność, namiętne zainteresowanie wszystkim, co zdarzało się wokół, pragnienie, by wszystkiego spróbować. Te cechy zjednywały mi przyjaciół i sprawiały, iż szkolne życie stało się całkiem znośne.

Cieszyłam się jednak, wracając do domu na wakacje, i długo łudziłam się nadzieją, że wszystko ulegnie odmianie: mama wróci, ojciec przestanie mnie unikać i wszyscy będziemy szczęśliwi. Dlaczego tak myślałam, nie potrafię powiedzieć. Przecież przeszłość nie dawała ku temu żadnych przesłanek.

Olivia zaczęła „bywać” i po kilku miesiącach uznała ów obowiązek za mniej przykry, niż początkowo sądziła. Nie odnosiła sukcesów towarzyskich, ale też nigdy się ich nie spodziewała. Pragnęła jedynie trzymać się z boku i tak właśnie postępowała. Chodziła na bale i czasem nawet na uroczystości dworskie — to znaczy uroczystości odbywające się na dworze Księcia i Księżnej Walii. Królowa nie lubiła zabaw i większość czasu spędzała w Windsorze lub na wyspie Wight, z dala od gwarnego świata. Natomiast Książę i Księżna Walii mieli własny dwór i cenili dworski ceremoniał.

Ale takie okazje zdarzały się rzadko. Książę Walii był nieco, jak to określano, „prędko w języku”, w związku z czym zbierające się u niego towarzystwo uważano za nieodpowiednie dla niedoświadczonych młodych dziewcząt.

Olivia znajdowała się pod ścisłym nadzorem z jednej strony panny Bell, z drugiej ciotki Imogeny. Przemogła strach, który zrazu odczuwała, i zaczęła widzieć życie w jaśniejszych barwach. Wciąż jednak nieśmiałość działała na nią paraliżująco. I nadal pragnęła, żebym wszędzie jej towarzyszyła. Podzielałam jej pragnienie, gdyż kiedy w domu odbywał się bal, nie pozwolono mi w nim uczestniczyć i musiałam jak dawniej tkwić na schodach, co było dość upokarzające dla dziewczyny, która szybko stawała się dorosła.

Mój ojciec zdecydował, że zakończę edukację w szkole francuskiej. I znów na początku byłam przerażona, a potem wszystko ułożyło się wspaniale. Mieszkałyśmy w górskim *château* i raz w tygodniu jeździliśmy do miasta na kawę i wspaniałe ciasteczka. Siedziałyśmy przed kawiarnią w cieniu kolorowej markizy i rozmawiałyśmy o tym, co nastąpi, kiedy nadejdzie nasza kolej „wejścia w świat”.

Czas mijał szybko. Nie pamiętałam już prawie twarzy kapitana Carmichaela, a jednak sącząc lemoniadę myślałam o dniu jubileuszu królowej, kiedy piliśmy razem herbatę i byliśmy tacy szczęśliwi... Ale nie zapomniałam o Paulu Landowerze. Często rysowałam jego twarz w notatniku, który zabierałam na górskie wycieczki. Z biegiem czasu mój bohater stawał się coraz przystojniejszy, coraz bardziej szlachetny. Dziewczęta zaglądały mi przez ramię i mówiły:

— Znowu on. Caroline Tressidor, zdaje się, że to twój ukochany.

Bez końca rozprawały o „ukochanych”. Słuchałam z uśmiechem i troszeczkę udawałam... no,

może więcej niż troszeczkę. Posiadanie wielbiciela dodawało mi w oczach koleżanek autorytetu. Czasami robiłam aluzje do romantycznego uczucia i wymyślałam epizody, które rozegrały się rzekomo podczas mego pobytu w Kornwalii. Paul Landower był we mnie zakochany, lecz do niczego między nami nie doszło, bo uważał, że jestem za młoda. Czekał, aż dojrzeję. Teraz byłam już prawie dorosła. Wymyślanie historii o nas dwojgu stało się moją ulubioną rozrywką, a opowiadałam je z takim przejęciem, że sama prawie zaczęłam w nie wierzyć.

Wspomniałam, że miał kłopoty, co uczyniło go jeszcze bardziej interesującym w oczach dziewcząt. Był melancholijny... jak lord Byron, zauważyła któraś, a ja nie zaprzeczyłam. To nie jego wina, że wspaniała rodowa siedziba musiała zostać sprzedana. Gdyby miał dosyć czasu, odbudowałby rodzinną fortunę.

Opowiedziałam dziewczętom o tym, jak udawaliśmy duchy z jego młodszym bratem. Potem, fantazjowałam, wyznałam wszystko Paulowi. Wziął mnie w ramiona i pocieszał. „Nie martw się — powiedział. — Nie jesteś niczemu winna. Nikt nie może cię potępić”. „I nie kochasz mnie ani trochę mniej z powodu tego, co zrobiłam?” — zapytałam. „Kocham cię bardziej niż kiedykolwiek... właśnie dlatego. Zrobiłaś to dla mnie. Kocham cię bezgranicznie”.

Czasami zdawałam sobie sprawę, że te historie są czystą fantazją, i śmiałam się z siebie. W ogóle dużo się śmiałyśmy. Końcowy etap edukacji był autentyczną zabawą. Wymagano od nas jedynie mówienia po francusku.

A potem znów wszystko się zmieniło. Skończyłam siedemnaście lat. Miałam wrócić do domu i, jak przypuszczałam, „zadebiutować w świecie”. Spodziewałam się, że ciotka Imogena będzie mnie tresowała tak samo jak Olivię, a potem rozpoczną się narady z krawcową i przymiarki. Moje przewidywania jednak okazały się fałszywe.

Olivia spytała ciotkę Imogenę, kiedy „wejść w świat”, a ta we właściwy sobie sposób wyduła wargi, odwróciła się i odeszła bez odpowiedzi.

Uznałam to za bardzo dziwne.

Moja siostra byłaby zachwycona, gdybyśmy razem chodziły na przyjęcia. Miała szafę pełną pięknych sukienek, a ja nie mogłam się doczekać, kiedy dostanę własne.

— Suknię można włożyć tylko raz, najwyżej dwa — wyjaśniła mi Olivia. — Wszędzie spotyka się tych samych ludzi i nie można dopuścić, aby w towarzystwie uznano, że jesteś tak biedna, że bez przerwy musisz nosić te same stroje.

— Czy to ważne?

— Oczywiście. Przecież to rodzaj parady, nieprawdaż? Wszyscy mają być piękni i bogaci. Każdy prezentuje swoje mocne strony.

— Jak na targu bydła.

— Tak — powiedziała zamyślona — to prawda. Pozycja naszego ojca jest wysoka, ale mną nikt się nie interesuje. Przypuszczam, że nie jestem dość ładna, nawet jeśli pieniądze taty czynią mnie w innym sensie godną zainteresowania.

— Och, Olivio, jak to cynicznie zabrzmiało. Nie sądziłam, że jesteś do tego zdolna.

— Przypuszczam, że takie po prostu jest życie. Sama się przekonasz, kiedy przyjdzie twoja kolej.

Ale moja kolej nie nadeszła.

Jakiś czas później zauważyłam, że w Olivii zaszła zmiana. Moja siostra wydawała się ładniejsza, często się zamyślała i nieobecny wzrokiem patrzyła gdzieś w przestrzeń, a kiedy do niej mówiłam, nie słyszała i musiałam powtarzać.

— Powiem pani, co się stało — oznajmiła Rosie Rundall, która teraz, gdy dorosłyśmy, traktowała nas całkiem po przyjacielsku. — Panna Olivia jest zakochana.

— Zakochana! Olivia! Och, Olivio, naprawdę?

— Nonsens — odrzekła, ale poczerwieniała i była tak zmieszana, że od razu domyśliłam się wszystkiego.

— Kto to jest? — spytałam. — Nikt.

— Ale nie możesz być zakochana w nikim.

— Przestań mi dokuczać — poprosiła. — Czemu miałabym się w kimś zakochiwać? Przecież ten ktoś nie zakochałby się we mnie, prawda?

— Dlaczego nie? — spytała Rosie.

— Bo jestem zbyt spokojna, a nie dość ładna i inteligentna.

— Proszę mi uwierzyć — odrzekła Rosie — bo wiem, co mówię: wielu mężczyzn uwielbia takie kobiety jak panienka.

Ale mimo naszych wysiłków Olivia nie pisnęła ani słówka. Podejrzywałam, że obdarzyła uczuciem kogoś, kto ledwie jest świadomy jej istnienia. Ale teraz nie bała się przyjąć tak bardzo jak kiedyś — a czasem nawet nie mogła się ich doczekać. Podzieliłam się z Rosie przypuszczeniem, że pewnie spodziewa się spotkać tego młodego człowieka, a ta uznała, że to bardzo prawdopodobne.

Sama Rosie wydawała się ładniejsza i bardziej elegancka niż kiedykolwiek. Często wpadała do nas przed swoimi nocnymi wyprawami, a my zachwycałyśmy się jej strojami. Olivia, która wiele się nauczyła, odkąd zaczęła „bywać w świecie”, powiedziała, że materiał, z którego uszyte są sukienki naszej pokojówki, to jedwab najwyższej jakości i dziwiła się, jak Rosie stać na takie luksusy.

Przez cały ten czas ja sama byłam w większym lub mniejszym stopniu skazana na szkolny pokój. Nie miałam lekcji, ale każdego dnia czytałam z panną Bell francuskie teksty. Pobyt we Francji sprawił, że mówiłam po francusku lepiej niż nasza guwernantka — przyznała to otwarcie, ale zdecydowała, że powinnam ćwiczyć, aby nie stracić nabytych umiejętności — więc codziennie mówiłyśmy i czytałyśmy razem.

Pewnego dnia Olivia oznajmiła mi z podnieceniem, że lady Massingham zamierza urządzić bal. Wszyscy będą zabawnie przebrani i w maskach. Olivia była zachwycona pomysłem.

— Kiedy zakryję twarz maską, nie będę się czuła tak niepewnie

— powiedziała. — Myślę, że polubię bale maskowe.

— To bardzo podniecające, nie wiedzieć, z kim się rozmawia — przytaknęłam.

— Tak, ale kiedy o północy wszyscy zdejmą maski, możesz przeżyć lekki wstrząs.

— Chciałabym pójść z tobą.

— Nie rozumiem dlaczego... Moira Massingham uważa, że to bardzo dziwne, iż jeszcze nie „bywasz”. Mówi, że jesteś wystarczająco dorosła i że jej matka też sądzi, że to nienormalne.

— Mam nadzieję, że ojciec zmieni w końcu zdanie — powiedziałam.

— Ale na razie nie możesz iść na bal maskowy.

— Och, tak bardzo bym chciała, żeby mi pozwolono.

— Za kogo byś się przebrała?

— Chyba za Kleopatę. Wyglądałabym doskonale z wężem owiniętym wokół szyi.

Olivia wybuchnęła śmiechem.

Następnego dnia oznajmiła:

— Rozmawiałam z Moirą Massingham w Denton i ona uznała, że powinnaś pójść na ten bal. „Dlaczego nie?” — powiedziała. Nikt się nie dowie, a ty możesz jak Kopciuszek zniknąć przed północą, zanim wszyscy zdejmą maski.

Ta wizja bardzo mi się spodobała.

— Ale byłabym nieproszonym gościem.

— Nie, jeśli powiemy Moirze. Ostatecznie ten bal jest dla niej. Może zaprosić swoją

przyjaciółkę, prawda?

Perspektywa udziału w takiej zabawie przydała kolorytu mijającym monotennie dniom. Moira Massingham mówiła, że na myśl o balu czuje dreszcz podniecenia. Musiałyśmy dochować sekretu. Moira przyszła do nas na herbatę, którą miałyśmy wypić we własnym gronie — ustępstwo na rzecz dorosłości Olivii. Nie byłam pewna, czy ojciec wie, że mam wziąć udział w tym podwieczorku, ale postąpiłam tak, jakby wiedział.

— To skandal, że jeszcze nigdzie nie bywasz — powiedziała Moira, kiedy siostra wyszła z pokoju po jakiś żurnal, który chciała pokazać przyjaciółce. — Może chcą, żeby Olivia zaręczyła się pierwsza i uważają, że ty odbierzesz jej szansę.

— Dlaczego?

— Bo jesteś ładniejsza.

— To mi nie przyszło do głowy.

— Nieważne. Musisz przyjść na nasz bal.

Olivia wróciła, a ja zastanawiałam się nad tym, co powiedziała mi Moira. Byłam ciekawa, czy moja siostra podziela opinię przyjaciółki. Biedna Olivia, była przekonana, że nikt nie uważa jej za ładną.

Wprowadzenie mnie na bal wymagało wielu zabiegów. Gdyby nasze plany zostały odkryte, z pewnością zostałabym w domu. Udział Moiry w spisku pozwalał mi nie uważać się za intruza. Ale jak niepostrzeżenie wyjść z domu w balowej sukience?

Kiedy Rosie dowiedziała się o wszystkim — pokusa pochwalenia się przed nią okazała się zbyt silna — natychmiast przejęła inicjatywę.

— Trzeba dużo zręczności — przyznała — ale poradzimy sobie.

Proszę zostawić to mnie.

Zdecydowała, że Thomas, stangret, zostanie wprowadzony w nasz plan.

— Zrobi to dla mnie — powiedziała ze śmiechem. — Nikt inny nie zaryzykuje utraty pracy, a Thomas wie, że pan niełatwo znalazłby kogoś na jego miejsce. Gdyby nie on, w stajni nie panowałby taki porządek. Pomoże nam.

Ustaliliśmy zatem, że przekradnę się do tylnych drzwi bocznym korytarzem, przez który rzadko ktoś przechodził, a potem przez ogród pobiegnę do stajni, gdzie będzie na mnie czekał Thomas z powozem. Rosie sprawdzi, czy droga jest wolna. Wsiądę do powozu i skulę się w kąciaku, żeby pozostać niezauważoną, kiedy stangret zajedzie przed frontowe drzwi po Olivię.

— Czy myślisz, że ciotka Imogena pojedzie z Olivią? — spytałam. To był największy problem. Gdyby pojechała, cały plan wzięłby w łeb.

— Przekonam matkę, że bal maskowy polega na tym, aby nikt nie wiedział, kto jest kim — oznajmiła energiczna Moira. — W związku z tym opiekunki nie powinny w nim uczestniczyć. Powiem, że chcę zaprosić jedynie te dziewczęta, które umieją same zatroszczyć się o siebie. Żadnych debutantek, tylko sprawdzona brygada.

Chichotałyśmy, nie mogąc powstrzymać radości, i z rozkoszą ustalałyśmy szczegóły.

— Za kogo się przebierzesz, Caroline? — spytała Moira, która na ten jeden wieczór chciała się stać lady Jane Grey*.

— Och, rozmawiałyśmy o tym — odrzekła Olivia. — Caroline planuje coś całkiem szalonego.

— Myślałam o Boadicej*.

* Lady Jane, Joanna Grey (1537–54) — królowa Anglii (10–19 VII 1553), wnuczka siostry Henryka VIII (przyp. red.).

* Boadicea — królowa celtyckiego plemienia Icenów, pokonana przez Rzymian, otruła się, by nie wpaść w ręce wroga (przyp. red.).

- Musiałabyś mieć rydwan.
- Wspaniale byłoby wpaść na salę, tratując wszystko po drodze.
- Mów z sensem — odezwała się Moira.
- Diana Łowczyń. To by było zabawne. Helena Trojańska. Maria królowa Szkocji.
- Pomyśl o kostiumach.
- Każdy z tych pomysłów jest niemożliwy do zrealizowania.

Otworzyłyśmy garderobę Olivii. Znalazłam płaszcz obszyty paciorkami w taki sposób, że przypominały hieroglify. Włożyłam go i rozpuściłam ciemne włosy. Wróciłam do pierwotnego pomysłu: będę Kleopatram.

— Doskonale! — zawołała Moira i klasnęła w dłonie. — Potrzebna ci jeszcze długa czarna suknia. O, ta. Przymierz.

Spojrzała na mnie krytycznie, przekrzywiając głowę, i oznajmiła, że ma w domu naszyjnik, który wygląda zupełnie jak wąż. Należał do jej babki.

— To będzie twoja zmija.

Przygotowywałyśmy nasze przebrania w podnieceniu.

Byłam pewna, że moja siostra bardziej interesuje się moim kostiumem niż swoim własnym, wymyślonym przez ciotkę Imogenę. Olivia miała być Neli Gwynn* z koszem pomarańczy jako znakiem rozpoznawczym.

Thomas chętnie zgodził się nam pomóc — zapewne przede wszystkim ze względu na Rosie. Ale sądzę, że służący zauważyli, iż w domu traktuje się mnie niesprawiedliwie i dlatego chętnie wyświadczali mi drobne przysługi.

Nasze tajne stowarzyszenie czekało na noc balową z ogromną niecierpliwością. Moira przyniosła nam maski. Wszyscy dostali takie same — powiedziała. Były duże, czarne i ukrywały twarz tak dobrze, że wydawało się, iż tylko bardzo uważny obserwator może nas rozpoznać.

Rosie przymierzyła nasze kostiumy i miałam wrażenie, że chętnie zgodziłaby się nam towarzyszyć. Ale kiedy o tym wspomniałam, odrzekła:

— Och nie, moje kurczaczki. To jedna z moich „wychodnych” nocy. Mam swoją własną rybę do usmażenia.

Umówiłyśmy się, że wieczorem wpuści mnie do domu tylnym wejściem, zamierzała bowiem wrócić przed jedenastą. Olivia wysiadzie przed frontowymi drzwiami, które także otworzy jej Rosie — jako główna pokojówka zobowiązana do czuwania i czekania na domowników. Potem Thomas zawiezie mnie do stajni. Pobiegnę przez ogród do tylnych drzwi, gdzie spotkam Rosie, a ona dopilnuje, żeby nikt nas nie zobaczył w korytarzach.

Nadszedł wielki wieczór. Byłyśmy bardzo zdenerwowane, gdy Olivia pomagała mi włożyć przebranie. Przedtem zamknęła drzwi na zasuwkę. W końcu byłam gotowa — zarzuciłam na ramiona płaszcz w hieroglify i zapięłam na szyi mojego węża. Włosy — uczesane przez siostrę — opadały mi na ramiona. Na głowie miałam diadem z twardej tektury, pomalowany na czerwono, niebiesko i złoto. Wyglądałam bardzo efektownie i wierzę, że osiągnęłam pewne podobieństwo — choćby minimalne — do sławnej królowej Egiptu.

Zbliżał się niebezpieczny moment, gdy musiałam niepostrzeżenie wymknąć się z domu. Uniknęłyśmy towarzystwa ciotki Imogeny i panny Bell, ale najgroźniejsze chwile były dopiero przed nami. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie Rosie. To ona upewniła się, że droga jest wolna i zaprowadziła mnie do stajni, gdzie Thomas z miną spiskowca czekał na koźle.

— Niech się pani skuli, panno Caroline — powiedział. — Ho, ho, prawdziwa z panienki

* Neli Gwynn — właściwie Eleanor Gwynn (1650–87) — aktorka angielska, grająca główne role w dramatach J. Drydena i J. Howarda; słynna recytatorka prologów i epilogów (przyj. red.).

piękność. Kogo panienka przedstawia?

— Kleopatrze.

— Kim jest, gdy wychodzi z domu? — Stangret szczyił się własną nowoczesnością i zawsze miał na języku najświeższe powiedzonka.

— Była królową Egiptu.

— No cóż, a panienka będzie królową balu, który jest bliżej niż Egipt, prawda?

Ryknął śmiechem. Nasz stangret zawsze zaśmiewał się do łez z własnych dowcipów. Kłopot polegał na tym, że nikt inny nie uważał tych żartów za zabawne.

— Teraz niech się panienka schowa — ostrzegł. — Inaczej będziemy w tarapatach, a panna Rundall nie życzy sobie tego ani trochę, prawda? Ja sam znalazłbym się w niełasce, zapewniam panienkę.

Zajechaliśmy przed dom i Thomas zeskoczył z kozła, by pomóc Olivii wsiąść do karety. Rosie stała na progu, ubrana w wieczorną toaletę i gotowa do usmażenia ryby, o której wspomniała. Moja siostra rzuciła się do powozu, z podniecenia i zdenerwowania prawie gubiąc pomarańcze z koszyka.

Ruszyliśmy do pałacu Massinghamów.

Była to wielka, imponująca rezydencja granicząca z parkiem. Z długiego sznura powozów na dziedzińcu wysiadali zamaskowani goście. Przechodnie patrzyli z rozbawieniem, jak znikają wewnątrz domu.

Nie było oficjalnego powitania, założono bowiem, że nikt nie zna nikogo.

— Dziesięć minut przed północą — powiedziała Olivia, kiedy wysiadłyśmy z powozu. — Nie później, Thomas.

Stangret dotknął daszka czapki.

— Wiem, panno Olivio. Zanim wszyscy zdejmą maski, prawda? Nie powinno się wydać, kto jest kim, prawda? — Trząśł się ze śmiechu.

— O to właśnie chodzi — odpowiedziałam.

— No cóż, panienki, bawcie się dobrze. Możecie polegać na starym Thomasie, wróć na czas.

Odjechał chichocząc, a Olivia i ja poszłyśmy na bal.

Ogromny salon doskonale nadawał się na salę balową. Przystrojono go kwiatami, a kiedy weszłyśmy, orkiestra grała już jakąś uroczą melodię. Przez okna widziałam ogród, który w świetle księżyca wyglądał bardzo romantycznie. Ustawiono w nim białe krzesła i stoliki, a widoczny w oddali park sprawiał wrażenie tajemniczego lasu. Dostrzegłam srebrny błysk między drzewami i domyśliłam się, że to jezioro.

Trzymałam się blisko siostry. Podeszli do nas dwaj mężczyźni. Jeden miał na sobie saksońską tunikę i sandały, drugi był wymuskany szlachcicem z dawnego dworu francuskiego.

— Dobry wieczór, piękne panie — odezwał się ten pierwszy. Odpowiedziałyśmy na powitanie. Jeden z nich podał ramię Olivii, drugi mnie.

— Zatańczmy — zaproponował Francuz.

Mnie przypadł Saksończyk, Olivia zatańczyła walca w ramionach księcia Richelieu, czy kim tam on miał być. Dłoń Saksończyka spoczęła na mojej talii.

— Ale tłum! — powiedział.

— A czego się pan spodziewał? — odparłam.

— Nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że są wśród nas nieproszeni goście.

Zesztywniałam ze strachu. Ten człowiek wie! — pomyślałam. Ale skąd? Odsunęłam od siebie obawy. Po prostu starał się zacząć rozmowę.

— Nietrudno tu wejść — zauważyłam.

— Nic łatwiejszego. Zapewniam panią jednak, że ja otrzymałem zaproszenie osobiście z rąk

lady Massingham.

— Nie żywię co do tego wątpliwości — odpowiedziałam. Trudno było tańczyć, tak wielu gości znajdowało się wokół nas.

— Usiądźmy — zaproponował mój partner.

Tak uczyniliśmy — przysiedliśmy przy stoliku w rogu, za zielonymi palmami.

— Myślałem, że łatwo będzie się domyślić, kto jest kim — powiedział Saksończyk. — Ostatecznie widzimy się dosyć często. Zawsze ten sam tłum. Ten bal to okazja... Młode panny mogą spotkać młodych dżentelmenów, wybranych przez troskliwe mamy.

— Sądzę, że to nie do uniknięcia w małych kręgach.

— Czy można nazwać ten tłum małym kręgiem?

— Śmietanka towarzyska nie jest liczna.

— Czy czuje pani zdumienie, wyszukując cechy, które muszą posiadać jej członkowie?

— Nie powiedziałam, że czuję zdumienie. Po prostu daję panu wyjaśnienie.

— Odgadła pani, kim jestem?

— Nie.

— A ja nie rozpoznałem pani. Znam natomiast młodą damę, z którą pani przyjechała. Spotkałem ją już wcześniej.

— Kogo ma pan na myśli?

— Nie wiedziała pani? Myślałem, że przyjechałyście razem. Ale teraz sądzą, że tylko spotkałyście się przed wejściem. To Olivia Tressidor, jestem tego pewien.

— Czy może pan być pewien? Nosi maskę jak my wszyscy. Roześmiał się w odpowiedzi.

— Wciąż zastanawiam się nad panią. Mam zamiar odkryć pani tożsamość, zanim wszyscy zdejmą maski.

Jakiś mężczyzna stanął przy naszym stole.

— Cedryku Saksończyku — powiedział — narzucasz się dostojnej królowej?

Wybuchnęliśmy śmiechem.

— Próbowałem odgadnąć, kogo kryje to przebranie. Nieznajomy usiadł obok nas i oparł łokcie na stoliku, wpatrując się we mnie uważnie. Był przebrany za kawalera*.

Na sali znajdowało się wiele takich kostiumów.

— To część zabawy, czy nie? — powiedział. — Odgadnąć, kto kim jest przed finałem.

— Założyłem się z Tomem Crosbym, że rozpoznam więcej młodych dam niż on — oświadczył mój towarzysz.

— Ostatecznie — zauważyłam — wiemy, że nie jest pan Tomem Crosbym. Tyle przynajmniej pan zdradził.

— Ach, moja droga i pełna wdzięku królowo, skąd wiesz, że nie powiedziałem tego specjalnie, by wywieść cię w pole? A może jestem Tomem Crosbym?

— Każdy by się domyślił, że nie jesteś Tomem Crosbym — odrzekł kawaler. — Życzę ci powodzenia w zakładzie. Nie zechciałaby pani zatańczyć?

Uklonił się, a ja wstałam. Byłam raczej zadowolona, że opuszczam Cedryka, który tak szybko rozpoznał Olivie w jej przebraniu. Uważałam, iż jest zbyt wścibski i zastanawiałam się, czy już odgadł, że nie należę do zaproszonych.

Rycerz był dobrym tancerzem. Ja także, gdyż we Francji dużo czasu poświęcono tej uroczej rozrywce.

Tańczyliśmy w milczeniu. Było bardzo głośno i zewsząd słyszało się stłumione śmiechy. Zerknęłam na japońską damę, której pulchne ciało z trudem mieściło się w kimonie. Zza

* Kawalerowie — rojaliści, stronnictwo króla Karola I Stuarta podczas wojny domowej 1642–48 (przyp. red.).

trzepotliwego wachlarza posyłała bardzo kokieteryjne spojrzenia zażywnemu Henrykowi VIII. Mój towarzysz skierował wzrok w tym samym kierunku i uśmiechnął się.

— Raczej dziwaczna kombinacja — zauważył. — W jaki sposób gejsza zablądziła na dwór Tudorów?

Przestaliśmy tańczyć i stanęliśmy przy oknie.

— Ogród wygląda zachęcająco — odezwał się mój towarzysz. Zgodziłam się z nim.

— Chodźmy na spacer — zaproponował.

Wymknęliśmy się na zewnątrz. W ogrodzie było o wiele przyjemniej niż w sali. Mój towarzysz zaprowadził mnie do jednego z białych stolików i usiedliśmy.

— Intryguje mnie pani — powiedział. — Nie sędzę, bym spotkał panią kiedykolwiek wcześniej.

— Prawdopodobnie po prostu mnie pan nie zauważył.

— To właśnie mnie zdumiewa. Jestem pewien, że zwróciłaby pani moją uwagę.

— Skąd ta pewność?

— Och, ta odpowiedź nie jest warta węża ze starego Nilu. Nawiasem mówiąc, pani przebranie jest doskonale.

Oparłam się wygodnie na krześle. Zaczynałam odczuwać niezwykle ożywienie. W powietrzu czuło się czary: zamaskowani goście, światła, park skąpany w świetle księżycy, delikatna muzyka dobiegająca z salonu... i może świadomość, że przychodząc tutaj, pogwałciłam ojcowski zakaz. Dzięki temu cały wieczór miał dla mnie posmak tajemniczej przygody.

Czułam się bardzo pewnie. Ci młodzi ludzie rozpoznawali inne przebrane dziewczęta, ponieważ widywali je na każdym przyjęciu. Domyślałam się, że nie tylko Cedryk Saksończyk poczynił zakłady. Rozbawiło mnie to. Nikt nie mógł zgadnąć, kim jestem z tej prostej przyczyny, że nikt nie widział mnie wcześniej.

— Pańscy towarzysze broni stawili się licznie dziś wieczór — powiedziałam.

— Będziemy wspólnie walczyć przeciw tym podłym okrągłogłowym.

— Dostrzegłam tylko jednego. Kim pan jest? Rupertem Reńskim*?

— Nie mierzyłem tak wysoko — powiedział. — Jestem zwykłym sługą króla, gotowym bronić go przed Parlamentem. Czy ten ogród nie jest przyjemny, Wasza Wysokość? Nie mam pewności, czy tak właśnie należy się zwracać do królowej Egiptu.

— Wasza Wysokość może być, dopóki nie zdejmę maski.

— Gdybym wiedział, że panią spotkam, przebrałbym się za Marka Antoniusza. Albo może za Juliusza Cezara.

— Śmiem twierdzić, że Cezar z pewnością tańczy gdzieś na sali.

— W takim razie muszę zachować ostrożność. Jakie szanse ma przeciw niemu zwykły rycerz?

— To zależy od rycerza — odparłam zuchwale. Kilka par tańczyło już w ogrodzie.

— Pozwoli pani? — spytał. — Nie uważa pani, że nasze stopy rozumieją się doskonale?

— Przyszło mi do głowy, że idzie nam całkiem nieźle.

— Jakże się cieszę, że panią znalazłem i wyrwałem z łap tego nudnego Saksona.

— Wcale nie wydał mi się nudny, raczej dociekliwy.

— Saksończycy byli zupełnie pozbawieni ogłady. Czy to nie oni malowali sobie twarze roślinnymi barwnikami?

— Nie, to starożytni Brytowie.

— Saksończycy byli niemal tak samo źli. W przeciwieństwie do wyrafinowanych kawalerów. Jestem zaskoczony, że James Eliot przebrał się za rycerza saksońskiego. Myślałem, że wybierze

* Rupert Reński — syn Fryderyka V, elektora Palatynatu Reńskiego, siostrzeniec Karola I, dowódca angielskiej armii i floty, najwybitniejszy dowódca rojalistów w wojnie domowej 1642–48 (przyj. red.).

kogoś sławnego: Wielkiego Chana czy Marco Polo, nie sądzi pani?

— Och... nie wiem.

— Poznałem go od razu, a pani?

— N... nie.

— Nie! Jestem zaskoczony. Myślałem, że to oczywiste. Na balach tego rodzaju można łatwo rozpoznać większość uczestników. Ich głosy... postawa, ruchy. Przypuszczam, że po prostu zbyt często się spotykamy. Ale pani, uroczą królowo, pani pozostaje zagadką. Nie sądzę, bym widział panią kiedykolwiek wcześniej. Zastanawiam się, czy nie zechciałaby pani uchylić rąbka tajemnicy... to znaczy rąbka maski.

— Nie zrobię nic takiego. Będę się za nią ukrywać aż do północy.

— Cóż za okrucieństwo! Z każdą chwilą jestem coraz bardziej zaintrygowany.

Pociągnął mnie w kierunku ogrodowego muru, który był tu niski i pozwalał widzieć park.

— Jaka piękna noc! — powiedziałam.

— Z każdą chwilą wydaje mi się piękniejsza.

Flirtował ze mną — zorientowałam się nagle. Byłam zadowolona, gdyż towarzystwo tego mężczyzny sprawiało mi przyjemność. Zauważył nagle:

— Jakże się pani różni... od innych dziewcząt.

— Każda ludzka istota jest wyjątkowa — odrzekłam. — To jeden z cudów natury.

— Doprawdy? Dostrzegam raczej dość nużące podobieństwo między wszystkimi młodymi damami, którym jestem zmuszony towarzyszyć codziennie.

— Może to wina pańskich oczu.

— Chciałbym, żeby dziś wieczór lepiej mi posłużyły. Muszę ujrzeć twarz, kryjącą się za tą maską. Będę przy pani, gdy wybije północ.

Poczułam dreszcz niepokoju, lecz postanowiłam nie martwić się na zapas. Było wcześniej, a ja nie zakosztowałam jeszcze wszystkich uciech, jakie obiecywałam sobie po tym wieczorze. Przez chwilę zastanawiałam się, co robi Olivia.

— Jest pani bardzo tajemniczą damą — ciągnął mój towarzysz.

— No cóż, czy tajemnica nie jest główną atrakcją balu maskowego? Można rozmawiać z ludźmi, o których nie wiadomo, kim są. Każdy musi mieć się na baczności...

— Nie zgadzam się, efekt powinien być odwrotny: mamy być beztroscy i mówić rzeczy, które zwykle ukrywamy. Jakie ma znaczenie, co robię dziś wieczorem? Przecież nikt nie wie, kim jestem... aż do północy.

— Chyba że, jak nasz Cedryk, będziemy odkrywać tożsamość zebranych.

— Och, niektóre zagadki są dziecinnie łatwe. Widzi pani Marię Antoninę? Mogę przysiąc, że to lady Massingham. Powiedziałem sobie: ta dama posiada lekką nadwagę — mimo pobytu w więzieniu! A dżentelmen, który jest naszym gospodarzem... za kogo się przebrał? Łatwiej zgadnąć, kim być powinien, niż kim jest naprawdę. Doktorem Johnsonem? Czy Robespierre'em? Na pozór łatwo odróżnić tych dwóch dżentelmenów, ale niech mnie kule biją, jeśli potrafię. Tańczycie pani bosko.

— Panu zaś świetnie idzie prawienie komplementów. W takim tłumie nie sposób zauważyć, jak kto tańczy.

— Proszę, droga, czarująca królowo Egiptu, szepnij mi do ucha swoje imię.

— To wbrew zasadom.

— Zawsze przestrzega pani zasad?

Zawahałam się lekko.

— Ach — odpowiedział szybko. — A więc nie zawsze. Jest pani buntowniczką. Zupełnie jak ja. Jak daleko posuwa się pani w łamaniu zasad towarzyskich?

— Nie spodziewa się pan chyba, że to wyjawię?

— Dlaczego nie? Nie znam pani, a pani nie zna mnie.

— Człowiek nie powinien nigdy pozwalać sobie na niedyskrecję, nawet względem nieznajomych.

— Jaka głęboka myśl. Może kiedy pozna mnie pani lepiej...

— Dziś wieczór mogę być tylko Kleopatram, a pan pozostanie Rupertem Reńskim.

— Mam przeczucie, że dzisiejszy wieczór to dopiero początek. Chwył moją dłoń gwałtownie i zbliżył twarz do mojej twarzy.

Ujrzałam jasnyniebieskie oczy, lśniące w otworach maski. Przyglądały mi się bardzo uważnie.

— Drogi Wężu Nilowy — powiedział nieznajomy — mam przeczucie, że pani i ja zawrzemy bardzo bliską znajomość.

Przez chwilę myślałam, że mnie pocałuje i prawie tego chciałam. Nie obchodziło mnie, czy jestem rozważna. Cieszyłam się, że poznaję świat, do którego Olivia miała swobodny dostęp, a w którym ja byłam intruzem.

Rupert Reński dotknął wisiorka na mojej szyi.

— Jaki sprytny sposób, by wyobrazić zmię. Mam nadzieję, że nie posunie pani naśladownictwa zbyt daleko. Och... mam wrażenie, że widziałem już tę ozdobę. Jest dość oryginalna. Pamiętam, że widziałem ten klejnot na szyi pewnej młodej dziewczyny. Ach... tak. Znalazłem. To była lady Jane Grey, inaczej mówiąc Moira Massingham. Ale pani nie jest Moirą Massingham, prawda? Klucz do zagadki! Jest pani bliską przyjaciółką tej młodej damy i pożyczyła pani naszyjnik. Zmowa, droga królowo. Spisek. Kto jest obecnie najlepszą przyjaciółką panny Massingham? Sądziłem, że panna Olivia Tressidor. Widziałem, że przyszłyście razem. Zauważyłem panią od razu. Mimo maski dostrzegąłem się pani podniecenie, ciekawość każdej chwili. I ani śladu znudzenia, które młode panny okazują dziś z ochotą. Rozmawiała pani z Olivią Tressidor, kiedy zjawił się saksoński barbarzyńca. Obserwowałem panią!

Czułam się coraz bardziej zakłopotana. Odwróciłam głowę w stronę parku i powiedziałam:

— Zdaje się, że podano już kolację.

— Owszem. Proszę przyjąć moje ramię.

Wszystko wokół mnie błyszczało i było takie ekscytujące. Bawiłam się doskonale i czułam się szczęśliwa. Pragnęłam, aby ten wieczór nigdy się nie skończył. Mój towarzysz okazał się bardzo zabawny, a obawa, że odkryje prawdę, tylko podsycala mój dobry humor. A jeśli dowie się wszystkiego? Będzie się śmiał, nie miałam co do tego wątpliwości. Nigdy mnie nie zdradzi. Nie dziś wieczór, być może. Ale potem nie omieszka opowiedzieć tej historii przyjaciółom.

Było nam coraz weselej. Powiedział, że mądrze wybrałam przebranie, gdyż Kleopatram podziwiali wszyscy. Szkoda, że całą jej urodę zgasił jeden pocałunek jadawitej żmii.

— Stanowimy tragiczną parę. Biedny Rupercie, popadłeś w niełaskę... w Exeter, zdaje się?

— Pani wiedza historyczna jest głębsza niż moja. Doprawdy to miło ze strony wielkiej królowej, że podniosła mnie do rangi księcia i dowódcy, gdy wszedłem do tego domu jako zwykły żołnierz.

I tak toczyła się nasza rozmowa.

Wypiłam trochę szampana i czułam się coraz bardziej beztroska. Tańczyliśmy. Rozmawialiśmy. Chwilami mój partner przybierał ton powagi. Chciał, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

— Czekam na północ z niecierpliwością — powiedział — a jednak nie chcę, by ten wieczór się skończył.

Ja sama oczywiście nie wyglądałam północy, która miała mnie zastać w powozie, dbającą tylko o to, by niepostrzeżenie przekraść się do domu. I oczywiście ani trochę nie pragnęłam, by wieczór

się skończył. Były to najradośniejsze godziny mojego życia, no i nie chciałam pożegnać uroczego towarzysza zabawy.

Lokaje, pod wodzą wspaniałego majordomusa w niebiesko — złotej liberii, stali przy stole uginającym się od potraw. Kurczęta i kaczki skwierczały na srebrnych podgrzewanych półmiskach. Łososie leżały na talerzach ozdobionych rzeżuchą i plasterkami ogórka. Po całym stole rozsiane były pasztety nadziewane różnymi pysznościami.

Kiedy nałożono nam jedzenie, wzięliśmy talerze i usiedliśmy przy jednym z dwuosobowych stolików, a potem rozmawialiśmy przy jedzeniu.

— Pani oczy są zielone — powiedział Rupert. — Nie pamiętam, bym kiedykolwiek widział oczy równie intensywnej barwy. Jest pani tajemniczą kobietą. Ale wkrótce się dowiem wszystkiego. Czy zdaje pani sobie sprawę, że za godzinę maska przestanie skrywać pani twarz?

— Za godzinę?

— Droga królowo, lada chwila wybije jedenasta. — Wpatrywał się we mnie uważnie. — Czego się pani boi?

— Boję się? Wcale nie. Czemu miałabym się bać?

— Może istnieje wiele powodów. Zaczynam się zastanawiać, czy nie powinna była pani przebrać się raczej za Kopciuszka. To dama, która musiała zniknąć z balu przed północą, czy nie tak?

Roześmiałam się, ale nie sądzę, by mój śmiech zabrzmiał szczerze. Teraz musiałam obmyślić ucieczkę. Wiedziałam, że nie pójdzie mi łatwo, gdyż mój towarzysz był bardzo czujny.

— Zatańczmy — zaproponował. — A może znów wyjdziemy do ogrodu?

— Nie — odrzekłam stanowczo, zdecydowawszy, że łatwiej będzie zgubić go w zatłoczonym salonie niż w ogrodzie.

W sali znajdował się wielki zegar. Przystrojono go kwiatami i ustawiono tutaj na czas balu. Wybijał godziny, a ja widziałam w duchu scenę, która nastąpi o północy.

Było wpół do dwunastej.

Rozejrzałam się wokół, nigdzie jednak nie dostrzegłam Olivii. Czy była równie niespokojna? Zatańczyliśmy. Wskazówka wolno pełzła naprzód. Miałam dwadzieścia minut. Za dziesięć dwunasta Thomas przyjedzie na dziedziniec. Musiałam znaleźć siostrę. Nie, z pewnością czekała już na ganku, skulona w jakimś kąciuku.

Za kwadrans północ.

Nie śmiałam ryzykować dłużej.

— Chce mi się pić — powiedziałam. — Może pan przynieść mi kieliszek szampana?

— Pragnie pani dodać sobie odwagi przed zdjęciem maski?

— Może. Ale proszę zrobić to dla mnie.

— Niech pani poczeka tutaj. Zaraz wrócę.

Bufet znajdował się w rogu salonu. Musiałam się śpieszyć. Rzuciłam się w tłum... pobiegłam po schodach do holu. Drzwi były otwarte, a Olivia czekała na ganku.

— Myślałam, że nigdy nie przyjdiesz — szepnęła.

— Trudno mi było uciec.

— Thomas już czeka. Chodź.

Pobiegliśmy. Stangret otworzył drzwiczki powozu, a my wskoczyliśmy do środka.

— Wszyscy obecni i przytomni? — spytał ze śmiechem i ruszyliśmy.

Usiadłam wygodnie — czułam ulgę, lecz także smutek, ponieważ zabawa się skończyła.

— Jak było? — spytała Olivia.

— Wspaniale. A co ty myślisz?

— Cieszę się, że już wracamy.

— Dużo tańczyłaś?

— Sporo.

— Łosoś był wyśmienity, a szampan... — odezwałam się marzycielskim tonem.

— Nie wypiłaś zbyt dużo, prawda? — spytała Olivia z niepokojem.

— Co znaczy: za dużo? Wiem tylko, że miałam cudowny humor i byłam podekscytowana, i że to był najwspanialszy wieczór w moim życiu.

— Jesteśmy w domu, moje panienki — oznajmił Thomas, a moja siostra powiedziała szybko:

— O nic się nie martw. Rosie będzie czekała na ciebie przy tylnych drzwiach.

— Wszystko poszło jak z płatka — odrzekłam. — Doskonała strategia. Przykład idealnej organizacji. Wszystko się udało, chociaż pilnował mnie jakiś bardzo dociekliwy dżentelmen.

— To jeszcze nie koniec — ostrzegła mnie Olivia. — Będę siedziała jak na szpilkach, dopóki nie zdejmiesz kostiumu.

Stangret zeskoczył z kozła, wbiegł po schodach i zadzwonił do drzwi, które się otworzyły i Olivia weszła do środka.

— Załatwione — powiedział Thomas.

Kilka minut później wjechaliśmy do stajni, a ja pobiegłam do tylnego wejścia.

Stałam w cieniu, czekając na Rosie. Panowała absolutna cisza. Z pewnością coś zatrzymało naszą sojuszniczkę. Ustaliłyśmy przecież, że przyjdzie po mnie natychmiast. Zaczynałam drzeć z zimna, a trochę i z niepokoju. Czy coś się stało? Gdzie Rosie? Co mogę zrobić bez klucza, ubrana w ten absurdalny kostium?

Nagle drzwi się otworzyły, ale ujrzałam w nich nie pokojówkę, lecz Olivię.

— Nie mogłam przyjść wcześniej — szepnęła.

— Dlaczego? Gdzie jest Rosie?

— Wchodź szybko. Nikt nie może cię zobaczyć. Przekradliśmy się bezpiecznie do sypialni. Po drodze siostra nie odezwała się ani słowem. Była blada i drżała.

— Coś się stało. Rosie nie ma w domu.

— W takim razie gdzie jest?

— Nie wiem. Wpuściła mnie jedna ze służących. Nie wiedziała, gdzie jest Rosie, więc musiałam sama pójść po ciebie.

— To niepodobne do niej, żeby tak nas zawieść.

— Też tego nie rozumiem. Okazała wcześniej tyle zapału. Nieważne, dowiemy się, kiedy przyjdzie pora. Lepiej pozbądź się tego stroju. Nie poczuję się bezpieczna, dopóki nie zobaczę cię w koszuli nocnej.

Był to niespodziewany upadek z obłoków — przykre zakończenie wspaniałego wieczoru. Co przydarzyło się Rosie? Zawsze uważałam ją za wyjątkową kobietę. Kiedy wychodziła z domu, nic nie świadczyło, że jest pokojówką. Gdzieś w głębi serca zawsze żywiłam obawę, że pewnego dnia od nas odejdzie. Wiedziałam, że kilku służących patrzy na nią z uwielbieniem i byłam pewna, że Rosie wyjdzie za mąż. Dziwiłam się nawet, że jeszcze tego nie zrobiła. Miała w sobie coś tajemniczego. W jej oczach pojawiały się czasem dziwne iskierki rozbawienia — zwłaszcza kiedy wracała z „wychodnego”.

Ale teraz pozostało mi jedynie rozebrać się szybko. Ogarnęło mnie przygnębienie, kiedy zdjęłam mój królewski strój. Nie byłam już ekscytującą królową o twarzy zakrytej maską. Byłam sobą — dziewczyną, która jeszcze nie „bywa”, i nie miałam nic wspólnego z fascynującą nieznaną, za którą mogłam się uważać jeszcze kilka godzin wcześniej.

To ów mężczyzna sprawił, że poczułam się niezwykła. Rupert Reński! Uśmiechnęłam się do siebie. Dużo bym dała, by wiedzieć, kim był. Oczywiście wkrótce zostaną wprowadzona do towarzystwa. Co prawda skończyłam siedemnaście lat zaledwie kilka tygodni wcześniej, ale już

najwyższy czas — tak twierdzili wszyscy.

Tej nocy niewiele spałam.

Rano w domu zapanował chaos. Dowiedziałam się od jednej ze służących, że Rosie odeszła.

— Odeszła! — zawołałam. — Odeszła, dokąd?

— Tego właśnie nie wiadomo, panno Caroline.

— Wróciła do domu dziś w nocy?

— No cóż, pani Terras twierdzi, że wróciła. Ale nikt inny jej nie widział. W każdym razie dzisiaj jej nie ma.

— Zniknęła bez pożegnania?

— Na to wygląda. Nie ma jej rzeczy... wszystkich jej pięknych sukienek.

Nie mogłam uwierzyć.

Byłam tak zdumiona, że spróbowałam wypytać pannę Bell. Wątpię, czy gdyby nawet coś wiedziała, zechciałaby nas oświecić. Rzuciło się jednak w oczy, że zniknięcie Rosie stanowi dla niej taką samą zagadkę, jak dla nas.

Nasz ojciec nie pojechał do banku tego ranka. Powóz zajechał pod dom — i został odesłany. Tata siedział w swoim gabinecie i nie wolno mu było przeszkadzać.

W domu panowała dziwna atmosfera, choć możliwe, że tylko to sobie wyobraziłam, gdyż zniknięcie Rosie nappełniło mnie przygnębieniem.

Czytałam w szkolnym pokoju z panną Bell i Olivią, która czasem także z nami siedziała, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i służąca wniosła dwanaście czerwonych róż.

— Właśnie je dostarczono, panienko — oznajmiła. Panna Bell wstała i przeczytała bilecik:

— Dla panny Tressidor? Och, Olivio. To dla ciebie. Moja siostra poczerwieniła i wzięła róże.

— Są piękne — powiedziałam.

Potem przeczytałam kartkę przypiętą do bukietu. Napisano na niej: „Dziękuję. Rupert Reński”. Odwróciłam się i pomyślałam: Odgadł, kim jestem. I przysłał mi kwiaty!

Olivia wyglądała na oszołomioną, a panna Bell się uśmiechnęła.

— Oczywiście chodzi o kogoś dzentelmena z balu — zauważyła.

— Rupert Reński... — zaczęła Olivia i spojrzała na mnie.

— Rupert Reński — ciągnęła panna Bell. — Na pewno miał na sobie zbroję. Raczej trudno rozpoznać kogoś w takim przebraniu.

— Ale tam nie było nikogo w zbroi.

— Musiał być i zwrócił na ciebie uwagę.

— Czy mam je wstawić do wody, panno Olivio? — Służąca czekała.

— Tak — odrzekła moja siostra. — Proszę, zrób to. Po tej scenie nie mogłam się skoncentrować.

— Czytasz dziś fatalnie, Caroline — orzekła panna Bell.

Olivia nie wspomniała o kwiatkach. Przypuszczam, iż nie przyszło jej do głowy, że ktoś może wiedzieć o mojej obecności na balu. Sama zachodziłam w głowę, jak Rupert odgadł moje nazwisko.

Olivia, panna Bell i ja piłyśmy herbatę w małym, przeznaczonym do tego celu saloniku, gdy służąca oznajmiła, że pan Jeremy Brandon pragnie złożyć nam wizytę. Panna Bell spojrzała na moją siostrę, która oblała się pąsem. Było w zwyczaju, że młodzi mężczyźni zainteresowani panną poznaną na przyjęciu składali wizyty w jej domu i widywali obiekt uczuć w towarzystwie przyzwoitki.

— Może pan Brandon wypije z nami herbatę — odpowiedziała panna Bell uprzejmie.

Wszedł i natychmiast go poznałam. Jego niebieskie oczy od razu powędrowały w moim kierunku i rozbłysły swawolnie. Uniósł dłoń Olivii i ukłonił się jej oraz pannie Bell.

— A to — odezwała się nasza opiekunka — to jest panna Caroline Tressidor, młodsza siostra panny Olivii.

Pan Brandon uklonił się i posłał mi uśmiech spiskowca. Usiadł obok Olivii. Ja siedziałam naprzeciwko nich. Staralam się na niego nie patrzeć, ale w głowie miałam zamęt. Kiedy się domyślił? Musiał wiedzieć, że nie wolno mi było zjawić się na balu. Czułam pewność, że to nie Oliwię chciał zobaczyć i nie jej przysłał róże.

— To był interesujący wieczór — powiedział. — A ogród świetnie się nadaje na takie okazje. Uważam, że niektóre kostiumy były bardzo pomysłowe.

— Musiałam uważać, aby nie gubić pomarańczy z koszyka — odezwała się Olivia. — Szybko zdałam sobie sprawę, że ów rekwizyt nie był szczęśliwym pomysłem.

— Uważam, że Henryk VIII i Maria Antonina byli bardzo zabawni — ciągnął gość. — No i zauważyłem czarującą Kleopatę.

— Śmiej przypuszczać — wtrąciła panna Bell — że było ich kilka.

— Ja dostrzegłem tylko jedną — odparł młody człowiek. Rozmawiali tak przez kilka minut. Zachowywałam się bardzo powściągliwie. Myślę, że panna Bell w duchu rozważała, czy powinnam była uczestniczyć w balu i doszła do wniosku, że nie stałoby się nic złego, choć nie nastąpił jeszcze mój „debiut”. Mój znajomy usiłował włączyć mnie do rozmowy.

— Panno Caroline — zapytał — podobało się pani na balu? Zawahałam się, a panna Bell odrzekła:

— Caroline jeszcze nie bywa, panie Brandon.

— Więc będziemy musieli poczekać do następnego sezonu, by spotykać panią na przyjęciach.

Olivia poruszyła się niespokojnie.

Zaczął ze mną rozmawiać, wpytując o szkołę we Francji. Powiedział, że chętnie ten kraj odwiedza. W pewnym sensie wykluczył pannę Bell i Oliwię z naszej pogawędki.

Czułam jeszcze większe podniecenie niż na balu. Pan Brandon był bardzo przystojny. Miał regularne rysy, błyszczące oczy i usta, których kąciki unosiły się lekko ku górze, co świadczyło, że traktuje życie jak zabawę.

Ale widziałam przerażenie Olivii i potępiające spojrzenia panny Bell.

Żegnając się spytał, czy wolno mu będzie złożyć kolejną wizytę, a panna Bell odrzekła, że z przyjemnością znów go zobaczymy.

Olivia nie wspomniała o naszym gościu, co wydało mi się dziwne, ale sprawiała wrażenie nieco oszołomionej. Uznałam, że sądzi, iż przyszedł do niej, co zresztą byłoby całkiem naturalne, i że nie skojarzyła jego wizyty z czerwonymi różami.

Po raz pierwszy w życiu czułam zakłopotanie w obecności mojej siostry i wahałam się, czy być szczerą, w końcu jednak nie wyznałam, że pan Jeremy Brandon to Rupert Reński i że spędziłam z nim większość wieczoru.

Następnego dnia, kiedy spacerowałam po parku z panną Bell, spotkałyśmy go niby przypadkiem. Ale byłam oczarowana, bo wiedziałam, że dopomógł owemu przypadkowi.

Zdjął kapelusz i uklonił się grzecznie.

— Jakże się cieszę, panna Tressidor i panna Bell.

— Dzień dobry, panie Brandon — powiedziała panna Bell.

— Jakie przyjemne popołudnie. Kwiaty są piękne, nieprawdaż? Zgodzą się panie, bym towarzyszył im na spacerze?

Widziałam, że panna Bell ma ochotę odmówić, obawiała się bowiem uchybić konwenansom. Z drugiej strony nie chciała być niegrzeczna, a zresztą jak mógł zaszkodzić spacer w towarzystwie młodego mężczyzny dziewczynie, która jeszcze nie bywa?

Rozmawialiśmy o kwiatkach i oglądaliśmy różne drzewa. Zdałam sobie sprawę, że nasz

towarzysz próbuje wywrzeć dobre wrażenie na pannie Bell. Włączyła się do dyskusji z entuzjazmem.

— To prawdziwa lekcja botaniki — powiedziałam.

— Ta nauka jest taka ciekawa — dodał. Dotknął mojego ramienia i widziałam, że cała sytuacja bardzo go bawi. — Zgadza się pani ze mną, panno Bell?

— W rzeczy samej — odrzekła żarliwie. — W Londynie jest za mało ogrodów. Ma pan ogród, panie Brandon?

Odpowiedział, że jego rodzice mają piękny park przy domu na wsi.

— Co za radość uciec z miasta i zasmakować wiejskiego spokoju — dodał, rzucając mi spojrzenie, które świadczyło, że jego prawdziwe upodobania są dokładnie przeciwne.

Panna Bell była dla niego coraz miłsza. Ktoś z zewnątrz mógł pomyśleć, że młodzieniec zaleca się właśnie do niej. Wiedziałam, że jest inaczej, że przyjął tę samą taktykę, co na balu i że nie bardziej jest wiejskim romantykiem zakochanym w ogrodnictwie niż Rupertem Reńskim czy bezimiennym kawalerem z armii Karola I.

Został z nami prawie godzinę i w końcu pożegnał się z ukłonem, dziękując za interesującą rozmowę.

Panna Bell powiedziała:

— Jaki czarujący młody człowiek! Szkoda, że nie ma więcej takich jak on. Mam nadzieję, że coś wyniknie z jego zainteresowania Olivią. Życzę jej tego. — Mówiła więcej niż zwykle i sądzię, że była pod urokiem czarującego pana Brandona. — Wspomniałam lady Carey o jego wizycie i kwiatach. A może to on przysłał róże? Tak podejrzewamy. Pochodzi z dobrej, choć uboższej rodziny. Młodszy syn, ale sądzę... dla Olivii... do przyjęcia.

Wybuchnęłam śmiechem.

— Doprawdy, Caroline, nie rozumiem, co w tym śmiesznego.

— Musi pani przyznać, że wycenia go pani jak na targu — odrzekłam.

— Nigdy nie słyszałam większej bzdury — oświadczyła stanowczo. Potem przez chwilę milczała, a jej rysy złagodniały. Domyśliłam się, że wspomina Jeremy'ego Brandona.

Kilka dni później zjawił się znowu. Nie było mnie w domu i został przyjęty przez Olivię. Wizyta trwała dość krótko, a następnego dnia panna Bell i ja spotkałyśmy go w parku. Trudno było przypuszczać, że to przypadkowe spotkanie. Nie wiem, co pomyślała moja opiekunka. Zastanawiałam się, czy przyszło jej do głowy, że to ja jestem prawdziwym obiektem zabiegów Jeremy'ego. Spacerowaliśmy koło jeziora, a potem usiedliśmy na ławeczce i obserwowaliśmy jeźdźców. Pan Brandon mówił ze znanstwem o koniach, ale ten temat nie pasjonował panny Bell tak jak ogrodnictwo.

Niewątpliwie powzięłaby jakieś podejrzenia, gdyby nastąpiły kolejne „przypadkowe” spotkania w parku.

Od balu minął tydzień. Od Rosie Rundall nadal nie było żadnych wieści. Próbowałam dowiedzieć się czegoś od służących, ale choć mówili chętnie — tajemnica Rosie była jednym z głównych tematów na poddaszu — usłyszałam jedynie, jaki strój miała na sobie tamtego wieczoru.

— Mnie się widzi, panienko — powiedziała jedna ze służących — że uciekła z jakimś przyjacielem dżentelmenem. Musiała mieć kogoś. Niech panienka pomyśli o strojach, które nosiła. Założę się, że on jej dał te śliczności.

Tak więc Rosie zniknęła bez śladu. Rozmawiałam o niej z Olivią, snując różne przypuszczenia, i głęboko żalowałyśmy, iż odeszła.

Pewnego ranka w domu zapanowało zamieszanie. Kiedy lokaj wniósł do sypialni ojca miskę z gorącą wodą, ujrzał go leżącego bez przytomności na łóżku, niezdolnego się poruszyć.

Posłano po doktora Craya i wkrótce jego powóz zatrzymał się przed naszą bramą. Diagnoza

brzmiała, że ojciec jest poważnie chory.

Wszyscy byli przygnębieni. Choroba ojca mogła oznaczać poważne zmiany w naszym życiu i wszyscy mieli tego głęboką świadomość. Lekarze wchodzili i wychodzili. Panna Bell, do której licznych umiejętności należała pielęgnacja chorych, często była wzywana do pomocy, przez co rzadziej ją widywałam.

Przez kilka dni sądziłyśmy, że chory umrze, ale w końcu kryzys minął.

Panna Bell powiedziała nam, że ojciec poniósł poważny uszczerbek na zdrowiu i że nigdy już nie będzie tak sprawny jak kiedyś, choć z czasem może nastąpić niewielka poprawa.

Tak właśnie się stało. Po miesiącu zaczął wstawać z łóżka i spacerować po domu, podpierając się laską i powłócząc lekko jedną nogą.

Kiedy pierwszy szok minął, zdałam sobie sprawę, że pielęgniarskie obowiązki panny Bell oznaczają dla mnie więcej swobody. Nie omieszkałam tego wykorzystać.

Olivii i mnie pozwolono razem wychodzić z domu i cieszyliśmy się, że możemy uciec od nieustannego nadzoru. Ciotka Imogena przeprowadziła wśród znajomych wywiad na temat Jeremy'ego Brandona, a ponieważ jego rodzinne koneksje, choć nieświatne, były jednak zadowolające, a Olivia, bywając już od długiego czasu, nie znalazła dotychczas bogatej partii, został zaakceptowany.

Pozwolono mu zabrać nas do Langham Hotel, co było wyjątkowym przywilejem.

Jeździliśmy także konno po parku. Mogłam im towarzyszyć i czułam rozbawienie na myśl, że występuję w roli przyzwoitki.

Ale oczywiście moja siostra wkrótce domyśliła się prawdy. Odgadła, że nie o nią tu chodzi. Zresztą Jeremy nawet nie starał się tego ukrywać. I w końcu wyznałam, że spotkaliśmy się na balu maskowym i że to on był Rupertem Reńskim, który przysłał kwiaty, tak naprawdę przeznaczone dla mnie.

Teraz sekret wyszedł na jaw i mogliśmy swobodnie rozmawiać o maskaradzie, co robiliśmy przy herbacie.

— Pani siostra była tak wiarygodną Kleopatram — powiedział do Olivii — że rozmawiając z nią, czułem się jak w starożytnym Egipcie.

— Co za przesada! — wykrzyknęłam.

— Och, naprawdę tak było. Cały czas się rozglądałem, czekając na Marka Antoniusza albo Juliusza Cezara. Kleopatram otaczała tajemnica. Nie potrafiłem jej rozpoznać, choć udało mi się zidentyfikować większość dziewcząt. Byłem taki zaskoczony. Wydusiłem prawdę z Moiry Massingham. To było po zdjęciu masek, kiedy Kleopatra niczym Kopciuszek zniknęła z balu. Wiedziałem, że wisior w kształcie węża należy do Moiry. Opowiedziała mi o wszystkim.

— Miałyśmy wiele skrupułów, prawda, Olivio?

Skinęła głową.

— Moja siostra była wspaniała.

Uśmiechnął się do niej.

— Łatwo w to uwierzyć.

Poczerwieniała i spuściła oczy. Było mi żal Olivii, która zrazu sądziła, jestem tego pewna, że pan Brandon przychodzi do niej.

Czasami w eskorcie Jeremy'ego porzucałyśmy główne ulice i zagłębiałyśmy się w zaułki. Uwielbiałam atmosferę wąskich uliczek, gdzie czasami widać było rozkrzyczane dzieci skaczące po kredowych liniach wyrysowanych na bruku. Lubiałam katarynki grające ludowe piosenki i ulicznych artystów, których występy oglądaliśmy z upodobaniem. Jeremy czasem rozmawiał z artystami i zawsze wrzucał kilka monet do odwróconego kapelusza. Większe ulice były zawsze zatłoczone powozami i karetami.

Chodziłyśmy do sklepów po wstążki i podobne rzeczy, przede wszystkim do Jaya na Regent Street, i codziennie spotykałyśmy tam Jeremy'ego Brandona.

Byłam upojona tą świeżo uzyskaną wolnością, którą zawdzięczałam chorobie ojca.

Pewnego dnia — prawie miesiąc od udaru papy — Jeremy pociągnął mnie na bok i szepnął:

— Dlaczego nigdy nie widuję cię samej?

— Bo nie wolno — odpowiedziałam.

— Oczywiście możemy to urządzić.

— Nie jestem pewna.

— Och, skoro Kleopatra dostała się na bal, nie ma trudności, których nie można by przezwyciężyć.

— Zobaczę, czy dam radę wymknąć się z domu jutro po południu — obiecałam. — Bądź na końcu ulicy o drugiej trzydzieści.

Olivia, która została kilka kroków w tyle, dogoniła nas po chwili. Jeremy uściśnął moją dłoń ukradkiem.

Uwierzyłam, że jest we mnie zakochany. Wszystko na to wskazywało. Ja sama byłam aż nazbyt skora do wzięcia udziału w tej ekscytującej przygodzie. Naiwna i romantyczna, żyłam w świecie fantazji — jak wielu młodych ludzi, którzy nie zaznali prawdziwej miłości. Miałam Olivie, to prawda, i wiedziałam, że jest moją lojalną przyjaciółką, a nie tylko siostrą. Ale kogo jeszcze? Matka odeszła z kochankiem, a do córek nawet nie napisała. Ojciec kochał jedynie cnoty. Panna Bell była życzliwą opiekunką i wiedziałam, że jest przywiązana do Olivii i do mnie, za bardzo jednak czuła się guwernantką, aby nie utrzymywać między nami dystansu. Marzyłam o pojednaniu rodziców, o tym, że ojciec odmieni się jak Ebenezer Scrooge z „Opowieści wigilijnej”. Matka, wróciwszy do domu, stawała się w moich fantazjach mamą, o której marzyłam — kochającą, opiekuńczą, a jednocześnie pełną zrozumienia, której opowiadałybyśmy o naszych rozterkach i która zawsze miałaby dla nas pociechę czy radę. Wcześniej głównym bohaterem moich snów na jawie był Paul Landower. Dlaczego budził we mnie takie odczucia — nie umiałam powiedzieć. Ale moje marzenia miały swoistą logikę. Znałam go bardzo słabo. Moim przyjacielem został jego brat. Ale Jago nie mógłby się stać bohaterem dziewczęcych marzeń. Był tylko chłopcem — podobnym do mnie, zawsze chętnym do szalonych eskapad. Nie miał w sobie nic nieuchwytnego czy romantycznego. A ja szukałam właśnie romantyczności, abym mogła puścić wodze głodnej niebezpieczeństw fantazji i przeżyć wszelkie możliwe przygody.

Widziałam zatem w Paulu Landowerze ideał bohatera. Miał odpowiednią powierzchowność. Niezbyt przystojny, był po prostu męski i silny. W duchu używałam słowa: „surowy”. Pochodził ze szlacheckiej rodziny, która z winy lekkomyślnych przodków znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Patrzył na świat z melancholią — więc nadawał się na bohatera ze snów. Miał poważne problemy, a ja lubiłam sobie wyobrazać, że go od nich uwalniam. Dzięki mnie zachowywał majątek, który miał już przejść w ręce obcych. Dokonywałam tego na różne sposoby, na przykład dzięki cudownej roślinie, która uleczyła pannę Arkwright — w tej wersji bowiem Gwennie omal nie przyplącała kalectwem upadku z galerii — a pan Arkwright z wdzięczności podarował mi Landower Hall, a ja oczywiście natychmiast zwróciłam dom Paulowi.

„Będę ci wdzięczny do końca życia — mówił. — Ale jest tylko jedna rzecz, która czyni taki podarunek możliwym do przyjęcia. Musisz pozostać jego właścicielką”. Wzięliśmy więc ślub i odtąd żyliśmy szczęśliwie, mieliśmy dziesięcioro dzieci, w tym sześciu synów, a Landower rozkwitał wraz z naszą miłością.

To było moje ulubione i najbardziej szalone marzenie. A miało wiele wersji.

Gorąco pragnęłam się zakochać, byłam pewna bowiem, że jest to najszcześniejszy stan pod słońcem. Przekonałam się, co oznacza, w mieszkaniu kapitana Carmichaela w dzień jubileuszu

królowej. Tak właśnie wyobrażałam sobie występłą miłość. Moja była jednak szlachetna i wszystko miało ułożyć się pomyślnie.

Paul Landower zmienił się odrobinę. Stał się jeszcze mroczniejszy, bardziej tajemniczy i bardziej melancholijny — tą melancholią, z której ja jedna mogłam go uleczyć.

Czasami schodziłam na ziemię i śmiałam się z siebie. Powtarzałam sobie w myślach: Gdybyś spotkała teraz prawdziwego Paula, przekonałabyś się, że nie ma nic wspólnego z wytworem twojej fantazji!

Tak czy inaczej, zaprzestałam tych marzeń — odkąd Jeremy Brandon zatańczył ze mną na balu. Skwapliwie wymieniłam ducha na realną osobę.

I rzuciłam się, z całym właściwym sobie brakiem rozwagi, w miłosną przygodę.

Kiedy spotkałam się z Jeremym na końcu ulicy, oznajmił, że chce ze mną poważnie porozmawiać, ale nie wypowiedział ani słowa, dopóki nie usiedliśmy na jednej z ławek otaczających plac w Ogrodach Kensingtonskich, na którym z rozkazu królowej postawiono niedawno pomnik księcia Alberta, symbol cnót małżeńskich: wierności i oddania.

Słońce ogrzewało Alberta, słyszałam dźwięczny śmiech dzieci i pełne niepokoju głosy nianiek, które zalecały swym podopiecznym spokojny spacer wzdłuż rabatek, zabawy na trawie lub karmienie kaczek przy sadzawce.

Jeremy natychmiast przeszedł do sedna sprawy.

— Zakochałem się w tobie, Caroline. To uczucie zaczęło się na balu maskowym i potęgniało jak lawina.

Przytaknęłam z błogą miną.

— Myślę o tobie tak dużo... w gruncie rzeczy nie myślę o niczym innym od naszego pierwszego spotkania. Nie mogę tak dalej... widywać się z tobą w obecności przyzwoitki. Chcę mieć cię całą dla siebie. Jest tylko jedno wyjście. Wyjdiesz za mnie, Caroline?

— Oczywiście — odrzekłam szybko.

Potem wybuchnęliśmy śmiechem.

— Powinnaś wyszeptać: „Och, kochanie, to takie niespodziewane!”. Myślę, że tak brzmi konwencjonalna odpowiedź, nawet po wielomiesięcznych zalotach.

— Będziesz więc musiał się przyzwyczaić do niekonwencjonalnej żony.

— Wierz mi, nie życzę sobie żadnej innej.

Objął mnie i pocałował. Czulałam się taka szczęśliwa. To był idealny dzień. Miałam przed sobą idealnego kochanka. Melancholijny, surowy bohater z moich marzeń zniknął bez śladu. Został zastąpiony przez przystojnego, czarującego, pozbawionego tajemnic i trzeźwo myślącego przyszłego męża o regularnych rysach.

Byłam do ekstazy zakochana.

— Będę cię kochać zawsze — obiecałam mu.

— Droga Caroline, jesteś tak rozkosznie... nieskrępowana.

— Nieskrępowana czym?

— Konwenansami, męczącą etykietą i wszystkim, co społeczeństwo narzuca najnudniejszego. Nasze wspólne życie będzie wspaniałe. Powiem ci, co zamierzam zrobić. Napiszę do twego ojca i poproszę, by się ze mną zobaczył. Potem oświadczę się o twoją rękę.

— Nigdy się nie zgodzi.

— Więc będziemy musieli uciec.

— Wyjdę przez okno po sznurowej drabince!

— To nie wydaje się konieczne.

— Och, nie psuj wszystkiego. Uwielbiam myśleć o sznurowych drabinkach. Będziesz czekał przed domem w powozie i razem umkniemy w dal. Weźmiemy ślub tej samej nocy, a potem

rozpocznie się życie usłane różami. Gdzie?

— Ach — odpowiedział — więc jednak posiadasz jakiś zmysł praktyczny. O tym właśnie musimy zdecydować. Będziemy mieli mały domek w pobliżu parku, abyśmy mogli przychodzić tu często, siadywać na tej ławeczce i mówić: „Pamiętasz?”.

Rozmarzonym wzrokiem patrzyłam w przeszłość.

— Czy pamiętasz dzień, gdy Jeremy poprosił Caroline o rękę? — odezwałam się tęsknym głosem. — A ona odrzekła: „tak” — natychmiast i nie bacząc na zasady.

— A on pokochał ją za to jeszcze mocniej — dodał Jeremy. Potem pocałowaliśmy się uroczyście.

— Nie mogę czekać. Jadę prosto do domu, napisać list do twego ojca — powiedział.

Potrząsnęłam głową ponuro.

— Nie lubił szczęśliwych ludzi nawet wtedy, gdy był całkiem zdrowy. Teraz musi ich nienawidzić.

— Tak czy inaczej, musimy zacząć od niego. Mam nadzieję, że wyrazi zgodę. To nam oszczędzi wielu kłopotów.

— Nieważne. Pokonam wszelkie przeszkody. Czy ci nie powiedziałam, że po ślubie będziemy żyli długo i szczęśliwie?

Ku mojemu zdumieniu, ojciec zgodził się przyjąć Jeremy'ego i wyraził zgodę na nasze zaręczyny.

* * *

Moja sytuacja zmieniła się zupełnie. Z nic nieznaczącego członka rodziny urosłam do rangi najważniejszej osoby. Moja godzina chwały w końcu nadeszła. Moira Massingham składała mi wizyty. Nie byłam już przemyconym gościem, a Moira patrzyła na mnie z pewnego rodzaju podziwem. Uważała nasze zaręczyny za szczyt romantyzmu — wszak nie zaczęłam nawet jeszcze bywać. Która dziewczyna zdobyła męża, zanim została wprowadzona do towarzystwa? Mój przypadek nie miał sobie równych.

— I pomyśleć, że wszystko zaczęło się na balu maskowym! — wykrzykiwała.

Moje akcje wzrosły nie tylko u Moiry.

Otrzymałam zaproszenia do kilku domów. Pojechałam na herbatę do Massinghamów, a pani domu patrzyła na mnie z całkowitą aprobatą. Obecne były także inne matki. Stanowiłam coś w rodzaju fenomenu: dziewczyna, która zdobyła narzeczonego, oszczędzając ojcu niebagatelnych kosztów związanych z „sezonem”.

Jakże się upajałam własną sławą!

Było mi żal Olivii, która po dwóch latach nadal nie osiągnęła tego, co ja zdobyłam jeszcze przed debiutem.

Nawet ciotka Imogena raczyła mnie teraz zauważać.

— To najlepsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć — powiedziała. — Dostaniesz pieniądze, które zostawił ci dziadek ze strony matki. Nie jest ich wiele, jakieś kilkaset funtów, które miałaś otrzymać po ukończeniu dwudziestu jeden lat albo przed ślubem. Będziesz dysponowała dochodem pięćdziesięciu funtów rocznie. Oczywiście to niedużo. Rodzina twojej matki nie była bogata — prychnęła wyniośle, by zaznaczyć swoje zdanie o rodzinie mojej matki. — Te pieniądze przydadzą się, gdy będziemy mówić o twojej wyprawie. Czerwiec to dobry miesiąc na ślub.

— Och, nie chcemy czekać aż tak długo.

— Myślę, że powinniście. Jesteście bardzo młodzi. Ty nie zaczęłaś nawet bywać w towarzystwie. To wielkie szczęście, że ten młodzieniec zechciał cię poślubić.

— A Jeremy twierdzi, że to on jest szczęściarzem — odpowiedziałam z samozadowoleniem. Ciotka odwróciła się bez słowa.

Pomyślałam: Nie będziemy czekać aż do czerwca, ale kiedy poruszyłam ten temat z Jeremym, mój narzeczony oświadczył:

— Skoro tak chce twoja rodzina, powinniśmy zastosować się do ich życzenia.

Oglądaliśmy domy. Jakże szczęśliwy był ów dzień, gdy znaleźliśmy mały domek przy wąskiej uliczce — jednej z przecznic Knightsbridge. Pokoje nie były duże, lecz dość eleganckie. Dom miał dwa piętra i na każdym znajdowały się trzy pokoje. Z tyłu znajdował się mały ogród z piękną gruszą pośrodku. Wiedziałam, że w takim miejscu mogę być szczęśliwa.

Służba patrzyła na mnie z nowym szacunkiem. Jeremy'emu pozwolono nas odwiedzać, a czasem nawet wychodziliśmy razem. Żyłam w upojeniu, byłam zakochana. Nigdy wcześniej nie czułam się tak szczęśliwa — i wierzyłam, że ten stan będzie trwał przez resztę mojego życia.

Jeremy nie był oczywiście partią sezonu. Dopiero niedawno dostał się do zakłętego kręgu, wyznaczonego przez instytucję, którą nazywał Zakonem Błędnych Matek. Osiągnął to raczej dzięki rodzinnym koneksjom niż bogactwu, a idealny narzeczony winien posiadać obie te zalety. Ale w specjalnych okolicznościach zadowalano się jedną.

Ile się razem naśmialiśmy! Dni wydawały się pełne blasku, choć nie dostrzegałam pogody. Wiatr mógł być lodowaty, deszcz — lać jak z cebra, moje życie jednak pozostawało pełne słońca. Prawie się nie rozstawaliśmy, uradowani zgodą mojego ojca — choć gdyby się nie zgodził, pokonalibyśmy tę przeszkodę — zapewniał Jeremy. Byliśmy wszakże zadowoleni, że sprawy potoczyły się tak gładko. Zdumiewała mnie jego energia. Jeremy powiedział, że nie chce żadnych nieprzewidzianych kłopotów. Z pasją i irytacją przyjmował ograniczenia, które narzucała nam sytuacja. Powiedział, że nie może się doczekać czasu, gdy będziemy razem dniem i nocą.

Żyłam jak we śnie aż do chwili, gdy niespodziewana okoliczność zmusiła mnie do otworzenia oczu.

Lokaj ojca, wszedłszy rano do jego sypialni, ujrzał swego pana martwym. Tata miał drugi wylew — gwałtowniejszy tym razem — i ów wylew go zabił.

* * *

Śmierć działa jak kubek zimnej wody — nawet śmierć ludzi, których nigdy naprawdę nie poznaliśmy. A myślę, że mogę uważać, iż nie znałam swojego ojca. Oczywiście nie łączyły nas żadne serdeczne więzi, gdyż był dla mnie raczej symbolem cnót i pobożności niż realnym człowiekiem. Zawsze wyobrażałam sobie, że Bóg musi być podobny do mojego ojca. A teraz papa nie żył.

Rządy w domu przejęli Careyowie. Wszyscy służący z napięciem oczekiwali zmian w naszym gospodarstwie. Spodziewali się ich i obawiali, że mogą stracić pracę.

W domu zapanowało przygnębienie. Każdy uśmiech zostałby uznany za brak szacunku dla zmarłego. Na bramie zawieszono sześciokątną tablicę z herbem Tressidorów. W gazetach ukazały się żałobne wspomnienia, a także nekrolog, w którym wyliczano zalety zmarłego i dzieła miłosierdzia, które spełnił podczas życia „poświęconego służbie bliźniemu”. „Był człowiekiem pozbawionym egoizmu i jednym z największych filantropów naszego wieku” — napisano. Liczne towarzystwa dobroczynne wyrażały wdzięczność i podziw, i wydawało się, że cała Anglia przyoblekła żałobę po śmierci tak wspaniałego i dobrego człowieka.

Panna Bell wycięła wszystkie te notatki, by je dla nas zachować. Pracowano też intensywnie nad tym, co nazwałyśmy „zaczernieniem”.

Dostałyśmy nowe, czarne suknie, a na pogrzebie miałyśmy wystąpić w czarnych welonach.

Żałoba po śmierci któregoś z rodziców musiała trwać sześć miesięcy. Ciotkę Imogenę obowiązywały trzy miesiące, gdyż była tylko siostrą zmarłego. Ale znając ją przewidywałam, że będzie nosić czarne stroje znacznie dłużej.

A zatem Olivia i ja miałyśmy ubierać się na czarno przez sześć miesięcy, a potem — powiedziała panna Bell — stopniowo zamienimy czerń na szarość. Żadnych jasnych kolorów przez cały rok.

Powiedziałam, że nie rozumiem, w jaki sposób kolor sukni może świadczyć o autentyczności żalu, lecz guwernantka odparła surowo:

— Okaż trochę szacunku, Caroline.

Część służących otrzymała czarne liberie, a mężczyźni nosili czarne opaski na ramieniu.

Wszyscy — nie tylko w domu, ale wszędzie, gdzie składałyśmy wizyty — wychwalali dobroć ojca, jego bezinteresowną filantropię, której nie zaniechał nawet w okresie choroby i domowych kłopotów.

Poczułam ulgę, kiedy nadszedł dzień pogrzebu. Ludzie zebrali się na ulicach, aby zobaczyć żałobny orszak, który wyglądał naprawdę imponująco. Mogłam to dostrzec mimo czarnego welonu, spowijającego wszystko czarną mgiełką. Konie wspaniale przystrojone czarnym aksamitem i piórami, ubrani na czarno mężczyźni w lśniących cylindrach, Olivia siedząca obok mnie, blada i oszołomiona oraz ciotka Imogena — wyprostowana, surowa, co chwilę ocierająca czarną chusteczką oczy, z których nie płynęły łzy. Jej mąż siedział nieco dalej z twarzą zastygłą w stosownym wyrazie smutku.

A potem droga do rodzinnej krypty — ponurej i groźnej, z niskim wejściem i potwornymi rzeźbami wykutymi w marmurze i raczej szpecącymi niż zdobiącymi wnętrze.

Cieszyłam się, gdy wracaliśmy do domu — dużo szybciej niż w przeciwną stronę. Żałobnikom podano biszkopty i sherry. Wszyscy czekali na to, co z pewnością stanowiło najważniejszy punkt programu pogrzebowego: odczytanie testamentu.

Cała rodzina zasiadła w salonie, a pan Cheviot, adwokat, zajął miejsce przy stole, rozkładając przed sobą dokumenty.

Słuchałam, nie zwracając większej uwagi na drobne zapisy dla różnych ludzi i większe przeznaczone dla towarzystw, którym mój ojciec przewodniczył.

Wyraził wdzięczność swojej drogiej siostrze, Imogenie Carey, która została hojnie wynagrodzona za wsparcie, jakim go darzyła. Ojciec miał dużo pieniędzy i domyśliłam się, że Olivia stanie się teraz bogatą młodą panną. Poczułam wszakże zdumienie, gdy pan Cheviot skończył czytać testament, nie wymieniając mojego imienia. I nie tylko ja byłam zdziwiona. Dostrzegłam na sobie ukradkowe spojrzenia wszystkich obecnych.

Ciotka Imogena podeszła do mnie i oznajmiła, że pan Cheviot chciałby porozmawiać ze mną w cztery oczy, gdyż ma mi coś bardzo ważnego do zakomunikowania.

Kiedy usiadłam naprzeciw niego w pokoju, który kilka tygodni wcześniej był gabinetem ojca, adwokat spojrział na mnie bardzo uroczyście i powiedział:

— Proszę przygotować się na wstrząs, panno Tressidor. Mam do spełnienia przykry obowiązek, który chętnie bym na kogoś scedował.

— Proszę powiedzieć mi szybko, o co chodzi — poprosiłam.

— Choć jest pani uważana za córkę Roberta Ellisa Tressidora, prawda wygląda inaczej. Wprawdzie urodziła się pani po ślubie swojej matki z panem Tressidorem, ale pani ojcem był kapitan Carmichael.

— Och — odrzekłam powoli — powinnam była zgadnąć. Prawnik popatrzył na mnie zaskoczony i mówił dalej:

— Pani matka wyznała, że ten człowiek jest pani ojcem, dopiero wiele lat po pani narodzinach.

— Po jubileuszu królowej.

— W czerwcu 1887 roku — doprecyzował pan Cheviot. — Właśnie wówczas pani matka uczyniła owo wyznanie.

Skinęłam głową, przywołując wspomnienia: medalion, nagły wyjazd mojej matki, wyniosła obojętność, jaką zaczął mi okazywać ojciec. Teraz rozumiałam wszystko. Znienawidził mnie, ponieważ byłam żywym świadectwem zdrady popełnionej przez jego żonę.

— W tamtym czasie przeprowadzono separację — ciągnął pan Cheviot. — Pan Tressidor mógł rozwieść się z pani matką, nie chciał jednak tego uczynić.

Powiedziałam z buntem w głosie:

— Obawiał się skandalu... dla siebie.

Adwokat skinął głową.

— W tym świetle staje się zrozumiałe, że nic pani nie zostawił. Ale posiada pani skromny spadek po dziadku ze strony matki, który kazał mi zarządzać tymi pieniędzmi do czasu, gdy osiągnie pani pełnoletność lub wyjdzie za mąż. Zważywszy przykre okoliczności, jestem szczęśliwy mogąc panią zapewnić, że pieniądze te zostaną pani przekazane bez zwłoki.

— Część już została wydana.

— Tak, na prośbę lady Carey.

— Zostały wydane na moją wyprawę... w każdym razie większość.

— Rozumiem, że wkrótce wychodzi pani za mąż. To bardzo pomysłne i rozwiązuje wiele trudności. Pan Tressidor powiedział przed śmiercią, że cieszy go pani małżeństwo, bo ostatecznie nie można pani potępiać za grzechy jej rodziców.

— A jeśli nie wyszłabym za mąż, okazałoby się, że zostawił mnie — z czym? Z pięćdziesięcioma funtami rocznie. Oczywiście, był takim dobrym człowiekiem, zatroszczył się o wszystkie towarzystwa dobroczynne! Nic dziwnego, że nie wystarczyło mu troski dla córki jego żony.

Prawnik wyglądał na strąpionego.

— Obawiam się, że obwinianie kogokolwiek nie zmieni sytuacji, panno Tressidor. No cóż, miałem do spełnienia obowiązek i wywiązałem się z niego najlepiej, jak potrafiłem.

— Rozumiem, panie Cheviot. Ja... ja nigdy wcześniej nie myślałam o pieniądzach. — Nie odezwał się, więc ciągnęłam: — Czy wie pan, gdzie jest moja matka?

Zawahał się i odpowiedział:

— Tak. Kontaktowałem się z nią, działając z polecenia pani ojca. Przyznał jej skromną pensję, której wypłacanie uznał za obowiązek, jako że mimo swego występku pozostała jego żoną.

— I da mi pan jej adres?

— Nie widzę powodów, dla których miałbym odmówić.

— Chciałabym ją odwiedzić. Nie widziałam się z nią od jubileuszu. Nie napisała ani do mnie, ani do mojej siostry.

— Pani ojciec wypłacał jej alimenty pod warunkiem, że nie będzie próbowała się z wami kontaktować. Takie było żądanie pana Tressidora.

— Rozumiem.

— Wyślę pani adres. Matka mieszka w południowej Francji.

— Dziękuję, panie Cheviot.

Kiedy się pożegnaliśmy, poszłam prosto do swego pokoju. Olivia wkrótce przysłała do mnie. Była naprawdę zmartwiona.

— To straszne, Caroline! — wykrzyknęła. — Zostawił mi tak wiele, a tobie... nic.

Powiedziałam jej, co zakomunikował mi adwokat. Słuchała z szeroko otwartymi oczami.

— To nie może być prawda.

— Nie pamiętasz, jak pojechałyśmy na plac Waterloo? To była moja wina, Olivio. Ja wypaplałam ojcu wszystko. I zobaczył medalion. Och, ty nic nie wiesz o medalionie. Dostałam go od kapitana Carmichaela, zawiera jego miniaturowy portret. Rozumiesz, w ten sposób kapitan próbował mi wyjawić, że jest moim ojcem.

— Więc nasze stosunki będą teraz inne? Nie jesteśmy siostrami.

— Jesteśmy na wół siostrami, zdaje mi się.

— Och, Caroline! — jej piękne oczy wypełniły się łzami. — Nie mogę tego znieść. To takie niesprawiedliwe.

— Wcale się tym nie martwię — oświadczyłam wyzywającym tonem. — Jestem zadowolona, że nie był moim ojcem. Wolę mieć za ojca kapitana Carmichaela niż Roberta Ellisa Tressidora.

— To takie okrutne z jego strony — odparła Oli via i zaraz urwała, zdając sobie sprawę, że mówi źle o zmarłym.

— Wyjdę za mąż... wkrótce — powiedziałam.

— Nie możesz, dopóki jesteś w żałobie.

— Nie będę nosić żałoby. Ostatecznie przecież nie był moim ojcem.

— To takie... wstrętne. Roześmiałam się nieco histerycznie.

— Zawsze dzieliłyśmy wszystko... guwernantkę... lekcje... wszystko. Teraz ty jesteś dziedziczką, a ja nie mam ani grosza... no, niezupełnie. Mam dosyć, by nie głodować. A ty, Olivio, całkiem nieoczekiwanie stałaś się bogata.

— Och, Caroline — wykrzyknęła — podzielę się z tobą wszystkim! To jest twój dom. Zawsze będę twoją siostrą.

Przywarłyśmy do siebie, śmiejąc się i płacząc.

* * *

Zdecydowałam, że to, czego się dowiedziałam, nie powinno złamać we mnie ducha i wybrałam się z Jeremym obejrzeć raz jeszcze klejnocik pośród domów, w którym mieliśmy zamieszkać.

Mój ukochany był dziwnie przygnębiony. Uznałam, że myśli o pogrzebie. Oświadczyłam mu, że nie chcę o tym rozmawiać, pragnę obejrzeć dom i myśleć o przyszłości.

Zaledwie otworzyliśmy drzwi i weszliśmy do środka, twarz Jeremiego się rozpozogodziła. Trzymając się za ręce, wędrowaliśmy przez wszystkie pokoje. Rozmawialiśmy o tym, jak je urządzimy, jaki będzie kolor dywanów i zasłon.

Potem wyszliśmy do ogrodu i stanęliśmy pod gruszą, patrząc na dom.

— To naprawdę klejnot — odezwał się Jeremy. — Mógłbym być taki szczęśliwy, mieszkając tu z tobą.

— No cóż, będziemy szczęśliwi — odrzekłam.

— Skąd wezmę pieniądze, Caroline?

— Pieniądze. Nie pomyślałam o tym.

— Taki jest zwyczaj, że aby coś kupić, trzeba za to zapłacić.

— Ale... — Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

Jeremy wyjaśnił z zakłopotaniem:

— Zawsze wiedziałaś, że nie jestem bogaty. Pensja od ojca wystarcza na moje wydatki... ale ten dom pochłonie sporą sumę.

— Och, rozumiem, myślałeś — jak wszyscy — że odziedziczę trochę pieniędzy.

— Uznałem, że twój ojciec pomoże nam kupić ten dom. Taki ślubny prezent. Moja rodzina z pewnością coś by dorzuciła, ale wiem, że nie mogą podarować mi całej sumy.

— Rozumiem. Znajdziemy coś tańszego.

Skinął głową uroczyście.

— No cóż, w porządku. Dom wcale nie jest ważny. Będę szczęśliwa wszędzie, byle przy tobie.

Wziął mnie w ramiona, uściśnął mocno i pocałował namiętnie. Roześmiałam się trochę smutno.

— Dlaczego więc oglądamy dom, na który nie możemy sobie pozwolić?

— Miło wyobrazać sobie to, co się nie wydarzy. Dziś po południu pragnę udawać, że zamieszkamy tu razem.

— Ja zaś chcę wyjść stąd jak najprędzej. Pragnę zapomnieć o tym domu. Jest dość stary. I pewnie wymaga remontu. No i popatrz na ten mały ogródek. Jedna marna grusza. Pewnie nie rodzi gruszek, a jeśli rodzi, to kwaśne i twarde. Wynajmiemy... pokoje. Tak to nazywają? Gdzieś na poddaszu... na szczycie świata.

— Och — powiedział — kocham cię, Caroline. Nie usłyszałam żalu w jego głosie.

Dwa dni później dostałam od niego list. Odgadłam, że długo szukał właściwych słów.

Najdroższa Caroline.

Zawsze będziesz dla mnie najdroższa. Trudno mi to wyznać, ale uważam, że postąpilibyśmy nierozsądnie, biorąc ślub. Miłość na poddaszu wygląda cudownie w marzeniach i byłaby taka w rzeczywistości... do czasu. Ale szybko znienawidziłabyś ubóstwo. Zawsze żyłaś w dostatku, ja także. Bylibyśmy tacy biedni. Moje dochody z Twoimi... nie wystarczyłoby dla dwojga.

Prawdą jest, Caroline, że nie stać mnie na małżeństwo... w tych okolicznościach.

To łamie mi serce. Kocham Cię. Zawsze będę Cię kochał. Zawsze będziesz dla mnie kimś wyjątkowym, ale jestem przekonany, że zrozumiesz, iż byłoby po prostu mało praktyczne brać ślub w tej chwili.

*Twój zrozpaczony Jeremy,
który będzie cię kochał aż do śmierci.*

To był koniec. Jeremy mnie porzucił. Sądził, że skoro jestem córką bardzo bogatego ojca, ożeni się z dziedziczką.

Pomylił się jednak.

Czułam, że moje szczęśliwe życie wali się w gruzy.

Miłość Jeremy'ego była olbrzymim złudzeniem. Nie płakałam. Byłam odrętwiała z rozpacz.

Olivia próbowała mnie pocieszyć. Zapewniała, że zawsze będziemy razem. Da mi pieniądze i wyjdę za mąż.

Roześmiałam się i oznajmiłam, że nigdy za niego nie wyjdę. Nie poślubię nikogo.

— Och, Olivio, myślałam, że mnie kocha, a on pragnął tylko pieniędzy twego ojca.

— To nie całkiem tak — tłumaczyła moja siostra.

— Więc jak? Byłam gotowa go poślubić... żyć w ubóstwie. Ale on nie chciał. Nigdy więcej go nie zobaczę. Byłam szalona. Czuję, że nagle wydorostałam. Nikomu już nie zaufam.

— Nie powinnaś tak mówić. Otrząsniesz się z tego. Na pewno. Na pewno.

Spojrzałam na nią i pomyślałam: Daję głowę, że była w nim zakochana. Nie powiedziała tego. Ustąpiła mi miejsca... i odkryła, ile jest wart.

— Och, Olivio! — wykrzyknęłam. — Najdroższa, słodka siostrzyczko, co bym bez ciebie zrobiła?

Odnalazłam łzy i poczułam ulgę, płacząc razem z nią. Ale w sercu miałam okropną gorycz.

Rozdział 4

Intymne wyznania

Zmieniłam się, nawet wyglądałam inaczej. Wydoroślałam. Moje oczy były teraz jeszcze bardziej zielone niż kiedykolwiek. Zwijałam włosy w kok na czubku głowy, przez co wydawałam się wyższa. Zaczęłam myśleć o pieniądzach — które niegdyś praktycznie dla mnie nie istniały. Musiałam nauczyć się oszczędzać, jeśli chciałam utrzymywać się z własnych dochodów.

Zauważyłam zmianę w zachowaniu służących w stosunku do mnie. Okazywali mi mniej szacunku niż kiedyś. Pamiętałam czasy, gdy Rosie Rundall śmiała się z zasad obowiązujących w części domu przeznaczonej dla służby. Różnice społeczne były tam widoczniejsze i znacznie subtelniejsze niż w salonie.

Nie byłam już córką pana Tressidora i znalazłam się na łasce wspaniałomyślnej siostry. Natomiast poważanie dla Olivii wzrosło tysiąckrotnie. W ciągu jednego dnia została panią domu.

Był to dla mnie przełomowy okres — okres decyzji. Budziłam się rano i pytałam sama siebie: „Co dzisiaj zrobisz?”. A potem zaczynałam myśleć o Jeremym Brandonie i o wszystkich moich nadziejach i planach. Byłam taką prostolinijną, szaloną marzycielką. Nie przypuszczałam, że kiedy oglądaliśmy mały domek, gdzie mieliśmy się radować naszą idyllą, mój narzeczony widział w istocie fortunę, którą spodziewał się odziedziczyć.

Byłam nieszczęśliwa. Czasem za nim tęskniłam, ale znacznie częściej go nie cierpiałam. Myślę, że moja nienawiść była znacznie namiętniejsza niż miłość. Dokonałam kompletnego przewartościowania poglądów. Wcześniej uważałam, że świat jest zamieszkiwany przez bóstwa i boginie. Teraz widziałam w ludziach podstępne, intrygujące kreatury, których jedynym celem jest zagarnąć jak najwięcej, nie licząc się z innymi.

Olivia była wyjątkiem. Tylko ona była dobra i tylko u niej mogłam czerpać pociechę, a siostra wkładała całą duszę w łagodzenie mojego bólu.

Nie ma znaczenia, że pieniądze zostały zapisane jej — dowodziła. Są nasze. A ponieważ były jej, mogła mi oddać połowę.

Droga, naiwna, kochająca Olivia!

— Nie mogę tu zostać — powiedziałam jej kiedyś.

— Dlaczego nie? — spytała.

— Nie należę już do tego miejsca.

— To twój dom.

— Nie. Wszystko się zmieniło, popatrz na służących. Ciotka Imogena daje mi to do zrozumienia od dnia jubileuszu. Nawet panna Bell jest teraz inna.

— One nie są ważne. Ten dom i wszystko, co się w nim znajduje, to moja własność. Będę też miała mnóstwo pieniędzy. Caroline, proszę, dziel je ze mną.

Odwrociłam się. Dziwne, ale prosta dobroć siostry doprowadzała mnie do płaczu, gdy interesowne kłamstwa Jeremy'ego budziły we mnie tylko gniew i gorycz.

— Myślałam o tym, by odwiedzić naszą matkę — powiedziałam.

— Pojadę z tobą, Caroline.

— Och, Olivio, ale czy możesz?

— Już teraz mogę... czemu nie?

Nie byłam pewna. Ciotka Imogena po pogrzebie zamieszkała w domu Olivii.

— Dopóki wszystko nie będzie ustalone — wyjaśniła.

Olivia była spadkobierczynią ojca, lecz nie objęła jeszcze w posiadanie swego majątku. Miało

się to stać dopiero po ukończeniu przez nią dwudziestu jeden lat lub wyjściu za mąż i wydawało się, że nastąpi raczej ta pierwsza okoliczność — miała już lat dwadzieścia.

Nadal z entuzjazmem snułam plany — choć wiedziałam już, że nie zawsze się urzeczywistniają.

Ciotka Imogena sprzeciwiła się podrózniczym zamiarom mojej siostry.

— Moja droga Olivio, nie możesz teraz opuścić Londynu. To nonsens. Nie powinnaś wojażować po Francji. Co pomyślą ludzie?

— Caroline będzie ze mną.

— Caroline może jechać, jeśli sobie tego życzy. Ale twój ojciec nie ostygł jeszcze w grobie.

Oczywiście ciotka postawiła na swoim. Biedna Olivia, obawiałam się, że zawsze będzie ustępować cudzej woli. Na szczęście szybko godziła się z losem.

Pan Cheviot okazał się bardzo życzliwy i uprzejmy. Poprosił, bym przyszła do jego kancelarii, a kiedy to zrobiłam, oznajmił, że napisał do mojej matki, a ona odpowiedziała, iż będzie zachwycona, jeśli przyjadę z wizytą. Zaproponował mi pomoc w przygotowaniach do podróży.

Byłam mu bardzo wdzięczna. Wiedział, oczywiście, o zerwanych zaręczynach i zdaje się, że współczuł mi z tego powodu.

Od pewnego czasu budziłam się rano pełna obaw. Nie było w tym nic dziwnego: w moim życiu nastąpiła ogromna i dramatyczna zmiana. Przeżyłam dwa wstrząsy. Po pierwsze, dom, w którym mieszkałam od narodzin, przestał być moim domem i mimo bezinteresowności siostry nie było w nim dla mnie miejsca. Po drugie, czyż może być coś bardziej upokarzającego i bolesnego dla młodej kobiety niż zerwanie przez narzeczonego zaręczyn w przeddzień — lub niemal w przeddzień — ślubu?

Byłam zdumiona intensywnością gniewu, jaki czułam na wspomnienie tych dwóch mężczyzn — Roberta Tressidora i Jeremy'ego Brandona. Robert Tressidor przynajmniej nigdy nie udawał, że mnie kocha, opłacił moją edukację i pozwalał mi mieszkać w swoim domu — mogłam więc żywić doń pewną wdzięczność. Natomiast Jeremy Brandon był nikczemnikiem. Udawał, że mnie kocha, gdy w rzeczywistości chodziło mu o majątek, który miałam odziedziczyć. Ciotka Imogena nie umyła jeszcze rąk od mojej przyszłości. — Rushtonowie jadą do Paryża — powiedziała. — Zabiorą cię z sobą. To ładnie z ich strony. Pannie w twoim wieku nie wypada podróżować samej. Pierwszą część podróży odbędziecie pociągiem. Rozmawiałam o tym z panem Cheviotem, który uważa, że to najlepsze rozwiązanie.

Poczułam ulgę, bo myśl o samotnym odbyciu tak dalekiej podróży była nieco deprymująca. Rushtonowie byli całkiem miłymi ludźmi. Mieli dwóch synów — obu żonatych — więc nie uczestniczyli w londyńskim „sezonie”.

Czyniłam gorączkowe przygotowania do wyjazdu i w gruncie rzeczy nie mogłam się doczekać, kiedy opuszczę dom. Było mi przykro rozstawać się z Olivią, ale obiecała, że przyjedzie do nas do Francji, kiedy tylko będzie to możliwe.

Jakieś trzy dni przed wyjazdem dostałam dwa listy. Pierwszy był od cioci Mary.

Przeczytałam go szybko.

Droga Caroline.

Słyszałam oczywiście o tym, co się stało.

Nie napisałam do Ciebie wcześniej, choć może powinnam, nie znoszę jednak pisać listów. Myślałam o Tobie często, lecz nie mogłam się zdecydować na wzięcie pióra do ręki. Pamiętam doskonale Twoją wizytę i bardzo chciałam znów Cię zobaczyć. Ale wyjechałaś do szkoły, a czas pędził na złamanie karku.

No cóż, pragnę jeszcze powiedzieć, że możesz przyjechać do mnie, kiedy będziesz miała ochotę. Możesz uważać mój dom za swój, jeśli tego zechcesz. Ja sama bardzo bym się cieszyła.

Dziwnie jest myśleć, że nie łączą nas więzy krwi. Nigdy wszakże nie przywiązywałam do tego dużej wagi. Krewni są nam narzuceni, ale przyjaciół wybieramy sobie sami, a mam nadzieję, że Ty i ja będziemy zawsze dobrymi przyjaciółkami.

Droga Caroline, rozumiem, że w tej chwili jesteś nieco przygnębiona. Chcę, żebyś wiedziała, że z całego serca potępiam czyn mego cnotliwego kuzyna i że byłam wstrząśnięta, gdy doniesiono mi — jako należącej do rodziny — co Cię spotkało.

Niech Cię Bóg błogosławi, moja droga. Powtarzam: mój dom zawsze może stać się Twoim. Nie sądzę, że tę propozycję dyktuje mi litość. Zapewniam, że mam na widoku własną przyjemność.

*Pozdrawiam,
Mary Tressidor.*

Uśmiechałam się, czytając ten list. Obrazy z pobytu w Tressidor stały mi żywo w pamięci. Poczułam rwącą tęsknotę: za ciotką Mary, starym domem, wędrownkami po Landower... za Jagonem i Paulem, którego wspomnienie towarzyszyło mi nieustannie, dopóki nie wyparł go zdrajca — Jeremy Brandon.

Ten list dodał mi otuchy. Przypuszczam, że gdybym nie przygotowywała się do wizyty u matki, bez zwłoki udałabym się do Kornwalii.

Postanowiłam napisać do cioci i wytłumaczyć, dlaczego nie mogę przyjechać.

Wzięłam drugi list, o którym na chwilę zapomniałam. Nie znałam charakteru pisma. Rozdarłam kopertę i przeczytałam:

Droga Panno Caroline.

Słyszałam, co się stało i uważam, że to wstyd. Chciałabym z Panią rozmawiać, wytłumaczyć, dlaczego nie byłam przy drzwiach w nocy, gdy miałam Panią wpuścić. To nie była moja wina.

Gdyby Panią mogła spotkać się ze mną w środę, wszystko bym wyjaśniła.

Rosie (dawniej Rundall, teraz Russell)

Byłam zdziwiona i bardzo podekscytowana perspektywą spotkania z naszą dawną pokojówką. Miałam już pokazać list Olivii, ale po namyśle zdecydowałam tego nie robić. Opowiem jej o wszystkim po wizycie u Rosie.

Przeczytałam adres w rogu koperty. Znałam dobrze tę ulicę. Znajdowała się dość daleko od naszego domu i stał przy niej rząd ślicznych, choć malutkich, georgiańskich domków. Rosie wyszła za męża, i to dobrze, jak mówią. Nikt nie próbował mnie powstrzymać. Panna Bell już się mną nie zajmowała. Przynajmniej, pomyślałam, mam teraz swobodę. Może każda katastrofa zawiera jakiś — z początku trudno dostrzegalny — aspekt pozytywny.

Dotarłam na miejsce punktualnie i zapukałam do drzwi, które otworzyła ładna służąca. Powiedziałam, że chcę się widzieć z panią Russell, a dziewczyna odrzekła:

— Proszę wejść, pani Russell czeka na panią w salonie. Zaprowadziła mnie do elegancko umeblowanego saloniku na pierwszym piętrze.

— Panna Tressidor — oznajmiła grzecznie.

Ku mojemu zdumieniu Rosie — ubrana w suknię koloru jasnej lawendy — wstała i podała mi dłoń prawdziwym gestem pani domu.

Kiedy drzwi zamknęły się za służącą, pełna godności gospodyni natychmiast przemieniła się w Rosie Rundall, którą znałam.

Roześmiała się i chwyciła mnie w objęcia.

— Panna Caroline! — wykrzyknęła. — Mój Boże! Ależ się panią zmieniła!

— Mogę to samo powiedzieć o tobie, Rosie.

— Zgadza się. No cóż, to miła zmiana, prawda? Składa mi panienska wizytę w moim własnym uroczym domku.

— Więc wyszłaś za mąż? Mrugnęła do mnie.

— Nie. Ale kiedy odmienił się mój los, zmieniałam też nazwisko. Rosie Rundall zginęła gwałtowną śmiercią i narodziła się Rosie Russell. Uważam, że najpierw powinnyśmy napić się herbaty. Zadzwoń na pokojówkę... Przyniesie tacę natychmiast, wszystko jest prawie gotowe. Dobrze wyćwiczyłam służbę. No cóż, to zrozumiałe, zważywszy, że sama kiedyś wykonywałam tę robotę...

— Rosie — powiedziałam — to niewiarygodne... i wspaniałe także. Co się wydarzyło? Zawsze wiedziałam, że nie jesteś zwykłą pokojówką.

Przyłożyła palec do ust.

— Potem. Nie chcę, żeby moje służące wiedziały zbyt wiele. Więc najpierw porozmawiajmy o pogodzie i wszystkich tych głupstewkach, o których damy gawędzą podczas przyjacielskich odwiedzin.

Herbata została wwieziona na stoliku przez służącą, ale nie tę, którą poznałam przy drzwiach. Rosie obrzuciła tacę fachowym spojrzeniem.

— Dziękuję, May — odezwała się grzecznie, lecz chłodno. Z trudem opanowałam śmiech.

Rosie nałala herbatę i powiedziała:

— Dobrze... A teraz będziemy mówić nieco ciszej. Służący mają zwyczaj podsłuchiwać pod drzwiami. Wiadoma sprawa! — mrugnęła do mnie po dawnemu. — Nie skarzę się i lubię, jak rozmawiają ze służbą z innych domów. To najlepsza agencja informacyjna. Przyjaciele rodziny nie znają tylu sekretów, co służba.

— Wyłumacz mi wszystko, Rosie.

— Od dawna miałam ochotę z panienką porozmawiać. Nie chciałam, żeby panienska myślała, że po prostu czmychnęłam tej nocy, gdy pojechała panienska na bal jako Kleopatra — roześmiała się. — Nigdy nie zapomnę panienki z tym wisiorem — węzem wokół szyi. Wyglądała panienska cudownie. Powiedziałam sobie: „Słowo daję, panna Caroline... zgarnie całą pulę. Panowie będą wokół niej krążyć jak muchy wokół garnka z miodem. Powinna dobrze strzec swojego miodku”.

— Rosie, co to znaczy?

Dolała nam herbaty i spojrzała na mnie, przekrzywiając głowę.

— Wydoroślała pani, panno Caroline — powiedziała — a ja wiem, co się stało. Nie jest panienska dziedziczką, za którą wszyscy panienkę uważali. Ma panienska trochę, ale niewiele.

— Skąd wiesz?

— Plotki, kochanie. Czy nie trąbiło o tym całe miasto? To wielkie wydarzenie, śmierć dobrego człowieka... który troszczył się o upadłe kobiety — krztusiła się ze śmiechu. — Uwielbiam takie historie — ciągnęła. — Słusznie, że pomagał biedaczkom podnieść się z upadku... zważywszy, że niejednokrotnie sam podstawiał im nogę.

— Co masz na myśli, Rosie?

— No cóż, przechodzę do sedna. Nie mogłam powiedzieć paniencie wcześniej... chociaż martwiło mnie, że nie dotrzymałam słowa. Teraz jest panienska dorosła. Nie trzeba panienki chronić. Wiele się panienska nauczyła... o życiu i w ogóle. Wyobrażam sobie, że nie ma panienska już kłapek na oczach i musi patrzeć w oczy brutalnej rzeczywistości.

— Zgadzam się z tym. Byłam szalona... nieświadoma... z głową w chmurach... świat wydawał mi się kolorowy i zupełnie inny, niż jest w rzeczywistości.

— Taka jest większość z nas, kochanie, kiedy wchodzimy w życie. Ale dorosła już panienska, a im szybciej to się staje, tym lepiej dla nas. Pamięta panienska, jak pracowałam w waszym domu?

Służąca, ale trochę inna, prawda? No cóż, różnica była taka, że nie chciałam pozostać pokojówką przez resztę życia. Miałam twarz, figurę i dość rozumu, by wprowadzić moje zamiary w życie. Musiałam poznać Londyn. Musiałam znaleźć dom. Musiałam być w centrum wydarzeń. Więc nocami... raz w tygodniu... chodziłam do pani Crawley w Mayfair. To piękny dom, bardzo przyjemny... najszykowniejszy w Londynie... albo jeden z najszykowniejszych... a pani Crawley nie przyjęłaby każdego. Teraz proszę przygotować się na mały wstrząs, ale powiedziałam, że musi panienka spojrzeć życiu w ślepią. Chodziłam do pani Crawley, aby zaba... zabawić mężczyzn.

Spojrzała na mnie i poczułam, że się rumienię.

— Widzę, że panienka rozumie — powiedziała. — No cóż, takie domy istnieją i są liczniejsze, niż można by przypuszczać. Wie panienka, że u pani Crawley przez miesiąc zarabiałam więcej, niż u was przez cały rok? Obliczyłam sobie wszystko. Byłam kiedyś równie niewinna jak panienka. Wstąpiłam na służbę w wieku lat czternastu. Pan domu zaczął okazywać mi względy. Uwiódł mnie. Za bardzo się bałam, żeby coś powiedzieć. A potem spotkałam w herbaciarni dziewczynę, która wytłumaczyła mi, jak sobie radzi i oszczędza, żeby zdobyć niezależność, wyjść za mąż i żyć przyzwoicie.

— Rozumiem, Rosie. Naprawdę.

— Wiem, że panienka rozumie. Każda sytuacja ma plusy i minusy. Nic nie jest całkiem dobre... ani całkiem złe. Dużo się nauczyłam i zebrałam pieniądze... całkiem sporo. Planowałam się wycofać, kiedy skończę trzydzieści lat. Potem miałam żyć wygodnie... ale trafiła mi się gratka i o tym właśnie chcę panience opowiedzieć.

W połączeniu ze wszystkim, co zdarzyło się tak niedawno, wyznanie Rosie całkiem mnie oszołomiło. Oczywiście powinnam była odgadnąć... te wieczory poza domem, te eleganckie suknie... wszystko układało się w logiczną całość. Ale może ulegałam złudzeniu? Byłam pewna, że nikt w domu nie podejrzewał, jak Rosie wykorzystuje swe wychodne.

— Radziłam sobie doskonale — ciągnęła. — Uzbierałam piękną sumę. A potem przyszła tamta noc. Och, prawie umierałam ze śmiechu, myśląc o tym później. Panno Caroline, na pewno chce panienka... abym mówiła dalej?

— Oczywiście.

— No dobrze, w końcu jest już panienka dużą dziewczynką. Proszę wrócić myślami do tamtej nocy. Pojechała panienka na bal... wypisz wymaluj Kleopatru. Miałam wpuścić pannę Oliwię, a potem popędzić do tylnych drzwi i zaprowadzić panienkę do pokoju. To była jedna z moich wychodnych nocy, pamięta panienka? Dobrze. Kiedy tylko odjechałyście, wyszłam z domu. Miałam wrócić przed jedenastą. Stara pani Winch i Wilkinson dobrze tego pilnowali. Chętnie położyliby kres moim wycieczkom, ale nie mogli nic zrobić. Nie chcieli, żebym zrezygnowała. Byłam dobrą pokojówką a pan i pani chętnie pokazywali mnie gościom. Odpowiednia pokojowa to ważny element domu.

— Wiem o tym, Rosie. Mów dalej.

— No cóż, tej nocy, gdy pojechałyście na bal, ja poszłam do Crawleyów. Pani powiedziała: „Dziś wieczór mamy bogatego dżentelmena. Jeden z naszych najlepszych klientów. Jestem zadowolona, że jego wizyta zbiegła się z twoją”. Potrząsnęła głową i dodała, jak zwykle: „Zrobiłabyś majątek, gdybyś u mnie zamieszkała”. Ale ja nie chciałam. Pragnęłam zachować swoją wolność i nadal przychodzić raz w tygodniu — to najlepsze zasady w tego typu grze. Miałam piękny, jedwabny peniuar, w którym przyjmowałam dżentelmenów. Nie nosiłam nic pod nim. W takim stroju poszłam do pokoju, w którym zastałam swojego dżentelmena. Był goły jak święty turecki... leżał w łóżku, czekając na mnie. Popatrzyłam na niego. Jak myślisz, kto to był?

— Nie zgadnę. Powiedz.

— Pan Robert Ellis Tressidor, patron wszystkich godnych spraw, zbawca upadłych kobiet,

ostoja nieszczęsnych bezrobotnych.

— Och, nie! To niemożliwe.

— Prawdziwe jak to, że tutaj siedzę. Po prostu podskoczył na łóżku i gapił się na mnie. Odezwała się: „Dobry wieczór, panie Tressidor”. Nie mógł mówić, tak był oszołomiony. Jego konfuzja była straszliwa. Nawet zrobiło mi się go żal. Cały drżał. Wątpię, czy ktoś był kiedyś w równie kiepskim położeniu. Miał twarz czerwoną jak burak. I wcale się nie dziwiłam. Zdaje się, że oczami wyobraźni widział już nagłówki w gazetach. Zapytał: „Co tutaj robisz? Wszyscy myślą, że jesteś porządną pokojówką”. Ryknęłam śmiechem. „Ja? — odpowiedziałam. — To oczywiście, co tutaj robię, panie Tressidor. Rzecz w tym, co pan tutaj robi, panie Opiekunie Upadłych Kobiet? Pomaga im pan upaść trochę niżej?”. Byłam naprawdę wylękniona, a kiedy jestem przestraszona, walczę jak lew. Ani przez chwilę nie wątpiłam, że jest w gorszej sytuacji niż ja. Miałam na sobie peniuar, a on zasłonił się prześcieradłem. W życiu nie widziałam nic śmiesznieszego. Ja... pokojówka, stałam przed nim, swoim panem i chlebodawcą, wybrańcem Boga, kulącym się nago na łóżku. Uspokoił się trochę i oświadczył: „Rosie, będziemy musieli znaleźć jakieś rozwiązanie”. Uprzejmie, przymilnie nawet, żadnych pańskich tonów. Po prostu jak wystraszony mężczyzna. Powiedział: „Nie powinnaś wieść takiego życia, moja droga”. „A pan powinien?” — spytałam. „Przyznaję się — odrzekł — do pewnej słabości”. Znów wybuchnęłam śmiechem. Ale dostrzegłam rysujące się perspektywy i zauważyłam: „Mogłabym narobić panu kłopotów, panie Tressidor”. Nie zaprzeczył. Widziałam, że się zastanawia... myślał gorączkowo. Świadczył o tym wyraz jego oczu. Myślał o pieniądzach. Pieniądze rozwiązują większość problemów — uznał i miał rację. „Rosie — zaproponował — wynagrodzę ci to”. Odparłam: „Teraz mówi pan z sensem”. Dzisiaj mogę się śmiać. On w łóżku, a ja w szlafroku zawarliśmy układ. Chciał, żebym zniknęła z domu. Rozumiałam to. Nie życzył sobie, aby mój widok przypominał mu codziennie o tym upokorzeniu. I żądał, abym zniknęła od razu. Obiecał, że da mi dużą sumę pieniędzy w zamian za milczenie. Stał się całkiem ludzki w swoim strachu, bo, na Boga, panno Caroline, był przerażony jak wszyscy diabli. Widział to samo, co ja: „Filantrop Robert Tressidor w burdelu...”. No cóż, zawarliśmy przyjacielską umowę: zapłaci mi sowicie, a ja zniknę bez zwłoki. Miałam przenocować w hotelu — na jego koszt, oczywiście, i zostać tam do czasu, gdy postara się dla mnie o jakąś siedzibę. Posiadał w Londynie liczne domy i przyrzekł sprawdzić, w jaki sposób mogę dyskretnie zostać właścicielką jednego z nich. Wręczył mi wszystkie pieniądze, które miał przy sobie, i obiecał dać jeszcze więcej. Na tym sprawa miała się zakończyć. Nie zamierzał pozwolić się szantażować bez końca. A ja też wcale tego nie chciałam. To niebezpieczna gra. Pragnęłam jedynie zyskać dobry start w uczciwe życie — który pewnym ludziom dany jest od razu, przy urodzinach, gdy inni muszą o niego długo i zażarcie walczyć. Rozumiał moje pragnienie skończenia z życiem służącej — moją ambicję, jak to określił, a żywił wielki szacunek do ambicji. Ostatecznie sam posiadał jej niemało. W pewnym sensie był szczery. I gdy tak leżał na łóżku nagi, patrząc z pokorą... budził we mnie zrozumienie i poczułam do niego sympatię, jakiej nigdy nie czułam do cnotliwego filantropa. Powiedziałam: „Proszę posłuchać, panie Tressidor, jeśli pan postąpi przyzwoicie wobec mnie, ja postąpię przyzwoicie wobec pana. Mogę opowiedzieć o panu dziennikarzom. Nie ma dla nich nic smakowitszego niż tego typu skandal. Byłby pan zrujnowany”. Przyznał mi rację i obiecał, że spełni wszystkie warunki. Wyplaci mi sporą sumę, ale na tym koniec. Jestem dość inteligentna, by rozumieć, że nie ścierpiałby dalszego szantażu. Zgodziłam się na to. Nie jestem szantażystką z natury, lecz dziewczyną, która musi walczyć, a kiedy ma się przeciw sobie różnice społeczne, trzeba okazać podwójny spryt. To wszystko! Co pani myśli o tej historii?

— Nie mogę przestać myśleć o nim... zawsze pozował na najlepszego z ludzi... A sposób, w jaki potraktował moją matkę. Czy świat jest pełen obłudników?

— Z pewnością stanowią spory odsetek. No i jak? Miałam rację, że panience powiedziałam?

— Zawsze lepiej jest wiedzieć wszystko.

— Będzie panienka musiała walczyć w życiu tak jak ja. Lepiej więc znać ludzi. Świat nie zawsze jest miłym miejscem. Och, niektórzy przechodzą przez życie, nie poznając jego ciemnych stron. Ale proszę popatrzeć na swojego ojca... mam na myśli Roberta Tressidora. Był człowiekiem, który miał pragnienia takie jak większość mężczyzn. Znam ten typ. Klienci pani Crawley w większości należeli do niego. Są, jak to się mówi, zmysłowi, a nie mogą zaspokoić swoich potrzeb w domu. Muszą udawać dżentelmenów, a możliwe, że naprawdę wstydzą się swoich pragnień, więc przychodzą do dziewcząt takich jak ja. Z nimi mogą robić wszystko, co lubią. Nie muszą się martwić, że ktoś odkryje ich prawdziwą naturę. Tak już jest z tymi rzeczami.

— Cieszę się, że mi powiedziałaś, Rosie. Chcę wiedzieć wszystko. Nigdy nie chciałam wyobrazić sobie świata takim, jakim nie jest. Myślę, że nienawidzę mężczyzn.

— Och, jest kilku dobrych w czeredzie nicponi. Trudno ich znaleźć, to prawda, ale istnieją.

Potrząsnęłam głową. Oczami wyobraźni wciąż widziałam swego ojca — dlaczego nadal nazywałam go ojcem? — widziałam Roberta Tressidora skulonego na łóżku i drżącego ze strachu.

— Zdenerwowałam go okropnie — ciągnęła Rosie. — Możliwe, że właśnie to go zabiło. Dostał pierwszego wylewu niedługo po naszym spotkaniu. Z pewnością był bliski szaleństwa... kiedy myślał o konsekwencjach. Ale przecież zostawiłam go w spokoju. Przyznaję, że zapłacił mi hojnie. Nie zmienił tego podłego testamentu, nieprawdaż?

Potrząsnęłam głową:

— Dlaczego miałby to zrobić?

— Och, był bardzo pompatyczny i pryncypialny w sprawie twojej matki. Słyszeliśmy całkiem sporo o tragedii, która go spotkała. Taki dobry człowiek miał taką podłą żonę! Jak ona mogła! A przez cały ten czas nasz świętoszek bywał u pani Crawley, gdzie płacił za klapsy i łaskotanie.

— To ohydne — powiedziałam.

— Uważa panienka, że jestem odrażająca?

— Nie.

— Kobieta, która sprzedaje swoje ciało i nie cofa się przed małym szantażem...

— Cieszę się, że coś z tego miałaś, Rosie. Odrażę budzą we mnie hipokryzja i kłamstwo. Ty nigdy taka nie byłaś.

— Szczera jak złoto, cała ja. Więc widzi panienka, że musiałam uciec z domu tamtej nocy. Dlatego panienki nie wpuściłam. Musiałam spakować rzeczy i opuścić dom przed jego powrotem. Tak brzmiał jeden z punktów umowy.

— Rozumiem, Rosie.

— Długo się zastanawiałam: powiedzieć, czy nie. Potem usłyszałam, że wyjeżdża panienka do Francji. Od kogo? Od służących! Oni dużo rozmawiają. Sama pochodzę z tego kręgu i wiem, ile są warte takie plotki. Wszyscy mówili, że nie dostała panienka ani grosza i że nie jest jego córką. To publiczna tajemnica. I pomyślałam: „Biedna panna Caroline. Ma teraz gorzką pigułkę do przełknięcia”. I przyszło mi do głowy, że zaproszę panienkę do siebie i powiem, co myślę. Jeśli panienka potrzebuje przyjaciółki, Rosie chętnie pomoże. Zaproponowałabym, aby panienka zamieszkała tutaj, ale to by nie było dobre. Odwiedzają mnie czasem panowie... teraz jednak sama ich wybieram. I zyskałam sobie pewną reputację. Któregoś dnia się ustatkuję. Ostatnio widziałam ślicznego szkraba, jak bawił się w parku ze swoją nianią. Pomyślałam... Nie wiem, jest coś dziwnego w dzieciakach. Kto wie, może wkrótce twoja stara przyjaciółka Rosie da sobie wypłatać takiego figla. Ale zanim się zdecyduje, muszę zapewnić maleństwu stosowne warunki. No, dosyć tego, jeśli kiedyś panienka uzna, że mogę być na coś przydatna, wie, gdzie mnie znaleźć.

— Dziękuję, Rosie — powiedziałam.

Zadzwoiła na pokojówkę, która zabrała stolik z herbatą. Patrzyłam na Rosie z mieszaniną rozbawienia i zakłopotania.

Była bardzo mądrą kobietą i choć przez jakiś czas sprzedawała swoje ciało i przyznała się do szantażu, wydawała mi się lepsza niż większość ludzkich istot, które znałam.

Wróciłam do domu zamyślona.

Naprawdę szybko dorastałam.

Rozdział 5

Noc w górach

Do Paryża podróżowałam z Rushtonami, jak było umówione, a potem moi opiekunowie bardzo uprzejmie wsadzili mnie do pociągu, który jechał na południe Francji.

Nie mogłam uwierzyć, że przydarzyło mi się tak wiele. Podróży nie odczuwałam jako męczącej. Pobyt w szkole nappełnił mnie pewnym zaufaniem do siebie, choć nie byłam weteranem dalekich wędrówek.

Wyglądając przez okno pociągu, powtarzałam sobie nieustannie, że muszę zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło. Muszę zacząć życie od nowa. Może się okazać, że moje miejsce jest przy matce. Znow marzyłam.

Myślę, że odkrycie, iż Jeremy'emu zależało nie na mnie, a na moim majątku, wstrząsnęło mną mniej niż to, czego dowiedziałam się o człowieku, którego długo uważałam za swojego ojca. Wciąż miałam przed oczami jego obraz w tamtym łóżku. Mogłam zrozumieć potrzeby seksualne tego mężczyzny, ale nie jego hipokryzję. Jak mógł wygłaszać te przemowy o upadłych kobietach, gdy sam oddawał się praktykom, które potępiał?

„Jest wielu takich jak on” — powiedziała Rosie, a przecież знаła mężczyzn.

A Jeremy? Wiedziałam, że nigdy nie zapomnę chwili, gdy otworzyłam list od niego i przekonałam się, że żyłam w świecie iluzji.

Ale tamten etap był już za mną. Mogłam zacząć jeszcze raz.

I oto pędziłam przez francuską prowincję, mijając gospodarstwa, budynki, pola, rzeki, wzgórza. Jechałam do mamy, która chciała się ze mną zobaczyć. Myślałam o kapitanie Carmichaelu. Przypuszczałam, że jej towarzyszy i ta perspektywa dodawała mi otuchy. Zafascynował mnie, kiedy byłam dzieckiem i nie zmartwiłam się odkrywwszy, że jest moim ojcem.

Podróż trochę mi się dłużyła. Panna Bell powiedziałaaby: „Francja to wielki kraj, znacznie większy niż nasz”. Uśmiechnęłam się lekko. Moja guwernantka dokładnie znałaby dane liczbowe.

To było dawno — w przeszłości. Musiałam odwrócić się plecami do całego mego dotychczasowego życia, przestać rozpamiętywać tamte doświadczenia, bo gdy to czyniłam, widziałam tylko dwóch oszustów: Jeremy'ego Brandona i Roberta Tressidora.

Kiedy na stacji wysiadłam z pociągu, duża bryczka już na mnie czekała.

Powiedziałam, że pani Tressidor spodziewa się mego przyjazdu i że odbyłam bardzo długą podróż.

Moja płynna francuszczyzna okazała się bardzo pomocna, a woźnica był zachwycony, że mówię w jego języku. Wskazał na łańcuch gór w oddali i powiedział, że za nimi jest morze.

Zatrzymaliśmy się przed domem. Był biały, ani duży, ani mały. Dwa z frontowych okien posiadały balkony, a winorośl pnąca się po ścianach plamiła ich biel czerwienią kwiatów.

Kiedy wysiadłam z bryczki, jakaś kobieta wyszła na dziedziniec.

— Everton! — zawołałam.

— Witamy, panno Caroline — powiedziała.

Z radości chciałam ją pocałować, ale uchyliła się, przypominając o swym statusie pokojówki.

— Pani się ucieszy, że panienka przyjechała — oznajmiła. — To nie jest jeden z jej dobrych dni... ale chciała zobaczyć panienkę, gdy tylko panienka przyjedzie.

— Och — powiedziałam, czując lekkie rozczarowanie. Spodziewałam się, że matka lub kapitan Carmichael powitają mnie przed domem, choć oczywiście ucieszyłam się na widok znajomej twarzy Everton.

— Proszę wejść, panno Caroline. Och, pani bagaż. Woźnica zaniósł torbę do wyłożonego kafelkami holu. Podziękowałam mu i dałam kilka monet, a on skłonił się, dotykając kapelusza. Everton zachowywała się chłodno i wyniośle.

Kwiaty na stoliku wypełniały hol swym intensywnym zapachem.

— To bardzo małe gospodarstwo — wyjaśniła pokojówka. — Mamy tylko jedną *domestique*, jak mówią w tym kraju — i ogrodnika, który przychodzi dwa razy w tygodniu. Jest tu całkiem inaczej niż...

— Tak, domyślałam się. Mogę zobaczyć się z mamą teraz?

— Tak, proszę iść na górę.

Zaprowadziła mnie po schodach do pokoju na piętrze. Okiennice były zamknięte i w pomieszczeniu panował półmrok.

— Panna Caroline jest tutaj — powiedziała Everton. — Uchylę okiennice, tylko trochę, dobrze?

— O tak. Naprawdę tutaj jesteś, kochanie? Och, Caroline!

— Mamo! — wykrzyknęłam i podbiegłam do łóżka, by rzucić się w jej ramiona.

— Moje drogie dziecko, wspaniale cię widzieć. Ale znajdziesz wszystko... tak innym.

— Ty jesteś tutaj i ja jestem — odrzekłam. — Podoba mi się różnica.

— To wspaniale, że jesteś tutaj.

Everton spokojnie podeszła do drzwi. Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem powiedziała:

— Proszę nie złościć matki za bardzo. Potem wyszła.

— Mamo — zapytałam — czy jesteś chora?

— Moja droga, nie rozmawiajmy o nieprzyjemnych rzeczach. Jesteś tutaj i zostaniesz ze mną przez pewien czas. Nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo pragnęłam cię zobaczyć.

Pomyślałam: W takim razie dlaczego nic nie zrobiłaś? Ale nic nie powiedziałam.

— Powtarzałam Everton: „Gdybym tylko mogła zobaczyć dziewczynki... Szczególnie Caroline”. Oczywiście widzisz teraz, że żyję tu... w ubóstwie.

— Uważam, że dom jest bardzo ładny. Kwiaty są cudowne.

— Jestem taka biedna, moja droga. Nigdy nie potrafiłam oswoić się z nędzą. Wiesz, że mamy tylko jedną *domestique* i jednego ogrodnika... i to nie przez cały czas.

— Wiem, Everton mi powiedziała. Ale przecież masz ją.

— Co bym bez niej zrobiła?

— Nie musisz się nad tym zastanawiać. Wydaje się równie oddana jak zawsze.

— Jest odrobinę apodyktyczna. Dobrzy służący często tacy są. Traktuje mnie jak dziecko. Oczywiście cierpię dotkliwie i tylu rzeczy mi brakuje. To nie Londyn, Caroline.

— Naturalnie, że nie.

— Kiedy myślę o życiu, jakie przedtem wiodłam...

— Mamo — przerwałam — co z kapitanem Carmichaelem?

— Och, Jock... biedny Jock. Nie mógł tego znieść. Na początku wszystko wydawało się idealne i bieda wcale nam nie przeszkadzała. Ale żadne z nas nie było do niej przyzwyczajone, rozumiesz.

— Ale byliście zakochani, mieliście siebie nawzajem.

— Och, tak. Byliśmy zakochani. Jednak to niczego nie zmieniło. Dla mnie... niczego. Dla niego także. Żadnych wyścigów. Uwielbiał wyścigi. No i oczywiście jego kariera... wojskowa.

— Wyrzekł się tego wszystkiego... dla ciebie.

— Tak. Postąpił słodko. I przez krótki czas było cudownie... nawet tutaj. Twój ojciec... mam na myśli mojego męża... był taki mściwy. Wiesz już wszystko, zgaduję, od pana Cheviota. Okazał się dobrym przyjacielem. Dopilnował moich spraw. Wysłał mi pieniądze regularnie. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Mój dochód po ojcu jest minimalny. Jock miał niewiele poza swą oficerską pensją, która zresztą też nie była wysoka. Tkwił wiecznie w długach. Bycie kapitanem w

regimencie królowej oznacza duże wydatki.

— Ale co się stało? Gdzie jest teraz?

Wyjęła spod poduszki koronkową chusteczkę i przyłożyła ją do oczu.

— Nie ma go już. Umarł w Indiach. Zapadł tam na jakąś okropną chorobę. Rozumiesz, musiał złożyć dymisję. Wszystko z powodu tego okropnego skandalu. Wyjechał, prowadził tam jakieś interesy z ludźmi, których znał wcześniej. Miał zarobić dużo pieniędzy i wrócić do mnie. Ale tak naprawdę pragnął jedynie znów nosić mundur. Wszyscy Carmichaelowie byli żołnierzami, został tak wychowany. Ale powtarzał, że było warto... na początku.

— I umarł! — Nie mogłam uwierzyć, że ten uśmiechnięty, czarujący mężczyzna, który umiał być rozkosznym towarzyszem, leży teraz w grobie. — Minęło tak niewiele czasu. Zaledwie cztery lata... Jubileusz królowej, pamiętasz? A wydarzyło się tak wiele, że te cztery lata zdają się całą epoką.

— Cztery lata... naprawdę? Cztery lata temu byłam w Londynie. Tam miałam tyle zajęć. Czy wiesz, że odkąd tu przyjechałam, prawie nie sprawiałam sobie nowych sukien? Trzeba by jechać do Paryża. Taka podróż kosztuje. Oczywiście Everton jest zrzeczna... ale co my wiemy o terażniejszej modzie!

— Przypuszczam, że to ostatnia rzecz, o którą powinnaś się martwić.

— Przyjechaliśmy tutaj. Musieliśmy opuścić Anglię, taki był jeden z warunków Roberta. Nie pozwolił nam zostać w kraju. Przyznał mi małą pensję pod warunkiem, że nie będę próbowała zobaczyć się z wami, z moimi córkami. To złamało mi serce. Głównie z twojego powodu, Caroline. Olivia była jego córką. Nienawidziłam go, Caroline. Nie chciałam wyjść za niego za mąż. Był najlepszą partią w sezonie... albo jedną z najlepszych. Taki bogaty, rozumiesz, i już znany. No cóż, zapragnął ożenić się ze mną, kiedy tylko mnie zobaczył, i chociaż wolałabym kogoś innego, musiałam przyjąć jego oświadczenia. Wszyscy tego ode mnie oczekiwali i wszyscy mówili, że miałam szczęście. Och, Caroline, nie umiem powiedzieć, jak bardzo go nienawidziłam. Nie mogłam znieść całej tej dobroci. Czy wiesz, że zawsze klękał przed łóżkiem, zanim się położył, i prosił Boga, aby pobłogosławił nasz związek, a potem... potem... ale ty tego nie zrozumiesz.

Pomyślałam o mężczyźnie w domu pani Crawley, leżącym nago na łóżku w oczekiwaniu na opłaconą dziewczynę, i powiedziałam:

— Owszem, mam. Myślę, że rozumiem.

— Niech cię Bóg błogosławi, kochanie. Dobrze, że jesteś ze mną. Nie wiem, jak zniosę dalsze życie tutaj. Jest takie puste... odkąd Jock wyjechał... a nawet wcześniej. Nie ma tu nic do roboty. Gdybym tylko mogła wrócić do Londynu. Gdybym tylko miała pieniądze. Kiedy myślę o Robercie, zdaję sobie sprawę, jak bardzo byłam szalona. Wytrzymałam tyle lat... zabrakło tylko czterech. Byłabym tam... gdzie moje miejsce.

— Tutaj jest bardzo pięknie. Krajobraz, który widziałam z pociągu, jest niesamowity — powiedziałam.

— Jestem znudzona tym krajobrazem, kochanie. Co można zrobić z górami, drzewami i kwiatami? Nic, tylko patrzeć.

— A jak twoje zdrowie, mam?

— Och, moja droga, to ponury temat! Codziennie muszę odpoczywać. Nie wstaję przed dziesiątą. Siedzę w ogrodzie do lunchu, a potem odpoczywam.

— A wieczorem?

— Nuda! Nuda!

— Czy w okolicy nie ma ludzi? Jesteś całkiem odizolowana od świata?

— Są ludzie. Ale bardzo nudni. Nie mogę nauczyć się ich męczącego języka. Widziałas zamek,

kiedy jechałaś ze stacji?

— Nie. Więc jest tu jakiś zamek?

— Tak. Rodziny Dubussonów. Najpierw myślałam, że mogą być interesujący. Ale Dubossonowie są bardzo starzy. Madame wygląda na dziewięćdziesiąt lat. Jest też ich syn i jego żona — raczej ponurzy. A zamek to prawie ruina. Wydają się bardzo biedni. Zachowują się jak chłopci. Chociaż są bardzo gościnni i czasami ich odwiedzam, a oni przyjeżdżają tutaj. W domach rozrzuconych po okolicy mieszka jeszcze parę rodzin. No i są ludzie, którzy hodują kwiaty i robią perfumy. A miasto leży półtorej mili stąd. Widzisz więc, jakie jest nasze położenie.

— Olivia chciała też przyjechać do ciebie.

— Biedna Olivia! Jak się czuje?

— Tak samo jak zawsze.

— Nigdy nie była atrakcyjna, biedne dziecko. Zawsze się dziwiłam, że to ja wydałam ją na świat. Oczywiście jest podobna do ojca.

— Och, nie! Olivia jest wspaniała.

— Tak mówiono o jej ojcu.

Z trudem powstrzymałam się od repliki. Zaczynałam pojmować sytuację. Spojrzałam na swoją matkę tak, jak nigdy przedtem. Kilka lat wcześniej była dla mnie boginią, która nawiedzała nasz dziecięcy świątek. Teraz straciłam złudzenia. Patrzyłam życiu prosto w twarz i ogarniało mnie coraz większe przygnębienie.

Everton weszła po chwili, uznawszy, że moja matka musi być już zmęczona. Pokazała mi mój pokój. Był dość wysoki, z białymi ścianami. Okna wychodziły na balkon z ozdobną, żelazną barierką. Wyszłam na taras i patrzyłam na piękny krajobraz. Światło wczesnego wieczoru barwiło odległe góry na niebiesko. Rosło tu mnóstwo kwiatów: fioletowych, czerwonych i niebieskich. Ich zapach unosił się w powietrzu.

Pomyślałam, że dom jest bardzo piękny i wyobraziłam sobie matkę z kapitanem Carmichaelem, przybywających tu, by przeżyć idyllę — i znajdujących rzeczywistość nieco różną od oczekiwań.

Ich miłość nie wytrzymała próby. Stara historia. Ale on przynajmniej porzucił dla ukochanej wszystko, nawet jeśli potem żałował i wyjechał.

Rozpakowałam bagaże i powiesiłam ubrania w szafie. Przebrałam się i zeszłam do jadalni na obiad.

Moja matka wstała z łóżka i włożyła na koszulę nocną różowy, jedwabny peniuar. Wyglądała bardzo romantycznie z rozpuszczonymi, kasztanowymi włosami. Nie lśniły tak jak dawniej i pomyślałam praktycznie, że Everton pewnie trudno zdobyć tutaj odpowiednie balsamy.

Przed domem znajdowało się patio. Było piękne, z winoroślą pnącą się po murach. Stał na nim stół, który świadczył, że główne posiłki jadano na świeżym powietrzu.

Byłam oczarowana, ale moja matka inaczej to widziała. Dla niej miały znaczenie jedynie towarzyskie rozrywki, które utraciła i za którymi tęskniła.

Kiedy tego wieczoru położyłam się do łóżka, czułam się samotna i przybita.

Długo myślałam o Tressidor Manor i o tym, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym przyjęła zaproszenie cioci Mary.

Jest rzeczą zdumiewającą, jak szybko człowiek przyzwyczaja się do nowych warunków życia. Otaczający mnie krajobraz był tak piękny, tak spokojny, że działał niczym balsam na moje zranione serce. Mogłam siedzieć w ogrodzie i czytać. Mogłam szyć, jeśli miałam ochotę, gdyż Everton nieustannie przerabiała suknie swej pani i cieszyła się z pomocnych dłoni. Mogłam rozmyślać o życiu, a wówczas dochodziłam do wniosku, że przynajmniej natura jest piękna. Pragnęłam, aby Olivia przyjechała do Francji. Miło byłoby z nią rozmawiać. Ale czułam, że nie mogę powtórzyć jej tego, co usłyszałam od Rosie. Ostatecznie Robert Tressidor był jej ojcem. Nie

mogłam też mówić z siostrą o Jeremym Brandonie, nie chciałam nawet o nim myśleć. Wszystko jedno, po prostu miałabym ją przy sobie, bo była jedną z nielicznych osób, do których czułam wówczas szacunek. Stałam się cyniczna.

Moja matka zauważyła to.

— Wydoroślałaś, Caroline — powiedziała pewnego wieczoru, gdy jadłyśmy obiad na patio. — Jesteś atrakcyjna w niespotykany sposób. Te zielone oczy. Nigdy nie miały tak intensywnej barwy. Wyglądają, jakby widziały w ciemnościach.

— Może widzą w mrokach ludzkiego serca.

Wzruszyła ramionami. Ona nigdy nie pragnęła poznać cudzych myśli — zbyt absorbowaly ją własne.

— No cóż — powiedziała — powinnaś nosić szmaragdy... kolczyki, wisiorki... Podkreśliłyby kolor twoich oczu. No i zielone suknie. Everton powiedziała, że chętnie zajmie się twoją garderobą. Dobrze robisz, upinając włosy do góry. Taka fryzura pasuje do wysokiego czoła. Everton mówi, że nigdy by nie zgadła, iż wysokie czoło może wyglądać tak pięknie. To cię nieco postarza, ale też przydaje ci szczególnego wdzięku. Nie jesteś ładna, ale wyglądasz... interesująco.

— Dziękuję — odpowiedziałam. — Cieszę się, że nie jestem całkiem zwyczajna.

— Nigdy nie byłaś. W przeciwieństwie do biednej Olivii. A zatem to biedne dziecko nie znalazło jeszcze męża. I wątpię, czy w ogóle znajdzie. A ty... mówili, że znalazłaś męża nawet bez debiutu!

— Mój rzekomy spadek go znalazł, nie ja, mamo.

Pokiwała głową.

— Nie możesz ganić tych ubogich młodych ludzi. Wszyscy musimy z czegoś żyć.

— Gdybym była młodym mężczyzną, starałabym się raczej zarobić na utrzymanie własną pracą — odpowiedziałam.

— Ale nie jesteś, a poza tym nie przepadasz za życiem towarzyskim. Bogu dzięki, że masz ten mały dochód, choć to nędzne pieniądze. Robert Tressidor był bardzo małodusznym człowiekiem.

Zaskakując samą siebie, stanęłam w jego obronie.

— Przecież mimo wszystkiego przyznał pensję tobie.

— Też nędzne pieniądze! Mogła być znacznie większa, a on nie odczułby żadnej różnicy. Bał się, żeby Jock nie korzystał z jego pieniędzy, dlatego dał mi sumę ledwo wystarczającą na przeżycie... i zrobił to tylko dlatego, że chciał podtrzymać swoją reputację szlachetnego człowieka.

— To było tak dawno. Tutaj jest prześlicznie. Zapomnij o tamtym.

— Nudzę się. — Ziewnęła i wpadła w melancholijny nastrój na wspomnienie blasków towarzyskiego życia.

Czasami ogrodnik Jacques udawał się małą bryczką do miasta i zabierał mnie ze sobą. Podczas gdy on załatwiał swoje sprawy, ja spacerowałam po ulicach. Spotykaliśmy się przy bryczce o umówionej porze. Uwielbiałam zaglądać do małych sklepików i rozmawiać z ludźmi. Nie omijałam kawiarni ze stolikami na świeżym powietrzu i siedziałam tam wśród krzewów kwitnących w doniczkach, sącząc kawę lub aperitif.

Często rozmyślałam, jak wielką przyjemność sprawiałoby mi takie życie kiedyś, przed tym, co nazywałam swoim przebudzeniem. Patrzyłam na świat bez złudzeń. Widziałam moją matkę taką, jaką była naprawdę: samolubną kobietę, chroniącą się w wyimaginowaną chorobę przed nudą zrodzoną z płytkości umysłu.

Zastanawiałam się, jak bardzo zależało mamie na Jocku Carmichaelu. Żałowałam, że nie poznałam go lepiej, czułam bowiem, że moglibyśmy wiele znaczyć dla siebie nawzajem. Rozumiałam jego ból i potrzebę ucieczki. Przynajmniej poświęcił karierę dla miłości — dzięki

czemu wydawał mi się przeciwieństwem Jeremy'ego Brandona.

Wędrowałam po cudownej okolicy. Często szłam pieszo półtorej mili, które dzieliło nasz dom od miasta. Sprzedawcy już mnie poznawali i sprawiało mi to przyjemność. Wołali mnie, lubili ze mną rozmawiać. Choć znałam francuski dobrze, czasem popełniałam błędy, które sprawiały im wiele uciechy. Znałam coraz więcej osób: kobietę, która w każdą środę przyjeżdżała z wioski odległej o cztery mile, by sprzedawać warzywa, dziewczęta z kawiarni, piekarza, który wyjmował chrupiące bochenki z pieca w swoim sklepie i sprzedawał je czekającym klientom, modystkę, która naśladowała swą paryską odpowiedniczkę, pokazując w oknie wystawowym tylko jeden kapelusz, i nawet człowieka w *quincaillerie*^{*}, którego odwiedziłam kiedyś z *domestique*, by kupić rondel.

Mieszkanie w małym domu zbliżyło nas do siebie i sprawiło, że byłam ze służącymi na bardziej przyjacielskiej stopie niż z londyńskimi pokojówkami — z wyjątkiem Rosie, oczywiście. Wyobrażałam sobie oburzenie pani Winch lub Wilkinsona, gdyby zobaczyli, jak przesiaduję w kuchni, gawędząc z Marie — *domestique*, lub w ogrodzie z Jacques'em.

Ale czułam, że ci ludzie są moimi przyjaciółmi i chciałam dowiedzieć się o nich tyle, ile tylko mogłam.

Marie została „zraniona w miłości” i podzielałam jej smutek. Jej ukochany był dzielnym i wesołym żołnierzem, który przez kilka miesięcy kwaterował w miasteczku ze swoim regimenterem. Obiecał dziewczynie małżeństwo, a potem wyjechał i nigdy nie napisał. Opowiedziawszy mi o nim, zanuciła melancholijną piosenkę:

*Ou fen vas-tu, soldat de France,
Tout eqipe, pret au combat?
Plein de courage et d'esperance,
Ou fen vastu, petit soldat?**

Zapominała o nim czasem, a wówczas śpiewała nam inne piosenki, jak „Przy pełni księżyca” i „Pada, pasterko”, bo z natury nie była melancholijna.

Nie byłam pewna, kiedy dokładnie przydarzył jej się ten romans, ponieważ gdy ją poznałam, zbliżała się do czterdziestki, miała wąsik i straciła już kilka zębów. Ale była pracowita, dobra i sentymentalna. Lubiłam ją coraz bardziej.

Zawarłam również przyjaźń z Jacques'em, który trzy lata temu został wdowcem. Miał sześcioro dzieci, a kilkoro z nich wspierało go materialnie. Większość mieszkała w pobliżu. W tamtym czasie zalecał się do wdowy, będącej dobrą partią, odziedziczyła bowiem po mężu dziesięć hektarów bardzo dobrej uprawnej ziemi.

Przy każdym spotkaniu pytałam, jak postępują zaloty. Jacques milczał przez chwilę i potrząsał głową.

— Wdowy, panienko — odpowiadał wreszcie — to śmieszne stworzenia. Nigdy nie wiadomo, jak się do takiej zabrać.

— Jestem pewna, że masz rację — mówiłam.

Cieszyło ich moje zainteresowanie. Ani matka, ani Everton nie zajmowały się nimi — wydawały jedynie polecenia. Opowiedziałam mamie o wiarołomnym kochanku Marie i wdowie

* *quincaillerie* — Sklep z wyrobami metalowymi (przyp. tłum.).

* Dokąd odchodzisz, francuski żołnierzu,
w pełnym ekwipunku, gotów do bitwy?
Pełen odwagi i nadziei,
dokąd odchodzisz, żołnierzyku? (przyp. tłum.).

Jacques'a, ale nie miała pojęcia, o kim mówię, a kiedy jej wyjaśniłam, odrzekła ze zdumieniem:

— Dziwna jesteś, Caroline. Jakie to ma dla ciebie znaczenie?

— To także są ludzie, mamó — wyjaśniłam. — Mają swoje życie zupełnie jak my. W Londynie służący trzymali się z dala. W takim małym gospodarstwie jak nasze dystans jest niemożliwy. I w pewnym sensie to dobrze. To nam uświadamia, że oni też są... ludźmi.

To nie była mądra uwaga.

— Ach, Londyn — westchnęła. — Co za różnica.

I znów wpadła w melancholię, przywołując wspomnienia.

Wkrótce poznałam kilku naszych sąsiadów. Składałam wizyty hodowcom kwiatów i przyglądałam się, jak destylują pachnące substancje i sprzedają je *parfumeurs* z całej Francji. Było to bardzo ciekawe. Posiadali całe akry kwiatowych pól, a ja zdumiewałam się widząc, jak wielu kwiatów trzeba do uzyskania jednego flakonika perfum.

Woń jaśminu była cudowna. Powiedziano mi, że zbiera się go w lipcu i sierpniu, ale w październiku krzewy kwitną drugi raz, najpiękniej.

Róże, z których powstawał olejek różany, były najwspanialsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałam.

Claremontowie zatrudniali kilku ludzi z miasta, którzy przyjeżdżali rowerami wcześniej rano. Często widziałam, jak wracają do domu po całym dniu pracy.

Wkrótce zawarłam też znajomość z Dubussonami. Wydali mi się czarujący. Ich siedziba faktycznie nieco podupadła. Po jednym z dziedzińców spacerowały kurczaki i całość przypominała bardziej farmę niż zamek. Miał jednak wieże, które przydawały mu godności, a Dubussonowie byli równie dumni ze swego domu, jak Landowerowie i Tressidorowie ze swoich.

Lubiłam siedzieć w wielkim salonie z panem i panią domu, pijąc stare wino i słuchając ich opowieści o tym, jak wiele się zmieniło od czasów świetności rezydencji. Syn i synowa starszych państwa mieszkali z nimi i ciężko pracowali. Czasami cała rodzina składała nam wizytę i potem zapraszała nas do siebie. Wówczas matka wkładała jeden ze swych pięknych strojów, Everton długo układała jej włosy i obie udawały, że chodzi o jedno z zaproszeń, których w dawnych czasach przychodziło tak wiele.

Dubussonowie byli smakoszami, a pan Dubusson lubił karty. Graliśmy w odmianę wista. Pan Dubusson uwielbiał też pikietę — podobnie jak moja matka, ale ponieważ jest to gra dla dwóch osób, nie nadawała się na wieczory. Często odwiedzałam ich popołudniami i grałam z panem domu w pikietę albo w szachy, które wolał. Poznałam zasady tej gry we francuskiej szkole, a pan Dubusson lubił mnie uczyć.

Ale chociaż miałam mnóstwo zajęć, zaczynałam odczuwać niepokój. Coraz częściej rozmyślałam o Kornwalii, zastanawiając się z troską, jak Landowerowie radzą sobie na skromnej farmie. Napisałam do cioci Mary, że bardzo chciałabym odwiedzić ją pewnego dnia.

Jej odpowiedź była entuzjastyczna. Kiedy przyjeżdżam?

Spędziłam z matką trzy miesiące. Nadeszła jesień i wspominałam Kornwalię z coraz większą tęsknotą. Powiadomiłam ciocię Mary, że przyjadę na początku października.

Reakcja mamy na wiadomość o moim wyjeździe zupełnie mnie zaskoczyła.

— Opuszczasz mnie! — wykrzyknęła. — Caroline, będę za tobą tęskniła.

— Och, mamó — zaprotestowałam — bardzo długo obywatęłaś się beze mnie.

— Podoba ci się u kuzynki Mary? Zawsze słyszałam, że twoja ciotka ma w sobie coś z niedźwiedzia.

— Bywa trochę szorstka, lecz kiedy pozna się ją lepiej, człowiek zaczyna rozumieć, jaka jest naprawdę. Bardzo ją pokochałam.

— Robert jej nie cierpiał.

- To z powodu domu... jej prawowitej własności.
- Czułam się tak wspaniale, odkąd do nas przyjechałaś.

Nic nie odpowiedziałam, ale kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam w jej oczach łzy, które popłynęły po policzkach. Everton powiedziała do mnie:

- Matka będzie za panią tęsknić. Jest z nią o wiele lepiej, odkąd panią przyjechała.
- Czy przedtem czuła się bardzo źle?
- Wspaniale się ożywiła.
- Nie jest naprawdę chora, Everton.

— To choroba umysłu, panno Caroline. Tęskni za życiem, które porzuciła i obawiam się, że tak już pozostanie na zawsze.

- Ale czy naprawdę była zadowolona, kiedy mieszkała w Londynie?
- Uwielbiała takie życie... wszyscy ci ludzie... ich podziw. To jej żywioł.
- Ale porzuciła Londyn z jego atrakcjami.
- Dla kapitana. To był wielki błąd. Nigdy by jednak nie odeszła, gdyby nie została zmuszona.

Stare poczucie winy znów się odezwało. To ja bezmyślnie ją zdradziłam. Gdybym nie spotkała na schodach Roberta Tressidora i nie wypaplała, że widziałam tamten wypadek, mama nadal mieszkałaby w Londynie i byłaby bogata. Kapitan Carmichael zaś nie leżałby w grobie, lecz kontynuował karierę wojskową.

- Nie mogę nic zrobić, Everton. Przypominam jej przeszłość — tłumaczyłam.
- Poczula się lepiej, kiedy panią przyjechała — upierała się pokojówka.

Podobnie jak matka, próbowała przekonać mnie, abym została. Mama zaś powiedziała:

— Powtarzam Everton, że młodzi ludzie muszą żyć własnym życiem. Nie należy spodziewać się ofiar po młodych. To właśnie jej mówię.

Obie wszakże oczekiwały, że zostaną, a ja zastanawiałam się, czy nie jest to moim obowiązkiem.

W zaciszu swojej sypialni dyskutowałam sama z sobą. Bądź rozsądna. Nie masz tu nic do roboty. Pomóc mamie może tylko ona sama. Jeśli przestanie tęsknić za blaskiem towarzyskiego życia i zainteresuje się własnym otoczeniem, poczuje się równie dobrze jak dawniej.

Nie, nie mogłam być głupia. Ciocia Mary czeka na mnie w Kornwalii — więc muszę jechać.

Kilka razy pisałam do Olivii, przedstawiając jej dokładnie ludzi, którzy mnie otaczali. Listy mojej siostry były serdeczne i wyrażały ciekawość, z jaką czytała o moich doświadczeniach.

Ubawiły ją portrety Marie i Jacques'a. Dopytywała o Dubussonów i producentów perfum.

Napisałam jej, że jadę do Kornwalii do cioci Mary i że po powrocie z Francji będę musiała zatrzymać się w Londynie, więc może spędzimy razem kilka dni.

Dostałam cudowną odpowiedź. Siostra nie mogła się doczekać, kiedy mnie zobaczy.

W miarę jak zbliżał się dzień mego wyjazdu, w domu gęstniał nastrój melancholii. Matka spędzała więcej czasu w łóżku i często zastawałam ją we łzach. Czułam się bardzo niezręcznie.

Moje torby zostały spakowane. Pożegnałam się z Claremontami i Dubussonami. Za dwa dni miałam wyruszyć w drogę.

Obiecałam matce, że wkrótce do niej przyjadę.

Był wieczór w przeddzień wyjazdu. Wróciłam z miasta, pożegnawszy tamtejszych przyjaciół. Myślałam i przebierałam do obiadu, kiedy Marie wpadła do pokoju.

— Pani! — krzyknęła. — Jest bardzo chora. Panna Everton prosi, żeby panią przysła natychmiast.

Pobiełam do sypialni matki. Leżała na łóżku z zaciśniętymi oczami i kredowobiałą twarzą. Nigdy przedtem nie widziałam jej w takim stanie.

— Everton — spytałam — co to znaczy?

Pokojówka zwróciła się do Marie:

— Każ Jacques'owi, żeby natychmiast pojechał po doktora.

Usiadłyśmy na łóżku. Matka otworzyła oczy i widziałam, że mnie rozpoznała.

— Caroline — wyszeptała — jesteś jeszcze. Dzięki Bogu.

— Tak, jestem, mam. Oczywiście, że jestem.

— Nie... zostawiaj mnie.

Everton wbiła we mnie wzrok, a mama zamknęła oczy.

— Od dawna jest w takim stanie? — szepnęłam.

— Weszłam na górę, żeby pomóc jej przebrać się do obiadu i znalazłam ją na łóżku.

— Co to może być?

— Mam nadzieję, że lekarz się pośpieszy.

Po niedługim czasie usłyszałam turkot kół w alei.

Wszedł niski człowieczek, bardzo pasujący do stereotypu wiejskiego doktora. Spotkałam go kiedyś u Dubussonów.

Sprawdził mojej matce puls, zbadał ją i potrząsnął głową z bardzo poważną miną.

— Przeżyła jakiś szok — zasugerował. Wyglądał na tak oświeconego po tym krótkim badaniu, że zwątpiłam w jego kompetencje.

Everton i ja wyszłyśmy za nim z pokoju.

— Potrzebuje odpoczynku... odpoczynku i spokoju. Żadnych wstrząsów, rozumieją panie? Jesteście pewne, że nic jej ostatnio nie zdenerwowało?

— No cóż — odezwała się Everton — jest zmartwiona, bo panna Tressidor postanowiła wyjechać.

— Aha — odrzekł lekarz domyślnie — o to chodzi.

— Przyjechałam z wizytą — wyjaśniłam — a teraz odwiedziny dobiegły końca.

Skinął głową z powagą.

— Chora potrzebuje opieki — oznajmił. — Przyjadę jutro.

Odprowadziłyśmy go do powozu.

Everton popatrzyła na mnie wyczekująco.

— Nie mogłaby panienka zostać trochę dłużej... dopóki nie poczuje się lepiej?

Nie odpowiedziałam.

Wróciłam do pokoju matki. Leżała nadal blada i wyczerpana, ale poruszyła się, kiedy weszłam.

— Caroline — powiedziała słabym głosem.

— Jestem tu, mam.

— Zostań... zostań ze mną.

* * *

Tej nocy niewiele spałam. Nie mogłam przestać myśleć o mamie, leżącej na łóżku i całkiem niepodobnej do samej siebie. Najpierw myślałam, że udaje chorobę i nadal czułam, że tak jest. Nie miałam jednak pewności. Skąd mogłabym ją wziąć?

Załóżmy, że wyjadę. A co, jeśli naprawdę jest chora i umrze? Czy ludzie umierają z tęsknoty? Przecież nie chodziło jej o mnie. Radziła sobie bez córek doskonale przez większą część życia i nie znała czulego przywiązania, jakie większość matek żywi do swoich dzieci. Widziałam, że mój przyjazd ożywił ją do pewnego stopnia. Pikieta i inne rozrywki tego rodzaju wypełniały nam czas — a także niekończące się rozmowy o dawnych czasach.

Ale to z mojej winy mąż wyrzucił ją z domu. Czy miałam być odpowiedzialna także za jej śmierć?

Nie spałam aż do świtu, a kiedy się obudziłam, podjęłam decyzję.

Nie pojedę... jeszcze.

Napisałam do cioci Mary i Olivii, wyjaśniając, że mama zachorowała i muszę zostać z nią nieco dłużej.

Kiedy zakomunikowałam swą decyzję Everton, jej twarz rozpromieniła się z radości. Poczułam ulgę. Odsunęłam wątpliwości.

Poszłam do pokoju matki. Pokojówka już tam była. Powiedziała jej o moim postanowieniu.

— Caroline, kochanie! — wykrzyknęła matka. — Więc... więc mnie nie zostawiasz?

Usiadłam na łóżku, biorąc ją za rękę, i poczułam się tak, jakby drzwi pułapki zatrzasnęły się za moimi plecami.

* * *

Mama powoli wracała do zdrowia, choć wciąż jeszcze wyglądała mizerniej niż kiedykolwiek. Doktor Legrand przyjeżdżał prawie codziennie, a emanujące zeń samozadowolenie świadczyło, iż jest przekonany, że to on doprowadził do cudownego ozdrowienia.

Ciocia Mary odpisała, że ma nadzieję, iż nie będę zbyt długo odkładała swej wizyty, a Olivia wyraziła żal, że mnie nie zobaczy i że matka jest chora. Chciałaby przyjechać, ale ciotka Imogena sprzeciwiała się temu. Sądziła, że może za jakiś czas będzie mogła opuścić Londyn.

Zamierzałam wyjechać przed Bożym Narodzeniem, ale ilekroć o tym wspominałam, matka popadała w takie przygnębienie, że postanowiłam nic nie mówić, tylko wszystko przygotować i pożegnać się w ostatniej chwili.

Wiedziałam, że choroba mojej matki to w głównej mierze wytwór jej umysłu. Z drugiej strony była kobietą stanowczą w swoich pragnieniach i nie miałam wątpliwości, że zawód może stać się dla niej przyczyną choroby.

Nie chciałam, by coś więcej zaciążyło na moim sumieniu. Tęskniłam jednak za Kornwalią.

Upominałam się, że popadam w stary nałóg budowania zamków na lodzie. Czym Lancarron mogło się różnić od małego, francuskiego miasteczka?

Dni mijały coraz szybciej, nadeszły długie wieczory. Nie jadałyśmy już na dziedzińcu. Marie zapalała lampę naftową, i popołudnia mijały nam na grze w pikietę lub czytaniu wycinków prasowych, które Everton wklejała niegdyś do zeszytu. Ale taka lektura kończyła się oczywiście atakiem melancholii, więc zawsze głosowałam za pikietą.

Próbowałam zdecydować, co uczynię ze swoim życiem. Czy powinnam poszukać jakiejś posady? Co mogłam robić? Jak zubożałe dziewczęta zarabiają na życie? Zostają guwernantkami lub pannami do towarzystwa, nie mają wielkiego wyboru. Próbowałam wyobrazić sobie siebie w roli panny do towarzystwa kobiety takiej jak moja matka... spędzającej czas na grze w pikietę lub rozpamiętywaniu wspaniałej przeszłości.

Buntowałam się i chciałam uciec.

Potem wybuchła bomba, w postaci listu od Olivii.

Moja droga Caroline.

Nie wiem, jak Ci to przekazać. Nie wiem, co pomyślisz. To się zdarzyło już jakiś czas temu i często chwytalam za pióro, by o tym napisać, lecz nie mogłam się odważyć. Ale tak czy inaczej, wkrótce byś się dowiedziała.

Jestem zaręczona.

Wiesz, że wszyscy uważali, iż nigdy nie znajdę sobie narzeczonego, ale stało się inaczej. Mogę być bardzo szczęśliwa, jest tylko jeden szkopuł. Och, nie wiem, co o mnie pomyślisz... ale muszę to

zrobić, Caroline. Widzisz, kocham go. Zawsze go kochałam... nawet kiedy zaręczył się z Tobą.

Tak, to Jeremy. Był bardzo smutny, kiedy wasze zaręczyny musiały zostać zerwane. Opowiedział mi o tym. A jednak zdał sobie sprawę, że chociaż był Tobą zafascynowany, nie łączyła Was prawdziwa, trwała miłość. Dokonał tego odkrycia we właściwym czasie. Czuł, że jesteś zbyt młoda, by w pełni odpowiadać za siebie. Przedtem, widzisz, zwrócił na mnie uwagę, ale gdy się zjawiłaś, miał już oczy tylko dla Ciebie. Teraz naprawdę mnie kocha, Caroline. Wiem, że tak jest. I nigdy nie mogłabym być szczęśliwa bez niego, więc zdecydowaliśmy się wziąć ślub.

Ciotka Imogena jest zachwycona. Nalega tylko, byśmy poczekali ze ślubem, dopóki nie minie rok od śmierci papy. I ceremonia ma być cicha, bez okazałości.

Caroline, mam nadzieję, że już doszłaś do siebie. Mam nadzieję, że nie będziesz mnie nienawidzić i pogardzać mną z tego powodu. Ja naprawdę go kocham i kochałam nawet wtedy, gdy był Twoim narzeczonym.

Będzie bardzo szczęśliwy, jeśli zdołasz mu wybaczyć.

Droga Caroline, spróbuj nas zrozumieć.

Twoja zawsze kochająca siostra, Olivia.

Byłam oszołomiona po przeczytaniu tego listu.

Bezczelny zuchwalec! Łotr! Wąż! Powiedziałam głośno: „Jeremy Brandon, jak możesz być tak podły? Miałeś chrapkę na fortunę Roberta Tressidora, prawda? A ponieważ nie udało się z jedną siostrą, zająłeś się drugą”.

Roześmiałam się z goryczą, dziko. Ale śmiejąc się, byłam bliska łez.

Usiadłam i zaczęłam myśleć o tym, jak inaczej wszystko mogło się ułożyć. Widziałam siebie w małym domku w Knightsbridge. Jakże byłabym szczęśliwa, gdyby Jeremy okazał się inny, gdyby okazał się mężczyzną, za którego go uważałam — a nie jeszcze jedną z moich fantazji!

Nie miałam ochoty widzieć kogokolwiek. Pragnęłam odciąć się od ludzi. Wysłałam z domu i szłam całe mile. Bałam się rozmawiać, bo nie byłam pewna, czy zdołam ukryć wściekłość, rozpacz, gorycz, gorzką złość.

Kiedy wróciłam do domu, nie czułam się lepiej.

Usiadłam przy stole i napisałam list do siostry.

Jak możesz być tak naiwna? Nie widzisz, że jest zwykłym łowcą posagów? Nie żeni się z Tobą, tylko z majątkiem Twego ojca. To oczywiste, że przeniósł uczucia na Ciebie. Myślał, że odziedziczył duży spadek, dlatego zakochał się tak namiętnie. Jest zakochany, w rzeczy samej... ale nie w Tobie, droga siostrzo, jak nie był zakochany we mnie. Jest zakochany w pieniądzach.

Olivio, na miłość boską, nie rujnuj sobie życia, oddając rękę temu nędznemu oszustowi...

I tak dalej przez cztery bite strony.

Na szczęście nie wysłałam tego listu.

Wieczorem poczułam, że muszę z kimś porozmawiać. Uważałam, że mama powinna się dowiedzieć o planowanym małżeństwie Olivii.

Nie zauważyła mojego wzburzenia, choć rzucało się w oczy. Marie spytała, czy dobrze się czuję. Ale matka nie dostrzegała niczego, co nie dotyczyło jej w bezpośredni sposób.

— Olivia jest zaręczona — powiedziałam.

— Olivia! Nareszcie! Myślałam, że nie znajdzie męża. Kim jest ten mężczyzna?

— Nigdy nie zgadniesz. To Jeremy Brandon, który miał się ożenić ze mną, ale zerwał zaręczyny, kiedy się okazało, że twój mąż nie był moim ojcem i w związku z tym nie zostawił mi ani grosza. Jego uczucia nie wytrzymały tego wstrząsu. Odrodziły się jednak i skierowały ku

Olivii, która może dać mu to, czego pragnie.

— No cóż — odrzekła mama — przynajmniej twoja siostra nie zostanie starą panną.

— Mamo — wykrzyknęłam z wyrzutem — jak możesz tak mówić?

— Taki jest ten świat — odparła.

— W takim razie nie chcę mieć nic wspólnego z tym światem.

— Ale należysz do niego.

— Nie cały świat jest taki. Nie chcę żyć na targu.

— A co ma zrobić ubogi młody mężczyzna? Nie można być szczęśliwym, żyjąc w biedzie.

Spójrz na mnie. — Westchnęła.

— Wierzysz w miłość, mamo?

Milczała przez chwilę, niewątpliwie patrząc w przeszłość i widząc przystojnego kapitana. Ale nawet jego miłość umarła z powodu braku pieniędzy. Ubóstwo zabiło ją skuteczniej, niż mogłaby to uczynić jakakolwiek kobieta.

— Nie wątpię, że Olivia jest zachwycona — powiedziała. — Biedne dziecko. Nie zaznała wiele szczęścia, prawda? Będzie więc stosunkowo szczęśliwa i zadowolona, że wszystko tak się ułożyło.

Nienawidziłam jej życiowej filozofii, a jednak... Wiedziałam, że ma rację twierdząc, że Olivia będzie szczęśliwa.

Oczywiście wyobraźni widziałam, jak moja siostra idzie przez życie, dostrzegając tylko dobro, nieświadoma wszystkiego, co podstępne i złe.

Nie mogłam zniszczyć jej złudzeń.

Poszłam do swego pokoju i podałam list, który do niej napisałam. Czułam jednak, jak moją duszę zżera gorycz.

Nienawidziłam Jeremy'ego Brandona tysiąc razy bardziej niż przedtem.

* * *

Dubussonowie wydawali przyjęcie, na które nas zaprosili, i chociaż mama gardziła ich „gaikami”, jak je nazywała, łagodziły jednak monotonię naszego życia i przygotowywała się do nich — czy raczej Everton ją przygotowywała — tak starannie, jakby wybierała się na jeden z londyńskich balów.

Dyskutowały przez cały dzień, co powinna włożyć, a toaleta zaczynała się kilka godzin przed wyjściem.

— To tylko przyjacielskie spotkanie — powiedziała pani Dubusson. — W sąsiedzkim kręgu. Claremontowie mają u siebie ważnego klienta i poprosiłam, żeby go przyprowadzili.

Moja matka oczywiście wyglądała bardzo pięknie. Włożyła sukienkę w swoim ulubionym lawendowym kolorze, który podkreślał delikatność skóry i blask włosów. Wyglądała zupełnie jak kiedyś w Londynie i pomyślałam: „Jeśli przyjęcie u Dubussonów potrafi sprawić taką przemianę, mama wkrótce byłaby całkiem zdrowa, gdyby zaczęła znów bywać w dobrym towarzystwie”.

Everton nalegała, bym pozwoliła jej się uczesać i muszę przyznać, że zrobiła to bardzo dobrze. Wyszczotkowała mi włosy szczotką nasączoną specjalnym olejkiem, a potem upięła je na czubku głowy. Wybrała szmaragdową broszkę, należącą do mojej matki, i przypięła ją do mojej zielonej sukni. Everton z pewnością wiedziała, jak osiągnąć zamierzony efekt.

Dubussonowie przysłali po nas jedną ze swych nieco sfatygowanych bryczek. Widziałam pełną niesmaku minę mojej matki, gdy wsiadała do tego ekwipażu, i musiałam jej przypomnieć, że to bardzo uprzejmie ze strony Dubussonów, iż przysłali po nas powozik, skoro nie mamy własnego. Wszystko jedno, wyraz jej twarzy wcale się nie zmienił, bo kiedy wjeżdżaliśmy na dziedziniec, zobaczyła kurę siedzącą na jednym z murków.

Pani Dubusson powitała nas serdecznie. Oprócz gospodarzy byli już doktor Legrand i Claremontowie ze swoim gościem.

— Znamy się wszyscy — oznajmiła pani Dubusson — z wyjątkiem pana Foucarda.

Pan Foucard wystąpił naprzód i skłonił się z wdziękiem. Miał jakieś pięćdziesiąt pięć lat, małą, kozią bródkę i błyszczące, ciemne oczy, a także bujne włosy, prawie czarne. Ubrany był z taką elegancją, że natychmiast uświadomiłam sobie brak tej zalety u innych obecnych mężczyzn.

Wydawał się trochę zbyt wylewny. Najwyraźniej zdumiała go uroda mojej matki, co świadczyło, że nie spodziewał się takiego wykwintu w wiejskim towarzystwie. Dla mnie także był bardzo miły.

Pani Dubusson powiedziała, że dostaniemy aperitif, a potem zostanie podany obiad.

Oczywiście pan Foucard był najważniejszym gościem. Miał to, co ludzie określają mianem dobrej prezencji, potrafił także prowadzić rozmowę. Usiadł między matką i mną i zwracał się głównie do nas.

Powiedział, że jego pobyt potrwa, niestety, krótko i że już tego żałuje. Nie mógł oderwać oczu od mojej matki, która promieniała. Takiego właśnie zainteresowania rozpaczliwie łaknęła. Byłam zadowolona, że tak dobrze się bawi.

— Jest pan człowiekiem bardzo zajęтым — powiedziała. — Och, nie mam na myśli zajętego serca, lecz interesy.

Roześmiał się serdecznie, a w jego oczach błyszczał podziw.

Miała rację, przyznał. Prowadził interesy w całej Francji i z tego powodu wiele podróżował. Tak, działał w branży perfumeryjnej. Cóż to za branża! Poznawał ją od dzieciństwa.

— Chodzi o nos, moje panie. Ten nos. — Wskazał na nieco zbyt dużą wypukłość na twarzy. — Wyczuwałem różne zapachowe subtelności już jako dziecko. W bardzo młodym wieku uczyłem się o rajskich zapachach, które muszą być godne pięknych kobiet. Wiedziałem, że najlepsze drewno cedrowe pochodzi z gór Atlas w Maroku, a olejek cedrowy jest nieoceniony, gdy chodzi o utrzymanie zapachu... mam na myśli, że działa jak utrwalacz.

— To fascynujące! — wykrzyknęła moja matka. — Proszę opowiedzieć nam coś więcej na ten temat.

Spełnił jej prośbę aż nazbyt skwapliwie i chociaż odwrócił się w moim kierunku i od czasu do czasu o coś mnie pytał, widziałam, że jest pod wrażeniem dojrzałego wdzięku mojej matki.

Wiedziałam, dlaczego moja matka budzi w mężczyznach tak żywe emocje. Była na wskroś kobieca i wyglądała krucho i bezradnie. Jej wielkie, brązowe oczy prosiły o opiekę. Demonstrowała swą niewinność i nieświadomość w sposób schlebający męskiej próżności, a panowie kochali ją za to. Któryż z nich nie poczułby się dumny, obcując z tak czarującą istotą?

Patrzyła teraz na niego, jakby przez całe życie marzyła o poznaniu tajemnic wytwarzania perfum.

Pani Dubusson i Claremontowie byli zachwyceni widząc, że ich gość bawi się tak dobrze.

Jedzenie okazało się doskonałe, jak zawsze u Dubussonów, nawet moja matka musiała to przyznać. Posiłki były u nich ceremonią niemal religijną. Sposób, w jaki nakładali potrawy na talerze, w jaki jedli, widoczna przyjemność, z jaką to czynili, miały w sobie coś z autentycznej czci. Ale wydawało mi się, że jest to w ogóle cecha Francuzów, a nie tylko tej jednej rodziny. Pan Foucard był pod tym względem typowym przedstawicielem swego narodu, ale tamtego wieczoru okazywał zdecydowanie większe zainteresowanie sąsiadką niż potrawom.

— Musi pan opowiedzieć nam więcej na ten fascynujący temat, panie Foucard — powiedziała moja matka.

— Jeśli pani nalega.

— Oczywiście, że nalegam! — odrzekła, posyłając mu zachęcający uśmiech.

— Życzenie pani musi zostać spełnione za wszelką cenę. Naturalnie nic nie mogło sprawić mu większej przyjemności niż opowiadanie o własnych interesach, a kiedy prosiła o to elegancka i piękna kobieta, musiał odczuwać głębokie zadowolenie.

Tak więc mówił. Przyznaję, że interesująco. Wiele się dowiedziałam, nie tylko o wyrabianiu perfum, ale także o ich historii. Miał oczywiście sporą wiedzę na ten temat: opowiadał o pachnidłach starożytnych Egipcjanek i ubolewał nad faktem, że w dzisiejszych czasach perfumy nie są równie popularne.

— Ale, drogie panie, pracujemy nad tym. Zaniedbano prezentacji. Produkt musi dobrze wyglądać, by radować oczy, a któż przywiązuje do tego większą wagę niż kobiety? Prezentujemy nasze zapachy w taki sposób, że nie można im się oprzeć. Cóż jest rozkoszniejszego niż przepiękny zapach?

Moja matka roześmiała się i przerwała potok jego wymowy.

— Mówi pan zbyt szybko jak dla mnie, panie Foucard. Powinien pan pamiętać, że nie znam dobrze pańskiego języka.

— Pani, nigdy nie słyszałem, by ktoś posługiwał się nim w rozkoszniejszy sposób.

— Wielki z pana pochlebca, panie *parfumeur*. — Poklepała jego dłoń żartobliwie, co go rozbawiło.

— Mam zamiar poprosić panią o wielką przysługę — oznajmił.

— Nie jestem pewna, czy będę mogła ją wyświadczyć — odrzekła kokieteryjnie.

— Musi pani, inaczej będę niepokieszony. Nachyliła się ku niemu, zbliżając ucho do jego warg.

— Proszę, by pozwoliła mi pani przysłać sobie flakon mego najlepszego wyrobu. To Muguet...

— Muguet! — wykrzyknęłam. — My mówimy: lilia.

— Lilia — powtórzył, a moja matka roześmiała się głośno.

— Pani jest jak lilia. Wybrałbym ją dla pani.

Widziałam, że flirt tych dwojga zdominował wieczór, ale nikt się nie martwił. Życzliwych Dubussonów cieszyło zadowolenie gości. Co do Claremontów, wydawali się zachwyceni. Zależało im na panu Foucardzie. Domyślałam się, że liczą, iż kupi sporą ilość ich olejków. Dubussonowie byli też radzi, że goście doskonale zabawiają się nawzajem, uwalniając gospodarzy od tego obowiązku.

Moja matka i pan Foucard wyraźnie czerpali ze swego towarzystwa więcej przyjemności niż ktokolwiek inny.

Zasiedliśmy do obiadu, sącząc wina. Pan Foucard wiedział o nich bardzo dużo, ale rzucało się w oczy, że jego prawdziwą pasją są perfumy.

Wyraził żal, gdy wieczór dobiegł końca i wylewnie podziękował państwu Dubussonom. Claremontowie byli w siódmym niebie, a kiedy pan Foucard usłyszał, że moja matka i ja wracamy do domu jednym z powozów gospodarzy, zapragnął nam towarzyszyć.

Uczył to, ku ogromnemu zadowoleniu mojej matki.

Ten wieczór był jej tryumfem.

Pan Foucard pocałował w rękę najpierw mnie, potem moją matkę — długo nie odrywając ust od jej dłoni i patrząc jej w oczy — a potem oświadczył, że głęboko żałuje, iż następnego dnia musi wyjechać do Paryża.

— Może będę mógł wrócić — powiedział, wciąż nie puszczał jej dłoni.

— Mam nadzieję, że tak się stanie — odrzekła mama z powagą — ale nie wątpię, że to spokojne miasteczko wydało się panu nudne w porównaniu z ekscytującymi miejscami, które nieustannie pan odwiedza.

Podniósł głowę z uroczystą miną.

— Pani — oświadczył, kładąc dłoń na sercu gestem, który miał świadczyć o absolutnej

szczerości — zapewniam, że jeszcze nigdy nie spędziłem wieczoru tak mile, jak dzisiaj.

Everton czekała na moją matkę i słyszałam ich pełne podniecenia głosy, które nie milkły aż do świtu.

Leżałam w łóżku, rozmyślając o minionym wieczorze i o tym, co oznaczał.

Nie mogę zostać tu dłużej, pomyślałam. Muszę uciekać. Przez wiele dni w okolicy rozprawiano jedynie o przyjęciu u Dubussonów i najzabawniejszym, najinteligentniejszym mężczyźnie na świecie: panu Foucardzie. Claremontowie twierdzili, że jest jednym z najbogatszych dystrybutorów perfum we Francji. Posiadał liczne sklepy w całym kraju, a ponadto sprzedawał swe produkty za granicę. Uważali za wielki zaszczyt, że zechciał spędzić noc pod ich dachem. I jak szczęśliwie się złożyło, że akurat tego wieczoru Dubussonowie urządzili przyjęcie!

Dobry humor mojej matki zaczął gasnąć po kilku dniach. Ale wówczas nadszedł flakonik perfum: „Dla najpiękniejszej lilii na świecie”. Przez tydzień była szczęśliwa. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

Dubussonowie zaproponowali, abyśmy spędziły te trzy dni w ich zamku i przyjęłyśmy zaproszenie.

Matka wspominała święta w Londynie z jeszcze głębszą melancholią niż zwykle, a ja obiecałam sobie, że po Bożym Narodzeniu już na pewno pojedę do Kornwalii. Tam naradzę się z ciotką Mary co do znalezienia jakiejś pracy. Od razu pomyślałam o Jamie McGillu. Może potrafiłabym hodować pszczoły? Jamie chętnie by mnie uczył. Miałam wprawdzie dość pieniędzy, by wyżyć, ale dodatkowe środki mogły mi się przydać. Nie chciałam jechać do Londynu, bo musiałabym zobaczyć się z Olivią.

Na początku grudnia udałam się do miasta, by kupić kilka prezentów. Musiałam znaleźć upominki dla Dubussonów, u których miałyśmy spędzić święta, dla mamy, Everton, Marie i Jacques’a.

W sklepach nie było wielkiego wyboru, więc szybko zrobiłam zakupy i poszłam do *auberge*, gdzie obecnie dobrze już mnie znano. Wszystkie stoliki wniesiono już do środka, usiadłam zatem w sali, której okna wychodziły na skwer, i zamówiłam szklankę wina.

Kiedy je piłam, do oberży wszedł jakiś mężczyzna i usiadł blisko mnie. Było w nim coś znajomego. Pomyślałam, że chyba śnię. Tak często go sobie wyobrażałam, że teraz nie mogłam uwierzyć własnym oczom!

Wstał i podszedł do mnie. Miał ciemne włosy, ciemne oczy, był przygarbiony i lekko powłóczył nogami. Poczułam, jak rumieniec oblewa moją twarz.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział — ale jest pani Angielką?

Skinęłam głową.

— Myślę, że jest pani... musi pani być...

Odzyskałam panowanie nad sobą.

— Pan nazywa się Paul Landower. Poznałam pana od razu.

— A pani jest panną Tressidor.

— Owszem.

— Bardzo się cieszę, że panią spotkałem. Widzieliśmy się tak dawno temu. Była pani wówczas małą dziewczynką.

— Miałam czternaście lat i nie uważałam się za małą dziewczynkę. Od tego czasu minęły cztery lata.

— Naprawdę?

— Pamiętam doskonale.

— Mogę usiąść? — spytał.

— Proszę bardzo. Pobyt w Kornwalii był ważnym wydarzeniem w moim życiu. Jak się miewa

pański brat?

— Jago czuje się dobrze, dziękuję.

— On i ja zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Jest mniej więcej w pani wieku. Trochę starszy, ściśle rzecz biorąc. Miewa się całkiem dobrze.

Chciałam zapytać o Landower i o to, jak radzą sobie na farmie, ale czułam, że ten temat może wprowadzić atmosferę smutku.

— Zamówię jeszcze wina — powiedział. Oparł łokcie na stole i uśmiechnął się do mnie.

Czułam rosnące podniecenie. Ten mężczyzna był głównym bohaterem moich marzeń, dopóki nie pojawił się Jeremy Brandon. Dziwny zbieg okoliczności sprawił, że Paul przyjechał do tej właśnie miejscowości we Francji, w której przebywałam.

— Jest pan tu na wakacjach? — spytałam.

— Nie. Prowadzę interesy w Paryżu i Nicei. Pomyślałem, że rzucę okiem na francuską wieś, skoro jestem w okolicy. Te małe miejscowości są takie śliczne, prawda? A ludzi można poznać znacznie lepiej niż w wielkich miastach.

— Jestem z wizytą u matki — wyjaśniłam.

Paul skinął głową.

— Mieszka tu teraz. Już od kilku lat.

— Podoba się pani tutaj?

— Życie wszędzie jest ciekawe.

— W rzeczy samej. Szkoda, że nie wszyscy patrzą na nie w taki sposób.

— Jak się czuje panna Tressidor? Nie lubi pisać listów, więc nie mam od niej wieści tak często, jak bym sobie życzyła.

— Czuje się dobrze, jak sądzę.

— Zapomniałam, że wasze rodziny nie utrzymują bliskich stosunków.

— Obecnie nieco bliższe niż kiedyś. Panna Tressidor żywi nadzieję, iż złoży jej pani powtórna wizytę.

— Tak panu powiedziała?

Skinął głową.

— Miałam do niej pojechać, ale moja mama się rozchorowała.

— Panna Mary była bardzo rozczarowana.

— Pojadę do niej pewnego dnia. Co słyhać w Landower?

— Wszystko dobrze.

— Przypuszczam... — Nie wiedziałam, jak się dowiedzieć tego, co mnie ciekawiło i w końcu zdecydowałam, że mądrzej będzie na razie dać spokój. Zmieniając temat, zapytałam: — Gdzie się pan zatrzymał?

— W tej oberży.

— Och! Od dawna?

— Przyjechałem wczoraj.

— Czy to będzie bardzo krótki pobyt?

— Tak, dosyć krótki.

— Jago pewnie wydoroślał. Mam nadzieję, że naprawdę miewa się dobrze.

— Jago zawsze będzie myślał, że życie dopasuje się do jego pragnień.

— Kiedy byłam w Kornwalii, przyjechali do was jacyś ludzie... Jak się nazywali? Och... Arkwrightowie.

— Zgadza się. Kupili Landower Hall.

— Och, jednak kupili! — Chciałam spytać o Gwennie Arkwright i zastanawiałam się, jak dużo

wie Paul i czy Jago opowiedział mu o naszym przedstawieniu na galerii minstreli.

— Tak, ale teraz posiadłość znów należy do rodziny.

— Och, tak się cieszę.

— Owszem, dom znów jest nasz.

— To musi być wielka ulga dla panów.

— Widzi pani, nasza rodzina mieszka w Landower od kilkuset lat. To musiało stworzyć pewne więzi. — Paul się uśmiechnął.

— Z pewnością. Jago zawsze powtarzał, że pan nie pozwoli, aby majątek przeszedł w obce ręce.

— Brat miał o mnie zbyt dobre zdanie.

— No cóż, zdaje się, że miał rację.

— W tym wypadku... może. Ale proszę opowiedzieć o sobie. Co pani porabia?

— Po powrocie do Londynu wyjechałam do Francji, gdzie skończyłam szkołę.

— A zatem założę się, że ma pani nienaganny akcent.

— Prawie nienaganny.

— To musi być bardzo przydatne. Czy często przychodzi pani do miasteczka?

— Owszem często. To jakieś półtorej mili.

— Jak się czuje pani matka?

— Czasem niezbyt dobrze.

— Zastanawiam się, czy mógłbym złożyć paniom wizytę?

— Ależ oczywiście. Będzie zachwycona. Lubi gości.

— Więc dopóki tu jestem... gdybym mógł...

— Jak długo pan zostaje?

— Nie jestem pewien. Może tydzień. Chyba nie dłużej.

— Zapewne macie dużo roboty przed świętami.

— Jak to w majątku. Wszystkie stare tradycje muszą być zachowane, łatwo to sobie wyobrazić.

— W rzeczy samej. — Zerknęłam na zegarek, który przypięłam do stanika.

— Nie może się pani spóźnić? Mogę panią odprowadzić? — spytał Paul.

— Stary Jacques, nasz ogrodnik, czeka na mnie w swojej bryczce.

— W takim razie odprowadzę panią do niego. A jutro... czy mogę przyjść z wizytą?

— Tak — odpowiedziałam — będzie mi bardzo miło.

Podaliśmy mu adres i wytłumaczyłam, jak znaleźć dom mojej matki.

Jacques czekał odrobinę niespokojny. Nigdy dotąd się nie spóźniłam.

Paul uścisnął mocno moją rękę i pożegnał mnie serdecznie.

Odwzajemniłam jego spojrzenie i poczułam się szczęśliwsza niż kiedykolwiek, od chwili gdy przeczytałam okrutny list Jeremy'ego.

* * *

Moja matka była podekscytowana perspektywą męskiej wizyty. Paul przyszedł rano i usiadł ze mną na dziedzińcu, podczas gdy przejęta Mary szykowała *déjeuner*.

Południowy posiłek był zwykle najobfitszy w ciągu całego dnia, jak w większości francuskich domów, choć mama uważała za dziwaczny ów zwyczaj objadania się w środku dnia. Ucztą winna być kolacja.

Ale Paul został zaproszony na lunch.

Mama przyjęła go z wielkim wdziękiem. On był grzeczny, ale nieco sztywny. W przeciwieństwie do pana Foucarda nie uległ jej czarowi. Dostosowała się do jego stylu bycia i podziwiałam tę elastyczność. Ofiarowywała mężczyznom to, czego oczekiwali,

i owa umiejętność stanowiła niewątpliwie jeden z największych towarzyskich atutów mojej matki.

Ponieważ autentycznie ciekawiła ją ciocia Mary, o której wiele słyszała wychodząc za mąż za Roberta Tressidora, rozmawialiśmy o Kornwalii, tamtejszych obyczajach i dwóch wielkich domach.

— Słyszałem, że miała pani kłopoty ze zdrowiem — powiedział z troską Paul.

— Och, panie Landower, nie rozmawiajmy o moich nudnych dolegliwościach — odrzekła i zaczęła opowiadać o nich dość rozwlekłe.

Słuchał ze współczuciem, a potem odwrócił się do mnie.

— Panno Tressidor, pamiętam, że w czasie pobytu w Kornwalii często odbywała pani konne wycieczki z moim bratem. Czy tu także pani jeździ?

— Niestety nie, nie mamy koni.

— Ale zdaje się, że mógłbym je wypożyczyć w miasteczku. Zechciałaby pani pokazać mi okolicę, gdybym zdobył wierzchowce?

— Bardzo chętnie.

— Caroline, kochanie — odezwała się moja matka — myślisz, że to bezpieczne?

— Bezpieczne, mamó? Jestem absolutnie bezpieczna, siedząc w siodle.

— Ale to będzie zagraniczny koń, kochanie. Roześmiałam się i zobaczyłam też uśmiech na wargach Paula.

— Konie nie przywiązują do narodowości takiej wagi jak my, mamó. Są podobne na całym świecie.

— Ale w obcym kraju...

— Dopilnuję, by nic złego nie przydarzyło się pani córce, pani Tressidor — obiecał Paul.

— Jestem tego pewna. Ale będę taka niespokojna...

Odgadłam tok jej rozumowania. Chociaż każda wizyta rozpraszała na chwilę monotonię jej obecnego życia, czuła, że powinna mieć się na baczności przed Paulem Landowerem. W każdym mężczyźnie, którego spotykała, widziała potencjalnego kochanka lub męża. A ponieważ rzucało się w oczy, że Paul nie wiąże z nią żadnych planów, uznała, że to ja jestem obiektem jego westchnień. I oczywiście nie życzyła sobie, by zabrał mnie ze sobą, tak samo jak nie chciała, abym pojechała do cioci Mary. Dostrzegłam te myśli w jej oczach.

Pozwoliłam, by przeszkodziła mi w wyjeździe do Kornwalii, ale nie mogła mnie powstrzymać od konnej przejażdżki z Paulem. Myśl o spacerze w jego towarzystwie napełniała mnie ogromną radością.

— Naprawdę myśli pan, że można tu wypożyczyć konie? — spytałam.

— Jestem tego pewien. Właściwie nawet rozmawiałem o tym w mojej *auberge*. Jednego wierzchowca już mam. Nie ma wątpliwości, że dostanę też drugiego.

— Nie mogę się doczekać.

Po lunchu pokazałam mu okolicę. Spotkaliśmy pana Dubussona. Nalegał, byśmy wstąpili do zamku skosztować wina, które jego syn produkował w winnicach Burgundii. Pani Dubusson powitała nas z radością. Byli to bardzo dobrzy ludzie, a w dodatku wietrzyli romans. Poczułam się zakłopotana, ale wiedziałam, że życzą mi jak najlepiej i uważają, iż młoda dziewczyna nie powinna marnować życia na dotrzymywanie towarzystwa matce, która od czasu do czasu wpada w melancholię — nawet jeśli zdaniem społeczeństwa jest to obowiązek córki.

Potem przedstawiłam Paula Claremontom, gdyż zaprowadziwszy go do Dubussonów, nie mogłam już pominąć tych drugich. Rozmawialiśmy z zapałem o kwiatach, które hodowali i olejkach do perfum. Z wielką przyjemnością tłumaczyli wszystko obcemu przybyszowi. Co jakiś czas zaczynali mówić zbyt szybko, a wówczas miałam przyjemność służyć za tłumacza.

Kiedy się żegnaliśmy, pani Claremont powiedziała:

— Przy okazji, pan Foucard przyjeżdża na święta. Och, nie będzie mieszkał u nas. Nie mamy odpowiednich warunków... na dłużej niż jedną noc. Jest przyzwyczajony do wygod, wynajmie pokój w *auberge* w mieście.

— Proszę mu przekazać, że polecam ją całym sercem — powiedział Paul.

Kiedy wyszliśmy od Claremontów, powędrowaliśmy przez łąki do domu, rozmawiając o tutejszym życiu, Dubussonach, Claremontach i różnicy między językami francuskim i angielskim. Ten dzień wydał mi się czarowny.

Na pożegnanie Paul uściśnął mocno moją rękę i powiedział:

— Jutro rano o dziesiątej. Pojedziemy na wycieczkę i znajdziemy małą gospodę, w której zatrzymamy się na lunch. Co pani na to?

Brzmiało cudownie.

— A zatem do jutra.

Cofnął się, zdjął kapelusz i złożył mi ukłon. Rozanielona biegłam do domu wiedząc, że Marie obserwuje mnie przez okno kuchenne.

— Och, to bardzo wielki dżentelmen. Taki wysoki... przypomina mi *mon petit soldat* — powiedziała.

Przypuszczam, że był to największy ze znanych jej komplementów. Potem słyszałam, jak śpiewa ze smutkiem: *Ou fen vas-tu, petit soldat*. Było jasne, że Paul spodobał się Marie i Jacques'owi, tak samo jak Dubussonom i Claremontom.

Nie znalazł natomiast aprobaty w oczach mojej matki. Domyślałam się, że rozmawiała o tym z Everton.

— A zatem jutro będziesz jeździła konno — odezwała się przy kolacji.

— Tak, mam.

— Będę się bardzo martwić.

— Nie sądzę, mam. Zapomnisz o nas, kiedy tylko wyjedziemy.

— Caroline, jak możesz mówić takie rzeczy!

Dostrzegła na mojej twarzy to, co nazywała oślim uporem i zdawała sobie sprawę, że zamierzam pojechać na tę wycieczkę bez względu na wszystko.

— Jest w nim coś tajemniczego — powiedziała.

— Jak to, tajemniczego?

— Jest taki... mroczny.

— Nie myślisz chyba, że wszyscy ludzie z ciemnymi włosami kryją jakieś mroczne tajemnice?

— Nie chodzi o jego włosy, Caroline. Znam mężczyzn.

— Tak, mam. Jestem tego pewna.

— Byłoby mi przykro, gdybyś popełniła okropny błąd.

— Jaki błąd?

— Gdybyś pośpieszyła się z małżeństwem.

— Och, mam, proszę! Ten mężczyzna jest cudzoziemcem w obcym kraju. Spotyka rodaczkę, którą widział wiele lat temu i która przyjaźniła się z jego bratem — a ty od razu mówisz o małżeństwie.

— Upierał się... przy wypożyczeniu koni.

— To jedynie przyjacielski gest.

Spojrzała smutno na swój talerz i pomyślałam, że zaraz się rozplacze.

Biedna mama, pomyślałam. Wyobraża sobie samotne wieczory — ani pikiety, ani nikogo prócz Everton do wspomniania dawnych tryumfów. W dodatku pokojówka jest o wiele od niej starsza. Ja zaś jestem młoda i matka boi się mojego odejścia. Jakie to dziwne, że kiedy byłam dzieckiem, nie

miała dla mnie czasu. Teraz dorosłam i nie może znieść myśli, że zostawię ją choćby na jeden dzień.

Potem nagle przypomniałam sobie o czymś. Wrażenia tego dnia sprawiły, że ta ważna wiadomość zupełnie wyleciała mi z głowy.

— Widziałam się dziś z panią Claremont. Powiedziała, że pan Foucard przyjeżdża na święta.

Wyraz twarzy mamy zmienił się nagle.

— Naprawdę?

— Tak, i będzie mieszkał w *auberge*.

— Nie jestem zaskoczona. Trudno się spodziewać, że ktoś taki jak on zamieszka u Claremontów.

— Śmiem twierdzić — zauważyłam przebiegle — że będziemy go często widywać.

— Może się tak zdarzyć — odrzekła. I wiedziałam, że już obmyśla stosowną garderobę.

Moje słowa przyniosły pożądany efekt. Nie było więcej mowy o jutrzejszej przejażdżce.

Nadszedł dzień, który miałam zapamiętać na zawsze.

Słońce świeciło mocno, ale wiał silny wiatr. Dobrze było znów włożyć strój do konnej jazdy.

Przed wyjściem poszłam powiedzieć mamie do widzenia.

Siedziała w łóżku, pijąc gorącą czekoladę, którą Everton przynosiła jej co rano tak samo jak w Anglii. Pokojówka siedziała obok, robiąc listę strojów.

Bożonarodzeniowa garderoba, jak przypuszczałam!

Co za szczęście, że pan Foucard uratował sytuację, czyniąc wszystko o wiele łatwiejszym! Byłam zdecydowana pojechać na wycieczkę z Pauliem, ale cieszyłam się, że nie muszę płacić za to wyrzutami sumienia.

Pocałowałam matkę, a ona odezwała się prawie nieprzytomnie:

— Miłego dnia!

Paul czekał już z końmi.

— Mam dla pani małą kasztankę — oświadczył. — Jest trochę narowista, ale zapewniłem właściciela, że pani sobie z nią poradzi.

— Cudowna — powiedziałam do niego.

— A teraz, zna pani okolicę lepiej, więc proszę zdecydować, dokąd pojedziemy najpierw.

— Znam tylko najbliższe sąsiedztwo, nie miałam okazji jechać gdzieś dalej. Może wybierzemy się w góry?

— Interesująca propozycja.

Jak przyjemnie było znów jechać na koniu, w dodatku z tak miłym towarzyszem u boku. Miałam wrażenie, jakby ziściło się jedno z moich marzeń. Co prawda nie miał na sobie lśniącej zbroi jak rycerz, o którym śniłam w dzieciństwie, ale był Pauliem Landowerem, bohaterem moich fantazji.

Mówił o Kornwalii, majątku, domu i Tressidorach podobnie jak Jago. Większość czasu jednak milczał, gdyż często droga była tak wąska, że nie mogliśmy jechać obok siebie.

W końcu dotarliśmy do podnóża gór i zatrzymaliśmy się, by podziwiać wspaniałe krajobrazy. Po drugiej stronie rozciągało się diamentowe Morze Śródziemne.

— Powietrze jest jak wino — zauważył Paul. — Co przywodzi mi na myśl, że mieliśmy znaleźć małą gospodę. Jest pani głodna?

— Jedźmy tędy — zaproponowałam.

— Przez jakiś czas będziemy się wspinać. Gospodyni z mojej *auberge* polecała *La Pomme d'Or*, którą powinniśmy znaleźć bez trudu. Twierdzi, że tamtejsza szarlotka jest niezrównana i kazała mi przysiąc, że jej spróbuję. Nie śmiałybym powiedzieć po powrocie, że nie spełniłem obietnicy.

— A zatem znalezienie tego miejsca jest kwestią honoru. Zastanawiam się, skąd ta nazwa. Pewnie chodzi o słynne złote jabłko, które Parys dał Afrodycie jako najpiękniejszej z bogiń, ale nie wiem, jaki związek ma oberża z tą historią.

— Sądzę — odpowiedział — że to jedna z zagadek, których nigdy nie rozwiążemy.

Krajobraz stawał się groźny, wszędzie wokół widać było tylko góry. Mijaliśmy wąwozy, srebrne wodospady i strumyki pędzące po zboczach.

— Mam nadzieję, że konie są dobrze podkute — powiedział Paul.

— Śmiem twierdzić, że chyba były już przedtem w górach.

— Jest chyba dość późno.

— Czas na lunch. Wkrótce powinniśmy znaleźć nasze Złote Jabłko. Ujrzeliśmy gospodę całkiem nieoczekiwanie. Biała i lśniąca w strugach słonecznego blasku, została zbudowana na zboczu góry w miejscu, z którego widać było skrawek morza.

Zostawiliśmy nasze konie w stajni, aby odpoczęły, i poszliśmy do jadalni.

Spotkało nas gorące powitanie, zwłaszcza kiedy Paul oświadczył, że *La Pomme d'Or* została mu polecona przez właścicielkę oberży, w której mieszka.

— Powiedziała nam o szarlotce — dodał. — Mamy nadzieję, że jej dzisiaj spróbujemy.

Gospodyni była wysoka i pulchna. Szybko się zorientowałam, że żywi dla jedzenia cześć jeszcze większą niż reszta jej rodaków. Położyła dłonie na biodrach i potrząsnęła głową ze śmiechem.

— Możecie państwo wierzyć lub nie — powiedziała — ale gotuję po królewsku... — Przyłożyła palce do warg i posłała nam pocałunek. — Moje langusty są cudowne. Krewetki... nóżki jagnięce... i placuszki, o jakich nie marzyliście... ale przede wszystkim moja szarlotka.

— To z pewnością przyjemne, proszę pani — odezwał się — słynąc ze swego kulinarnego talentu.

Uniosła ręce, a jej oczy błyszczały, gdy wyliczała potrawy, spośród których mogliśmy wybierać.

Przyniesiono gorącą zupę. Nie umiałam odgadnąć jej składników, lecz okazała się pyszna. Ale byłam rozemocjonowana i oszołomiona, a ambrozja to najwspanialsza z przypraw.

To górskie powietrze, powiedziałam sobie. Górskie powietrze... i Paul Landower.

Przyglądałam się mu uważnie. Matka powiedziała, że jest mroczny... tajemniczy. Tak, miała trochę racji. Nie znałam go. Nie tak, jak Jagona... albo Jeremy'ego. Ale w gruncie rzeczy co wiedziałam o Jeremym? List z zerwaniem zaskoczył mnie zupełnie.

Nie, nie znałam swojego narzeczonego. Ludzie łatwo mogli mnie oszukać. Ale zmieniłam się: kiedyś uznałabym, że matka chce, bym z nią została, ponieważ mnie kocha. Teraz wiedziałam, że pragnie jedynie, abym rozpraszała jej nudę. Gdyby pojawił się ktoś inny, pozwoliłaby mi wyjechać bez najmniejszego żalu.

Byłam już świadoma tego, że ludzie działają czasem w zaskakujący sposób. A ten mężczyzna miał w sobie coś tajemniczego, jakby ukrywał jakiś sekret. Bardzo chciałam się dowiedzieć, co to takiego, i czułam podniecenie niczym odkrywca wyruszający w egzotyczną podróż.

Gdy zjedliśmy zupę, przyniesiono comber jagnięcy przyrządzony w bardzo oryginalny sposób. Był również pyszny. A wino, które z dumą pokazano Paulowi, zanim zostało nalane do szklanek, smakowało jak nektar.

— Nie starczy mi miejsca na słynną szarlotkę — powiedziałam.

Wreszcie przyniesiono deser. Gospodyni wyjaśniła, że w sezonie jedna z jej służących nie robi nic więcej, tylko zajmuje się szarlotkami.

Podawała ją ze specjalnym przybraniem i oboje przyznaliśmy, że ciasto spełnia wszelkie oczekiwania. Paul śmiał się widząc, jak liczę pestki.

— Ach — powiedział — to chyba coś w rodzaju wróżby. Proszę mi zdradzić, co mówią o pani przyszłości?

— Jest osiem pestek. Wskażą, za kogo wyjdę za mąż. Bogaty, biedny, żebrak, złodziej.

— Ma ich pani za dużo.

— Nie. Po prostu powtórzę odliczanie. Bogaty, biedny, żebrak, złodziej. A niech to, jestem przeznaczona złodziejowi! Nie podoba mi się to ani trochę. Myślę, że powinnam spróbować innej wylizanki. — Zaczęłam recytować: — Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje.

Paul się roześmiał.

— Pominęła pani jedną.

— Więc zaczynam od nowa. Kocha mnie. No cóż, to bardziej satysfakcjonujące. Ale jeśli jest złodziejem, nie mogę być spokojna o przyszłość.

— Może pani — odpowiedział poważnie. — Wydaje mi się, że będzie pani szczęśliwa i innych obdarzy szczęściem.

— Co za miła ocena mojego charakteru. Nie umiem zgadnąć, jak mógł pan jej dokonać w tak krótkim czasie.

— Takie rzeczy się wie... instynktownie.

Pomyślałam, że lada moment zakocham się w tym mężczyźnie. Co za głuptas ze mnie, przecież niedawno przeżyłam gorzkie rozczarowanie. Przysięgłam sobie, że już nigdy nikogo nie pokocham, a oto znów pakuję się w kłopoty. Och, ale w gruncie rzeczy nigdy nie kochałam Jeremy'ego. To tylko zaślepienie. Teraz jest inaczej. Zresztą czy nie byłam zakochana w Paulu Landowerze od zawsze?

Patrzył na mnie uważnie.

— Pani oczy są cudownie zielone.

— Wiem.

— Lśnią jak szmaragdy.

— Lubię to porównanie. Mieliśmy kucharkę, która zwykła powtarzać: „niebieskie oczy dla piękności, brązowe dla ciastka z wiśniami (co w jej ustach oznaczało zapewne to samo co „piękność”), zielone oczy dla łobuzów”. Mówiła tak pewnie dlatego, że w dzieciństwie często zdarzało mi się chwycić ze stołu jakiś smakołyk.

— Więc jest pani zielonookim potworem.

— Tak określają zazdrość.

— A bywa pani zazdrosna?

— Sądzę, że mogłabym być.

— No cóż, to naturalne.

— Myślę, że byłabym prawdziwą diabolicą.

— Mogę sobie wyobrazić ogień w tych zielonych oczach. Wolałbym walczyć z Gorgoną.

— Jesteśmy bardzo klasyczni tego popołudnia. A zaczęło się od złotego jabłka.

— Jak się pani czuje?

— Objedzona ponad miarę.

— Ja tak samo. Mam nadzieję, że nie nakarmili koni tak obficie jak nas, bo będą w zbyt błogim nastroju, by ruszyć w drogę.

— Tak się pan czuje?

Skinął głową.

— Chciałbym zostać tu dłużej.

— W górach jest cudownie.

— Tak cudownie, że aż strasznie. Cieszę się, że panią znalazłem. Opowiem o tym pannie Tressidor. Z pewnością będzie chciała wiedzieć, kiedy zobaczy panią u siebie.

— Proszę jej powiedzieć, że wkrótce. Po świętach Bożego Narodzenia... jeśli zdołam uciec.

— Pani matka będzie próbowała zatrzymać panią we Francji? — Jest przygnębiona. Tęskni za dawnym życiem i przypuszczam, że moja obecność przynosi jej ulgę.

Uśmiechnął się i nadal patrzył na mnie uważnie.

Zjawiała się nasza gospodyni i zapewniliśmy ją, że szarlotka przerosła nasze oczekiwania, chociaż były bardzo duże. Będziemy sławić jej kuchnię przed wszystkimi, których spotkamy.

Wyglądała na bardzo zadowoloną i poradziła, byśmy się nie śpieszyli, lecz obejrzeliby okolicę.

— Jakies pół mili stąd jest precudny widok. To naprawdę piękne miejsce. Widać stamtąd dobrze wąwóz.

Poszliśmy do stajni.

— Nie możemy zapominać — powiedział Paul — że teraz wcześnie zapada zmrok. Niestety, myślę, że powinniśmy ruszyć w drogę powrotną. Ten wspaniały dzień dobiega końca.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Ścieżka wspinała się i opadała. Kamienie usuwały się spod kopyt naszych koni, musieliśmy więc bardzo uważać. Paul jechał przede mną, było bowiem bardzo wąsko.

Nie jestem pewna, jak to się stało. Mój koń musiał stąpnąć na jakiś większy kamień. W każdym razie odskoczył na bok, nie dając mi czasu na właściwą reakcję. W jednej sekundzie jechałam spokojnie za Pauliem, a w następnej wyleciałam z siodła jak z procy.

Krzyknęłam, widząc zbliżającą się ziemię, potem zaś straciłam przytomność.

Gdzieś z oddali słyszałam swoje imię:

— Caroline... Caroline... mój Boże, Caroline...

Kłęczał obok mnie. Poczułam wargi Paula na swoim czole, otworzyłam oczy i ujrzałam jego twarz tuż obok swojej.

— Caroline... Jesteś ranna?... Caroline...

W tamtej chwili nie czułam nic oprócz szczęścia. Czułość, z jaką szeptał moje imię... Głęboka troska w jego głosie... No i ten pocałunek.

— Co... się stało? — spytałam.

— Spadłaś z konia.

— Ja... nie rozumiem.

— Jesteś ze mną w górach. Coś się stało. Nie wiem co, bo byłem z przodu. Jak się czujesz? Nie mogłaś zrobić sobie poważnej krzywdy, gdyż jechaliśmy klusem. Sprawdź, czy możesz wstać. — Pomógł mi stanąć na nogach i trzymał mnie mocno. — I jak?

— W porządku... tak sędzę.

— Dobrze. — W jego głosie słyhać było głęboką ulgę. — Nie sędzę, abyś coś złamała.

Trzymałam się go kurczowo, czując zawroty głowy. Góry pochylały się wokół mnie.

— Upadłaś na głowę, ale kapelusz uratował ci życie. Nie sędzę, byś mogła jechać dalej.

Zdałam sobie sprawę, co się stało, i pierwszą rzeczą, którą poczułam, był wstyd. Chwaliłam się umiejętnościami jeździeckimi, a nawet nie musiałam puścić konia w galop, by znaleźć się na trawie.

— Zabiorę cię z powrotem do *auberge* — powiedział Paul.

— Och, nie. Musimy wracać do domu. Wkrótce zrobi się ciemno.

— Nie — oświadczył tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Bałbym się o ciebie, gdybyś miała teraz jechać taki kawał drogi. Zabiorę cię z powrotem do *auberge* i poślę po lekarza. Nie martw się, możemy wysłać posłańca do twojej matki.

— Jestem pewna, że nic mi się nie stało.

— Ja także jestem pewien, lecz nie chcę ryzykować.

— O Boże, musisz uważać, że jestem okropnie głupia. Naprawdę umiem jeździć konno.

— Wiem. — Wziął mnie w ramiona i posadził na koniu. — No! Wracamy. Zaraz będziemy na miejscu.

I prowadząc oba konie, powiódł nas z powrotem do gospody.

Gospodyni była głęboko przejęta. Tak, mieli dwa pokoje dla gości. Tak, mogła posłać po doktora i tak, stajenny mógł zawieźć wiadomość mojej matce.

— No proszę — odezwał się Paul — nie ma się czym martwić.

— Czuję się taka głupia.

— Spójrz na to w taki sposób: dzięki wypadkowi spędzimy więcej czasu w tym naprawdę pięknym miejscu.

Miał na mnie ogromny wpływ. Przestałam się martwić, co powie matka na ten wypadek. Czulałam się obolała i trochę kręciło mi się w głowie, ale doktor oznajmił, że nic sobie nie złamałam. Dał mi maść na siniaki i środek uspokajający, na wypadek gdybym nie mogła zasnąć.

Uprowadził, że rano mogę być trochę sztywna i obolała, ale nie licząc tych dolegliwości, wkrótce poczuję się doskonale. Powinna jednak odpocząć, dopóki nie uspokoję się po tym wstrząsie.

Dostałam bardzo ładną sypialnię z widokiem na góry, a Paul miał pokój obok. Obie izdebki łączył balkon, na który wychodziły oszklone drzwi.

Zrobiło się ciemno. Zapalono lampy, a krajobraz obłany światłem wschodzącego księżyca robił niesamowite wrażenie.

Górskie powietrze było ostre i zimne, więc gospodyni dała mi dodatkowy koc. Powiedziała, że mogę go potrzebować, bo noce w górach nawet latem są bardzo chłodne.

Pamiętam wyraźnie każdą nieprzespaną minutę tej dziwnej nocy.

Paul i ja zjedliśmy kolację razem — w moim pokoju. Podano nam zupę i kureczaka na zimno, a jako przystawkę pyszną sałatę. Spytaliśmy, czy zostało trochę sławnej szarlotki.

Paul przyglądał się pestkom na moim talerzu i zapytał:

— Co wychodzi tym razem? Było dziewięć pestek.

— Biedak — powiedziałam. — To lepiej niż poprzednio. Druga wyliczanka nie jest jednak tak pomyslna. Przedtem mnie kochał, teraz tylko szanuje.

— Twój los zmienił się w ciągu kilku godzin. Nie sądziłem, że to możliwe, a ty?

— Uważam, że w życiu wszystko jest możliwe. Patrzył na mnie uważnie, lecz nic nie powiedział.

Stajenny wrócił po dwóch godzinach. Przekazał wiadomość mojej matce i zapewnił ją, iż nie ma powodów do obaw. Będę w domu następnego dnia.

Doktor miał rację co do złego samopoczucia. Niektóre z siniaków okazały się bardzo bolesne. Wciąż miałam zawroty głowy, ale odnosiłam wrażenie, że ich przyczyną jest raczej wszystko, co się wydarzyło, a nie sam upadek.

Wciąż myślałam o chwili, gdy ocknęłam się z omdlenia i ujrzałam nad sobą twarz Paula. Czulałam ciepło jego ust na swoim czole. Pomyślałam, że mimo wszystko, świat może być wspaniały. I byłam nawet zadowolona, że Jeremy Brandon mnie porzucił. Tamto rozczarowanie okazało się raczej przydatne niż destrukcyjne.

Nagle poczułam, że jestem cudownie wolna i mogę być szczęśliwa.

I tamtej nocy byłam szczęśliwa. Przyszło mi do głowy, że z owego groźnego wypadku wyniknęło dla mnie tyle radości. Gdybym nie spadła z konia, grałabym teraz w pikietę lub słuchałabym opowieści mojej matki o tym, jakie stroje będzie nosić w święta, bo z pewnością już zapomniała o obawach związanych z moim ewentualnym zamążpójściem wobec perspektywy flirtu z panem Foucardem.

Siedzieliśmy więc przy świetle lampy, rozmawiając. Opowiedziałam mu dużo o sobie, o jubileuszu, o naszej wizycie w mieszkaniu na placu Waterloo i jej konsekwencjach. Myślę, że Paul

dowiedział się już wcześniej, iż nie jestem córką Roberta Tressidora. Zastanawiałam się, czy wyjawiała mu to ciocia Mary. Jeśli tak, to znaczy, że wrogość między dwoma rodami znacznie osłabła. Wahałam się, czy powiedzieć mu o Jeremym Brandonie, lecz ani się spostrzegłam, a już miałam to wyznanie za sobą.

— Widzisz więc, że pragnął pieniędzy, które miałam odziedziczyć. Kiedy się dowiedział, że nie mam ani grosza, natychmiast się wycofał.

— Rozumiem — odrzekł Paul. — Może dobrze, że odkryłaś to przed ślubem.

— Też tak sobie powtarzam. Ale z początku było mi trudno. Teraz zaś ma poślubić moją siostrę. Wciąż się zastanawiam, co powinnam zrobić.

— A czy ona chce wyjść za tego mężczyznę?

— O tak... bardzo. Była w nim zakochana, jeszcze zanim ja go poznałam. Nie odgadłam tego wówczas, choć wiedziałam, że o kimś myśli. Potem okazało się, że to o niego chodziło. Chciałabym ją przekonać, że nie powinna wychodzić za tego człowieka.

— To by jej nie uszczęśliwiło.

— Nie, ale ten łotr żeni się z nią dla pieniędzy.

— Powiedziałaś, że twoja siostra go chce.

— O tak. Lecz on ją oszukuje. Łatwo to sobie wyobrazić. Powtarza jej, jak bardzo ją kocha. Prosi, by za niego wyszła, zapewniając, że kochał ją już wcześniej... chociaż zaręczył się ze mną. Zdaje się, że rzeczywiście nie powinnam nic mówić. Moja matka uważa, że wszystko w porządku, w jej świecie takie postępowanie jest normalne.

— Wielu ludzi należy do tego świata.

— Ja nim gardzę.

W pokoju zapanowała cisza. Słyszałam słaby plusk wody, pędzącej po zboczu góry.

— Uważasz, że powinnam ostrzec Olivie? — zapytałam gwałtownie.

Paul potrząsnął głową.

— Pozwól jej być szczęśliwą. Tego właśnie pragnie twoja siostra. Przecież wie, że był z tobą zaręczony. Nie możesz jej powiedzieć nic nowego. To musiało być dla ciebie bardzo bolesne.

— Och, już się otrząsnęłam.

— Ciesz się. — Uścisnął moją dłoń. — Tak się cieszę, że nie jesteś poważnie ranna — ciągnął.

— Kiedy się odwróciłem i zobaczyłem cię na ziemi... no cóż, nie umiem opisać swoich uczuć.

Roześmiałam się radośnie.

— Myślałam o tym, że z nieprzyjemnych rzeczy wynikają czasem bardzo przyjemne.

— Masz na myśli to... że jesteśmy tutaj. To ci sprawia radość?

— Ogromną... większą, niż czułam... od długiego czasu.

— Czy wiesz — odrzekł — że mogę powiedzieć to samo? Uśmiechnęliśmy się do siebie i nastąpiło między nami jakieś porozumienie, jakieś uczucie bliskości.

Nie chcę, żeby ten wieczór się skończył, pomyślałam. Siedzieliśmy w milczeniu, które było równie wspaniałe jak rozmowa. Zegar rozbił ciszę jedenastoma uderzeniami.

— Doktor mówił, że powinnaś wcześniej się położyć — odezwał się Paul. — Obawiam się, że zapomniałem o upływającym czasie.

— Ja też — odrzekłam. — Zegar na pewno się nie śpieszy?

— Obawiam się, że nie. Powinnaś już spać. Rano będziesz zupełnie zdrowa.

— Jak tu spokojnie! Aż trudno uwierzyć, że jesteśmy w górach.

— Nie boisz się? Potrząsnęłam głową energicznie.

— Nie ma powodów. Jestem obok... gdybyś potrzebowała opieki. Dobranoc.

— Dobranoc — powiedziałam.

Nagle pochylił się i pocałował mnie w skroń, tak samo jak wówczas, kiedy leżałam na górskiej

drodze.

Uśmiechnęłam się do niego. Widziałam, że pragnął coś jeszcze dodać, zmienił jednak zdanie i wyszedł.

Czułam, że nie będę mogła łatwo zapaść w sen. Zresztą nie wiedziałam, czy tego chcę. Pragnęłam leżeć w łóżku, patrzeć na góry i myśleć o wszystkim, co wydarzyło się w tym wspaniałym dniu.

Gdybym nie spadła z konia, nie byłabym teraz tutaj. Gdyby Jeremy mnie nie porzucił, ten dzień nigdy by nie nastąpił. Może z nieszczęścia zawsze rodzi się coś dobrego? To była pocieszająca myśl.

Zakochałam się? Może. Ale pamiętałam, że moje emocje rozpały się dość łatwo. Uwielbiałam kapitana Carmichaela. Potem zjawił się Jeremy, a ja skwapliwie oddałam mu serce. A przedtem uczyniłam swoim bohaterem Paula Landowera, który przez cały czas pozostał obiektem moich marzeń... z wyjątkiem okresu, gdy byłam zafascynowana Jeremym.

Czy mogłam ufać swoim uczuciom? Przypuszczam, że byłam po prostu zbyt młoda — i zbyt niedojrzała.

Co do jednej rzeczy miałam pewność. Czułam się szczęśliwa.

Zasnęłam, lecz po pewnym czasie nagle się obudziłam. Nie byłam sama. Leżałam z przymkniętymi oczami i walącym sercem. Pokój był pełen księżycowego blasku, a przy drzwiach balkonowych widziałam cień.

Wiedziałam, że to Paul stoi na balkonie. Patrzył na mnie.

Nie odważyłam się pokazać, że nie śpię. Nie wiedziałam, co by się wówczas stało. Jego dłoń spoczywała na klamce. Pomyślałam, że Paul wejdzie do mnie.

Bardzo pragnęłam, by to uczynił. Prosiłam go w duchu, by nacisnął klamkę.

Ale leżałam w łóżku z na wpół otwartymi oczami, udając, że śpię.

On zaś stał tam bez ruchu.

Miałam ochotę go zawołać, odepchnęłam jednak tę pokusę. Jak mogłam otworzyć mu drzwi w środku nocy? Gdybym to zrobiła, to tylko w jednym celu.

Nie powinnam... a jednak chciałam, aby wszedł.

Słyszałam, jak moje serce uderza głośno. Zacisnęłam oczy... czekając.

Wiedziałam, że cień zniknął. Otworzyłam oczy. Paul odszedł.

* * *

Prawie nie zmrużyłam oka, ale nie z powodu upadku.

Rano Paul nie wspomniał o minionej nocy, spytał tylko, jak spałam.

— Z przerwami — odrzekłam. Pokiwał głową.

— Po takim wstrząsie to naturalne.

Pragnęłam go zapytać: „Dlaczego stałeś na balkonie ostatniej nocy?”. Ale nic nie powiedziałam, a on w dziennym świetle wydawał się całkiem odmienny.

Wczorajsza bliskość zniknęła, zachowywał się niemal sztywno.

— Musimy zjeść śniadanie i ruszać natychmiast — powiedział. — Twoja matka jest z pewnością bardzo niespokojna. Czujesz się na siłach dosiąść kasztanki?

— Oczywiście. Wczoraj byłam po prostu nieostrożna. Powinnam bardziej uważać. Biedne stworzenie stąpało po kamieniach.

— Jesteś zbyt dobrą amazonką, by mógł cię zniechęcić zwykły upadek.

Zjedliśmy tradycyjne francuskie śniadanie, składające się z kawy i bułeczek grubo posmarowanych masłem i miodem. Byłam nieco zdrętwiła, ale czułam się normalnie.

Paul spojrział na mnie z pewną troską.

— Zawroty głowy minęły? Skinęłam głową.

— Jeszcze przez jakiś czas siniaki będą ci przypominać o tej wyprawie.

— Będę o niej pamiętała, nawet kiedy znikną.

— Żadne z nas nie zapomni, prawda?

— Och, ty także będziesz pamiętał?

— Oczywiście.

Ruszył przodem wąską ścieżką i wkrótce zostawiliśmy góry za sobą.

Everton wybiegła na ganek, kiedy przyjechaliśmy.

— Twoja matka bardzo się niepokoiła — powiedziała.

— Dostałyście wiadomość, prawda? Stajenny z *auberge*...

— Tak, tak — przerwała pokojówka — ale twoja matka bardzo się przejęła.

— Panna Tressidor także była przejęta — odezwał się Paul. Zeskoczył z konia i pomógł mi zsiąść. — Chcesz, żebym poczekał i zobaczył się z twoją matką? — spytał.

Potrząsnęłam głową.

— Nie. Lepiej, żebym poszła sama.

— *Au revoir* — powiedział. Uniósł moją rękę i uściśnął ją mocno, patrząc mi w oczy z dziwnym wyrazem twarzy.

Potem odszedł, zabierając oba konie.

Moja matka odstawiła właśnie na stolik obok łóżka pustą filiżankę po czekoladzie.

— Caroline! Moje dziecko! Tak bardzo się martwiłam!

— Miałam nadzieję, że posłaniec cię uspokoi.

— Drogie dziecko, zostać na noc w górach... z tym mężczyzną!

— Zdarzył się wypadek, mamó.

— Tak mi powiedziano.

— Sugerujesz, że to nie był wypadek? Pokażę ci moje siniaki.

Zastanawiałam się, jakie bajeczki opowiadała swemu mężowi, gdy udawała się na spotkanie z moim ojcem. Straciłam całe współczucie dla mamy. Jej stan był mi teraz obojętny, wytłumaczyłam sobie, że pewnie jestem zmęczona. Miałam wypadek, który jednak nie zrobił na mnie takiego wrażenia, jak widok Paula za oknem mojego pokoju. Byłam pewna, że chciał wejść do środka i walczył z tym pragnieniem. Zastanawiałam się, co by czuł, gdyby wiedział, że pragnęłam, aby wszedł. Byłam bardzo niewinna i nieświadoma wielu zasad panujących w świecie, więc szybko odgadłby moje uczucia. Matka mówiła dalej:

— Co pomyślą ludzie?

— Jacy ludzie?

— Everton, Marie, Jacques, Dubussonowie... wszyscy.

— Everton pomyśli to, co jej powiesz, a Marie i Jacques to, co ja im powiem. Dubussonowie i Claremontowie nie myślą o nikim źle. Co do reszty: *Honni soit qui mal y pense**.

— Trudno cię przegadać. Olivia jest całkiem inna.

— Mamó, proszę, jestem zmęczona. Spadłam z konia i chcę iść do swego pokoju odpocząć. Przyszłam powiedzieć, że już wróciłam.

— Gdzie jest pan Landower?

— Zabrał konie i poszedł.

— No cóż, mam nadzieję, że nikt go nie widział i że służący nie złączą plotkować.

— Jeśli złączą, nic mnie to nie obchodzi, mamó. Powiedziałam ci, co się stało, a jeśli ludzie nie

* Niech się wstydzi ten, kto ma brudne myśli (przyp. tłum.).

uwierzą, to ich sprawa, nie moja.

— Stajesz się despotyczna, Caroline — powiedziała.

— Może jesteś mną zmęczona i chciałybyś, żebym wyjechała? — odpaliłam.

Twarz matki wykrzywił grymas.

— Jak możesz tak mówić? Wiesz, że nie zniosłabym twego wyjazdu. Sama myśl o tym przyprawia mnie o chorobę.

— W takim razie — zapytałam zimno — dlaczego zachowujesz się tak, że mam ochotę wyjechać?

Spojrzała na mnie z pewnym zdumieniem i oświadczyła:

— Bywasz bardzo trudna, Caroline.

Tak, pomyślałam, jestem trudna.

* * *

Tego popołudnia Paul przyjechał mnie odwiedzić.

Cieszyłam się, że możemy być sami. Marie pojechała z Jakiem do miasta na zakupy, moja matka odpoczywała — i przypuszczałam, że Everton również.

Usłyszałam, jak się zbliża, a kiedy wybiegłam na dziedziniec, zsiadał już z konia.

Jego pierwsze słowa brzmiały:

— Jak się czujesz?

— Zupełnie dobrze.

— Jesteś pewna? Żadnych niespodziewanych dolegliwości?

— Nie. Tylko kilka spodziewanych siniaków.

— Tak się cieszę. Przyjechałem się pożegnać. Wyjeżdżam jutro.

— Och! — Moje rozczarowanie z pewnością było widoczne. — Chodźmy do ogrodu — dodałam. — Na słońcu jest całkiem ciepło.

Weszliśmy do otoczonego murem ogrodu.

— Nie spodziewałem się, że będę musiał wyjechać tak szybko — odezwał się Paul. — Miałem nadzieję, że odbędziemy jeszcze kilka wycieczek w góry.

— Z pomyślniejszym rezultatem — dodałam, siląc się na lekki ton.

— To było niezwykle przeżycie, prawda?

— Z końmi wszystko w porządku?

— O tak. Właściciel twierdzi, że takie przygody często spotykają w górach niedoświadczonych podróżnych. Czy mogę powiedzieć panie Tressidor, że wkrótce przyjedziesz do Kornwalii?

— Przekaż jej, że bardzo tego pragnę. Poprzednio byłam już spakowana i pożegnałam się ze wszystkimi, lecz moja matka nagle zachorowała.

— I boisz się, że znów zachoruje, kiedy się dowie o twoich planach? — Urwał gwałtownie. — Przypuszczam, że nie trzeba ci tego mówić, ale nie powinnaś zostawać tu zbyt długo.

— Tak trudno zdecydować, co należy zrobić. Wkrótce jednak będę wiedziała.

— Powiem panie Tressidor, że bardzo chcesz złożyć jej wizytę i uczynisz to, kiedy tylko zdołasz. Mogę jej przekazać taką wiadomość?

— Dobrze.

— Tak bardzo chciałbym znów cię zobaczyć.

— Owszem, byłoby miło.

— Pragnąłbym, abyś tym razem została dłużej.

Przez chwilę milczeliśmy, idąc w kierunku ławeczki ustawionej pod murem. Usiadłam, a Paul usiadł obok mnie.

— O której godzinie wyjeżdżasz? — spytałam.

— O świcie. To tak daleko, a ten pociąg dowiezie mnie tylko do Paryża. Tam się przesiądę, a potem czeka mnie prom i długa podróż do Kornwalii.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, miałam jednak wrażenie, że Paul pragnie mi coś powiedzieć.

— Napijesz się herbaty? — spytałam. — Moja matka odpoczywa. Zwykle spędza w ten sposób popołudnia. Everton przygotowuje herbatę o czwartej.

— Nie... nie, dziękuję. Przyjechałem zobaczyć się z tobą. Nie mogłem wyjechać bez pożegnania.

— Oczywiście, że nie. Miło, że o mnie pomyślałeś.

— Przecież wiesz, że myślę o tobie! Myślałem... przez te wszystkie lata. Ale przedtem widziałem tylko dziecko o bujnych, czarnych włosach i zielonych oczach. Naprawdę bardzo się zmieniłaś. Pamiętasz, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy?

— Tak. W pociągu. Przeczytałeś moje nazwisko na torbie podróżnej.

— Tak. Byłaś wtedy strzeżona przez smoka. — Paul się roześmiał.

— Wciąż strzeże mojej siostry i mam nadzieję, że będzie jej strzegła aż do ślubu.

— Ale ty uciekłaś swoim strażnikom.

— Tak. Życie przynosi zadośćuczynienie.

— Cenisz sobie wolność.

— Bardzo.

— Nie jesteś ani trochę konwencjonalna.

— Niektóre zasady wprowadzono dlatego, że czynią życie łatwiejszym. Myślę, że się z nimi zgadzam. Odrzucam tylko te bezużyteczne i ograniczające.

— Jesteś bardzo mądra. — Spojrzał na mnie z powagą.

To mnie rozśmieszyło.

— Jeśli naprawdę tak uważasz, nikt nie podziela twego zdania.

— Naprawdę tak uważam — zapewnił mnie Paul. Wydawało mi się, że jest o krok od jakiegoś wyznania. Czekałam z niecierpliwością, ale właściwa chwila minęła.

Nagle zerwał się lodowaty wiatr i zadrzałam.

— Zimno ci — powiedział. — Nie powinienem trzymać cię na zewnątrz.

— Wejdz do domu.

— Dziękuję, ale nie. Jest kilka rzeczy, które muszę zrobić. Chciałem tylko cię uprzedzić, że wyjeżdżam.

Ogarnął mnie smutek. Kiedy znów zobaczę Paula? — pomyślałam. Jeśli będzie za mną tęsknić, może znów tu przyjedzie...

Odwrócił się do mnie.

— Teraz muszę już iść.

Skinęłam głową.

— Nigdy nie zapomnę tej wycieczki — dodał. — Góry były piękne, prawda? Miałem uczucie, że świat został gdzieś daleko. Ty też to czułaś?

— Tak.

— Odniosłem wrażenie, że... nieważne. Zapamiętam... pokój, balkon... i szarlotkę. Jak brzmiała ta wyliczanka?

— Biedak, bogacz...

— Nie, nie ta, druga.

— Och... Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje.

— Tak, o tę mi chodziło.

— Dziwne, że zapamiętałeś. — I dalej będę pamiętał.
— Szkoda, że okazałam się taka niezgrabna i spadłam z tej milej kasztanki.
— Dzięki temu nasza wycieczka trwała dłużej. Zadośćuczynienie, pamiętasz? Caroline...
dajmy raz na zawsze spokój pannie Tressidor. To śmieszne po... po...
— Po naszej przygodzie w górach.
— Przyjedziesz do Kornwalii?
— Kiedy będę mogła.
— Musisz przyjechać. Nie pozwól się wykorzystywać. No dobrze... Zapomnij, że to
powiedziałem. Po prostu mam nadzieję, że przyjedziesz.
— Na pewno — obiecałam.
— Niedługo?
— Niedługo — powtórzyłam.
— Tak wiele chciałbym ci powiedzieć. — Paul patrzył na mnie z napięciem.
— W takim razie powiedz.
Potrzęsnał głową.
— Nie teraz. Jest za mało czasu.
— Tak bardzo się śpieszysz?
— Myślę, że powinienem już iść.
Wyciągnęłam do niego rękę. Ścisnął ją i pocałował.
— Do widzenia, Caroline.
— Do widzenia — odpowiedziałam.
Jego twarz przybrała błagalny wyraz, a potem nagle Paul wyciągnął ramiona i przyciągnął mnie
do siebie gwałtownie. Pocałował mnie — tym razem nie po przyjacielsku w czoło, lecz w usta i
wyczułam namiętność, która wyslizgnęła się spod żelaznej kontroli. Nie mogłam nie oddać mu
pocałunku.
Puścił mnie z widoczną niechęcią.
— Muszę jechać. Widzisz... muszę jechać.
— Żegnaj — powiedziałam.
— Do zobaczenia — odrzekł z naciskiem.
Podeszłam z nim do konia. Paul wsiadł i powoli odjechał.
Stałam, patrząc za nim, ale nie odwrócił się, by pomachać na pożegnanie.

* * *

Kiedy zniknął w oddali, poczułam głębokie przygnębienie. Zastanawiałam się, kiedy znów go
zobaczę. Oczywiście, spotkalibyśmy się, gdybym pojechała do Kornwalii. Muszę jechać do
Kornwalii. Powiedział: „Nie pozwól się wykorzystywać” i wiedziałam, co ma na myśli.

Porozmawiam z Everton.

Moja matka była wyraźnie zachwycona, że Paul odjechał. Wymazała z pamięci jego obraz i
oddała się radosnemu oczekiwaniu na wizytę monsieur Foucarda.

Nadszedł grudzień. Święta Bożego Narodzenia były coraz bliżej. Marie przystroiła dom jemiolą
i gałązkami świerku, a Jacques przyniósł „gwiazdkową kłodę”.

Miałam wrażenie, że świętujemy raczej przyjazd monsieur Foucarda niż przyjście na świat
Chrystusa.

Przyjechał tydzień przed wigilią. Miał swój własny powóz i służącego. Wynajął pokoje w tej
samej oberży, w której mieszkał Paul.

Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobił, było złożenie nam wizyty. W domu zapanowało

zamieszanie, ale moja matka zachowała spokój, wiedząc, że inni zajmą się praktycznymi sprawami, a ona musi jedynie zabawiać gościa, wyglądać pięknie i prowadzić rozmowę. Te trzy rzeczy potrafiła jak nikt inny.

Gdy się zjawił, leżała na sofie w małym saloniku. Miała na sobie poranną, muślinową suknię i wyglądała przynajmniej dziesięć lat młodziej.

Pan Foucard przyszedł z naręczem cieplarnianych kwiatów. Znajdowałam się w pokoju, ale on miał oczy wyłącznie dla mamy. Usiadł na sofie i zaczęli rozmawiać z ożywieniem. Po chwili przeprosiłam i zostawiłam ich samych.

To był tylko początek. Powóz gościa zjawiał się przed naszym domem kilka razy dziennie. Pan Foucard zabierał mamę na przejażdżki, na lunch, na kolację. Jadł także obiady u nas.

— Musisz nam wybaczyć tę prostotę, drogi Alfonse... — W tamtym czasie mówili już sobie po imieniu. — Kiedyś mogłabym przyjąć cię w należyty sposób. Teraz to co innego...

Wyglądała tak żałośnie i bezradnie, że rycerski Alfonse musiał ruszyć z odsieczą.

Lubiłam go. Mimo kwiecistego języka i wagi, jaką przywiązywał do dóbr materialnych, miał w sobie jakąś prostotę. Entuzjazm, z jakim mówił o swojej pracy, wiara w siebie, zaangażowanie

i niemal chłopięca wrażliwość na urodę mojej matki, szły u niego w parze ze szczególnym zmysłem praktycznym. Zmysł ów podpowiadał Alfonse'owi, że tak piękna kobieta zyskiwałaby mu klientów i mogłaby zastąpić zmarłą żonę... Dzięki tym wszystkim cechom chętnie go widywałam.

Myślę, że on też mnie polubił — kiedy na chwilę odrywał myśli od osoby mojej matki.

Na początku była trochę niespokojna, gdyż, jak powiedziała, wyglądałam na starszą, niż jestem, i przez to ją także postarzałam.

— A kiedy już zrobisz tę wszechwiedzącą minę i zaczniesz mówić, jakbyś pozjadała wszystkie rozumy, wyglądasz jeszcze starzej. Mężczyźni tego nie lubią, Caroline.

— Jeśli mężczyźni mnie nie lubią, mogę wziąć odwet nie lubiąc ich — odparłam.

— Nie powinnaś tak mówić. Ale gdybyś rozpuściła włosy... zamiast spinać je na czubku głowy w taki śmieszny sposób...

— Mamo, mam dziewiętnaście lat i w żaden sposób nie będę miała mniej.

— Ale przez to ja wyglądam starzej.

— Ty nigdy nie będziesz stara.

To mamę nieco udobruchało, a ponieważ monsieur Foucard zdawał się nie zauważać mego dojrzałego wyglądu, postanowiła nie drażnić tej kwestii. Biegała za to po domu. Nie było mowy o chorobie! Zrezygnowała nawet z popołudniowego odpoczynku. Nowe emocje wpłynęły na nią lepiej niż okłady z lodu, płyny i kremy. Promieniała.

Nadeszły święta. Większość rozrywek organizowali Dubussonowie. Mieli w swym zamku dosyć miejsca i uwielbiali grać rolę gospodarzy. Uwielbiali też romanse, a rzucało się w oczy, że wpływowy pan Foucard i piękna pani Tressidor mają się ku sobie. Claremontowie byli zachwyceni, gdyż to w czasie wizyty u nich pan Foucard poznał swą wybrankę.

Nie sądzę więc, by ktokolwiek poczuł się zdumiony, gdy ogłoszono zaręczyny.

Pan Foucard wygłosił długą mowę, w której wyznał zebranym, że od śmierci żony był człowiekiem samotnym, a teraz odzyskał chęć do życia. Odtąd nie będzie samotny dzięki pani Tressidor, która wyświadczyła mu niewymowny zaszczyt, godząc się zostać jego żoną.

W całej okolicy zapanowała radość, która jednak nigdzie nie była większa niż w naszym domu.

Moja matka żyła w stanie nieustannego podniecenia. Rozprawiała bez przerwy o firmie Alfonse'a w Paryżu i o jego wiejskim domu w pobliżu Lyonu. Wiele podróżował po kraju, załatwiając interesy, a mama zamierzała jeździć razem z nim.

— Bogu dzięki, mówi, że nie chce ani na chwilę tracić mnie z oczu!

Everton opowiadała o paryskich sklepach.

— Wszystko, co modne, stamtąd pochodzi, niech pani mówi, co chce. Żadne inne nie mogą z nimi konkurować. Odwiedzę wszystkie i wybierzemy to, co najlepsze.

— Och, Caroline! — wykrzyknęła moja matka. — Jestem taka szczęśliwa! Drogi Alfonse! Ocalił mi życie. Oświadczam, że nie wytrzymałabym już długo. Czułam się jak spętana. Ślub będzie skromny, oboje tego chcemy. Ostatecznie dla obojga to nie pierwszy raz. A potem mnóstwo zabawy. To takie fascynujące... te perfumy.

— Mamo — powiedziałam — bardzo się cieszę, widząc cię tak szczęśliwą.

— Jest wiele do zrobienia. Zatrzymam ten dom, dopóki nie przeniesiemy się do Paryża. Alfonse uważa, że powinniśmy wziąć ślub w stolicy. Co za radość uciec z tej... rudery.

— Nie masz racji. To naprawdę czarujący domek.

— Rudera w porównaniu z domem, który miałam kiedyś.

— Everton pojedzie z tobą?

— Oczywiście. Jak bym sobie poradziła bez Everton?

— A Marie... i Jacques... w pewnym sensie przynależą do tego domu. Mam nadzieję, że Dubussonowie znajdą porządných dzierżawców.

— Oczywiście, że znajdą. — Zerknęła na mnie. — Ty natomiast wyjedziesz i zamieszkas z kuzynką Mary?

Nie mogłam oprzeć się pokusie podokuczania jej trochę.

— Ciocia Mary nie jest moją krewną, prawda? To kuzynka Roberta Tressidora, a on dowiódł wyraźnie, że nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego.

Mama była przerażona.

— Och! A tak chciałaś jechać!

Roześmiałam się, mówiąc w duchu: „Chcesz, żebym pojechała do cioci Mary, prawda, mamo?... teraz”.

— To ci dobrze zrobi i będziesz zadowolona. Niedawno tak ci zależało na tym wyjeździe.

— Tak samo jak wówczas tobie zależało na tym, aby mnie zatrzymać, a teraz, aby się mnie pozbyć.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

— Mam wrażenie, że jesteś zazdrosna, Caroline. Och, kto by pomyślał! Moja własna córka!

— Nie, mamo — odrzekłam. — Nie jestem zazdrosna. Nie zazdroścę ci ani odrobinę. Cieszę się, że znalazłaś pana Foucarda. I pojedę do cioci Mary.

Uśmiechnęła się z odrobiną przebiegłości.

— Będiesz mogła odnowić swoją przyjaźń z tym mężczyzną.

— Masz na myśli Paula Landowera?

Skinęła głową.

— No cóż, bardzo go polubiłaś. Muszę powiedzieć, że wyjechał dość nagle. Nie jest ani trochę taki jak Alfonse.

— Ani trochę — zgodziłam się chętnie.

Matka uśmiechnęła się z satysfakcją. Życie znów biegło po jej myśli.

Rozumiałam jej wdzięczność wobec Alfonse'a. Podzielałam to uczucie. Monsieur Foucard był nie tylko dobroczyńcą mojej matki, lecz także moim.

* * *

Chociaż wszystko ułożyło się tak pomyślnie, ślub odbył się dopiero na Wielkanoc. Należało przedtem załatwić wiele spraw i skompletować wyprawę. Moja matka pojechała z Everton na

zakupy do Paryża, hojnie wyposażona przez narzeczonego.

Nie towarzyszyłam im, pozostałam w domu. Trzeba było wszystko spakować i każdego dnia budziłam się z nadzieją, że Paul znowu przyjedzie. Jak zwykle oddawałam się marzeniom na jawie. Wyobrażałam sobie, że zjawia się konno i wyjaśnia, że wrócił, bo nie mógł beze mnie żyć. Wierzyłam, że chciał powiedzieć mi coś bardzo ważnego, gdy się żegnaliśmy — ale z jakiegoś powodu się powstrzymał.

Może sądził, że zbyt słabo się znamy. Nie mógł już uważać mnie za dziecko. Więc marzyłam.

Właśnie dlatego byłam zadowolona, że zostałam w domu zamiast jechać z mamą do Paryża. Musiałam być na miejscu — na wypadek gdyby wrócił.

Nadeszła wiosna, a ja z żalem żegnałam wszystkich przyjaciół w okolicy. Życzliwych Dubussonów, Claremontów, wdzięcznych nam za największą i najzyskowniejszą transakcję, zawartą w tak radosnych okolicznościach, Marie z jej wspomnieniami o *le petit soldat* i Jacques'a, który nadal nie zdołał przekonać swojej wdowy.

Było mi przykro, że się z nimi rozstaję, ale tęskniłam już za całkowitą wolnością. Nie mogłam się doczekać chwili, gdy wysiądę na stacji i ujrzę czekający na mnie powóz z Tressidor. Wszystkie wspomnienia powróciły tak wyraźnie: łąki targane wiatrem, domek Jamiego z dachem krytym strzechą, ogród pełen kwiatów i uli, ciocia Mary z jej szorstką serdecznością i zdrowym rozsądkiem. Chciałam znów zobaczyć Jagona — a najbardziej pragnęłam odświeżyć ekscytującą przyjaźń z Paulem Landowerem.

Napisałam do cici Mary, że moja matka niedługo wyjdzie za mąż. Jej odpowiedź była pełna entuzjazmu. Mam przyjeżdżać najszybciej, jak tylko będę mogła.

Napisałam też do Olivii.

Jej ślub miał się odbyć wkrótce i napomknęła, że będzie bardzo szczęśliwa, jeśli zdołam przyjechać. Nie potrafiłam jednak na to się zdobyć. Odkąd Paul ponownie zjawił się w moim życiu, myślałam o Jeremym z mniejszą goryczą — ale nie mogłabym patrzeć spokojnie, jak żeni się z moją siostrą.

Olivia to rozumiała. Jej listy były ostrożne. Nie chciała pisać zbyt wiele o swym szczęściu, które wszakże rozbłykiwało między wierszami. Szczerze pragnęłam, aby się nie rozczarowała, lecz nie wiedziałam, jak ją przed tym uchronić.

Pojechałam do Paryża na ślub mojej matki i przez kilka dni mieszkałam z nią i Everton w hotelu, Alfonse bowiem uważał, że nie powinna wprowadzać się pod jego dach przed zawarciem małżeństwa.

Mój przyszły ojczym nie przesadzał. Nie budziło wątpliwości, że jest bardzo bogatym człowiekiem. Co do mojej matki, z każdym dniem wyglądała młodziej i piękniej. Ubierała się teraz bardzo modnie, a Alfonse był tak z niej dumny, że żywiłam nadzieję, iż nigdy nie odkryje, jak samolubną i powierzchowną naturę ma jego ukochana.

Zdecydowałam, że opuszczę Francję następnego dnia po ceremonii, chociaż Alfonse oznajmił, że jego dom jest do mojej dyspozycji tak długo, jak tylko będę chciała. I jeśli kiedyś zapragnę z nimi zamieszkać, zawsze powita mnie z radością.

Pomyślałam, że to bardzo wspaniałomyślnie z jego strony i powiedziałam mu to.

— Moja droga, jesteś córką mojej najukochańszej żony. Ten dom jest twoim domem.

Odrzekłam, że jest czarujący i naprawdę tak uważałam. Nie mogłam się nadziwić szczęściu mojej matki.

Miodowy miesiąc spędzili we Włoszech. Odprowadziłam ich na pociąg: moja matka przyciągała pełne podziwu spojrzenia, a Everton walczyła z pudłami i setki razy przeliczała torby, równie jak jej pani uradowana pożegnaniem z tym, co nazywały ubóstwem.

Obie mogły żyć tylko w bogactwie.

Przeżyłam przez kanał i wsiadłam do nocnego pociągu do Kornwalii.
Nareszcie byłam wolna.

Rozdział 6

Utracone złudzenia

Siedząc w pociągu i patrząc na krajobrazy za oknem, musiałam wspominać poprzednią podróż. Obrazy wróciły z przeszłości i były bardzo wyraźne. Niemal widziałam pannę Bell, jak siedzi naprzeciw mnie, pilnując, bym czerpała naukę ze wszystkiego, z czym się zetknęłam. Pamiętałam nawet dwie damy, które pożegnałyśmy w Plymouth, choć zapomniałam, jak wyglądały.

Pamiętałam też dobrze lęk i oszołomienie — straszliwe doświadczenia bycia wyrwaną ze znanego i przyjaznego świata i ciśniętą bez żadnego ostrzeżenia w nowy. Teraz mogłam się śmiać ze swoich obaw związanych z ciocią Mary, w której skłonna byłam widzieć ludojada czy harpię, a okazała się tak różna od moich wizji.

Przejeżdżając przez most Brunei i obserwując statki płynące daleko na morzu, widziałam Paula z Jagonem i uśmiechałam się w duchu wspominając gniew panny Bell, której nie spodobało się, gdy weszli do naszego przedziału. To był początek, pomyślałam.

Kiedy wysiadłam z pociągu, Joe czekał na mnie w bryczce dokładnie tak samo jak pięć lat temu.

— Niech mnie kule biją — powiedział na powitanie — nie poznałbym panienki, panienko Caroline. Urosła panienka od czasu, gdy ostatnio panienkę widziałem.

— Nie ma w tym nic dziwnego — odrzekłam.

— Trochę więcej białych włosów, panno Caroline, dwie czy trzy nowe zmarszczki. Tym razem przyjechała panienka sama. Poprzednio towarzyszyła panience ta guwernantka. Trochę surowa, zdaje mi się.

— Jak sam zauważyłeś, Joe, jestem dorosła.

Potem ruszyliśmy. Teraz już nie musiał ostrzegać mnie przed „wybojami”. Znałam drogę dobrze. Wszystko było przyjemnie znajome.

— Okolice wygląda dokładnie tak samo — powiedziałam.

— Nic się tu nie zmienia, panno Caroline.

— Ludzie się zmieniają.

— Och... Ach! Tak, starzeją się.

— Więcej białych włosów, więcej zmarszczek — dodałam.

— Bystra z panienki osóбка — zaczął się śmiać. — Moja żoncia mówi, że panna Tressidor jest bardzo zadowolona z przyjazdu panienki.

— Naprawdę? To miłe powitanie.

— Polubiła panienkę, jak pragnę zdrowia. Moja żoncia powiada, że kobiety nie powinny być same na tym świecie. Potrzebują męża i dzieci... tego potrzebują. Tak mówi moja żoncia.

— Powinna to wiedzieć, bo sama postarała się o jedno i drugie — zauważyłam wesoło.

— No cóż, panno Caroline, nasza Amy wyszła za kołodzieja z Bolsover, a nasz Willy radzi sobie dobrze w hrabstwie Trevithick w pobliżu Launceston. Jest jeszcze Jimmy, który pojechał do Australii... oj, sprawił on nam mały kłopot, ten Jimmy.

— Nie można oczekiwać, że wszystko będzie się toczyć gładko, prawda?

— Człowiek tego by chciał, a ja mówię czasem mojej żonci: „Proszę, proszę, kiedyś byli u nas Amy i Willy... a teraz rzadko ich widuję... a Jimmy mieszka w Australii”. A sama żoncia... trzyma mnie twardą ręką. Czasami mówię do niej: „Może staropanieństwo to dobry pomysł”. Jeśli ma się takie wygody jak panna Tressidor!

— Każdy człowiek żyje po swojemu — powiedziałam. — Sztuką jest zadowolić się tym, co mamy. — Pomyślałam, że zabrzmiało to zupełnie jak jedna z zasad panny Bell. Roześmiałam się i

dodałam: — To bardzo poważna rozmowa, Joe. A co się działo w Lancarron?

— W Landower sporo się zmieniło. Panowie znów mieszkają w wielkim domu.

— Tak, słyszałam. Jakie zmiany, Joe?

— Teraz jest tam elegancko, że dziw bierze. Niech mnie kule biją, wszędzie kręcili się robotnicy... na dachu... stukali i skrobali. Wszystko zostało naprawione w Landower, można powiedzieć. Stary pan umarł, widzi panienska. Będzie ponad rok temu. Ale zdążył jeszcze zobaczyć dom w całej krasie, dzięki czemu śmierć miał łagodną, jak powiadają. I pan Paul jest teraz gospodarzem. Och, zaszły wielkie zmiany, można tak powiedzieć.

— Na lepsze, oczywiście.

— Można tak powiedzieć... To wstyd, panno Caroline, żeby taki majątek popadał w ruinę. Czy to ja nie wiem? A tak było... przez całe lata. Nie teraz, oczywiście. W końcu stanęli na nogach. Za starego pana było inaczej... inaczej. Potrafił grać... całe noce. To i wino, i kobiety, jak powiadają. W Landower hulał wiatr. Mój dziadek wiedział coś niecoś o wybrykach starego pana i opowiadał. A teraz pan Jago.

— Co z panem Jagonem? Pamiętam go dobrze. Był chłopcem, gdy widzieliśmy się ostatni raz.

— Teraz jest mężczyzną jak się patrzy — Joe zachichotał. — Ale im mniej gadasz, tym mniej musisz naprawiać.

Zanim zdążyłam go wybadać, wjechaliśmy w bramę obok stróżówki.

Stała tam, ani trochę niezmieniona, ze swym ładnym dachem, zadbanym ogródkiem i ulami.

Niemal jednocześnie zobaczyłam Jamiego McGilla w berecie w kratę, takich samych spodniach i długim płaszczu.

Twarz mu się rozpromieniła, kiedy mnie zobaczył.

— Panna Caroline! — powiedział.

— Och, Jamie, jak dobrze cię widzieć. Wszystko dobrze?

— W rzeczy samej, panno Caroline. Słyszałem o pani przyjeździe i bardzo się cieszę.

— Powiedziałeś pszczołom?

— Wyniuchały coś w powietrzu. Cieszą się tak samo jak ja.

— Nie spodziewałam się, że mnie pamiętają.

— No jakże. Mają swoje sympatie i antypatie, a pani należy do pierwszych.

— Jamie, przyjdę do ciebie z wizytą... wkrótce.

— Będę oczekiwał pani z przyjemnością, panno Caroline.

Bryczka ruszyła dalej.

— Dziwny typ z tego Jamiego McGilla — gadał Joe. — Moja zoncica powiada, że na pewno coś mu się kiedyś przytrafiło. Jakiś zawód miłosny, uważa.

— No cóż, teraz wydaje się szczęśliwy, więc mam nadzieję, że tamten zawód zdarzył się dawno temu.

— Z wszystkimi tymi pszczołami... i w ogóle zwierzętami. Zawsze bierze do siebie jakieś ranne stworzenia... i potem je leczy.

— Lubię Jamiego.

— Wszyscy lubią Jamiego, ale moja zoncica powiada, że takie życie nie jest naturalne dla mężczyzny. Powinien mieć kobietę i dzieci.

— Twoja żona święcie wierzy w małżeństwo i wszystkie jego dodatki — powiedziałam. — Och... a oto dom... dokładnie taki, jak zapamiętałam.

Kiedy minęliśmy bramę i wjechaliśmy na dziedziniec, poczułam dławiące wzruszenie.

Drzwi natychmiast otworzyła jedna ze służących. Betty — jak pamiętałam.

— Och, panno Caroline, nareszcie w domu! Czekałyśmy na panienkę. Panna Tressidor prosiła, żeby panienska przyszła na górę bez zwłoki. Zanieś torbę panny Caroline do jej pokoju, Joe, a ja

zaprowadzę panienkę do panny Tressidor.

Weszłam do holu. Ciocia Mary stała na szczycie schodów.

— Caroline, kochanie — zawołała, schodząc na dół. Pobiegłam w jej kierunku, spotkałyśmy się u stóp schodów i padłyśmy sobie w objęcia.

— Dobrze, dobrze — powiedziała. — Nareszcie. Myślałam, że nigdy do mnie nie przyjedziesz. Jak się czujesz? Dobrze, jak widzę. Słowo daję, wydorostałaś. Miałaś dobrą podróż? Jesteś głodna? Oczywiście, że jesteś. Jesteś tu, nareszcie!

— Och, ciociu Mary, jak cudownie być tutaj.

— Chodź. Od czego zaczniemy? Pewnie chcesz się odświeżyć? Jak się czujesz? Zaraz pora na obiad. Wkrótce będą podawać. Ale może najpierw coś przekąsisz po podróży?

— Nie, dziękuję bardzo, ciociu Mary. Poczekam do obiadu. Teraz i tak jestem zbyt podniecona, żeby coś przelknąć.

— W takim razie chodź, usiądziemy na minutkę. Potem odprowadzę cię na górę i umyjesz się przed jedzeniem. Mam nadzieję, że odpowiada ci to? Słowo daję, wystrzełaś w górę. Nadal jednak poznałabym cię wszędzie.

— Minęło prawie pięć lat, ciociu Mary.

— Zbyt dużo czasu, zbyt dużo. Siadaj tutaj. Twój pokój wcale się nie zmienił. Ale kiedyś ci się podobał. Jak sobie poradziłaś... tak daleko z tej Francji?

— To była długa podróż. Na szczęście zatrzymałam się w Paryżu. Z południa jechałam do Paryża prawie cały dzień.

— I twoja matka znów wyszła za mąż! To pewnie jakiś książę z bajki.

— Raczej podstarzały, ale bardzo miły.

— Na szczęście dla nas! Przypuszczam, że gdyby go nie znalazła, wciąż tkwiłabyś w tym miasteczku.

— Zdecydowałam się wyjechać, ale nie było łatwo...

— Wiem. Ostatnim razem zachorowała.

— Naprawdę była chora.

— Hm... Dość wygodna ta jej choroba. Nieważne. Niech będzie szczęśliwa ze swoim księciem.

— Miesiąc miodowy spędzą we Włoszech, a potem wrócą do jego rezydencji w Paryżu i zamku na wsi. Tego właśnie potrzebowała.

— Jest teraz francuską arystokratką.

— Niezupełnie arystokratką. On jest księciem przemysłu.

— Co pewnie oznacza, że jego fortuna ma solidniejsze podstawy. No dobrze, zostawmy twoją matkę jej szczęściu i zajmijmy się nami.

— Nie mogę się doczekać, by usłyszeć o wszystkim.

— U nas wszystko w porządku. Majątek kwitnie, pilnuję tego. — Spojrzała na zegarek przypięty do bluzki. — Myślę, moja droga, że powinnaś umyć się teraz i przebrać, a serca otworzymy przed sobą dziś wieczór. Betty pomoże ci rozpakować ubrania. No jak? Chciałam tylko zamienić z tobą słówko i popatrzeć na ciebie. Mamy przed sobą dużo czasu.

Poszłam za nią schodami przez galerię. To już nie są moi przodkowie, pomyślałam z lekkim żalem.

Rozejrzałam się po znajomym pokoju. Podeszłam do okna i patrzyłam na park oraz wzgórze w oddali. Nie widziałam Landower, ale wiedziałam, że jest blisko i serce mi biło z podniecenia.

— Betty! — zawołała ciocia Mary i służąca weszła. — Pomóż panie Caroline rozpakować rzeczy — poleciła. — Powie ci, gdzie co położyć. Zejdiesz na dół, gdy będziesz gotowa, dobrze, Caroline?

Czułam się bardzo szczęśliwa. Powitanie było wzruszające. Ciocia Mary pozostała dokładnie

taka, jaką ją zapamiętałam i moje przywiązanie do niej rosło z minuty na minutę.

Byłam szczęśliwa, że tu wróciłam.

Betty wieszała w szafie moje ubrania.

— Czy tak, panno Caroline? A bieliznę do szuflady? Tutaj. Panienka pozwoli, że to powieszę. Panna Tressidor mówi, że jeśli nie starczy panience miejsca, może panienka zająć sąsiedni pokój. Tam jest wielka szafa.

— Jest mnóstwo miejsca, dziękuję, Betty.

— Wszyscy się cieszą, że panienka wróciła. Wszyscy pamiętają panienkę jako brzdąca.

— Miałam czternaście lat, gdy tu przyjechałam, nie byłam więc takim brzdącem.

— Ale teraz jest panienka młodą damą.

Kiedy skończyła, podziękowałam jej serdecznie. Betty przypomniała, że obiad zostanie podany za pół godziny.

— Pamięta panienka, gdzie jest jadalnia?

— Pamiętam, Betty. Kiedy tylko weszłam do domu, poczułam się tak, jakbym nigdy nie wyjeżdżała.

Ciocia Mary czekała na mnie w jadalni. Stół był obficie zastawiony. Spojrzałam na gobeliny wiszące na ścianach, a potem przez okno na dziedziniec.

— Chodź tu i siadaj, moja droga — zaprosiła mnie ciocia Mary. — Dziś wieczór musimy się nagadać. Chociaż pewnie zechcesz wcześniej się położyć. Mów, kiedy będziesz chciała iść do łóżka. Mamy przed sobą wiele czasu.

Powiedziałam jej, jak bardzo jestem szczęśliwa, że wróciłam do Kornwalii, a podczas posiłku rozmawialiśmy o Francji i wydarzeniach, które poprzedziły mój przyjazd. Przekonałam się, że mogę mówić o Jeremym Brandonie bez wielkiego wzruszenia.

— Przypuszczam, że powinnam była jechać na ślub Olivii — powiedziałam. — Okazałam się tchórzem.

— Czasami lepiej być troszkę tchórzem. Nie sądzę, aby pana młodego uszczęśliwiła twoja obecność. I Oliwię także, jak mi się wydaje.

— Nie znasz mojej siostry, ciociu. Jest taka prostolinijna. Własna słodka natura każe jej widzieć we wszystkich samo dobro. Naprawdę wierzy, że Jeremy nie myśli o pieniądzach — tylko dlatego, że on tak utrzymuje.

— Czasami ludzie, którzy nie zadają zbyt wielu pytań, są szczęśliwsi niż ci, którzy zadają.

— W każdym razie została już jego żoną.

— Czy ten mężczyzna nadal jest dla ciebie ważny? Zawahałam się nieco. Ale wobec cioci Mary musiałam być szczerą.

— Za bardzo pragnęłam uwolnić się od opieki panny Bell i surowych zasad panujących w naszym domu. Cierpiałam, bo czułam wrogość człowieka, o którym sądziłam, że jest moim ojcem. Jeremy wydał mi się taki romantyczny, przystojny i czarujący... łatwo uwierzyłam, że mnie kocha. Więc uznałam, że powinnam odpowiedzieć mu tym samym. Myślę, że byłam gotowa i naprawdę pragnęłam się zakochać.

— Nazywają to: „zakochanie w miłości”.

— Coś w tym rodzaju.

A teraz... — tego jednak nie mogłam powiedzieć — kiedy spotkałam Paula Landowera, cieszyłam się ogromnie, że nie wyszłam za Jeremy'ego. Czy naprawdę moje uczucia do Paula okazały się tak silne, czy też chciałam zabić smak upokorzenia, którym nakarmił mnie Jeremy, czy wciąż byłam „zakochana w miłości”? Przypuszczałam, że wszystkie ludzkie uczucia można poddać takiej analizie — a moje bardziej niż czyjekolwiek.

Opowiedziałam cioci Mary o poznaniu Alfonse'a i o tym, jak natychmiast uległ urokowi mojej

matki. W tym wypadku nie nasuwały się żadne wątpliwości. Dopóki będzie mógł zapewnić jej dobrobyt, może liczyć na jej oddanie. Choć to wbrew zasadom moralności, moja matka miała odtąd żyć szczęśliwie.

Posiłek był skończony. Powiedziałam, że nie chcę jeszcze kłaść się do łóżka.

— Chodźmy do zimowego saloniku, mam tam trochę porto. Nie odmawiaj, Caroline. Pomoże ci zasnąć.

Opuściłyśmy jadalnię i przeszłyśmy do małego pokoju obok. Był przytulny i w przeszłości często gawędziłam w nim z ciotką. Wyjęła butelkę z szafy i nalała wina do dwóch szklanek.

— Proszę bardzo — powiedziała. — Teraz jesteśmy z dala od czujnych uszu służby i możemy porozmawiać.

Zauważyłam, że okolica wydała mi się niemal nie zmieniona.

— Och, zaszły wielkie zmiany. Przekonasz się, moja droga.

Nie chciałam wypytywać jej o Landowerów. Pomyślałam, że jeśli zdradzę zaniepokojenie tym tematem, nie uniknę przenikliwego wzroku cioci Mary.

— A zatem majątek kwitnie.

— Tak, i to jest jedna ze spraw, o których chcę z tobą porozmawiać. Chcę pomówić o... ale może nie dziś wieczór.

— Rozbudziłaś moją ciekawość, ciociu. Co z majątkiem?

— Pomyślałam po prostu, że może chciałabyś trochę pouczyć się gospodarowania. Mogłabyś mi pomóc.

— Więc potrzebujesz pomocy?

— Poradziłabym sobie sama, ale sądzę, że to cię może zaniepokoić.

— Jestem pewna, że masz rację.

— To zbyt skomplikowany temat na dzisiejszy wieczór. Jutro omówimy wszystko dokładnie.

— Powiedziałaś, że zaszły poważne zmiany...

— Miałam na myśli nie tyle Tressidor, ile Landower.

— Tak, Joe coś mi wspominał. Jak się czuje... e... Jago?

— Och, Jago. Był twoim bliskim przyjacielem, prawda? Został okolicznym donżuanem. Krąży o nim wiele ciekawych historii.

— Ma pewnie dwadzieścia jeden... dwadzieścia dwa lata. Ożenił się?

— Och, nie. Choć niektórzy uważają, że powinien. Krążą słuchy, że poszedł w ślady ojca. Nie wiem nic o hazardzie, ale szaleje za spółniczkami. Dochodzą tu różne wieści, a ja lubię czasem poplotkować, zwłaszcza gdy chodzi o najbliższych sąsiadów i dawnych rywali.

— Czy wrogość trwa?

— Och, nie, nie. To nie wrogość. Nie było jej przez te wszystkie lata. Na pozór jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, ale współzawodnictwo nadal istnieje. W dawnych czasach, gdy Jonas Landower tracił pieniądze przy stole hazardowym, zyskaliśmy przewagę i byliśmy górą. Ale teraz jest inaczej. Jago nigdy by tego nie dokonał, szybko roztrwoniłby wszystkie dochody. Powiadają, że w Plymouth ma kochankę, lecz nie żeni się z nią i flirtuje z dziewczętami z miasteczka.

— Pamiętam go dobrze. Był wesołym towarzyszem zabaw.

— Nadal nim pozostał. Wędruje po okolicy z uśmiechem na ustach, podbijając swym nieodpartym wdziękiem wszystkich mieszkańców, a zwłaszcza młode i ładne panny. Nie powinnaś kontynuować tej przyjaźni. Nie powinnaś. Jesteś zbyt wrażliwa.

— Dostałam lekcję, ciociu Mary.

— Lekcje są błogosławieństwem, pod warunkiem, że człowiek umie z nich skorzystać.

— Nie sądzę, abym okazała się wrażliwa na jego nieodparty wdzięk.

— Cóż... może i nie. Jenny Granger, córka jednego z farmerów, dostaje od Jagona pieniądze na

wychowanie dziecka... choć mówią, że wcale nie on jest ojcem. Prawdopodobnie miała wybór, ale padło na Landowera, bo pomyślała, że tak będzie korzystniej.

— Ryzyko, z którym dżentelmen jego pokroju musi się liczyć.

— Natomiast Paul jest dżentelmenem całkiem innego pokroju.

— Przypuszczam, że rodzinna fortuna nie wytrzymałaby dwóch takich jak Jago — powiedziałam, przybierając lekki ton.

— Paul jest bardzo poważnym mężczyzną. Zaprzyjaźniłam się z nim dość blisko. Składamy sobie wizyty... okazjonalnie, ale zawsze.

— To interesujące — odrzekłam, żywiąc nadzieję, że mój głos nie zabrzmiał zbyt nienaturalnie.

— Muszę ci coś wyznać — ciągnęła ciocia.

— Naprawdę?

— Tak. Wybierał się do południowej Francji... to znaczy Paul Landower. Więc poprosiłam, żeby cię poszukał.

— Och!

— Martwiłam się z powodu twojej matki i chciałam wiedzieć, jak naprawdę jest z tobą. Czułam pewność, że ta kobieta nie choruje naprawdę, tylko pragnie zatrzymać cię przy sobie. Martwiłam się, bo samolubna matka może przykuć do siebie córkę tak, że ta nie będzie miała własnego życia. Rozmawiałam z Paulem o tobie, a on zrozumiał moje obawy. Poprosiłam go: „Możesz ją odwiedzić? Spotkajcie się przez przypadek... i zbadaj sytuację, abym wiedziała, co się dzieje”.

— Och! — powtórzyłam znowu. — Sądziłam, że to było przypadkowe spotkanie.

— Miałam nadzieję, że tak pomyślisz. Nie chciałam, abys uznała, że przesadzam czy wtrącam się w nie swoje sprawy. Ale musiałam poznać prawdę.

— I co on ci opowiedział?

— Potwierdził moje obawy. Możesz więc sobie wyobrazić, jak się ucieszyłam na wiadomość, że ten książę perfum zakochał się w twojej matce. Rozumiesz moje uczucia. Oczywiście, że rozumiesz. Pan Alfonse okazał się dobrym nabytkiem dla każdej z nas.

Czułam się zdruzgotana. Przyjechał, ponieważ go o to poprosiła. Został tak krótko. Potem przypomniałam sobie, jak stał na balkonie przy moim oknie... pełen wahania.

— Paul jest bardzo bystry — ciągnęła ciocia Mary. — Gdyby nie on, Landowerowie musieliby opuścić posiadłość. Doprowadził wszystko do porządku, co zawsze było jego celem.

— Musi być bardzo zadowolony.

— Zapewne spędziłaś z nim trochę czasu.

— Tak. Pojechaliśmy na wycieczkę w góry. Niestety spadłam z konia i musieliśmy spędzić noc w oberży w górach.

— Nie powiedział mi o tym! Noc w oberży... z nim!

— No cóż, byłam trochę obolała i roztrzęsiona, więc kazał wezwać lekarza. Ten zaś uznał, że nie powinnam tego wieczoru jechać z powrotem.

— Rozumiem.

— Opowiedz mi o Landower. W jaki sposób Paul zdołał odzyskać posiadłość w tak krótkim czasie?

— Nie powiedział ci?

— Niewiele mówił o tych sprawach.

— No cóż, Arkwrightowie kupili dom. Wiedziałaś o tym.

— O tak. Z pewnością mi powiedziałaś. Była o tym mowa, zanim wyjechałam.

— Zdarzył się wypadek, panna Arkwright spadła ze schodów i mocno się potłukła.

— Niezbyt poważnie, zdaje mi się.

— No cóż, ów wypadek nie przeszkodził jej w urodzeniu dziecka. To śliczny, mały chłopiec,

Julian.

— Och, więc wyszła za męża?

— Oczywiście. Tak się potoczyły sprawy. To było najlepsze rozwiązanie. Stary Arkwright nigdy nie przedzierzgałby się we właściciela ziemskiego. Pieniążki nie wystarczą, jak sam by to ujął. Miał fundusze na odrestaurowanie domu i podźwignięcie gospodarstw dzierżawców... ale nie jest arystokratą. Ludzie nie zaakceptowałyby go z jego północnym akcentem i północnymi manierami, a był dość bystry, by zdawać sobie z tego sprawę. Woleli już hazardzistę, starego Landowera... albo Paula, który potrafi trzymać ich krótko, albo Jagona, uwodzącego ich córki. Nie zrozumieliby przyziemnego, surowego zdrowego rozsądku człowieka interesu.

— Można by sądzić, że będą mu wdzięczni za naprawienie ich domów.

— „To żaden pan”... te słowa słyszało się wszędzie. Ja się im nie podobałam, bo jestem kobietą. Ale wkrótce pokazałam, że nie dam sobie dmuchać w kaszę. Nie wiem, czy Arkwright zdołałby ich przekonać. W każdym razie nadarzyła się okazja, a on jest zbyt praktyczny, aby z niej nie skorzystać.

— Co z córką, panną Arkwright? Cieszę się, że nie została kaleką.

— Och, nie, obrażenia okazały się mniej groźne, niż sądzono. Powiedziała, że kiedy spacerowała po galerii... ujrzała duchy. Była wystraszona i nie wiem, czemu wciąż miała ochotę zamieszkać w tym nawiedzonym domu. Ojciec próbował ją przekonać, że dała się zwieść wyobraźni. Jakaś gra świateł czy coś takiego. Ale wbiła sobie do głowy, że coś widziała, a przez to dom jeszcze zyskał w jej oczach.

— No tak, pozostaje jednak faktem, że Arkwrightowie kupili dom, a Landowerowie przeprowadzili się na farmę.

— Na jakiś czas, owszem. Nie sądziłam, że długo tam zostaną i rzeczywiście nie zostali. Takie rozwiązanie wręcz się narzucało. Mógł to być Jago, lecz wątpię, czy pan Arkwright wyraziłby zgodę. Wolał starszego... poważniejszego — na zięcia.

— Zięcia?!

— To Paul ci nie powiedział, że ożenił się z Gwennie Arkwright, dzięki czemu posiadłość znów znalazła się w rękach Landowerów?

Miałam nadzieję, że ciocia nie zauważyła mojej reakcji. Siedziałam wyprostowana na krześle i wiedziałam, że cała krew odpłynęła mi z twarzy.

— Nie, nie... — Słyszałam swój głos, jakby dobiegał z daleka. — On... nic mi nie wspomniał. Nie mogłam uwierzyć i z całych sił starałam się ukryć wzburzenie.

— Jesteś zmęczona — powiedziała ciocia Mary. — Skończymy tę rozmowę jutro.

— Tak... jestem zmęczona. Nagle to poczułam. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem zmęczona...

— Dobrze, w takim razie idź do łóżka.

— Jeszcze chwilkę, ciociu Mary. To takie ciekawe. Więc odbył się ślub, a potem...

— No cóż, minęły już trzy lata. Tak, z pewnością trzy. Zdaje się, że małż Julian ma dwa.

— Więc jest też dziecko?

— Wszyscy uznali, że to bardzo rozsądne. Nawet stary Arkwright. Umarł niedawno. Zadowolony z siebie człowiek, jak mówiono. Było to niedługo po śmierci Jonasa, który pod koniec życia znalazł z ojcem Gwennie wspólny język. Ten ostatni zwykł powiadać, że zbudował fortunę, która posłużyła mu do nabycia majątku oraz zapewnienia córce pozycji, o jakiej zawsze dla niej marzył. Pieniądze niewiele znaczą bez urodzenia, ale on powtarzał: „Czego nie masz, możesz kupić. Jeśli masz fortunę, masz, czego potrzebujesz”. Lubiłam tego staruszka, mogę nawet powiedzieć, że się zaprzyjaźniliśmy. Był prostym człowiekiem — chociaż nadzianym, jak powiadał. Miał ekspresywny sposób mówienia. Był szczery... i prostolinijny. Nie zdziwiłabym się

słyszając, że propozycja ożenku wyszła od niego. Mogę sobie wyobrazić, jak mówi: „Ożeń się z Gwennie, a dom będzie jej, to znaczy twój, a potem dzieci Gwennie”. Puszył się jak paw, kiedy przyszedł na świat Julian. Powiedział mi wtedy, że najlepszą rzeczą, jaką w życiu zrobił — oprócz zainwestowania w handel nieruchomościami w odpowiednim momencie — było kupienie Landower i ożenie córki z człowiekiem, który zostałby właścicielem majątku, gdyby jego rodzina wiedziała o zarabianiu pieniędzy tyle, co Arkwrightowie. „Fortunka i urodzenie potrzebują się nawzajem, a moje wnuki będą miały jedno i drugie”.

— Więc Landowerowie mogą być zadowoleni.

— Tak. Wrócili do dawnego domu, pospłacali długi Jonasa i przeprowadzili gruntowny remont. Dobry interes, tak to się nazywa, prawda? Wszyscy byli uszczęśliwieni, nawet mieszkańcy gospodarstw dzierżawnych. Prawdziwe z nich snoby, Caroline... są znacznie bardziej świadomi podziałów klasowych niż my. Nie chcieli Arkwrighta za pana, woleli już starych grzeszników Landowerów... i dostali, co chcieli. Mały Julian jest Landowerem pod każdym względem. Zupełnie jak w bajce, nie sądzisz?

— Tak — odrzekłam cicho. — Prawdziwa bajka.

— No, teraz wiesz już wszystko. Widzisz, jakie zmiany zaszły w Lancarron: Landowerowie wrócili do Landower, a Paul dopilnuje, aby fortunka Arkwrightów nie została roztrwoniona. Majątek jest teraz w równie dobrym stanie jak mój, a rywalizacja kwitnie. No dobrze, moja droga. Do łóżka!

Przy drzwiach sypialni ucałowała mnie na dobranoc.

Cieszyłam się, że zostaję sama. Czulałam się zraniona i upokorzona, jakbym znów dostała list z wiadomością o zerwaniu. Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie plecami.

Jakże byłam głupia! Znów pozwoliłam, by marzenia zawładnęły moim życiem. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Czekają na okazję — i korzystają z niej.

Myślałam o Jeremym, który ścisnął mnie w ramionach i całował namiętnie, zapewniając, że mnie kocha. Myślałam o Paulu Landowerze, stojącym u moich drzwi. Gdyby wszedł! Jak śmiał? Odważyłby się na więcej, wiedziałam. Czy naprawdę miał ochotę wejść i wykorzystać moją nieświadomość? Czy naprawdę do tego stopnia się zdradziłam?

I przez cały ten czas był żonaty — żonaty z kimś, kto mógł podarować mu Landower — jak Jeremy ożenił się z Olivią, która mogła dać mu majątek.

Schemat był ten sam. Tacy są mężczyźni. Przynajmniej Jago i jemu podobni nikogo nie oszukują. Pomyślałam o Robercie Tressidorze, cnotliwym, szlachetnym filantropie. Jak bardzo oburzył go związek mojej matki z kapitanem Carmichaelem! Wyrzucił wiarołomną małżonkę z domu, a mnie wydziedziczył. Jednocześnie zaś wymykał się z domu, by zaspokajać seksualne potrzeby z prostytutkami! Jeremy Brandon natomiast kochał mnie namiętnie, dopóki nie odkrył, że nie odziedziczę żadnych pieniędzy, a wówczas przeniósł uczucia na moją siostrę, która je dostała. A teraz Paul Landower. Nie zrobił nic, by mnie w sobie rozkochać, to prawda, lecz coś sugerował... czy może ja do tego stopnia straciłam głowę, że widziałam rzeczy, które nie istniały? Wyjechał, zostawiając mnie z marzeniami i nadziejami. Nie obchodziło mnie, że nie miał pieniędzy. Ja także ich nie miałam i byłam gotowa zamieszkać z nim na farmie... gdziekolwiek, byle z nim.

Zakryłam twarz rękami, by ukryć swój wstyd. Pragnęłam płakać, ale nie mogłam znaleźć łez. Moje serce było znacznie bardziej obolałe niż moje ciało po upadku w górach — rana wydawała się bardzo głęboka, jakby nigdy nie miała się zagoić.

Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Gdzieś za horyzontem stał wielki dom, który był dla Paula ważniejszy niż cokolwiek na świecie. A gdzieś jeszcze dalej Olivia kochała się z Jeremym... ale tym, co on kochał naprawdę, była fortuna, która teraz należała do niego. Tacy

mężczyźni nie kochają kobiet — kochają posiadanie.

— Nienawidzę mężczyzn — powiedziałam głucho. — Wszyscy są tacy sami.

I tak jak wtedy, gdy Jeremy Brandon zranił mnie do żywego, znalazłam pociechę w gniewie.

* * *

W nocy, gdy leżałam w łóżku, nie mogąc usnąć mimo zmęczenia po podróży, postanowiłam stanowczo, że nie zostanę w Kornwalii. Wyjadę natychmiast. Ale dokąd? Gdzie się udać? Nie mam przecież domu. Alfonse powiedział, że zawsze mogę zamieszkać z nim i moją matką. Nie, to nie jest dobre rozwiązanie. Olivia też zapewniała, że jej dom zawsze będzie moim. Co? Widywać codziennie Jeremiego Brandona, mego niedawnego, fałszywego ukochanego! Ciocia Mary powiedziała, że chce, abym z nią została. Ja też tego pragnęłam, zanim się dowiedziałam, że Paul ożenił się z takich samych powodów jak Jeremy.

Nie mogę tu zostać — powiedziałam sobie. A jednak w pewnym sensie tego chciałam. Pragnęłam okazać mu swą pogardę. Chciałam, żeby odczuł, że choć nigdy się nim nie interesowałam (co nie było prawdą), jednak mnie rozczarował (co było niekonsekwencją). Chciałam okazać mu obojętność, ignorować go.

Wiedziałam, że będzie mi trudno. Lepiej wyjechać. Tylko gdzie?

Cała moja radość z powrotu do Tressidor gdzieś się ulotniła. Nie mogłam jednak pozwolić, aby ciocia Mary domyśliła się prawdy. Tak się cieszyła z mojego przyjazdu. Pragnęła, żebym z nią została. Wróciłam jednak do tego samego pytania. Czy mogłam tu zostać? I dokąd miałabym wyjechać?

Próbowałam ułożyć jakiś plan. Poszukam zajęcia. Jakiego zajęcia? Znów trafiałam na mur nie do przebicia. Guwernantka nieznośnych dzieci? Dama do towarzystwa jakiejś kapryśnej starszej damy? Co mogłam robić? Dlaczego kobiet nie uczy się niezależności? Dlaczego społeczeństwo zakłada, że ich rolą może być jedynie zaspokajanie męskich potrzeb?

Mężczyźni są zawsze tacy sami, powiedziałam sobie. Mogą wydawać się czarujący, ale ich czar jest zwodniczy i używają go do osiągnięcia własnych celów. Myślą jedynie o tym, co najlepsze dla nich samych.

Nienawidzę ich wszystkich! Nie pozwolę, by znów mnie oszukali. I jeśli nadarzy mi się okazja, by okazać im pogardę, nie omieszkam tego uczynić.

Rano poczułam się lepiej, mimo tak męczącej nocy. Światło dnia ma w sobie coś kojącego. Człowiek zdaje sobie sprawę, że w ciemnościach dał się ponieść emocjom, tracąc zdolność rozumowania

i pozwalając, by serce, jak powiadają, narzuciło głowie swe prawa.

Dlaczego byłam taka wściekła na Paula Landowera? Co takiego mi zrobił? Nic. Fascynował mnie — ale to nie jego wina. To się po prostu stało. Prawda, że stał przy oknie mojej sypialni. Może jednak chciał sprawdzić, czy nic mi nie jest? Ostatecznie mocno się potłukłam i nie było pewności, czy wypadek nie spowodował poważniejszych obrażeń. Źle zinterpretowałam jego intencje? Jak często myliłam się w przeszłości? Byłam naiwna, wyobrażając sobie, że chciał związać się ze mną, zostać moim ukochanym. To, że mnie pociągał, nie oznacza wcale, że budziłam w nim takie same uczucia. A jednak...

Gardziłam nim, oczywiście, za to, że sprzedał się najhojniejszemu nabywcy. Ale czy nie pośpieszyłam się z wnioskami? Gwennie Arkwright mogła okazać się fascynującą uwodzicielką. Nie wierzyłam w to. Spotkałam ją tylko dwa razy — pierwszy raz z ojcem, drugi zaś wtedy, gdy pomagałam Jagonowi napędzić jej strachu. Podskoczyłam gwałtownie na tamto wspomnienie. Miała więcej powodów, aby mnie nienawidzić, niż ja, by gardzić jej mężem.

Znów byłam szalona. Pozwoliłam, by marzenia przesłoniły mi rzeczywistość.

Ciocia Mary przyszła do mego pokoju gdy jadłam śniadanie.

— To całe twoje śniadanie: grzanki i kawa! — wykrzyknęła. Odrzekłam, że nie jestem głodna.

— Wciąż nie ochłonęłaś po tej okropnej podróży. Odpocznij dzisiaj. Co chciałabyś robić?

Powiedz mi. Nadal uwielbiasz jeździć konno? Oczywiście, że tak.

— Owszem, bardzo. We Francji rzadko miałam po temu okazję. Właściwie tylko raz.

— Wtedy, gdy spadłaś z konia. — Tak. To było kiedy...

— Paul Landower złożył ci wizytę.

— Wypożyczył konie i pojechaliśmy w góry.

— W Kornwalii nie mamy gór. Tylko Brown Willy, ale nie może się równać z Alpami.

Roześmiałam się. Dobrze było znów porozmawiać z ciocią. Miała tyle zdrowego rozsądku i tyle pragmatyzmu. Nie była marzycielką.

— Dobrze znów być z tobą, ciociu Mary — powiedziałam impulsywnie.

— Miałam nadzieję, że tak to odczujesz, Caroline. Chcę porozmawiać z tobą bardzo poważnie.

— Teraz?

— Tak będzie najlepiej. Myślałaś o robieniu czegoś...

— Masz na myśli zarabianie pieniędzy? Skinęła głową.

— Wiem, w jakiej jesteś sytuacji, dowiedziałam się od Imogeny. Mój kuzyn nie zostawił ci nic, ale masz trochę pieniędzy po dziadku ze strony matki.

— Pięćdziesiąt funtów rocznie.

— Bardzo skromny dochód.

— Nie. Dużo o tym myślałam. Potem jednak pojechałam do matki i wydawało się, że będę musiała z nią zostać. Alfonse bardzo grzecznie zaofiarował mi gościnę, ale... Olivia także.

— Jeśli dobrze cię oceniam, jesteś młodą kobietą ceniącą własną niezależność, prawda?

Oczywiście, że tak. Dlatego wydaje mi się, że chcesz coś zrobić.

— Mogłabym chyba zostać guwernantką. Albo damą do towarzystwa.

— Uh! — westchnęła ciężko ciocia Mary.

— W zupełności się zgadzam.

— Całkiem nieodpowiednie. Oczywiście, że nieodpowiednie.

— Mijając chatkę Jamiego McGilla pomyślałam, że mogłabym kupić podobny domek i hodować pszczoły. Można zarabiać pieniądze, sprzedając miód?

— Bardzo niewiele, przypuszczam. Och, nie, Caroline, to nie dla ciebie. Powiedziałaś, że myślałaś. Ja także myślałam.

— O mnie?

— Tak, o tobie. W tej chwili zaczynam odczuwać nieco ciężar mego wieku. Nie mam tyle energii co kiedyś. Odezwała się dolegliwość, którą nazywają „lumbago”, czyli ból w starych kościach. To mnie trochę hamuje. Już wiele razy chciałam cię poprosić... ale miałaś wyjść za mąż, co, przypuszczam, byłoby najlepszym rozwiązaniem, gdybyś trafiła na odpowiedniego mężczyznę.

— Ejże, ciociu Mary, czyżbyś podzielała powszechne przesady? Najlepszą rzeczą dla kobiety jest zaspokajanie potrzeb jakiegoś mężczyzny. Dlaczego nie miałabym zachować niezależności? Ty tak postąpiłaś... ze znakomitym rezultatem.

Spojrzała na mnie ostro i powiedziała:

— Zapomnij o tamtym nikczemniku i raczej sobie pogratuluj. Są mężczyźni i mężczyźni. Wiem, że kobieta musi zachować wielką ostrożność przy wyborze męża i że często wybór okazuje się niesłuszny. Zgadzam się, że lepiej pozostać starą panną niż wyjść za kogoś niewłaściwego. Ale jeśli kobieta ma szczęście spotkać odpowiedniego mężczyznę i założyć z nim rodzinę... no cóż, to

najlepsze ze wszystkiego. Jednak nie przywiązuj do tego przesadnej wagi. Ten świat jest pełen dobrych rzeczy, a niezależność i swoboda do nich należą. A w małżeństwie musisz wyrzec się ich obu do pewnego stopnia. Postaraj się wykorzystać jak najlepiej to, co masz. Ja kierowałam się taką zasadą i wyszłam na tym całkiem nieźle. Teraz posłuchaj, co ci mam do powiedzenia. Chcę, żebyś mi pomogła. Chcę cię uczyć zarządzania majątkiem. To dużo pracy. Trzeba pilnować dzierżawców. Jim Burrows jest dobrym zarządcą, ale pańskie oko konia tuczy, jak mówią. Zawsze interesowałam się wszystkim. Tego właśnie brakowało w Landower... aż do teraz. Chciałabym, abyś poznała te sprawy, zawarła znajomość z dzierżawcami, pisała dla mnie listy... i w ogóle uczyła się tej pracy. Będę płacić ci pensję.

— Och, nie, ciociu Mary. Na pewno nie.

— Na pewno tak. Interes to interes. Przecież będę cię zatrudniać. Tylko wolałabym na razie zachować to w tajemnicy. Ludzie są tacy wścibscy... i lubią gadać. Przekonasz się, że to ciekawe. I będziesz zarabiała pieniądze. To bardziej opłacalne niż hodowanie pszczół, mogę cię zapewnić. Wierz mi, spodoba ci się. I co ty na to?

— Ja... jestem oszołomiona, ciociu Mary. Myślę, że robisz to, by mi pomóc.

— Robię to, by pomóc samej sobie. Mogę ci powiedzieć, że potrzebuję pomocy... ale nie od kogoś obcego. Myślę, że jesteś stworzona do takiej pracy. Więc ustalone.

— Jesteś dla mnie taka dobra.

— Co za nonsens! Jestem dobra dla samej siebie. Ty i ja jesteśmy rozsądnymi kobietami, prawda? Oczywiście, że tak. Nie znoszę ludzi, którym brak tej cechy.

— Pomyślałam, że nie powinnam tu zostawać... że powinnam...

— Spróbuj — odrzekła. — Nigdy nie zapomnę smutku na twojej twarzy, gdy się żegnałyśmy poprzednim razem. Powiedziałam wówczas sobie: „Dziewczyna pokochała ten dom”. Tak to już jest. Poczulałabym wielką ulgę, gdybyś zgodziła się ze mną zostać.

— No cóż, nie chcę, abyś mi płaciła.

— Zaczynam sądzić, że nie jesteś tak rozsądna, jak myślałam. Kto to powiedział, że robotnik jest wart swej zapłaty? Będę ci płaciła, Caroline Tressidor, i nie chcę więcej słyszeć żadnych głupich protestów. Dlaczego ludzie zawsze tracą zdrowy rozsądek, gdy mowa o pieniądzu? Co jest złego w pieniądzu? Nie można się bez nich obyć. Nie możemy wrócić do handlu wymiennego, prawda? Oczywiście, że nie możemy. Będę więc ci płaciła. Nie za dużo, obiecuję. Dokładnie tyle, ile płaciłabym obcemu pomocnikowi. A dzięki tej pensji i własnym dochodom staniesz się prawdziwie niezależną młodą damą. I nie będziemy zawierać żadnych umów ani nic w tym stylu. Możesz zaczynać i kończyć pracę wedle własnego uznania.

Poczułam, że łzy napływają mi do oczu. Było dziwne, że ani perfidia Jeremy'ego, ani interesowność Paula nie dokonały tego, co sprawiła dobroć cioci Mary.

Odezwałam się dość nieśmiało:

— Kiedy mam zacząć?

— Im prędzej tym lepiej — odpowiedziała ciocia Mary. — Przebierz się w strój do konnej jazdy i zabiorę cię na lustrację majątku.

Gdy wyjeżdżałyśmy przez bramę, Jamie McGill był w swoim ogródku i zbliżył się, aby nas przywitać.

— Piękny ranek, Jamie — odezwała się ciocia Mary.

— O tak, panno Tressidor, panno Caroline. To śliczny ranek.

— Pszczoły są szczęśliwe?

— O tak. Cieszą się z powrotu panny Caroline.

— To miło, że są tak gościnne — powiedziałam.

— Pszczoły wiedzą — zapewnił mnie z powagą.

— No widzisz! — zwróciła się do mnie ciocia Mary. — Jeśli pszczoły cię lubią, to znaczy, że się nadajesz. Czy nie tak, Jamie? Oczywiście, że tak.

Stał, trzymając w ręce czapkę, a lekki wietrzyk rozwiewał jego żółte włosy.

— Biedny Jamie — rzekła ciocia Mary, gdy minęłyśmy bramę — chociaż może powinnam powiedzieć: szczęściarz Jamie. Nigdy nie znałam nikogo, kto byłby w pełni zadowolony. To kwestia pogodzenia się z własnym życiem, jak sądzę. Jamie ma, czego chce i nie wymaga więcej. Dach nad głową, coś do zjedzenia, przyjaciele... z których najważniejsze są pszczoły.

— Może proste życie jest najlepsze?

— Dużo za tym przemawia. No cóż, jesteśmy na miejscu. Te lasy są granicą między Tressidor i Landower. W dawnych czasach bywały źródłem konfliktów. Do kogo należą? Teraz są ziemią niczyją. Chciałabym najpierw złożyć wizytę Jeffom. W ich domu panuje wilgoć i Jim Burrows uważa, że powinno się coś z tym zrobić... Przedstawię cię jako córkę mego kuzyna — ciągnęła. — Przecież sądziliśmy, że nią jesteś. Nie ma sensu komplikować rodzinnych relacji.

— Dziwnie jest myśleć, że nie łączy nas pokrewieństwo. Nadal myślę o tobie jako o cioci Mary, mimo...

— Nigdy nie wierzyłam w tę bzdurę o więzach krwi. Kto powiedział, że przyjaciół sobie wybieramy, a krewni są nam narzuceni? Jakże to prawdziwe! Nigdy nie myślałam dużo o kuzynie Robercie czyjego siostrze Imogenie. Tak czy inaczej, pozostaniesz córką mego kuzyna. Zgoda? Może tak być, prawda?

— Jeśli to ułatwi sprawę.

— Przynajmniej z początku.

Zostałyśmy przywitane z radością przez oboje Jeffów.

— Pamiętam pannę Caroline — powiedziała pani Jeff. — To musiało być dość dawno... cóż, niech mnie diabli, jeśli pamiętam, ile lat temu przyjechała tu po raz pierwszy.

— Pięć — odrzekłam.

— Słowo daję, urosła panienka. Pamiętam, że jeździła panienka konno z paniczem Jagonem.

— Dziwne, że pani pamięta.

— O tak. W tamtej epoce Landowerowie mieli kłopoty z domem. Pamiętam, jak Jane Bowers i jej mąż martwili się, co będzie z majątkiem. Jak Bożę kocham, wszyscy o tym rozprawiali. Landowerowie mieszkali w tym domu, odkąd wszyscy sięgną pamięcią. Dziadek Jima Bowersa i prapradziadek. Wszyscy byli dzierżawcami Landowerów. Dobry Boże, ale wszystko dobrze się skończyło, Landowerowie wrócili do swego domu, a ich dzierżawcy są bezpieczni w swoich.

Ciocia Mary dyskutowała z obojgiem o ochronie ich domu przed wilgocią, a kiedy się pożegnałyśmy i pojechałyśmy dalej, pomyślałam o uwadze pani Jeff, że ludzie są bezpieczni w swoich domach. Więc to małżeństwo przyniosło korzyść nie tylko Landowerom. Ale Paul raczej nie brał sytuacji dzierżawców pod uwagę. Rozwazał tylko własne korzyści.

Czułam rosnącą gorycz i zrobiłam wszystko, by ją opanować. Nie chciałam, żeby ciocia Mary odgadła, że w swej naiwności uznałam Paula Landowera za kogoś bardzo dla mnie ważnego.

Wkrótce zawitałyśmy do następnego domku, by omówić inne sprawy, a stamtąd udałyśmy się na farmy.

Kiedy wracałyśmy do domu, ciocia Mary powiedziała:

— To jeden z najważniejszych elementów naszej pracy: dobrze poznać dzierżawców. Większość z nich ciężko pracuje, w tym sporo gospodarzy na farmach. Lubię wiedzieć, że są zadowoleni i szczęśliwi. W taki sposób zapewniasz posiadłości dobrobyt, gdyż bez zadowolenia dzierżawców nic nie osiągniesz.

Kiedy przejeżdżałyśmy przez bramę, spotkałyśmy kobietę, która podążała w przeciwnym kierunku. Było w niej coś znajomego.

— Och, panna Tressidor! — wykrzyknęła. — Właśnie chciałam złożyć pani wizytę. Widzę, że pani gość już przybył.

— Musi pani wrócić z nami do domu — zaproponowała ciocia Mary. — To jest Caroline Tressidor, córka mojego kuzyna. Caroline, to jest pani Landower.

Serce zaczęło mi bić gwałtownie. Nie mogłam się powstrzymać przed przyjrzeniem się dokładnie Gwennie. Siedziała na koniu poprawnie, a jej strój do konnej jazdy był bez zarzutu. Spod kapelusza wystawały jasne włosy. Oczy miała jasnoniebieskie i bardzo przenikliwe. Właśnie oczy przyciągnęły mój wzrok przede wszystkim, były bowiem bardzo żywe i zdawały się wbijać we wszystko, co napotkały, jakby ich właścicielka bała się ominąć jakiś szczegół.

— Dobrze, ale tylko na chwilę — odrzekła. — Chciałam jedynie powiedzieć dzień dobry panie Caroline. A tak naprawdę pragnęłam zapytać, czy obie panie nie przysłyby do nas jutro na kolację.

— To miło z pani strony — powiedziała ciocia Mary. — Bardzo chętnie przyjdziemy, prawda, Caroline? Oczywiście, że tak. Hej, James — zawołała do jednego ze stajennych, który przechodził akurat przez dziedziniec — zabierz konie! Pani Landower wstąpi na chwilę. Pokazywałam Caroline majątek — wyjaśniła naszemu gościowi.

— Lubi pani wieś, panno Caroline? — spytała Gwennie.

— O tak, bardzo — odrzekłam.

— Musi pani napić się czegoś — oznajmiła stanowczo ciocia.

— Dziękuję.

— W zimowym saloniku, jak sądzę — dodała ciocia Mary. — Tam jest przytulniej.

Jedna ze służących usłyszała, że wchodzimy, i nadbiegła ze słowami:

— Pani Landower była...

— W porządku, Betty. Spotkałyśmy ją po drodze. Przynieś, proszę, wino do zimowego saloniku... i trochę biszkoptów.

W zimowym saloniku czekałyśmy na poczęstunek.

— Pani twarz wydaje mi się skądś znana — odezwała się pani Landower.

— No cóż, spotkałyśmy się już kiedyś. Pamięta pani gospodę... zanim jeszcze zobaczyła pani dom?

— Och, oczywiście. Była pani z Jagonem, pamiętam. Ale bardzo się pani zmieniła. Wtedy była pani dzieckiem.

— Miałam czternaście lat.

— Bardzo pani wydożała.

— Wszyscy mi to powtarzają.

— Wszyscy się zmieniamy — wtrąciła ciocia. Przyniesiono wino i naląła je do kieliszków, a ja podałam gościowi biszkopty. — Kolacja, powiada pani — ciągnęła. — Brzmi wspaniale. Chcę, żeby Caroline zapoznała się ze wszystkim, co się tu wydarzyło... szybko.

— Nie mogłam się doczekać, kiedy ją poznam. Ostatecznie jesteśmy sąsiadkami, nieprawdaż? Czy naprawdę widziałyśmy się tylko raz? Nie mogę w to uwierzyć. Pani twarz jest taka znajoma... choć bardzo się pani zmieniła. Musi pani poznać mojego chłopczyka.

— O tak. Ciocia Mary opowiadała mi o nim.

— Jest śliczny. Mówią, że podobny do Landowerów. — Gwennie się skrzywiła.

— Och — odezwała się ciocia. — Ma też coś po pani. Może będzie podobny do pani ojca? Żywiłam do niego głęboki szacunek.

— Drogi stary papcio — westchnęła Gwennie. — Szkoda, że musiał umrzeć dokładnie w chwili, gdy osiągnął wszystko, czego pragnął.

— Przynajmniej zdążył to osiągnąć na czas — zauważyła ciocia Mary filozoficznym tonem. —

Czy pani mąż czuje się dobrze?

— Dziękuję, całkiem dobrze.

— A Jago?

— Jago zawsze czuje się dobrze. Wrócił z Plymouth. Nie może się doczekać spotkania z panią, panno Caroline. Wciąż opowiada, jak dobrze się rozumieliście przed pięcioma laty. Zastanawia się, czy bardzo się pani zmieniła i wyraża nadzieję, że nie... nie bardzo.

— Chętnie odświeżę naszą przyjaźń. Gwennie wypła swoje wino.

— Muszę już iść. Wpadłam tylko, żeby was zaprosić. Więc jesteście umówione? Możecie przyjść koło siódmej trzydzieści? Nie spodziewajcie się wielkiego przyjęcia. Tylko sąsiedzi, rozumiecie. Mój szwagier oświadczył, że musimy zaprosić pannę Caroline jako pierwszą.

— Proszę powtórzyć Jagonowi, że doceniamy jego pamięć — powiedziała ciocia Mary.

Wyszliśmy razem z Gwennie Landower na podwórze i patrzyliśmy, jak stajenny pomaga jej dosiąść konia.

Przejeżdżając przez bramę, podniosła dłoń w rękawiczce i pomachała nam na pożegnanie.

Kiedy wróciliśmy do domu, ciocia Mary zauważyła:

— No cóż, zdecydowała się okazywać ci życzliwość.

— Z pewnością zachowuje się przyjaźnie.

— Chciała zobaczyć, jak wyglądasz.

— Skąd ten pośpiech?

— Lubi wszystko wiedzieć. Jest bardzo ciekawa. Mówią, że wtyka nos wszędzie, gdzie coś się dzieje. Podobno uczuciowe życie służby nie ma dla niej tajemnic,

a o dzieciach w drodze dowiaduje się wcześniej niż przyszłe matki. Moi służący twierdzą, że plotkuje z własną służbą. Nie lubią tego. Oczekują, że ich państwo będą przestrzegali ścisłych reguł. Gwennie — zawsze nazywamy ją Gwennie — nie pasuje do wyobrażenia służby o tym, jak powinna postępować wielka dama — jest tak samo „niestosowna” jak jej ojciec.

— Więc sądzisz, że po prostu chciała mi się przyjrzeć?

— Och, lubi być otoczona ludźmi, ale zauważyłam, że ty szczególnie ją zainteresowałaś — sądzę zresztą, że też byłaś jej ciekawa.

— Po prostu pragnęłam zobaczyć wybawicielkę Landower.

— No cóż, więc ją widziałaś. Jest bardzo z siebie zadowolona. Zawsze dostaje, czego chce.

— Wydaje się zadowolona z układu zawartego przez ojca.

— Nie ma najmniejszych powodów, by w to wątpić.

— Zastanawiam się, czy pan Landower także jest zadowolony.

— Ach! To już nie jest takie oczywiste. No cóż, nie chcesz się przebrać? Lepiej odpocznij do lunchu. Widzę, że wciąż jesteś zmęczona. Wieczorem porozmawiamy. Jutro powinnaś być wypoczęta.

— Tak — odpowiedziałam. — Muszę mieć świeży umysł na kolację u Landowerów.

— Będzie ciekawie. Nie byłaś tam jeszcze, prawda?

— Niejako gość. Jago wprowadził mnie tylnymi drzwiami.

— No cóż, teraz wejdiesz frontowymi. Spodoba ci się tam, jestem pewna.

Idąc do pokoju, zastanawiałam się, czy to możliwe.

* * *

Szykowałam się na kolację u Landowerów. Tej nocy spałam głęboko — musiałam być wykończona. Dzień minął szybko: rano jeździłam konno z ciocią Mary, oglądając posiadłość, a po południu, jako że ciocia chciała odpocząć, siedziałam w ogrodzie, trochę czytając, a przede

wszystkim rozmyślając o wieczorze.

Ubrałam się bardzo starannie. Żałowałam, że Everton nie może ułożyć mi włosów. Wiedziałam, że nie osiągnę takich rezultatów jak ona, ale pamiętałam, że twierdziła, iż powinnam upinać włosy na czubku głowy, mam bowiem wysokie czoło i w takiej fryzurze sprawiam wrażenie wyższej. Włożyłam kremową suknię z obcisłą górą i bardzo falbaniastą spódnicą. Została kupiona w Paryżu na ślub mojej matki. Nigdy wcześniej nie miałam takiej sukni, a ponieważ przed jej kupieniem poradziłam się Everton, wiedziałam, że to szczyt elegancji. Przypięłam sobie szmaragdową broszkę, którą dostałam od matki.

— To broszka dla panny Caroline — brzmiał komentarz Everton. — A pani nie bardzo ona pasuje. Pani kamień to akwamaryn... zawsze tak mówiłam.

A ponieważ moja matka wiedziała, że zostanie obsypana klejnotami, oddała mi tę broszkę bez żalu. Everton miała rację: szmaragd podkreślał zieleń moich oczu.

Kiedy przejrzałam się w lustro, gotowa do wyjścia, uderzył mnie blask bijący z moich oczu. Naprawdę lśniły. Ale wyglądałam raczej jak generał przed bitwą. Zamierzałam pokazać Paulowi Landowerowi, że chociaż wcale się nim nie interesowałam, gardzę jego wyrachowaniem.

Ciocia Mary nie włożyła tyle starań w swój wygląd. Wątpię, czy kiedykolwiek poświęciła tej kwestii więcej niż pięć minut.

— Dobry Boże — zawołała na mój widok — wyglądasz wspaniale!

— To zwykła wyjściowa suknia. Matka kupiła mi ją na swój ślub... czy raczej Alfonse... jeszcze w Paryżu. Nie mogłam przynieść wstydu mamie podczas ceremonii.

— Jest bardzo *haute couture*. Tak się mówi? No i bardzo francuska. Ale wątpię, czy w Kornwalii ktoś się tego domyśli. Uznają jedynie, że jesteś bardzo elegancką młodą damą. Jaka wspaniała broszka! Nasza stara bryczka nie wydaje się wystarczająco elegancka.

— Mnie wystarczy w zupełności.

— W takim razie jedźmy. To miło z jej strony, że nas zaprosiła. *En familie*, jak mówią we Francji.

Kiedy minęliśmy bramę, nie potrafiłam się obronić przed uczuciem onieśmienia. Dom Landowerów wyglądał wspaniale i przypomniałam sobie wrażenie, jakie na mnie wywarł, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Wielkie kamienne ściany i wieża z blankami upodabniały go do warowni. Rozumiałam, dlaczego rodzina, do której należał od wielu pokoleń i której przodkowie go zbudowali, była gotowa dla niego na wielkie ofiary. Może to naturalne, że Paul postąpił tak, jak postąpił.

Przez bramę wjechaliśmy na dziedziniec, gdzie młody stajenny rzucił się natychmiast, by pomóc nam wysiąść. Nabijane ówiekami drzwi otworzyły się i ujrzałyśmy służącą.

— Zapraszam do środka, panno Tressidor — powiedziała. — Pani Landower czeka na panie.

— Dziękuję — odrzekła ciocia Mary.

— Zabiorę bryczkę do stajni — odezwał się chłopak.

— Dziękuję, Jim.

Weszliśmy do holu. Wspomnienia powróciły. Nie mogłam się powstrzymać przed zerknięciem w górę, na galerię minstreli, gdy szliśmy po kamiennej posadzce. Poręcz z pewnością wymieniono. Zerknęłam na kominek i namalowane nad nim drzewo genealogiczne. Wewnątrz domu łatwiej było zrozumieć wpływ, jaki owo miejsce musiało wywierać na swych właścicieli, kształtując ich życie i nabierając wyjątkowej wagi.

Byłam gotowa usprawiedliwić Paula.

Weszliśmy za służącą po schodach.

— Pani Landower jest w salonie — powiedziała.

Zapukała i nie czekając na odpowiedź, otworzyła drzwi. Nigdy nie widziałam tego pokoju. Był

wielki i wysoki. Okratowane okna nie wpuszczały wiele światła. Zdążyłam zauważyć kobierce na ścianach i portret jakiegoś dawno zmarłego Landowera, wiszący nad kominkiem.

Gwennie Landower podeszła do nas.

— Miło was widzieć — odezwała się, jakby naprawdę tak myślała. Ucisnęła moją rękę i obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

— Wygląda pani wzniośle — powiedziała.

Poczułam zakłopotanie. Ciocia Mary wyjaśniła mi później, że w słowniku Gwennie „wzniośle” niekoniecznie ma coś wspólnego z wzniosłością. Może znaczyć po prostu: „Wygląda pani bardzo ładnie”.

— Zna pani mojego męża.

Zrobił krok naprzód, chwycił moją dłoń i ucisnął ją mocno.

— Miło panią widzieć — przywitał mnie. — Mam nadzieję, że doszła pani do siebie po wypadku w górach.

— Paul opowiadał nam o waszej wycieczce — wtrąciła się Gwennie. — Zbeształam go. Miał się panią opiekować, prawda? Panna Tressidor martwiła się o panią, więc poprosiła, żeby do pani pojechał.

— To była całkowicie moja wina — wyjaśniłam. — Pani mąż jechał przodem i nadawał ślimacze tempo. Po prostu nie dość uważałam. Nie należy pozwolić sobie na to, siedząc w siodle.

— Czy ja tego nie wiem! Musiałam nauczyć się jeździć konno, prawda, Paul?

Skinął głową.

— Poradziłam sobie, co nie? Z początku było trudno. Ale pomyślałam sobie: jeśli mam zostać w tej okolicy, muszę wędrować po niej bez trudności. Chociaż przez jakiś czas byłam chora... zanim wyszłam za mąż. Miałam brzydki wypadek.

— O tak — odrzekłam spokojnie — słyszałam.

— Uch! — Wzdrygnęła się gwałtownie. — Wie pani, ilekroć przechodzę przez hol, odruchowo podnoszę głowę i zastanawiam się...

— Musiała pani przeżyć wstrząs.

— Och, a oto ktoś, kogo pani zna.

Zbliżał się do mnie. Bardzo wydorosłał od czasu, gdy rozmawialiśmy po raz ostatni. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam. Wysoki, lekko pochylony, mocno stawiał stopy na podłodze. Nie miał idealnych rysów. Usta, pełne i dość zmysłowe, wyglądały tak, jakby znały jedynie uśmiech. Oczy o ciężkich powiekach, tak przypominające oczy brata kształtem i kolorem, przyglądały się światu z wyrazem rozbawienia. Bujne, ciemne włosy układały się tak samo jak włosy Paula. W gruncie rzeczy fizycznie byli bardzo podobni, ale mieli całkiem odmienne natury, co ujawniało się w ich postawie i mimice. Paul wydawał się nazbyt poważny, a jego brat zachowywał się tak, jakby nie miał żadnych trosk albo — jeśli je miał — nie chciał się nimi zajmować. Sprawiał wrażenie w pełni zadowolonego z życia.

— Jago — powiedziałam.

— Caroline — odrzekł.

Nie zwracając uwagi na pozostałych, objął mnie i ucisnął.

— Cóż za cudowna... chciałem powiedzieć: niespodzianka... ale nowina o twoim przyjeździe dotarła do mnie już dawno... więc powiem: okazja. Możesz sobie wyobrazić, z jakim podnieceniem oczekiwałem na odnowienie naszej przyjaźni. Witaj z powrotem w Kornwalii! Urosłaś. — Spojrzał na moje włosy i uniósł brwi. — Wciąż ta sama zielonooka syrena. Nie zniósłbym, gdybyś się zmieniła.

— No cóż, wszyscy znają się z dawnych czasów, prawda? — odezwała się Gwennie. — Nawet ja spotkałam pannę Caroline już wcześniej. Pamiętasz? Mieszkałam w gospodzie z papciem. Wy

dwoje siedzieliście w sali jadalnej i próbowaliście nas zniechęcić do Landower. Twierdziliście, że dom jest... ruiną.

— Nie chcieliśmy ukrywać przed tobą prawdy, droga bratowo — odrzekł Jago.

— Trochę przesadziłeś... jak zwykle.

— Cóż to był za dzień! — zawołał. — Wrzosowisko... Koń Caroline zgubił podkowę i musieliśmy szukać kowala. Widzę, że „czy pamiętasz” będzie przez jakiś czas głównym tematem naszych rozmów.

— A ja widzę, że życie sprawia ci wielką przyjemność, Jago — zauważyłam.

— To błąd, traktować życie inaczej niż jako przyjemność.

— Niełatwo zawsze cieszyć się czymś, co nie jest przyjemne — wtrącił Paul.

— To kwestia czegoś, co nazywają podejściem do życia — odparł beztrąsko Jago.

— Bardzo powierzchowne — skomentował jego brat, a Gwennie spyła:

— Pójdziemy do stołu? — Podeszła do mnie i wsunęła dłoń pod moje ramię. — Już wyjaśniam — dodała konspiracyjnym szeptem. — Dzisiejszy wieczór jest bardzo nieoficjalny. Tylko rodzina. Od czasu do czasu urządzamy większe przyjęcia. Lubię odkurzać dawną chwałę Landowerów... tak samo Paul... tak samo zresztą i Jago.

— Tęsknię za starą chwałą — odezwał się jej szwagier.

— Dziś wieczór nie będziemy jedli przy wielkim stole — ciągnęła Gwennie. — Musielibyśmy siedzieć bardzo daleko jedno od drugiego. Czynimy tak, kiedy mamy gości, ale w rodzinnym gronie zwykle jadamy w małym pokoiku obok jadalni.

— Dziś wieczorem mamy najważniejszych gości — zaprotestował Jago.

— Miałam na myśli, że to nasze sąsiadki — odrzekła Gwennie.

— To bardzo miłe — wtrąciła ciocia Mary.

— Oczywiście wydajemy wielkie przyjęcia od czasu do czasu — tłumaczyła Gwennie. — Czasami tak wielkie, że odbywają się w głównym holu. No cóż, musimy dbać o swój status, prawda? Nie możemy zapominać o naszej pozycji... jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

Zerknęłam na Paula, który przygryzł wargi z irytacji. Jago wyglądał na rozbawionego.

Gwennie zaprowadziła nas przez jadalnię do mniejszego pokoju. Zrozumiałam, co miała na myśli. Rzeczywiście, przy wielkim stole bylibyśmy daleko od siebie i rozmowa toczyłaby się z trudem. Jadalnia robiła imponujące wrażenie ze swym wysokim sufitem i gobelinami na ścianach. Pokój obok był śliczny, przytulny i miły, z małym okienkiem wychodzącym na dziedziniec. Na stole nakrytym dla pięciu osób stał wspianały świecznik. Świec jeszcze nie zapalono. Na suficie zobaczyłam dwór Neptuna, namalowany w pięknych, pastelowych kolorach.

— Jaki śliczny pokój! — zawołałam.

— Pięknie go odnowiono — dodała ciocia Mary.

— Sporo mnie kosztowało odmalowanie tego sufitu — powiedziała Gwennie. — Jak wszystko inne, był strasznie zniszczony. Musiałam zatrudnić prawdziwego artystę. Wyczyścił i pomalował wszystko na nowo. Trzeba przyznać, że całkiem ładne pieniądze zostały włożone w ten dom.

— Droga Gwennie — mruknął jej szwagier — hojnie wydawała swoje ładne pieniądze. Osobiście nigdy nie przywiązywałem wagi do tego, czy pieniądze są ładne, czy nie. Podobają mi się w każdej postaci.

— Lubi ze mnie żartować — wyjaśniła żona Paula poufnym tonem.

— Droga Gwennie — ciągnął — nikt nie czuje się bardziej dumny z tego starego domu niż ona. Jest bardziej Landowerem niż którykolwiek z nas, nieprawdaż, droga bratowo?

— Kobieta poślubia rodzinę męża — oświadczyła sentencjonalnie.

— Co zabrzmiało jak zdanie z modlitewnika — dodał Jago. — Ale znając naszą małą, mądrą Gwennie, mogę przysiąc, że sama ukuła ten aforyzm.

Pani domu zacisnęła wargi. Pomyślałam, że między tymi trojgiem panuje przykre napięcie. Zarówno Jago, jak i Paul czuli się upokorzeni tym, że zawdzięczają swój dobrobyt pieniądзом Gwennie. Powinni byli pomyśleć o tym, zanim je przyjęli, pomyślałam surowo.

Odwróciła się z uśmiechem do cioci Mary i do mnie, wskazując, gdzie mamy usiąść. Paul zajął miejsce przy jednym końcu stołu, ona przy drugim. Ja siedziałam po prawej stronie Paula, Jago obok mnie, a ciocia Mary naprzeciwko nas.

Kiedy przyniesiono potrawy, ciocia Mary zaczęła rozmawiać z Paulem na temat obu majątków. Słuchałam z uwagą i czasem wtrącałam jakieś spostrzeżenie. Wiedziałam już sporo i te sprawy bardzo mnie interesowały. Rozpaczliwie próbowałam oderwać myśli od pewnego niemiłego odkrycia, którego dokonałam.

Jago pochylił się ku mnie i powiedział *sotto voce*:

— Musimy nadrobić stracony czas. Mam ci wiele do powiedzenia. Byłem ogromnie podekscytowany, kiedy się dowiedziałem o twoim przyjeździe i zrozpaczony, gdy cię stąd zabrano. Dość niespodziewanie, prawda?

— Tak, prawda. Nie chciałam stąd wyjeżdżać.

— Byliśmy wtedy dobrymi przyjaciółmi, prawda? Spędziliśmy razem wiele miłych chwil. Mam nadzieję, że wrócimy do tamtej zażyłości.

— Och, zapewne masz wiele zajęć, a ja uczę się zarządzania majątkiem. To bardzo interesujące.

— Nigdy nie pozwalałam, żeby interesy stawały na przeszkodzie przyjemnościom.

Paul usłyszał jego uwagę i powiedział:

— Zapewniam, że przynajmniej to jedno wyznanie było w stu procentach szczere.

— Sama widzisz, jak mnie tu traktują — odrzekł Jago, wznosząc oczy do sufitu.

— Traktują cię lepiej, niż na to zasługujesz — skomentowała Gwennie.

— Och! Caroline pomyśli, że jestem próżniakiem.

— Śmiem przypuszczać, że już to wie — odparła. — A jeśli nie, wkrótce się przekona.

— Nie powinnaś wierzyć w te oszczerstwa — zwrócił się do mnie Jago.

— Zawsze sama wyrabiam sobie sądy — zapewniłam go.

— Pamiętaj, że plotka to kłamliwa jędza.

— Ale jest prawdą — odezwał się Paul — że plotki zwykle bazują na faktach.

— Przemówiła wyrocznia — powiedział Jago. — Ale Caroline oceni mnie na podstawie własnych doświadczeń.

— Zawsze uważałam, że należy mówić, co się myśli... wprost — oznajmiła Gwennie. — A nie krążyć po opłotkach. Niektórzy ludzie wolą skłamać, byle nie być niegrzecznym. Mój ojciec nazywał to perfidią południowców.

— W zestawieniu z surową uczciwością ludzi z północy — dodał jej mąż.

— Wiele przemawia za uczciwością — upierała się Gwennie.

— Ale czasem bywa bardzo niewygodna — przypomniałam.

— Często się zdarza — zauważył Paul — że ludzie, którzy mówią to, co myślą, nie bacząc na uczucia innych, są niezadowoleni, gdy ktoś stosuje wobec nich tę samą zasadę.

— Ja jestem za wygodnym życiem — oświadczył Jago. — Nie mam wątpliwości, że to najlepsza metoda.

Rozmowa stawała się nieprzyjemna. Ciocia Mary rzuciła mi spojrzenie i zaczęła chwalić obrazy, które wisiały na ścianach pokoju.

— Jaka ładna kolekcja.

Ale ta uwaga pozwoliła Gwennie wrócić do jej ulubionego tematu:

— Wszystkie były całkiem zniszczone — powiedziała ostro. — Nic by z nich nie zostało, gdybyśmy, papcio i ja, nie sprowadzili do nich tego artysty, żeby je odnowił. Mój Boże, jak to

miejsce się odmieniło!

— Cudownie — zgodził się Jago. — Poznaliśmy znaczenie słowa „cud”, odkąd Gwennie wzięła sprawy w swoje ręce.

Szybko zapytałam o jakąś kwestię związaną z gospodarstwem i poprosiłam, by Paul porównał rozwiązania przyjęte w Landower i w Tressidor. Paul zaczął opowiadać o różnych problemach w majątku, a ciocia Mary włączyła się z zapalem. Jago, który też pomagał w zarządzaniu posiadłością, wtrącił uwagę czy dwie, raczej bez zaangażowania, próbując wciągnąć mnie w rozmowę na boku. Odpowiadałam dość zdawkowo. Chciałam posłuchać, co mówili Paul i ciocia Mary. Wydawało mi się, że Gwennie też słucha z uwagą. Niewątpliwie miała pewne cechy kobiety interesów.

Moje uczucia wahały się między głębokim niesmakiem a ożywieniem. W jednej chwili chciałam uciec, w następnej pragnęłam zostać. Próbowałam analizować uczucia, jakie wzbudzał we mnie Paul. Sądziłam, że nie będę miała z nimi kłopotu, skoro dowiedziałam się, że ożenił się dla pieniędzy — postępek, który tak szybko przemienił w pogardę moją miłość do Jeremy’ego Brandona. Ale z jakiegoś powodu nie mogłam nie współczuć Paulowi Landowerowi. Przekonałam się już, że jego małżeństwo z Gwennie nie jest szczęśliwe i że drogo zapłacił za odzyskanie domu. Może spodziewał się prostej wymiany. Tymczasem rzeczywistość okazała się całkiem odmienna.

Kiedy posiłek dobiegł końca, pani domu, zdecydowana przestrzegać konwenansów, oznajmiła, że zaprowadzi damy do salonu, aby mężczyźni mogli wypić swój kieliszek porto. Jakie to absurdalne, pomyślałam, zastanawiając się z goryczą, co Paul i Jago będą mieli sobie do powiedzenia, siedząc sami przy stole.

W salonie ciocia Mary zachwyciła się wspaniale odnowionym sufitem, na którym znajdowała się piękna, starannie wykonana płaskorzeźba, a Gwennie skorzystała z okazji, by wrócić do tematu, który, jak już zdążyłam się dowiedzieć, przedkładała ponad wszystkie inne.

— Ależ mieliśmy roboty z tym domem! Nie macie pojęcia. Ale byłam zdecydowana zrobić wszystko jak należy. Papcio także. Koszty były wyższe, niż przewidywał. Często się zastanawiałam, czy wdałby się w ten interes, gdyby wiedział, co nas czeka. Kiedy człowiek kupuje dom taki jak ten, musi być gotowy na mnóstwo niespodzianek.

— Remont mają już chyba państwo za sobą — zauważyłam.

— A gdzie tam! Zamierzam zająć się poddaszem. Jeszcze go nie tknęłam. Jest tam pokój, który bardzo mnie interesuje. Za długą galerią. Myślę, że znajduje się tam jakieś pomieszczenie za ścianami.

— Kryjówka dla księdza czy coś takiego? — spytałam. — Czy Landowerowie byli kiedyś katolikami?

— Landowerowie zostaną wszystkim, byleby przyniosło im to korzyść — odparła Gwennie zarazem z pogardą i podziwem.

— Wiem, że przechodzili z obozu rojalistów do okrągłogłowych i z powrotem w czasie wojny domowej — odezwała się ciocia Mary. — Ale dzięki temu uratowali dom.

— Och, Landowerowie zrobią wszystko, aby ocalić swój dom — powiedziała Gwennie tonem, w którym zabrzmiały zarazem tryumf i gorycz.

Zdawało się, że nie ma ucieczki od tego nieszczęsnego tematu.

— Pokażę wam coś — ciągnęła. — Pokażę wam tamto miejsce i zobaczymy, co powiecie. Pani mieszkała we dworze przez całe życie, panno Tressidor, więc z pewnością dużo pani wie o starych domach.

— Wiem dużo o Tressidor. Każdy dom jest inny.

— No cóż, chodźmy i zobaczymy.

— Czy panowie nie będą się zastanawiali, dokąd poszliśmy?

— Na pewno się domyślą. O niczym innym nie mówię. To za długą galerią. Chodźmy. — Wzięła zapaloną świecę i ruszyła przodem. — Mogę nazywać panią Caroline? — Odwróciła się do mnie. — Jesteśmy prawie w tym samym wieku. A poza tym są dwie panny Tressidor, przez co sytuacja może być niejasna.

— W porządku, Gwennie — odpowiedziałam. — Jestem bardzo ciekawa tej komnaty. A ty, ciociu Mary?

Ciocia potwierdziła i wyszłyśmy na korytarz.

— Pokoje dziecinne są na najwyższym piętrze. Niezupełnie na najwyższym... nad nimi jest jeszcze strych. Julian śpi teraz jak suseł. Inaczej bym go wam pokazała. To śliczny chłopiec.

— Ma dwa lata, zdaje się — zauważyłam.

— Prawie. Urodził się rok po ślubie. Wiecie co, jeśli chcecie, możecie rzucić na niego okiem.

Weszłyśmy po kilku stopniach i otworzyła drzwi. W pokoju panował mrok, rozpraszany jedynie światłem nocnej lampki. Jakaś kobieta wstała z krzesła.

— W porządku, niani. Przyprowadziłam panny Tressidor. Chcę pokazać im Juliana.

Kobieta cofnęła się i skinęła głową, a my weszłyśmy do pokoju. Gwennie podniosła świecę wysoko, aby światło padało na dziecko.

Był to śliczny chłopczyk o bujnych, ciemnych włosach. Patrzyłam na niego i czułam ogarniającą mnie zazdrość, chciałam bowiem, aby był mój.

— Jest uroczy — szepnęłam.

Gwennie przytaknęła ze spokojem, tak samo dumna z dziecka, jak z odrestaurowanych sufitów i całego domu.

Paul jej nie kocha, pomyślałam. To oczywiste. Żona go irytowała. Ale miała to piękne dziecko, a ja nie zazdrościłam jej do chwili, gdy zobaczyłam Juliana.

Pociągnęła nas do drzwi.

— Nie mogłam się powstrzymać, żeby go wam nie pokazać — powiedziała. — Śliczny dzieciak, prawda?

— Piękny chłopiec — potwierdziła ciocia Mary, a ja pokiwałam głową z zapalem.

— No cóż, zatem chodźmy dalej, pokażę wam moją komnatę. Zeszłyśmy kilka stopni i wkrótce zatrzymałyśmy się przed innymi drzwiami.

— To tutaj. — Otworzyła drzwi. — Potrzebujemy więcej światła. Zapalę drugą świecę... zawsze mam ich tu dużo. Nie lubię ciemności. Zabawne, nic innego mnie nie przeraża, jedynie rzeczy, które nie są naturalne. Zawsze taka byłam, od samego dzieciństwa. W miejscu takim jak to człowiek spodziewa się zobaczyć ducha, prawda? Nie wiem, dlaczego tyle myślę o duchach — odwróciła się ku mnie, a jej oczy zabłyśły w blasku świecy. — Nie sądziłaby pani, że jestem skłonna do takich fantazji, prawda?

Potrząsnęłam głową.

— No cóż, czasem przychodzi mi do głowy, że na tej galerii mieszkają duchy i że one chciały, abym tu zamieszkała... wprowadziła nowe życie do tego starego domu.

— Wybrały dziwny sposób — zauważyła trzeźwo ciocia Mary. — Wystraszyły panią tak bardzo, że spadła pani z galerii i omal się nie zabiła.

— Tak... ale przedtem papcio był raczej temu przeciwny. Narzekał, że dom wymaga dużo pracy. Miał ochotę zamieszkać w Kornwalii, ale uważał, że z pewnością znajdziemy coś innego, mniej zniszczonego. Jednak kiedy spadłam ze schodów i potłukłam się dość mocno, musiałam tu zostać, a papcio został ze mną... i właśnie wtedy dom zaczął... Nie wiem, jak to powiedzieć...

— Pochwycił cię swymi mackami — powiedziałam.

— Zgadza się. A potem szybko złowił także papcia. I to jemu przyszło do głowy, że Paul i ja moglibyśmy... aby wszyscy byli zadowoleni. Zawsze bardziej troszczył się o moją przyszłość niż

o swoją. Ostatecznie został dokładnie tym, kim chciał się stać... nie był tylko właścicielem ziemskim. Ale bycie ojcem żony właściciela też go zadowoliło.

— Więc dotarliśmy do końca bajki — zauważyłam ironicznie, ale Gwennie nie dosłyszała złośliwości w moim głosie.

— No cóż... jest jeszcze wiele do zrobienia — powiedziała dość smutno — a życie nigdy nie spełnia naszych oczekiwań. Spójrzcie tutaj! — Zbliżyła świecę do ściany. Stały tam biurko i kredens — niemal miniaturowe. — Nie sądzę, aby ten pokój był kiedykolwiek używany — ciągnęła. — Kazałam przesunąć ten kredens. Widzicie, to tutaj. Widać, że kawałek ściany ma inny kolor... nawet w tym świetle. — Zastukała w ścianę. — O proszę! Słyszycie ten głuchy dźwięk?

— Tak — potwierdziła ciocia Mary. — Za tą ścianą może coś być.

— Zamierzam przysłać tu murarzy — oznajmiła Gwennie. Usłyszałam jakiś dźwięk za naszymi plecami. Drgnęliśmy wszystkie, a jakiś głos zawołał:

— Buu!

Jago uśmiechał się do nas szeroko, a Paul stał za jego plecami.

— Wiedziałem, że oglądacie ostatnie odkrycie Gwennie! — zawołał Jago, zrobił krok naprzód i popukał w ścianę.

— Jest tam kto? — zapytał. Odwrócił się i uśmiechnął do Gwennie. — Droga bratowo — powiedział — tylko się z tobą przekomarzam. Jest jedna rzecz na świecie, przed którą kapituluje północny zdrowy rozsądek: zjawy. Dlaczego duch miałby krzywdzić osobę, która przybyła, aby uratować jego siedzibę przed ruiną?

Ten lekki ton zawierał złośliwość. Pomyślałam, że obaj bracia nie znoszą Gwennie, więc z zemsty postanowiła wypominać im nieustannie, jak wiele dla nich zrobiła. Atmosfera tego domu przesycona jest nie tylko niechęcią, lecz wręcz nienawiścią.

— Wkrótce się przekonamy, co znajduje się za ścianą — powiedział Paul.

— Nikomu wcześniej nie przyszło do głowy tego sprawdzić? — spytałam.

— Nikomu.

— Póki nie zjawiła się Gwennie — dodał Jago.

— No cóż, dziś wieczór nie ma tu już nic do oglądania — zakończył Paul.

Wróciliśmy na galerię. Paul i ciocia Mary szli z przodu. Ciocia mówiła o podobnej skrytce w Tressidor.

— Zburzono ścianę... och, dawno temu... za życia mojego dziadka... ale znaleziono za nią jedynie szafę.

Gwennie podeszła i zasypała staruszkę pytaniami.

— Niewiele mogę na ten temat powiedzieć — odrzekła ciocia. — Tylko słyszałam o całej sprawie. Oczywiście wiem, gdzie stała ściana.

Zatrzymałam się, by popatrzeć na obraz, który, jak sądziłam, przedstawiał Paula.

— To nasz ojciec, kiedy był młody — wyjaśnił Jago.

— Twój brat jest do niego bardzo podobny.

— Owszem. Tak wyglądał, zanim pochłonęła go rozpusta. Miejmy nadzieję, że Paul nie pójdzie tą samą drogą.

— Wydaje mi się, że to mało prawdopodobne. Reszta towarzystwa opuściła już galerię.

— Może zostać do tego doprowadzony.

— Czyżby?

— Nie zauważyłaś? Mniejsza o to, chcę ci pokazać widok z jednej z wież. Chodźmy, tędy.

— Inni będą się zastanawiać...

— Niech ćwiczą umysły.

— Nie zmieniłeś się, Jago.

— Chłopiec jest ojcem mężczyzny. Czyż to nie mądre słowa? Powinnaś wiedzieć, jesteś mądra. Cała ta edukacja we Francji...!

— Skąd o tym wiesz?

— Panna Tressidor jest wielce dumna ze swej młodej krewnej. Dużo o tobie opowiadała.

— Miło wiedzieć, że dwa sąsiedzkie rody zaprzyjaźniły się ze sobą.

Pozwoliłam, by wyprowadził mnie z galerii. Dotarliśmy do krętych schodów i weszliśmy na górę. Ostrzegł, bym trzymała się sznurowej poręczy. Wkrótce znaleźliśmy się na szczycie wieży, na świeżym powietrzu. Wdychałam zimny, orzeźwiający wiatr. Białe światło księżyca ukazywało balustradę, blanki, a na dole park i las, rozciągający się jak okiem sięgnąć.

— Wspaniały widok — powiedziałam.

— Wyobrażasz sobie, jak Gwennie przyprowadza tu mojego brata i mówi do niego: „Sprzedaj mi swą duszę, a wszystko to będzie twoje?”

— Nie, nie mogę.

— Oczywiście, że nie. To było rzeczowe załatwienie sprawy. Wyobraź sobie papcia, jak wali pięścią w stół, oznajmiając: „Ty masz dom, korzenie i nazwisko. Ja mam fortunę. Weź moją córkę, a uratuję twój dom”.

— Czujesz się dotknięty?

— Nie bardzo. To nie ja musiałem ożenić się z Gwennie.

— Dlaczego tak bardzo jej nie lubisz?

— Nie lubię jej, ponieważ nie umiem nie polubić jej tak bardzo, jak bym chciał! Czy raczej nie lubię jej, chociaż wiem, że nie powinienem. Nie jest taka zła ta nasza Gwennie. Gdyby tylko trochę mniej wiedziała o swojej fortunie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, a mój brat był mniej ambitny... wszystko jakoś by się ułożyło.

— Ostatecznie ludzie, którzy pobierają się z rozsądku, powinni być rozsądni.

— Właśnie tak. Rozsądni. I tu przebiega granica.

— Powinniście byli zostać na farmie.

— Młodszy synowie nigdy nie spijają śmietanki. Landower będzie należało do potomstwa Paula. Mały Julian jest w połowie Arkwrightem. To jeden z punktów umowy.

— Możecie sobie gratulować, że uratowaliście dom.

— Przypuszczam, że masz rację. Staramy się o tym nie zapominać. Ale przeszłości nie zmienimy. To przyszłość nas martwi. Cieszę się, że wróciłaś, Caroline.

Patrzyłam na zatopioną w księżycowym blasku murawę. Czy byłam zadowolona? Czulałam ogromne podniecenie. Oczywiście życie nie było już tak monotonne jak wówczas, kiedy mieszkałam we Francji. Jak inaczej by wszystko wyglądało, gdyby Paul zdecydował się uratować swą godność i honor raczej niż dom i gdyby mieszkał na farmie, uprawiając tych kilka akrów, które do niej należały — biedny, ale przynajmniej godzien szacunku. Z pewnością wolałabym takie rozwiązanie.

— Wyglądasz na smutną — zauważył Jago. — Życie dało ci w kość?

— Niezupełnie. Po prostu trochę mnie zaskakuje.

— I tak być powinno. Kiedy tylko staje się przewidywalne, ogarnia nas nieznośna nuda.

— Czasem człowiek przywiązuje wielką wagę do swoich oczekiwań.

— Nie filozofuj. Nadal tak dobrze jeździsz konno?

— No cóż, we francuskich górach miałam wypadek, o którym z pewnością słyszałeś.

— Szkoda, że nie wiedziałem, iż tam jesteś. Pojechałbym na przeszeptę. Mielibyśmy dużo zabawy i nie pozwoliłbym ci spaść z konia.

— To ja sobie na to pozwoliłam. Jago... czy Gwennie coś podejrzewa?

— Podejrzewa co?

— Że zrobiono jej kawał... wtedy na galerii.

— Masz na myśli duchy?

Skinęłam głową.

— Czasem wydaje się...

— Gwennie jest najbardziej wścibską osobką, jaką znam. Chce wiedzieć wszystko o wszystkich i nie spocznie, dopóki nie wyciągnie z każdego człowieka jego tajemnicy. Nie podejrzewa, że ktoś zrobił jej dowcip. Upiera się, że widziała zjawy. To jedyne, czego się boi, a jest rzeczą pocieszającą, że ta wspaniała dama ma przynajmniej jedną słabość.

— Jak myślisz, co by zrobiła... gdyby odkryła, że jej duchy to my?

— Nie wiem. Minęło tyle czasu, a gdyby nie spadła z galerii, wszystko potoczyłoby się inaczej. W Landower mieszkaliby może inni właściciele. Nie okazaliby takiej hojności, a wówczas dostojny stary dom przemieniłby się w ruinę, my zaś klepalibyśmy biedę na farmie. Kto wie?

— Ciekawe, że rezultaty są przeciwne do zamierzonych. Pamiętasz, że przebraliśmy się za duchy, aby odstraszyć Arkwrightów, a ostatecznie właśnie ów wypadek sprawił, że tu zostali.

— Tak było zapisane w gwiazdach, jak powiadają.

— Zrządzenie losu. Ocalenie Landower i małżeństwo Gwennie z twoim bratem.

— Wierzę, że stary dom spełnił swoją wolę. To naturalne, że nie chciał się zawalić. Jesteś bardzo piękna, Caroline.

— Dziękuję.

— Nigdy nie widziałem takich zielonych oczu.

— Służąca mojej matki powiedziała, że to ta zielona broszka. Pochylił się, by ją obejrzeć i jego palce przez chwilę dotykały kamienia. Właśnie w tej chwili męski głos powiedział:

— Ach, tu jesteście. Domyśliłem się, że uciekliście z galerii do schodów na wieżę.

To był Paul.

— Chcieliśmy odetchnąć świeżym powietrzem, a poza tym pokazywałem Caroline widok na okolicę.

— Jest bardzo piękny — odrzekłam. — Podobnie jak cały dom. Musi pan być z niego bardzo dumny.

W moim głosie zabrzmiała rezerwa, z której Paul musiał zdać sobie sprawę.

— Przyłączymy się do pań? — spytał.

Jago rzucił bratu pełne złości spojrzenie, po czym wszyscy troje zeszliśmy po schodach.

W salonie ciocia Mary mówiła akurat, że powinnyśmy już iść.

— Pokazywałem Caroline widok z wieży. Gwennie zaśmiała się znacząco, a ciocia powiedziała:

— To był bardzo miły wieczór. Dziękujemy za zaproszenie. Pożegnaliśmy się, a nasza bryczka szybko pokonała niewielką odległość do Tressidor.

Ciocia odprowadziła mnie do pokoju.

— Co za atmosfera! — westchnęła. — Można by ją kroić nożem.

— Nie znoszą jej — odrzekłam. — Obaj.

— Jago był tobą zainteresowany. Musisz na niego uważać, Caroline. Wiesz, jaką ma reputację.

— Tak, wiem. Nie są godni podziwu, prawda? Jeden uwodzi wieśniaczki, drugi ożenił się dla pieniędzy.

— Po prostu obaj są słabi.

— Może. Ale skoro zawarli układ, nie powinni teraz okazywać niezadowolenia.

— Och, mówisz o starszym. Wiem, co masz na myśli. Niektórzy mężczyźni tacy już są... dumni... przywiązani do statusu, który ich rodzina posiadała przez wieki. Należy ich zrozumieć. Zostali wychowani na dziedziców i pozbawieni wszystkiego, co zwykle łączy się z dobrym

urodzeniem. Nadarzyła się sposobność i ulegli pokusie.

— Ta kobieta...

— Gwennie. Nie pasuje do niej to imię. Jest twarda jak stal.

— Musi być twarda, z takim mężem!

— Gardzisz nim, prawda? Odniosłam wrażenie, że we Francji raczej go polubiłaś.

— Nie wiedziałam, że się sprzedał.

— Co za melodramatyczne określenie małżeństwa z rozsądku...

— Precyzyjne.

— Jesteś dla niego zbyt surowa. Tych dwoje zupełnie do siebie nie pasuje. Widzę, że jej ograniczenie i prymitywny sposób wyrażania myśli... fakt, że nie umie dopasować się do okoliczności... drażnią go. Gdyby była jedynie zwykłą, prostą dziewczyną, spadkobierczynią pieniędzy zarobionych przez papcia i kupiła sobie jakiś tam majątek ziemski i przystojnego męża — może sprawy ułożyłyby się lepiej. Ale mamy tu dumnego potomka starego rodu z tradycjami, ożenionego z młodą, ambitną kobietą, która wyrosła w całkiem odmiennej kulturze... by tak rzec. Dobre maniere, towarzyskie obycie, elegancki i nieco próżniaczy tryb życia, a z drugiej strony dziewczyna wychowana przez pracowitego, sprytnego ojca, bez wykształcenia, lecz z innymi zaletami... które w pewnym stopniu odziedziczyła. To jakby mieszać olej z wodą. Nie zdołasz ich połączyć. No właśnie! Dysonans! Nigdy wcześniej nie zauważyłam tego tak wyraźnie, jak dziś wieczorem.

— Często widywałaś ich razem?

— Okazjonalnie. Dziś wieczór było inaczej. Zaprosili tylko ciebie i mnie. Zwykle kiedy ich odwiedzałam, mieli jeszcze wielu innych gości.

— Z pewnością każde doświadczenie jest cenne. Ciocia Mary ziewnęła.

— No cóż. Tak czy inaczej, cieszę się, że rozmawiałaś z Paulem Landowerem o pracy w majątku. Szybko się uczysz.

— Chcę tego, ciociu Mary.

— Wiedziałaś, że to zajęcie cię pochłonie, kiedy już zaczniesz. Dobranoc, kochanie. Wyglądasz, jakbyś miała dużo do przemyślenia. Nadal chodzi o Landowerów? — Potrząsnęła głową. — Nie będę zaskoczona — ciągnęła — jeśli pewnego dnia zdarzy się coś złego. Miałam wrażenie, że słyszę gdzieś blisko huk pioruna. Wiesz, co mam na myśli? Oczywiście, że wiesz. Dwie silne natury. Chciałabym, żeby Gwennie była prostą kobietką. I żeby Paul zaakceptował sytuację. No cóż, to nie nasze zmartwienie. My nie możemy nic zrobić, prawda? Oczywiście, że nie. Ale przyszłość wielu ludzi zależy od losów Landower. Wszyscy dzierżawcy... to naprawdę najlepsze rozwiązanie. Zarządzać majątkiem... Zlikwidować szkody wyrządzone przez poprzednich właścicieli i zabezpieczyć przyszłość. Wierzę, że Gwennie robi, co może. Odziedziczyła po ojcu zmysł do interesów. Tylko z rodziną nie umie sobie poradzić. No cóż, jak powiedziałam, to problem Landowerów. Dobrej nocy raz jeszcze.

Pocałowałam ją i wyszła.

Usiadłam przy lustrze i odpięłam broszkę ze szmaragdem. Przyglądałam się swemu odbiciu. Moje oczy jaśniały teraz blaskiem, ale tym nie pożyczonym od broszki. Cokolwiek mówiłam, o czymkolwiek próbowałam pomyśleć, nie mogłam odegnać wspomnienia Paula. Nie potrafiłam mu nie współczuć.

— To jego własna wina — powiedziałam na głos. — Sam posłał sobie łóżko i teraz musi w nim spać.

Jakie to trafne! Wyczuwałam jego niechęć do Gwennie. Chwilami nie umiał ukryć swoich uczuć. Znałam teraz powód melancholii Paula i wiedziałam, jaki sekret kryły jego oczy.

Chciałam go nienawidzić. Pragnęłam nim gardzić, ale nie mogłam. Potrafiłam jedynie litować

się nad nim i czułam namiętne pragnienie, by go pocieszyć.

„To nie nasze zmartwienie” — słowa cioci Mary rozbrzmiewały w moich uszach.

— Oczywiście, że nie nasze — powiedziałam do swojego odbicia. Ale nadal myślałam o nim ze smutkiem, choć jednocześnie ze słabą nadzieją... nie wiedziałam na co.

* * *

Następnego ranka ciocia długo nie wstawiała z łóżka. Poszłam do jej pokoju, trochę zaniepokojona.

— Och, po prostu czuję swój wiek — odrzekła. — Zawsze zostaję dłużej w łóżku po wieczorze spędzonym poza domem. Zaraz będę gotowa.

— Jesteś pewna, że to wszystko?

— Absolutnie pewna. Przecież wcale się nie przemęczam. Zwłaszcza teraz, gdy mam pomocnicę.

— Jak dotąd niezbyt użyteczną, obawiam się.

— Powiem ci, co możesz zrobić dziś rano. Jedź na farmę Brackettów i powiedz im, że Jim Burrows zajął się już sprawą Trzyakrowej Łąki, dobrze? Chodzi o tamtejszą glebę. Jim nie ma czasu, bo jedzie dziś do Plymouth. Obiecałam, że tego dopilnuję.

Byłam zadowolona, że mogę zrobić coś pożytecznego i praktycznego, więc po śniadaniu natychmiast osiodłałam konia.

Siedziałam w kuchni Brackettów z filiżanką herbaty i gorącą bułeczką, którą pani Brackett właśnie wyjęła z pieca. Przekazałam wiadomość, a gospodyni zapewniła, że bardzo się cieszy z mojego przyjazdu do Kornwalii.

— Często myślałam, że panna Tressidor czuje się samotna w tym wielkim domu, więc będzie jej miło, jeśli pani z nią zamieszka. A ona za panią przepada. Powiedziałam do mojego Toma: „To dobrze, że panna Tressidor będzie miała u siebie pannę Caroline”.

— Tak — odrzekłam. — Mnie też jest miło.

— Mamy szczęście, że jesteśmy u Tressidorów — tak zawsze powtarzam Tomowi. Landowerowie teraz... no cóż, jeszcze niedawno byli w tarapatach. Powiedziałam do Toma: „To nie to samo... Landower przechodzi z rąk do rąk... To daje do myślenia”.

— Teraz jednak wszystko wróciło do normy.

— Tak, ale mówią, że to ona trzyma rękę na sakiewce... Oczywiście nie jest całkiem taka, jak człowiek by się spodziewał. Ech! Gadam, co mi ślina na język przyniesie.

Chciałam, żeby mówiła dalej. Byłam głodna wszelkich informacji o życiu w Landower. Ale oczywiście nie mogłam słuchać plotek.

Opuściłam farmę i ruszyłam w kierunku wrzosowiska. Pragnęłam pogalopować po świeżej darni, poczuć wiatr na twarzy. Chciałam uporządkować myśli i zastanowić się nad przyszłością. Ciocia Mary spodziewała się, że zostanę, ale po wczorajszej wizycie u Landowerów, gdy przekonałam się o napięciu panującym między Paulem a jego żoną, czułam wielki niepokój.

Na próżno powtarzałam sobie, że to nie moje zmartwienie. Byłam świadoma uczuć, jakie we mnie wzbudzał i nie miałam pewności, czyja także nie wywieram na nim pewnego wrażenia. Jeśli tak, jego problemy łatwo mogły stać się moimi. Chyba że wyjadę.

Wiedziałam, że muszę poważnie zastanowić się nad przyszłością.

Było gorąco i wiał częsty w tych stronach, silny północno-zachodni wiatr, pachnący marokańskimi przyprawami. Wdychałam go z przyjemnością, galopując przed siebie. W oddali widziałam starą kopalnię, którą kiedyś pokazał mi Jago.

Pogalopowałam w tamtym kierunku.

Wyglądała rzeczywiście niesamowicie. Pamiętałam opowieści Jagona o duchach, które rzekomo mieszkają w opuszczonych szybach. Sama na wrzosowisku, smagana wiatrem, który ze świstem szarpał gałęzie krzewów, rozumiałam, dlaczego tutejsi mieszkańcy dawali wiarę starym przesądom.

Zbliżyłam się do wylotu jednego z szybów. Szum wiatru w dole brzmiał jak chichot. Cofnęłam się i rozejrzałam wokół. Po jednej stronie widziałam horyzont, po drugiej zasłaniały go topole.

Zawróciłam konia, a kiedy to zrobiłam, usłyszałam tętent kopyt i czyjś głos wołający moje imię.

Przez chwilę myślałam, że to jeden z duchów–wygnańców, które Jago nazywał krakerami. Ale głos brzmiał znajomo, a pośród topoli zobaczyłam jeźdźca pędzącego w moim kierunku po kamienistej drodze.

Poznałam Paula.

— Dzień dobry, Caroline — powiedział.

— Dzień dobry. Myślałam, że jestem sama.

— Miałem cię zawołać i zobaczyłem, że jedziesz na wrzosowisko. Nie powinnaś zbliżać się do starej kopalni.

— Wydaje się całkiem bezpieczna.

— Nigdy nie wiadomo. Mówią, że jest nawiedzona.

— Tym chętniej ją obejrzę.

— Właściwie nie ma tu nic do oglądania. Pięćdziesiąt lat temu ktoś wpadł do tego szybu i stracił życie. Była mglista noc. Ludzie mówią, że pchnęła go jakaś czarownica.

— Nie znam żadnych czarownic, a poza tym świeci słońce, więc jestem całkowicie bezpieczna.

Podszedł do mnie, trzymając kapelusz w dłoniach. Wiatr szarpał ciemne włosy Paula, jego oczy o ciężkich powiekach patrzyły na mnie z powagą.

— To wielka przyjemność cię zobaczyć — powiedział. Jego głos wibrował z emocji.

To zburzyło moją obojętność. Byłam coraz pewniejsza swoich uczuć do niego i złościłam się, że wzięły górę nad moim zdrowym rozsądkiem. Zwróciłam złość przeciwko memu towarzyszowi.

— Gratuluję — powiedziałam.

Uniósł pytająco wyraziste brwi.

— Odzyskania Landower — wyjaśniłam. — Musisz być dumny, że zdołałeś odrestaurować dom.

Spojrzał na mnie z wyrzutem i oświadczył:

— Dom będzie stał bezpiecznie przez następnych sto lat i zostanie w rękach rodziny.

— Wielkie osiągnięcie. Z pewnością warte gratulacji.

— Chciałem ci opowiedzieć o swoim małżeństwie, gdy byliśmy we Francji.

— Doprawdy? Czemu więc tego nie zrobiłeś?

— Nie potrafiłem o tym mówić.

— Dlaczego? Przecież postąpiłeś całkiem naturalnie, nieprawdaż?

Zawróciłam konia i zaczęłam oddalać się od kopalni. Paul jechał obok mnie.

— Chciałem z tobą porozmawiać.

— Rozmawiasz ze mną.

— Poważnie.

— A nie rozmawiamy poważnie?

— Nie jesteś taka sama, jak we Francji. To były dla mnie bardzo szczęśliwe dni, Caroline.

— Tak — zgodziłam się z nim. — Było przyjemnie. Oczywiście zdarzył się ten przykry wypadek.

— Nie miałaś potem żadnych dolegliwości?

— Nie.

— Dzięki temu wydarzeniu lepiej się poznaliśmy.

— Nie sądzę, abym wtedy lepiej cię poznała.

— Masz na myśli...

— Nie tak dobrze jak po przyjeździe tutaj — odparłam zimno.

— Myślę, że powinnaś wiedzieć, że żywię do ciebie wyjątkowe uczucia.

— Czyżby?

— Och, bądźmy uczciwi. Bądźmy wobec siebie szczerzy. Jesteśmy sami na wrzosowisku i nikt nas nie podsłucha.

— Tylko upiory, duchy i zjawy.

— Tych kilka dni, które spędziliśmy razem we Francji... nigdy ich nie zapomnę. Myślałem o tobie nieustannie. Właśnie wtedy moja sytuacja wydała mi się... nie do zniesienia.

Przerwałam mu.

— Nie powinieneś mówić do mnie w ten sposób. Nie powinieneś zapominać, że ożeniłeś się bardzo zadowolająco... bardzo rozsądnie.

— Nie powinienem był tego robić.

— Co takiego? Przecież uratowałeś Landower dla Landowerów!

— Długo się wahałem. Los wielu ludzi zależał od tej decyzji. Mój ojciec... Jago... dzierżawcy...

— I ty sam.

— I ja sam.

— Rozumiem doskonale. Zdaje się, iż powiedziałam ci we Francji, że zaręczyłam się z mężczyzną, który porzucił mnie, kiedy odkrył, że nie mam pieniędzy. Widzisz więc, iż mam już pewną wiedzę o świecie.

— Jesteś cyniczna, Caroline, a to do ciebie nie pasuje.

— Jestem realistką i taka właśnie pragnę być.

— Chciałbym, żeby wszystko wyglądało inaczej.

— To znaczy... chciałbyś wrócić do czasów przed swoim małżeństwem. Ale zapominasz, że w takim wypadku mieszkałbyś teraz na farmie, a tego z pewnością byś sobie nie życzył.

— Czy mogę ci wytłumaczyć, jak wiele Landower znaczy dla mojej rodziny?

— To nie jest konieczne. Wiem. Rozumiem.

— Musiałem to zrobić, Caroline.

— Wiem. Kupiłeś Landower od Arkwrightów dokładnie tak samo, jak oni kupili posiadłość od ciebie — tylko waluta była inna. Interes pozostał interesem. Wszystko jest absolutnie jasne, nie potrzeba żadnych dodatkowych wyjaśnień. Widziałam wczoraj wieczorem, że nie jesteś całkiem szczęśliwy. Może mówię zbyt otwarcie. To wpływ wrzosowiska, jak przypuszczam. Prawie zapomniałam o światowych grzecznościach. A ty?

— Tak — odrzekł. — Właśnie dlatego mówię, co czuję.

— Musimy wrócić do realnego świata i przypomnieć sobie o zasadach grzeczności. Nie powinieneś tak się odsłaniać, a ja powinnam ostrożniej dobrać słowa. Powinniśmy rozmawiać o pogodzie i żniwach, a nie... Muszę wracać.

— Caroline...

Odwróciłam się, by na niego spojrzeć i powiedziałam:

— Zawarłeś transakcję. Masz, czego chciałeś. Musisz zapłacić. Ostatecznie nabytek wart jest swej ceny.

Czułam się tak rozżalona i nieszczęśliwa, że chciałam go zranić. Wiedziałam, że mogłabym pokochać go mocniej, niż kiedykolwiek kochałam Jeremy'ego. Byłam już dojrzała. Kiedy Jeremy mnie porzucił, moje uczucia do niego szybko przemieniły się w pogardę. Ale chociaż Paul okazał

się równie interesowny jak mój narzeczony, pragnęłam wziąć go za rękę, przytulić i pocieszyć, i jedynie z największym trudem oparłam się tej pokusie.

Widziałam czyhające na mnie niebezpieczeństwo i czułam obawę. Nie mogłam okazać, jak bardzo mi na nim zależy.

Galopując przez trawy, słyszałam za plecami tętent kopyt jego konia. Wiatr ciągnął mnie za włosy i myślałam, jak inaczej wszystko mogło się ułożyć. Miałam ochotę płakać z żalu. Mogłam go pokochać i wierzyłam, że on także troszczyłby się o mnie. Ale między nami stanęło Landower, które musiało zostać uratowane, i Gwennie, która go kupiła, tak że musiał pozostać z nią do końca życia.

Krajobraz zmienił się, tracąc swą dzikość. Byliśmy teraz na wiejskiej drodze.

— Mam nadzieję, że to nie popsuje naszej przyjaźni, Caroline — powiedział Paul.

— Jesteśmy sąsiadami... dopóki tutaj mieszkam — odparłam krótko.

— Chyba nie zamierzasz wyjechać?

Wzruszyłam ramionami.

— Nie jestem pewna.

— Ale panna Tressidor mówiła, że z nią zamieszkaasz.

— Naprawdę nie wiem, co się wydarzy.

— Musisz zostać — powiedział.

— To nie powinno mieć dla ciebie żadnego znaczenia.

— To ma dla mnie ogromne znaczenie.

Próbowałam znaleźć złośliwą odpowiedź, ale nic nie przyszło mi do głowy. Zastanawiałam się, czy zauważył, że wargi mi drżą. Mógł to zauważyć bez trudu, jechał tuż obok mnie.

Nie chciałam, żeby wiedział, jak bardzo jest dla mnie ważny.

Widziałam przyszłość wyraźnie: uczucie między nami staje się coraz silniejsze, nieodparte... ukradkowe spotkania, poczucie winy... podejrzenia Gwennie... plotki służących. Och, nie. Nie mogłam pozwolić, aby sprawy tak się potoczyły.

Wyprzedziłam Paula. Nie będzie więcej takich rozmów.

Pożegnałam go, gdy w oddali ukazało się Tressidor. Poszłam prosto do swego pokoju. Nie mogłam na razie spojrzeć nikomu w twarz. Czułam zbyt wielkie wzburzenie.

Moje serce drżało radośnie, bo nie byłam mu obojętna. Jednocześnie zaś przytłaczała mnie rozpacz, gdyż sprzedał swoją wolność. I nie mogło łączyć nas nic prócz sąsiedzkiej przyjaźni.

Czy naprawdę nie mogło? Dlaczego rozmawiał ze mną w taki sposób? Był we mnie zakochany? Ja byłam zakochana w nim? Sugerował, że powinniśmy zachować nadzieję?

Może nie powinnam zadać sobie tych pytań.

Może powinnam wyjechać... zanim będzie za późno.

* * *

Tego popołudnia złożyłam wizytę Jamiemu McGillowi.

W małym domku panowała atmosfera spokoju, a czułam, że potrzebuję wytchnienia — Jamie ucieszył się na mój widok. Powiedział, że od czasu gdy ostatni raz się widzieliśmy, zbudował nowe ule i powiększył stare.

— Mamy swoje wloty i upadki — ciągnął. — Zima była mroźna. Nie tak mroźna jak w Szkocji, ale przez kilka tygodni powietrze aż trzaskało, a pszczoły tego nie lubią. Oczywiście chroniłem je jak mogłem. Wiedzą o tym i są mi wdzięczne. Pszczoły bardziej odczuwają wdzięczność niż ludzie.

Zrobił herbatę i powiedział, że powinnam wyjść na zewnątrz i porozmawiać z pszczołami.

— Nie chcesz przecież, żeby pomyślały, że jesteś...

Uśmiechnęłam się lekko.

— Naprawdę sądzisz, że tak by pomyślały?

— One wiedzą. Ale byłoby im miło, gdybym zabrał cię do ogrodu. Wiedzą, że przyjechałaś. Wiedziały już wcześniej, bo im powiedziałem. Czasami myślę, że pszczoły dowiadują się takich rzeczy... szybciej niż ludzie. Lwie Serce też potrafi czasem przewidzieć, co się stanie.

Pies, słysząc swoje imię, pomachał ogonem. Leżał na dywaniku, patrząc na pana oczami pełnymi uwielbienia. Podeszedł kot i położył głowę na kolanie Jamiego.

— Och — powiedział Jamie — nie zapominajmy o Tygrysie. Tygrys jest mądry, prawda?

Tygrys miał lśniąca, czarną sierść i skośne, zielone oczy.

— Jaki niezwykły kot! — powiedziałam.

— Jest kimś więcej niż kotem, prawda, Tygrysie? Tygrys zjawił się u mnie pewnej nocy. Stał przed drzwiami... ale nie prosił, by go wpuścić. Tygrys nigdy nie prosi. Wtedy w jakimś sensie domagał się tego. Więc przyszedł i został. Skąd przybyłeś, Tygrysie? Nie powiesz mi, prawda?

— Zwierzęta i pszczoły dają dużo radości — zauważyłam.

— Są inne niż ludzie — odrzekł — i zawsze lepiej je rozumiałem. Znam je, a one znają mnie... i ufamy sobie nawzajem. Spójrz na Lwie Serce. Jego zdaniem nigdy się nie mylę. To dobry przyjaciel. Tygrys... no cóż, nie jest równie przewidywalny. To dla mnie zaszczyt, że chce mieszkać ze mną, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Tygrys też tak to widzi.

— A pszczoły?

— Są skrzyżowaniem tamtych dwojga. Żyjemy obok siebie. Robię dla nich, co mogę, a one dla mnie.

— Masz dobre życie, Jamie.

Nie odpowiedział. Jego spojrzenie stało się nieobecne, jakby widział coś innego niż domek i nawet zwierzęta.

— Byłoby dobre — szepnął — gdyby nie Donald. Zawsze się boję, że mnie odnajdzie.

— Twój brat bliźniak — powiedziałam, wspominając to, co wyznał mi przed kilku laty.

— Gdyby tu się zjawił, cały ten spokój... zniknąłby.

— Myślisz, że przyjedzie, Jamie?

Potrząsnął głową.

— Czasem przez kilka dni... tygodni... wcale o nim nie myślę. Czasem zapominam o nim na całe miesiące.

— Jesteś tu już bardzo długo, Jamie. Mało prawdopodobne, żeby zjawił się teraz.

— Ma pani rację, panno Caroline. Głupio robię, że się martwię. On się nie zjawi.

— A poza tym robisz wszystko tak, jak chcesz.

— W rzeczy samej. Panna Tressidor była dla mnie bardzo dobra... dała mi ten piękny domek i pozwoliła zająć się ogrodem.

— Jest dobra dla wszystkich ludzi w majątku.

— Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiła.

— Powiem jej. Ale sądzę, że wie. Naprawdę chcesz pokazać mi pszczoły?

— O tak. Musimy to zrobić.

Dał mi woal i rękawiczki, które włożyłam poprzednim razem, i poszliśmy do uli. Gdy pszczoły zaczęły latać wokół mojej twarzy, przestraszyłam się, choć wiedziałam, że jestem dobrze zabezpieczona. Ale po chwili strach minął.

— Oto ona — odezwał się Jamie. — Przyszła was odwiedzić. Panna Caroline. Bardzo się wami interesuje.

Zobaczyłam, że kilka pszczół siada na jego dłoniach i głowie. Jamie nie był ani trochę

zaniepokojony, i one także go się nie bały. Ufał im. A one go znały.

Kiedy wróciliśmy do domku, zdjęłam woal i rękawiczki.

— To wspaniałe — powiedziałam — jak one nas witają.

— Nie — odrzekł. — To naturalne.

— Można odnieść wrażenie, że wiodą bardzo radosny żywot. Nie borykają się z kłopotami, które dręczą nas, ludzi.

— Czasem pojawiają się problemy. Na przykład kiedy w ulu są dwie królowe.

— Nie mogą się zaprzyjaźnić? Jamie wybuchnął śmiechem.

— W ostatecznym rozrachunku są jak ludzie. Nie może być dwóch żon w jednym domu, prawda? Nie mogą dwie królowe rządzić jednym krajem.

— Co się wówczas dzieje?

— Walczą i jedna zabija drugą.

— Morderstwo! — powiedziałam. — W tej idealnej kolonii!

— Zazdrość jest straszliwą rzeczą. Gdy jest miejsce tylko dla jednej... silniejsza usuwa słabszą z drogi.

— Zniszczyłeś moje złudzenia.

— Prawda jest lepsza od złudzeń, panno Caroline.

— Więc pszczoły także nie są idealne. Czarny kot wskoczył mi na kolana.

— Tygrys lubi panienkę — zauważył Jamie.

Nie byłam tego pewna. Kot wbił we mnie spojrzenie swych zielonych, diabelskich oczu. Potem nagle się położył i zaczął mruścić.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza, zakłócana tylko tykaniem zegara.

Jak tu spokojnie, pomyślałam. Doskonały spokój. Nie, nie całkiem doskonały. Nie mogłam zapomnieć o królowych, które walczą na śmierć i życie. I o lęku Jamiego, że pewnego dnia odnajdzie go tu niedobry brat.

* * *

Dostałam od Olivii list, który poruszył mnie głęboko.

Droga Caroline.

Mam dla Ciebie wspaniałą wiadomość. Będę miała dziecko. To czyni moje szczęście pełnym. Wszystko układa mi się tak wspaniale, odkąd wyszłam za mąż. Jeremy jest taki cudowny. Dziecko będzie ukoronowaniem naszego szczęścia. Jeremy oczywiście pragnie syna. Przypuszczam, że z mężczyznami jest tak zawsze. Mnie to obojętne — chociaż chciałabym zadowolić Jeremy'ego. To się stanie naprawdę wkrótce. Nie mówiłam nikomu tak długo, jak tylko mogłam. Miałam to nierozsądne uczucie, którym zawsze napelniają mnie różne cudowne rzeczy: że coś się popsuje, jeśli będę zbyt dużo gadała. Więc zachowałam sekret. Rozwiązanie będzie pod koniec lipca.

Wiem, że podzielasz moją radość. Jak Ci się podoba rola cioci? Trudno nie wyobrazić sobie w niej Ciebie. Bardzo bym chciała Cię zobaczyć. Tęsknię za Tobą. Obiecuję, że zostaniesz matką chrzestną. Proszę, napisz szybko, że się zgadzasz.

Uwielbiam Twoje listy. Wszystko sobie wyobrażam. Może pewnego dnia przyjadę do Kornwalii. Na razie będzie trudno z powodu dziecka, ale Ty musisz przyjechać do mnie, Caroline. To długa podróż, tak bardzo jednak pragnę Cię zobaczyć.

Panna Bell wciąż mieszka z nami, oczywiście. Jest taka podekscytowana z powodu dziecka. Zyska nowego podopiecznego jako guwernantka. Obawiam się, że ostatnio miała wrażenie, iż jej posada przemieniła się w coś w rodzaju synekury, bo rzadko odwiedzałam szkolny pokój.

„Prowadzi” mnie, jak sama to określa. Jeremy jest nią ubawiony.

Pomyślisz o przyjeździe, prawda? Będziesz musiała pojawić się na chrzcinach. Matką chrzestną nie można zostać na odległość.

Pisz do mnie. Wyczekuję Twoich listów. Uwielbiam czytać o Landowerach, ludziach z majątku i oczywiście o cioci Mary oraz tym dziwnym człowieku od pszczół. Chciałabym zobaczyć Cię w woalu i w ogóle.

*Całuję Cię gorąco,
Twoja kochająca siostra, Olivia.*

Olivia matką! Nie mogłam uwierzyć. Poczułam w sercu ukłucie zazdrości. Nie napisała o tym wcześniej, bo nie była pewna mojej reakcji. Nie przyjechałam na ślub — wiedziała, dlaczego. Sama wrażliwa, zawsze myślała o innych i umiała postawić się w ich sytuacji. Była to jedna z najcenniejszych zalet mojej siostry.

A Jeremy był dobrym, kochającym mężem. Oczywiście, pomyślałam złośliwie. Przecież żyje w dostatku.

Droga Olivia! Wykorzystywał ją... jak chciał wykorzystać mnie... każdą kobietę, która zapewniłaby mu życie, o jakim marzył.

Byłam wolna i niezależna.

Pomyślałam o Jeremym — jego radości na wieść o dziecku. Pomyślałam o Paulu — i ogarnęło mnie straszliwe przygnębienie.

Rozdział 7

Wizyta w Londynie

Praca z ciocią Mary sprawiała, że czułam się coraz lepiej. Była zbyt przenikliwa, by nie dostrzec, że jestem w nastroju dalekim od pogody i beztroski, ale sądzę, że przypisywała to zdradzie Jeremiego, choć jednocześnie zdawała sobie sprawę z napięcia między mną a Paulem Landowerem. Była zbyt mądra, by mnie wypytywać, widziałam jednak, że stara się, abym odzyskała radość życia. Zostać porzuconą to oczywiście bolesny cios dla kobiecej ambicji. Takie doświadczenie musiało źle wpłynąć na mój stosunek do mężczyzn.

Wierzyła, że mnie uleczy, zwracając moje myśli w innym kierunku. Co do tego miała rację, bo rzeczywiście wszystko, czego się uczyłam, pochłonęło mnie niemal bez reszty. Wraz z ciocią i zarządcą Jimem Burrowsem siedzieliśmy nad rachunkami i wszelkie plany były omawiane w mojej obecności. Mówiłam niewiele, ale słuchałam chciwie. I rzeczywiście w czasie tych narad zapominałam o wszystkim, prócz omawianych kwestii.

Miałam też trochę rozrywki.

Ciocia Mary powiedziała kiedyś:

— Nigdy nie przepadałam za przyjęciami. W gruncie rzeczy unikałam ich jak mogłam, ale odkąd Landower ma nowego właściciela, sąsiedzkie spotkania stały się zbyt częste, by można całkiem się od nich wymigać.

Nie miałyśmy wielu sąsiadów, ale od czasu do czasu ktoś przyjeżdżał do Landower i wówczas odbywały się przyjęcia. Nie byłyśmy nigdy głównymi gośćmi, ale zawsze nas zapraszano. Gwennie uwielbiała te okazje. Jak sama mówiła, dawała Landower to, za czym od dawna tęsknił dom. Miałam wrażenie, że Paul nie podziela jej zadowolenia, lecz Jago lubił rozrywki.

— Gwennie za bardzo stara się dopasować do Landower, na tym polega jej problem — mówiła ciocia. — Nie zdaje sobie sprawy, że istotą dobrego urodzenia jest pewna nonszalancja. Chybia zupełnie, starając się zachowywać jak osoba z towarzystwa, prawdziwa arystokratka zaś wcale o tym nie myśli, tak jest to dla niej oczywiste. Biedna Gwennie, zastanawiam się, czy kiedykolwiek to zrozumie.

Ciocia Mary urządziła małe przyjęcia — rewanże, jak je nazywała.

— Mamy spokój do następnej uroczystości u Gwennie — cieszyła się potem.

Jednym z gości był doktor Ingleton, który przyjeżdżał z żoną i niezamężną córką w średnim wieku. Pojawiali się także pastor z żoną i szwagierką, mieszkający w Liskeard adwokat i jeden z dyrektorów tamtejszego banku — z rodzinami, oczywiście.

Zostałam dokooptowana do tego grona.

— Powinnaś poznać tych ludzi równie dobrze, jak mieszkańców posiadłości — tłumaczyła mi ciocia Mary.

Każdego dnia sugerowała, że będzie najlepiej, jeśli Kornwalia stanie się moim domem. Każdego dnia też zastanawiałam się, czy ma rację.

Unikałam Paula i miałam wrażenie, że on unika mnie. Uznałam, że oboje jesteśmy świadomi, iż musimy strzec się fascynacji, jaką nawzajem w sobie budzimy. Było to jak stłumienie ognia, który jednak nie zgaśł, lecz tlił się pod popiołami. Instynktownie wiedziałam — i on chyba także — że w każdej chwili stłumiony płomień może wystrzelić w górę.

Stosunki z Jagonem były o wiele łatwiejsze. Spotykaliśmy się często. Miał zwyczaj zjawiać się niespodziewanie, gdy jeździłam sama po okolicy, i oczywiście nigdy nie opuszczał przyjęć.

Nie mogłam nie cieszyć się z jego towarzystwa. Był zabawny, beztroski i przez cały czas

wesoło ze mną flirtował, co obojgu nam sprawiało przyjemność.

Miałam wrażenie, że nie zamierzał mnie uwieść, ale byłby zadowolony, gdyby mnie w sobie rozkochał. Jago był kolekcjonerem, jednym z tych mężczyzn, dla których miłosne przygody są czymś równie naturalnym jak oddychanie. Odnosił sukcesy, gdyż wiele kobiet nie umiało się oprzeć jego czarowi i pogodnej naturze.

Na żadnej nie zależało mu szczególnie — tego byłam pewna. Zwycięstwa przychodziły zbyt łatwo, by Jago naprawdę mógł się zaangażować. Rozumiałam, że jestem jedyną dziewczyną, która mu odmówiła. Inny mężczyzna w takiej sytuacji zrobiłby wszystko, by mnie zdobyć. Ale Jago był zbyt wygodny. Nie miał ochoty na przełamywanie trudności. Wszystko zawsze przychodziło mu bez kłopotu.

Byłam z tego zadowolona i dobrze się bawiłam. Musiałam przyznać, że towarzystwo Jagona naprawdę wprawiało mnie w optymistyczny nastrój. Jego stosunek do życia, jak mu powiedziałam, jest stosunkiem do życia motyla, który przelatuje z kwiatka na kwiatek, tańcząc w słonecznym blasku bez żadnej troski o przyszłość. Oświadczył, że nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że motyle mają do życia taki stosunek, jak opisałam.

Chętnie droczyłam się z nim beztrąsko.

— Pamiętasz, co przytrafiło się konikowi polnemu? — spytałam go pewnego dnia.

— Nigdy nie przepadałem za konikami polnymi i nie znam losu tego konkretnego delikwenta, który to los, jak wnoszę z tragicznej nuty w twoim głosie, ma być lekcją dla nas wszystkich.

— Jago, musisz znać bajkę La Fontaine'a.

— Nie znam nawet La Fontaine'a.

— Oczywiście, że znasz. Każdy zna. Konik polny śpiewał i tańczył przez całe lato, zamiast gromadzić zapasy na zimę. Gdy zrobiło się mroźno, chciał pożyczyć jedzenie od mrówki. „Co robiłeś latem?” — spytała. „Śpiewałem, tańczyłem i byłem bardzo szczęśliwy” — odparł. „No cóż, więc tańcz i teraz” — odpowiedziała mrówka.

— Nie widzę analogii. Kto jest tą mrówką? Bo rozumiem, że przydzieliłaś mi rolę konika polnego.

— Kiedy będziesz stary i siwy...

— Niech raczej szczenię! Nigdy nie będę stary. To nie leży w mojej naturze. Ufarbuję włosy, jeśli zajdzie taka konieczność. Ale nigdy nie będę stary i siwy.

— Pewnego dnia będziesz musiał się ustatkować.

— Co znaczy: ustatkować się?

— Życ poważnie.

— Jestem bardzo poważny. Jestem zdecydowany korzystać z życia. Traktuję ten cel bardzo poważnie.

Nie było możliwe rozmawiać z nim serio na jakikolwiek temat. To mi odpowiadało i dzięki temu towarzystwo Jagona wprawiało mnie w dobry humor.

Tygodnie mijały coraz szybciej.

Dużo myślałam o Olivii i często rozmawiałam o niej z ciotką Mary.

— Perspektywa narodzin dziecka zawsze budzi niepokój — powiedziałam. — Wyczuwam w jej listach pewne błaganie. Czuję, że powinnam być teraz przy niej.

— No cóż, jeśli tak myślisz, jedź do Londynu.

— Nie mogę się zdecydować. W pewnym sensie powinnam nienawidzić samej myśli o wyjeździe. Nie chcę widywać Jeremy'ego Brandona.

— To zrozumiałe. Może więc byłoby lepiej, abyś nie jechała. Ale nie wiesz, jak Olivia zareaguje na odmowę.

— Sądzę, że zrozumie.

— Pojedziesz na chrzciny?

— Tak, będę musiała. Przekonam się wówczas, czy naprawdę jest szczęśliwa.

Dni mijały, a ja z niecierpliwością czekałam na nowiny. Pod koniec lipca przyszedł list od Olivii, napisany dłonią drżącą, lecz niewątpliwie drżącą ze szczęścia.

Droga Caroline,

już po wszystkim. Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie. Mam dziecko, córeczkę. Spełniło się moje największe marzenie! Jeremy jest zachwycony. Zupełnie zapomniał, że na początku chciał syna. Malutka jest doskonała... najpiękniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek przyszło na świat.

Wybrałam już imię. Jeremy chciał dać jej moje, ale powiedziałam, że będzie zamieszanie z dwiema Oliviami. Więc poszliśmy na kompromis. Będzie się nazywać Livia. I oczywiście musi też nosić imię swej wspaniałej matki chrzestnej: Livia Caroline. Co o tym myślisz?

Nie wiedziałam, że świat może pomieścić tyle szczęścia. Pragnę Cię zobaczyć i pokazać Ci mój skarb. Chrzciny odbędą się pod koniec września.

Och, Caroline, nie mogę się doczekać, kiedy przyjedziesz!

Z niezmienną miłością.

Twoja siostra Olivia.

Poczułam ulgę na wieść, że moja siostra ma już poród za sobą. Olivia zawsze wydawała mi się taka delikatna. Myślałam wiele o niej i jej córeczce. Bardzo chciałam je zobaczyć. Zastanawiałam się, jak odczuję ponowne spotkanie z Jeremym. Byłam pewna, że zachowa się dyskretnie. Może nie będę musiała często go widywać.

Poszłam z wizytą do panny Gentle, która mieszkała w jednym z domków w posiadłości Landower i była krawcową. Zamówiłam u niej kilka pięknych, dziecięcych ubranek, aby zabrać je z sobą do Londynu. Przez następne tygodnie moje myśli były pochłonięte wyprawą, która napędzała mnie dziwną mieszaniną przyjemności i obawy.

Czyniłam przygotowania, czując w miarę upływu czasu coraz większy niepokój i zastanawiając się, co powiem, kiedy stanę twarzą w twarz z Jeremym. Zamierzałam okazać obojętność, ale nie wiedziałam, czy zdołam opanować urazę do niego.

Rano 28 września Joe zawiózł mnie bryczką na stację, a ciocia Mary pojechała ze mną. Zaprowadziła mnie do przedziału pierwszej klasy, ucałowała mocno i poprosiła, żebym nie zostawała z siostrą zbyt długo.

— Wkrótce wrócę — obiecałam.

Kiedy pociąg ruszył, stała na peronie, machając dłonią.

Usiadłam. Podróż pociągiem zawsze miała przypominać mi ten pierwszy raz, gdy siedząc naprzeciw panny Bell, poznałam Jagona i Paula Landowerów, którzy odegrali tak ważną rolę w moim życiu. Patrzyłam na krajobraz za oknem i byłam zadowolona, że mam przedział dla siebie.

Myślałam o tym, jak bardzo pociągi zmieniły się od czasu, gdy wsiadłam do jednego z nich po raz pierwszy. Wprowadzono korytarze i w niektórych wagonach można było przechodzić z jednego przedziału do drugiego, co stanowiło wielkie udogodnienie. Ogrzewacze stóp, używane wówczas, gdy podróżowałam z panną Bell, zostały zastąpione przez ciepłe rury pod podłogą.

Więc wszędzie nastąpiły wielkie zmiany w tak krótkim czasie.

Patrzyłam w jedno z okien, gdy usłyszałam skrzypnięcie drzwi prowadzących na korytarz. Odwróciłam się gwałtownie. Jakiś mężczyzna stał w progu przedziału. Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

— Dzień dobry pani — powiedział. — Czy zgodzi się pani dzielić ze mną ten przedział?

— Jago! Co ty tu robisz?

Roześmiał się beztrąsko. Wyglądał dokładnie jak chłopiec, który opowieścią o duchach próbował nastraszyć kandydatów na nabywców Landower.

— Jadę do Londynu — oznajmił, siadając naprzeciw mnie.

— Nie rozumiem.

— No cóż, pomyślałem, że skorzystam z okazji.

— Jago, naprawdę masz na myśli...

— Mam na myśli, że chciałem jechać do Londynu. A samotna podróż jest piekielnie nudna. O wiele mądrzej poszukać sobie miłego towarzystwa.

— Dlaczego nie powiedziałeś, że wybierasz się do Londynu?

— Pomyślałem, że sprawię ci miłą niespodziankę. Uwielbiam sprawiać niespodzianki... zwłaszcza tobie, Caroline. Jesteś tak rozsądna, taka mądra i wykształcona, że wspaniale jest zrobić coś, o czym sama nie pomyślałaś.

— Musiałeś wsiąść do pociągu jednocześnie ze mną, ale cię nie zauważyłam.

— Wśliznąłem się do wagonu podczas waszego czułego pożegnania, a potem, gdy patrzyłaś przez okno, zakradłem się do przedziału... najwcześniej, jak się dało, bo zdecydowałem nie odkładać miłej niespodzianki dłużej, niż to było konieczne. Więc oto jestem: twój towarzysz podróży. Cieszysz się?

— Jesteś taki zabawny — powiedziałam.

— Owszem. Czy to nie czarujące? Mam koszyk z pysznym lunchem.

— Gdzie?

— W przedziale, gdzie zająłem miejsce. Muszę go tu przynieść. Zostawię cię na kilka sekund. Po chwili wrócił z koszykiem.

— Powiedziałem, żeby przygotowano jedzenie *à deux* *.

— Więc wszystko zaplanowałaś.

— Każde przedsięwzięcie potrzebuje precyzyjnego planu, aby zakończyło się sukcesem.

— Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie mogłeś mi powiedzieć wcześniej.

— Nie sądzisz, że znalazłoby się mnóstwo przeszkód? Cnotliwa młoda dama podróżuje do Londynu z osobnikiem o reputacji tak zaszarganej jak moja?

— Z pewnością uznano by to za przeszkodę.

— No cóż, a tak nikt nie wie.

— Przypuszczam, że twoja rodzina wie, iż pojechałeś do Londynu.

— O nie. W głębi serca jestem dyplomata. Myślę, że pojechałem do Plymouth.

— Po co ta mistyfikacja?

— Ponieważ nie wiedziałem, jak wytłumaczyć im swoją nagłą tęsknotę za Londynem. Oczywiście ma ona bardzo konkretne źródło.

— Nie rozumiem, dlaczego tak ci zależy, żeby przebywać w Londynie razem ze mną. Nie będziemy się widywać. Chcę spędzić ten czas z siostrą.

— Złożę wam wizytę... jako przyjaciel rodziny.

— Jesteś niepoprawny.

— Wiem, ale takiego mnie lubisz.

Wybuchnęłam śmiechem, a Jago natychmiast mi zawtórował.

— Tak jest lepiej — powiedział. — Teraz wyglądasz jak młoda Caroline. Życie przydało ci trochę surowości. To ten kłamliwy narzeczonny?

— Co o tym wiesz?

— To, co wszyscy. Wyobrażałaś sobie, że taka smakowita historia, po prostu samo życie, nie

* Dla dwojga (przyp. red.).

dotrze do Lancarron? Nie ma lepszej poczty niż pantoflowa naszych służących. Podsluchują pod drzwiami, łowią nowiny, przekazują je kolegom po fachu — a po pewnym czasie także nam. Mogę cię zapewnić, że wiedzą, iż jestem okolicznym uwodzicielem, donżuanem, Casanową, czy jakie tam imię wybierzesz. To oznacza, że w oczach przedstawicielek twojej płci znajduję więcej przychylności niż większość mężczyzn — i oczywiście jest to sympatia odwzajemniona. Ludzie wiedzą, że przeżyłaś zawód miłosny i uważają, że przyjechałaś do Kornwalii, aby o tym zapomnieć. Wiedzą, że Paul ożenił się z Gwennie, aby ocalić dom, i że ani na chwilę nie przestaje tego żałować. Nie ma sensu wyobrażać sobie, że twoje życie jest zamkniętą księgą. Absolutnie. Jest księgą szeroko otwartą, napisaną wielkimi literami i obficie ilustrowaną, do której każdy może zajrzeć i przeczytać, co go interesuje.

— Zatem nikt z nas nie jest bezpieczny.

— Niestety nikt! Jediną obroną przed wszędobylstwem tej agencji detektywistycznej jest jej ignorowanie. Ostatecznie oni także mają swoje małe sekrety, swoje miłości, zerwania, *mesalliances*. Dzięki temu wszyscy jesteśmy ludźmi — identycznymi w gruncie rzeczy — bogacz w swoim zamku, biedak przy bramie. Dlatego tak lubią nas podglądać. A kto nie chce być ludzki? Myślę, że to bardzo przyjemny status. Lepiej być człowiekiem niż, dajmy na to, motylem czy konikiem polnym — choć niektórzy z nas zachowują się podobnie do tych lekkomyślnych owadów.

Znów wybuchnęłam śmiechem.

— Tak już lepiej — uznał Jago. — A teraz powiedz, co będziemy robić, kiedy dojedziemy do Londynu?

— Wiem, co ja będę robić. Pożegnaj się z tobą i pojedę do siostry. Będę z nią przez cały czas. Mam obowiązki jako matka chrzestna.

— Będiesz wspaniałą matką chrzestną, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

— Spróbuję spełnić swoją powinność wobec dziecka.

— Nie wątpię. Mam tylko nadzieję, że nie polubisz tego dziecka i londyńskiego życia tak bardzo, by nas porzucić. Nie chcę spędzić reszty życia na podróżach do Londynu.

— To by było kłopotliwe, jako że wszyscy przypuszczają, iż jesteś teraz w Plymouth. Gdzie się zatrzymasz?

— Znam pewien hotel w pobliżu domu twojej siostry. Widzisz, wszystko przewidziałem. Mieszkałem tam już wcześniej i chętnie znów tam się zatrzymam.

— Wiesz, że nie będę miała czasu widywać się z tobą.

— Wierzę, że twoja siostra jest czarującą młodą damą. Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam. — Jago wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie masz u niej żadnych szans!

— Szans? Sugerujesz, że będę próbował wywabić cnotliwą matronę z jej ciepłego gniazda?

— Myślę, że będziesz próbował uwieść każdą kobietę, która okaże ci choćby cień zainteresowania.

— Jeśli ma serce tak zimne jak jej młodsza siostra, nie stanowię dla niej niebezpieczeństwa.

— Ma gorące serce, ale ciebie ono nie ogrzeje.

— W takim razie muszę się skupić na roztopieniu lodu, który skuwa serce pięknej Caroline.

— Tracisz czas. Nigdy nie roztopi się dla ciebie.

— Czy to znaczy, że może tego dokonać ktoś inny?

— Wątpię, czy kiedykolwiek to nastąpi.

— Mógłbym się założyć.

— Wiemy, że nie narzekasz na brak wyzwań, więc zostawmy moje skute lodem serce w spokoju, zgoda?

— Zgoda. Spójrz. To most pana Brunela. Jesteśmy w Plymouth. Nie chcemy towarzystwa. Sprawiajmy wrażenie, że przedział jest już pełny.

Położył swoją torbę na jednym fotelu, a koszyk z jedzeniem na drugim i podszedł do okna.

— Mam nadzieję, że nie będziemy długo stali na tej stacji — powiedział.

Jacyś podróżni, mężczyzna i kobieta, stali przy drzwiach, zaglądając do przedziału.

— Przykro mi — odezwał się Jago z uroczym uśmiechem — ale wszystkie miejsca są zajęte. — Wskazał na przedmioty leżące na siedzeniach.

Kobieta skinęła głową i oboje poszli dalej. Dopiero kiedy pociąg opuścił stację, Jago zajął swoje miejsce.

— Nie sądziłam, że ci się uda — powiedziałam.

— Droga Caroline, zawsze osiągam cel, który sobie wyznaczę, nie wiesz o tym?

— Chyba jednak nie zawsze.

— Co masz na myśli?

— No cóż, pamiętam przynajmniej jedną porażkę. Próbowałeś odwieść Arkwrightów od kupna Landower, a efekt był przeciwny.

— To moja jedyna porażka. Ale dom wrócił w nasze ręce, prawda? A taki był mój główny cel. Bogowie mają własne plany.

— Jago także, mogłabym powiedzieć.

— Biedny Paul. Obawiam się, że chciałby cofnąć czas.

— Nie mogę w to uwierzyć. Chciał uratować dom i udało mu się to zrobić.

— Ale za jaką cenę!

— W życiu za wszystko trzeba płacić.

— On z pewnością zapłacił. Wiesz, czasem mam wrażenie, że jej nienawidzi.

— Powinien być jej wdzięczny.

— No cóż... w pewnym sensie tak. Szkoda, że zapłacił za to resztą swojego życia.

— Zgodził się na wymianę. Nie znoszę ludzi, którzy zawierają umowę i wycofują się, gdy trzeba wypełnić zobowiązanie.

— Nie bądź dla niego taka surowa. Robi, co może. Mieszka z Gwennie, prawda? Ożenił się z nią. To dobry człowiek, tylko trochę melancholijny. Ale bycie mężem Gwennie to solidny powód do melancholii. Miał kilkanaście lat, gdy spadł na niego cały ciężar rodzinnych długów. Musiał zastąpić naszego ojca, a wtedy jeszcze był chłopcem. Co za dziedzictwo! Nie możesz potępiać Paula. Robi, co może.

— To jego sprawa — odrzekłam.

— Niestety, mój biedny brat.

— Jestem pewna, że potrafi się o siebie zatroszczyć.

— Czasem ludzie, którzy wydają się najsilniejsi, są w rzeczywistości najbardziej wrażliwi. Biedny Paul ma sumienie!

— Mówisz, jakby należało nad tym ubolewać.

— A nie? Sumienie to prawdziwe przekleństwo. Odzywa się, kiedy człowiek najmniej ma ochotę na dyskusję. Dręczy i nęka, i naprawdę czyni życie trudnym do zniesienia.

— Rozumiem, że na tobie nie ciąży to przekleństwo... które niektórzy uważają za błogosławieństwo?

— Powiedzmy, że już dawno je uświadom.

— Więc teraz już nic ci nie przeszkadza?

— Każdy powinien postąpić tak samo ze swoim sumieniem.

— Jak wyglądałby ten świat, gdyby wszyscy byli tacy jak ty!

Jago wyciągnął nogi przed siebie i roześmiał się głośno.

— Jak by wyglądał! Byłby pełen uroczych, beztroskich, przystojnych, wesołych młodzieńców, pragnących jedynie mile spędzać czas i widzieć, że innym także jest przyjemnie.

— Utopia i nic więcej — uznałam.

— Powinnaś się do mnie przyłączyć. Odwróciłam się, by spojrzeć przez okno.

— Uważam, że pejzaż Devonu jest cudowny.

Nie mogłam się smucić, siedząc naprzeciw niego. Zdjął pokrywę koszyka i odpakował kanapki z szynką i kurczakiem, wyjął też butelkę białego wina. Mój lunch był równie apetyczny.

— Starczy dla obojga — powiedział.

— Myślę, że mamy więcej niż nam potrzeba.

— To zabawne, prawda, urządzić piknik w pociągu, słysząc stukot kół zamiast śpiewu ptaków. Co mówią? „Caroline, Caroline, Caroline, nie zostawaj w Londynie, Caroline. Jago cię potrzebuje. Jago cię potrzebuje”.

— Możesz włożyć im w „usta”, co tylko zechcesz.

— Człowiek słyszy, co chce usłyszeć. Dlatego to takie zabawne. — Nalegał, bym napiła się z nim wina i nalał je do szklanek, które wyjął z koszyka. — Za nas. Za Caroline i Jagona!

— Za nas.

— Powinno być chłodniejsze — uznał.

— Raczej trudno o to w pociągu. Ale mnie smakuje.

— Mówią, że głód to najlepsza przyprawa. Ja zaś bym powiedział: dobre towarzystwo.

— Sądzę, że masz rację.

Pociąg mknął, zbliżając się do celu. Podróż była już prawie za nami. Zamknęłam oczy i udawałam, że śpię. Czulałam, że Jago nie odrywa ode mnie wzroku.

Kiedy otworzyłam oczy, uśmiechnął się do mnie.

— Jak długo zostaniesz? — spytał.

— To zależy.

— Od czego?

— Od wielu rzeczy.

— Wydaje mi się, że jesteś niespokojna.

— No cóż... możliwe.

— Spotkasz się z kłamliwym narzeczonym, który teraz jest mężem twojej siostry. To będzie męka.

— Wiem.

— Jeśli będziesz potrzebowała pomocy, pamiętaj, że mocne ramię czeka, by udzielić ci wsparcia.

— Nie sądzę, żebym potrzebowała pomocy. On ma doskonale maniery. Będzie bardzo uprzejmy, jestem pewna. A ja pozostanę zimna i obojętna, jeśli tylko zdołam.

— Poradzisz sobie doskonale — odrzekł z szerokim uśmiechem. — Lecz nie powinnaś pozwolić, by cię zraniono.

— Tak jak kiedyś.

— No cóż, wszyscy miewamy chwile słabości.

— Nawet ty?

— Mówiłem o zwykłych śmiertelnikach. Życie toczy się dalej niezależnie od wszystkiego.

— Głębokie spostrzeżenie — zauważyłam z ironią.

— I bardzo prawdziwe. Weź przykład z księżniczki Marii, która niedawno straciła ukochanego.

Miał na myśli śmierć księcia Clarence’a, najstarszego syna Księcia Walii, który na początku roku umarł na zapalenie płuc, niedługo po zaręczynach z Marią Teck.

— Pomyśl tylko — ciągnął — straciła Eddy’ego, a teraz bierze sobie George’a. — Uniósł brwi

niemal nabożnie. — Oczywiście tym razem chodzi o prawdziwą miłość, bo tak naprawdę kochała George'a przez cały czas. Tak mówią.

Skinęłam głową.

— Bardzo mądrze, musisz przyznać. Zapomnij o tym, co stracone i sprawdź, czy to, co zostało, nie odpowiada twoim potrzebom.

— Doskonała filozofia.

— Wiesz, że to najkrótsza podróż, jaką kiedykolwiek odbyłem?

— Co za nonsens! Londyn jest o wiele dalej niż Plymouth, do którego zwykle jeździsz.

— Ta podróż jest najkrótsza, bo bardzo nie chcę, aby się skończyła. Pragnę pochwycić każdą złotą minutę i zatrzymać ją na zawsze.

— Poetycki nastrój naprawdę do ciebie nie pasuje, Jago.

— Nie w moim stylu, uważasz? Więc wyrażę to samo pospolitą, brzydką prozą: miło być z tobą.

— Pochylił się i ujął mnie pod ramię. — A ty czujesz to samo.

— Tak, Jago. Przyznaję. Dobrze się z tobą bawię. — Uśmiechnęłam się do niego.

— Tryumf! Pierwszy krok został zrobiony. Teraz będę robił szybkie postępy.

— W jakim kierunku?

— Na pewno nie wiesz?

— Nie umiem zgadnąć.

Roześmiał się i pochylił nade mną, ale odsunęłam się gwałtownie.

— Jeśli sądzisz, że wszystko potoczy się tak samo jak zwykle, to radzę ci się wycofać. Chyba nie chcemy popsuć tego miłego *tête à tête*, prawda?

— Masz rację — odpowiedział. — Będę cię dalej czarował słowami.

— Słowa nie ranią.

— Nonsens! Mogą być skuteczniejsze niż cios. Pióro jest mocniejsze niż szpada, i tak dalej.

— Może masz rację. Ale słowa nie mogą zastąpić czynów i dopóki człowiek o tym pamięta...

— Jesteś gotowa słuchać mego miodowego głosu...

— W tej chwili nie mam chyba wielkiego wyboru. Kontynuowaliśmy te przekomarzanki aż do Londynu.

Jago zajął się bagażami i wkrótce nasz powóz zatrzymał się przed domem, który tak długo uważałam za własny.

Wysiedliśmy. Jago zadzwonił do drzwi, które otworzyła nieznana mi służąca.

— Panna Caroline, prawda? — wykrzyknęła. — Proszę wejść. Jago uścisnął mi dłoń, skłonił się i odszedł, a ja zostałam zaprowadzona do Olivii.

Objęłyśmy się mocno. Obie byłyśmy głęboko wzruszone.

— Och, Caroline... nareszcie. To wspaniale.

— Droga Olivio! Jak pięknie wyglądasz!

— Trochę przytyłam, prawda?

— Trochę, ale wyglądasz ślicznie. Gdzie moja chrześniaczka?

— Wiedziałam, że będziesz chciała ją zobaczyć.

— Moge?

— Teraz? Nie pójdziesz najpierw do swojego pokoju? Musisz być zmęczona. Miałaś dobrą podróż?

— O tak... bardzo dobrą. Miałam miłego towarzysza od samego Lancarron.

— Och... kogo?

Zapomniałam, że opisałam jej w listach wszystkich swoich znajomych.

— Jagona Landowera.

— Och, naprawdę! Gdzie jest?

— Pojechał do hotelu.

— Mam nadzieję, że go poznam.

— Już on się o to postara.

— Och, Caroline... czy to nie cudownie, że znów jesteśmy razem! Jak się czujesz? Wyglądasz inaczej... wyszczuplałaś.

— W przeciwieństwie do ciebie.

— No cóż, to przez dziecko. Kobieta w ciąży przybiera na wadze. — Tak... a co z małą?

— Chodź... nie umiem wyrazić, jaka jest śliczna.

— Zrobiłaś to... już z tuzin razy.

Olivia wyglądała na szczęśliwą. Musi być dla niej dobry, pomyślałam. Przynajmniej uczynił ją szczęśliwą...

Poszliśmy do pokoju dzieciennego, gdzie ujrzałam znajomą twarz.

— Panna Bell!

— Witaj, Caroline. Bardzo się cieszę, że cię widzę.

— Czy zaczęła już pani przygotowywać lekcje dla Livii?

— Wiem dokładnie, od czego zacznę... kiedy tylko będzie gotowa.

Olivia roześmiała się i powiedziała:

— Panna Bell nie może się doczekać, kiedy Livia osiągnie wiek szkolny. Gdzie jest niania Loman? Och, tutaj. Nianiu, to moja siostra, słyszałaś o niej. Właśnie przyjechała i chciała przede wszystkim zobaczyć Livię.

Małeńka leżała w kołysce, schowana za grubą zasłoną z bladoniebieskiego jedwabiu. Wyobraziłam sobie, że Livia jest podobna do Jeremy'ego.

— Obudziła się — powiedziała niania.

— Mogę ją wziąć? — spytała Olivia.

Zamiast odpowiedzi niania Loman wyjęła dziecko z kołyski i pokazała mi je. Dziewczynka otworzyła oczy i spojrzała na mnie z ciekawością. Poczulałam dreszcz przyjemności. Wyciągnęłam dłoń i dotknęłam miękkiego policzka. Livia nadal nie odrywała ode mnie wzroku. Wzięłam jej małą rączkę i oglądałam ze wzruszeniem drobne paluszki z miniaturowymi paznokietkami. Paluszki zacisnęły się na mojej dłoni.

— Polubiła cię, Caroline — powiedziała Olivia.

— Lubi być brana na ręce, to wszystko — odrzekła niania trzeźwo.

— Siadaj — powiedziała do mnie Olivia, a gdy to zrobiłam, dziecko znalazło się w moich ramionach.

Spojrzałam na moją siostrę. Tak, jej twarz wyrażała doskonale szczęście. Nie było wątpliwości.

Potem poszliśmy do mojej sypialni.

— Twój dawny pokój — odezwała się Olivia. — Pomyślałam, że będziesz zadowolona.

Rozejrzałam się wokół.

— To takie dziwne, być tu znowu — powiedziałam.

Olivia rzuciła mi się w ramiona.

— Och, Caroline, tak bardzo się martwiłam... o wszystko.

— Czy coś jest nie w porządku?

— Dla mnie... wszystko doskonale. Ale nie było w porządku, kiedy musiałaś cierpieć po tym... często o tobie myślałam. Bo dzięki temu ja mogę być doskonale szczęśliwa.

— Musisz pozostać doskonale szczęśliwa, Olivio. Tego właśnie pragnę. Ja czuję się świetnie. W Kornwalii jest wspaniale, opowiem ci o wszystkim. Będziemy rozmawiać bez końca.

— O tak, Caroline. To wspaniale mieć cię znów przy sobie.

* * *

Jeremy nie zjawił się tego wieczoru.

— Wróci późno — wyjaśniła Olivia. — Czasem wyjeżdża... w interesach. Spotkasz się z nim jutro.

Poczułam ulgę. Nie zobaczę go jeszcze przez kilka godzin. Nie byłam pewna, jakie emocje wywoła we mnie to spotkanie. Ale moja niechęć do niego zaczynała słabnąć, gdyż uczynił Olivię szczęśliwą.

Zjadłyśmy razem obiad, pogrążone w rozmowie.

— Mamy tyle do nadrobienia — mówiła Olivia. — Listy są wspaniałe, a twoje przynoszą mnie do miejsc i pomiędzy ludzi, których opisujesz. Widzę dokładnie oba domy w Kornwalii. Ale przecież to nie to samo co pogawędka, prawda?

— Nie. Wspaniałe być znowu razem.

— Nie musimy rozstawać się na tak długo.

— Nie. Lecz żadna z nas nie mogła przyjechać do drugiej. No i moja wizyta u matki znacznie się przedłużyła.

— O tak. Czy to nie wspaniałe, że znalazła tego mężczyznę... Alfonse'a?

— Pozostała nadal bardzo piękna. On zaś jest bardzo z niej dumny.

— Uważałyśmy, że nie jest całkiem realna, pamiętasz? Przychodziła do dziecinnego pokoju... aby nas zobaczyć...

— Aby się nam pokazać — poprawiłam.

Olivia nie zauważyła zjadliwości w moim głosie. Zdałam sobie sprawę, że gdy ja jestem pełna goryczy, moja siostra pozostała tą samą, prostą, dobrą istotą, przypisującą każdemu własne zalety. Co wiedziała o świecie? A może lepiej nie wiedzieć i trwać w błogosławionej nieświadomości, patrząc na wszystko przez przysłowiowe różowe okulary? Może kiedy patrzysz na świat w ten sposób, staje się on dla ciebie taki, za jaki go uważasz?

— Panna Bell wcale się nie zmieniła — powiedziałam.

— No cóż, przez jakiś czas była niespokojna. Myślała, że będzie musiała odejść. A potem została. Chciałam, żeby mi pomogła, a ciotka Imogena ma o niej dobre zdanie.

— Ciotka Imogena nadal sprawuje tu władzę?

— Niezupełnie... jestem teraz mężatką. Uwielbia Jeremy'ego. Była zachwycona, gdy oznajmiłam, że się pobieramy. Ale wciąż, jak to mówią, ma mnie na oku. Jeremy śmieje się z tego, lecz ich stosunki są doskonałe.

— Więc panna Bell jest w swoim żywiole.

— Była dla nas taka dobra.

— Dobra dla nas... może. Niewątpliwie trzymała mnie w ryzach. Ty zawsze byłaś doskonałą wychowanką, Olivio.

— Och, nie. To ty jesteś inteligentna. Tacy właśnie powinni być wychowankowie, aby stać się dumą swoich nauczycieli.

— Powinni być dobrze wychowani, łagodni... i dobrzy... a ty właśnie taka jesteś.

— Śmiejesz się ze mnie.

— Nigdy nie będę śmiała się z ciebie, droga Olivio. Uśmiecham się do ciebie.

— Rozumiem różnicę. Och... muszę ci powiedzieć. Pamiętasz Rosie Rundall... czy też Rosie Russell, bo obecnie nosi takie nazwisko?

— Tak, pamiętam.

— Jest teraz bogatą kobietą. Ma sklep z kapeluszami. Napisała do mnie, prosząc o patronat, i oczywiście wyraziłam zgodę. Wcale się nie zmieniła... Rosie, którą znałyśmy, tylko teraz jest

bardzo znaną osobą. Siedzi w czymś w rodzaju salonu na tyłach swego sklepu... nie, nie powinnam nazywać tego sklepem... To pracownia. Sprzedaje bogatym damom najbardziej fantastyczne kapelusze. I każdy kapelusz musi dziś być od „Rose”. Na wyścigach... przyjęciach... wszędzie... zobaczysz kapelusze naszej Rosie.

— Tak się cieszę. Była nam bardzo pomocna, prawda?

— O tak. Z wyjątkiem jednego razu. Pamiętasz, jak miała otworzyć ci tylne drzwi? Kiedy przebrałaś się za Kleopatę?

— Pamiętam.

Przypomniałam sobie ów wieczór, gdy poznałam Jeremy’ego. Rupert Reński... ekscytacja... wszystko wracało. Zbyt wiele wspomnień żyło w tym domu. Olivia zbyt wiele pamiętała.

— Zniknęła niespodziewanie — powiedziała moja siostra. — Musiała odejść... interesy czy coś takiego. Musiała nas opuścić i nie starczyło jej czasu na wyjaśnienia. Tak czy inaczej, muszę powiedzieć, że teraz jest wielką damą. Zdaje mi się, że ma więcej niż jeden sklep... zakład.

— Jest bardzo mądrą kobietą. Wyszła za męża?

— Nie. Przynajmniej nic o tym nie wiem. Musisz ją odwiedzić, skoro już przyjechałaś do Londynu. Poszłam tam przed narodzinami Livii i zaprosiłam Rosie na chrzciny. Była bardzo zainteresowana i powiedziała, że ma nadzieję spotkać się z tobą.

— Z pewnością odwiedzę Rosie.

— Ustalimy to.

Nie mogłyśmy się nagadać. Żałowałam, że jestem tak niespokojna, ale przygotowywałam się psychicznie do spotkania z Jeremym, które było coraz bliżej.

Nie spałam dobrze tamtej nocy. Zbyt wiele obrazów z przeszłości tłoczyło się w moim umyśle. Nie mogło być inaczej w tym domu, gdzie tak wiele się zdarzyło. Myślałam o Jagonie, niewątpliwie śpiącym spokojnie w hotelowym łóżku, i o Olivii, którą kokon szczęścia chronił przed przykrościami tego świata. Zastanawiałam się, co czuje Jeremy przed spotkaniem ze mną i próbowałam zapanować nad myślami, które, jak zwykle, krążyły wokół Paula. Jak to jest: mieszkać z Gwennie, próbując stworzyć prawdziwe małżeństwo z tego, co wydawało się jego parodią?

Jak sobie pościelesz, tak się wypisz. Olivia miała łożo puchowe, a Paul nabite gwoździemi.

Ja nie posłałam sobie jeszcze żadnego. Jakie będzie?

* * *

Następnego ranka ubierałam się akurat, gdy Olivia weszła do mojej sypialni.

— Nie mogłam się doczekać, aż zejdziesz. Dobrze spałaś? Jest tak jak dawniej. Śniadanie od ósmej do dziewiątej. Bierzesz jedzenie z kredensu. Pamiętasz?

— Tak, tylko że najczęściej jadałyśmy w pokoju dzieciennym.

— Jeremy przyjechał późnym wieczorem, kiedy poszłaś do sypialni. Zadawał mnóstwo pytań na twój temat. Powiedziałam mu, że czujesz się wspaniale i uwielbiasz Kornwalię. Był bardzo zadowolony.

— Jak to miło z jego strony — odrzekłam, a moja siostra znów nie zauważyła ironii.

— Bardzo się o ciebie troszczy, Caroline. Niepokoił się nawet. Czasem o tym myślę. Widzisz, gdybyś wyszła za niego za męża... co może powinno było się stać...

— Co za nonsens! Możesz być pewna, że niczego nie żałuję. Z mojego punktu widzenia wszystko ułożyło się jak najlepiej.

— Naprawdę tak myślisz?

— Naprawdę.

— Bardzo się cieszę. Martwiłam się bardzo o ciebie.

Dotknęłam jej czoła.

— Nie chcę widzieć tutaj żadnych fałdek. Musisz być szczęśliwa. Masz dokładnie to, czego potrzebujesz. Wszystko... i jeszcze Livię.

— Ale chcę, żebyś także była szczęśliwa. Czy jest... ktoś?

— Kłopot z kobietami zameźnymi jest taki, że chciałyby widzieć wszystkich we własnym położeniu.

— Nie położeniu, Caroline. W stanie szczęścia.

— Tak ty się czujesz i jestem zachwycona. Powinnaś czuwać nad Livią, bo podbiła moje serce i może zapragnę zabrać ją ze sobą do Kornwalii... porwę ją, gdy odwrócisz głowę.

— Och, Caroline, tak się cieszę, że ją polubiłaś!

Zjadłyśmy razem śniadanie, a kiedy wstawaliśmy od stołu, do pokoju wszedł Jeremy.

Wydawał się całkiem swobodny, więc próbowałam zachowywać się tak samo, ale czułam ogarniającą mnie złość. Żałowałam, że nie mogę zapomnieć o nocy na balu, wszystkich naszych spotkaniach... i tym okrutnym liście.

Był szczupły i przystojny.

— Dobrze wyglądasz, Jeremy — powitałam go. — Wszystko to... — machnęłam ręką — dobrze na ciebie wpływa.

— Jesteśmy szczęśliwi, prawda, Olivio?

Uśmiechnęła się do niego. Odgadłam, że jej uczucia są zbyt silne, by dały się wyrazić słowami, i pomyślałam, że jest dla niego o wiele za dobra. A jednak go kocha, a on czyni ją szczęśliwą. Musiałam mu to przyznać.

— Olivia była przekonana, że powinnaś zostać matką chrzestną — powiedział.

— Ty też chciałaś Caroline.

— Wiedziałem, że Caroline będzie doskonałą matką chrzestną.

— Miło, że masz o mnie tak dobre zdanie.

— Mam nadzieję, że zostaniesz z nami przez pewien czas, a nie uciekniesz zaraz po chrzcinach.

Pomyślałam, że nie mogę zostać tu zbyt długo, bo powiem mu coś gorzkiego. Powiem mu, co o nim myślę. Muszę wyjechać jak najszybciej.

— Uczę się zarządzania majątkiem w Kornwalii — oznajmiłam. — To bardzo interesujące. Nie mogę zostać w Londynie zbyt długo.

— Musimy nalegać, aby wkrótce znów przyjechała, Jeremy.

— W rzeczy samej, kochanie.

— Już uwielbia Livię.

— A czy ktoś mógłby nie uwielbiać Livii? — zapytałam. — Livia jest godna uwielbienia, to wszystko.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, po czym Jeremy, który wbrew pozorom czuł się równie skrępowany jak ja, oświadczył, że musi wyjść. Miał do załatwienia jakąś sprawę.

Kiedy zniknął, Olivia zapytała, na co mam ochotę, a ja odrzekłam, że chciałabym odwiedzić Rosie.

— Ależ oczywiście.

— Nie kupię jednak u niej kapelusza. Nie mam pojęcia, co bym robiła z takim modnym cudem w Lancarron.

— Rosie nie oczekuje, że kupisz jej kapelusz. Będzie zachwycona, że może z tobą porozmawiać. Ale ściśle rzecz biorąc, chcę sprawić ci kapelusz... na chrzciny. Prezent. Wiesz, że zawsze lubiłam niespodzianki.

— Och, Olivio... nie!

— Ależ proszę cię, tak. Dlaczego nie mogę dać ci prezentu? Bardzo tego pragnę.

— Wiem — odpowiedziałam. — To taka uroczysta okazja, że po prostu wstydziłabyś się za mnie.

— Co to ma do rzeczy? Proszę, Caroline, sprawisz mi wielką przyjemność.

Rozległo się pukanie i jedna ze służących weszła do pokoju. Oznajmiła, że jakiś dżentelmen pyta o pannę Tressidor.

Domyśliłam się, kim jest ów dżentelmen. Służąca przyprowadziła go do salonu.

— To pan Jago Landower — przedstawiłam go mojej siostrze.

— A to jest boska Olivia. Dużo o pani słyszałem.

— A ja słyszałam wiele o panu — odrzekła Olivia.

— Mam nadzieję, że pani siostra mnie nie oczerniła.

— Myślę, że namalowałam całkiem wierny wizerunek — powiedziałam.

— Och, naprawdę? W takim razie jestem głęboko zaniepokojony.

Olivia się roześmiała. Powierzchność i wesołe maniere Jagona najwyraźniej wzbudziły jej sympatię.

— Pisała, że jest pan bardzo przystojny.

— I przemilczała moje występki. Caroline, źle cię oceniłem.

— Nie powinnaś traktować zbyt poważnie jego gadaniny — powiedziałam do siostry. — Zawsze tak pape.

— Ufam, że moja paplanina nie uraziła pani Olivii?

— Podoba mi się — odrzekła.

— A gdzie jest błogosławione niemowlę?

— Wszystkie niemowlęta, błogosławione czy nie, o tej porze znajdują się w dzieciennym pokoju — oświadczyłam.

— Miałem nadzieję, że będę mógł rzucić okiem.

Posłałam mu rozdrażnione spojrzenie, wiedząc, że ani trochę nie interesuje go dziecko, lecz stara się jedynie pozyskać sobie moją siostrę.

— Och, skoro naprawdę chciałby pan... — zaczęła mówić.

— Jeśli opuszczę ten dom, nie zobaczywszy cudownego niemowlęcia, uznam, że los wystrychnął mnie na dudka.

— Chodźmy — powiedziała Olivia i ruszyła do pokoju dzieciennego.

— Jesteś śmieszny — warknęłam do Jagona.

— Wiem — odszepnął. — Ale jaki czarujący!

Weszliśmy do pokoju dzieciennego i nasz gość świetnie się bawił, udając wielki zachwyty. Wziął nawet dziecko na ręce, a Livia wydawała się zadowolona.

— Widzicie, że zdobyłem jej sympatię — powiedział. — Jest już świadoma męskiego wdzięku.

Olivia uznała, że Jago jest bardzo zabawny. Kiedy wyszliśmy z pokoju dzieciennego, oznajmiłam:

— Wychodzimy.

— Pozwólcie, drogie panie, bym wam towarzyszył.

— Zamówiłam dorożkę — odezwała się Olivia.

— A zatem mogę się do was przyłączyć?

— Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności — odrzekła — lecz jedziemy do modystki.

— Zamówić kapelusza na ceremonię? Moja pomoc będzie nieoceniona. Jestem znawcą kobiecych kapeluszy!

— To kapelusz dla Caroline.

— Doskonale, chodźmy więc!

— Przypuszczam, że Rosie robi kapelusze na zamówienie. A my nie mamy dość czasu przed chrzcinami.

— Och, na pewno będzie miała coś gotowego. Rzeczywiście robi kapelusze na zamówienie, lecz ma też spory zapas w pracowni i jestem przekonana, że bez trudu wybierzemy coś dla ciebie.

— Ale zabawa! — zawołał Jago. — Cudowny sposób spędzenia poranka.

— Może pan coś przekąsi, zanim wyjdziemy, panie...

— Proszę mi mówić: Jago, a ja będę nazywał panią Olivią. Ostatecznie nie jesteśmy sobie obcy, prawda? Poznaliśmy się za pośrednictwem naszej drogiej Caroline. Czuję się, jakbym znał cię od dawna.

— Wspaniale cię widzieć — odpowiedziała Olivia gorąco. — Zawsze chciałam poznać osoby, które Caroline opisywała w swoich listach. Jesteś niemal dokładnie taki, jakim sobie ciebie wyobraziłam.

— Ale nie całkiem. Więc lepszy czy gorszy?

— Jesteś znacznie przystojniejszy i zabawniejszy.

— Och, Caroline, więc jednak przedstawiłaś mnie fałszywie.

— Nie znasz go jeszcze, Olivio.

— Twoja siostra ma ostry język.

— Zawsze umiała... odpalić, tak to się mówi, prawda? Ja nie jestem dość inteligentna.

— „Bądź dobrą, słodką dziewczyną i zostaw innym spryt”. Droga Caroline tłoczy we mnie swoją erudycję... bo moja własna, muszę wyznać, jest dosyć uboga.

— Olivia proponowała ci przekąskę — przerwałam mu. — My właśnie zjadłyśmy śniadanie.

— No cóż, ja także. Jedźmy zatem wybierać kapelusz. Płonę z niecierpliwości.

Moja siostra wyglądała bardzo ładnie w niebieskiej sukience i takimż kapeluszu. Trochę matronowato, to prawda, ale jak stylowo! Szczęście odmieniło ją, dało jej nawet odrobinę tej pewności siebie, której kiedyś nie posiadała ani trochę. Zaskoczyło mnie, że mężczyzna taki jak Jeremy potrafił dać żonie poczucie bezpieczeństwa. Zastanawiałam się, czy Olivia działa mu na nerwy, jak Gwennie Paulowi. Była jednak całkiem inną kobietą niż tamta. Nie miała w sobie ani odrobinę owego poczucia własnej wartości, które tak bardzo drażni mężczyzn. Z moich obserwacji wynikało, że mężczyźni lubią czuć się lepsi od swych partnerek. Przez ten krótki czas, który spędziłam z Olivią i Jeremym, zorientowałam się, że była mu całkiem podporządkowana, chociaż zawdzięczał jej pieniądze i dostatnie życie. Z Gwennie było inaczej. Nieustannie przypominała mężowi, że mieszka w posiadłości swoich przodków wyłącznie dzięki jej dobrej woli.

Zatrzymaliśmy się przed pracownią Rosie. Jakiś mężczyzna w liberii otworzył drzwi i wprowadził nas do środka. Kobieta ubrana w czerń i biel podeszła do nas szybkim krokiem.

— Och, pani Brandon, dzień dobry pani!

— Dzień dobry, Ethel — odrzekła Olivia. — Szukamy kapelusza dla mojej siostry, panny Tressidor.

Ethel klasnęła w dłonie i spojrzała na mnie z zachwytem, jakby wybranie mi kapelusza było marzeniem jej życia.

— Ale najpierw — powiedziała moja siostra — chciałybyśmy zobaczyć się z panią Russell.

— Proszę za mną — odezwała się Ethel. — Powiem pani. Dżentelmen wejdzie z paniami?

— O tak, panno Ethel. Pragnie być przy tym obecny — odrzekł Jago, szacując wytrawnym spojrzeniem młodzieńcze wdzięki naszej przewodniczki.

Zauważyłam wyrachowanie w jego oczach. Ethel także. Niewątpliwie była przyzwyczajona do takich spojrzeń mężczyzn, których żony nieopatrznie zabrały tu ze sobą. Strzepnęła spódnicę i powiodła nas do małego, elegancko umeblowanego saloniku. Zastłony i dywan były w kolorze lazurowym, ze złotymi smugami.

Kiedy Ethel wyszła, szepnęłam do Olivii:

— Tylko pomyśl! Wszystko to należy do Rosie.

— Rosie jest bardzo mądra — odrzekła moja siostra.

— Kto jest główną kapłanką tej świątyni? — spytał Jago.

— Rosie, która zawojowała wielki świat.

Ethel wróciła i poprosiła, byśmy za nią poszli. Zaprowadziła nas do pokoju o równie pięknym, bogatym wystroju. Zauważyłam, że tonacja złoto — błękitna króluje w całym zakładzie.

Kiedy weszliśmy, zza biurka wstała jakaś kobieta. Była wysoka i bardzo szczupła, ubrana na czarno. Miała włosy upięte na czubku głowy i buty na wysokich obcasach, co dodawało jej elegancji i wzrostu. Ale w oczach jej płonęły te same co niegdyś, złośliwe iskielki.

— A niech mnie — wykrzyknęła — jeśli to nie panna Caroline! Podeszłam do niej i ulegając impulsowi uściśnęłam ją serdecznie.

— Och, Rosie — powiedziałam — z trudem cię poznaję wśród tych wszystkich luksusów.

— Jestem tą samą, dawną Rosie. No, może nie całkiem tą samą... trochę starszą i mądrzejszą. Tak być powinno, prawda? A ten dzentelmen?

— Pan Jago Landower. Przyjechał z Kornwalii.

— Dziękuję, że zechciała pani wpuścić mnie do tego świętego przybytku. — Skłonił się jej.

— Podoba mi się to — odrzekła. — Święty przybytek, co? Szkoda, że sama tego nie wymyśliłam.

— Uważa, że pomoże mi wybrać kapelusz — wyjaśniłam.

— Na chrzciny? — spytała Rosie.

Skinęłam głową.

— Mam coś odpowiedniego.

— Wiedziałam, że będziesz miała! — wykrzyknęła Olivia. — Czy to nie wspaniale widzieć ją tutaj, Rosie?

— To wielka przyjemność.

— Jaka wspaniała pracownia — odezwał się Jago. — Szkoda, że nie mogę nosić tych wspaniałych kapeluszy z bujnymi piórami.

— Musiałbyś cofnąć się o parę stuleci — powiedziałam do niego. — Myślę, że dobrze byś w nich wyglądał.

— Oczywiście, że tak. Jaki nudny jest nasz wiek! W kwestii męskich strojów, oczywiście.

— Nigdy bym nie przypuściła, że może pan być znudzony resztą, panie Landower — odrzekła Rosie. — Tak czy inaczej, posłałam po szampana. To wielka okazja. Jak dawno widziałam panią ostatnio, panno Caroline?

— Spory szmat czasu.

— A teraz przyjechała panienka do Londynu na chrzciny. Śliczne dzieciątko, prawda? A pani będzie dumną matką chrzestną.

— Tak. Cieszę się i jestem dumna.

— To oczywiście, że chciałam Caroline na matkę chrzestną mojego dziecka — odezwała się Olivia.

Przyniesiono szampana. Rosie poprosiła Jago, by otworzył butelkę, a on spełnił jej prośbę i podał nam pełne kieliszki z oczami błyszczącymi radością. Najwyraźniej dobrze się bawił.

— Mam nadzieję, że podróż się opłaciła — szepnęłam do niego.

— Całkowicie — odrzekł. — Dziękuję, że pozwoliłaś mi jechać z wami.

— Nie pozwoliłam, sam się wprosiłeś.

— A jednak muszę być na chrzcinach. Poprosiłem już Oliwię o pozwolenie.

— I zostało ci udzielone?

— Z entuzjazmem.

Rosie wzięła sprawę kapelusza w swoje fachowe ręce. Usiadłam przed lustrem, po czym przyniesiono kilka, które musiałam przymierzyć. Chciała wiedzieć, jak będę ubrana. Zamierzałam włożyć tę samą sukienkę, którą miałam na ślubie mamy i podczas wizyty w Landower. Kremowa, wyjaśniłam, ze szmaragdową broszką, którą dostałam od matki.

Rosie zawyrokowała, że kapelusz musi być szmaragdowozielony. Był naprawdę wspaniały i wszyscy przyznali, że wyglądam w nim cudownie. Miał wielkie, zielono — kremowe strusie pióro, które muskało moje brwi.

— Doskonale! — wykrzyknął Jago.

— Tak — zgodziła się Rosie. — Dokładnie to, czego potrzeba.

Chciała dać mi kapelusz w prezencie, ale Olivia nalegała, że zapłaci. Kiedy zobaczyłam cenę, ogarnęło mnie przerażenie. Zdecydowanie byłam zbyt uboga, by robić zakupy u naszej dawnej pokojówki.

Powiedziałam, że zapłacę za kapelusz z własnych pieniędzy, chociaż oznaczało to dla mnie kilkumiesięczne zaciskanie pasa. Moja siostra jednak nie ustąpiła i musiałam w końcu skapitulować. Powiedziała, że chce zrobić mi prezent i będzie bardzo urażona, jeśli nie przyjmę kapelusza, który wydawał się wprost idealny dla mnie.

Zanim wyszłyśmy, zamieniłam z Rosie kilka słów na osobności.

— Chciałabym porozmawiać z panienką... wkrótce — powiedziała.

— Och... o czym?

— Dowie się panienka... może panienka przyjść sama?

— Coś się stało? Wzruszyła tylko ramionami.

— Chciałam porozmawiać... to wszystko — odrzekła zagadkowo. Obiecałam, że odwiedzę ją znowu przed powrotem do Kornwalii i wróciliśmy do domu.

Olivia spytała Jagona, czy zostanie na lunchu, i oczywiście zgodził się z entuzjazmem.

Dwa dni później odbyły się chrzciny. Była to piękna i wzruszająca ceremonia. Ciotka Imogena brała w niej oczywiście udział i traktowała mnie całkiem życzliwie, choć nieco wyniośle. Czuję spoczywającą na mnie odpowiedzialność. To dziecko miało być moją chrzestną córką.

Byłam tak dumna, że zapomniałam o rozsądku i wydałam znaczną sumę na srebrny kubeczek, na którym kazałam wygrawerować inicjały malutkiej.

Spędzałam dużo czasu w pokoju dzieciennym. Miałam wrażenie, że dla niani Loman moje wizyty stanowią utrapienie, ale znosiła je cierpliwie, wiedząc, że wkrótce opuścę Londyn. Za to Olivia była zachwycona, że tak bardzo interesuję się dzieckiem.

— Nie masz pojęcia, jak się cieszę — powiedziała. — Teraz czuję się bezpieczniejsza. Jeśli coś mi się stanie, zaopiekujesz się Livią.

— Co masz na myśli... co ma się stać?

— No cóż, gdyby mnie zabrakło.

— Gdybyś umarła?

— Tak, właśnie to.

— Droga Olivio, spójrz na siebie! Nigdy nie wyglądałaś lepiej, małżeństwo ci służy... mąż nie widzi świata za tobą, a twoja córeczka jest wcieleniem doskonałości... O czym ty mówisz?

— Wiem, że mam wszystko... Tak tylko pomyślałam.

— Jakie to do ciebie podobne, Olivio. Zawsze uważałaś, że dobre rzeczy muszą szybko przeminąć. Myślałam, że wyzbyłaś się już takich obaw.

— Owszem. Życie jest dobre. Ale myślałam... dajmy spokój. Zapomnij o tym, co powiedziałam.

Ucałowałam ją.

— Wizyta u ciebie wiele mi dała, Olivio. Twoje sprawy ułożyły się pomyślnie, zasługujesz na szczęście, które cię spotkało.

— Pragnę, żebyś ty także była szczęśliwa, Caroline — odrzekła z powagą. — Jago jest bardzo przystojny. I myślę, że cię lubi.

— Owszem... jak wszystkie przedstawicielki mojej płci, byle młode i niebrzydkie.

— Jesteś cyniczna.

— Mam powody.

— Twój czas nadejdzie.

Poklepałam ją po dłoni. Pomyślałam, że nasza rozmowa zmierza w niewłaściwym kierunku.

— Wkrótce będę musiała wyjechać — powiedziałam.

— Zostań — poprosiła.

Odrzekłam, że zostanę jeszcze kilka dni.

* * *

Poszłam do Rosie. Pragnęłam dotrzymać słowa. Ethel mnie poznała i zaprowadziła od razu do pokoju madame.

Rosie powitała mnie gorąco, wskazała fotel i posłała po wino. Gawędziłyśmy wesoło przez dłuższą chwilę, zanim wreszcie zdradziła powód, dla którego chciała się ze mną zobaczyć.

Uczyniła duży postęp od naszej ostatniej rozmowy i obecnie nie musiała już się martwić o sprawy materialne. Poprzednio opowiedziała mi, jak Robert Tressidor pomógł jej — niezupełnie z własnej woli — w osiągnięciu niezależności. Ale to nie wystarczało ani Rosie Rundall, ani Rosie Russell. Zyskała sobie kilku wpływowych przyjaciół, którzy zainwestowali jej pieniądze. Dżentelmeni ci znali się na rzeczy, dzięki czemu kapitał Rosie wzrósł kilkakrotnie. Związała się z pewnym mężczyzną, który udzielał jej rad i pomógł w założeniu sklepu.

— Ale chciałam być samodzielna — powiedziała. — Pragnęłam być jedyną właścicielką pracowni i w porę wykupiłam jego udziały. Teraz to moje imperium. Mam jeszcze drugi sklep, taki sam jak ten... no, prawie. Trochę mniejszy, ale to kwestia czasu, a myślę już o otwarciu następnego. Z sukienkami, nie tylko z kapeluszami... i z dodatkami.

— Rosie, jesteś genialna!

— Nie. Ale z pewnością mam sporo zdrowego rozsądku. Och... i coś jeszcze... energię. Mówię sobie: „Dokonasz tego, Rosie. Napracujesz się, ale dasz radę”. I rzeczywiście. Zawsze tak postępuję.

— Bardzo się cieszę, że tak ci się powiodło. Widujesz czasem służących, którzy pracowali w naszym domu, kiedy byłaś pokojówką?

— O tak. Dzięki temu jestem na bieżąco. Mam też inne źródła informacji. Na początku musiałam trzymać pewne rzeczy w sekrecie — dopóki nie zyskałam stałej klienteli. Potem pomyślałam: do diabła z tym. Jestem sobą i nic tego nie zmieni. Zdobyłam pozycję i nikt mi jej nie odbierze. O tak, wolę utrzymywać kontakt z ludźmi, których znałam w mniej pomyślnych czasach. Dzięki temu wiem, co się dzieje.

— Co takiego wiesz? Zawahała się przez chwilę.

— Nie byłam pewna, czy powinnam panience powiedzieć. Nadal nie wiem. Nie wiem też, czy można coś z tym zrobić.

— Co próbujesz mi powiedzieć, Rosie?

— No cóż, Robert Tressidor zostawił pannie Olivii dużo pieniędzy.

— W rzeczy samej. Dostała większą część jego fortuny.

— Organizacje charytatywne też dziabnęły ładny kasek.

— Tak. Ale Olivia nie może narzekać. Jest bogata, ma dom w mieście i drugi na wsi, prowadzi wystawny tryb życia... jak za życia ojca.

— No cóż, mam wielu przyjaciół. Odwiedzają mnie co jakiś czas. Należę do kobiet, które umieją pielęgnować przyjaźnie. Zawsze chciałam być niezależna. Część tych związków miała na celu przyjemność, ale większość opierała się na interesach. Teraz nie potrzebuję pomocy w interesach. Spotykam się z pewnym dżentelmenem... ale nie ma on dla mnie wielkiego znaczenia. Chodzi o to, że zachowałam wielu dawnych przyjaciół i dzięki temu wiem różne rzeczy.

— Zwykle nie krążysz tak długo wokół sedna sprawy, Rosie. — Wiem. Zastanawiam się po prostu... Nie chcę powiedzieć za dużo. Mogę się mylić. No cóż, chodzi o to, że mąż siostry panienki... gra w ruletkę i przegrywa wielkie sumy. Słyszałam, że jego środki wkrótce się wyczerpią.

— Och... rozumiem. — Mój głos brzmiał głucho.

— Wiem, ile można stracić w niektórych nocnych klubach. To studnia bez dna. Nie mogłam powiedzieć o tym pani Olivii. Pomyślałam, że panienka jest właściwą osobą.

— To okropna sytuacja. Jeremy Brandon... trwoniący jej fortunę. Co się stanie z moją siostrą?

— Nie przypuszczam, by naprawdę coś jej groziło. Na pewno ma własne pieniądze, których on nie może ruszyć.

— Owinął sobie Olivię wokół palca. Z pewnością niczego by mu nie odmówiła. Jestem przerażona!

— Może to tylko plotki.

— Co mogę zrobić, Rosie?

— Nie wiem. Zastanawiałam się, czy nie powinna panienka z nim porozmawiać.

— Ja? Porozmawiać z nim! Wiesz, co się zdarzyło między nami.

— Porzucił panienkę, kiedy wyszło na jaw, że nie dostanie pieniędzy. Mam wrażenie, że to hazardzista z krwi i kości.

— Nie zniosłabym, gdyby coś złego spotkało Olivię. Jest taka szczęśliwa.

— No cóż, może to tylko burza w szklance wody. Pomyślałam jednak, że powinnam panienkę ostrzec.

— Olivia nie ma chyba kłopotów finansowych? Mam na myśli... płaci wszystkie rachunki?

— Bez zwłoki. Chciałabym mieć więcej takich klientek. Możliwe, że niepotrzebnie panienkę nastraszyłam. Proszę o tym zapomnieć. Po prostu się martwiłam. Zawsze czułam szczególną sympatię do panny Olivii. Niech panienka spróbuje ją wypytać. Może coś wie... Jeśli już ją o coś prosił... sprzedaż obligacji czy akcji. Powinna okazać stanowczość i odmówić. Znam się trochę na finansach i wiem, jak łatwo zbankrutować.

— Zobaczę, czy będzie chciała ze mną rozmawiać. Ale nie mogę pytać wprost.

— Oczywiście, że nie. Tylko proszę nie zdradzić się przed nią, że panienka coś wie.

— Nie zdradzę się, Rosie. To miło z twojej strony, że tak troszczysz się o moją siostrę.

— Pieniędźmi trzeba się opiekować. Niektórzy, jak ja, zaczynają od zera. Zdobywamy je ciężką pracą i żywimy do nich szacunek. Ale inni dochodzą do fortuny dzięki szczęściu i natychmiast robią wszystko, by ją roztrwonić.

— Szkoda, że nie wszyscy są tak mądrzy jak ty, Rosie. Mrugnęła do mnie.

— Nie chciałabym mieć zbyt wielkiej konkurencji! Ale kiedy już położę na czymś rękę, niełatwo mi to odebrać. Mężczyźni tacy jak Jeremy Brandon kierują się zasadą: „Łatwo przyszło, łatwo poszło”. Może właśnie dlatego, że ten człowiek tak bardzo różni się ode mnie, miałam go na oku. Ale pewnego dnia może wygrać. Szczęście jest tak samo prawdziwe jak pech, a człowiek nie może bez przerwy przegrywać.

— Więc chodzi o pieniądze. Obawiałam się raczej innych kobiet.

Rosie milczała, więc spojrzałam na nią ostro.

— Są inne? — spytałam.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem nic na pewno. Ale tak mówią. Jest pewna kobieta... Flora Carnaby... dosyć wulgarna osoba. Widywano go w jej towarzystwie. Nic poważnego, jak sądzę. Po prostu pracuje w jednym z domów gry.

— Mój Boże. Biedna Olivia!

— Może nic nie podejrzewa.

— Dowie się prędzej czy później. Wiesz, jacy są ludzie. Wszystkie jej złudzenia legną w gruzach. Jedną z rzeczy, które pomogły mi znieść tę okropną sytuację, była wiara Olivii w życie, w męża i we wszystko.

— I nadal będzie mu wierzyła. To dość powszechne. Mogę policzyć na palcach jednej ręki przykładowych mężów, których spotkałam w swoim życiu.

— To straszne. Nigdy nie wyjdę za mąż. Mądre kobiety, jak ty i ciocia Mary, trzymają się z dala od takich układów. Wiedzą, co należy robić. Zachowują godność i niezależność. Och, kochana, mam nadzieję, że Olivia nigdy nie pozna prawdy...

— Nie pozna. Mówię panience, że to normalna sytuacja. Nie jest dociekliwa, a Flora nie należy do kobiet, dla których rozsądny mężczyzna zostawia rodzinę. Proszę zapomnieć o tym. Żałuję, że cokolwiek powiedziałam, bo tylko panienkę zmartwiłam. Trapiłam się hazardem... bardziej niż tą dziewczyną.

— Czuję, że powinnam opiekować się Olivią, chronić ją.

— Tak, wiem. We wszystkich budzi takie uczucia. Ale często się okazuje, że kobiety jej pokroju potrafią zadbać o siebie lepiej niż my. Chroni je własna niewinność.

— Rosie... jeśli wydarzy się coś złego... zawiadomisz mnie? Napiszesz do mnie?

— Słowo honoru, że to zrobię. Teraz dosyć opuszczania nosa na kwintę. Podoba się panience kapelusze?

— Bardzo.

— Wygląda panienka w nim jak z obrazka. Daję głowę, że wszyscy pytali: „Kim jest ta młoda dama o zielonych oczach?”

— Myślę, że uwaga gości skupiła się na małej dziewczynce o niebieskich oczach. To był dzień Livii, nikt nie miał co do tego wątpliwości.

— Ten mężczyzna, który przyszedł z panienką... Przystojny.

— Masz na myśli Jagona Landowera?

— Wpadła panienka mu w oko.

— Jak wiele innych.

— Pożeracz niewieścich serc. Och, od razu to dostrzegłam. Potrzebuje twardej ręki.

— Nie mam ochoty go poskramiać.

— Tak, widzę, że za bardzo jest mężczyzną każdej kobiety, aby zostać mężczyzną którejś w szczególności.

— Naturalne, że to widzisz. Dobrze znasz przedstawicieli jego płci.

— Mężczyźni są jak kapelusze: albo ci pasują, albo nie.

— Nie sądzę, aby któremuś pochlebiło to porównanie.

— Trzeba pamiętać, że mam wielki szacunek dla kapeluszy — odparła Rosie. Uniosła szklankę.

— Za ciebie, droga Caroline, i za Olivię. Życzę wam wszystkiego dobrego, co życie ma do zaofiarowania, a ma całkiem sporo.

Podniosłam szklankę.

— I tego samego dla ciebie, droga Rosie!

* * *

Kiedy tego wieczora zostałam z siostrą sam na sam, zagadnęłam ją mimochodem:

— Przypuszczam, że jesteś bardzo bogata, Olivio.

— Też tak sądzę — odrzekła.

— Prowadzenie domu na takiej stopie kosztuje krocie. Wszystko jest tak samo jak za życia ojca.

— Wprowadziłam kilka zmian. Nie muszę martwić się o pieniądze.

— A czy ktoś martwi się za ciebie?

— Jeremy, oczywiście.

— Rozumiem — odpowiedziałam. — I jest zadowolony z takiego stanu rzeczy? Mam na myśli... te kwestie nie sprawiają mu kłopotu?

— Bynajmniej. Zna się na finansach.

A więc on wie, że fortuna Olivii jest ogromna, ale czy zdaje sobie sprawę, że nawet największą można roztrwonić w krótkim czasie? Moja siostra była tak ufna i zadowolona, jak mogłam dręczyć podejrzeniami jej spokojny umysł? Poza tym nie miałam dowodów, tylko przypuszczenia. Jak mogłam powiedzieć: „Rosie słyszała, że twój mąż traci pieniądze na hazard... pieniądze, które ty mu powierzyłaś?”. Może to tylko plotki. Może widziano, jak przegrywał drobne sumy, i na tej podstawie zaczęto wymyślać niestworzone historie.

Nie mogłam nic zrobić.

— Olivio, napisz do mnie... jeśli będziesz miała jakieś kłopoty — powiedziałam.

— Ależ oczywiście.

— Nie zapominaj, że chcę wiedzieć wszystko o mojej chrześniaczce.

— Będziesz wiedziała — zapewniła mnie z uśmiechem.

— I... i o tobie — dodałam. Skinęła głową.

— A ja w zamian chcę czytać o zabawnych ludziach, których spotykasz w Kornwalii.

— I nie wahaj się pisać o wszystkim... naprawdę o wszystkim. Jeśli coś się wydarzy...

— Co masz na myśli?

— No cóż, nigdy nie wiadomo. Często wolisz zatrzymać coś tylko dla siebie. Chcę, żebyś pisała mi o wszystkim, co cię zasmuci.

— Nic nie może mnie zasmucić.

— Ale gdyby coś takiego się zdarzyło, obiecujesz?

— Tak, obiecuję.

— I pisz o wszystkich postępach małej Livii. Pierwszy uśmiech. Pierwszy ząbek.

— Za późno na pierwszy uśmiech.

— Więc o całej reszcie.

— Obiecuję. Ale przyjedź wkrótce.

— Tak, przyjadę. A nie byłoby nam wesoło, gdybyś ty przyjechała do Kornwalii?

— Może kiedy Livia będzie starsza.

Tak rozmawiałyśmy, a ja pocieszałam się w duchu, że gdyby Jeremy stracił naprawdę dużo pieniędzy, jego żona musiałaby o tym wiedzieć.

* * *

Jago wyjechał razem ze mną, dzięki czemu podróż powrotna minęła szybko i przyjemnie. Joe czekał na mnie.

— Panna Tressidor tęskni za panienką straszliwie, panno Caroline — powiedział. — Była rozdrażniona jak ranna niedźwiedzica. Może sobie panienka wyobrazić!

— Nigdy nie widziałam niedźwiedzia... tym bardziej rannego.

— Śmieje się panienka. Zła jak osa, tak się zachowywała nasza pani. A dziś jest cała w skowronkach. Widzę, że pan Jago jechał pociągiem z panienką. Nie było go w tym samym czasie co panienki.

— Naprawdę? — rzuciłam niedbale.

Zastanawiałam się, jak szybko owa wieść obiegnie całą okolicę.

— Powiadają, że był w Plymouth. Ciągłe jakieś zamieszanie z tymi Landowerami. Niech panienka zauważy, nie było tak, zanim doszli do pieniędzy.

Pomyślałam, że oto rzeczywiście wróciłam, wróciłam do miejscowych domysłów i plotek; do sytuacji, która wymaga ode mnie maksymalnej rozwagi.

Kiedy mijaliśmy Landower, zastanawiałam się, czy Paul wiedział o moim wyjeździe i co czuł. Przypuśćmy, że wrócę do Londynu. Mogłabym pomagać Rosie w sprzedawaniu kapeluszy. Miałabym zajęcie.

To dopiero zabawne... córka Tressidorów — która okazała się fałszywą córką — podejmuje pracę u ich dawnej pokojówki — która była fałszywą pokojówką.

Ludzie nie zawsze są tym, kim nam się wydają.

Chciałam wyjechać. Nie! Nienawidziłam myśli o wyjeździe. Chciałam żyć spokojnie u ciotki Mary i wcale nie musiałam z tego zrezygnować. A przy tym mogłabym widywać Paula Landowera, marząc — żywiąc nadzieję — że wydobędziemy się jakoś z impasu, w którym się znaleźliśmy.

Ciocia Mary czekała na mnie. Jej radość z mojego powrotu była niewątpliwa.

— Myślałam, że nigdy nie wrócisz — burknęła.

— Oczywiście, że wróciłam.

Rozdział 8

„Nie oplakuj mnie”

Wspomnienia z pobytu u Olivii towarzyszyły mi jeszcze długo po powrocie.

Ciocia Mary poprosiła, żebym opowiedziała o mojej wizycie, spełniłam więc jej życzenie. Wspomniałam, że Jago podróżował ze mną.

Roześmiała się tylko.

— Nie można nie lubić Jagona, prawda? — zauważyła. — Nie, oczywiście, że nie można. Trochę trzpiot, ale czarujący. Jestem przekonana, że wkrótce się ożeni.

— Nie będzie musiał ratować rodzinnej posiadłości jak jego brat. Spojrzała na mnie ostro.

— I wielka szkoda. To Jago powinien był ożenić się dla pieniędzy, znacznie lepiej zniósłby taką sytuację. Po prostu żyłby jak dawniej.

— A czy troszczyłby się o posiadłość?

— Ach, i tu jest pies pogrzebany. Stało się, jak się stało, i moim zdaniem Jago wkrótce się ustakuje. — Patrzyła na mnie raczej chłodno.

— Nie ze mną — odparłam — nawet jeśli czuje taką skłonność, w co wątpię.

— Myślę, że jest w tobie zakochany.

— Powiedziałam już: jak w każdej przedstawicielce mojej płci poniżej trzydziestki, a nawet niekoniecznie.

— To cały Jago. Dobrze, dobrze, zobaczymy. Ale pojechał z tobą do Londynu, jak pamiętam. Co o nim myśli Olivia?

— Że jest uroczy. Ale ona lubi wszystkich — w dodatku Jago bardzo się starał.

Powiedziałam cioci o Rosie i jej przypuszczeniach. Spojrzała na mnie z troską.

— To by do niego pasowało, czyż nie? Tak, na pewno. No cóż, nie możesz nic zrobić. Może to chwilowe. Przypuszczam, że hazardziści czasem wygrywają. Inaczej by nie grali, prawda? Co do tej kobiety... tej z domu gry... to z pewnością nic poważnego, mężczyźni jego pokroju zawsze pakują się w takie historie.

Z entuzjazmem opowiadałam cioci o dziecku. Rzuciła mi krzywe spojrzenia, podejrzewając, jak się domyśliłam, że mój zachwyt oznacza, iż pragnę urodzić własne.

Uspokoiliam te obawy, jak gdyby je wyraziła. Była przyzwyczajona, że czytam w jej myślach.

— Funkcja matki chrzestnej całkiem mi wystarczy.

— Możesz zmienić zdanie.

— Nie sądzę. Niestety, nie można mieć rodziny bez męża, a mąż naprawdę jest mi niepotrzebny.

— Wyrośniesz z tej niechęci. Potrząsnęłam głową.

— Jest zbyt wielu mężczyzn podobnych do Jeremy'ego Brandona.

— Och, nie wszyscy są tacy!

— Krąg moich doświadczeń jest dość ograniczony, ale znaleźli się w nim dwaj mężczyźni, którzy sprzedali samych siebie. Drogo, muszę im to przyznać. Jeden za fortunę, drugi za wielki, stary dom. Obaj wysoko się cenili. Nie. Nie mam nic do zaoferowania, więc nie spodziewam się pretendentów do swojej ręki.

— Nie byłabym tego taka pewna.

— Ja jestem pewna... przede wszystkim własnych uczuć.

— Zawsze uważałam, że możesz stać się zgorzkniała, Caroline. Ludzie gorzknieją, wiem o tym... kiedy spotykają ich przykre doświadczenia. Ale nie można osądzać całego świata według

dwóch mężczyzn.

— Jest jeszcze moja matka. Wątpię, czy Alfonse wydałby się jej tak atrakcyjny, gdyby nie miał pieniędzy. Biedny kapitan Carmichael nie mógłby wygrać tego konkursu, prawda? Choć był przystojny i czarujący... bardziej niż Alfonse.

— Nie powinnaś rozważać tych spraw, kochanie.

— Nie chcę odwracać oczu od prawdy.

— Zapomnij o tym wszystkim, oderwij myśli od przeszłości. Chodźmy. Chcę pojechać na farmę Glunów, a potem pokażę ci księgi rachunkowe. Nasza praca daje piękne efekty. Bardzo piękne, mogę cię zapewnić.

Miała rację. Praca w majątku wkrótce mnie pochłoneła i zdałam sobie sprawę, jak bardzo mi jej brakowało, kiedy byłam w Londynie.

Od czasu do czasu dostawałam kartkę od matki. Życie było wspaniałe. Zwiedzili Włochy i Hiszpanię, a potem wrócili do Paryża. Alfonse okazał się wybitnym człowiekiem interesów. Była w swoim żywiole, przyjmowała w domu tłumy znajomych. Alfonse napisał do mnie, zapewniając, że będzie zachwycony, jeśli do nich przyjadę. Jego dom zawsze może stać się moim, kiedy tylko zapragnę. A poza tym, dlaczego nie miałabym złożyć im wizyty? Był zakochany w mojej matce tak samo jak na początku i rozumiałam, że jest mu użyteczna w interesach. Niewątpliwie umiała podejmować gości, więc z listów mego ojczyma biło zadowolenie. Matka nie zapraszała mnie tak gorąco i domyślałam się, że nie chce, by dorosła córka zdradzała jej wiek.

Nie miałam ochoty jechać do Paryża. Pracując z ciotką Mary, mogłam zapomnieć o wszystkich nieprzyjemnych doświadczeniach.

Wkrótce po powrocie pojechałam na wrzosowisko. Było to moje ulubione miejsce. Kochałam dziki krajobraz, rozległy horyzont, nieskrępowaną roślinność, bujną trawę, kępy wrzosu, wysokie głązy i strumyki, które pojawiały się tu i tam bez ostrzeżenia.

Pejzaż zachwycał barwami — ostatnia parada przyrody przed końcem roku. Liście dębu były teraz ciemnobrązowe. W zaroślach kryło się wiele jagód. Czy ich obfitość oznacza mroźną zimę?

Prawie mimowolnie skierowałam się ku kopalni. Przyciągała mnie. Wyglądała tak pusto i ponuro. Musiało być całkiem inaczej, gdy pracowali w niej ludzie!

Zeskoczyłam na ziemię i, klepiąc konia po grzbiecie, poprosiłam, by poczekał na mnie chwilę. Ale po namyśle, bojąc się, że usłucha dzikiego zewu wrzosowiska, przywiązałam go do krzaka, po czym podeszłam do szybu i spojrzałam w dół.

Czułam się niesamowicie — byłam wszak sama na pustkowiu, tak to sobie wyjaśniłam. Wzięłam kamień i wrzuciłam go do szybu. Nasłuchiwałam, kiedy uderzy o dno, ale nic nie usłyszałam.

Paul był tylko kilka kroków za mną, gdy usłyszałam odgłos kopyt jego konia. Zatrzymał się, zeskoczył na ziemię i przywiązał go do tego samego krzaka co ja.

— Witaj — powiedziałam. — Nie słyszałam, jak się pojawiłeś.

— Zdaje się, że już cię prosiłem, abys nie zbliżała się do kopalni.

— Całkiem możliwe. Ale jestem wolna i nie muszę robić tego, o co mnie prosisz.

— Mądrze byłoby słuchać rad ludzi, którzy znają okolicę lepiej od ciebie.

— Zagląwanie tutaj nie może być niebezpieczne.

— Ziemia jest miękka i gliniasta. Może ci się osunąć pod stopami. Spadniesz i będziesz wołać, aż zabraknie ci tchu, a nikt cię nie usłyszy. Nie przyjeżdżaj tutaj więcej. — Podeszedł bliżej i wziął mnie za rękę. — Proszę — dodał.

Zrobiłam krok do tyłu i znalazłam się jeszcze bliżej krawędzi szybu. Paul chwycił mnie w ramiona i przytrzymał.

— Widzisz, jakie to łatwe.

— Nic mi nie jest.

Jego twarz była blisko mojej. Osłabłam nagle w swoich postanowieniach; zapomniałam, że ożenił się dla pieniędzy i że na swój sposób postąpił równie podle jak Jeremy.

— Od dawna chciałem z tobą porozmawiać — powiedział. Próbowałam się uwolnić, ale nie chciał mnie puścić.

— Odejdź od szybu — poprosił. — Nie mogę patrzeć na taką nieostrożność.

— Nie jestem nieostrożna.

— Byłaś niebezpiecznie blisko. Nie znasz tych wrzosowisk. Powinnaś przyjeżdżać tu z ludźmi, którzy znają to miejsce.

— Mieszkam tutaj już długo i prawie tak samo znam okolice, jak mieszkańcy Lancarron.

Nie wypuszczał mnie, patrząc błagalnie. Nagle przycisnął mnie mocno i pocałował.

Przez chwilę nie walczyłam. Mimo wszystko pragnęłam tego... tak długo pragnęłam... już wtedy, gdy we Francji opowiadałam o nim koleżankom w szkole.

Potem ogarnęła mnie złość. Złość na niego... na Jeremy'ego... i wszystkich tych aroganckich mężczyzn, którzy uważali, że mogą traktować kobiety wedle własnego widzimisię... Prosić o rękę, gdy uważają, że kandydatka jest bogata, i porzucać, kiedy okazuje się, że jest biedna; albo też żenić się, by roztrwonić fortunę żony, a potem próbować uwieść tę, którą woleliby od bogatej małżonki.

Tak, byłam wściekła, gorzko wściekła, bo niczego nie pragnęłam bardziej niż być z Pauliem, kochać go, spędzić z nim życie.

— Jak śmiesz zachowywać się w ten sposób! — zawołałam.

Spojrzał na mnie smutno i odrzekł po prostu:

— Bo cię kocham.

— Co za nonsens!

— Wiesz, że to nie nonsens. Wiesz, że pokochałem cię we Francji i że nie jestem ci obojętny. Może zaprzeczysz?

— Nie znałam cię wtedy, nieprawdaż? — odparłam, czując, że się czerwienię.

— Zdawałaś sobie sprawę z tego, co do mnie czujesz.

— Ale to nie byłeś ty. Wzięłam cię za kogoś innego. Potem odkryłam swoją pomyłkę. Zapomniałeś, że nauczyłam się już czegoś o mężczyznach i motywach ich postępowania?

— Widziałaś tego mężczyznę, kiedy byłaś w Londynie?

— Tak, widziałam.

— Coś się stało...

— A co mogło się stać? Jest mężem mojej siostry. Zostałam matką chrzestną ich dziecka.

— Ale ty i on... Co czułaś?

— Zachowywał się jak wzorowy mąż. Dlaczego nie? W końcu osiągnął swój cel. Młody ubogi dżentelmen żyje teraz w dostatku. Ty to zrozumiesz. A ja byłam wyniosła, zimna, pełna godności... obojętna. A czego się spodziewałaś?

— Caroline, posłuchaj, spróbuj mnie zrozumieć. Ale proszę... odejdźmy od tego szybu.

Objął mnie mocno i pociągnął za sobą. Udałam, że chcę się wyrwać, nie wypuścił mnie jednak z uścisku i pozwoliłam poprowadzić się na trawę.

Wskazał na jeden z kamieni.

— Siadaj — powiedział. — Możesz się oprzeć.

— Naprawdę nie chcę siadać.

— Myślę, że się mnie boisz.

— Boję się! A dlaczego? Nie jesteś potworem, jesteś tylko...

Pociągnął mnie w dół i zmusił, bym koło niego usiadła.

— Dokończ! — rzucił. — Kim?

- Łowcą posagów.
- Chodzi ci o moje małżeństwo. Chcę o tym porozmawiać, wytłumaczyć...
- Nie musisz niczego tłumaczyć. Wszystko jest jasne.
- Nie sądzę.

— Z pewnością ta sprawa wcale nie jest skomplikowana. Uratowałeś dom swojej rodziny. To szlachetny czyn. Landower miało przejść w obce ręce, więc dla honoru rodu i przodków, ogólnie rzecz biorąc, poświęciłeś własny.

- Jesteś taka surowa. To coś znaczy.

Odwrócił moją głowę, by spojrzeć mi w oczy. Potem ujął w dłonie moją twarz i zaczął mnie całować dziko, z pasją, bez końca.

Próbowałam się wyrwać, lecz nie mogłam. Zresztą tak naprawdę wcale nie chciałam. Pragnęłam pozostać na wrzosowisku, w ramionach Paula. Był to balsam na moją obolałą duszę, bo wiedziałam pewniej niż kiedykolwiek, że chcę zostać z nim na zawsze... i że nie będę z nim nigdy.

— Gdybym mógł cofnąć czas — odezwał się — nie zrobiłbym tego. Stawiłbym czoło... wszystkiemu.

- Łatwo powiedzieć... kiedy jest za późno.

— Gdybym mógł zamieszkać z tobą i gdybym się nie ożenił... mogłem być szczęśliwy... taki szczęśliwy... bardziej niż uważałem za możliwe... dzięki tobie, Caroline. Kiedy jestem z tobą, wszystko wydaje się inne. Czuję, że... żyję, jak nigdy przedtem. Po prostu o nic się nie martwię. Pragnęłam jedynie być z tobą.

Chciałam mu wierzyć. Chciałam przytulić się do niego i powiedzieć: „Zapomnijmy, że jesteś żonaty. Udawajmy”. Usłyszałam jednak swój głos, surowy i drżący, gdyż moje serce przepelniała rozpacz, a musiałam ukrywać swoje prawdziwe uczucia.

— To znana skarga. Kiedy sprawy układają się niezgodnie z naszymi oczekiwaniami, pragniemy cofnąć czas i zacząć życie od nowa. Nie możemy wrócić do przeszłości... nigdy. Powinniśmy o tym pamiętać, kiedy podejmujemy decyzje. Nie, Paul. Zrobiłbyś to samo jeszcze raz. Ten dom jest dla ciebie ważny, ważniejszy niż cokolwiek... Zastanów się, mieszkałbyś na farmie, tuż obok Landower i całej posiadłości, która należała do twojej rodziny przez tyle pokoleń... a którą cieszyłby się ktoś inny. Nie zniósłbyś tego!

— Mógłbym to znieść — odparł — gdybyś była przy mnie. I odzyskałbym majątek... uczciwie... nie tracąc honoru... w odpowiednim czasie.

- Skąd farmer wzięłby pieniądze na odkupienie domu?

Milczał.

- Nie możesz cofnąć czasu, Paul — powiedziałam.

— Nie. Żałuję swojej decyzji. To głupio, przyznaję, żyć dla cegieł i kamieni. Gdybyś tu była, nie ożeniłbym się z inną kobietą. Wiedziałbym...

- Przecież kiedyś mieszkałam w Kornwalii.

— Byłaś dzieckiem. Ale już wtedy miałaś w sobie coś niezwykłego. Zobaczyłem cię w pociągu. Często podczas tamtych magicznych dni we Francji wydawało mi się, że ty i ja jesteśmy sobie przeznaczeni. Musiałaś to odczuć.

- Byłam zadowolona, że cię widzę. Nie miałam wielu rozrywek.

- Chcesz powiedzieć, że rozproszyłem twoją nudę?

- Oczywiście, że tak.

- Ale wydawało się...

Odwróciłam się do niego i rzuciłam zimno:

- Wtedy nie wiedziałam o transakcji, jaką zawarłeś.

- Nie nazywaj tego w taki sposób.

— A więc o twoim układzie.

— To brzmi jeszcze gorzej.

— Nazywam rzeczy po imieniu. To była brudna transakcja i nie ma sensu tego przemilczać. Powinieneś być mi powiedzieć, że uratowałeś dom... dzięki swemu małżeństwu.

— Chciałem uciec od tego wszystkiego. Próbowałem zachowywać się tak, jakbym nadal był wolny. Kiedy panna Tressidor poprosiła, żebym cię odwiedził, byłem bardzo podekscytowany, a potem cię odnalazłem. Ta sama dziewczyna, ale... inna. Postanowiłem wykorzystać tych kilka dni i spróbowałem zapomnieć.

— Postąpiłeś bardzo nierozsądnie.

— Kiedy spadał z konia i przez chwilę myślałem, że jesteś poważnie ranna, a nawet nie żyjesz... Wiedziałem, że jeśli coś mi cię odbierze, już nigdy nie będę szczęśliwy. Przejdę przez życie w półmroku... Żyłem tak, zanim cię spotkałem. Teraz jest inaczej, jesteś tu, Caroline. I coś każe mi nie tracić nadziei.

— Nie wiem, na co masz nadzieję — odparłam z powagą.

— Kiedy cię teraz pocałowałem, przez chwilę — tylko przez chwilę — wiedziałem, że mogłabyś mnie pokochać.

Milczałam. Chciałam zaprzeczyć, lecz nie potrafiłam. Mój głos na pewno by mnie zdradził. Nigdy nie doświadczyłam czegoś podobnego, ale teraz muszę być silna. Nie pozwolę znów się zranić.

— Nie sądziłam, że będziemy rozmawiać w taki sposób — powiedziałam.

— Chcę, żebyś знаła moje uczucia.

— Wyjaśniłeś je. Czy ci wierzę, czy nie, to inna sprawa.

— Wierzysz mi, Caroline.

— Nie rozumiem, jaki jest cel tych wyznań.

— Gdybyś zapewniła, że zależy ci na mnie... choć trochę... mógłbym żywić nadzieję.

— Nadzieję na co? — spytałam zimno.

— Że będę mógł widywać cię czasami... samą. Że będziemy się spotykać, być razem...

— To nierozsądne ze strony męża prosić o coś takiego kobietę, która nie jest jego żoną. Nasze spotkania byłyby potajemne. Gdybyśmy widywali się w publicznych miejscach, całe Lancarron wkrótce trzęsłoby się od plotek.

Paul przysunął się bliżej i otoczył mnie ramionami.

— Pozwól, że przytulę cię na chwilę, Caroline, ukochana.

Milczeliśmy przez kilka minut. Próbowałam się wyrwać, próbowałam odrzucić prawdę, ale była zbyt oczywista. Cokolwiek zrobił, kochałam go.

Pocałował mnie. Zdjął mi kapelusz do konnej jazdy i zanurzył dłonie w moich włosach.

— Caroline — szepnął — kocham cię.

To szaleństwo, pomyślałam. Co ja robię? Raz już zostałam poniżona. Nie wyciągnęłam z tamtego doświadczenia żadnych wniosków? Wiedziałam, o co prosi. Miałam zostać jego kochanką! Tajemnica, ukrywanie się, kłamstwa... szybko poczułby się tym znużony. Żegnaj, było miło, ale już koniec! Już jeden mężczyzna zalecał się do mnie, kiedy sądził, że mam pieniądze. Potem zaś zwinął żagle. Miałam teraz posłuchać głosu serca? Miałam pozwolić, by znów mnie wykorzystano?

Odsunęłam się i powiedziałam:

— Nie będzie więcej spotkań.

— Muszę cię widywać — poprosił.

Potrząsnęłam głową.

— Zaznajmy tyle szczęścia, ile możemy.

— A co z Gwennie?
— Chodziło jej o pozycję. Kocha dom i wszystko, co z nim się wiąże.
— Ale nie ciebie?
— Oczywiście, że nie.
— Myślę, że nie masz racji.
— Nie myślisz tak naprawdę.
— Owszem. Widziałam, jak na ciebie patrzy. Kocha dom, to prawda, jakżeby inaczej? Kupiła go... ale kupiła także ciebie.
— Proszę, nie mów w ten sposób — błagał. — Mam ci opowiedzieć, jak do tego doszło?
— Wiem, jak do tego doszło. To prosta historia. Dach walił się wam na głowy, a trzeba było fortuny, by odrestaurować dom i pospłacać długi. Zjawił się pan Arkwright i kupił posiadłość, a tobie przyszło do głowy, aby wraz z rodzinną rezydencją sprzedać nazwisko. Niezbyt oryginalne.
— Źle opowiedziane. Mam ci przedstawić swoją wersję? Miałaś rację, że dom wymagał remontu i że mieliśmy długi. Wówczas przyjechali Arkwrightowie. Niewiele jednak brakowało, żeby wyjechali zniechęceni, a my już nigdy nie sprzedalibyśmy majątku. Przypuszczam, że jakoś byśmy połatali dom. Zacząłbym od spłacenia długów. Może by mi się udało, kto wie?
— Ale stało się inaczej.
— Owszem, z powodu pewnego wypadku. Gwennie oznajmiła: „Muszę zobaczyć tę wspaniałą, starą galerię minstreli” i poszła na górę sama. Byłem w holu z jej ojcem...
— Tak — potwierdziłam słabym głosem.
— Coś się wydarzyło na galerii. Dwoje młodych ludzi spłatało Gwennie figła.
— Och?
— Tak. Stałem w holu, pamiętaj o tym. Kiedy krzyknęła, spojrzałem w górę. Dość szybko, by zobaczyć to samo co ona. Ktoś rzeczywiście tam był... ktoś, kogo poznałem.
Serce waliło mi jak szalone. Paul pochylił się i położył mi dłoń na piersi.
— Tak mocno bije — powiedział. — Wiem dlaczego. Gdyby nie ten wypadek, Arkwrightowie nie kupiliby Landower. Powiedzieli mi o tym. Majątek im się podobał, ale był w okropnym stanie. Arkwright miał za dużo sprytu, by widzieć w tym dobry interes. Tak, pożegnaliby się i wynieśli raz na zawsze... gdyby nie duchy z galerii. Ale nie potępiam duchów.
— Więc... wiedziałeś — szepnęłam.
— Widziałem was... a przede wszystkim ciebie. Wiem teraz, że Jago też tam był. Rozumiem, co chcieliście osiągnąć... co on chciał osiągnąć, bo ty jedynie mu pomagałaś. Poszedłem na poddasze i znalazłem suknię, którą miałaś na sobie. Widzisz, już wtedy zwróciłem na ciebie uwagę... Pojawiałaś się i znikaaś, psotna dziewczynka, płatająca figle z moim młodszym bratem. Gdyby nie ty, wszystko ułożyłoby się inaczej...
— Nie zmusiłam cię do małżeństwa.
— Ale w pewnym stopniu jesteś odpowiedzialna za to, co się stało.
— Czy Jago wie... że ty wiesz?
— Nie. Po co miałem mu mówić? Arkwrightowie mogliby złożyć skargę. Opiekowaliśmy się Gwennie i ostatecznie jej ojciec zdecydował się kupić posiadłość. Oboje pokochali dom, a potem Arkwrightowi przyszło do głowy, że...
— Mogą także kupić nazwisko. Jako dodatek do posiadłości.
Paul położył rękę na mojej dłoni i szybko ją cofnął.
— Powtarzam ci, że częściowo jesteś za to odpowiedzialna. Niechcący wpłatałaś się w tę historię, Caroline. Czy nie wskazuje ona, że wszyscy popełniamy głupstwa i pragniemy dostać drugą szansę? Wiedząc to, co wiesz, nie poszłabyś przecież na strych i nie udawałabyś ducha?
Potrzęsnęłam głową.

— W takim razie zrozum, Caroline, zrozum mnie i sytuację, w jakiej się znalazłem. Ten dom... rodzina... wszystko, co od dzieciństwa kochałem... zależało ode mnie.

— Zawsze to rozumiałam — odrzekłam. — Zawsze wiedziałam, że taki jest świat. Ale ja chcę trzymać się z dala od takich spraw. Nie chcę brać w tym udziału. Zostałam już zraniona i upokorzona i nie dopuszczę, by spotkało mnie to jeszcze raz.

— Myślisz, że mógłbym cię zranić lub upokorzyć? Kocham cię. Chcę troszczyć się o ciebie i chronić cię, zawsze.

— Umiem sama się chronić. Szybko się tego nauczyłam.

— Caroline, proszę, nie odtrącaj mnie.

— Och, Paul, jak mogę cię przyjąć?

— Znajdziemy sposób.

Pomyślałam: jaki sposób? Jest tylko jeden, a ja nie dopuszczę, by słabość i namiętność, jaką we mnie budził, czy nawet miłość pchnęły mnie na tę drogę.

A jednak siedziałam na kamieniu z dłonią w jego dłoni. Patrzyłam ku horyzontowi, gdzie dzikie wrzosowisko spotykało się z niebem, i myślałam: Dlaczego tak musi być?

Nagle usłyszeliśmy odgłos końskich kopyt, dobiegający z pewnej odległości. Zerwaliśmy się na nogi. Bryczka, ciągnięta przez brązową klacz, zbliżała się do nas wąską drogą. Poznałam wehikuł i konia, a potem woźnicę.

— To Jamie McGill — zawołałam.

Zobaczyłam, że zatrzymał konia. Zsiadł z kozła, a Lwie Serce zeskoczył na ziemię i pobiegł przez wrzosowisko. Jamie zdjął kapelusz i pozdrowił nas:

— Dzień dobry, panno Caroline... panie Landower!

— Dzień dobry! — odpowiedzieliśmy.

— Właśnie wracam z targu — ciągnął. — Kupiłem kilka rzeczy do ogrodu. Panna Tressidor daje mi bryczkę, kiedy muszę coś przewieźć. Lwie Serce zawsze biegnie przodem. Prosił, abym go wypuścił, odkąd tylko wjechaliśmy na wrzosowisko.

— Pan Landower i ja spotkaliśmy się przypadkiem koło kopalni.

— Och, kopalnia! — Zmarszczył brwi. — Zawsze powtarzam Lwiemu Sercu: Nie zbliżaj się do kopalni!

— Mam nadzieję, że jest posłuszny.

— Wie.

— Jamie wierzy, że zwierzęta i owady rozumieją, co się wokół nich dzieje, prawda, Jamie?

Zwrócił na mnie oczy, które zawsze sprawiały wrażenie pozbawionych koloru.

— Wiem, że rozumieją, panno Caroline. Przynajmniej moje. — Gwizdnął. Pies był już niedaleko od kopalni. Zatrzymał się gwałtownie i wrócił. Skakał wokół Jamiego i szczekał głośno.

— On wie, prawda, Lwie Serce? Biegnij... jeszcze pięć minut. Pies szczeknął i rzucił się naprzód.

— Nie zbliżałbym się zbyt do kopalni, panno Caroline — ostrzegł mnie Jamie.

— Radziłem panie Tressidor to samo — dodał Paul.

— Jest coś dziwnego w tym miejscu, wyczuwam to w powietrzu. Coś niedobrego... niedobrego dla ludzi i zwierząt.

— Ostrzegano mnie, że ziemia przy szybie może się osunąć. Czy to prawda? — spytałam.

— Minęło ponad dwadzieścia lat od czasu, gdy w szybie pracowali ludzie — powiedział Paul. Wyczułam jego zniecierpliwienie. Chciał pozbyć się Jamiego. — Zdaje się, że konie mają dość stania w jednym miejscu. — Spojrzał na mnie. — Myślę, że jedziemy w tę samą stronę. Przepuszczam, że wraca pani do dworu?

— No cóż... tak.

— Możemy pojechać razem.

— Do widzenia, Jamie — pożegnałam go.

Stał z kapeluszem w dłoni, a wiatr jak zwykle igrał w jego rzadkich, jasnych włosach.

Kiedy trochę się oddaliliśmy, usłyszałam, jak Jamie zagwizdał na psa. Potem powiedział:

— Czas na nas, Lwie. Chodźmy, stary. Paul i ja jechaliśmy w milczeniu.

— Mam nadzieję, że Jamie nie rozgada — odezwałam się po kilku minutach.

— O czym?

— Że widział nas razem?

— Dlaczego miałby o tym mówić?

— Wiesz przecież, że ludzie uwielbiają plotkować. Wymyślą niestworzone historie o mnie i o tobie, wybuchnie skandal... nie chcę tego.

Paul nie odpowiedział.

— Ale myślę, że Jamie nie jest groźny — ciągnęłam. — Jest inny niż wszyscy.

— Z pewnością jest niezwykły. Ma w sobie coś szalonego... pojawił się tak znieńcka.

— Nie ma nic szalonego w fakcie, że jechał tą drogą. Kupił materiały ogrodnicze i wiózł je bryczką do swego domu.

— Wiem... ale po co się zatrzymywał?

— Bo nas zobaczył i chciał być uprzejmy. Ma dobre maniery. Zresztą obiecał psu, że będzie mógł pobiegać.

— To gadanie o kopalni... a potem pozwolił psu pobiec w stronę szybu.

— Uważa, że zwierzę wyczuje niebezpieczeństwo szybciej niż człowiek. Czy to uważasz za szaleństwo?

— Tak mi się wydaje. Bóg wie, ile krążyło bajek o tej kopalni. Niektórzy utrzymywali, że widzieli w okolicy białe króliki i czarne psy.

— Co to znaczy?

— Te zwierzęta są uważane za zwiastunów śmierci. Wiesz, jacy są ludzie. Zawsze uważałem, że to dobrze, iż boją się tu przychodzić. Ten strach zapobiegł wielu wypadkom.

— No cóż, w takim razie Jamie przyszedł ci w sukurs. Kiedy zbliżyliśmy się do Tressidor, Paul powiedział:

— Muszę znów cię zobaczyć. Zostało jeszcze tyle do wyjaśnienia. Ale ja nie sądziłam, by coś jeszcze wymagało wyjaśnień. Przegapiliśmy odpowiedni moment. I nic, żadne słowa nie mogły wymazać przeszłości.

Kochałam Paula, nie miałam jednak żadnych wątpliwości co do tego, że muszę zwalczyć tę miłość.

Zaczynałam wierzyć, że szczęście nie jest mi przeznaczone.

* * *

Teraz, gdy Paul wyznał mi swe uczucia, wszystko uległo zmianie i obawiałam się, że wbrew postanowieniu nie zdołam ukryć przed nim własnych.

Byłam podekscytowana, a jednocześnie śmiertelnie przerażona. Nie śmiałam myśleć o przyszłości i coraz częściej ogarniało mnie pragnienie ucieczki. Przyszło mi nawet do głowy, by napisać do doświadczonej Rosie, przedstawić jej moją obecną sytuację i wspomnieć, że chciałabym przenieść się do Londynu i pracować w jej sklepie. Na co jednak mogłam się przydać projektantce eleganckich kapeluszy i sukien? Pomyślałam nawet o skorzystaniu z zaproszenia Alfonse'a, ale ta możliwość nie była zbyt kusząca. Ponadto wiedziałam, że ciocia Mary polega na mnie coraz bardziej. Często sama jeździłam na różne farmy, a Jim Burrows żywił do mnie wielki

szacunek. Oczywiście musiałam się jeszcze wiele nauczyć, lecz, jak mówiła sama ciocia, miałam talent do kontaktów z ludźmi, a ta zaleta zdarzała się dość rzadko wśród Tressidorów. Ona sama, mimo najlepszych intencji, była zbyt szorstka i bezpośrednia. Ja natomiast potrafiłam zachować dystans, a jednocześnie okazać innym życzliwość.

— To wielki dar — powtarzała ciocia Mary z uznaniem. — A ty go posiadasz. Ludzie są zadowoleni, czują to.

Jak mogłam więc opuścić staruszkę, która zachowywała się jak ranna niedźwiedzica”, kiedy wyjechałam?

Przyjemnie było czuć się potrzebną, wiedzieć, że dobrze wykonuję zadania, które mi powierzono. A jednak gdzieś na dnie mojego umysłu czaiła się pewność, że jeśli zostanę w Kornwalii, prędzej czy później nastąpi katastrofa.

Muszę to przemyśleć, powtarzałam sobie, a tygodnie mijały.

Często odwiedzałam domek Jamiego. Panował tu taki spokój... Jamie opiekował się wówczas ptaszkiem ze złamanym skrzydłem, którego znalazł w ogrodzie i leczył.

Obserwowałam również, jak przygotowuje pożywienie dla swoich pszczół, rozpuszczając cukier w rondelku. Chciał mieć pewność, że jego kolonia ma dosyć zapasów, by bezpiecznie przetrwać zimę.

— Zima może być trudnym okresem dla zwierząt i owadów — opowiadał. — Natura nie zawsze pamięta o robieniu zapasów.

— Dobrze, że na świecie są ludzie tacy jak ty, którzy śpieszą z pomocą, gdy natura zawiedzie.

— Zwierzęta są moimi przyjaciółmi — tłumaczył. — Nie ma żadnej zasługi w tym, co robię.

— Ja uważam, że jest w tym wielka zasługa. Każde stworzonko, które znajdzie się na twojej drodze, może się uważać za szczęściarza. Zawsze byłeś taki... wrażliwy?

Klasnął w dłonie i milczał przez chwilę. Potem spojrział na mnie z uśmiechem:

— Zawsze lubiłem wszelkie żywe stworzenia — odrzekł. — Byłem dla nich jak ojciec.

— Nie masz dzieci, Jamie?

Potrząsnął głową.

— Ale byłeś żonaty, prawda?

— Dawno temu.

— Czy ona...? — Żałowałam, że zadałam to pytanie, gdyż zrozumiałam natychmiast, iż otworzyło starą ranę.

— Oj — powiedział — umarła. Biedna istota, niech spoczywa w pokoju.

— To bardzo smutne. Ale życie bywa smutne. A ty zamieszkałeś tutaj i masz swoje pszczoły, Lwie Serce oraz Tygrysa.

— Och, pewnie. Nie jestem już sam. To był szczęśliwy dzień, gdy panna Tressidor przyjęła mnie do pracy.

— Cieszę się, że właśnie tu przyjechałeś. Ciocia jest wspaniałą kobietą. Mnie także okazała wiele dobroci.

— Wszędzie wokół panuje smutek. W Landower też. My tutaj jesteśmy szczęśliwi... w Tressidor.

Zastanawiałam się, czy Jamie słyszał jakieś plotki. Nie był kimś, komu służący donosiliby o swoich odkryciach. Rzadko udawało mi się skłonić go do osobistych wynurzeń, a osiągnięcie takiego stopnia zażyłości zabrało nam sporo czasu.

Urwał z łyżeczką wyciągniętą nad syropem w rondelku.

— Tak — ciągnął — dużo tam zmartwień. To nie jest szczęśliwy dom, zdaje mi się.

— Rzadko spotykasz jego mieszkańców, prawda?

— Owszem. Jeden z nich przychodzi po miód od czasu do czasu. Jakiś kuchcik.

— Wszyscy wokół cenią twój miód, Jamie. Czy ktoś ci mówił, że w Landower panuje smutek? Mój rozmówca potrząsnął głową.

— Nikt mi nie mówił. To wisi w powietrzu. Wiem to. Kiedy mijam tamten dom, czuję to wyraźnie. Gdy zobaczyłem pana Landowera z panią, domyśliłem się. Wyczuwam takie rzeczy. — Przyłożył dłoń do serca. — To mnie smuci. Pewnego dnia zdarzy się tragedia. Ludzie wiele zniosą, ale jest granica. Przychodzi wybuch...

Patrzył prosto przed siebie i miałam dziwne odczucie, jakby nagle zniknął. Przebywał gdzieś indziej... może w przeszłości... może w przyszłości. Sprawiał wrażenie, jak gdyby patrzył na coś, czego ja nie mogę zobaczyć.

— To było bardzo zadowalające rozwiązanie — zauważyłam. — Dzięki małżeństwu dom został w rękach rodziny.

— Jest napisane: „Co zyska człowiek, jeśli zdobędzie cały świat, a straci duszę swoją” — powiedział powoli.

— Jamie — odrzekłam — jesteś dziś w dziwnym nastroju.

— Bywam taki, kiedy pszczoły są spokojne. Przed nami zima, ciemne noce. Świat zastygnie w bezruchu... Wolę wiosnę, kiedy soki zaczynają płynąć w gałęziach drzew, a cały świat śpiewa. Teraz przyroda pograży się w zimowym śnie. To smutny okres. Właśnie wtedy ludzie tracą rozsądek i robią rzeczy, o których nawet by nie myśleli w jasne, słoneczne dni.

— Zima jeszcze nie przyszła.

— Będzie wkrótce.

— „A skoro nadeszła zima, czy wiosna może być daleko”?

— Najpierw trzeba przetrwać zimę.

— Poradzimy sobie... jak pszczoły, dzięki tym smakołykom, które dla nich szykujesz.

— Niech panią nie chodzi blisko... — zaczął, lecz zaraz urwał. Patrzył na mnie uważnie.

Poczułam, że rumieniec oblewa mi twarz. Jamie myślał o moim spotkaniu z Paulem na wrzosowisku. Ostrzegł mnie.

— Niech panią nie chodzi blisko kopalni — dokończył.

— Och, Jamie, to absolutnie bezpieczne. Ani mi się śniło stawać na krawędzi szybu.

— Czuję tam coś złego.

— Mówisz jak Kornwalijczyk — zawstydziałam go. — Nie spodziewałabym się takich przesądów po rozsądnym Szkocie.

— Jesteśmy Celtami — odrzekł. — Może widzimy więcej niż wy, potomkowie Anglów i Sasów. Jesteście rozsądni i praktyczni, widzicie, co się dzieje wokół... ale nie możecie patrzeć w przeszłość i w przyszłość. Proszę trzymać się z dala od tej kopalni.

— Mówią, iż jest nawiedzona. Myślę, że właśnie dlatego tak mnie intryguje.

— Niech panią nie podchodzi do szybu. Wiem, co się tam kiedyś wydarzyło.

— Opowiedz mi.

— Pewien mężczyzna zamordował żonę. Nie mógł znieść jej zdrad. Byli małżeństwem od dwudziestu lat i najpierw nie zwracał na to uwagi, ale potem robiło się coraz gorzej i gorzej. Nerwy miał napięte jak struny... coraz bardziej i bardziej, aż pewnego dnia pękły. Więc ją zamordował, a potem przyniósł do szybu i zrzucił na dół.

— Słyszałam, że coś takiego się wydarzyło. Skąd znasz szczegóły?

— Po prostu wiem — odrzekł. — Powiedział, że go zostawiła. Wszyscy znali ich sytuację, a żona często powtarzała, że go zostawi, więc ludzie uwierzyli, gdy powiedział, że wyjechała... wróciła do rodziny w Walii. Coś go jednak ciągnęło na miejsce zbrodni. To było szalone. Powinien był wyjechać, ale oszalał i został, i ciągle chodził do tej kopalni. Nie mógł się powstrzymać. Aż pewnego wieczoru... było ciemno... usłyszał głosy wołające jego imię, a wśród nich jej głos. I

wskoczył do szybu, by spocząć obok niej. Szukano go. Ślady wiodły do kopalni. Znaleźli ciała obojga... leżał obok żony.

— Słyszałam o tym. W pewną mglistą noc mężczyzna zgubił się na wrzosowisku i krążył w kółko. Rozgniewał jakąś wiedźmę czy coś podobnego. Albo po prostu nie zauważył szybu.

— To te głosy go zwiodły. A ludzie wymyślili, że mgła. Zawsze wolicie takie tłumaczenie... wy, Anglosasi.

— I tylko Celtowie mają ten instynkt. Ty i Kornwalijczycy, Jamie.

— Mamy go w większym stopniu niż większość ludzi. Ten mężczyzna słyszał głosy, którym nie umiał się oprzeć. Musiał iść do niej w dół... w dół, do szybu.

— W porządku, Jamie, masz swoje zdanie. Nie chcę się kłócić. Tak czy inaczej, temat jest ponury. I nie martw się, jeśli usłyszę głosy, ucieknę tak szybko, jak tylko będę mogła. Mam wrażenie, że syrop w rondelku lada chwila się przypali. Czuję lekki swąd.

Skupił uwagę na rondelku, a kiedy uznał, że słodka mieszanka jest gotowa, wystawił rondelk na zewnątrz. Potem zaczęliśmy rozmawiać o pszczołach i o nowym ulu, który pragnął postawić.

Mój przyjaciel wyglądał teraz spokojnie i w niczym nie przypominał wieszczą, który przed chwilą rozprawiał o nadnaturalnych sprawach.

Po tej wizycie poczułam się lepiej i na jakiś czas zapomniałam o wiszących na moim niebie chmurach.

* * *

Tygodnie mijały niepostrzeżenie. Staralam się skupić na własnych obowiązkach, ale z trudem odsuwałam od siebie myśl o przyszłości. Ciocia Mary polegała na mnie coraz bardziej. Rozmawialiśmy o sprawach majątku, które znałam coraz lepiej.

Postanowiłam nie widywać się z Paulem sam na sam. Oczywiście spotykaliśmy się na przyjęciach i wówczas wydawało się, że jest napięty, niedostępny i ukrywa jakąś tajemnicę. Jego oczy zmieniały wyraz, gdy mnie dostrzegał. Ożywiały się, a Paul siadał przy mnie, by prowadzić lekką rozmowę — nie różniącą się niczym od rozmów innych gości w Tressidor czy Landower.

Czasami odnosiłam wrażenie, że Gwennie go obserwuje. Zachowywała się bardziej wyzywająco niż kiedykolwiek. Nieustannie podkreślała, że posiadłość należy do niej, że to ona przeprowadziła remont i przywróciła domowi świetność z dawnych wieków.

Żona Paula była dziwną kobietą. Uważałam, że powinna poświęcać więcej uwagi synkowi. Był ślicznym chłopcem o głęboko osadzonych ciemnych oczach i bujnej, czarnej czuprynie. Pewnego dnia, jadąc do Landower, zobaczyłam, że Julian bawi się z nianią na łące niedaleko drogi i zatrzymałam się, by z nim porozmawiać. Miał w sobie coś przyciągającego. Uderzyła mnie wdzięczność, z jaką przyjął moje zainteresowanie, co świadczyło, że dorośli poświęcają mu niewiele czasu. Usiadłam obok malca na trawie i spytałam, co lubi robić. Z początku wydawał się przestraszony, a jego ciemne oczy wpatrywały się we mnie dość nieufnie, ale po kilku minutach rezerwa przemieniła się w radość. Opowiedziałam o swoim pokoju dzieciennym, w którym bawiliśmy się z siostrą, a chłopiec słuchał uważnie.

— Nie powinna pani pozwolić, żeby panią zanudzał, panno Caroline — odezwała się niania.

Odrzekłam, że nie tylko się nie nudzę, ale wręcz przeciwnie, wspaniale się bawię.

Opowiedziałam mu jedną z historii, które pamiętałam z czasów dzieciństwa. Wymyślona przez pannę Bell, miała naturalnie morał. Dotyczyła dwojga dzieci, które pomogły starej, brzydkiej kobiecie przenieść przez las ciężki worek, a na końcu drogi ujrzały ze zdumieniem, że staruszka przemienia się w piękną wróżkę. Czarodziejka obiecała spełnić trzy ich życzenia. Prawie słyszałam uroczysty głos naszej opiekunki: „Cnota zawsze bywa nagrodzona. Może nie

spełnieniem się trzech życzeń, zawsze jednak przynosi korzyści”. Darowałam Julianowi to zakończenie i byłam bardzo zadowolona, widząc na jego twarzy zainteresowanie, a potem żal, kiedy powiedziałam „do widzenia”.

Jeszcze inna okoliczność kazała mi przypuszczać, że rodzice chłopca nie dają mu miłości. Zobaczyłam go w stajni. Obserwował z zachwytem żrebaki, które bawiły się, skakały i walczyły ze sobą. Synek jednego ze stajennych stał obok — mały chłopiec w jego wieku. Wszyscy się śmiali, a chwilę później żona tego człowieka przyszła po swoje dziecko.

Przez chwilę obserwowała chłopców z przyjemnością, a potem powiedziała do mnie spokojnie:

— Biedny malec. Dobrze, że od czasu do czasu ma jakieś towarzystwo. — Zdałam sobie sprawę, że mówi o Julianie. — Często myślę, że mój mały Billy miał większe szczęście od niego, chociaż Julian to syn dziedzica.

Powiedziałam, że Billy wydaje się bardzo szczęśliwy.

— Nie czeka go świetny los. Żadnego z naszych łobuziaków nie czeka wspaniała przyszłość. Ale miłość... tej nasz Billy ma pod dostatkiem. Biedny panicz Julian. — Zastanowiła się nagle. — Gadam bez sensu. Ale panienska nie powtórzy nikomu tego, co powiedziałam.

— Oczywiście, że nie — zapewniłam ją. — Zgadzam się z panią. Pomyślałam: Więc obcy litują się nad nim! Biedny, niekochany malec! I poczułam wielką złość na tych dwoje, którzy dopuścili, by ich własne problemy rzuciły ponury cień na życie dziecka.

Znałam z własnego doświadczenia brak rodzicielskiej miłości. Miałam jednak Oliwię. A ten biedny chłopiec był naprawdę sam — zdany całkowicie na swoją nianię.

Byłam pewna, że to dobra kobieta, sumiennie wypełniająca swoje obowiązki. Ale zauważyłam też od razu, że Julian jest dzieckiem, które potrzebuje czułości i za nią tęskni.

Nigdy wcześniej nie myślałam dużo o dzieciach. Teraz mój gniew na Paula i Gwennie wzrósł niepomierne. Gwennie miała obsesję na punkcie pieniędzy; Paul obsesyjnie nienawidził jarzma, które sam sobie nałożył.

Rozumiałam oboje — on wybierał łatwe rozwiązanie, ją złościł żal dumnego męża, który marzył o cofnięciu czasu. Miałam im wszakże za złe, że konsekwencjami swych błędów obciążają niewinne dziecko.

Julian był spadkobiercą rodu — wyczekiwany, oczywiście, miał bowiem nosić nazwisko Landower. Nikt nie widział w nim jednak bezradnego dziecka, wrzuconego do dziwnego świata, z opłacaną opiekunką jako jedynym przewodnikiem.

Myślałam o chłopcu nieustannie. Często go odwiedzałam i nawet zaczął już wyczekiwać spotkań ze mną. Wiedziałam, że wkrótce wszyscy dowiedzą się o tym i zastanawiałam się, jak zinterpretują moje zainteresowanie Julianem.

Tymczasem napięcie panujące w Landower bynajmniej nie osłabło. Gwennie nadal podkreślała swoje zasługi. Widziałam, że Paul próbuje nie zwracać na nią uwagi i że jego oczy mrocznieją, kiedy mu się to nie udaje. Myślałam o swojej rozmowie z Jamiem: „To działało mu na nerwy... najpierw trochę... a potem więcej i więcej, aż pewnego dnia nie wytrzymał”.

Tak, zauważyłam niebezpieczeństwo i słyszałam ostrzegawcze głosy w sercu: „Wyjedź. Tutaj dojdzie do tragedii. Chcesz być w to zamieszana? Powinnaś uciec... póki czas”. Wciąż jednak nie mogłam się zdecydować. Często widywałam się z Jagonem. Jego towarzystwo przynosiło mi wielką ulgę. Mogłam zapomnieć o kłopotach, oddając się żartobliwym przekomarzankom, mocno przypominającym flirt. Dużo się razem śmialiśmy. Jego słoneczna natura i beztraska akceptacja życia stanowiły zupełne przeciwieństwo charakteru brata. Jago potrafił się bawić każdą sytuacją. Mówił, że jest we mnie zakochany, tonem całkiem niefrasobliwym. Powtarzał, że jestem okrutna, odpychając jego awanse, na co zauważyłam, że wydaje się bardzo dobrze znosić moje okrucieństwo — wręcz się nim cieszyć. Odpowiadał, że nie może się smucić w moim

towarzystwie.

Czasem spotykałam go na spacerze. Nie przypuszczałam, że specjalnie mnie szukał. Gdyby spotkał po drodze ładną, młodą kobietę, z pewnością nie wahałby się poflirtować z nią chwilę. Taki był Jago — i takie stosunki w zupełności mi odpowiadały.

— Tak, z pewnością to on powinien był ożenić się z córką Arkwrighta.

Brałby całą sytuację na wesoło i na pewno żyłoby szczęśliwie — powiedziała kiedyś ciocia Mary.

— Chyba że przyłapałaby go na niewierności — odparłam — bo to nadszarpnęłoby małżeńską więź.

— Znalazłby jakieś wyjaśnienie. Nie mam co do tego wątpliwości.

— No cóż, wszystko ułożyło się inaczej.

— Więcej niż szkoda — odrzekła ciocia Mary ze smutkiem, a ja zapytałam się w duchu, jak dużo wie i czyjej smutek dotyczy mojej osoby.

Bardzo się zmieniłam od czasu, gdy marzyłam o romantycznych bohaterach. Mówiłam sobie, że teraz wiem, jacy naprawdę są mężczyźni. I straciłam całą wiarę w ludzi.

Myślałam o mojej matce, jej mężu i kapitanie Carmichaelu. Myślałam o Jeremym, który najpierw rozpaczliwie zabiegał o fortunę, a kiedy już dostał, czego pragnął, trwonił pieniądze mojej siostry na ową kreaturę, Florę Carnaby. I nawet Paul, który sprzedał się w małżeństwo, patrzył na mnie błagalnie i chciał, bym spotykała się z nim po kryjomu.

Wolę przeżyć życie bez mężczyzn, powtarzałam sobie.

Ale nie było to do końca prawdą. Nie zostawałam sama na samą z Paulem, gdyż czułam się zbyt słaba i żywiłam obawę, że moja miłość do niego każe mi wyrzec się zasad, niezależności i poczucia, że należy postępować uczciwie. Wiedziałam, że on jest pod tym względem jeszcze słabszy ode mnie i że muszę postępować stanowczo.

Postarałam się zatem, by widywać go tylko w towarzystwie i prowadziłam ów żartobliwy flirt z Jagonem, który, na chwilę przynajmniej, przywracał mi beztroskę i zdolność śmiechu.

Boże Narodzenie nadeszło i minęło. Ulegając namowom Gwennie, spędziłyśmy Wigilię w Landower, wraz z tłumem innych gości.

Przywróciła wszystkie stare kornwalijskie zwyczaje. Kazała zawiesić nad drzwiami bożonarodzeniowe pierścienie. Nigdy wcześniej ich nie widziałam. Były to dwie drewniane obręcze, przymocowane jedna do drugiej pod kątem prostym i udekorowane zielonymi gałązkami. Nazywano je „obręczami pocałunków”, gdyż jeśli jakiś mężczyzna złapał pod nimi dziewczynę, miał prawo ją pocałować. Była to starsza wersja zwyczaju z jemiolą, której wielkie pęki również zawieszono w stosownych miejscach. Świąteczna kłoda została uroczyście wtoczona do domu. W południe, gdy goście zebrali się w wielkiej jadalni, zabrzmiały kolędy. Zaśpiewaliśmy wszystkie, które znaliśmy. Głosy, nieco fałszywe, obudziły echo śpiące pod starymi krokiewiami. „Narodził się król Izraela...” towarzyszyło wniesieniu i nalaniu ponczu. „Wesołych świąt, panowie” — zaśpiewali kolędnicy.

Gwennie promieniała.

— Tylko pomyśl — powiedziała do mnie. — Dokładnie tak samo musiało być wiele lat temu. Nie żałuję, że tyle pieniędzy włożyłam w remont tego domu. Nie, nie żałuję ani pensa.

Jago, który stał obok, mrugnął do mnie i szepnął:

— Tylko pomyśl o tych wszystkich ładnych pieniążkach...

Zobaczyłam, że Paul zacisnął nagle wargi, i znów wspomniałam słowa Jamiego.

Wielki stół w holu uginał się pod ciężarem pieczonych jagniąt, gęsi i pasztetów z najrozmaitszym nadzieniem.

— Kornwalijczycy uwielbiają pasztety — oznajmiła pani domu z drugiego końca stołu. —

Uważam, że naszym obowiązkiem jest pielęgnować stare zwyczaje... bez względu na koszty.

Muzycy grali na galerii. Nigdy nie mogłam zapomnieć tamtej fatalnej chwili, gdy Gwennie zobaczyła mnie i Jagona, oparła się z krzykiem o spróchniałą barierkę i runęła w dół po schodach.

Teraz stanęła obok mnie.

— Muzycy są dobrzy, nie sądzisz? Zażądali bająńskiego honorarium, ale uważam, że warto zapłacić za dobrą zabawę.

— O tak. Są bardzo dobrzy. Spojrzała w górę na galerię.

— Bariereki mamy teraz solidne — powiedziała. — Nie wiem, jak Landowerowie mogli tak zaniedbać dom! Należało wzmocnić całą galerię. Musiałam zdobyć poręcz, która wyglądałaby staro, ale nie była zjedzona przez robaki... jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— Tak — odrzekłam. — Masz na myśli to, że nie mogła być zjedzona przez robaki.

— Trudno było znaleźć coś odpowiedniego. Musiałam zapłacić majątek.

— Ładną sumkę, jestem tego pewna.

Zbyt mnie irytowała, bym potrafiła okazać uprzejmość. Ale Gwennie po prostu przytaknęła, nie zauważając ironii.

Rozumiałam rozpacz Paula. Próbowaliśmy wyobrazić sobie ich wspólne życie. Współczułam mu bardzo, choć przecież nie powinnam. Powinnam pamiętać, że zawarł ten układ z własnej woli i nie ma prawa do współczucia, gdyż płaci tylko za to, co dostał.

Ciocia Mary wydała przyjęcie w drugi dzień świąt. Landowerowie zostali zaproszeni — wraz z wieloma innymi sąsiadami. Rozmowa była ogólna i nie doszło do ostrzejszych spięć między Paulem a Gwennie. Jago tryskał wesołością i dowcipem — był duszą towarzystwa i musiałam przyznać, że jest bardzo cennym gościem.

Powiedział, że zamierza sprowadzić specjalną maszynę, która ułatwiłaby pracę na farmach w majątku. Wybierał się do Londynu, by wszystko dokładnie obejrzeć. Kiedy mogłam zamienić z nim słówko na uboczu, oznajmiłam, że jestem zaskoczona jego zainteresowaniem sprawami gospodarczymi.

— Jestem ogromnie ciekawy tego mechanizmu. A może złożysz wizytę siostrze? Moglibyśmy podróżować razem.

— Obawiam się, że będziesz musiał jechać sam.

— Będę za tobą tęsknił. Podróż bez ciebie to nie to samo.

— Śmiem twierdzić, że mimo wszystko nie będziesz się nudził. Kiedy goście wyszli, ciocia Mary powiedziała:

— No dobrze, już po wszystkim. Nie lubię tych towarzyskich obowiązków. Często myślę o Landower. Gwennie musi być prawdziwym utrapieniem. A Jago? Jedzie do Londynu, żeby obejrzeć jakąś maszynę! Nie dziwiłabym się wcale, gdyby to była kobieca maszyna! Musi być zmęczony tą dziewczyną z Plymouth.

— Droga ciociu Mary, jesteś cyniczna! Może naprawdę jedzie obejrzeć jakąś maszynę.

— Widziałam wzrok Paula, gdy Jago o tym mówił. Myślę, że go rozszefrował.

— Przynajmniej — odrzekłam — Jago umie cieszyć się życiem.

— To mężczyzna, który pozwoli innym dźwigać własne ciężary. Powiedziałam „dobranoc” cioci Mary i poszłam do swego pokoju.

Rozmyślałam o przyjęciu i znów przyszło mi do głowy, że gdyby staruszka nie była do mnie tak przywiązana, mogłabym zastanowić się nad wyjazdem z Tressidor.

Nadszedł nowy rok. Wiał południowo — zachodni wiatr, wyjątkowo gwałtowny. Wyrwał z korzeniami kilka drzew. Ale potem dmuchnęło mocno z północy. Niebo zasnuło się chmurami i mieliśmy wrażenie, że wichur znalazł sposób, by wcisnąć się do domów. Nawet ogień w wielkich kominkach przegrywał batalię z chłodem.

Dostałam od Olivii list, który mnie zaniepokoił. Była w nim nuta desperacji i przypominałam sobie wszystko, co usłyszałam od Rosie.

Droga Caroline,

myślę o Tobie przez cały czas. Bardzo mi się podobała Twoja opowieść o świętach, kolędnikach i przyjęciach. Z pewnością dobrze się bawiłaś. Przypuszczam, że dzięki Jagonowi Landowerowi było naprawdę wesoło. Co za uroczy młody człowiek!

Mam dla Ciebie kilka nowin. Będę miała drugie dziecko. Bardzo szybko... zbyt szybko może... ale jestem bardzo podekscytowana. Livia czuje się dobrze i przybiera na wadze. Jest bardzo bystra. Chciałabym, żebyś przyjechała ją zobaczyć.

Caroline, pragnę, żebyś przyjechała. Wspaniale jest dostawać Twoje listy, ale to nie to samo co rozmowa, prawda? Chcę Cię zobaczyć. Tak wiele rzeczy można tylko powiedzieć, bo napisane zabrzmiałyby fałszywie.

Przyjedź, Caroline, proszę. Mam przecucie, że powinnyśmy się zobaczyć. Po prostu bardzo za Tobą tęsknię. Panna Bell jest dobra, lecz nie wszystko rozumie. Chcę porozmawiać z Tobą.

Dziecko przyjdzie na świat w czerwcu. Tak, wiem, że minął tylko rok od narodzin Livii. Trochę za wcześnie. A cięża odcina kobietę od świata. Wiesz, co mam na myśli.

Proszę, Caroline, przyjedź.

Napisz do mnie. Mam nadzieję, że w następnym liście będzie wiadomość o Twoim rychłym przyjeździe.

*Twoja kochająca siostra,
która Cię potrzebuje, Olivia.*

Przeczytałam ten list wiele razy. Coś oznaczał. Był wołaniem o pomoc.

— Co się stało, Caroline? — spytała ciocia.

— Stało się?

— Jesteś zamyślona, jak gdyby nieobecna. Coś musiało się stać. Niemożliwością było ukryć coś przed ciocią Mary.

— Dostałam list od Olivii. Nie wiem, o co chodzi... ale mam wrażenie, że to wołanie o pomoc.

— Pomoc... pomoc w czym?

— Nie wiem. W czerwcu urodzi drugie dziecko.

— W czerwcu? Jak duże jest to pierwsze? Nie ma jeszcze roku. To zbyt wcześnie!

— Tak, też tak myślę. Jest przerażona, czuję to.

— Może boi się rozwiązania.

— Była zachwycona, kiedy miała urodzić Livię.

— Zapewne można nie mieć ochoty na powtórkę takiego doświadczenia.

— Tak... ale myślę, że tu nie chodzi o ból. Jest przerażona, czuję to.

— Możesz pokazać mi ten list?

Po przeczytaniu go ciocia powiedziała:

— Rozumiem, co masz na myśli. Nie pisze zbyt jasno, prawda?

— Nie, ale w świetle tego, co wiem od Rosie...

— Rozumiem. Myślisz, że Jeremy robi jakieś sztuczki z pieniędzmi?

— Albo może... to zraniłoby ją znacznie głębiej... dowiedziała się, że ma kogoś na boku.

— Biedne dziecko! Przypuszczam, że chcesz do niej pojechać.

— Sądzę, że powinnam... na krótko, dla własnego spokoju.

— Poczekałabym, aż skończy się okres złej pogody.

— Napiszę do niej od razu, że przyjadę... może na początku marca. Dni będą już dłuższe, a

ponadto pogoda poprawi się do tego czasu.

— W marcu wieje silny wiatr i może spaść śnieg...

— Jak często macie tu śnieg?

— Raz na dziesięć lat. Ale pamiętaj, że opuszczasz łagodną Kornwalię.

— Nie jadę do północnej Szkocji. Myślę, że w marcu pogoda będzie już dobra.

— Możesz jechać z Jagonem Landowerem, który, jak przypuszczam, nieraz jeszcze zapragnie zobaczyć swoją maszynę.

Roześmiałyśmy się obie. Byłam zadowolona, że ciocia ze spokojem przyjęła perspektywę mojej wizyty w Londynie. Nie chciała się ze mną rozstawać, ale wyczuła rozpacz w liście Olivii.

Napisałam do niej natychmiast, zapewniając, że przyjadę na początku marca. Jej odpowiedź była entuzjastyczna.

„Już jest mi lepiej” — napisała.

Biedactwo, pomyślałam. Więc przedtem czuła się bardzo źle.

Nadszedł luty i wciąż było bardzo zimno. Przejazdki po okolicy działały jednak na mnie mobilizująco. Ciocia Mary wyprawiała się czasem razem ze mną.

Była połowa lutego i za dwa tygodnie miałam wyjechać do Londynu. Tego ranka ciocia Mary powiedziała, że wybierze się ze mną konno. Chciała jechać na farmę Minnowsów, którzy mieli kłopot z dachem. Umówiła się z Jimem Burrowsem, że będzie czekać na nas na miejscu.

Jechaliśmy przez pola, a ciocia opowiadała o uprawie pszenicy i jęczmienia. Drogi były dość zdradliwe. Wcześniej rano zmarznięte, koło południa tajały, ale w niektórych miejscach lód stopniał tylko częściowo.

Zrozumiałam, co się wydarzyło, dopiero kiedy było po wszystkim. Jej koń poślizgnął się i poleciała do przodu. Była znakomitym jeźdźcem i nic by się nie stało, gdyby nie to, że zwierzę z jakiegoś powodu się przestraszyło i zaczęło galopować.

Obserwowałam ciocię Mary z przerażeniem, ale nie straciła kontroli nad wierzchowcem. Spodziewałam się, że zaraz zatrzyma ostro konia, i pojechałam za nią. Nagle zobaczyłam drzewo leżące w poprzek drogi. Musiało upaść podczas ostatniej wichury. Wierzchowiec pędził na oślep, a przed nim... było drzewo. Zobaczyłam, że ciocia wylatuje wysoko w powietrze, a potem spada. Koń pobiegł dalej.

Poczułam mdłości ze strachu. Zeskoczyłam szybko z siodła i podbiegłam do niej. Nie poruszała się, jej kapelusz leżał kawałek dalej.

— Ciociu — krzyknęłam bezradnie — och, ciociu, jesteś ranna? To było głupie pytanie, ale tak się o nią bałam. Co robić? Nie mogłam jej ruszać. Najwyraźniej straciła przytomność.

Musiałam sprowadzić pomoc. Sama nie mogłam nic zrobić. Drżąc całym ciałem, wsiałam na konia i pogalopowałam drogą w kierunku Landower. Wkrótce, ku swojej wielkiej uldze, ujrzałam dwóch jeźdźców, którzy zbliżali się z przeciwka. Byli to Paul i jego zarządca.

Zawołałam:

— Zdarzył się wypadek. Moja ciocia... leży tam... na drodze. — Wyciągnęłam rękę.

— Tamto drzewo — powiedział Paul. — Powinienem był usunąć je wczoraj. — Odwrócił się do zarządcy. — Sprowadź lekarza. Ja pojedę z panną Tressidor.

Poczułam na jego widok ulgę, lecz stłumił ją straszliwy lęk, że ciocia Mary może być martwa.

Paul był wspaniały. Zajął się wszystkim. Twarz staruszki była jak pergamin, oczy zamknięte. Nigdy wcześniej nie widziałam jej w takim stanie. Powtarzałam w myślach: Nie żyje. Ciocia Mary nie żyje.

— Oddycha — powiedział Paul. — Landower jest bliżej niż Tressidor. Mamy w domu nosze, ale nie powinno się jej ruszać, zanim nie przyjedzie lekarz.

— To się stało tak nagle. Śmiałyśmy się i rozmawiałyśmy, kiedy nagle... koń się potknął. Gdzie

jest? Po prostu uciekł.

— Prawdopodobnie wrócił do waszej stajni. Nie myśl o nim teraz. Nie możemy nic zrobić. Bałbym się ją ruszyć. Może wsunę jej coś pod głowę.

Zdjął surdut i zwinął go starannie.

Zamknęłam oczy i uklękłam obok rannej. Modliłam się w duchu: Nie zabieraj mi jej, Boże.

Zdałam sobie sprawę, jak wiele dla mnie znaczy: przygarnęła mnie i ofiarowała mi nowe życie. Miałam wrażenie, że czekamy na drodze całe godziny, ale obecność Paula dodawała mi sił.

* * *

Zabraliśmy ją do Landower, które było bliżej niż Tressidor. Po krótkim badaniu doktor zezwolił położyć ją na nosze i z wielką ostrożnością została przeniesiona do domu sąsiadów.

Była ciężko ranna, ale żyła. Uczepiłam się tej myśli. Przygotowano dla niej pokój, drugi zaś dla mnie, gdyż nie chciałam wracać sama do Tressidor. Przez dwa dni pozostawała nieprzytomna i lekarz nie umiał stwierdzić, jak poważne są jej obrażenia. Miała złamane obie nogi, wspomniał też o uszkodzeniu kręgosłupa. Mogłam się cieszyć tylko z jednego: nie umarła.

Przez następnych kilka dni wszystko wydawało się nierealne... jak w sennym koszmarze. Zdawałam sobie sprawę z obecności ludzi wokół mnie. Gwennie zrobiła dla nas wszystko, co tylko mogła — i czułam wobec niej głęboką wdzięczność. Pomyślałam mimochodem, że czasem nieszczęścia wydobywają z ludzi ich najlepsze cechy. Paul był na miejscu. Widziałam w nim wcielenie siły — jak wtedy, gdy spotkałam go na drodze, szukając pomocy. Czułam jego obecność i wiedziałam, że stawię czoło wszystkiemu, jeśli on będzie przy mnie.

Niewiele sypiałam i straciłam poczucie czasu. Nieustannie siedziałam przy łóżku cioci Mary, gdyż miałam wrażenie, że przynosi jej to ulgę. Odzyskiwała i traciła przytomność, a chciałam, by budząc się, widziała przy sobie bliską osobę.

Paul często czuwał ze mną. Trzymał mnie za rękę i szeptał słowa pociechy, nie ukrywał jednak głębokiej troski, jaką budził w nim stan cioci Mary. Chciałam wiedzieć wszystko. Prosiłam, by niczego przede mną nie ukrywano.

Paul oznajmił, że będzie przy mnie podczas rozmowy z doktorem.

— Proszę być całkowicie szczerym z panną Tressidor. Pragnie wiedzieć dokładnie, jaki jest stan rannej — polecił lekarzowi.

— Nigdy nie wróci do zdrowia — oświadczył ten. — Odniosła liczne obrażenia. Nie wiem jeszcze, jak groźne, ale z pewnością poważne. Wątpię, czy będzie mogła chodzić. Trzeba zapewnić jej opiekę.

— Ja się nią zaopiekuję — powiedziałam.

— Wspaniale, lecz będzie pani potrzebowała pomocy. Chciałbym przysłać pani profesjonalną pielęgniarkę.

— Tylko jeśli będę jej potrzebowała — odrzekłam. — Proszę najpierw pozwolić mi spróbować. Jestem pewna, że ona by tak wolała.

Lekarz zawahał się, a potem skinął głową.

— Jest coś jeszcze — ciągnęłam. — Z pewnością wolałaby leżeć we własnym domu. Pan Landower bardzo uprzejmie ofiarował nam gościnę, ale naturalnie...

— Naturalnie — zgodził się doktor Ingleby. — Niech jednak odpocznie tutaj jeszcze kilka dni. Może za tydzień będzie można ją przenieść. Zobaczymy.

— Mogą panie zostać tutaj tak długo, jak będzie trzeba. Proszę nie mieć żadnych skrępowań — powiedział Paul.

— Poczekamy i zobaczymy — powtórzył doktor.

Więc czekaliśmy, a po dwóch dniach, ku mojej wielkiej radości, ciocia Mary mogła już mówić. Chciała wiedzieć, co się stało.

- Pamiętam tylko, że Cezar się potknął.
 - Na drodze leżało drzewo.
 - Teraz pamiętam. Spostrzegłam je zbyt późno.
 - Nie mów, ciociu Mary. To zbyt męczące. Ale dodała jeszcze:
 - Więc jesteście w Landower.
 - Spotkałam Paula i on mi pomógł. Wkrótce wracamy do domu.
- Uśmiechnęła się lekko.
- Dobrze mieć cię przy sobie, Caroline.
 - Zamierzam tu pozostać... z tobą, dopóki nie poczujesz się lepiej.

Uśmiechnęła się znowu i zamknęła oczy.

Tego dnia czułam się prawie szczęśliwa. Ona musi wrócić do zdrowia, powtarzałam sobie bez końca. Wieczorem napisałam list do siostry.

Droga Olivio,

stało się coś strasznego. Ciocia Mary miała okropny wypadek. Spadła z konia i potłukła się bardzo groźnie. Muszę z nią zostać. Rozumiesz, że przez jakiś czas nie mogę jej opuścić. Oznacza to, że muszę odłożyć swoją wizytę.

Bardzo mi przykro, że Cię nie zobaczę, lecz jestem pewna, że zrozumiesz. Ciocia Mary mnie potrzebuje. Jest w bardzo złym stanie, a moja obecność dobrze na nią wpływa. Więc... przyjadę później. Tymczasem pisz do mnie często. Napisz, o czym chciałaś porozmawiać. Wtedy będzie tak, jakbym siedziała przy Tobie.

Potem opisałam wypadek i wyjaśniłam, dlaczego na razie jesteście w Landower.

Podzieliłam się z nią swymi obawami, jako że nie opuszczało mnie ani na chwilę uczucie, że z ciocią Mary dzieje się coś złego.

Jej stan poprawił się przez ostatnich kilka dni... lecz tylko stan umysłu. Odczuwała lekki ból, który zdaniem lekarza oznaczał uszkodzenie kręgosłupa, ale można było odnieść wrażenie, iż niezdolność poruszania się wcale jej nie przeszkadza.

Wiedziałam, że jest inaczej. Miała silny charakter i to rzucało się w oczy. Ale zastanawiałam się, jaki wpływ kalectwo wywrze z czasem na tę aktywną kobietę, która zawsze ceniła sobie niezależność — i drżałam z niepokoju.

Jednocześnie bardzo mocno odczuwałam atmosferę panującą w tym wielkim domu. Był niczym kocioł — bulgoczący, dudniący i kipiący, gotów wypłuć swą zawartość.

W miarę upływu czasu coraz lepiej zdawałam sobie sprawę, że moja obecność nie poprawia sytuacji. Nie miałam żadnych wątpliwości co do uczuć Paula i byłam pewna, że Gwennie coraz bardziej to wszystko sobie uświadamia.

Spędzałam trochę czasu z Julianem. Bardzo się cieszył, gdy wieczorem zakradałam się do jego pokoiku. Czytałam małemu książkę, podarowaną mu na Gwiazdkę, a on chciwie wpatrywał się w moje wargi, formujące słowa, które czasem za mną powtarzał.

Niekiedy, widząc go w ogrodzie, wychodziłam i przyłączałam się do zabawy.

Gwennie powiedziała kiedyś:

- Widzę, że ty i mój syn zostaliście dobrymi przyjaciółmi.
- O tak — odrzekłam — cóż to za uroczy chłopczyk! Musisz być z niego bardzo dumna.
- Nie ma w sobie nic z Arkwrightów. Wygląda zupełnie jak Landower.
- Ma w sobie coś z was obojga.

Umilkła. Znów zaczęłam się nad nią zastanawiać. Przecież ten malec był jej własnością — wydawało się nawet, że najwspanialszą — ale nie dbała o niego tak, jak o ten stary dom.

— Papcio uwielbiał małego — odezwała się cicho.

— Biedny Julian! Mam na myśli, że tęskni za dziadkiem. — Cieszyłam się, że przynajmniej jeden członek rodziny okazał mu trochę miłości.

— Zapewnił ciągłość rodu — wyjaśniła Gwennie. — Nie sądzę, aby pojawili się inni dziedzice.

Ta rozmowa sprawiała mi przykrość. Myślę, że żona Paula to wyczuła i dlatego ją ciągnęła. Miała w sobie odrobinę sadyzmu.

— Z początku oczywiście były pewne próby — ciągnęła. — Ale teraz jest po wszystkim.

— Nie masz nic przeciwko moim zabawom z Julianem, prawda? — zapytałam.

— Dlaczego, wielki Boże, oczywiście, że nie. Możesz chodzić do niego, jeśli tylko chcesz. Proszę czuć się jak u siebie w domu. Tego sobie życzę.

Patrzyła na mnie chłodno. Czy widziała, że zabawa z Julianem jest jedną z gorzkich radości mojego życia? Że kiedy z nim jestem, wyobrażam sobie, że także mam synka... takiego jak on... ciemnowłosego chłopca, o głęboko osadzonych oczach Landowerów? Czy rozumiała, jak bardzo pragnę urodzić własne dziecko?

Gwennie wiedziała dużo. Nie była — jak wielu ludzi — całkiem zaabsorbowana sobą. Uwielbiała śledzić życie innych, odkrywać ich sekrety, a im bardziej tamci starali się ukryć prawdę, tym gorliwiej szukała jej śladów. Ciekawość ta stanowiła, w pewnym sensie, siłę napędową życia tej kobiety. Wiedziała o moich zerwanych zaręczynach i ślubie niewiernego narzeczonego z moją siostrą. Takie sprawy budziły w niej najżywsze zainteresowanie.

Często rozmyślałam o służących, którzy obserwowali wszystkie nasze poczynania. Ich zabiegi wypadały raczej blado w zestawieniu z aktywnością Gwennie. Wydawała mi się niezwykłą kobietą.

Był także Paul. Ukrywanie uczuć przychodziło mu z coraz większym trudem.

Zastanawiałam się, dlaczego okazuje synowi taką obojętność. Pewnego dnia, gdy zostaliśmy sam na sam — co nie zdarzało się często — spytałam go o Juliana. Staliśmy w holu, a ja właśnie weszłam. Zbliżał się zmrok i ogień płonący w wielkim kominku rzucał migające cienie na pozłacane drzewo genealogiczne.

— Za każdym razem, gdy na niego patrzę, muszę myśleć o niej — odpowiedział.

— To nie w porządku.

— Wiem. Ale życie nie jest w porządku. Nic na to nie poradzę. Wstyd mi, że to się stało. Nie chcę jej i nie chcę dziecka.

— Ona dała ci wszystko, czego pragnęłaś. — Wróciliśmy do starego tematu. — Przykro mi, ale to okrutne wobec małego chłopca, który nie może odpowiadać za błędy swoich rodziców.

— Masz rację — przyznał. — Gdybyś tylko ty była z nami... o ile czulibyśmy się szczęśliwi.

Miał na myśli: gdybym ja była panią tego domu i matką jego dziecka. Ale tak się stać nie mogło. Sam dom zdecydował inaczej. Czas i pogoda dokonały dzieła zniszczenia i budynek domagał się fortuny Arkwrightów — doprowadzając do obecnej sytuacji.

— Muszę odejść — powiedziałam. — Widzę to. Wkrótce będę musiała odejść.

— Wspaniale było mieć cię tutaj — odrzekł Paul. — Nawet w tych okolicznościach.

Powtórzyłam tylko, że muszę odejść.

Często się zastanawiałam, czy ciocia Mary jest przytomna, gdy leżała z zamkniętymi oczami na łóżku. Przez większość czasu spała, ale kiedy się budziła, siadałam obok niej.

— Nie zawsze będę w takim stanie — oświadczyła.

— Nie, ciociu Mary — odrzekłam. Walczyłam jednak z wątpliwościami.

Można było odnieść wrażenie, że oswoiliśmy się wszyscy z sytuacją. Spacerowałam nawet

czasem po ogrodzie. Paul chyba mnie obserwował, gdyż często się do mnie przyłączał. Wędrowaliśmy wzdłuż kwiatowych rabat.

— Jak to wszystko się skończy? — spytał kiedyś.

— Nie wiem. Nie umiem przewidzieć przyszłości.

— Czasem możemy kształtować przyszłość.

— Co możemy zrobić?

— Znaleźć jakiś sposób...

— Często myślałam, że powinnam wyjechać... ale teraz wiem, że muszę zostać z ciocią, jak długo będzie mnie potrzebowała.

— Nie powinnaś nigdy uciekać ode mnie.

— Nie możemy nic zrobić — powiedziałam ze smutkiem.

— Zawsze jest jakiś sposób.

— Gdybyśmy tylko potrafili go znaleźć...

— Moglibyśmy znaleźć go razem.

Raz wydało mi się, że dostrzegam Gwennie w jednym z okien, a kilka godzin później spotkałam ją, przechodząc przez galerię. Stała przed jednym z portretów. Był to przodek Landowerów, podobny do Paula.

— Interesujące są te obrazy — zauważyła. — I pomyśleć, że namalowano je tyle lat temu. Pewnie w swoim czasie niektóre były piękne.

Nie odpowiedziałam, lecz patrzyłam na portrety. W oczach Gwennie zapłonęła ciekawość.

— Chciałabym się czegoś o nich dowiedzieć — powiedziała. — Na pewno były jakieś legendy. Ale większość świadków dawnych wydarzeń nie żyje... Łatwiej wykryć, co się dzieje między żywymi. Jestem pewna, że roi się tu od tajemnic, a ty?

— Mam wrażenie, że zdążyłaś już poznać dzieje rodziny — odrzekłam chłodno.

— Och, nie interesują mnie zmarli.

Jej oczy błyszczały. Co miała na myśli? Słyszałam, że z nienasyconą ciekawością szpieguje własną służbę. O ile bardziej muszą ją obchodzić sprawy własnego męża!

Muszę uciekać z Landower.

Ciocia Mary zdawała się podzielać moje uczucia.

— Chcę wracać do domu — oznajmiła.

— Wiem. Porozmawiam z lekarzem.

— Tym razem ja z nim porozmawiam — oświadczyła.

Zrobiła to, a rezultatem była narada między doktorem, Paulem i mną.

— Myślę, że można przewieźć ją do domu — zgodził się lekarz. — To będzie trudne, ale ona tak bardzo martwi się o Tressidor, że uznałem, iż powinniśmy spełnić jej życzenie.

Paul zaprotestował. Chciał, abyśmy pozostały w jego domu. Tłumaczył, że podróż może być dla rannej niebezpieczna. Doktor odrzekł jednak:

— Nie możemy już nic dla niej zrobić. Niech więc przynajmniej czuje się spokojna. Tak będzie dla niej najlepiej.

I tak decyzja została podjęta.

Położono staruszkę na noszach, które wydawały się w tej sytuacji najlepszym środkiem transportu, i zaniesiono do Tressidor.

* * *

Stan cioci Mary poprawił się trochę. Nie mogła wstawać z łóżka, ale odzyskała nieco dawnej energii. Cokolwiek dolegało jej ciału, umysł pracował z imponującą sprawnością.

Opiekowałam się nią bez przerwy. Dni mijały niepostrzeżenie, wypełnione zajęciami, a ja byłam zadowolona, że nie mam czasu zastanawiać się nad przyszłością. Wiedziałam, że ciocia nigdy nie będzie chodzić, i zastanawiałam się, jaki wpływ wywrze to na jej charakter. Wbrew sobie coraz bardziej przywiązywałam się do Paula. Często przychodził zapytać o zdrowie cioci i zawsze starał się zostać ze mną sam na sam.

Lubiłam też widywać się z Jagonem. Ofiarowywał mi balsam, jakiego potrzebowałam. Nigdy nie był ponury i mogłam pośmiać się od czasu do czasu z jego gadaniny.

Kiedy spytałam go o maszynę, odpowiedział:

— Cały kłopot z temperaturą topnienia. Ale mam swoje plany. Usłyszysz o nich we właściwym czasie.

Nie wierzyłam mu, lecz wkrótce z tajemniczą miną wsiadł znowu do pociągu, zadowolony z siebie jeszcze bardziej niż zwykle.

Nadeszła wiosna. Olivia pisała często i wciąż wyczuwałam w jej listach tę samą nutę smutku, a czasem nawet lęku. Gdybym mogła zostawić ciocię Mary, pojechałabym do Londynu natychmiast.

Zawsze uważałam, że kwiecień to śliczny miesiąc — zwłaszcza w Lancarron. Często padało, ale deszcze przeplatały się ze wspaniałą, słoneczną pogodą, a ja uwielbiałam przechadzki po mokrym ogrodzie. Jeździłam konno i czasem spacerowałam. Szłam przez pola kukurydzy, upstrzone kwitającymi niebiesko przetacznikami, i przez łąki, ocienione kasztanowcami tonącymi w białym kwieciu. Minął kolejny rok, a prawie sześć od jubileuszu królowej, który okazał się dla mnie tak fatalny. Miałam dwadzieścia lat. Większość kobiet w moim wieku było mężatkami.

Taka myśl musiała też przyjść do głowy cioci Mary, bo kiedy usiadłam przy jej łóżku, powiedziała:

— Chciałabym zobaczyć twój ślub, Caroline.

— Och, ciociu. Myślałam, że będziesz raczej sławiła korzyści wolnego stanu.

— Ma swoje dobre strony, oczywiście, ale uważam, że jest tylko jednym z członów alternatywy.

— Wycofujesz się więc. Naprawdę myślisz, że małżeństwo to idealne wyjście?

— Tak przypuszczam.

— Weź na przykład moją matkę i twego kuzyna. Pomyśl o Paulu i Gwennie Landowerach... a także o mojej siostrze i Jeremym. Cóż to za idealny stan!

— Są wyjątki.

— Naprawdę? Mówię o ludziach, których znam najlepiej. — Czasem małżeństwo może być dobre. Jest takie... dla ludzi rozsądnych.

— Myślisz, że ja jestem rozsądna?

— Tak, myślę, że jesteś.

— Wcale nie jestem tego pewna. Prawie wyszłam za mąż za Jeremy'ego Brandona i byłam święcie przekonana, że jestem tą, której pragnie. Nie przeszło mi przez myśl, że stanowią dla niego pewnego rodzaju zabezpieczenie. Co za szczęście, że uciekłam! Ale ocalenie zawdzięczam przychylnemu losowi, nie własnemu zdrowemu rozsądkowi.

— Nie popełniłabyś tego samego błędu po raz drugi.

— Ludziom ciężko wyleczyć się z tego rodzaju głupoty.

— Chciałabym, żeby sprawy tutaj przybrały inny obrót.

— Co masz na myśli? Tak dużo dla mnie zrobiłaś.

— Nonsens! Sprowadziłam cię, bo chciałam, żebyś była przy mnie. Spójrz na mnie teraz... jestem dla ciebie ciężarem.

— Jak możesz wygadywać takie rzeczy! To śmieszne i całkiem nieprawdziwe.

— Dziś może naprawdę tak myślisz. Ale jak długo będę w tym stanie, co? Nie wiemy. Może

całe lata. Nie chcę uwiązać cię do swojego łóżka.

— Jestem tu, bo chcę tu być.

— Chciałabym, żeby zjawił się odpowiedni mężczyzna.

— Nie spodziewałabym się tego po tobie, ciociu. Czy wciąż myślisz o rycerzu w lśniącej zbroi, na białym rumaku? Jestem tu szczęśliwa. Kocham pracę, której mnie uczysz. Czuję się... potrzebna. Zrobiłaś dla mnie wszystko, ciociu. Więc dosyć tych głupstw, bardzo proszę.

— W porządku — odpowiedziała — ale naprawdę uważam, że mogłabyś być szczęśliwa w małżeństwie.

— Do małżeństwa trzeba dwojga.

— Łatwo znalazłabyś tego drugiego. Kiedy dwoje rozsądnych partnerów postanawia, że ich związek będzie trwały i udany, nie mogą przegrać. Ludzie są zbyt zaabsorbowani sobą, ot co.

— Ludzie są ludźmi.

— Lubię Landowerów — ciągnęła. — To zabawne... wrogość między dwoma rodami. Może nadal istnieje. Szkoda, że nie mamy Romea i Julii... ale ze szczęśliwym zakończeniem, oczywiście. Lubię Jagona.

— Wszyscy go lubią.

— Można by go poskromić. Roześmiałam się z jej słów.

— Mówisz, jakby był dzikim zwierzęciem.

— Pomyślałam, że pod tą pianką niefrasobliwości mogą się kryć szlachetne uczucia.

— On nigdy się nie zmieni.

— Myślę, że kobieta mogłaby go zmienić... dodać mu powagi... skłonić do ustatkowania się.

— Spojrzała na mnie ze smutkiem.

— Droga ciociu — powiedziałam — nie jestem Julią, a on nie jest Romeem. To kiepski pomysł.

— Pewnie masz rację.

Kiedy wychodziłam od niej tego wieczoru, wydawała się zupełnie taka jak zwykle.

Następnego ranka, gdy się ubierałam, usłyszałam pukanie do drzwi. Weszła jedna ze służących. Była blada i drżała.

— Panno Caroline — powiedziała — poszłam do panny Tressidor z poranną herbatą i...

— Co? Co? — wykrzyknęłam.

— Myślę, że stało się coś złego.

Rzuciłam się do pokoju cioci Mary. Leżała na plecach, blada i nieruchoma. Podeszłam do łóżka i dotknęłam jej policzka. Był zimny.

Ogarnęła mnie straszliwa rozpacz. Ciocia Mary umarła w nocy.

* * *

Przyjechał lekarz; zaprowadziłam go do jej pokoju.

— Nie żyje od kilku godzin — powiedział, popatrzawszy na nią.

— Wczoraj wieczorem była taka jak zwykle.

Pokiwał głową.

— Ale to było nieuniknione — oświadczył. — I z pewnością nie chciałaby żyć dłużej jako kaleka.

— Myślałam, że czuje się lepiej.

— Nie mogła, odniosła zbyt poważne obrażenia. To upór podtrzymywał w niej życie, a także determinacja, by zostawić posiadłość w dobrym stanie. Odgadłem to. I wiedziałem, że wkrótce umrze. Dzięki pani ostatnie tygodnie życia miała naprawdę szczęśliwe, panno Tressidor. Nie można było zrobić nic więcej.

Byłam oszołomiona. Wydawało mi się, że śnię.

Nie umiałam myśleć o Tressidor bez cioci Mary. Nie mogłam uwierzyć, że już nigdy jej nie zobaczę.

A jednak musiałam otrząsnąć się z rozpacz. Było mnóstwo do zrobienia: przygotowanie pogrzebu, powiadomienie znajomych.

Następnego dnia po śmierci cioci Mary przyjechał zobaczyć się ze mną jej prawnik. Wyraził swe głębokie współczucie i powiedział, że ma nadzieję, iż podobnie jak panna Tressidor uznam go za przyjaciela.

— Mam ze sobą list, który mi powierzyła i który miałem wręczyć pani po jej śmierci. Napisała go po wypadku i sądzę, że wyraża jej ostatnią wolę. Chciała przygotować panią do wysłuchania testamentu i powiadomić własnymi słowami o swoich życzeniach.

Wzięłam list. Widziałam, że leżąc w łóżku, sporo pisała i że niektóre z tych papierów przekazała prawnikowi. Musiała wiedzieć, że wkrótce umrze. Była całkowicie świadoma tego, jak poważny jest jej stan. Często powtarzała, że miała szczęście, iż jej obrażenia nie są bolesne, ale rozumiała, że brak bólu oznacza w tym wypadku brak czucia.

Zaniósłam list do swego pokoju, wiedziałam bowiem, że jego lektura będzie bolesnym przeżyciem — i miałam rację. Zaczęłam czytać.

Droga Caroline,

kiedy będziesz czytała ten list, ja będę już martwa. Nie życzę sobie, abyś nosiła po mnie żalobę. Dobrze się stało, jak się stało. Nie sądzisz chyba, że wytrzymałabym miesiące — a może lata — unieruchomiona w łóżku. To wbrew mojej naturze. Stałabym się okropną, zdziwaczalą staruchą — niewdzięczną, drażliwą, skłoną gryźć rękę opiekuna ...czyli Twoją, bo Ty, moja droga, wniosłaś najwięcej radości do mojego życia. Gdy tylko się pojawiłaś, od razu Cię pokochałam.

No cóż, teraz odchodzę i bardziej niż czegokolwiek pragnę mieć pewność, że nie spotka Cię nic złego... o ile, oczywiście, zależy to ode mnie... bo odpowiedzialność spoczywa głównie na Tobie.

Pracowałaś w Tressidor i dużo wiesz o posiadłości. Więc zostawiam ci Tressidor... z całym kramem, jak mówią. Prawnie wszystko jest załatwione. Imogena z pewnością będzie próbowała wtrącić swoje trzy grosze, ale wzięłam to pod uwagę. Powie, że jest moją najbliższą krewną i że majątek powinien do niej należeć. Widzisz ją tutaj? Co zrobiłaby z domem? Doprowadziłaby do ruiny... czy raczej sprzedała. Tyle tylko dla niej znaczy... kapitał. Nie, nie, tak być nie może. Tressidor należy do mnie, a ja chcę przekazać je Tobie.

Wiem, że nie łączą nas żadne więzy krwi, ale jesteś taka jak ja, Caroline. Jesteś silna. Zależy Ci na domu. Należysz do rodziny Tressidorów przez adopcję. Mówią, że krew gęstsza niż woda. To prawda co do krwi i wody, ale nie w stosunku do ludzi. Jesteś mi bliższa niż którykolwiek członek mojej rodziny.

No dobrze, zatem Tressidor będzie Twoje. Wiesz już co nieco o zarządzaniu majątkiem i jeszcze wiele się nauczysz. Kiedy odczytają moją ostatnią wolę, przekonasz się, jak to obmyśliłam. Jimem Burrowsem trzeba kierować, jeśli zostanie, by Ci pomóc. To pracownik uczciwy i lojalny, wiem o tym. Wszystko będzie dobrze. Mam przekonanie, że posiadłość rozkwitnie pod Twoimi rękami. Masz do tego smykalkę.

Wiem, że od dawna rozważałaś, co zrobić z własnym życiem i myślałaś o znalezieniu posady. Teraz nie ma takiej potrzeby. Będziesz panią na Tressidor.

Prawnicy wyjaśnią Ci wszystko. Pomogą, kiedy będzie trzeba. Wraz z nimi, bankiem i Jimem Burrowsem na pewno dasz sobie radę. Masz teraz Tressidor i wszystko, czego trzeba, by zachować posiadłość w stanie, w jakim ją dostałaś.

Teraz słówko o Tobie. Wiem, że przeżyłaś okropny szok, gdy ten głupi paniczek odwrócił się od

ciebie. Myślę, że to Cię odmieniło i napełniło rozczarowaniem. Nie ma w tym nic dziwnego. Odniosłam wrażenie, że znalazłabyś szczęście przy boku kogoś innego... ale to ślepa uliczka. Czasem myślę, że masz w sercu zarodek choroby, gorycz, która fałszuje Ci obraz niektórych sfer życia. Gdybym powiedziała: „Odetnij się od tego”, odrzekłabyś pewnie: „Nie mogę”. Wiem, że to trudne, ale nie będziesz szczęśliwa, dopóki nie uwolnisz się od tej goryczy. Bierz, co daje Ci życie, Caroline, i bądź mu wdzięczna. Czasem życie jest kompromisem. Moje nim było. Zrobiłam możliwie najlepszy użytek z tego, co mi ofiarowano i w sumie było to dobre życie.

Mówiliśmy czasem o małżeństwie. Chciałabym, żebyś została szczęśliwą żoną i matką. Wydaje mi się, że jesteś do tego stworzona. Potrzebujesz bardzo wyjątkowego mężczyzny. Mężczyzny, który umiałby Tobą pokierować — do pewnego stopnia, oczywiście — czyli bardzo mądrego i silnego. Musi to być ktoś, kto wzbudzi w Tobie szacunek. Pamiętaj o tym, droga Caroline.

Teraz kończę już swoje kazanie.

Żegnaj, moje dziecko. Tak właśnie myślę o Tobie... jako o córce, której nigdy nie miałam. A gdybym miała, pragnęłabym, aby była dokładnie taka jak Ty.

Pomyślałam, że powinnaś być przygotowana na to wszystko, gdy będą odczytywać mój testament. Inaczej mogłabyś przeżyć wstrząs.

Mam Ci do powiedzenia jeszcze jedno, a mianowicie: nie trap się moim odejściem. Pamiętaj, że to najlepsze, co się wydarzyło od czasu, gdy biedny stary Cezar potknął się o tamto drzewo. Nie wytrzymałabym takiego życia. Znacznie lepiej dla mnie, że umarłam, ocalając godność i pewien szacunek do siebie.

Dziękuję, że byłaś dla mnie tym, kim byłaś. Spróbuj znaleźć swoje szczęście. Nie przepadam za poezją, jak wiesz, ale kiedyś trafiłam na ten fragment. Szekspir, jak mi się zdaje — wyraził piękniej i bardziej przejmująco, niż sądziłam, że to możliwe, wszystko, co chciałam ci powiedzieć na temat mojego odejścia.

Kiedy odejdę, dłużej nie rozpaczaj,
Niż będziesz słyszał mosiężny jęk dzwonu,
Który ostrzega, iżem zbiegł ze świata
Z robactwem marnym dzielić próchno domu.

Czytając wiersz mój nie wspominaj ręki, Która go kreśli; tak bardzo cię kocham, Iż wolej obraz wydarłbym z pamięci Niż choćby jedną łzę z twojego oka *

Twoja ciocia Mary

Byłam oszołomiona bólem. Wiedziałam, że powinnam była spodziewać się jej śmierci, ale mimo to przeżyłam szok. Cieszyłam się, że jest tak wiele do zrobienia i że świadomość nowej odpowiedzialności pomaga mi przetrwać te okropne dni.

Posępne bicie dzwonów, gdy trumnę składano do grobu, rozbrzmiewało w mojej głowie niekończącym się echem. A sens tego dźwięku przepelniał mnie rozpaczą. Tęskniłam za cicią z wielu powodów. Chciałam opowiedzieć jej o drobnych wydarzeniach, które miały miejsce w majątku. Czasem nie mogłam uwierzyć, że już nigdy jej nie zobaczę. Przywoływałam w myślach sceny z pierwszego dnia pobytu w Kornwalii, gdy przyjechałam z Londynu z przekonaniem, że moja krewna jest ludożercą w spódnicy, by wkrótce doświadczyć życzliwości i serca cioci Mary, które tak wiele znaczyły dla samotnego dziecka.

Nie płakałam. Czasem przychodziło mi do głowy, że mój żal jest zbyt głęboki, by mógł wyrazić

* William Shakespeare, „Sonet 71”, przeł. Jerzy S. Sito (przyp. red.).

się łzami. Przeżywałam tamte dni niczym nocny koszmar. Odgłos ziemi spadającej na trumnę, żałobnicy wokół grobu, powrót do domu i uroczyste odczytanie testamentu, a potem to, w jaki sposób ludzie patrzyli teraz na mnie.

Byłam panią Tressidor — ale wcale się nie cieszyłam.

Radość miała nadejść później. Było prawie tak, jakby ciocia Mary trzymała mnie za rękę. Powtarzałam bez przerwy strofy, które zacytowała w swoim liście. Naprawdę tak myślała. Muszę przezwyciężyć rozpacz. Muszę skupić całą uwagę na tym, co naprawdę się liczy. Ten majątek był jej życiem i przekazała go w moje ręce.

Jim Burrows przyszedł do mnie i z wielkim zapałem powiedział, że będzie pomagał mi z takim samym oddaniem, z jakim pracował dla cioci Mary.

Objechałam posiadłość i rozmawiałam z dzierżawcami.

Było to satysfakcjonujące. Wielu z nich dało do zrozumienia, mniej lub bardziej bezpośrednio, że z przyjemnością widzą we mnie swoją nową panią. Wiedzieli, że wszystko będzie jak przedtem. Obawiali się przybysza z zewnątrz.

Wyobraziłam sobie grozę, jaką wzbudziłyby w nich ciotka Imogena, i po raz pierwszy od śmierci cioci Mary zdobyłam się na blady uśmiech.

Posiadłość stała się dla mnie wybawieniem. Pracowałam i to łagodziło moją rozpacz. Byłam zdecydowana doprowadzić Tressidor do rozkwitu, by nie zawieść cioci Mary, jeśli mogła mnie obserwować.

Gwennie przysłała złożyć mi kondolencje.

— Słowo daję — powiedziała — ale ci się trafiła gratka.

W jej oczach błyszczała zachłanność. Byłam pewna, że Gwennie oblicza w myślach wartość majątku.

Potraktowałam ją chłodno i nie została długo. Reakcja Paula była inna.

— To oznacza — oświadczył — że nie możesz stąd wyjechać. Zostaniesz z nami... na zawsze.

Tak, pomyślałam. Tak właśnie było. Rozpacz kazała mi zapomnieć o przyszłości — z wyjątkiem przyszłości majątku. Zastanawiałam się, co to oznacza dla Paula i mnie. Lata szamotaniny... a może ulegniemy pokusie. Ludzie są słabi, próbują postępować godnie, lecz z czasem tracą czujność i wówczas bariery znikają. Co potem?

Kto mógł to wiedzieć?

Jago był tak uroczysty, jak nigdy przedtem. Wydawał się rozumieć moją rozpacz, choć jej nie podzielał.

Wygłosił komentarz podobny do słów Paula:

— Dobrze wiedzieć, że stąd nie wyfruniesz. Słusznie zostawiła ci wszystko, zasłużyłaś na to!

Pragnęłam zapewnić wszystkich w majątku, że postaram się zabezpieczyć ich przyszłość. Odwiedziłam każdego, w tym, oczywiście, Jamiego McGilla w jego domu.

— Chcę, abyś wiedział, Jamie, że nie zamierzam wprowadzać żadnych zmian. Chcę, żeby wszystko było jak dawniej — zapewniłam go.

— Wiedziałem, że tak pani powie, panno Caroline. To najlepsza rzecz, jaka się zdarzyła, odkąd straciliśmy pannę Tressidor. Mamy drugą pannę Tressidor, równie dobrą jak pierwsza.

— Cieszę się, że tak uważasz.

— Stało się tak, jak stać się powinno.

— Dziękuję, Jamie.

— Powiedziałem pszczołom. Teraz wiedzą. Wiedzą, że ktoś umarł i są zadowolone, że to pani zajmie opuszczone miejsce.

Uśmiechnęłam się do niego blado.

— Wszędzie wokół panuje okropny smutek — dodał. — Nie mogę na to patrzeć. Wiedziałem,

że śmierć się zbliża. Wiedziałem, że przyjdzie.

— Widzisz takie rzeczy, Jamie?

— Czasem. Nie mówię o tym, bo ludzie się śmieją i uważają, że jestem szalony. Może jestem. Ale widziałem śmierć tak wyraźnie, jak teraz widzę panienkę. I wciąż ją czuję.

— Śmierć zawsze krąży wokół nas... jak narodziny. Ludzie przychodzą i odchodzą. Takie jest prawo życia — zauważyłam.

— Czasem chodzą trójkami. — Pokiwał głową. — Widywałem takie rzeczy. Panna Tressidor była z nami... taka dobra pani... a następnego dnia koń zrzucił ją na ziemię i po wszystkim.

— Takie jest życie.

— I śmierć również. Robi mi się zimno, gdy o tym myślę. W kogo uderzy następnym razem? Kto to wie?

Zapucił mgliste spojrzenie w przyszłość.

Wstałam i powiedziałam, że muszę iść.

Podszedł ze mną do drzwi. Zmienił się nagle. Wyglądał teraz na szczęśliwszego.

Kwiaty w ogrodzie pokazywały swoje kolory, a powietrze wypełniał ich zapach i brzęczenie pszczoł nad krzakami lawendy.

* * *

Dostałam list od Olivii. Wyrażała żal z powodu śmierci cioci Mary, wiedziała bowiem, jak bardzo ją kochałam, a jednocześnie cieszyła się, że Tressidor należy teraz do mnie.

Jestem pewna, że na to zasługujesz, i jestem pewna, że Ci się uda. Ale to ogromna odpowiedzialność. Jesteś jednak inteligentna, w przeciwieństwie do mnie. Będiesz równie dobrą dziedziczką, jak ciocia Mary. Ciotka Imogena twierdzi, że to szaleństwo, ale jest bezradna. Poszła do prawników, a oni oświadczyli, że w sądzie nie ma szans. Złości się, że nic nie może zrobić. Ja jestem jednak zadowolona, bo wiem, że dobrze się stało, chociaż zdaję sobie sprawę, jak tęsknisz za ciocią Mary.

Jestem coraz bliższa rozwiązaniu. Spróbuj do mnie przyjechać, Caroline. Bardzo pragnę zobaczyć się właśnie z Tobą. Mam powód. Możesz przyjechać wkrótce? To raczej pilne. Będę Ci bardzo wdzięczna.

Twoja kochająca siostra, Olivia.

Znów te niedomówienia. Wiedziałam, że pragnie o czymś ze mną porozmawiać. Dlaczego wszakże o tym nie napisała? Może to zbyt intymne sprawy. Widocznie nie chciała powierzać tego listowi.

Odbyłam naradę z Jimem Burrowsem. Powiedziałam mu, że martwię się o siostrę i chcę do niej jechać. Mogłam odłożyć ten wyjazd aż do narodzin dziecka, ale sądziłam, że Olivia pragnie zobaczyć się ze mną wcześniej.

Jim przyrzekł, że dopilnuje wszystkiego i że mogę bez obaw zostawić posiadłość pod jego opieką.

Mogłam więc poczynić przygotowania i wyruszyć.

Rozdział 9

Zemsta

Kiedy przyjechałam do Londynu, miasto szykowało się do ślubu księcia Yorku z księżniczką Marią Teck, która wcześniej była zaręczona z bratem Yorka, Clarence'em.

Wszyscy rozprawiali o „ukochanej narzeczonej”, którą księżę odziedziczył po starszym bracie — jedni z sympatią, inni z cynizmem.

Ale niezależnie od tego, jak oceniano postępowanie Marii, wszyscy spodziewali się prawdziwie królewskiej uroczystości. Londyn był pełen przyjezdnych, a sprzedawcy oferowali na ulicach pamiątki związane ze zbliżającą się ceremonią.

Jak poprzednio, wchodziłam do domu Olivii nie bez pewnego wzruszenia. Tu spędziłam dzieciństwo. Panna Bell powitała mnie w holu.

— Cieszę się, że przyjechałaś, Caroline. Olivia tęskni za tobą. Przekonasz się, że jest trochę zmieniona — powiedziała.

— Zmieniona?

— Cięża jest dla niej trudnym okresem. Nastąpiła zbyt szybko.

— No cóż, wkrótce będzie po wszystkim. Dziecko przyjdzie na świat.

— Lada dzień.

— Mogę iść do niej od razu?

— Tak będzie najlepiej. Potem możesz pójść do swego pokoju... swego dawnego pokoju, oczywiście. Lady Carey jest u nas.

Skrzywiłam się lekko.

— Jest tu od kilku tygodni. Podobnie jak akuszerka.

— A... eee... pan Brandon?

— Tak, tak. Martwimy się wszyscy troszeczkę, ale Olivia nie powinna o tym wiedzieć.

— Coś jest nie w porządku?

— Chodzi o to, że nie miała czasu odpocząć po wydaniu na świat Livii. Wielka szkoda, że tak szybko znów zaszła w ciążę, nigdy nie była zbyt silna... w przeciwieństwie do ciebie. Ale jest pod dobrą opieką.

— Idę do niej — powiedziałam.

Moja siostra siedziała w łóżku wsparta na poduszkach. Poczułam się wstrząśnięta jej wyglądem. Włosy Olivii straciły połysk, a podkrążone oczy wydawały się większe niż kiedykolwiek.

Zabłyły jednak radością na mój widok.

— Caroline, przyjechałaś! Podbiegłam do łóżka i objęłam ją mocno.

— Najszybciej, jak mogłam.

— Tak, wiem. To musiało być okropne. Ciocia Mary... i wszystkie zmiany.

— Tak — odrzekłam. — To było okropne.

— I zostawiła ci Tressidor.

— Zaraz wszystko opowiem.

— Jesteś taka mądra, Caroline. Nigdy nie byłam tak mądra jak ty.

— Nie... nie jestem mądra... bardzo głupia... często. Ale pomówmy o was. Jak moja chrzestna córka?

— Teraz śpi, zdaje mi się. Niania się nią zajmuje, i panna Bell, oczywiście.

— Widziałam ją w holu.

Patrzyłam na Oliwię z lękiem. Choć wiedziałam, że kobieta zmienia się tuż przed porodem,

twarz mojej siostry miała okropny, woskowy odcień, a w oczach malował się wyraz wyczerpania. Troska o nią wyparła tęsknotę za ciotką Mary.

— Musisz być wyczerpana po podróży.

— Ani trochę. Tylko brudna.

— Wyglądasz cudownie. Zawsze zapominam, że masz tak intensywnie zielone oczy i potem jestem zdumiona. Caroline, nie odjedziesz wkrótce, prawda?

— O nie. Zostanę tak długo, jak będę mogła.

Idź teraz do swego pokoju... umyj się i przebierz. Jestem pewna, że tego właśnie chcesz... a potem zjemy kolację, tu, na górze.

— Cudownie.

W porządku. Idź teraz, ale szybko wracaj. Mam ci dużo do powiedzenia.

Zostawiłam ją i poszłam do pokoju, tak dobrze mi znanego. Rozpakowałam walizkę, a potem umyłam się w ciepłej wodzie, którą mi przyniesiono. Przebrałam się i udałam do Olivii.

— Chodź i siadaj koło mnie — powiedziała.

— Przykro mi, że nie mogłam przyjechać wcześniej. Byłam już spakowana, jednak ten wypadek...

— Tak, wiem. Tak bardzo chciałam z tobą porozmawiać. Spojrzałam na nią uważnie i powiedziałam:

— Domyśliłam się tego.

— Chodzi o Livię.

— Co z nią?

— Chcę wiedzieć, że jest bezpieczna.

— Czy coś jej się może stać?

— Nie. Jest zdrowym, energicznym dzieckiem. Nic jej nie grozi. Chciałam tylko upewnić się, że jeśli mnie spotka coś złego, ona będzie bezpieczna.

— Co masz na myśli... jeśli spotka cię coś złego?

Straszliwy strach ścisnął mi serce. Kilka tygodni wcześniej stanęłam twarzą w twarz ze śmiercią. Nie chciałam doświadczyć tego znowu... nigdy.

— Miałam na myśli... jeśli coś mi się przytrafi. Poczułam nagle wściekłość, nie na Livię, lecz na los.

— Kiedy ludzie używają tego wyrażenia, mają na myśli śmierć. Dlaczego nie mówią wprost? — powiedziałam.

— Och, Caroline, jesteś taka gwałtowna. Zawsze byłaś. A jednak masz rację. To znaczy, martwię się, że jeśli umrę... co się stanie z Livią?

— To absurd mówić teraz o śmierci. Jesteś młoda, nic ci nie dolega. Kobiety codziennie rodzą dzieci.

— Nie złość się. Po prostu chcę być spokojna. Jesteś jej matką chrzestną. Pragnę, żebyś to tyją wzięła. Teraz, kiedy masz tę... posiadłość... jesteś bogatą kobietą... możesz to zrobić. Tak czy inaczej, dostanie część moich pieniędzy... i ty także... więc możecie być razem. Wszystko jest załatwione u prawników, ale cieszę się, że jesteś bogata.

— To właśnie chciałaś mi powiedzieć? Skinęła głową.

Oślupiałam. Wiedziałam, że coś się stało, ale sądziłam, że chodzi o wybryki Jeremy'ego. To było zupełnie niespodziewane.

— Och, Olivio, skąd te pomysły?

— Noszenie dziecka to mordęga. Pomyślałam po prostu...

— Nie okłamuj mnie — odezwałam się stanowczo. — Powiedz, o co naprawdę chodzi.

— To był dla mnie ciężki okres, Caroline. Mówią, że nie powinnam... tak szybko. Większość

czasu spędziłam w łóżku. Po prostu mam przecucie, że coś się stanie... to znaczy, że umrę.

— Olivio, nie możesz tak się poddawać.

— Wiem, że ty wierzysz, iż można stawić czoło wszystkiemu.

— Ale co ci każe tak myśleć?

Dotknęła dłonią piersi i powiedziała:

— Jakiś głos tutaj.

Patrzyłam na Olivię z rozpaczą, a ona ciągnęła:

— Powierzam ci Livię bez żadnych obaw. Mam do ciebie całkowite zaufanie. Będiesz dla niej lepsza niż ja...

— Nonsens. Nikt nie może być lepszy od prawdziwej matki.

— Nie sądzę, abyś miała rację. Byłam zbyt zmęczona, by spędzać z nią dużo czasu. Jestem miękka i głupia. Będiesz dla niej lepszą matką, a także obdarzysz ją miłością. Jest bardzo kochana.

— Przestań! — krzyknęłam. — Nie będę tego słuchać. Całe to gadanie o śmierci jest bardzo głupie. Mam dosyć śmierci. Właśnie straciłam kogoś bardzo bliskiego. Nie chcę myśleć o nowej stracie.

— Och, Caroline, tak się cieszę, że przyjechałaś. Nie mówmy o tym więcej. Po prostu daj mi słowo. Weźmiesz Livię, prawda?

— Nie chcę słyszeć o takich...

— Obiecaj, a nie powiem nic więcej.

— No dobrze... oczywiście, że ją wezmę.

Uścisnęła moją rękę.

— Teraz jestem zadowolona. Opowiedz mi o Kornwalii. Nie o pogrzebie, ale o tym, co zdarzyło się przedtem i potem. Wszyscy ci ludzie... Jago i Paul Landowerowie oraz ten człowiek od pszczoł.

Usiadłam obok niej na łóżku i zaczęłam opowiadać. Próbowałam żartować. Nie było to łatwe, bo kiedy wspominałam radosne dni przed śmiercią cioci Mary, uświadamiałam sobie natychmiast, że nigdy już jej nie zobaczę.

Olivia cieszyła się z mojej obecności i to dodawało mi otuchy. Zjadłyśmy lekką kolację w jej pokoju, a kiedy na twarzy mojej siostry pojawiło się ożywienie, stała się podobniejsza do tej dawnej dziewczyny.

Powiedziałam jej dobranoc i poszłam do ciotki Imogeny, która chciała ze mną porozmawiać.

Powitała mnie nieco życzliwiej niż dawniej i wydała mi się mniej straszna. Nie byłam pewna, czy dlatego, że się zestarzała, czy dlatego, że miałam więcej pewności siebie. Wujek Harold stał przy żonie — bojaźliwy jak zawsze i bardzo serdeczny.

— Jak się czujesz, Caroline? — spytała ciotka Imogena. — Musisz być bardzo zadowolona z tego, co się stało.

— Bardzo tęsknię za ciocią Mary — odrzekłam chłodno.

— Tak, tak, oczywiście. Więc jesteś teraz bardzo bogatą kobietą.

— Tak przypuszczam.

— Wydaje mi się, że ty i ciocia Mary bardzo się kochałyście — powiedział wujek Harold.

Uśmiechnęłam się do niego i skinęłam głową.

— Była życzliwą, szczerą kobietą — dodał.

— Nie miała żadnych praw do Tressidor i naturalnie to ja powinnam odziedziczyć dom — oświadczyła ciotka Imogena. — Jestem najstarsza w rodzinie. Mogłabym, oczywiście, zakwestionować testament...

— Nie, Imogeno. Wiesz... — zaczął mówić wujek Harold. — Mogłabym zakwestionować

testament — powtórzyła — ale cóż... nie chcemy skandalu.

— Ciocia Mary chciała, żebym to ja odziedziczyła Tressidor — odpowiedziałam. — Wiele mnie nauczyła o zarządzaniu majątkiem.

— To nieodpowiednie zajęcie dla kobiety — oznajmiła ciotka.

— Więc dla ciebie także — zauważyłam.

— Mam męża.

Biedny wujek Harold! Spojrzał na mnie przeprasząco.

— Zapewniam, ciciu Imogeno, że posiadłość nie tylko nie ucierpiała w rękach ciotki Mary, ale wręcz rozkwitła. Zamierzam kontynuować jej pracę.

Wujek prawie zaczął klaskać, ale w porę przypomniał sobie o obecności żony.

— Martwię się o Olivię. Nie wygląda dobrze — powiedziałam.

— Jest w błogosławionym stanie — przypomniała mi ciotka.

— Jest zbyt słaba nawet jak na swój stan.

— Nigdy nie była silna.

— Gdzie jej mąż?

— Wkrótce wróci, jak przypuszczam.

— Wychodzi co wieczór?

— Załatwia interesy.

— Dziwne, że nie jest przy żonie w takim okresie.

— Droga Caroline — odezwała się ciotka z uśmiechem — mieszkałaś z ciotką Mary, starą panną, a sama także nie masz męża. Co możesz wiedzieć o zwyczajach mężów?

— Ale wiem coś o szacunku, jaki winien jest człowiek drugiemu człowiekowi.

Sprawił mi przyjemność ten pojedynek z ciotką Imogeną, z wujkiem Haroldem w roli sędziego, który chętnie przyznałby mi punkty, gdyby tylko się odważył.

Stosunek Imogeny do mnie wydał mi się zabawny. Nie lubiła mnie, lecz jako właścicielka posiadłości ziemskiej znacznie urosłam w jej oczach. I chociaż ubolewała nad faktem, że odebrałam Tressidor „prawowitej spadkobierczyni”, jednocześnie mnie za to podziwiała.

Widziałam, że nie zdołam obudzić w niej prawdziwego zainteresowania stanem Olivii, więc zdecydowałam wypytać rano pannę Bell.

Położyłam się do łóżka niedługo potem, choć nie miałam nadziei, że zasnę.

Nie mogłam otrząsnąć się z przygnębienia.

Zaledwie ochłonęłam po tragedii, jaką była dla mnie śmierć ciotki Mary, gdy na horyzoncie pojawiła się nowa. Ale Olivia dawała się jedynie ponieść wyobraźni — tłumaczyłam samej sobie. Zwykle zdenerwowanie przed wydaniem na świat dziecka. Zostać zmuszoną do takiego wysiłku po raz drugi w tak krótkim czasie — to musiało przerazić każdą kobietę... zwłaszcza tak bojaźliwą jak moja siostra.

Przewróciłam się na drugi bok i od razu wrócił do mnie dramat wypadku ciotki Mary, a potem lęk o Olivię.

To była okropna noc.

Rano stanęłam twarzą w twarz z Jeremym. Wyglądał elegancko jak zwykle.

— Witaj, Caroline! — wykrzyknął. — Jak wspaniale cię widzieć!

— Jak się masz? — odparłam chłodno, dając do zrozumienia, że pytanie jest wyłącznie retoryczne i nie interesuje mnie odpowiedź.

— Jak zawsze. A ty?

— Jak zawsze. Chciałabym móc to powiedzieć o Olivii.

— No cóż, w tych okolicznościach... ale wkrótce poczuje się lepiej.

— Martwię się o nią.

— Zdaje się, że nie wiesz zbyt wiele o takich sprawach, prawda?

— Nie. Ale wiem, kiedy ludzie wyglądają na chorych.

— To takie słodkie z twojej strony, że się martwisz. Przy okazji, gratuluję. — Uśmiechnął się do mnie.

— Czego?

— Spadku, oczywiście. Co za niezwykła historia! Kto by pomyślał...

— Z pewnością nie ty. Wyznaję, że też byłam zaskoczona.

— Fortuna spadła ci z nieba.

Jego oczy błyszczały prawie z podziwem, gdy na mnie patrzył, i przypomniałam sobie dni naszego narzeczeństwa. Z aurą bogactwa musiałam mu się wydawać tak samo godna zainteresowania, jak na początku naszej znajomości, gdy myślał zarówno o mojej fortunie, jak i osobie.

— Ciocia Mary i ja byliśmy sobie bardzo bliskie — oświadczyłam. — Jej śmierć jest dla mnie bolesnym ciosem.

— Oczywiście. — Wyraz jego twarzy się zmienił; wyrażała teraz troskę i smutek. — Wielka tragedia. Upadek z konia, prawda? Naprawdę ci współczuję, Caroline.

Mistrzowsko panował nad mimiką. Nawet przenikliwy obserwator nie doszukałby się na jego twarzy śladów fałszu. Malowało się na niej głębokie współczucie, ale ja, w swej boleśnie uzyskanej mądrości, widziałam kryjącą się pod współczuciem zachłanność.

Ubawiła mnie myśl, że Jeremy oblicza w myślach mój majątek, i zastanawiałam się, jak traktuje Olivię.

— Słyszałam, że lubisz grać — powiedziałam złośliwie.

— Gdzie słyszałaś?

— Och, mam przyjaciół.

— Słyszałaś o tym w Kornwalii!

— Nie. No dobrze, wiem od znajomych z Londynu.

— Och! — Był zmieszany. — Kto nie lubi odrobiny emocji? Mógłbym kiedyś zabrać cię z sobą.

— Takie rozrywki nie robią na mnie wrażenia. Lubię dbać o to, co mam.

— Mogłabyś to pomnożyć.

— Nie sądzę, by mi się udało, a nawet gdybym wygrała, nie czułabym satysfakcji. Z drugiej strony bałabym się, że przegram. Widzisz, bardzo kiepski ze mnie hazardzista.

— Wszystko jedno, chciałbym cię zabrać... tylko raz.

— Przyjechałam tu do Olivii. Nie będę miała czasu na takie rozrywki. Nie mogę zostać długo.

— Nie. Jesteś odpowiedzialna za Tressidor. Zatrzymasz posiadłość?

— Co masz na myśli?

— Mogłabyś ją sprzedać i wrócić do Londynu.

— Moją główną troską jest dopilnowanie, by wszystko pozostało jak przedtem.

— No cóż, kto wie? Bardzo się cieszę, że tu jesteś, Caroline. Dużo o tobie myślałem.

— Jestem tego pewna... odkąd usłyszałaś o moim spadku.

— Zawsze o tobie myślałem.

— Przepraszam, muszę iść do Olivii.

Odchodząc pomyślałam, że się nie zmienił. Był bardzo przystojny, bardzo uroczy — i bardzo zainteresowany moimi pieniędzmi.

Minęło kilka dni, większość czasu spędzałam z siostrą. Przebywanie z nią przynosiło mi ulgę, gdyż zapominałam o śmierci cioci Mary. Czasem nawet wybuchałam śmiechem. Olivia była bardzo zainteresowana Jamiem McGillem i zadawała wiele pytań na jego temat. Próbowałam

przypomnieć sobie wszystko, co wiedziałam o ekscentrycznych obyczajach mego przyjaciela. Długo mówiłam o pszczołach i innych zwierzętach, którymi się opiekował.

— Jak bardzo chciałabym go zobaczyć — powiedziała.

— Możesz przyjechać i zostać... ty, Livia i to drugie dziecko. Możesz spędzić w Kornwalii całe lato. Dlaczego nie? Tressidor należy teraz do mnie. Chociaż ciocia Mary też bardzo by się cieszyła.

— Och, tak bardzo bym chciała, Caroline.

Rozmawialiśmy o tym, jak spędzałybyśmy czas. Opowiedziałam jej o starej kopalni i ponurych legendach z nią związanych.

— Jeździłybyśmy konno, Olivio. Na pewno pokochałabyś wrzosowisko. Jest dzikie... w pewnym sensie, to znaczy nieposkromione. Pewnie dlatego, że nie można go uprawiać... kamienie, małe potoki, jałowiec i wszystkie kornwalijskie legendy — o upiorach, czarownicach i duchach tworzą niepowtarzalną atmosferę. Pogoda jest wspaniała. Och, Olivio, powinnaś przyjechać. Może wrócisz ze mną?

— Chętnie, Caroline.

— A co z twoim mężem? — Spojrzałam na nią ostro. Dotąd nie wspominałam o Jeremym.

Olivia także milczała na jego temat. Może uznała, że ponieważ kiedyś o mało nie wyszłam za niego za mąż, nie będę miała ochoty o nim rozmawiać.

— Och, Jeremy... nie miałby nic przeciwko temu, jestem pewna.

— Nie chciałby przecież rozstawać się z rodziną, prawda?

— Poradzi sobie.

— Może też będzie chciał przyjechać.

— Och... nie przepada za wsią.

Nie, pomyślałam. Lubi miejskie rozrywki, domy gry, wesołe kobiety... Tak, z pewnością nie przepada za wsią. Nadal planowałam, co będziemy wspólnie robić.

— Za późno na letnie ognisko — powiedziałam. — Ale nic straconego, odłożymy to na przyszły rok. Coroczna wizyta w Kornwalii musi stać się twoim zwyczajem.

Niania przyniosła Livię i bawiliśmy się razem na dywanie. Olivia obserwowała nas z błyszczącymi oczami.

— Jesteś dla niej lepsza niż ja — powiedziała. — Ale prawie cały czas, odkąd się urodziła, ja nosiłam drugie dziecko.

— Wkrótce poczujesz się lepiej, a kornwalijskie powietrze czyni cuda. Jest tam mały chłopiec... synek Landowerów... przepadam za nim. Będzie dobrym towarzyszem zabaw dla Livii.

— Nie mogę się doczekać, Caroline. — I słusznie.

Kiedy zostałam sama z panną Bell, powiedziała do mnie:

— Oli via czuje się znacznie lepiej, odkąd przyjechałaś.

— Martwię się o nią — odrzekłam. Skinęła głową.

— Tak. Nie jest zdrowa. Nigdy nie była tak silna jak ty, a urodzenie Livii kosztowało ją dużo wysiłku. To przyszło za wcześnie... za wcześnie. — Przygryzła wargi i pokręciła głową.

Wiedziałam, że potępia Jeremy'ego i zastanawiałam się, jak dużo wie. Oparłam się pokusie zapytania o to, byłam bowiem pewna, że nie zechce krytykować pana tego domu. Przekonana o męskiej wyższości, uważała niewątpliwie za swego pracodawcę Jeremy'ego, a nie moją siostrę.

Kilka dni później Olivia dostała bólów i w całym domu zapanował chaos. Poród okazał się ciężki. Czułam głęboki niepokój.

Panna Bell i ja razem czekałyśmy na wieści. Ogarnęła mnie melancholia. Myślałam o cioci Mary, o tym, jak łatwo śmierć porwała ją z tego świata.

Drżałam z niepokoju, a godziny czekania wydawały się nam wiecznością.

Wreszcie dziecko przyszło na świat — martwe. Wpadłam w straszliwą rozpacz, gdyż stan Olivii był bardzo poważny.

Poszłam do niej. Leżała w łóżku blada i prawie nieprzytomna. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie.

— Caroline... — Nie miała siły mówić. — Pamiętaj!

Siedziałam przy niej trochę, dopóki nie zasnęła, a potem na palcach wyszłam z pokoju. Patrząc na moją siostrę, tak wycieńczoną i straconą dla świata ludzi, czułam nieznośny ból.

Nie rozbierałam się i siedziałam przy otwartych drzwiach swojej sypialni, bo miałam przeczucie, że Olivia mnie wezwie.

Było po północy i w domu panował spokój. Kategorieczny impuls kazał mi iść do pokoju Olivii. Czułam się prawie tak, jakbym usłyszała jej głos.

Leżała w łóżku z otwartymi oczami. Spojrzała na mnie z uśmiechem.

— Caroline...

Podeszłam do łóżka, usiadłam i wzięłam ją za rękę.

— Przyszłaś... — powiedziała.

— Tak, droga siostrzyczko, jestem tutaj.

— Zostań. Pamiętaj...

— Tak. Zostanę i będę pamiętała. Martwisz się o Livię. Nie ma potrzeby. Jeśli zajdzie taka konieczność, wezmę ją do siebie. Będzie moim własnym dzieckiem.

Poruszyła lekko głową na znak aprobaty. Przez jakiś czas siedziałyśmy w milczeniu. Potem Olivia powiedziała:

— Ja umieram, Caroline.

— Nie... nie... Jutro poczujesz się lepiej.

Pokręciła głową.

— Dziecko umarło. Umarło, zanim się urodziło.

— Czasem tak się zdarza. Będziesz miała następne... zdrowe. Wszystko będzie dobrze.

— Nie więcej... nigdy. Livia...

— Livia jest zdrowa. Jeśli... coś się stanie, wezmę ją do siebie. Będzie moja.

— Teraz jestem szczęśliwa. Nie czuję żalu...

— Olivio, musisz myśleć o sobie. Masz tak wiele powodów, żeby żyć.

Pokręciła głową.

— Masz dziecko... męża...

— Weźmiesz Livię. On...

Przybliżyłam twarz do jej warg.

— On... pieniądze...

Pomyślałam, że Rosie miała rację. A Olivia wie o wszystkim.

— Nie martw się o pieniądze.

— Długi — szepnęła. — Nienawidzę długów.

— Nie musisz się o nic martwić. Zaradzimy temu.

— Flora... Flora Carnaby...

Poczułam mdłości. I o tym wiedziała! Czy to było powodem jej apatii? Olivia przekonała się o męskiej perfidii... jak ja. Ale ja potrafiłam znienawidzić, ona zaś porzuciła nadzieję i schroniła się w śmierć.

Patrząc na siostrę czułam, że dawna gorycz wypełnia mi serce. Jak on śmiał wykorzystać Olivię w ten sposób! Wziąć jej pieniądze, by roztrwonić je na hazard i inną kobietę. Pragnęłam z całej duszy zranić go równie głęboko, jak on zranił mnie.

Mój głos drżał, gdy mówiłam, pochyliwszy się nad nią:

— Olivio, nie ma powodów do zmartwienia. Myśl tylko o tym, żeby wyzdrowieć. Masz mnie, zaopiekuję się tobą. Pojedziesz do Kornwalii. Poznasz ludzi, którzy tak cię zaciekawili. Będziemy razem... wszystkie trzy, ty, ja i Livia. Odetniemy się od fałszu i zdrady. Nikt już nigdy nas nie zrani.

Na jej twarzy odmalował się spokój. Wzięła mnie za rękę. Długo siedziałam na łóżku, trzymając dłoń Olivii z poczuciem, że moja obecność przynosi jej ulgę.

Nigdy już nie usłyszałam jej głosu.

Lekarz został w domu przez cały następny dzień. Wszędzie panował posępny półmrok. Nie chciałam uwierzyć. Śmierć nie powinna przyjść dwa razy w tak krótkim czasie.

A jednak mogła. Olivia umarła. Leżała biała i nieruchoma, z twarzą zdumiewająco młodą, wolną od bruzd wyżłobionych przez lęk i ból. Była znów Olivią z mego dzieciństwa, siostrzyczką, którą chroniłam i na którą czasem patrzyłam z góry, choć była ode mnie starsza. Mimo to kochałam ją całym sercem.

Gdyby nie umarła, zabrałabym ją do Kornwalii. Zapomniałaby o podłym mężu, o straconych złudzeniach.

Zamknęłam się w pokoju i nie chciałam z nikim rozmawiać. Czułam smutek tak głęboki, że obawiałam się, iż pozostanie we mnie do końca życia.

Wiedziała, że umrze. Pamiętałam spokój, z jakim powitała śmierć. Dlatego właśnie chciała się ze mną zobaczyć i dlatego tak bardzo nalegała, bym zajęła się Livią.

Nie chciała zostawić dziewczynki na łasce ojca, który mógł ożenić się po raz drugi z kobietą, która nie dbałaby o pasierbicę. Czy on sam troszczył się o córkę? Czy był zdolny myśleć o kimkolwiek, prócz samego siebie? Olivia bała się, że dziecko zostanie powierzone ciotce Imogenie? Biedna Livia, jakie życie by ją czekało! Oddano by ją pod opiekę niani Loman i panny Bell — dobrych, uczciwych kobiet — ale Olivia chciała dla swojej córki matczynej miłości i wiedziała, że tylko jedna osoba jest zdolna ją tym obdarzyć. Ja.

Kiedy zdałam sobie sprawę ze spoczywającej na mnie odpowiedzialności, moja melancholia rozproszyła się nieco. Poszłam do pokoju dziecinnego i bawiłam się z malutką. Zbudowałam dla niej zamek z klocków. Pomagałam stawiać chwiejne kroki. Turlałam się z nią po dywanie. Poczulałam ulgę.

Żałobna tablica została powieszona przed domem tak samo, jak po śmierci Roberta Tressidora. Bolesne doświadczenie, które tak niedawno spadło na mnie w Kornwalii, wróciło w nieco tylko odmienionej postaci. Żałobnicy w czerni, przystrojone na czarno konie, okropny dźwięk dzwonu i procesja z kościoła do grobu.

Wchodząc do kościoła, dostrzegłam Rosie. Uśmiechnęła się do mnie smutno. Byłam zadowolona, że przyszła.

Szłam obok Jeremy'ego. Wydawał się bardzo przygnębiony i doskonale grał rolę niepokieszonego małżonka. Pomyślałam, że pogarda do niego pomoże mi znieść rozpacz. Zastanawiałam się cynicznie, czy choć odrobina jego cierpienia jest autentyczna i czy już oblicza, jaką część fortuny zostawiła mu zmarła żona.

Stałam nad grobem między nim a ciotką Imogeną, której towarzyszył wujek Harold. Ciotka Imogena ocierała oczy i zastanawiałam się w duchu, skąd bierze łzy. Ja nie znalazłam żadnej.

W domu czekał na nas zastawiony stół — żałobne potrawy, jak je nazwałam — a potem odczytano testament. Wolą Olivii było, abym przejęła opiekę nad jej córką.

Wszystko mija, pocieszałam się. Nawet dzisiejszy dzień dobiegnie końca... wkrótce.

* * *

Odbyło się kilka rodzinnych narad. Ciotka Imogena jak zwykle próbowała wziąć sprawy w swoje ręce. Uważała, że niezamężna kobieta nie powinna opiekować się dzieckiem. Co powiedzą ludzie? Jakkolwiek to wyjaśnimy, będą myśleli...

— Mogą myśleć, co chcą — powiedziałam stanowczo. — Ale jeśli tak cię to martwi, ciotko Imogeno, muszę ci przypomnieć, iż zamierzam zabrać Livię do Kornwalii, gdzie nikomu nie przyjdzie na myśl, iż malutka może być moją córką, przebywałam bowiem nieustannie wśród sąsiadów i jestem pewna, że nawet najbardziej podejrzliwi z nich nie mogliby uwierzyć, że młoda kobieta mogłaby ukrywać ciążę, jeżdżąc konno po okolicy, a potem przeszmygłować dziecko do Londynu.

— Myślałam o twojej przyszłości — odparła z godnością — bo cokolwiek byś mówiła, to jest nieestosowne.

Protestowała zresztą bez zbytniego zapału, nie chciała bowiem brać na siebie ciężaru opieki nad Livią.

— Jest coś jeszcze — ciągnęła. — Zapominasz, zdaje się, że Livia ma ojca.

— Kiedy Olivia rozmawiała ze mną przed śmiercią, nie wspomniała o ojcu Livii — odrzekłam.

— Nikomu nie powierzyłbym swojej córki z większą ufnością niż Caroline — oznajmił Jeremy.

— Wciąż uważam, że to nieestosowne — upierała się ciotka Imogena.

— Wyjeżdżam do Kornwalii za kilka dni — powiedziałam. — Napisałam już do Tressidor, by przygotowano pokoje dzieciinne.

— Nie były używane przez wieki — protestowała słabo ciotka Imogena.

— Tym milej będzie znów ich używać. Wezmę ze sobą nianię i pannę Bell... więc Livia będzie widziała znajome twarze.

— W takim razie — oznajmiła ciotka Imogena i wydawało mi się, że słyszę nutkę ulgi w jej głosie — nie możemy zrobić nic więcej.

Słyszałam, jak mówiła do swego męża, że mam o sobie bardzo pochlebne zdanie i jestem taka sama jak ciocia Mary. Wujek Harold zauważył, dość zuchwale, że może to i dobrze, że względu na odpowiedzialność, która na mnie spoczywa. Nie byłam ciekawa odpowiedzi. Nie interesowała mnie opinia ciotki Imogeny o mojej osobie.

Większość czasu, który jeszcze spędziłam w Londynie, poświęciłam Livii. Chciałam, aby się do mnie przyzwyczaiła. Malutka nie wiedziała, że straciła matkę, co było błogosławieństwem. Chciałam być dla niej drugą matką i miałam nadzieję, że nigdy nie zrozumie, co straciła.

Bawiłam się z nią i rozmawiałam. Znała już kilka słów. Pokazywałam jej obrazki i budowałam domki, chodziłam na czworakach po dywanie. Nagrodą był uśmiech, który pojawiał się na buzi dziewczynki za każdym razem, gdy się zjawiałam.

Dla niej nie poddawałam się rozpaczce. Nie chciałam myśleć o śmierci. Wydawało mi się zbytnim okrucieństwem, że dwie ukochane istoty zostały mi odebrane w przeciągu kilku miesięcy.

Chwyciłam się Livii, jak chwyciłam się Tressidor. Sensowny wysiłek był jedyną możliwą ucieczką od przygnębienia.

Niania Loman i panna Bell chętnie zgodziły się towarzyszyć mi do Kornwalii. Obie uważały, że wyjazd to dobre rozwiązanie.

— Mała nie wie jeszcze, że jej matka umarła — powiedziała niania. — Rzadko ją widywała, gdy pani Olivia była chora... ale może sobie przypomnieć... tutaj. Nowe otoczenie jest dokładnie tym, czego potrzebuje.

Uważałam, że jest bardzo rozsądną kobietą i znałam zalety panny Bell.

— Śmierć koło dziecięcego łóżeczka to rzadki przypadek. Olivia nie powinna była zachodzić w ciążę tak wcześnie. Oto przyczyna nieszczęścia.

— Wiedziała o tym, jak sędzę.

— Pod koniec ciąży nie była szczęśliwa.

Nie, pomyślałam, rzeczywiście. Musiała wiedzieć, że Jeremy przegrywa pieniądze, bo szeptęła coś o długach. I Flora Carnaby... o niej także słyszała. Plotki służących, jak przypuszczałam. Słowa, które nie były przeznaczone dla jej uszu, trafiły do niej przypadkiem. To łatwo mogło się zdarzyć.

Zanim wyjechałam, Jeremy poprosił o rozmowę.

— Dziękuję, Caroline. Dziękuję za wszystko, co robisz dla Livii.

— Robię to, o co Olivia poprosiła mnie przed śmiercią.

— Wiem.

— Wiedziała, że umrze.

Zwiesił głowę, dając do zrozumienia, że jego rozpacz nie ma granic. Byłam sceptyczna. Wróciła nienawiść, którą do niego poczułam, gdy powiedział, że nie chce mnie bez majątku.

— Nie sądzę, że była bardzo szczęśliwa — powiedziałam ostro.

— Caroline... chciałbym widywać moją córkę od czasu do czasu.

— Och, doprawdy?

— Oczywiście. Może przywieziesz ją czasem do Londynu... albo ja przyjadę do Kornwalii?

— To bardzo długa podróż — przypomniałam mu. — A wieś wyda ci się nudna.

— Chcę widywać moją córkę — powtórzył. — Och, Caroline, jestem ci taki wdzięczny. Zostać z tak małym dzieckiem... nie nadaję się do tego.

— Nie można celować we wszystkim.

— Caroline, przyjadę.

Spojrzałam na niego uważnie i pomyślałam: o tak, przyjedzie.

Cóż to za błyski widziałam w jego oczach? Patrzył na mnie tak samo jak kiedyś. Widział mnie na tle wiejskiej posiadłości i podobałam mu się tak samo jak kiedyś, na innym tle, które okazało się złudzeniem. Wiejska posiadłość była jednak realna.

Poczułam rozbawienie. Nie wiem dlaczego, mój ból zelżał trochę. Rozmyślając o Jeremym i motywach jego postępowania, przestałam na chwilę widzieć martwe ciało siostry, złożone do grobu.

* * *

Gdy przybyłam do Lancarron ze swoją nową podopieczną, panowało tam wielkie podniecenie. Przez ostatni miesiąc rozprawiała o nas cała okolica.

Ludzie przychodzili, by zobaczyć dziecko i zmiany, jakie zaszły w Tressidor. Pokoje dziecinne były większe niż w domu w Londynie i choć zostały odmalowane i przygotowane, trzeba było poczynić liczne zakupy. Oddałam się więc z zapałem dobieraniu zasłonek, mebli i wszystkiego, w co powinien być zaopatrzone wygodny pokój dla dziecka. Ciężka praca przez cały dzień, wieczorem zaś zmęczenie, działające jak środek nasenny, taki tryb życia ratował mnie przed ponurymi myślami.

Moje życie było podwójnie wypełnione. Sprawy związane z majątkiem pochłaniały dawniej cały mój czas, a teraz pojawiło się jeszcze dziecko, dla którego chciałam być matką, o jakiej marzyła Olivia.

Miałam przy sobie wspaniałą nianię Loman i zawsze czujną pannę Bell. Ale chciałam, żeby Livia uważała mnie za matkę i starałam się spędzać z nią każdą wolną chwilę. Zorganizowałam spotkanie niani Loman z opiekunką Juliana i tak się szczęśliwie złożyło, że obie panie — jak to ujęła niania Livii — natychmiast przypadły sobie do gustu. Niemal każdego dnia Julian zjawiał się w Tressidor lub Livia była gościem w Landower.

Widywałam Paula rzadziej, gdyż wiecznie się śpieszyłam, załatwiając tę czy inną sprawę. Nie miałam czasu na wędrówki po wrzosowiskach czy wiejskich drogach.

Jago był rozbawiony. Nazywał mnie Nową Kobieta. Caroline, kwocznka ze swoim pisklęciem. Wciąż odbywał tajemnicze podróże do Londynu i opowiadał o maszynach, kółkach zębatych i umowach, które czekały na podpisanie.

— Czemu kłamiesz? — spytałam. — Wszyscy wiemy, że twoje tajemnicze podróże mają tylko jedną przyczynę.

— A jaką? — spytał.

— Kobietę.

— Pewnego dnia będziesz zaskoczona — odrzekł.

Nie myślałam o nim często. Bardzo dużo jednak myślałam o Livii.

Coraz bardziej kochałam Juliana, który był zachwycony zmianami w swoim życiu. Wydawał się szczęśliwszy, wyzbył się prawie dawnej nieśmiałości i opiekował się malutką w przeżabawny sposób. Marzyłam o własnym dziecku. Pokój dzieciny był ogromny. Śniłam na jawie, widząc w nim gromadkę własnego potomstwa. Ale potrzebowałam męża. Czy moje pragnienia miały pozostać niespełnione?

Choć zamierzałam wykluczyć Paula ze swego życia, często wkradał się do moich myśli. Obecnie był smutny, ale przecież mógł stać się całkiem inny. Często wspominałam nasze pierwsze spotkanie w pociągu. Silny mężczyzna gotów wziąć na siebie wielką odpowiedzialność — tak o nim pomyślałam. Pan własnego losu. A przecież już wtedy martwił się o majątek i wracał z Plymouth, gdzie prawdopodobnie zabiegał o pożyczkę na remont domu. Lecz wówczas miał poczucie godności i honor.

To małżeństwo było jak pajęczyna, która go oblepiła. Wyobrażałam sobie, że jesteśmy wolni. Ale jak mogliśmy stać się wolni? W moich marzeniach następował cud i Paul mieszkał ze mną w Tressidor. Dwie posiadłości stały się jedną.

Co za szalone marzenia! Marzenia jednak zawsze przynoszą ulgę, gdy człowiek pragnie uciec od rzeczywistości. Gdyby nie marzenia, nie zniosłabym nagłej utraty dwóch osób, które kochałam z całego serca. Pierwsza podarowała mi Tressidor, druga Livię, to prawda. Tak powinnam na to patrzeć. Człowiek musi pamiętać o pozytywach każdej sytuacji.

Gwennie często mnie odwiedzała. Nie cieszyłam się z tego. Jej przenikliwe oczy zdawały się widzieć na wskroś moje serce.

— Co za tragedia! — wykrzyknęła. — Słyszałam, że przy porodzie umiera więcej kobiet, niż można by sądzić. Twoja biedna siostra... i zostawiła ci pod opiekę małą córeczkę. Powiedziałam do Betty (była to pokojówka, z którą Gwennie często plotkowała): „Panna Tressidor będzie matką dla tej małej dziewczynki. Powinna mieć własne dzieci”. Często się zastanawiałam, dlaczego nie wyszłaś za mąż, Caroline. Cóż, oczywiście trzeba by znaleźć Pana Odpowiedniego. Jeśli się nie zjawia... co można zrobić?

Wpatrywała się we mnie badawczo i zgadywałam, że w myślach pyta: „Co z tobą i moim mężem? Jak daleko się posunęliście?”.

Zastanawiałam się, ile wie. Przecież człowiek często nieświadomie zdradza się ze swymi uczuciami.

Czas mijał szybko. Livia nie była już niemowlęciem i prawie się nie przewracała. Zaczynała mówić i podbiegała do mnie, ilekroć wchodziłam do pokoju dziecinnego. Planowałam w przyszłości kupić jej kucyka. Musiało minąć jeszcze trochę czasu, ale już jeździłam z nią po padoku, trzymając mocno piszczące z radości maleństwo.

Niania powiedziała do mnie pewnego dnia:

— To dziecko wydaje się tutaj szczęśliwsze niż kiedykolwiek w Londynie. Och, wiem, że była

niemowlęciem, ale nie poświęcano jej tyle uwagi. Pani Brandon chorowała. Robiliśmy, co w naszej mocy, ale nie mając matka, a pani jest dla niej matką, panno Tressidor.

Była to największa pochwała, która na kilka godzin przepędziła moją melancholię i sprawiła, że przez ten czas nie myślałam, jak bardzo tęsknię za ciocią Mary i że już nigdy więcej nie zobaczę Olivii.

Miesiąc po naszym powrocie Jeremy napisał, że pragnie zobaczyć córkę.

Nie mogłam odmówić. Postanowiłam widywać go jak najrzadziej, ale kiedy przyjechał, ogarnęła mnie ochota, by trochę mu podokuczać. Było to niegrzeczne z mojej strony, wiedziałam, że nie powinnam szukać zemsty, ale musiałam to zrobić, aby ukoić swą rozpacz. Nie mogłam pozwolić, by spokojnie grał rolę zbolełego małżonka, oddanego ojca i serdecznego przyjaciela, którymi zamierzał mnie oczarować. Był fałszywy i dobrze wiedziałam, co kryje się za tą fasadą uroku. Ale chciałam oszukać go tak samo, jak on oszukał mnie... i Oliwię.

Wzięłam Jeremy'ego na przejażdżkę po posiadłości i pokazałam mu ją w całej krasie i dostatku. Nie potrafił ukryć podniecenia.

— Nie miałem pojęcia, że jest taka wielka — powiedział.

Pomyślałam: teraz już masz, mój sprytny Jeremy. Jakie plany powstają w twoim chciwym podstępny umyśle?

Zaprowadziłam go do Landower, gdzie oczarował Gwennie bez najmniejszego trudu. Paul był podejrzliwy i, oczywiście, zazdrosny, co nie sprawiło mi przykrości.

Został tydzień i w tym okresie spędził trochę czasu w pokoju dziecka. Przywiózł Livii dziwną zabawkę: lalkę na biegunach, która kołysała się w przód i w tył.

Czułam przykrość widząc, jak łatwo wkradł się do jej serduszka, ale grał wobec mnie rolę tkliwego ojca równie dobrze, jak wszystkie inne.

Kiedy wyjeżdżał, przytrzymał moje dłonie dłuższą chwilę, a potem powiedział:

— Jak mam ci dziękować, Caroline, za to, że uczyniłaś moją małą córeczkę tak szczęśliwą?

— Olivia tego pragnęła — powiedziałam. — Przed śmiercią rozmawiała ze mną i chciała mieć pewność, że nikt inny nie dostanie dziecka.

— Wiedziała, jak będzie najlepiej. Dziękuję, moja droga. Dziękuję. Ta scena mogła się wydać bardzo wzruszająca, ale znałam tego człowieka zbyt dobrze, by wierzyć w jego wdzięczność. Ucałował mnie czule.

— Muszę znowu przyjechać — oświadczył. — Wkrótce.

Wydało mi się, że widzę plan, który nabierał kształtów w jego głowie.

* * *

Przyjechał ponownie przed upływem miesiąca. Przywiózł więcej prezentów dla Livii. Wziął ją na konia i jeździli razem po padoku. Poprosiła, żebyśmy oboje ją trzymali, idąc z obu stron wierzchowca.

Jeremy spojrział na mnie.

— To urocza zabawa, Caroline — powiedział.

Skinęłam głową.

Próbował sprawić, bym na niego spojrzała i wiedziałam, co się dzieje w jego sercu.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien plan i nie mogłam już go odrzucić.

Rozmyślałam długo w nocy. Kiedy ogarniała mnie melancholia, opadały wspomnienia radosnych dni spędzonych z Oliwią, gdy przypominałam sobie, że ciocia Mary odeszła na zawsze, i gdy myślałam o Paulu — o tym, że wszystko mogło ułożyć się inaczej, skupiałam się na tym, co w duchu nazywałam Wielkim Planem i humor od razu mi się poprawiał.

Była to charakterystyczna cecha mojej natury — niezbyt godna podziwu zapewne — że jedynie gniew mógł złagodzić mój smutek.

Jeremy przyjechał na Gwiazdkę, którą całkowicie poświęciłam Livii. Nie uczestniczyłam w świątecznych przyjęciach. Zresztą nie oczekiwano tego po mnie, jako że nie minął jeszcze rok od śmierci cioci Mary. Powiedziałam Jeremy'emu, że nie powinien był przyjeżdżać. Wieś wyda mu się nudna, a zwłaszcza dom, w którym panuje żałoba. On także jest w żałobie, przypomniał mi, na co miałam ochotę głośno się roześmiać. Zachowałam jednak powagę i zrobiłam stosowną minę, smutną i współczującą.

Grałam moją rolę ostrożnie — mięknać powoli, stopniowo. Oboje ukłękliśmy na podłodze i bawiliśmy się z Livią. Uwielbiała ojca — i znów poczułam ukłucie zazdrości.

— Zawsze zachowują się tak wobec rodziców — powiedziała niania. — Nieważne, jak są zaniedbywane, zdają się wiedzieć, kto jest ich ojcem i matką. Ale tylko kiedy są małe. Kiedy kończą cztery, pięć lat, wszystko się zmienia. Wtedy dzieci kochają tych, którzy je kochają.

Panna Bell była w stosunku do Jeremy'ego trochę nieuprzejma. Miała mu za złe drugą ciążę Olivii i wielokrotnie powtarzała ze ściągniętymi wargami, że to nie powinno było się wydarzyć.

Jak szybko mijał czas i jak bardzo się cieszyłam, że ucieka tak prędko! Od śmierci mojej siostry upłynęło sześć miesięcy i przez ten czas Livia należała do mnie.

Właśnie w czasie świąt Bożego Narodzenia Jeremy uczynił pierwszą próbę — nieśmiałą, oczywiście, lecz tak zręczną, jak można się było po nim spodziewać.

Wiedział, iż jego zdaniem Livia jest szczęśliwa, mimo że straciła matkę. Znalazła bowiem nową we mnie... i nikt by nie odgadł, że jest pólsierotą.

Kiedy widzę was razem, cieszę się głęboko, Caroline. Robię, co w mojej mocy, by spełnić obietnicę daną Olivii i nie było to trudne, bo kocham Livię.

Widzę, że tak jest. Wasz widok rozgrzewa mi serce. To dla mnie wielki przywilej, że mogę tu przyjeżdżać.

Jestem pewna, że wolałbyś świętować Boże Narodzenie w Londynie.

Jednak bardzo się mylisz! To dla mnie największa przyjemność być tam gdzie ty jesteś, Caroline. Często myślę o tamtym balu maskowym, pamiętasz?

— Oczywiście — odrzekłam.

— Kleopatra.

— I Rupert Reński.

Spojrzał na mnie błyszczącymi oczami i oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Był zbyt sprytny, by posunąć się dalej, ale rozumiałam jego intencje.

— Przyjadę znowu... wkrótce, Caroline — powiedział. — Nie masz nic przeciwko temu?

— Rozumiem, że chcesz zobaczyć córkę.

— I... ciebie.

Pochyliłam głowę w milczeniu.

Przyjechał pod koniec stycznia. Realizował swoje plany z niezwykłą zaiste precyzją, musiałam mu to przyznać. Pisał też często, prosząc o wiadomości o Livii. Był idealnym ojcem.

W lutym przybył do nas znowu, nie odstraszyło go zimno ani przerwy w podróży, nieuniknione przy opadach śniegu.

— Jaki oddany z ciebie ojciec! — powiedziałam na przywitanie.

— Nic nie mogłoby mnie powstrzymać — odrzekł z naciskiem. W czasie tej wizyty uczynił kilka kroków naprzód. Siedzieliśmy na podłodze w pokoju dziecięcym, bawiąc się ulubioną układanką Livii, która przedstawiała różne zwierzęta.

— Tak właśnie powinno być... nas troje. Prawdziwy dom — szepnął Jeremy.

Nie odpowiedziałam, a on położył dłoń na mojej. Nie cofnęłam ręki. Livia pochyliła się ku ojcu

i objął ją ramieniem.

Zanim wyjechał, znalazł mnie samą w zimowym saloniku i powiedział:

— Może to trochę za wcześnie, Caroline, ale zawsze czułem, że jesteś mi przeznaczona. Jestem pewien, że Olivia zrozumie, jeśli patrzy na nas z góry. Widzisz... zawsze cię kochałem.

Popatrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami.

— To była pomyłka — ciągnął — zdałem sobie sprawę natychmiast po zerwaniu.

— Pomyłka? — spytałam ze zdziwieniem. — Myślałam, że okazałeś wielki rozsądek... finansowy rozsądek.

— Pomyłka — powtórzył. — Byłem młody i ambitny... i szalony. Szybko to zrozumiałem. Teraz jest inaczej. Jestem mądrzejszy.

— Wszyscy mądrzejemy z wiekiem, Jeremy.

Wziął mnie za rękę, a ja nie protestowałam.

Kiedy wyjeżdżał, odprowadziłam go na stację.

— Wróć wkrótce, Caroline — odezwał się na pożegnanie. — Mieszkasz w tym domu, ale to nie jest życie dla ciebie.

Powinnaś mieć własne dzieci. Jesteś taką wspaniałą matką dla Livii. Czuję, że byłbym dobrym ojcem... przy tobie. Stworzylibyśmy szczęśliwe domowe ognisko, nie sądzisz?

— O tak — odrzekłam.

— Za wcześnie na plany... ale w przyszłości... moglibyśmy znaleźć szczęście, Caroline. To jest zapisane w gwiazdach.

Milczałam.

Uznał to za zgodę.

Jadąc z powrotem bryczką, po raz pierwszy od długiego czasu czułam autentyczną radość.

* * *

Wiosna była cudowna. Mój smutek przygasł nieco. Ziemia budziła się do nowego życia — na drzewach pojawiały się pączki, a powietrze wypełniał świergot ptaków. Udzielił mi się nastrój przyrody.

Czułam, że powinnam zostawić przeszłość za sobą i zająć się własnym życiem.

Kwiecień był cudownym miesiącem. „Kwietniowe ulewy podlewają majowe kwiaty” — przypomniałam sobie. Znów zaczynałam żyć.

Przyjechał Jeremy i tym razem natychmiast chwycił obie moje ręce.

— Wyglądasz wspaniale, Caroline. Jesteś taka jak dawniej. Jesteś znów Kleopatram.

— Człowiek w końcu otrząsa się ze smutku — powiedziałam. — Nie ma sensu pielęgnować rozpacz.

— Jakże jesteś mądra! Zawsze byłaś mądra, moja droga. Myślę, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

— Jesteś wdowcem dopiero niecały rok!

— Zamierzam przezwyciężyć smutek. Tego właśnie chciałyby Olivia. Wiem, że tego by sobie życzyła.

— To zawsze pocieszające mieć aprobatę zmarłych — skomentowałam.

— Myślę, że wiedziała... właśnie dlatego chciała, żebyś wzięła Livię. W pewnym sensie była bardzo mądra.

— Niewątpliwie jest zachwycona tą uroczą pochwałą, jeśli patrzy na nas z góry.

— Zawsze byłaś trochę surowa, Caroline.

Milczałam.

— Nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem szczęśliwy — ciągnął Jeremy. — Czuję się, jakbym zobaczył światelko na końcu tunelu.

— Dość pospolite porównanie — zauważyłam.

— Ale jakże trafne.

— Przypuszczam, że właśnie w ten sposób porównania stają się banalne.

— Dlaczego zachowujesz się w ten sposób? Jest tyle ważnych rzeczy do omówienia. Przypuszczam, że będziemy musieli odczekać pełny rok. Konwenanse są takie męczące.

— Bardzo męczące — zgodziłam się z nim.

— Będziemy musieli urządzić cichy ślub. Nieważne. Zastanawiam się raczej, czy uzyskamy aprobatę lady Carey.

— Nigdy nie zależało mi na aprobacie ciotki Imogeny. I dobrze się złożyło, bo rzadko miewaliśmy takie samo zdanie.

— Jesteś taka zabawna. Widzę, że nasze wspólne życie będzie wspaniałą zabawą. Livia i ja jesteśmy szczęściarzami!

Uśmiechnęłam się do niego.

Nie przestawał rozprawiać o przyszłości. Czuł, że wieś nie jest miejscem dla mnie. On zajmie się wszystkim. Zamierzał zorientować się w aktualnych cenach wielkich posiadłości. Wierzy, że wkrótce będzie miał dla mnie przyjemną niespodziankę.

Czułam wręcz obrzydzenie, nadal jednak uśmiechałam się do niego, a Jeremy mówił dalej o życiu w Londynie i uroczych ludziach, których z pewnością brakowało mi w Kornwalii.

— Droga Caroline — powiedział na koniec — zostałam zepchnięta na margines, w chwili gdy życie stawało się interesujące. Jak wspaniale bawiliśmy się na tamtym balu! Miałaś tylko przedsmak tego, czym może być światowe życie. Ale wkrótce to się zmieni!

Byłam zdziwiona własną reakcją. Najczęściej milczałam, gdyż nie mogłam całkowicie ufać swemu opanowaniu. Słuchałam spokojnie jego obietnic i musiał uznać, że miłość bardzo mnie już ułagodziła. Wierzył w swój sukces. Był wyjątkowo przystojny.

W sąsiedztwie wszyscy plotkowali na nasz temat. Wyobrażałam sobie, że Gwennie ma pełne ręce roboty.

Słyszałam czasem rozmowy służących i zdawałam sobie sprawę, że okoliczne języki pracują na pełnych obrotach.

Pewnego dnia przyjechał do Tressidor Paul. Stałam właśnie w pokoju kwiatowym, który znajdował się zaraz obok holu. Był bardzo malutki, nie większy niż jego odpowiednik w domu w Londynie.

Położyłam na stoliku żonkile i narcyzy, które przyniosłam z ogrodu, a Paul wszedł bez pukania z bardzo gniewną miną.

— Co się stało? — zapytałam.

— To prawda? — rzucił krótko.

— Co masz na myśli?

— Że zamierzasz wyjść za mąż za tego człowieka? Chyba oszalałaś!

— Wyjść za mąż? — powtórzyłam.

— Za tego mężczyznę, który kiedyś cię zostawił, a teraz uznał, że jesteś już dość bogata.

— Och... masz na myśli ojca Livii.

— Może być ojcem Livii, ale jest także łowcą posagów. Nie widzisz tego?

— Widzę doskonale, ale nie widzę jednej rzeczy: dlaczego tak cię to obchodzi?

— Nie bądź niemądra. Wiesz, że mnie to obchodzi. Myślałam, że jesteś rozsądną kobietą. Zawsze miałem wiele szacunku dla twojej inteligencji, lecz teraz...

— Podnosisz głos — zauważyłam spokojnie.

— Powiedz, że to nieprawda.
— Powiedz, co zrobisz, jeśli to prawda.
Spojrzał na mnie bezradnie, a potem szepnął:
— Caroline, nie powinnaś...

Odwróciłam się od niego. Cieszyłam się z reakcji Paula i nie chciałam, by to spostrzegł. Stał za mną, wziął mnie za ramiona i odwrócił do siebie.

— Zrobiłbym wszystko... wszystko... by położyć temu kres.

Podniosłam rękę i łagodnie dotknęłam jego włosów.

— Nie możesz nic zrobić — powiedziałam.

— Kocham cię — odrzekł gorąco. — Nie mogę tak dalej żyć. Znajdę jakiś sposób. Wyjedziemy razem...

— Wyjechać! Zostawiłbyś Landower? Tak to się skończy?

— Chciałbym cofnąć czas. Co za głupie życzenie! Jakby to było możliwe! Ale ty nie możesz wyjść za mąż, Caroline. Pomyśl, co to oznacza. Zawsze byłaś taka niezależna, sama ustalałaś zasady. Nie zmieniasz się. Nie pozwól mu na to. Przypuszczam, że jest bardzo czarujący, prawda? Przystojny... i mówi wszystko, co kobiety chcą słyszeć... Ale czy nie widzisz tego, co kryje się za ładną fasadą? Jego dziecko jest tutaj... a ty jesteś nim zauroczona, opętana perspektywą macierzyństwa. Och, Caroline, nie możesz tego zrobić. Nie pozwolę ci.

— Jak możesz mnie powstrzymać?

Pochylił się nade mną i zaczął całować namiętnie moją szyję, włosy i usta. Pragnęłam, aby ta chwila trwała wiecznie. Wiedziałam, że zapamiętam to na zawsze. Zapach żonkili... Paul wyznający mi miłość, zrozpaczony, gotów zrobić wszystko... wszystko, żebyśmy tylko byli razem. Wyrwałam się i powiedziałam:

— Nie powinieneś tak się zachowywać. W każdej chwili któryś ze służących mógłby cię zobaczyć.

— Jestem tym zmęczony — oświadczył. — Coś trzeba zrobić. Nigdy nie pozwolę ci odejść. Muszę coś wymyślić. Jestem zdesperowany, Caroline. Nigdy nie pozwalałem, by życie dyktowało mi warunki i nigdy na to nie pozwolę. Ale miłość do ciebie jest najważniejszą sprawą w moim życiu.

— Równie ważną jak zachowanie Landower dla Landowerów?

— Ważniejszą niż wszystko inne.

— Nic na to nie poradzę, Paul. Jest za późno. Uratowałeś dom. Wiem, co czujesz. Musiałeś to zrobić... tak sądziłeś. Ale teraz nie możesz się już wycofać.

— Musi istnieć jakieś wyjście. Poproszę, by zwróciła mi wolność.

— Nie zgodzi się. Jakże by mogła? To część układu. Ona też kocha Landower. I kocha swoją pozycję. Kupiła je, należą do niej i nigdy się ich nie wyrzeknie.

— Wymyślę jakiś sposób... znajdę go.

— Paul, przerażasz mnie, kiedy mówisz w ten sposób. Masz w oczach szaleństwo.

— Jestem szalony, gdy chodzi o ciebie.

— Jesteś zazdrosny, bo myślisz, że interesuję się kimś innym.

— Tak, jestem zazdrosny. Nie będę stał z boku i patrzył, jak rujnujesz sobie życie. Chodzi o dziecko, prawda? Ono cię tak zmieniło. Chcesz, żeby ta dziewczynka miała rodzinę... albo coś, co stwarza pozory rodziny. Pragniesz mieć dzieci. Oczywiście, że tak. Widzisz wszystko inaczej. Zauważyłem w tobie tę zmianę, kiedy wróciłaś z Londynu.

— Spodziewałaś się, że pozostanę niezmienną? Kochałam swoją siostrę. Wiem, że rzadko się widywałyśmy, ale zawsze o niej pamiętałam. Byłyśmy sobie bardzo bliskie i zostawiła mi to, co miała najdroższego... swoje dziecko. Czy to dziwne, że się zmieniłam?

— Caroline, ukochana... oczywiście, że to rozumiem. Ale chcesz zapłacić zbyt wysoką cenę. Myślisz, że on zawsze będzie taki czarujący i gładki, ale to nieprawda. Niewłaściwe małżeństwo to prawdziwa tragedia i człowiekowi wcale nie pomaga świadomość, że sam wybrał swój los. Nie szukaj łatwego wyjścia... jak ja. Wyciągnij wnioski z mojego błędu. Widziałem was razem przy dziecku. To wygląda na idyllę i sądzisz, że znalazłaś właściwą drogę. Ale mylisz się, Caroline. Ukochana, nie wytrzymam tego dłużej. Myślałem o tym... nie myślę o niczym innym, dzień i noc. Byliśmy szaleni. Powinniśmy coś zrobić. Moja miłość do ciebie... a wierzę, że twoja do mnie jest równie głęboka... nie powinniśmy dłużej jej odpychać.

— Co chcesz mi zaproponować, mój drogi?

— Jeśli nie możesz dostać tego, co chcesz... weź to, co mieć możesz...

— Co masz na myśli? Potajemne spotkania? Gdzie? W jakiejś gospodzie odległej o kilka mil... w maskach... Nie sądzę, by któremuś z nas dało to szczęście.

— A jak teraz możemy być szczęśliwi? Chcę, żebyś mieszkała ze mną w Landower. Chcę połączyć oba pokoje dzieci. Chcę wieść z tobą szczęśliwe życie.

— Tego właśnie nie możemy mieć — odrzekłam. — To jak sięgać po księżyc.

— Nic podobnego. Kto pragnie księżycy? Ty i ja moglibyśmy pracować razem. Zamiast tego jesteś gotowa rzucić się w przepaść... moim śladem... bo wydaje ci się, że to najlepsze wyjście.

Usłyszałam odgłos kroków w holu i wyrwałam się z ramion Paula.

— Dziękuję za wizytę — powiedziałam głośno.

Skierowałam się do holu. Jedna ze służących wchodziła po schodach. Podeszłam do drzwi, a Paul ruszył za mną.

— Krąży już tyle plotek — powiedziałam cicho do niego. — Wiem, że służba obserwuje każdy nasz ruch. Wydaje mi się nawet, że podsłuchują pod drzwiami. Wieści krążą po okolicy i czasem trafiają do uszu pana lub pani domu. — Wyszliśmy na dziedziniec. — Nie powinieneś być taki gwałtowny, Paul — dodałam.

— Jak możesz to robić? — spytał.

— Muszę żyć własnym życiem. Ty zaś musisz żyć swoim.

— Nie dopuszczę do tego.

— Muszę iść — pożegnałam go. — Obiecałam Livii, że wezmę ją na przejażdżkę po padoku.

Spojrzał na mnie z rozpaczą, a potem zobaczyłam w jego oczach błysk determinacji.

Poczułam dreszcz i musiałam przyznać sama przed sobą, że te namiętne deklaracje sprawiły mi wielką przyjemność.

Nie miałam racji, oczywiście. Nie dostrzegłam także niebezpieczeństwa. Ale zaczęłam o tym myśleć dopiero później.

* * *

Nadszedł maj. Jeremy przyjeżdżał równie często jak wcześniej, zostawał jednak dłużej. Okazywał wielkie zainteresowanie posiadłością. Wkrótce poznał ją bardzo dobrze i z wielką uwagą słuchałam, jak próbuje oszacować jej wartość.

— Twój zarządca jest całkiem dobry — powiedział. — Gawędziłem z nim dziś po południu.

— Praca jest jego życiem. Służył dobrze cioci Mary, a teraz równie dobrze służy mnie.

— Rozmawiałem z pewnym znajomym w Londynie. Był bardzo zainteresowany.

Na chwilę zmartwiałam z przerażenia.

— Rozmawiałeś z nim... o czym?

— No cóż, o sprzedaży Tressidor.

— Sprzedaży Tressidor!?

— Wiem, że nie chcesz zakopywać się na wsi. Myślałem, że dobrze będzie popytać... wstępnie.

— Czy to trochę nie za wcześnie?

— Oczywiście... oczywiście... Nic nie jest przesądzone. Ale te sprawy zawsze wymagają czasu i dobrze wiedzieć, na czym się stoi.

— Na czym się stoi! — powtórzyłam jego słowa.

— Droga Caroline, chcę zdjąć z twych ramion ciężar interesów.

— Jak zdjąłeś go z ramion Olivii?

— Zrobiłem dla niej co mogłem.

— Odziedziczyła dużo pieniędzy.

— Mniej niż sądziła, biedactwo. Poza tym sprawy nie ułożyły się zbyt dobrze.

— Jak to?

— Rynek i takie rzeczy. Nie chcę cię zanudzać, Caroline.

— Nie życzę sobie, by ktokolwiek tutaj wiedział, że zasięgałeś informacji w sprawie sprzedaży majątku. Wybuchłaby panika. Ci ludzie mają domy... ich praca... ich życie...

— Oczywiście... oczywiście... Zapewniam cię, że tylko pytałem. Po prostu chcę sprawnie wszystko załatwić. Rozmawiałem z lady Carey. Jest zachwycona. Uważa, że to doskonały pomysł. No i może nie martwić się więcej o Livię.

— Nie wiedziałam, że tak się troszczy o Livię.

— Och, lubi, gdy wszystko układa się, jak powinno. Uważa, że ślub powinien być cichy. I że powinnaś przenieść się do Londynu. Zajmie się wszystkim. Bardzo spokojna ceremonia. Zgadzam się z twoją ciotką.

— Zdaje się, że ty i ona ułożyliście wszystko między sobą.

— Oboje troszczymy się o ciebie, Caroline.

Pomyślałam, że stajesz się trochę nieostrożny i trochę zbyt pewny siebie. Może nadszedł czas. Powiedział, że pierwszy lipca wydaje mu się odpowiednią datą.

— Upłynie pełny rok — tłumaczył. — Nikt więc nie będzie się krzywić. Dlaczego nie miałybyś przyjechać w czerwcu? W połowie, oczywiście. Będzie dużo do zrobienia.

— A co z Livią?

— Zostanie z nianią Loman i panną Bell.

— Oczywiście — odpowiedziałam.

Patrzyłam, jak odjeżdża pociągiem, bardzo radosny i bardzo pewny siebie.

Po powrocie do domu napisałam list.

Drogi Jeremy,

napisałeś do mnie kiedyś, by wyjaśnić, dlaczego nie możesz się ze mną ożenić i moim obowiązkiem (bynajmniej nie bolesnym) jest teraz powiadomić Cię, że nie mam zamiaru — i nigdy nie miałam — wychodzić za Ciebie za mąż. Dlaczego miałabym poślubić mężczyznę, który ceni moją inteligencję tak nisko, by przypuszczać, że dam się złapać na prymitywne pochlebstwa? Jesteś, Jeremy, wielkim miłośnikiem — pieniędzy. Tak, majątek jest wspaniały. Należy do mnie i jestem bogata... może nawet bogatsza niż Olivia, zanim roztrwonileś większą część jej fortuny.

Złamałeś daną mi obietnicę, kiedy odkryłeś, że nic nie mam. No cóż, teraz płacę Ci tą samą monetą.

Będziesz wiedział, jak to jest — zostać porzuconym, upokorzonym, poniżonym. Ja dowiedziałam się tego dzięki Tobie.

Caroline Tressidor.

Wysłałam list natychmiast i z przyjemnością wyobrażałam sobie reakcję jego adresata.

* * *

Minęło kilka dni. Byłam zaskoczona, kiedy zjawił się osobiście.

Przyjechał wczesnym wieczorem. Położyłam Livię do łóżeczka i przeczytałam jej fragment ulubionej książeczki. Ledwie wróciłam do swego pokoju, jedna ze służących zapukała do drzwi.

Zaczęła:

— Panno Tressidor, pan Brandon...

Musiał iść tuż za nią, bo wpadł do pokoju, ledwo wymówiła te słowa.

— Caroline! — wykrzyknął.

Służąca zamknęła drzwi. Zastanawiałam się, czy podsłuchuje.

— No cóż — odezwałam się — to dość niespodziewane odwiedziny. Dostałeś mój list?

— Nie mogłem uwierzyć! — zawołał.

— Chwileczkę — przerwałam mu i podeszłam do drzwi. Służąca odskoczyła gwałtownie.

— Nie jesteś mi już potrzebna, Jane — powiedziałam.

— Tak jest, panno Tressidor — odrzekła z czerwoną twarzą i pobiegła na dół.

Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie.

— Nie mogłem uwierzyć — powtórzył Jeremy.

Uniosłam brwi.

— Wydawało mi się, że list jest jednoznaczny.

— Masz na myśli, że grałaś komedię... wobec mnie?

— Wyznaczyłam sobie pewien cel i dążyłam do niego, jeśli to masz na myśli.

— Ale sugerowałaś...

— To ty sugerowałaś. Sądziłeś, że jestem kompletną idiotką i nie potrafię cię przejrzeć. Twoje postępowanie świadczy, że uważasz mnie za tak głupią, jak to tylko możliwe. Och, daj spokój, Jeremy, naprawdę się nie popisałeś. Kilka lat temu dałeś lepsze przedstawienie. Wtedy byłeś bardziej wiarygodny. Ale wtedy nie ciążyła na tobie przeszłość.

— Ty... ty...

— Powiedz to — zachęciłam go. — Nie bój się. Teraz nie masz nic do stracenia. Już straciłeś wszystko. Wątpię, czy twoja pogarda jest w połowie tak wielka, jak moja.

— Ty... podstępna jędzo.

Roześmiałam się serdecznie.

— Słowa prosto z serca — zauważyłam. — I zrewanżuję się również szczerze, nazywając cię nędznym łowcą posagów.

— Więc to zemsta... bo nie chciałem się z tobą ożenić.

— Potraktuj to jako małą lekcję. Kiedy następnym razem wyruszysz na łowy, spróbuj być trochę sprytniejszy. Powinieneś być okazać więcej taktu i subtelności. Olivia jeszcze nie ostygła w grobie.

Patrzył na mnie, jak gdyby nie mógł uwierzyć w to, co widział i słyszał. Był tak zarozumiały, tak absolutnie pewny siebie, przekonany, że wystarczy kiwnąć palcem, a rzucę mu się w ramiona... Dałam mu trudną do przyjęcia i gorzką lekcję.

— Chyba nie myślałeś, że naprawdę ci ulegnę, co, Jeremy? — odezwałam się dość łagodnie. — Naprawdę sądziłeś, że sprzedam posiadłość... mój spadek... żebyś miał pieniądze na hazard i zabawy z przyjaciółmi? Śmiem twierdzić, że panie z domów gry uważają cię za bardzo przystojnego dżentelmena.

— Nie wiesz, o czym mówisz.

— Wiem więcej, niż przypuszczasz. Zastąpiłeś kimś pannę Florę Carnaby, czy nadal sprawuje

rządy absolutne?

Zbladł, a potem gwałtownie poczerwieniał.

— Kazałaś mnie szpiegować?

— Nic z tych rzeczy. Zwyczajny obieg informacji. Zdumiewające, w jakich okolicznościach takie rzeczy wychodzą na jaw. Olivia również wiedziała. Tego przede wszystkim nie mogę ci wybaczyć. Moja siostra widziała w tobie ósmy cud świata, zanim przeszastałaś jej pieniądze na hazard, Florę Carnaby i inne przyjemności twego prymitywnego świata.

— Olivia...

— Tak. Wypełniłaś rozpaczą ostatnie miesiące jej życia. Wiedziała i wyzbyła się wszystkich złudzeń. Właśnie dlatego pragnęła, żebym zabrała Livię. Bała się zostawić ją z tobą. Teraz wiesz wszystko. Nie widzę powodów, dla których miałabym oszczędzić ci prawdy.

— Chciałaś zemścić się za to, co ci zrobiłem.

— Dobrze się domyśliłaś! Pragnęłam zemsty... między innymi. Możesz teraz powiedzieć przyjaciółom... i prawdopodobnie wierzyicielom... że bogate małżeństwo nie dojdzie do skutku. Kandydatka wiedziała przez cały czas, o co zabiega jej uroczy adorator i bez ogródek kazała mu spakować manatki.

— Jesteś wiedźmą.

— Czy to nie lepsze niż być jędzą? Tak, jestem, i cieszę się z twojego zawodu. Będę się śmiała, wyobrażając sobie, jak oznajmiasz znajomym i ciotce Imogenie, że ślub został odwołany. Wymyślisz piękną historyjkę, nie wątpię. Będziesz się zapewne wahał, czy to właściwie żenić się z siostrą zmarłej żony. Cokolwiek powiesz, wyjdzie na jedno.

— Zapominasz, że mam tutaj córkę.

— Przykro mi, że ma takiego ojca.

— Nie pozwolę ci jej zatrzymać.

Zmartwiałam ze strachu. Czy naprawdę mógł to zrobić? Ostatecznie przecież był jej ojcem. Jak zwykle, kiedy się bałam, przeszłam natychmiast do ofensywy.

— Jeśli spróbujesz mi ją odebrać, zajmę się na serio twoimi sprawkami. Ujawnię szczegóły związku z Florą Carnaby — i niewątpliwie wielu innych. Wywołam skandal, który zniszczy twoją reputację i nie pozwoli ci złowić w przyszłości następnej dziedziczki. Będziesz skończony, Jeremy Brandonie. Mam pieniądze, by tego dokonać, i nie zawaham się ich użyć!

Twarz mu pobladła; zadrżał i widziałam, że jest przerażony.

— Choć na to nie zasługujesz, dam ci radę — ciągnęłam. — Wyjedź... i postaraj się, żebym nigdy więcej o tobie nie usłyszała. Nie wiem, ile pieniędzy zostawiła ci Olivia. Na twoim miejscu ratowałabym, co się da. Prawdopodobnie stracisz wszystko za jednym zamachem przy stole gry. Ale kto wie, może będziesz miał szczęście? Czy odrodzisz się z popiołów, czy ostatecznie pogrążysz, nic mnie to nie obchodzi. Żądam jedynie, byś wyjechał i nigdy więcej tu się nie pokazywał.

Stał, patrząc na mnie — zawiedziony i przegrany. Odarty z pewności siebie, ukazał mi się w nowym świetle. Wyobraziłam go sobie w Londynie: młodszy syn dobrej rodziny ze skromnymi środkami finansowymi, ale niezwykłą powierzchownością i nieodpartym wdziękiem. Wyobraziłam sobie jego marzenia, jego ambicje.

Teraz przeżywał upokorzenie, którego doznał z mojej ręki.

Poczułam wyrzuty sumienia, lecz natychmiast je stłumiłam.

To był mój tryumf i zamierzałam cieszyć się jego smakiem.

Jeremy odszedł.

Zapewne zatrzymał się na noc w gospodzie, a następnego dnia wrócił do Londynu.

* * *

Nowina rozeszła się szybko. Skąd ludzie dowiadują się takich rzeczy? Jak duża część mojej rozmowy z Jeremym została podsłuchana, a co było efektem domysłów?

Kiedy następnego ranka pojechałam na farmę, której właściciele nie dawali sobie rady z uprawą ziemi, Paul czekał na mnie przy drodze. Widziałam, że doznał ogromnej ulgi.

— Więc to skończone! — zawołał.

— Skąd wiesz?

— Gwennie nie mówi o niczym innym.

— Sądzę, że usłyszała coś od waszych służących, a ci dowiedzieli się od moich.

— Nieważne. Grunt, że to skończone.

— Nie myślałaś chyba poważnie, że mogłabym wyjść za niego za męża?

— Przez cały ten czas...

— Przez cały ten czas zamierzałam zrobić dokładnie to, co zrobiłam.

— Nie powiedziałaś mi.

— Musiałam być przekonująca, grając tę komedię. Zresztą podobała mi się twoja zazdrość. Pragnęłam, żebyś myślał, iż mnie straciłeś.

— Caroline!

— Zdaję sobie sprawę, że nie mam zbyt dobrego charakteru. Upokorzyłam go okropnie... i cieszę się z tego.

— Najpierw on zranił ciebie.

— Toteż cieszyłam się, obmyślając moją zemstę.

— A czy teraz żałujesz?

— Czasem nie znamy samych siebie zbyt dobrze. Myślałam, że jego zawód sprawi mi przyjemność i z satysfakcją będę obracała nóż w ranie, lecz kiedy nadeszła ta chwila, nie czułam żadnej radości. Widziałam efekt swego postępowania. Zraniłam go i upokorzyłam znacznie bardziej niż on mnie. Porzucił mnie subtelnie i delikatnie, do końca był uprzejmy. A ja wyszłam na jędzę... wiedźmę.

— Najdroższa Caroline, zostałam sprowokowana. Przecież jemu znów chodziło o twoją fortunę, tak samo jak poprzednio.

— Nie jest pierwszym mężczyzną, który ożenił się dla pieniędzy lub dla posagu w innej postaci — odparłam z goryczą.

Paul milczał, ja zaś ciągnęłam:

— Jakie mamy prawo osądzać bliźnich? Jestem wyczerpana... czy raczej smutna. Cieszyłam się swoim planem zranienia go, zadania mu bólu, ale teraz, gdy już po wszystkim, doprawdy nie czuję satysfakcji.

— Sądziłem, że zamierzasz wyjść za niego za męża. Byłem zdesperowany, gotów na wszystko, byle temu przeszkodzić. Snułem plany... szalone plany...

— Paul, gdyby tylko to było możliwe...

— Może... jakoś.

— Co? — zawołałam. — Co ty chcesz zrobić?

— Nie mogę tak dalej. Ta historia uświadomiła mi ostatecznie, że nie mogę.

— Nie ma wyjścia innego niż to, które sugerowałaś wcześniej... Na jakiś czas by nas zadowoliło, ale oboje pragniemy znacznie więcej, i ty, i ja.

— To prawda. Ale moglibyśmy wyrwać życiu trochę szczęścia, a kto wie, pewnego dnia...

— Pewnego dnia — powtórzyłam z ironią. — Pewnego dnia... Nie powinnam była tu zostać. Należało zaraz wyjechać. Wyjechałabym, gdyby nie wypadek cioci Mary. Myślałam o tym...

— Ucieczka nie jest rozwiązaniem.

— W tym wypadku byłaby najlepszym wyjściem. Gdybym wyjechała, zapomniałbyś o mnie po jakimś czasie.

— Nigdy. Przeżyłbym swoje życie w mroku. Ale jesteś tutaj i mogę cię widywać.

— Tak — odpowiedziałam. — Szczęśliwy jest każdy dzień, w którym cię spotykam.

— Och... Caroline!

— To prawda. Nie chcę dłużej niczego ukrywać. Nie można udawać bez końca. Od samego początku wisiało nad nami przekleństwo. Jesteśmy kochankami skazanymi przez gwiazdy na cierpienia. Ciocia Mary mawiała, że w naszych rodzinach powinna się powtórzyć historia Romea i Julii, lecz ze szczęśliwym zakończeniem, aby Landower i Tressidor rozkwitały razem. Sam jednak widzisz, że nasza historia nie może mieć szczęśliwego końca.

— Przynajmniej jesteśmy tutaj, a żadne z nas nie zwykło godzić się z porażką.

— Nie ma wyjścia. Nie możesz zostawić Landower, a Gwennie jest jego właścicielką. Kupiła je i będzie broniła wszystkiego, co do niej należy. Nie ma wyjścia.

— Znajdę jakieś — odrzekł Paul.

Wspominałam te słowa później. Wspominałam to, jak na mnie patrzył, gdy je wypowiadał — i nie mogłam zapomnieć, chociaż próbowałam.

Rozdział 10

Sekret Jagona

Lato było gorące i parne. Livia skończyła już dwa latka i rozpierała ją energia. Była dla mnie wielką pociechą, pomagała mi zachować pogodę ducha. Miałam tyle zajęć, że niewiele czasu zostawało mi na rozmyślania.

Kupiłam jej uroczego kucyka i pozwalałam jeździć wokół padoku na długim sznurze, trzymanym przez jednego ze stajennych. Dziewczynka lubiła to bardziej niż jakąkolwiek inną zabawę. Kupiłam kucyka po wyjeździe Jeremy'ego w nadziei, że dzięki temu mała nie zauważy zniknięcia ojca. Poczułam wielką ulgę, gdy zobaczyłam, że za nim nie tęskni.

Czasem zabierałam ją na przejażdżkę — prowadziłam kucyka aż do stróżówki Jamiego, który wychodził na zewnątrz i klaskał.

Przepadał za Livią, a dziewczynka też bardzo go polubiła. Zapraszał nas do środka i dawał jej szklankę mleka oraz chleb z miodem, zrobionym przez pszczoły specjalnie dla niej, jak twierdził.

Pewnego dnia, gdy byliśmy u niego z wizytą, zjawiała się Gwennie. Przyjechała kupić miód. Została zaproszona i poczęstowana szklanką aromatycznego napoju.

Spytała Jamiego, jak go robi, ale nie chciał powiedzieć. To jego sekret, oświadczył.

— Jest wspaniały — powiedziałam — i zaskakująco mocny. Gwennie spróbowała i postanowiła kupić trochę.

— To naprawdę stary, angielski napój — dodała. — Staram się podtrzymywać dawne zwyczaje. Czy to w Szkocji nauczył się pan robić miód, panie McGill? Czy są tam specjalne pszczoły?

— Pszczoły nie wiedzą, co to granice, pani Landower. Są takie same na całym świecie. Nie ma dla nich znaczenia, czy mieszkają w Anglii, Szkocji czy Australii. Są pszczolami, a pszczoła jest pszczolą na całym świecie.

— Ale spytałam, czy nauczył się pan ich zwyczajów w Szkocji. Bo pochodzi pan ze Szkocji, prawda?

— Ano.

— Pewnie tutaj jest całkiem inaczej.

— Ano.

— Przypuszczam, że czasem tęskni pan za domem.

— Nie.

— To zabawne. Ludzie zwykle tęsknią. Ja też czasem myślę o Yorkshire. Jak dawno wyjechał pan ze Szkocji, panie McGill?

— Dawno.

— Zastanawiałam się, jak dawno.

— Czas mija i człowiek traci rachubę.

— Ale z pewnością pamięta pan...

Widziałam, że Jamiego denerwuje to przesłuchanie i wtrąciłam szybko:

— Każdy tydzień przypomina poprzedni. Muszę powiedzieć, że sama nie mogę się nadziwić, jak prędko mija dzień za dniem. Livia, kochanie, skończyłaś mleko?

Mała skinęła główką.

— Nigdy nie byłam w Szkocji — ciągnęła Gwennie, która zdawała się nie pojmować tego, co ja odkryłam zaraz na początku naszej znajomości — że Jamie nie znosi bezpośrednich pytań. Zawsze szanowałam jego niechęć do mówienia o sobie. Gwennie, oczywiście, nie zwróciła uwagi na jego powściągliwość — a jeśli nawet zwróciła, zdecydowała się ją przeczłouczyć. — Z której części

Szkocji pan pochodzi, panie McGill?

— Och, tuż koło granicy. Muszę iść do pszczół. Są głodne.

— No cóż, proszę uważać, żeby pana nie zjadły — odpowiedziała z krótkim śmiechem.

— Nie zjedzą — zapewniłam ją. — Zawsze szanowały Jamiego. No cóż, musimy już iść.

Podziękuj za miód i mleko, Liwio.

Dziewczynka podziękowała, a ja wytarłam miód z jej paluszków.

— Teraz jesteśmy gotowe — powiedziałam i wyszliśmy z domku wszyscy razem.

— Odprowadzę was kawałek — zaproponowała Gwennie. — Mogę potem iść na skróty przez pole.

Posadziłam Livię na kucyku i poprowadziłam go za uzdę. Gwennie szła po mojej drugiej stronie.

— Dziwny z niego człowiek — zauważyła. — Trochę śmieszny.

— Masz na myśli Jamiego? Raczej niezwykły.

— Nie jest zbyt przyjazny, co?

— Nie żałuje gościom mleka i miodu, wręcz przeciwnie.

— Nie o to mi chodzi. Nie powiedział nam niczego.

— Nie powinnaś się dziwić, że nie chce zdradzić, jak robi swój miód.

— Wiesz, że nie mam na myśli miodu. Chodzi mi o to, że nie chce opowiedzieć nic o sobie.

— Ceni sobie prywatność.

— Zastanawiam się dlaczego.

— Wielu ludzi czuje to samo.

— Kiedy mają coś do ukrycia. Przecież tak naprawdę nic o nim nie wiemy, co nie?

— Wiemy, że jest dobrym dozorcą. Robi też dobry miód, a większość kwiatów, które mamy w domach, pochodzi z jego ogrodu. Wyhodował kilka bardzo pięknych odmian.

— Ale co naprawdę o nim wiesz?

— Że jest dobry i zadowolony z życia.

— Jest dziwny. Niektórzy służący twierdzą, że brakuje mu piątej klepki.

— Klepki?

— Znów przybierasz te swoje wielkopańskie tony, Caroline — wybuchnęła ze złością. — Wiesz dokładnie, co mam na myśli, ale odgrywasz wielką damę wobec parweniuszki z północy. Wiem. Paul jest taki sam. Nie należę do tego miejsca, nie jestem jedną z was. Zawsze mu to powtarzam... kiedy tak się zachowuje. Ale dom został odrestaurowany za pieniądze mojego ojca. Wciąż muszę im o tym przypominać!

— Myślę, że Paul o tym pamięta.

— I postaram się, aby nie zapomniał.

— A mówiłyśmy o biednym, starym Jamiem.

— Głupi, stary wariat, z tym swoim ogrodem i pszczołami! Coś ukrywa, ale ja się dowiem, zobaczysz!

Kilka minut później pożegnała się ze mną i skręciła na ścieżkę wiodącą przez pole do Landower.

Z przyjemnością powiedziałam Gwennie *au revoir*. Czasem jej towarzystwo było nie do zniesienia.

* * *

Jakiś tydzień później Gwennie przyszła do Tressidor z wypiekami na twarzy.

— Musiałam przybiec do ciebie natychmiast! — zawołała. — Takie nowiny! Jak myślisz, co się

stało? Nie mogę się doczekać, kiedy ci powiem. Zaraz pękne z wrażenia.

— Co się stało?

— To Jago. Wraca do domu w sobotę.

— I cóż w tym niezwykłego? Często wyjeżdża do Londynu i zawsze wraca do domu.

— Tym razem jest inaczej. Nie odgadniesz, co się stało!

— Najwyraźniej masz zamiar trzymać mnie w napięciu. To do ciebie niepodobne.

— To taka niespodziewana nowina, nigdy byś nie zgadła. Jago się ożenił! Przywozi do domu swoją żonę.

— Naprawdę?

— Wiedziałam, że będziesz zaskoczona. Ale historia, co nie? Jago włożył obrączkę! I przez cały ten czas nie pisała ani słówka.

— Z kim się ożenił?

— O to właśnie chodzi. Nie powiedział. Zawiadomił nas tylko, że przywiezie do Landower swoją żonę. Ożenił się w zeszłym tygodniu. Czy to nie ekscytujące?

— Bardzo.

— Wydaje się bardzo z siebie zadowolony. Chyba jest forsiasta.

— Wspomniał o... forsie?

— Nie... niezupełnie.

— Co masz na myśli, mówiąc: niezupełnie?

— No cóż, wcale. Landowerowie już tacy są. Nie rozmawiają o takich rzeczach. Chcą pieniędzy, ale udają, że im na nich nie zależy. Taką mają strategię. No cóż, mam nadzieję, że jest ładnie pozłacana, jak mawiał papcio. I nie mogę się doczekać soboty.

Wyjątkowo podzielałam jej uczucia.

* * *

Przez całą sobotę myślałam o Jagonie. Trudno było wyobrazić go sobie z obrączką na palcu. Przypuszczałam, że zamieszka w Landower z żoną. Byłam ciekawa, jak się ułożą stosunki między nią a Gwennie. Obiecałam sobie, że zaraz następnego ranka złożę wizytę pani Jagonowej.

Nie musiałam czekać tak długo. W sobotę wieczorem zjawił się niespodziewany gość.

Usłyszałam jakieś głosy i zeszłam do holu sprawdzić, co się stało.

Zobaczyłam Jagona. Szeptał coś do ucha jednej ze służących.

— Jago! — wykrzyknęłam.

Podbiegł, chwycił mnie wpół i okręcił wokół własnej osi.

— Musiałem przyjść do ciebie — powiedział.

— Witamy pana młodego — odrzekłam z uśmiechem.

— Tak jest. Nowożeńiec we własnej osobie. Czy nie wahałem się dość długo, zanim dałem nurka?

— Właśnie. Och, Jago! Ty — żonaty!

— No cóż, w życiu tak bywa, czyż nie? Ty mnie nie chciałaś, więc musiałem poszukać innej.

— Czuję się głęboko zraniona — oznajmiłam ze śmiechem.

— Wiedziałem, że tak będzie.

— Więc cała owa maszyna, plany i kontrakty... to było właśnie to?

— Za pierwszym razem naprawdę pojechałem w interesach.

— Jago, prawdziwy z ciebie Machiavelli.

— Oczywiście — odpowiedział skromnie.

— I nie przywozłeś żony do mnie?

— Ściśle rzecz biorąc, to ona nalegała, żebyśmy pojechali do ciebie dziś wieczorem. Nie chciała czekać do rana.

— Ona nalegała. Ale dlaczego tu nie weszła?

Zbliżył twarz do mojej.

— Bardzo się boi twojej reakcji.

— Mojej?

— Och, dużo o tobie wie. Chwileczkę. — Podeszedł do drzwi. — Możesz już wejść.

Weszła i przez chwilę patrzyłam na nią z niedowierzaniem. Potem podbiegłyśmy do siebie i ona wybuchnęła śmiechem, a ja jej zawtórowałam.

Uścisnęłyśmy się serdecznie.

— Rosie! — wykrzyknęłam.

— Tak sądziłam, że będziesz zaskoczona.

— Ty... wyszłaś za Jagona!

— Tak. Nie miej takiej oszołomionej miny. Wodzę go na pasku.

— Ale ty... ze wszystkich kobiet...

— Nie martw się, wszystko jest pod kontrolą.

— Cała maszyneria — dodał Jago.

— Nie miałam pojęcia.

— On też, póki go nie złapałam.

— Moja żona nie zawsze mówi prawdę — odezwał się Jago. — Zdradzę ci tajemnicę: to ja złapałam ją.

— Nie jestem zaskoczona — powiedziałam. — I zapominam o swoich obowiązkach. Wejdźcie, musimy to uczcić.

* * *

Rosie była zawsze najbardziej nieprzewidywalną ze znanych mi osób i robiła wszystko, by nie utracić tej opinii.

Następnego dnia przysłała do mnie i długo rozmawiałyśmy. Wbrew obyczajom państwo młodzi nie zamierzali zamieszkać w Landower.

— Jeszcze czego! — zawołała Rosie. — Porzucić interesy... właśnie teraz, gdy rozkwitają! Za trzy miesiące otwieram filię w Paryżu.

— A co z majątkiem... domem i posiadłością? Jago pomaga przecież w zarządzaniu.

— Niechętnie, jak mi się wydaje. Nie ma do tego serca i Paul nie zmartwił się zbyt na wiadomość o jego wyjeździe. Wszyscy wiedzą, że Jago nie jest do tego stworzony. Ale byłabyś zdziwiona widząc, jak pomaga mi w sklepach. Cały ten czar i poczucie humoru... działają na każdego, a w dodatku szybko się uczy. Nie sądziłam, że na coś się przyda, ale zna się na pięknych kobietach i dzięki temu wie, co powinny nosić. Spostrzegłam jego możliwości już na samym początku. Potem mnie odwiedzał, wiesz... Pasujemy do siebie.

— Tak przypuszczam.

— Ja jestem pewna. Nie zgodziłabym się na to małżeństwo, gdybym miała jakieś wątpliwości.

— Nigdy przedtem nie wyszłaś za męża, a miałaś z pewnością sporo okazji.

— Okazji do małżeństwa wcale nie tak wiele. Nie, kiedy zaczął mnie odwiedzać i dobrze się razem bawiliśmy, zainteresował się moją firmą. Tak to się zaczęło.

— Och, Rosie, to takie zabawne!

— Owszem, prawda?

— Czy Jago wie...?

— O fartuszku pokojówki i moich wczesnych zmaganiach? Tak, wie. Sekrety są jak garby, nie mam na to czasu ani ochoty. Człowiek traci tyle energii na ukrywanie prawdy. Jestem sobą i albo się to komuś podoba, albo nie. Sam też nie był nigdy wcieleniem cnót. Zrozumiał moją chęć odbicia się od dna i podziwia to, co zrobiłam. No cóż, więc wszystko wyjaśnione. Widzisz mnie teraz jako panią Landower... Rosie Rundall, potem Rosie Russell, a teraz Rosie Landower, szanowana żona dżentelmena z dobrej rodziny. To brzmi jak żart, nie uważasz?

— Nie — odrzekłam — uważam, że to cudowne.

— Dziękuję. Jestem też zadowolona, że będę bliżej ciebie. Musisz przyjechać do nas do Londynu, a sądzę, że my także od czasu do czasu będziemy odwiedzali siedzibę przodków.

— Rosie, tak się cieszę.

— Wiedziałam, że tak zareagujesz. Właśnie dlatego nalegałam, byśmy złożyli ci wizytę natychmiast po przyjeździe. Zostaniemy dwa tygodnie. Dłużej nie można.

— Co myślisz o Tressidor?

— Robi wrażenie. Nigdy przedtem nie byłam w takim miejscu. Wszystko jak w dawnych czasach, prawda? Jak to jest, urodzić się w takim domu? A teraz jest twój. Cieszę się. Ta twoja ciocia Mary postąpiła słusznie. Pasujesz do tego miejsca. A jak się miewa maleństwo?

— Bardzo dobrze.

— I czujesz się lepiej?

— Człowiek zapomina... Ale kiedy czasem wspomnienia wracają, ogarnia mnie straszliwy smutek. Coraz rzadziej jednak i coraz łagodniejszy.

Skinęła głową.

— Widziałam cię na pogrzebie — powiedziałam.

— Tak. Musiałam pójść. Biedna Olivia, była zbyt delikatna, by walczyć o siebie. Wielka szkoda, że Jeremy Brandon pojawił się w waszym życiu.

— Och, jest naprawdę słabym człowiekiem. Czasem o nim myślę. Nie wiesz, co się z nim dzieje?

— Chyba znalazł się w tarapatkach. Kiedy wierzyciele usłyszeli, że z bogatego małżeństwa nici, zażądali natychmiastowej spłaty długów. Byłam przerażona, gdy usłyszałam, że przyjął jego oświadczenia. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom!

— Byłam bardzo okrutna, naprawdę. Zaplanowałam to, Rosie. Chciałam pomścić... przede wszystkim siebie, ale też Olivię.

— No cóż, dostał to, na co zasłużył. — Spojrzała na mnie dosyć smutno. — Nie ma nikogo innego?

Zawahałam się, a Rosie nie nalegała.

— Tutaj pewnie ciągle spotykasz tych samych ludzi.

— Można tak powiedzieć.

— Musisz przyjechać do Londynu. Zabierz Livię. Powinna zobaczyć duże miasto.

Wiedziałam, co planuje. Chciała znaleźć mi męża. Roześmiałam się i zapytałam, udając beztroskę:

— Jak to jest, że kiedy ludzie biorą ślub, pragną widzieć wszystkich wokół w takiej samej sytuacji?

— Dobre małżeństwo to najlepsza sytuacja na świecie.

— Ty długo się wahałaś.

— Czekałam, aż będę całkowicie pewna. Tak postępuje mądra kobieta.

— Ale jak można być całkowicie pewnym?

— Musisz poczuć, że taki to a taki jest dla ciebie stworzony, a potem rozważyć wszystko jeszcze raz i jeszcze. Przekonasz się, że to działa.

— Nie jestem tak przewidująca jak ty, Rosie.
— Przyznaję, że mam pewne doświadczenie z mężczyznami... i z kobietami.
— I kiedy się rozglądasz, nie widzisz, że porażek jest znacznie więcej niż sukcesów?
— O porażkach słyszymy. O sukcesach się nie mówi.
— Myślę czasem o Robercie Tressidorze — powiedziałam. — Co to było za małżeństwo? Myślę o mojej matce i kapitanie Carmichaelu... Olivii i Jeremym... — Zawahałam się, a ona czekała. Ale nie wspomniałam o Gwennie i Paulu.
Rosie patrzyła na mnie oczami pełnymi powagi i milczała. Po chwili powiedziała:
— Dopóki tu jestem, ty i ja powinniśmy się widywać... często.

* * *

I tak się stało. Odbyłam wiele długich rozmów z Rosie. Była zaintrygowana wszystkim, co ją otaczało. Zrobiła w okolicy prawdziwą furorę i wkrótce znano ją wszędzie jako „Żonkę Pana Jago”. Jej stroje i powierzchowność budziły zachwyt. Dzięki posągowej urodzie sprawiała wrażenie bogini z Olimpu, przybyłej pomiędzy śmiertelników.

Nie jeździła dobrze konno, ale w swym doskonale skrojonym, srebrnoszarym stroju, kapeluszu tego samego koloru i szarym krawacie w zielone gwiazdki wyglądała w siodle jak Diana.

Jago był z niej bardzo dumny. Nie wierzyłam ani przez chwilę, że przedzierzgnął się w całkowicie lojalnego małżonka, Rosie jednak wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Rozumiała męskie zachcianki i umiała pójść na kompromis, co stanowiło źródło jej sukcesów. Brała, co życie miało jej do zaoferowania, i dzięki swej mądrości oraz doświadczeniu zaspokajała własne potrzeby i pragnienia. Czułam, że mogę się od niej bardzo wiele nauczyć.

Bardzo interesowali ją ludzie — nawet ci najprostszy. Zachwyciła się Jamiem i jego pszczołami. Spędziłyśmy w stróżówce bardzo przyjemną godzinę.

— Prawdopodobnie — oświadczyłam — pszczoły zaaprobują to małżeństwo.

Była bardzo spostrzegawcza i szybko pojęła sytuację w Landower. Wkrótce domyśliła się też mojego w niej udziału. Ta sprawa budziła jej troskę.

— Gwennie nie jest taka zła, tylko trochę toporna — powiedziała. — Nie może zapomnieć, że za coś zapłaciła i domaga się, by doceniono jej zasługi. Nie rozumie, że nie wszystko można kupić. I nie da się jej tego wytłumaczyć. Nie będzie słuchać. Osoby takie jak Gwennie zawsze żyją w przekonaniu, że są najmądrzejsze, i to ich błąd. Nie będzie słuchać niczyich rad, nigdy też nie zawróci z raz obranej drogi. Atmosferę w tym domu można by kroić nożem. Prędzej czy później musi nastąpić wybuch. Mam wrażenie, że krytyczny moment właśnie nadchodzi.

— Masz na myśli... Paula?

— On jej nienawidzi. Nawet kiedy Gwennie nie gada o płaceniu za dom i tak dalej. Nie może znieść widoku swojej żony. Wszystko, co robi ta kobieta, budzi w nim irytację... nawet drobiazgi, których zwykle się nie zauważa. Nie podoba mi się to, Caroline.

— A co myśli Jago?

— Mówi, że zawsze tak było. Ale ja czuję, że napięcie wzrasta... może dlatego, że jestem przybyszem z zewnątrz. Oczywiście znałam tę sytuację, Jago mi o wszystkim powiedział. Nie sądziłam jednak, że sprawy zaszły tak daleko. — Spojrzała na mnie przenikliwie. — To z twojego powodu?

Próbowałam zrobić zaskoczoną minę, ale Rosie ciągnęła:

— Paul jest zakochany w tobie, a ty w nim. Co zamierzasz z tym zrobić?

Widziałam, że nie ma sensu ukrywać czegokolwiek przed Rosie.

— Nic — odparłam. — Co mogę zrobić?

— To trudna sprawa... dostałaś ten dom. On ma tamten. Dzieci... odpowiedzialność za ludzi i majątek.

— Sama widzisz, jakie to okropne.

— Masz zamiar czekać bezczynnie... aż rozszałe się burza?

— A co ty byś zrobiła, Rosie?

Wahała się przez chwilę, a potem powiedziała:

— Ja jestem sobą, a ty sobą. Moglibyście spotykać się potajemnie, lecz co by wam z tego przyszło? Wpadlibyście prędzej czy później i to by jeszcze pogorszyło waszą sytuację. Oboje znaleźliście się w pułapce. Gdyby nie to wszystko — zrobiła gest ręką — powiedziałabym: Uciekaj. Spróbuj zacząć nowe życie!

— A co z posiadłością?

— Wyjedź na jakiś czas, choćby na miesiąc. Przyjedź do Londynu. Zostań z nami. Twój zarządca zajmie się wszystkim, od tego przecież jest. Tak, to dobre rozwiązanie. Wyjedź, nabierzesz dystansu do całej sprawy. Teraz nie widzisz niczego wyraźnie, bo tkwisz w samym środku wydarzeń. Pomyśl o przyszłości. Zobacz, co można zrobić. W tej chwili siedzisz na beczce prochu. Wszystko może się zdarzyć.

— Myślisz, że sytuacja jest aż tak groźna?

— Wiele w życiu widziałam i mam nosa do tych rzeczy.

— Wspaniale się z tobą rozmawia, Rosie.

— Zawsze do usług. Jeszcze jedna korzyść z tego małżeństwa... zbliżyło nas do siebie. — Milczała przez chwilę, a potem dodała: — W takim miejscu żyjesz na oczach sąsiadów. Wszyscy wiedzą wszystko, a kobieta taka jak Gwennie... jej ciekawość wydaje się nienasycona. Przypuszczam, że jej własne życie jest niezbyt szczęśliwe, skoro z takim zapalem szuka skaz u innych ludzi.

— Niezbyt szczęśliwe! Uważa, że kupiła sobie wspaniałe życie.

— I męża, który nie może znieść jej widoku. Jest tego świadoma i potępia go za to.

— Ludzie zawsze potępiają innych za własne błędy.

— Poznałam ją całkiem dobrze. Interesuje się namiętnie ludźmi wokoło. To niezdrowe zainteresowanie, bo ciekawia ją przede wszystkim skandale i wszystko, co mroczne. Z największą rozkoszą opowiadała mi o twoich zerwanych zaręczynach z Jeremym. Ma obsesję na punkcie jakiegoś człowieka od pszczoł. Wie, że jedna ze służących powiła dziecko dokładnie osiem miesięcy po ślubie i że małżeństwo nie było wcześniakiem. Odkrywanie takich szczegółów to jej namiętność. Myślę, że własne niepowodzenia każą jej cieszyć się z cudzych kłopotów.

— Dobrze rozumiesz Gwennie. Myślę, że ona cię lubi. Słyszałam od jednej ze służących, że jest zachwycona „Żonką Pana Jago”.

— Dużo z nią rozmawiam. Nie mogę tego uniknąć, mieszkając w tym samym domu.

— Zwierza ci się?

— Nie z własnych spraw. Tylko z cudzych... czego się dowiedziała... i co ma nadzieję odkryć. Biedna Gwennie, żal mi jej odrobinę. Nie jest zła, tylko po prostu ślepa i nie chce przejrzeć. Ją także zaproszę do Londynu. Przede wszystkim jednak pragnę, abyś ty przyjechała i została z nami przez pewien czas. Pomyśl o tym. Jestem pewna, że tego właśnie potrzebujesz.

— Wspaniale widzieć cię tutaj, Rosie. Będę za tobą bardzo tęskniła, kiedy wyjedziesz.

Nie myliłam się ani trochę. Kiedy Rosie i Jago wyjechali, poczułam się bardzo samotna.

Rozdział 11

Tajemnica kopalni

Kiedy Rosie wyjechała, w moim życiu znów zapanowała rutyna, aż pewnego dnia, jadąc na jedną z farm, spotkałam Paula na drodze wiodącej do Tressidor.

Od razu spostrzegłam, że coś się zmieniło.

— Coś się stało — powiedziałam.

Skinął głową i na jego twarzy ukazał się uśmiech.

— Wyjechała. Nie możesz sobie wyobrazić... jaka ulga.

— Myślę, że mogę. Dokąd pojechała? Na długo?

— Do Yorkshire... odwiedzić ciotkę.

— Nie wiedziałam, że ma ciotkę.

— O tak. Pisują do siebie... bardzo często. Nagle wbiła sobie do głowy, że powinna do niej pojechać.

— Na jak długo?

Paul wzruszył ramionami.

— Kto wie... nie na krótko... mam nadzieję.

— Musiała zdecydować niespodziewanie.

— Tak. To było po wyjeździe Jagona i Rosie. Gwennie nie traci czasu, gdy już raz się na coś zdecyduje. Sam zawiozłem ją na stację. Chciała najpierw jechać do Londynu i tam wsiąść w pociąg do Yorkshire.

— Nigdy dotąd nie wyjeżdżała.

— Przez wszystkie te lata... — odrzekł ze zmęczeniem. — Przynajmniej mogę trochę odetchnąć. Tak często pragnąłem z tobą porozmawiać... być z tobą.

Milczałam, a on ciągnął:

— Co będziemy teraz robić, Caroline?

— To samo, co dotychczas, jak sądzę — odparłam. — Taki nasz los. Co innego możemy uczynić?

— Musimy widywać się czasem... sami. Powinniśmy stawić czoło faktom. — Jesteśmy... w impasie. Nie możemy posunąć się naprzód i nie możemy cofnąć czasu. Czy będziemy do śmierci żyć wyrzeczeniem? Czy będziemy męczyć się jak dotychczas, tłumiąc najsilniejsze pragnienia?

— Myślałam o tym, żeby wyjechać na jakiś czas... do Londynu. Rosie uważa, że powinnam ich odwiedzić.

— Och, nie — odrzekł Paul.

— Myślę, że to dobry pomysł. Powinnam wyjechać... żeby wszystko przemyśleć.

— Nie możesz porzucić Tressidor, jak ja nie mogę porzucić Landower.

— Mam teraz Livię. To zmusza mnie do bycia rozsądną. Przedtem miałam więcej swobody. Był czas, że prawie już się zdecydowałam...

— Zdecydowałaś na co?

— Że zaryzykuję wszystko, byle tylko być z tobą.

— Caroline!

— Tak, tak zdecydowałam. Prawie. Widziałam wszystko wyraźnie... nasz sekretny związek... potajemne spotkania... życie w obawie przed skandalem... i pytałam siebie, co by ten skandal oznaczał. I czasem mówiłam sobie, że nie obchodzą mnie konsekwencje, zaryzykuję wszystko. Ale teraz muszę być odpowiedzialna... jak ty.

— Możemy wyjechać — zaproponował. — Bóg wie, jak często o tym myślałem. Moglibyśmy zamieszkać za granicą. Francja... pamiętasz Francję? Wydaje się, że to było strasznie dawno. Tak bardzo bałem się wtedy o ciebie. Właśnie w tamtej chwili zrozumiałem, jak wiele dla mnie znaczysz... i tak już zostało. Patrzyłem, jak śpisz. Stałem w nocy przy drzwiach balkonowych.

— Nie spałam.

— Ja... prawie wszedłem. Często się zastanawiałem, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybym wtedy wszedł.

— Tak. Ja też się nad tym zastanawiałam.

— Nie kazałabyś mi wyjść.

— Nie wiedziałam, że się ożeniłeś... ożeniłeś, aby ratować Landower. Myślałam, że nastąpił jakiś cud.

— Co za upiorny cud! Cud, który skazał mnie na życie w goryczy.

— Tak bardzo jej nienawidzisz?

— Nienawidziłem jej z najróżniejszych powodów Nienawidziłem jej irytujących nawyków. Nienawidziłem, bo jest sobą, i przede wszystkim dlatego, że stanęła między nami.

— Mówisz, jakby już jej nie było.

— Myślę tylko o tym, że wyjechała.

— Wkrótce wróci.

— Nie wkrótce... miejmy nadzieję, że nie wkrótce.

— To tylko wizyta.

— Miejmy nadzieję, że tam zostanie.

— Ale kiedy wróci...

— Nie myślmy o niej.

— Jak możemy nie myśleć? Ona istnieje i, jak sam powiedziałeś, stoi między nami.

— Nie w tej chwili. Zapomnij o niej. Mówmy o nas.

— Nie ma nic więcej do powiedzenia.

— Nie możemy żyć tak dalej.

— A mamy jakieś wyjście?

— Wiesz, jakie. I może... pewnego dnia... wszystko ułoży się po naszej myśli. — Pochylił się nade mną i położył rękę na mojej. Potem uniósł moją dłoń i przycisnął ją do ust. — Caroline, przyszłość zależy od nas. Zapomnijmy o wszystkim i wyjedźmy... gdzieś, gdzie nikt nas nie zna.

Potrząsnęłam głową i odwróciłam się szybko.

Zostawiłam go wtedy, ale przez cały dzień o nim myślałam, chciałam być przy nim, przemierzać razem z nim ścieżki, które tak bardzo pragnął mi pokazać.

Wciąż jednak się wahałam.

* * *

Nie jestem pewna, kiedy po raz pierwszy usłyszałam tę pogłoskę.

Ktoś powiedział, że widział czarnego psa przy kopalni. Wkrótce potem ktoś inny zobaczył — czy też sądził, że zobaczył — białego zająca.

Były to symbole śmierci. W dawnych czasach zapowiadały podobno katastrofę w kopalni. Teraz oznaczały po prostu śmierć... ale śmierć właśnie tam.

Przypomniano sobie starą legendę. Kiedy jeden z mieszkańców okolicy zamordował żonę i wrzucił ją do kopalni, ludzie też widzieli czarnego psa. A kiedy mężczyzna spadł do szybu, pies pojawił się znowu — tym razem z białym zajacem.

Obecnie znaki były identyczne.

Coś musiało wydarzyć się w kopalni.

Pojechałam tam i ze zdumieniem ujrzałam sporą grupę ludzi. Niektórzy siedzieli na trawie... inni spacerowali, spostrzegłam też jednego czy dwóch jeźdźców na końcu.

Był też jeden z naszych stajennych. Zobaczył mnie i podbiegł.

— Niech panienka nie podchodzi do szybu, panno Tressidor. Mówią, że czarny pies znów się ukazał.

— Myślałam, że widziano go w zeszłym tygodniu.

— A teraz znowu, panno Tressidor. Coś musiało się wydarzyć w kopalni, to pewne jak jesień po lecie. Och, może panienka być pewna.

— Chyba wszyscy zachowują teraz specjalną ostrożność.

— Niedobrze, gdy ludzie widzą czarnego psa.

— Myślałam, że to dobrze dostać ostrzeżenie.

— To nie tak, panienko. Jeśli czarny pies przychodzi do ciebie, nie ma co próbować ucieczki.

— No cóż, widzę tu sporo ludzi. Czy nie wyzywają losu?

— Och, nie wiem, panno Tressidor. Panienka nie mieszka tu dość długo, by rozumieć takie sprawy. Ale tu, u nas, zdarzają się rzeczy, których nie ma nigdzie indziej.

— Jestem pewna, że masz rację — powiedziałam.

Jadąc do domu, zastanawiałam się, co robi teraz Paul.

Czasem byłam już gotowa jechać do niego, ale coś mnie powstrzymywało. Szłam do dzieciennego pokoju pobawić się z Livią. Gdyby nie ona, zdecydowałabym pewnie rzucić wszystko i wyjechać, wierzyłam bowiem, że Paul też bierze to pod uwagę. Rodzinna posiadłość nie znaczyła już dla niego tyle co kiedyś, przed ślubem. Zbyt drogo za nią zapłacił.

Potem ogarnęło mnie straszliwe przerażenie.

Poszłam do swego pokoju i zastałam tam Bessie, moją osobistą pokojówkę, która akurat wycierała kurze. Przeprosiła i wyjaśniła, że rano miała dużo pracy i dopiero teraz mogła zabrać się do sprzątnia.

— W porządku, Bessie. Nie przerywaj sobie — powiedziałam.

— Zastanawiałam się, panno Tressidor — odezwała się dziewczyna — czy miała panienka wieści od pani Landower.

— Wieści od pani Landower? Dlaczego? Przecież wyjechała. Jest w Yorkshire... u ciotki.

— Ale niektórzy mówią...

— Co mówią? — zapytałam szybko.

— No cóż, niektórzy się zastanawiają, czy aby na pewno pojechała do Yorkshire. Wyjechała... całkiem nagle, jak mi się zdaje.

Czułam, że powinnam uciąć tę rozmowę, ale za słowami Bessie kryło się coś niepokojącego.

— Przypuszczam, że po prostu podjęła decyzję nagle — odrzekłam. — Wiesz, że pochodzi z Yorkshire.

— Bo Jenny... jej pokojówka... pokojówka pani Landower... Jenny mówi, że zna swoją panią dobrze i że nic nie wspominała o wyjeździe do Yorkshire.

— Pani Landower nie musi konsultować się z Jenny.

— Jenny powiedziała, że to śmieszne... Pani nic nie powiedziała... i zostawiła grzebień...

— Grzebień? O czym, na Boga, mówisz, Bessie?

— No cóż, Jenny twierdzi, że pani Landower zawsze używała tego grzebienia, kiedy się czesała. Do włosów. Wie panienka, jakie miała włosy. Lubiła nosić grzebień z tyłu głowy. Rzadko bez niego wychodziła.

— Odnoszę wrażenie, że Jenny próbuje coś nam powiedzieć. Co?

Bessie zrobiła zakłopotaną minę i szepnęła:

— Nie chcę powtarzać głupot, panno Tressidor.

— Ale chcesz mi przekazać pewną plotkę. Wiesz, że jestem szczerą i lubię to samo u innych. Więc proszę, powiedz jasno, co Jenny miała na myśli?

— No cóż, nie wiem dokładnie. Powiedziała, że uważa, iż pani Landower mogła nie pojechać do Yorkshire.

— Więc dokąd, zdaniem wszechwiedzącej Jenny, udała się jej pani?

— To właśnie ją martwi. Wyjechała... i nie wzięła grzebienia.

— Trudno mi uwierzyć, że grzebień odgrywa tak ważną rolę w życiu pani Landower.

— No cóż, zważywszy, jak się rzeczy mają... w Landower, mam na myśli... Jenny uznała po prostu, że to ciekawe, ot co.

— Zdaje mi się, że Jenny ma za dużo wolnego czasu teraz, gdy jej pani wyjechała.

Bessie milczała.

— Ona napisała list. Bo Jenny całkiem dobrze pisze. Mam wrażenie, że lubi się tym popisywać.

— Więc napisała, powiadasz... do kogo?

— Napisała do ciotki pani Landower. Znała jej adres, bo pani Landower zapisała go w małym notesiku, a pani Landower dużo z Jenny rozmawia. Opowiada o swoich sprawach... i Jenny mówi, że zawsze dużo rozmawiały... jak przyjaciółki. To znaczy nie jak pani i służąca.

— Tak, rozumiem.

— Pani Landower lubiła słuchać o wszystkim, a Jenny powtarzała jej, co usłyszała. Więc Jenny napisała list do tej ciotki i włożyła do koperty drugi list, do pani Landower... Jenny wie, jak się robi takie rzeczy. Jenny mówiła, że jej pani na pewno brakowało tego grzebienia i że chciałyby, aby go wysłać. Pytała o to w liście. Więc jeśli pani Landower tam jest...

— Co to znaczy: jeśli?

— Jenny uważa, że to ciekawe... a teraz jeszcze ten czarny pies. Czuję, że nie zniosę dłużej tej rozmowy.

— Wystarczy, Bessie — powiedziałam.

Wyszła, zostawiając mnie ze straszliwym przerażeniem w sercu.

* * *

Niania Loman zabrała Livię do Landower, aby pobawiła się z Julianem. Ja zaś od rozmowy z Bessie nie potrafiłam opanować wciąż rosnącego niepokoję.

To tylko plotki, przekonywałam samą siebie. To głupie, tyle o nich myśleć. Ale nie mogłam pozbyć się wspomnienia szepczących ludzi na wrzosowisku, wpatrzonych w kopalnię, jakby w każdej chwili spodziewali się ujrzeć koło niej czarnego psa i białego zająca.

Kiedy Livia wróci, sama położę ją do łóżeczka, co zawsze działało na mnie uspokajająco. Będę patrzyła, z jakim przejęciem mała słucha o przygodach Kopciuszka czy Czerwonego Kapturka i czasem coś przekręcę, gdyż znała wszystkie bajki na pamięć i poprawianie moich błędów sprawiało jej wielką przyjemność.

Słyszałam, jak wróciły i natychmiast poszłam do pokoju dzieciennego.

Niania wyglądała na wzburzoną.

— Coś się stało? — spytałam.

Spojrzała na Livię i skinęła głową. Wydarzyło się coś, o czym nie chciała mówić przy dziecku. Kopciuszek długo szukał szczęścia tego wieczoru, ale kiedy tylko otuliłam Livię kołderką, udałam się do niani.

— O co chodzi? — spytałam.

— No cóż, to bardzo dziwne, panno Tressidor. Zna pani Jenny, która jest osobistą pokojówką

pani Landower...

— Tak, oczywiście.

— No właśnie, Jenny uznała chyba za dziwne, że pani Landower wyjechała do Yorkshire, nic jej nie mówiąc, i że nie wzięła grzebienia, który zwykle nosiła.

— Tak — powiedziałam. — Słyszałam o tym.

— No właśnie, więc ta dziewczyna napisała do ciotki pani Landower, bo pan Landower powiedział, że jego żona pojechała do niej z wizytą. List do pani Landower, który Jenny włożyła do środka, wrócił z odpowiedzią ciotki, że pani Landower u niej nie była i że nie pisała do niej od Bożego Narodzenia.

— Och! Co to może znaczyć?

— No cóż... to znaczy: gdzie jest pani Landower?

— Miała pojechać do Yorkshire.

Niania Loman potrząsnęła głową i odwróciła się ode mnie.

Nie mogłam czytać w jej myślach, ale domyślałam się, w jakim kierunku podążyły. Pomyślałam, że nasze życie jest dla służby otwartą księgą. Zastanawiałam się, w jakim stopniu znają nawet nasze ukryte zamiary. A czego nie wiedzieli, umieli się domyślić.

Wyraz jej oczu, gdy na mnie patrzyła... lekko podejrzliwy? Czyżby pytała: A jaką rolę ty odegrałaś w tym wszystkim?

Żywiłam najgłębszy szacunek do niani Loman. Była troskliwą opiekunką, traktowała swe obowiązki bardzo poważnie, a jej cnoty sprawiały, że nigdy nie odczuwała pokusy zboczenia z prostej drogi. Może właśnie dlatego wydawała się szczególnie surowa.

Wszyscy wokół widzieli, jakie stosunki panowały między Paulem a Gwennie. Co wiedziano o uczuciach Paula do mnie i moich do niego? Mało prawdopodobne, że zdołaliśmy ukryć naszą miłość przed czujnym wzrokiem ludzi.

Tamci myśleli z pewnością: pani Landower stała im na drodze, a teraz pani Landower zniknęła.

Musiałam zobaczyć się z Paulem!

Podejrzeństwo było jak robak, który wwierał się w mój umysł. Nie dawało mi spokoju.

Widziałam jego twarz, gdy mówił: „Coś trzeba zrobić”. Co jeszcze powiedział? „Nienawidziłem jej...”, a ja odrzekłam: „Mówisz, jakby już jej nie było”.

Zgadza się, wypowiedzieliśmy takie słowa. Dlaczego Paul wyraził się o Gwennie w czasie przeszłym?

Wiedziałam, że moje podejrzenia są szalone, nie potrafiłam jednak przestać o nich myśleć. Pojechałam do Landower Hall.

Żałowałam, że domowa służba jest tak liczna i nie mogę zobaczyć się z Paulem bez niczyjej wiedzy.

Jedna z pokojówek otworzyła mi drzwi.

— Dobry wieczór. Pani Landower jeszcze nie wróciła, prawda? — odezwałam się od progu.

— Nie, panno Tressidor.

— W takim razie chcę się zobaczyć z panem Landowerem.

— Zawiadomię pana, że jest pani tutaj, panno Tressidor.

Czyżby się skrzywiła? Co oni myślą, ta armia detektywów, którzy śledzą każdy nasz krok i przeżywają nasze życie razem z własnym?

Przyszedł do mnie po chwili.

— Caroline! — Uścisnął mi dłoń.

— Nie powinnam była przychodzić.

— Możesz przychodzić do mnie... zawsze.

— Paul, muszę z tobą porozmawiać. Słyszałam ostatnie nowiny — odezwałam się szeptem.

- Słyszałaś o Gwennie?
- Nie ma jej w Yorkshire. Gdzie więc jest, Paul?
- Wzruszył ramionami.
- Mogła pojechać gdzie indziej... dokądkolwiek.
- Ale dlaczego? Wcześniej tego nie robiła.
- Nie wiem. Nigdy mi się nie zwierzała.
- Co się stało? Jak wyjechała?
- Wczesnie rano. Pociągiem o siódmej trzydzieści do Londynu.
- Dlaczego tak wcześnie?
- Bo chciała jechać od razu do Yorkshire, a musiała przesiąść się w Londynie.
- Kto odwiózł ją na stację?
- Ja.
- Ty? Dlaczego?
- Pewnie dlatego, że wyjeżdżała tak wcześnie... i cieszyłem się, że wyjeżdża. Odprowadziłem ją na peron.
- Na peronie musieli być jacyś ludzie. Musiała też kupić bilet!
- Nie. Przyjechaliśmy dość późno, pociąg stał już na stacji. Gwennie nie poszła do głównego wejścia, lecz na skróty, i zamierzała kupić bilet w pociągu. Dzięki temu zaoszczędziła kilka minut.
- Więc nikt nie widział, jak wsiadła do pociągu?
- Nie wiem. Wiem jedynie, że pojechała...
- Ale nie do Yorkshire, Paul. Och, co się stało?
- Musiała zmienić zdanie i pojechać gdzie indziej.
- Dokąd?
- Dlaczego zadajesz te wszystkie pytania?
- Nie rozumiesz? Wszyscy uważają, że nie pojechała do Yorkshire. Ta dziewczyna dostała list od ciotki Gwennie. Twoja żona do niej nie pojechała, nie napisała też, że ma zamiar ją odwiedzić. Ludzie zbierają się koło kopalni. Wiesz, jak wiele znaczy tutaj plotka. Jesteśmy obserwowani. Nie widzisz, co im chodzi po głowach? Wiedzą, jak wyglądały twoje stosunki z żoną. Może wiedzą też o nas. Nie myślę, by cokolwiek mogło ujść ich oczom, a czego nie widzą, chętnie sobie dopowiadają. Paul, wiesz, gdzie ona jest?
- Sugerujesz, Caroline, że ja...?
- Po prostu powiedz mi prawdę. Zrozumiem... zrozumiem wszystko... ale muszę wiedzieć.
- Myślisz, że ja wiem, gdzie ona jest? Nie wiem. Ostatni raz widziałem ją w pociągu do Londynu. To wszystko, co mogę powiedzieć.
- Paul... przecież mi ufasz... nie powinniśmy mieć przed sobą sekretów.
- Bardziej niż czegokolwiek — wybuchnął — pragnę, żebyśmy byli razem. Chcę, żebyśmy zostali tutaj... gdzie przynależymy... ty i ja... na resztę życia. Ona to uniemożliwia. Ale przysięgam ci, Caroline, na moją miłość do ciebie, że nie mam pojęcia, gdzie jest moja żona. Widziałem, jak odjeżdżała pociągiem. Nie wiem nic więcej. Wierzysz mi?
- Tak — odrzekłam. — Wierzę ci, Paul. Ale jestem przerażona. Strasznie przerażona.

* * *

W okolicy mówiono wyłącznie o zniknięciu Gwennie. Przy kopalni codziennie zbierał się tłum, a pogłoski obiegały okolicę z czarodziejską szybkością. Nad kopalnią widziano światła. Czarny pies krążył po wrzosowisku, ale ukazywał się tylko niektórym ludziom.

Żyłam w stanie rozpaczliwej niepewności. Wierzyłam Paulowi. Nie mógłby mnie okłamać...

Chyba że chciałby mnie chronić przed niebezpieczeństwem.

Nie mogłam uwierzyć, że potrafiłby użyć przemocy w stosunku do Gwennie. Ale każdy ma jakąś granicę wytrzymałości. A napięcie w Landower rosło od wielu lat.

Odwiedziłam Jamiego.

— Coś wisi w powietrzu — powiedział. — Pszczoły to czują. Nie mogę ich uspokoić. To gadanie o zniknięciu pani z Landower...

— Ludzie rozmawiają z tobą na ten temat, Jamie?

— Nie mówią o niczym innym. Pojechała dokądś. To irytująca kobieta, wciska nos w sprawy, które jej nie dotyczą. Wróci, nie wątpię.

— Jestem pewna, że wróci, ale mam nadzieję, że wkrótce. Nie podobają mi się te plotki. Ludzie gadają o kopalni, czarnych psach i białych zającach.

— Och, kopalnia — powiedział Jamie. — Dziwne miejsce. Lwie Serce jest nią zafascynowany. Mogę mu tłumaczyć całymi dniami, a i tak widzę, że ma ochotę wejść do szybu.

— Teraz ciągle zbierają się tam ludzie. Wyglądają, jakby czekali, aż coś się stanie.

— Jeśli człowiek na coś czeka, rzadko nic się nie dzieje. Zapragnęłam zmienić temat i spytałam:

— Jakich masz obecnie pacjentów?

— Małego królika. Znalazłem go na drodze... ze złamaną łapką. Musiał wpaść pod jakiś pojazd na kółkach.

— Jamie — powiedziałam — tak tu spokojnie... zwłaszcza teraz. Bardzo się cieszę, że mogę cię odwiedzać.

Proszę przychodzić, ilekroć panienka będzie miała ochotę.

Mówił szczerze. Poczulałam się trochę lepiej, ale kiedy wróciłam do Tressidor, służący komentowali już nowe wydarzenie.

Zaniepokojona pogłoskami o kopalni miejscowa policja wysłała wiadomość do Komendy Głównej w Plymouth, gdzie zdecydowano, że ktoś powinien sprawdzić szyby.

* * *

Nigdy nie zapomnę tamtego parnego dnia.

Cała operacja zaczęła się wcześniej rano. Służący szeptali, że na wrzosowisko zwieziono wiele sznurów i drabin, po których mężczyźni mieli zejść do szybów.

Nikt nie powiedział otwarcie, że policjanci będą szukali ciała Gwennie, ale wszyscy tak uważali. Byli przekonani, że została zamordowana przez męża, który potem wymyślił historijkę o wyjeździe do Yorkshire i pozbył się zwłok. Zrobił to dlatego, że miał jej dosyć, nigdy jej nie kochał, ożenił się tylko dla pieniędzy, aby Landower dalej należało do Landowerów, a obecnie zalecał się do panny Tressidor.

Była to dramatyczna historia, zaspokajająca ludzki głód sensacji i pokazująca, że ci, których urodzenie czy bogactwo postawiło nad innymi, są równie ułomni jak każdy.

Nie mogłam zostać w domu. Nie mogłam z nikim rozmawiać. Chciałam ukryć się gdzieś i być sama.

A jednocześnie czułam, że muszę od razu wiedzieć, jeśli coś odkryją. Chciałam zobaczyć się z Paulem. I chciałam mu powiedzieć, że cokolwiek zrobił — zrozumiem.

Spotkałam go na drodze, czekał na mnie.

— Musiałem być z tobą — odezwał się cicho.

— Tak — odrzekłam. — Cieszę się. Ja też tego chciałam.

— Jedźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać. Poszukajmy spokoju... miejsca z dala od ludzi.

— Prawie wszyscy będą dziś na wrzosowisku.

Dojechaliśmy do lasu i przywiązaliśmy konie do krzewu. Weszliśmy między drzewa. Paul objął mnie ramieniem i przytulił mocno.

— Paul, nieważne co... — zaczęłam mówić.

— Co zrobiłem — dokończył.

Powiedziałeś, że jej nie skrzywdziłeś i wierzę ci. Ale jeśli...

— Jeśli znajdą ją w kopalni... Jak mogła tam wpaść?

— Kto wie?... Jakiś fatalny zbieg okoliczności. Może została napadnięta i obrabowana? Wiesz, że lubiła obwieszać się biżuterią. A jeśli ją zamordowano i ciało wrzucono do szybu?

— Ale była w pociągu.

— Nie wiem. Dziwne rzeczy czasem się zdarzają. Oskarżają mnie, Caroline.

— Tak — odpowiedziałam. — A ty?

— Wierzę, że jesteś niewinny. Pomogę ci oczyścić się z zarzutów.

— Och, Caroline...

— Już niedługo. Ile czasu może im to zabrać?

— Niedużo, jak sądzę. Wkrótce się dowiemy.

— Ale cokolwiek się okaże, kocham cię. Kiedyś byłam krytyczna wobec ludzi, ale życie sporo mnie nauczyło i teraz zobaczyłam wszystko o wiele wyraźniej. Wiem, że zostałeś sprowokowany i nawet jeśli...

— Ale tak nie jest, Caroline. Odprowadziłem ją do pociągu. Cokolwiek ją spotkało, ja nie przyłożyłem do tego ręki.

Szliśmy przez las. Plamki słonecznego światła leżały na liściach, a w powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi. Co kilka minut spłoszone zwierzę zrywało się do ucieczki, a ja myślałam: chcę, aby to trwało. Pragnę zostać tu na zawsze.

Dziwne, że właśnie strach i niepewność, tak bolesne, że prawie nie do zniesienia, uświadomiły mi, jak bardzo go kocham i że nic, co uczynił lub mógłby zrobić, nie zniszczyłoby tej miłości.

Nie wiedziałam, jak długo jesteśmy w lesie, ale oboje czuliśmy, że czas wracać.

— Pojadę na wrzosowisko — postanowiłam.

— Nie powinnaś — zaprotestował.

— Muszę.

— Wracam do Landower — oświadczył.

— Nigdy nie zapominaj — dodałam z naciskiem. — Cokolwiek się wydarzy, kocham cię. Będę z tobą... wbrew całemu światu, jeśli nie znajdziemy innego wyjścia.

— Jeśli trzeba było oskarżenia o morderstwo, abys wypowiedziała te słowa, nie żałuję niczego — odrzekł Paul.

Trzymał mnie w ramionach dłużej niż chwilę, a potem wsiedliśmy na konie. On wrócił do Landower, a ja pojechałam do kopalni.

* * *

Zobaczyłam tam prawdziwy tłum. Przy szybie krzątało się kilkunastu mężczyzn. Odniosłam wrażenie, że skończyli już swoją pracę. Jeden z naszych ludzi znalazł się obok mnie.

— Już po wszystkim, Jim? — spytałam.

— Tak, panno Tressidor. Nic nie znaleźli... oprócz paru zwierzaków... kości i takie tam.

Spłynęła na mnie wielka fala ulgi.

— Chyba tylko stracili czas — dodał Jim.

Ludzie nadal się nie rozchodzili. Zapragnęłam pojechać do Landower. Musiałam zobaczyć

Paula.

Zawróciłam konia i popędziłam tak szybko, jak tylko mogłam.

Nie obchodziło mnie, co pomyśli służba. Niech mówią, co chcą. Ciało Gwennie nie było w kopalni. Musieli uwierzyć, że wsiadła do pociągu do Londynu.

Zapukałam do drzwi, które otworzyły się prawie natychmiast. Patrzyłam ze zdumieniem przed siebie. Ktoś schodził po schodach. Gwennie.

— Witaj, Caroline. To taki żart. Jestem tutaj. Na pewno zachodziliście w głowę, co się ze mną stało?

— Gwennie! — wykrzyknęłam.

— We własnej osobie — odparła. — Ale...

— Wiem, Jenny wszystko mi opowiedziała. Szukali mnie w kopalni, moich zwłok. Ale kawał! To nie było śmieszne.

— Nie. Zgaduję, że podejrzewali mego ukochanego małżonka. No cóż, to będzie dla niego lekcja. Może teraz zaczną mnie lepiej traktować.

Paul wszedł do holu.

— Wróciła — powiedział.

— Może powinniśmy jechać i zawiadomić tych ludzi w kopalni? — zapytała Gwennie.

— Już skończyli poszukiwania.

— Och, byłaś tam? Chciałaś zobaczyć moje doczesne szczątki?

— Na pewno nie — odrzekł Paul. — Caroline wiedziała, że cię tam nie ma. Wyjaśniłem, że pojechałaś gdzieś pociągiem.

— Biedny Paul. To musiało być dla ciebie okropne... te wszystkie podejrzenia. Ale będą mieli miny, jak mnie zobaczą! Nie mogę się doczekać. Szkoda, że nie schowałam się w kopalni. Pomyśleliby, że jestem duchem.

— Nie wiedzieliśmy, co myśleć, kiedy twoja ciotka odpisała Jenny, że nie ma cię w Yorkshire.

— O tak... zmieniłam zdanie w ostatniej chwili. Pojechałam odwiedzić kogoś w Szkocji.

— Szkoda, że tego nie powiedziałaś. Zaoszczędziłabyś wszystkim sporo kłopotów.

— Ale miło wiedzieć, że tutejsi ludzie tak bardzo się o mnie troszczą. Myślałam, że zawsze pozostanę dla nich obca.

— Uwielbiają dramaty, a dzięki tobie mieli okazję go przeżyć — powiedziałam. — Kochają cię za to.

— Myślę, że to zabawne. Teraz wychodzę. Pokażę się w okolicy.

— W takim razie baw się dobrze — pożegnałam ją.

Pojechałam do domu. Czułam ulgę, ale nie byłam szczęśliwa.

* * *

Okoliczni mieszkańcy ze wzburzeniem komentowali nowinę: Gwennie wróciła. Cała afera okazała się burzą w szklance wody. Liczne twarze zamieniły się w piwonie. Osoby, które widziały czarnego psa i białego zająca, schodziły sąsiadom z oczu. Czy demony zła pojawiły się po to, by obwieścić śmierć zabląkanej owcy i kilku innych zwierząt? A nawet one leżały w szybie od dawna.

Gwennie nadal świetnie się bawiła. Nie mówiła o niczym innym. Jenny była zawstydzona. Przyznała się kilku innym służącym (które powtórzyły jej wyznanie naszym pokojówkom, a od nich dowiedziałam się ja, że pani Landower nie zawsze nosi ów szylkretowy grzebień i że ona sama była po prostu ciekawa, czy jej pracodawczyni naprawdę pojechała do Yorkshire.

Gwennie złożyła mi wizytę. Chciała porozmawiać ze mną w cztery oczy.

Zaprowadziłam ją do zimowego saloniku, a ponieważ było już popołudnie, kazałam przynieść

nam herbatę.

Wygląda inaczej, pomyślałam, jakoś tak chytrze.

Zaczęła mówić o zamieszaniu, wywołanym przez jej rzekome zniknięcie.

— Dlaczego nie miałabym jechać, dokąd mi się zachciało? W gruncie rzeczy od początku nie zamierzałam jechać do Yorkshire. To było po prostu pierwsze miejsce, jakie przyszło mi do głowy... bo mam tam ciotkę Grace. Nie myślałam, że ta głupia Jenny narobi takiego rabanu... z powodu grzebień.

— Myślę, że grzebień był tylko pretekstem.

— Ale dlaczego sądziła, że coś mi się stało? — Roześmiała się głośno. — No cóż, Jenny lubi być w centrum zainteresowania. Nie można jej potępiać. A wszystko przez ten grzebień. — Wyjęła go z włosów. Był w hiszpańskim stylu, niezbyt duży, wysadzany drobnymi diamencikami. — To prawda, że często go noszę, ale nie mam zielonego pojęcia, dlaczego uznała, że nie wyjechałabym bez niego? — Wsunęła grzebień z powrotem na miejsce.

— Więc miałaś inne plany od samego początku? — zapytałam.

Skinęła głową.

— Nie znoszę błędzić w ciemnościach.

— Wiem o tym dobrze.

— Lubię wiedzieć. Drażni mnie, gdy czegoś nie wiem. Po prostu zawsze muszę znać prawdę.

— Rozumiem.

— Tak, obserwuję wszystko, co dzieje się wokół. Mama nazywała mnie Wścibską Matty. Powtarzała: „Czasem podnosi pokrywkę imbryka, żeby zobaczyć, co jest w środku”. Nie pamiętam, jak to się rymuje, ale zdaje się, że Matty spotkało coś okropnego. „Ciekawość zabiła kota” — to inne z powiedzonek mamusi. Papcio śmiał się ze mnie. „Nie ma sensu ukrywać czegokolwiek przed Gwennie” — mówił. Wiem, że to przez ciebie i Jagona miałam tamten wypadek.

— Och?

— Nie rób takiej zaskoczonej miny. Widziałam ciebie wtedy. Pamiętam twoje zielone oczy i włosy upięte na czubku głowy. Uczesałaś się kiedyś podobnie na wizytę u nas, a ja powiedziałam sobie: „Widziałam już wcześniej tę dziewczynę”. To jedna z tych rzeczy, które przypominają się człowiekowi po czasie... wiesz, co mam na myśli. Potem znalazłam drzwi na galerii i schody na poddasze. Nie musiałam już długo łamać sobie głowy. Weszłam na górę i znalazłam strój, który miałaś na sobie. Mogliście mnie zabić. To pierwsze, co miałam przeciw wam.

— Zdałam sobie sprawę, jak głupio postąpiliśmy, kiedy już było po wszystkim. To miał być żart.

— Typowe dla Jagona. Chciał nas wystraszyć, oczywiście. Po prostu pozbyć się kupców, nie zważając na konsekwencje.

— Ani przez chwilę nie sądziliśmy, że możesz spać. Nie wiedzieliśmy, że poręcz jest spróchniała.

— Wszystko w tym domu było spróchniałe, gdy go kupiliśmy z papciem.

Milczałam.

— Przez pewien czas nie mogłam chodzić. Nadal czuję klucie w plecach, a kiedy mnie boli, powtarzam w duchu: „Dziękuję, Caroline. Dziękuję, Jago. To przez was”.

— Naprawdę mi przykro.

— W porządku. Byliście głupimi dziećmi. Nie pomyśleliście i wiem, że żalowaliście tego. Jago zawsze był dla mnie bardzo miły. Myślę, że dlatego.

— Jago za tobą przepada.

Landowerowie przepadają za Landower... za chwałą rodu. Przyznaję, że podzielam ich

uczucia.

— Myślę, że Jago nie żywi ich zbyt wiele. Bardzo chętnie opuścił Landower.

— Będzie teraz siedział na złocie. Rosie wie, co robi.

— Nie myślę, by chodziło mu o złoto.

— Wszyscy je lubią. Dzięki niemu koła toczą się gładko.

— Czyżby?

Spojrzała na mnie ostro.

— Jeśli na to pozwolić — odparła. — Oczywiście wiem o Paulu.

— Co wiesz?

— Że robi do ciebie słodkie oczy... a ty mówisz „nie”, lecz bez zbytniego przekonania. Powiem ci jedno: nigdy nie dam mu odejść. Ożenił się ze mną. Pamiętaj, co dostał w zamian. I on też musi pamiętać.

— On nie zapomina, że jest twoim mężem.

— I niech nie próbuje. Nigdy nie pozwolę mu odejść. Lepiej, żebyś przyjęła to do wiadomości.

— Przyjęłam.

— Najlepsze, co możesz zrobić, to pojechać do Rosie. Przepada za tobą. Pomoże ci znaleźć męża, a wtedy nie będziesz potrzebowała oglądać się za cudzym.

— Nie musisz mnie obrażać. Rozumiem doskonale całą tę sytuację. Nie szukam męża i jeśli pojedę do Rosie i Jagona, to na pewno nie w tym celu.

— Podoba mi się ten ton. Poczucie godności, tak to chyba nazywają. Pewnie to go w tobie pociąga. Pani na Tressidor Manor i tak dalej. No cóż, nic z tego nie będzie, boja go nie puszcze. Dostał dom i musi żyć ze mną. I to się nie zmieni.

— Dlaczego nie spróbujecie się zaprzyjaźnić? — zapytałam.

— Co? Przecież Paul nienawidzi swego jarzma i chciałby je zrzucić.

— Jeśli będziecie nazywać to jarzmem, nigdy nie przestaniecie walczyć ze sobą.

— Takie jest życie, Caroline. Bierzesz, co chcesz, i płacisz. Nie ma sensu targować się o cenę, gdy umowa została już sporządzona i podpisana.

— Nie sądzę, aby tak należało patrzeć na małżeństwo.

— Jeśli nie weźmiesz się w garść, wygląda na to, że nie będziesz miała okazji spojrzeć na nie od wewnątrz.

— Bardzo prawdopodobne — zgodziłam się z nią. — Ale to już wyłącznie moja sprawa.

— No cóż — powiedziała, nagle rozpozgodzona — nie przyszłam klócić się z tobą. Wiem, że to nie twoja wina... niczyja zresztą. Po prostu tak już jest. Przyszłam porozmawiać o czymś innym. Jak mówiłam, lubię wiedzieć, co się dzieje wokół. No cóż, przyszło mi do głowy, że powinnam przeprowadzić małe dochodzenie. Właśnie dlatego wyjechałam.

— Dokąd?

— Do Szkocji. Do Edynburga. Zatrzymałam się u dziewczyny, którą znałam, zanim przenieśliśmy się na południe. Jej ojciec był przyjacielem mojego. Wyszła za męża i zamieszkała w Edynburgu. Pomyślałam, że ją odwiedzę.

— Skąd ta nagła decyzja?

— Chodziło o coś, co powiedziała Rosie. Zdaje się, że ona zawsze miała oczy i uszy szeroko otwarte. W pewnym sensie jest do mnie podobna. Dlatego tak przypadliśmy sobie do gustu. Dużo gadałyśmy. Założę się, że miała ciekawe życie... Wspomniała o tym po wizycie u niego.

— U niego?

— Jamiego McGilla. Chciałam, żeby zabrała do Londynu trochę miodu i powiedziałam do niej: „Nigdzie nie kupisz lepszego niż u tego człowieka. Wyczynia jakieś czary z pszczołami i rozmawia z nimi. Ma trochę pomieszane w głowie”.

— Nie powinnaś tak o nim mówić. Czasem myślę, że jest mądrzejszy niż ktokolwiek z nas. Wie, jak być zadowolonym z życia, a to największa sztuka.

— Wobec tego nie chcesz słuchać dalej?

— Oczywiście, że chcę.

— Zabrałam ją więc z sobą. Była bardzo zainteresowana pszczołami i Jamiem, toteż pogawędziliśmy chwilę. Kiedy wracałyśmy, spytała o jego nazwisko, a potem powiedziała: „McGill. Jestem pewna, że słyszałam o sprawie McGilla”. Możesz sobie wyobrazić, że cała zamieniłam się w słuch. Odezwała się: „Jamie McGill zawsze był tajemniczy. Nie chce mówić o sobie i bardzo się irytował, kiedy zadałam mu kilka prostych pytań... całkiem zwyczajnych, jakie zadałabyś każdemu”. Rosie zaś odrzekła: „No cóż, nie wiem, czy chodziło o Jamiego, ale pamiętam ten proces i jestem pewna, że oskarżony nazywał się McGill. Nie pisano o tym dużo w londyńskich gazetach, bo sprawa toczyła się w Szkocji”.

— Myślę, że chodziło o jego brata — powiedziałam. — Wspomniał kiedyś o bracie.

— Tak... masz rację. Rosie pamięta, że proces dotyczył morderstwa. Nie była pewna, co się stało, ale ten McGill został uniewinniony. Potem przypomniała sobie, że to właśnie z powodu uniewinnienia oskarżonego podniosły się protesty. Wydano werdykt, którego u nas nie ma: „nie udowodniono”. Dlatego pisano o tym procesie i Rosie go pamiętała. Oczywiście była bardzo zaintrygowana... ale nie wiedziała nic więcej.

— Chcesz mi powiedzieć — zapytałam z niedowierzaniem — że pojechałaś do Szkocji, aby odkryć sekret Jamiego McGilla?

Przytaknęła z figlarnym błyskiem w oku.

— Choć pojechałabym tak czy inaczej, gdybym wiedziała, jaki piękny mały dramat rozegra się tutaj pod moją nieobecność.

— Wiem, że lubisz przyczyniać innym kłopotów.

Zamyśliła się na chwilę.

— Nie wiem. Lubię wszystko wiedzieć... zawsze lubiałam. Lubię odkrywać to, co ludzie pragną zachować w tajemnicy.

— I co odkryłaś w sprawie biednego Jamiego McGilla?

— Całkiem sporo. Rozmawiałam z ludźmi, którzy pamiętają tamtą historię, i dotarłam do starych gazet. Zatrzymałam się u przyjaciółki w Edynburgu, a ona pokazała mi miasto... jak powiedziałam, znalazłyśmy całkiem sporo ludzi, którzy pamiętali ten proces. Nie minęło dużo czasu... tylko dziesięć lat. Ludzie nie zapominają takich rzeczy.

— No dobrze, i co odkryłaś?

— To był Donald McGill. Myślałam, że Jamie.

— Miałaś taką nadzieję — zauważyłam chłodno.

— Ale to był Donald. Jego brat nie miał z tym nic wspólnego. Donald zamordował swoją żonę.

— Myślałam, że został uniewinniony.

— To znaczy stanął przed sądem za morderstwo, ale niczego mu nie udowodniono. Znalezione ją u stóp schodów w ich domu. Ciągłe się kłócili, a ona... nie żyła. Miała ranę na głowie, ale nikt nie potrafił stwierdzić, czy uderzyła się spadając ze schodów, czy najpierw ją uderzono, a potem zepchnięto. Dlatego kiedy sędziowie nie mogli się zdecydować, zapadł wyrok: „nie udowodniono”.

— Gratuluję odkrycia — powiedziałam.

— No cóż, przynajmniej wiemy, jakiego człowieka zatrudniasz.

— Przecież chodziło o jego brata.

— Nie chciał, żeby sprawa wyszła na jaw.

— Wcale mu się nie dziwię. Jeśli coś takiego wydarzy się w rodzinie, z pewnością nie masz

ochoty o tym rozpowiadać.

— Musiałam wiedzieć.

— Więc teraz jesteś usatysfakcjonowana?

— Tak, teraz jestem usatysfakcjonowana.

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz tego rozgłaszać. Jeśli Jamie pragnie zachować swój sekret, powinniśmy uszanować jego wolę.

— Nie zamierzam nic mówić, a tak czy inaczej, chodziło o jego brata. Gdyby on był mordercą...

— Masz na myśli: podejrzanym o morderstwo. Muszę ci przypomnieć, że werdykt brzmiał: „nie udowodniono”.

Gdyby to był Jamie, sprawa wyglądałaby inaczej. Cóż za rozczarowanie dla ciebie!

Ten człowiek wciąż budzi we mnie ciekawość. Myślę, że ma w sobie COŚ bardzo dziwnego.

Na twoim miejscu zostawiłabym go w spokoju. Gwennie spojrzała na mnie z uśmiechem.

— Jesteś dla mnie znacznie bardziej interesująca, Caroline. Kiedy pomyślę o tobie... przyjechałaś tu, dostałaś majątek i wszystko... A potem pokazałaś drzwi Jeremy'emu Brandonowi... i zakochałaś się w moim mężu... Muszę powiedzieć, że przy tobie nigdy nie można się nudzić.

— Jestem zdziwiona, że moje życie wydaje ci się tak interesujące. O jedno cię proszę: nie denerwuj Jamiego i nie daj mu odczuć, że odkryłaś jego sekret. Pamiętaj, to jego życie.

— Tak — odpowiedziała Gwennie, wciąż uśmiechnięta. — Zachowajmy nasze sekrety, prawda?

Rozdział 12

Wyjawione sekrety

Przez następne dni nie chciałam nikogo widzieć. Wiedziałam, że mieszkańcy okolicy rozprawiają głównie o poszukiwaniach w kopalni i o powrocie Gwennie.

Słyszałam niektóre komentarze i dziwiłam się, że ci, którzy przedtem żądali przeszukania szybu, teraz oświadczają, iż nigdy nie podejrzewali zbrodni i od razu odgadli, że pani Landower po prostu pojechała gdzie indziej.

Nie złożyłam wizyty w Landower. Nie miałam ochoty widzieć Gwennie i bałam się rozmawiać z Paulem. Chciałam po prostu na jakiś czas odciąć się od reszty świata. To, co się wydarzyło, wstrząsnęło mną mocno — częściowo dlatego, że uwierzyłam, iż Paul, doprowadzony do ostateczności, mógł zabić żonę. Było to straszliwe oskarżenie skierowane przeciw ukochanemu mężczyźnie. Nauczyło mnie jednak czegoś o mnie samej. Nawet gdyby to zrobił, trwałabym przy nim.

Naiwne marzenia, których bohaterem uczyniłam Paula jako młoda dziewczyna, a potem zaślepienie Jeremym Brandonem, kazały mi zastanawiać się czasem, jak głęboka jest moja miłość do Paula. Teraz nie miałam wątpliwości. Kochałam go bezgranicznie.

Nasza sytuacja wydawała się beznadziejna i musiałam podjąć jakąś decyzję co do własnego życia. Miałam Livię i miałam Tressidor. Mogłam wyjechać z Livią, ale czy wolno mi było zostawić Tressidor? Czy mogłam sprzedać posiadłość? Siedzibę przodków rodu? Lecz ja nie należałam do tej rodziny. Moja matka wyszła po prostu za męża za jednego z Tressidorów, a ojciec też nie był jednym z nich.

Dlaczego zostałam właścicielką majątku? Powinnam była wyjechać. Jakie życie mogłam zbudować sobie tutaj? Co więcej, w moim sercu nadal drzemał strach. Przypuśćmy, że wszystkie owe ponure fantazje stałyby się rzeczywistością? Łatwo mogło do tego dojść i czy ktoś byłby naprawdę zaskoczony, zdumiony? Wielu — ja także — wierzyło, że to się może stać.

Gnębiło mnie coraz więcej takich smutnych myśli.

Ciociu Mary, powiedziałam w duchu, jeśli na mnie patrzysz, jeśli wiesz, co się tutaj dzieje, zrozumiesz. Wiem, ile to miejsce znaczyło dla ciebie. Wiem, że pragnęłaś, abym kontynuowała twoje dzieło... i ja też tego chciałam. To było dla mnie bardzo ważne, ale nie mogę tu zostać, bo czuję, że to, co się wydarzyło, było rodzajem próby, ostrzeżenia. Uświadomiono mi niezwykle wyraźnie, do czego może dojść. Czy ktokolwiek zniósłby dłużej taką sytuację? Czego trzeba, by człowiek popełnił morderstwo? Może tamci dwoje przekroczyli już granicę... ciociu Mary, czy zrozumiesz?

Pomyślałam, że pojedę do Londynu, porozmawiam z Rosie... i może z Jagonem. Niech mi pomogą podjąć decyzję.

Livia chciała jechać do Landower pobawić się z Julianem.

— Tych dwoje tak dobrze czuje się razem — powiedziała niania Loman. — Julian jest dla niej jak brat. Nigdy nie widziałam, żeby dwoje dzieci bawiło się tak zgodnie, jak oni.

Zabrała więc małą do Landower.

Kiedy wróciła, poprosiła o chwilę rozmowy.

— Pani Landower znów wyjechała — oznajmiła.

— Wyjechała?

— Na te swoje wojaje.

— Och, a dokąd tym razem?

- Nie powiedziała.
- Zdaje się, że lubi tajemnice. Mam nadzieję, że tym razem wzięła z sobą grzebień. Pytałaś o to?
- W rzeczy samej, spytałam. Zdaje się, że wzięła.
- W takim razie wszystko w porządku — odrzekłam.

* * *

Gwennie nie było już od tygodnia. Spotkałam Paula i pojechaliśmy razem do lasu, gdzie mogliśmy spokojnie porozmawiać.

— Zastanawiam się, dokąd pojechała tym razem — powiedziałam.

— Była taka ubawiona zamieszczeniem, które poprzednio wywołała. Przypuszczam, że postanowiła spróbować jeszcze raz.

Teraz już nikt się nie przejmuje jej nieobecnością. No cóż, nie można dwa razy splatać tego samego figla. Zmieniłam temat. Dużo rozmyślałam. Zaczynam się zastanawiać, czy nie powinnam sprzedać domu i wyjechać.

— Nie możesz tego zrobić!

— Mogę i czasem myślę, że to jedyne rozwiązanie.

— To defetyzm.

— To wycofanie się z sytuacji, która może okazać się groźna dla nas wszystkich.

— Ostatnie przeżycia zupełnie cię rozstroiły, prawda? Rzeczywiście uwierzyłaś, że uderzyłem ją w głowę i wrzuciłem do szybu.

Milczałam przez chwilę, a potem powiedziałam:

— Boję się, Paul. To wszystko wymyka się nam spod kontroli. Ona nigdy cię nie puści.

— Mogę odejść.

— I zostawić Landower... za którym zawsze będziesz tęsknić? Z Tressidor jest inaczej. Nie wychowałam się tutaj i nawet nie należę do rodziny. Noszę to nazwisko, bo moja matka poślubiła Roberta Tressidora. A Landower zawsze do was należało, więc naturalne, że jesteś z nim silnie związany.

— Zostawisz mnie.

— Tylko dlatego, że moje uczucia mogłyby wywołać katastrofę, gdybym została.

— Ludzie żyją w takich układach.

— Tak, to prawda.

— Więc czemu nie moglibyśmy pójść na kompromis? Wprawdzie nie możemy mieć tego, czego pragniemy, ale czy musimy wyrzekać się wszystkiego?

— Już o tym dyskutowaliśmy. Nie mogę być twoją kochanką. Bo to właśnie masz na myśli. Ale nas łączy chyba coś więcej niż tylko pociąg fizyczny. Żadne z nas nie czułoby się szczęśliwe, tęsknilibyśmy za prawdziwym byciem razem... rzeczami, które się liczą... domem, rodziną, godnym życiem, uczciwym życiem. Poza tym mieszkamy w domach ze szkła, jesteśmy przez cały czas obserwowani. Więc prędzej czy później nastąpiłby wybuch. Widziałam to wyraźnie, kiedy tamci ludzie weszli do szybu. Muszę pomyśleć, Paul. Muszę podjąć decyzję.

Tym razem nie próbował mnie przekonać. Nie było już nic do powiedzenia. Wyjaśniliśmy sobie wszystko. Szliśmy między drzewami, obok siebie... I pomyślałam: to jedyne sposób.

* * *

Pojechałam na wrzosowisko.

Gwennie wciąż jeszcze nie wróciła i nie było od niej żadnych wieści. Nikt się nie dziwił.

Zastanawiałam się, dokąd pojechała tym razem. Do Szkocji, by wypytywać o dalsze szczegóły z przeszłości Jamiego czy gdzie indziej, tropem innej tajemnicy? A może chciała tylko splatać nam nowego figla? Tak ją bawiły domysły na temat tamtego zniknięcia.

Jak smutne wydało mi się dziś wrzosowisko! Jak inne niż wówczas, gdy zastałam przed kopalnią tłum posępnych gapiów!

Zapragnęłam poczuć pod stopami sprężystą darń, przywiązałam więc konia do krzaka i ruszyłam przed siebie. Chciałam znaleźć się blisko kopalni i prawie mimowolnie stopy poniosły mnie w tamtą stronę.

Jak pusto!

Podeszłam do krawędzi. Co bym zrobiła, gdyby ukazał mi się czarny pies lub biały zając?

Wiatr z cichym jękiem rozgarniał wysoką trawę, dostrzegłam też kępy kwitnącego jałowca.

Nagle usłyszałam skrzypienie kół i stukanie końskich kopyt. Podniosłam głowę i poznałam własną bryczkę. Pomyślałam, że ktoś wraca z zakupów w Liskeard.

Ten ktoś dostrzegł mnie i stanął.

— Panno Tressidor! — zawołał w moim kierunku. To był Jamie.

— Witaj, Jamie. Byłeś w mieście?

Wysiadł z bryczki i głaszcząc konia po szyi, szepnął mi coś do ucha. Potem podszedł do mnie. Lwie Serce biegł przy jego nodze.

— Och, panno Tressidor, co pani robi koło kopalni?

— Po prostu spaceruję.

— Nie powinna panienka podchodzić tak blisko.

— Zastanawiałam się tylko, czy zobaczę czarnego psa... i zobaczyłam Lwie Serce.

Pies podbiegł do mnie i szczeknął przyjaźnie, machając ogonem. Pochyliłam się i pogłaskałam go. Pobiegł w kierunku szybu.

— Robiłeś zakupy?

— Kupiłem jedną czy dwie rzeczy. Bryczką wygodniej.

— Co byśmy bez niej zrobili? Piękny dzień.

— Zbyt duszno. Burza wisi w powietrzu.

— Kto ci to powiedział? Pszczoły?

— O pogodzie wiedzą wszystko.

— Oczywiście. Co się stało Lwiemu Sercu?

Pies stał przy krawędzi szybu, szczekając głośno.

— Chodź tutaj! — zawołał Jamie ostrym głosem. — Lew, chodź w tej chwili!

Lwie Serce podszedł wolno ze zwieszonym ogonem. Jamie pochylił się i poklepał go po łbie.

— Nie podchodź do szybu, dobry piesek.

Lwie Serce spojrział z żalem na kopalnię i przez chwilę miałam wrażenie, że złamię zakaz.

— No cóż — powiedział Jamie — chyba już wrócę. Wskakuj, Lwie Serce. Panno Tressidor, na miejscu panienki nie wędrowałbym za dużo po wrzosowisku.

— Dlaczego, Jamie?

— Była panienka zbyt blisko kopalni. Ona jakoś dziwnie panienkę przyciąga.

— Chyba masz rację. Te wszystkie legendy... Do widzenia, Jamie.

Patrzyłam, jak bryczka oddala się wolno, a potem wróciłam po konia, myśląc o tym, że Jamie wydawał się dzisiaj jakiś inny. Jak gdyby nie był całkiem sobą.

Zdecydowałam, że powinnam go odwiedzić. Przyszło mi do głowy, że ma jakieś zmartwienie. Coś się stało pszczołom, a może jednemu ze zwierzątek?

Ucieszył się na mój widok jak zawsze i nastawił wodę.

— Jamie — odezwałam się, kiedy usiadł obok mnie i nalał herbaty z glinianego dzbanka do filiżanek — czy coś się stało?

— Dlaczego pani pyta, panno Tressidor?

— Po prostu czuję, że coś cię trapi.

Patrzył na mnie badawczo kilka sekund, a potem powiedział:

— Donald wrócił.

— Donald! Twój brat. Ten, który...

Pokiwał głową.

— Tak, panno Tressidor. Donald wrócił... był tutaj.

— Och, Jamie, a miałaś nadzieję, że nigdy cię nie znajdzie!

— Był tutaj — powtórzył.

— Zrobił coś złego?

— Obawiam się, że zrobi.

— Czego chce?

— Po prostu mnie znalazł.

— Gdzie jest teraz?

— Odszedł.

— Nie może wyrządzić ci żadnej krzywdy.

— Może, panno Tressidor. Może popsuć wszystko.

— Nie, Jamie, nie dopuścimy do tego.

— Nie zna panienka Donalda.

— Wiem tylko to, co mi powiedziałaś.

— Donald jest podły. Nie chcę go tutaj, panno Tressidor. Popsuje wszystko... wszystko, co stworzyłem, odkąd tu przyjechałem.

— Nie może, jeśli mu nie pozwolimy.

Milczał przez chwilę.

— Donald jest mordercą — wyznał. — Zawsze wiedziałem, że ma to w sobie. Kiedy był chłopcem... widziałem, jak krzywdzi... zabija bezbronne zwierzęta. To go czasem napadało. Nie mógł nic poradzić, zdaje mi się. Po prostu pragnął zabijać... Białe myszki, króliki... takie stworzonka. Zwierzęta, które mieliśmy u siebie. Był do nich przywiązany, ale pewnego dnia znajdowałem je nieżywe. Po prostu musiał zabijać.

— Nie pozwolę, by zburzył twój spokój, Jamie. Mieszkasz tutaj, masz tu dom i wszystko jest dobrze.

— Nigdy panience o tym nie mówiłem, ale gdybym chciał komuś powiedzieć, wybrałbym panienkę... albo pannę Mary. Była dla mnie dobra i panienka też.

— Chcesz o tym porozmawiać? Powiedz, dlaczego tak się go boisz? Obiecuję, że cię nie skrzywdzi.

— No cóż, był żonaty. Ożenił się z Effie. Kochałem Effie.

— Masz na myśli, że obaj kochaliście tę samą dziewczynę?

Milczał.

— Biedny Jamie — ciągnęłam — a ona wyszła za Donalda.

Kiwnął głową.

— Ludzie się zmieniają. Effie była pogodną dziewczyną, chciała się bawić. Lubiła wychodzić, tańczyć i tak dalej, a kiedy się pobrali, nie mogli tego robić. Pieniądze i takie rzeczy... panienka rozumie?

— Tak — powiedziałam. — Rozumiem.

— Stale tak było, całe lata. Nigdy nie była zadowolona... żałowała, że się pobrali. Gderała... gderała... aż pewnej nocy Donald chwycił pogrzebacz, uderzył ją w głowę i zepchnął ze schodów. To było morderstwo i on to zrobił. Ale nie mogli mu nic udowodnić. „Nie udowodniono”. Tak powiedzieli i Donald był wolny.

— Jak dawno to się stało, Jamie?

— Dziesięć lat temu.

— Przez ten cały czas Donald nie zbliżył się do ciebie?

— Uciekłem. Nie mogłem tego znieść. Bałem się Donalda. Widzi panienka, wiedziałem. Pamiętałem białą myszkę, którą kiedyś mieliśmy w domu. Pamiętałem, że nie mogłem się powstrzymać, kiedy wpadał w taki nastrój. Nie chciałem widzieć Donalda... nigdy więcej. Wiedziałem, że nie zaznam spokoju, jeśli on będzie w pobliżu.

— A teraz przyjechał?

— Tak, przyjechał.

— Kiedy to było?

— Kilka dni temu.

— I znów wyjechał?

— Tak. Kazałem mu wyjechać. Powiedziałem: „Nie przychodź tu nigdy więcej”. Powiedziałem: „Dla mnie jesteś martwy. Nie chcę cię widzieć tutaj, Donaldzie, złamałeś mi życie”.

— Aż tak ostro? Przecież to twój brat.

— Nie zna panienka Donalda. Jest spokojny przez pewien czas i człowiek myśli, że wszystko się ułożyło, a potem... dostaje ataku. Donald nie powinien tu przyjeżdżać... do mojego domu... nie, nie.

— Rozumiem. Dokąd teraz wyjechał?

W milczeniu potrząsnął głową.

— I odkrył, gdzie jesteś. To cię martwi?

Teraz skinął głową.

— Rozumie panienka, on na pewno wróci.

— Jesteś zdenerwowany, Jamie, i przesadzasz — powiedziałał uspokajającym tonem. — Boisz się, że skrzywdzi twoje zwierzęta... Lwie Serce, Tygrysa i twoich pacjentów. Posłuchaj, jeśli znów się zjawi, daj mi znać. Przyjdę i zobaczę, co mogę zrobić.

— Panienka jest dla mnie taka dobra — odrzekł cicho.

Pożegnałam go. Biedny Jamie, tak bardzo się martwił. Ale nie czułam zdziwienia, bo każdy lękałby się brata mordercy.

* * *

Gwennie nadal nie dawała znaku życia. Staralam się o niej nie myśleć, wciąż jednak miałam przed oczami jej okrągłą twarz. Wiedziałam, że jest złośliwa. Była zachwycona tym, że wszyscy jej szukali. Ale czy znów wyjechała? Czyżby sądziła, że damy się nabrać po raz drugi?

Postanowiłam jechać do miasta na zakupy i wczesnym popołudniem poszłam do stajni po bryczkę.

Wyprowadzono mi ją i wkrótce jechałam wiejską drogą, pochłonięta rozważaniami o przyszłości, które od dłuższego czasu nieustannie mi towarzyszyły. Nie potrafiłam zdecydować, co jest mi przeznaczone. Budząc się rano, mówiłam sobie, że muszę zrobić to i tamto, a po południu zmieniałam zdanie.

Muszę wyjechać z Kornwalii, mówiłam sobie. A potem: Nie, nie. Nigdy nie wyjadę.

I tak to trwało.

Odbyłam kilka pogawędek w sklepach. Wszyscy wiedzieli o powrocie Gwennie i o poszukiwaniach w kopalni. Nadal o tym dyskutowano.

— Burza w szklance wody, panno Tressidor.

Zgodziłam się z tą opinią.

— Ona nie jest taka jak my — powiedziała kobieta z poczty. — To obca, prosto z północy. Oni tam mają dziwne obyczaje.

Ja także byłam obca, ale przynajmniej nosiłam nazwisko Tressidor.

Pojechałam od razu do stajni i miałam już wsiąść, kiedy coś przyciągnęło mój wzrok. Jakiś niewielki, błyszczący przedmiot wystawał spod siedzenia. Pochyliłam się, by go podnieść. Grzebień — grzebień, który widziałam już wcześniej — mały hiszpański grzebień wysadzany diamentami.

Grzebień Gwennie!

W bryczce Tressidorów! Skąd się tu wziął?

Mogłam wyciągnąć tylko jeden wniosek. Jeśli grzebień był w bryczce, Gwennie także musiała nią jechać.

Czułam się oszołomiona. Skąd grzebień znalazł się w naszym powoziku?

Włożyłam go do kieszeni i poszukałam stajennego.

— Kto ostatnio używał bryczki? — zapytałam.

Podrapał się po głowie.

— Zaś panienki? — zapytał.

— Tak, przede mną.

— Cóż... nikt... chyba tylko Jamie McGill.

— Tak, pojechał do miasta. Widziałam go na wrzosowisku.

— Dam głowę, że był ostatni.

— Czy pani Landower kiedyś nią jechała?

— Pani Landower? Przecież jej nie ma... będzie z tydzień czy dwa.

— Tak, wiem. Ale zastanawiałam się, czy może ktoś ją podwiózł.

— Nie, z tego co wiem.

— W porządku — odrzekłam.

Włożyłam rękę do kieszeni. Zęby grzebienia ukłuły mnie w palce. Poczułam mdłości. Poszłam do sypialni i wyjęłam grzebień. Widziałam, jak Gwennie ściąga go z włosów i ogląda.

„Noszę go często... ale nie zawsze” — tak powiedziała.

W jaki sposób znalazł się w bryczce?

Postanowiłam odwiedzić Jamiego.

Zbliżając się, zobaczyłam go w ogrodzie. Stał pośród swoich uli, a pszczoły krążyły wokół.

Zawołałam go.

— Dzień dobry, panno Tressidor!

— Jesteś zajęty?

— Nie. Proszę do domu. Przyjdę za chwilę.

Weszłam i usiadłam, a po kilku minutach Jamie stanął w progu.

— Jamie — zapytałam — kiedy ostatni raz używałeś bryczki?

Wyglądał na zakłopotanego, więc dodałam:

— Wiem, że wzięłeś ją tego dnia, gdy spotkaliśmy się na wrzosowisku. Ale kiedy używałeś jej poprzednio i czy podwiózłeś może panią Landower?

— Panią Landower? Słyszałem, że wyjechała.

— Zastanawiam się, dlaczego znalazłam w bryczce ten przedmiot.

— Co to jest?

— Jej grzebień. Dziwne, że tam był. Myślałam, że może ją gdzieś podwiozłeś... zanim wyjechała...

— Podwiozłem? — powtórzył.

Wyglądał dziwnie. Patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem.

— Wszystko w porządku, Jamie? — zapytałam.

Nadal patrzył przed siebie i powtarzał:

— Podwiozłem?

— Jamie, usiądź. O co chodzi? Wiesz, w jaki sposób grzebień pani Landower znalazł się w bryczce?

— Panienska to wie, prawda, panno Tressidor? — odezwał się cicho.

— Wiem co?

Miał dziwnie szklisty wzrok, co nadawało jego twarzy wyraz, jakiego nie widziałam nigdy wcześniej. Wydawał się innym człowiekiem.

— Jamie — powiedziałam — wyglądasz dziwnie... jakbyś nie był sobą... co się stało?

Pochylił się nad stołem i powtórzył:

— Panienska wie.

— Wiem co?

— Że to nie Jamie.

— Co masz na myśli?

Ale już zrozumiałam i serce najpierw zamarło mi w piersi, a potem zaczęło walić jak szalone.

— To ty jesteś... Donald.

Jego oczy patrzyły przebiegle. Nigdy nie widziałam u Jamiego takiego spojrzenia.

— Tak — odrzekł — jestem Donald McGill.

Stałam, nie wiedząc, co robić. Instynkt nakazywał mi uciekać... natychmiast. Czułam, że ten mężczyzna to szalowiec. Jamie miał rację. Jego brat był niebezpieczny.

— Gdzie... Jamie? — wyjąkałam.

— Jamie odszedł.

— Ale dokąd... dokąd? Przyszłam porozmawiać z Jamie.

Cofnęłam się o krok i kątem oka zmierzyłam odległość do drzwi.

— Wróć... kiedy będzie Jamie. Chcę się z nim zobaczyć. Powiesz mu, że byłam?

— Ty wiesz, prawda? — powtórzył po prostu.

— Wiem, że Donald przyjechał.

— Wiesz, że ona nie żyje. Wiesz, gdzie jest. W szybie kopalni. Tam leży! Zabiłem ją. Uderzyłem w głowę! — Wybuchnął śmiechem i zrobił krok w kierunku kominka. Wisiały tam miechy i mosiężny pogrzebacz. Wziął pogrzebacz i przyjrzał mu się bacznie. — Zabiłem ją tym — powiedział. — Uderzyłem ją w głowę, a potem zaniósłem do bryczki i zawiozłem do kopalni. Nie było tam nikogo, więc wrzuciłem ją do szybu.

— Nie mogłeś tego zrobić. Dopiero co przyjechałeś.

— Przyjeżdżałem tu... od pewnego czasu. — Odłożył pogrzebacz. — Zrobiłem to Effie i zrobiłem jej. Effie doprowadzała mnie do szaleństwa. Ciągle narzekała. Nie powinna była za mnie wychodzić. Byłoby lepiej, gdyby wyszła za Jacka Sparrowa. On sobie dobrze radził, z nim miałyby inne życie. Pozwalałem jej wychodzić, ale potem nie mogłem tego znieść... A pani Landower była zbyt ciekawa... Szpiegowała. Pojechała do Edynburga i dowiedziała się różnych rzeczy... Chciała gadać. Wkrótce wszyscy by wiedzieli. To nie było w porządku wobec Jamiego. On chciał tu mieszkać... ciężko pracował, żeby mieć to, czego pragnął. Pragnął, żeby wszystko było jak dawniej... a ona zamierzała mu przeszkodzić.

— Czy Jamie ci to powiedział?

— Mówi mi wszystko. Znam Jamiego... a Jamie zna mnie. Jesteśmy inni, lecz jesteśmy jednym...

— Wiem, że jesteście bliźniakami, ale nie widzieliście się wiele lat. Muszę iść. Wrócę później, żeby porozmawiać z Jamiem.

— Teraz wiesz, prawda?

— Wiem, co mi powiedziałeś.

— Powiedziałem ci o niej, a ty przyszłaś tu z grzebieniem... Znalazłaś go w bryczce. Byłem nieostrożny... Nie zauważyłem go. Zdradziłem się, nikt nie powinien wiedzieć. Myśleliby, że znów chce wszystkich nastraszyć. Jak poprzednio.

— Muszę już iść...

Skoczył przede mną i oparł się plecami o drzwi.

— Ty wiesz — powtórzył. — Ona też wiedziała i musiała zginąć... A teraz ty wiesz.

— Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Nie rozumiem, skąd to wszystko wiesz. Nie mieszkasz tutaj.

Zrobił krok w moim kierunku i znów spostrzegłam, że oczy mu dziwnie błyszczą.

— Muszę uratować to wszystko... dla Jamiego — powiedział. — Jamie jest tu szczęśliwy. Narobisz mu kłopotów.

— Nigdy nie skrzywdziłabym Jamiego.

— Przyszłaś tutaj z tym grzebieniem. Przyszłaś powiedzieć Jamiemu, że ją zabił. On nie skrzywdziłby nawet muchy. Jamie kocha wszystkie żywe stworzenia. On by jej nie tknął, choćby nie wiem co. To musiał zrobić Donald. A teraz... jesteś tutaj.

Był tak blisko. Stałam twarzą w twarz z szaleńcem. Prawie czułam jego palce na gardle.

Staralam się, by mój głos zabrzmiał stanowczo:

— Teraz już idę.

— Będziesz leżała w szybie obok niej... tej wścibskiej kobiety, która wszystko popsuła swoim szpiegowaniem. Nie powinnaś tu przychodzić do Jamiego...

Widziałam jego ręce. Wydawały się twarde i silne. Próbowалам krzyczeć, ale wydobyłam z gardła tylko ochryply szept, wiedziałam zresztą, że tylko cudem ktoś mógłby mnie usłyszeć.

To nie może się zdarzyć, pomyślałam. Dlaczego?... Co to wszystko znaczy?

Jego twarz ożywiła się nagle.

— Panna Tressidor była dobra dla Jamiego — powiedział. — Panna Mary i panna Caroline... nikt nie był dla Jamiego tak dobry jak panna Caroline i panna Mary.

I nagle, w nieoczekiwanym przebłysku zrozumienia, pojęłam. Zobaczyłam, jak stoi w ogrodzie pośród brzęczących pszczoł i zawołałam:

— Jamie! Ty jesteś Jamie!

Opuścił ręce i popatrzył na mnie.

— Wiem, że jesteś Jamie — powtórzyłam.

— Nie... nie. Jestem Donald.

— Nie, Jamie, pszczoły mi powiedziały.

Wyglądał na zaskoczonego.

— Powiedziały panience?

— Tak, Jamie, pszczoły mi powiedziały. Jesteś Jamie, prawda? Nie ma żadnego Donalda. Nigdy nie było Donalda. Jesteście jedną osobą.

Jego twarz złagodniała nagle. Wydawał się teraz kruchy i bezradny.

— Jamie, Jamie — zawołałam — chcę ci pomóc! Wiem, że mogę.

Patrzył na mnie oszołomiony.

— Więc to pszczoły powiedziały panience... — Usiadł przy stole i ukrył twarz w dłoniach. Potem odezwał się spokojnie: — Teraz wszystko jasne. Istnieje tylko jeden człowiek, Donald Jamie McGill. Ale czasem miałem wrażenie, że jesteśmy dwiema różnymi osobami. Jamie był moim prawdziwym „ja”... a Donald... obcym. Robił okropne rzeczy... a Jamie cierpiał. W pewnym sensie było nas dwóch... choć w jednym ciele.

— Myślę, że rozumiem. Jedna część ciebie zabijała małe zwierzątka, które druga kochała. Nagle opadała cię żądza zabijania... i czułeś, że to nie jesteś prawdziwy ty, bo Jamie był spokojny, łagodny i pragnął żyć w pokoju z całym światem.

— Kochałem Effie — powiedział wolno — ale kiedy narzekała i narzekała, czułem, że nie powinienem być się z nią żenić, bo nie umiałem dać jej tego, czego pragnęła. A potem... pewnej nocy, gdy gderała i gderała... miałem dosyć. Chwyliłem pogrzebacz i uderzyłem ją. Staliśmy przy schodach i ona spadła. Powiedziałem sobie, że się potknęła... ale rozumiałem, że to zrobiłem. Potem uznałem, że to Donald, a sędziowie orzekli: „nie udowodniono”... i miałem szansę zacząć od nowa.

— Rozumiem, Jamie. Teraz rozumiem.

— A pani Landower... zawsze jej nienawidziłem. Chciała wszystko popsuć... nie tylko mnie, ale każdemu. Zadawała pytania i drażyła, drażyła. Miała niszczycielską naturę. A potem pojechała do Edynburga i tam wszystkich wypytywała, i znalazła stare gazety. Przyszła do mnie i oświadczyła, że muszę opowiedzieć jej całą historię. Mówiła, że to nie w porządku mieć tajemnicę... Więc wziąłem pogrzebacz i uderzyłem ją... tak jak Effie. A potem zaniósłem na bryczkę i zawiozłem do szybu.

— Och, Jamie — szepnęłam, drżąc cała.

— To koniec. Wiem — odezwał się Jamie. — A teraz panienska wie... więc jedyne, co mogę zrobić, aby żyć w spokoju, to zawieźć panienkę do kopalni... martwą.

— Ale nie możesz tego zrobić — odparłam. — Jamie wrócił, a Jamie nigdy by tego nie zrobił. Donald już odszedł... a teraz, gdy mi to powiedziałeś, odszedł na zawsze.

Znów ukrył twarz w dłoniach.

— Co ze mną będzie? — spytał.

— Myślę, że musisz wyjechać. Uważam, że jesteś chory. To nie to samo... jesteś chory, więc nie można cię potępiać.

— A Lwie Serce, Tygrys i pszczoły... co się z nimi stanie?

— Ktoś się nimi zajmie.

— Nie mógłbym panienki skrzywdzić, panno Tressidor. Nieważne, co...

— Wiem. Kiedy tylko to poczułam, domyśliłam się, kim naprawdę jesteś. Poza tym, kiedy przyszłam, byłeś z pszczołami. Tylko Jamie mógł chodzić bezpiecznie między nimi. Nie pozwoliłyby na to nikomu innemu.

— Co mogę zrobić, panno Tressidor?

Znów ukrył twarz w dłoniach. Lwie Serce podbiegł do niego i wskoczył na stół. Zaczął lizać Jamiego po twarzy, a Tygrys ocierał się o jego nogi.

— Och, Jamie — powiedziałam — biedny Jamie.

Podeszłam do drzwi. Na zewnątrz było pusto. Stałam na ganku dziesięć minut, aż w końcu zobaczyłam kogoś na drodze. Był to jeden ze stajennych z Landower.

— Poproś pana Landowera, żeby natychmiast tutaj do mnie przyjechał. Powiedz mu, że jest potrzebny... natychmiast! — zawołałam.

Kiedy Paul przyszedł, przylgnęłam do niego i trochę chaotycznie wyjaśniłam mu, co się stało. Objął mnie i powiedział:

— Nie bój się. Już się nie musisz bać.

Potem weszliśmy razem do domku Jamiego McGilla.

Rozdział 13

Diamentowy jubileusz

Siedziałam w wykuszu okiennym jednego z największych domów mody w Londynie, patrzyłam na przechodzący w dole orszak i wspominałam ów dzień dziesięć lat wcześniej, gdy siedząc w oknie mieszkania przy placu Waterloo oglądałam obchody innego jubileuszu.

Wszystko było podobne, ale miejsce niewinnej dziewczynki zajęła kobieta. Trudno było uwierzyć, że tak wiele mogło się wydarzyć w przeciągu dziesięciu lat.

Słońce świeciło jasno — zupełnie jak wówczas. Królewska pogoda, komentowano wtedy i teraz. Mała staruszka w królewskim powozie prawie wcale się nie zmieniła. Panowała atmosfera gorączkowego podniecenia, tak samo jak przed dziesięcioma laty. Poprzedniego dnia, jadąc przez miasto, widziałam liczne łuki tryumfalne i dekoracje, a wieczorem zapalono lampy gazowe, a także kilka elektrycznych, które właśnie zaczęto wprowadzać.

„Nasze serca u stóp Twojego tronu” — głosił jeden z napisów. „Sześćdziesiąt lat pełnych chwały” — wieścił inny. A jeszcze inny mówił: „Dała swemu ludowi trwałą dobrobyt”.

Kiedy jednak orszak przesunął się pod moim oknem, nie widziałam wspaniałych mundurów ani lśniących strojów księżąt i dostojników z całego świata. Powróciły obrazy z minionych dziesięciu lat, kiedy to przestałam być niewinną dziewczynką, a stałam się dojrzałą kobietą. Nie słyszałam orkiestry grającej muzykę wojskową, lecz głosy z przeszłości.

Wróciłam pamięcią do dnia, gdy z matką, Oliwią i kapitanem Carmichaelem siedziałam przy oknie, podziwiając tamten jubileusz. Wówczas właśnie moje życie odmieniło się dramatycznie i miałam dziwne uczucie, że wszystkie minione burzliwe lata przywiodły mnie nie tylko ku szczęściu, ale też ku większej tolerancji.

Nie śpieszyłam się już z ocenianiem innych. Patrzyłam na świat innymi oczami. Byłam dojrzała. Nie potępiałam. Nauczyłam się akceptować słabe strony natury człowieka i rozumiałam, że ludzie nie dzielą się na bogów i łotrów.

Moja matka, motyl zakochany w przyjemnościach, dała jednak szczęście swojemu Alfonse'owi, a ich małżeństwo okazało się udane. Czuli się zadowolona i chciała obdarzać wszystkich wokół własną radością. Gardziłam Robertem Tressidorem jako hipokrytą, głoszącym cnotę, a potajemnie zaspokajającym niskie żądze. Ale może osądziłam go zbyt surowo. Byłam pewna, że pragnął się stać filarem cnoty. Musiał przecież walczyć ze swą ludzką ułomnością i nie umiał oprzeć się pokusie. A kiedy został zdemaskowany, rozpaczliwie starał się uratować swój oficjalny wizerunek i to napięcie niewątpliwie miało związek z jego przedwczesną śmiercią. A Jeremy, łowca posagów? Gdyby urodził się bogaty, nie musiałby czynić interesownych kalkulacji. Miał urok i inteligencję. Gdyby nie gwałtowna potrzeba znalezienia środków, pozwalających na życie w luksusie, byłby może wartościowym młodym człowiekiem. A Paul, mój Paul, który siedział teraz koło mnie, jakiej pokusie musiał stawić czoło, gdy nad Landower zawisła katastrofa? Potępiałam go za to, że sprzedał swą wolność za rodzinny dom, ale teraz zdawałam sobie sprawę, że najbardziej honorowy mężczyzna postąpiłby tak samo.

W swej młodszej niewinności obdarzyłam tych, których podziwiałam, boskimi przymiotami. Nie byli jednak bogami, tylko ludźmi.

Ostatnio trafiłam na strofę Browninga, która pozostanie w mojej pamięci do końca życia:

Ludzie nie są aniołami; ani bestiami;
Możemy zobaczyć coś, nie możemy widzieć wszystkiego.

Żałowałam, że nie zrozumiałam tego wcześniej, bo zrozumieć motyw czyjegoś postępowania to z pewnością największy z darów — a rozumieć znaczy nie osądzać ani nie potępiać.

Często myślę o Gwennie... Gwennie, która chciała być szczęśliwa, lecz nie wiedziała, jak to osiągnąć. Chciała handlować z całym światem. Nie potrafiła zrozumieć, że za pieniądze dostanie nawet największy dom, ale nie miłość. Biedna Gwennie, gdyby tylko wiedziała, że człowiek musi dawać całym sercem i bez nadziei na zapłatę, a wówczas zbierze owoc miłości.

Prawię teraz kazania, choć wiem, że powinnam być wdzięczna losowi za owe doświadczenia, gdyż tak wiele mnie nauczyły.

Często myślę o Gwennie, którą nienasycona ciekawość przywiodła ku śmierci. „Ciekawość zabiła kota” — pamiętam, jak to powiedziała. Ciekawość zabiła Gwennie. Znalaziono jej ciało w szybie, zgodnie z wyznaniem Jamiego. Podczas śledztwa ustalono szczegóły. Gwennie poznała prawdę, którą Jamie pragnął ukryć. A on wierzył, że Jamie i Donald to dwie różne osoby. Były to dwie strony jego natury. Widział siebie jako dwóch ludzi w jednym ciele. Był więc Jamie, łagodny opiekun zwierząt, człowiek, który pragnął żyć w pokoju z sąsiadami; i był Donald, opanowany nieokiełznaną żądzą zabijania. Te dwie sprzeczne natury walczyły w nim od dzieciństwa. I Donald James McGill, nie mogąc znieść świadomości, że od czasu do czasu ogarniają go mordercze instynkty, wyparł się jednej z nich. Dopóki czuł się bezpieczny, mógł żyć jako Jamie. Ale Donald wrócił, gdy Gwennie zagroziła, że wyjawি wszystkim prawdę.

Został uznany za chorego psychicznie i umieszczony w zakładzie na okres, „który Jej Wysokość uzna za stosowny”. Poczulałam ulgę, bo wiedziałam, że trafił w dobre ręce. Jeden z największych specjalistów od chorób umysłowych zainteresował się jego przypadkiem, który określił jako: „rozszczerzenie osobowości”. Postarał się, by chorego przeniesiono do szpitala, gdzie sam pracował. Odwiedzałam Jamiego co jakiś czas. Zajmował się ogrodem i miał swoje ule. Czasem odnosiłam wrażenie, że zapomniał o niedawnych wydarzeniach w Kornwalii i wyobraża sobie, że nadal mieszka w stróżówce Tressidor.

Wkrótce po tym, gdy ciało Gwennie zostało znalezione w szybie kopalni, pojechałam do Londynu odwiedzić Rosie i Jagona. Zabrałam z sobą Livię i Juliana — oraz nianię Loman i opiekunkę chłopca, oczywiście. Ponieważ Julian przepadał za Livią, a ponadto był już dość duży, by zrozumieć, co się stało, uznaliśmy, że będzie najlepiej, jeśli na jakiś czas wyjedzie z domu.

Rosie była dla mnie cudowną towarzyszką — dzięki swemu rozsądkowi, a Jago cudownie ją uzupełniał. Dziwiłam się głębi ich związku. Byli sobie naprawdę oddani, a ich domy mody zyskały wkrótce międzynarodową sławę.

Wróciłam myślami do jubileuszu królowej. Julian pokazywał coś Livii. Przyjaźń tych dwojga sprawiała mi wielką radość. Pomyślałam: A może pewnego dnia się pobiorą? Kto wie? Livia dostanie Tressidor, już podjęłam decyzję w tej sprawie. Wielkie domy powinny zostawać w rodzinie. Nie należałam do Tressidorów, ale Livia owszem, a majątek powinien wrócić w ręce tego rodu.

Wiedziałam, że Paul uczyni Juliana swoim spadkobiercą niezależnie od tego, ile będziemy mieli dzieci. Julian był w połowie Arkwrightem, a nie należało zapominać, że to Arkwrightowie uratowali Landower przed ruiną.

Dlaczego myślałam o tym wszystkim, oglądając Diamentowy Jubileusz królowej z rzeźbionego okna wielkiego domu mody Rosie i Jagona?

Paul patrzył na mnie wesoło i czułam, że czyta w moich myślach. Jego dłoń zamknęła się na mojej i wiedziałam, że podobnie jak ja uważa, iż powinniśmy odsunąć w przeszłość doświadczenia, które niejednokrotnie pograżały nas w rozpacz, ale też doprowadziły do obecnego szczęścia — i cieszyć się, i czuć wdzięczność.